

CZARNA SERIA

THRILLER



HÅKAN NESSER

OCZY EUGENA KALLMANNA

HÅKAN
NESSER
OCZY EUGENA KALLMANNA

Przełożyła Małgorzata Kłos

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2017

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

SIERPIEŃ-PAŹDZIERNIK 1995

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

STYCZEŃ–MARZEC 1980 ULRIKA

17

18

19

20

21

LISTOPAD–GRUDZIEŃ 1995

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

[E.K. Pamiętnik 1995 Poufne](#)

STYCZEŃ-LUTY 1996

43

44

45

46

47

CZERWIEC–SIERPIEŃ 1996

48

49

50

51

KWIECIEŃ-MAJ 2015

52

53

54

55

56

57

Przypisy końcowe

Tytuł oryginału *EUGEN KALLMANNS ÖGON*

Redakcja Małgorzata Głodowska

Projekt okładki Pola Raplewicz & Daniel Rusiłowicz DEERHEAD Sp. z o.o.

Zdjęcie na okładce © pyzata / Shutterstock

Korekta Beata Wójcik

Redaktor prowadzący Anna Brzezińska

Copyright © Håkan Nesser, 2016

First published by Albert Bonniers Förlag, Stockholm, Sweden Published in the Polish language by arrangement with Bonnier Rights, Stockholm, Sweden and Macadamia Literary Agency, Warsaw, Poland

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2017 Copyright © for the Polish translation by Małgorzata Kłos, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-648-7

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

SIERPIEŃ–PAŹDZIERNIK 1995

1

Leon

Opuściłem Sztokholm jakieś siedem miesięcy po zaginięciu mojej żony i córki.

Był początek sierpnia, ciepłe niedzielne przedpołudnie. Taksówka czekała na mnie na szczycie wzgórza zamkowego obok pomnika Birgera jarla. Na Starym Mieście tłoczyło się zbyt wielu turystów, by można było otworzyć je dla ruchu samochodowego. Objasniono mi to, kiedy dzwoniłem po taksówkę (choć wcale nie pytałem). Miałem okazję przekonać się, że to prawda, kiedy ciągnąłem za sobą po kocich łbach dwie pokraczne walizy. Ogródki restauracyjne pękały w szwach, a wokół staromiejskiej pompy stały hordy Japończyków, Niemców i Włochów. Pstrykali sobie nawzajem masę zdjęć. Na schodkach przed Akademią Szwedzką siedziało dwadzieścioro nastolatków w żółtych T-shirtach, słuchali ubranej w żółty zakiet kobiety, która czytała im coś z książki. Domyśliłem się, że to jakaś laureatka Nagrody Nobla z ich kraju. Nie wiem, skąd byli, może z Polski? W każdym razie słowa, które przypadkowo udało mi się wychwycić, miały słowiańskie brzmienie.

Zdążyłem się spocić, zanim jeszcze fasada zamku i taksówka pojawiły się w zasięgu wzroku. Sztokholmie, żegnaj, pomyślałem, omal nie wybuchając przy tym płaczem, ale jakoś się powstrzymałem.

– Krótki kurs – zauważył kierowca, kiedy już usiadłem na tylnym siedzeniu.

– Być może, ale dwie walizki, kontuzja sportowa sprzed lat... sam pan rozumie.

Nic mi na to nie odpowiedział i podczas siedmiominutowej jazdy na dworzec centralny nie zamieniliśmy już ani słowa. Nie musiałem mu nawet mówić, dokąd jadę, bo zrobiłem to, składając zamówienie.

Kierowca nie znał jednak końcowego celu mojej podróży. Niewielu moich znajomych go znało, przynajmniej spośród tych mieszkających w stolicy. Specjalnie milczałem na ten temat, powiedziałem jedynie siostrze, kilku byłym przyjaciołom i rektorowi. Siostra od sześciu lat mieszkała w Szwajcarii, w Bazylei, i przez cały ten czas się z nią nie widziałem.

Miałem wrażenie, że nikt nie będzie za mną tęsknił, co w pewnym sensie rozumiałem. Współczucie ma swoje granice, trudno jest otworzyć serce na tragedię. Można to robić przez miesiąc, może dwa lub trzy, ale prawie nikt nie wytrzyma czegoś takiego przez pół roku. Stara rozpacz się przykrzy.

Helena leżała w grobie już od marca – sprowadzenie ciała zajęło trochę czasu. Kiedy już ją znaleźli i zidentyfikowali, zaczął się korowód dziwacznych formalności. Jednak Judith wciąż uznawano za zaginioną. Pokładałem w tym nedorzeczną nadzieję, to stanowiło moją tragedię. Każdy przecież mógł stwierdzić, że moja córka nie żyje, a Ocean Indyjski jest wystarczająco duży, by ukrywać zwłoki tak długo, jak ma na to ochotę.

Każdy, tylko nie ja. Miesiącami studiowałem mapy wysp leżących wzdłuż wybrzeży Tanzanii. Pemby, Mafii, Zanzibaru. Tych oraz tych mniejszych, będących plamami na niebieskim bezkresie, tak małymi, że aż niezamieszkanymi. Gdyby jednak Judith udało się dostać na taką wysepkę, to mogłaby chyba przeżyć tych sześć miesięcy w jakiejś niewielkiej dżungli? Tak wyglądały moje rozmyślenia. Przetrwac, jedząc owoce i korzonki, to chyba możliwe? Owszem, mało prawdopodobne, ale życie to pasmo nieprawdopodobnych zdarzeń.

Prom rozbił się podczas burzy pomiędzy Dar es Salaam i Zanzibarem. Z dwustu dziewięćdziesięciorga pasażerów przeżyło trzydzieścioro sześcioro. Stu dziewięćdziesięcioro pięcioro znaleziono martwych – fale wyrzuciły ich ciała na różne okoliczne plaże. Pięćdziesięcioro dziewięcioro uznano za zaginionych. Nikt jednak nie wierzył, że te liczby są wiarygodne.

Jedną z osób, które przeżyły, był Szwed, były oficer sił powietrznych. Konsultowałem się z nim tyle razy, że w końcu w kwietniu przestał odbierać ode mnie telefony. Jediną wartościową informacją, jaką od niego uzyskałem, było to, że – jak mu się wydawało – zauważył Helenę i Judith na tej przeładowanej łodzi na przystani w Dar.

Nie, nie rozmawiał z nimi. Nie, nie był blisko nich, kiedy łódź przewróciła się do góry dnem. Nie, nie widział żadnej z nich w wodzie, kiedy ekipa ratunkowa wyciągała go ze wzburzonych sztormem fal.

I nie, według niego nie było możliwe, by ktoś mógł o własnych siłach dopłynąć do którejś z wysp. Najbliższa znajdowała się jakieś osiem kilometrów od miejsca tragedii, a w momencie wypadku fale miały około czterech metrów wysokości.

Byłem człowiekiem twardo stąpającym po ziemi. Może nie ateistą, ale w każdym razie agnostykiem. Jestem nauczycielem języka szwedzkiego i historii, absolwentem pedagogiki uniwersytetu w Uppsali, rocznik 1974. Kiedy tamtego ciepłego przedpołudnia opuszczałem Sztokholm, nieco ponad miesiąc dzielił mnie od czterdziestych piątych urodzin. Moi rodzice nie żyją od wielu lat. Nie mam żadnych bliskich krewnych z wyjątkiem siostry, o której już wspomniałem. Helena i ja we wrześniu obchodzilibyśmy osiemnastą rocznicę ślubu. Mieliśmy tylko jedno dziecko, córkę Judith.

Wyprawa do Afryki Wschodniej była prezentem na jej piętnaste urodziny.

Tyle o tym.

Cała podróż do K. zajęła sześć godzin. Ostatni odcinek przejechałem lokalnym

autobusem, żółtym wiekowym zabytkiem, na którego pokładzie znajdowało się dwóch pasażerów oraz kierowca wyglądający jak zmęczony życiem Richard Nixon. Wśród pasażerów, poza mną, była też dziewczynka lat około trzynastu z koszykiem dla kota na kolanach. Przyszło mi do głowy, że pewnie w bliskiej przyszłości spotkam ją w szkolnej klasie.

Nie zaczęliśmy jej jednak. Od początku roku dzieliło nas przecież jeszcze parę tygodni, gdyby zresztą chodziło o parę dni, nie zrobiłoby to różnicy. Kiedy tak jechaliśmy przez upojone słońcem, bezludne lasy, mój plan, by zaaklimatyzować się w mieście, zanim praca zacznie się na dobre, wydał mi się nagle niezrozumiały. Oczywiście było, że ludzie są jeszcze na urlopach, pewnie powyjeżdżali. W tym przekonaniu utwierdził mnie jeszcze bardziej widok placyku położonego obok zamkniętej stacji kolejowej, na którym zaparkowaliśmy. Kwartet autobusów stał, przypominając martwe konie oczekujące na pochówek, budka z grillem miała być nieczynna jeszcze do połowy miesiąca, a na postoju taksówek trafiłem na nie pierwszej młodości volvo z opuszczonymi szybami, za to bez kierowcy. Pojawił się po pięciu minutach z reklamówką i gazetą w dłoni. Skinął do mnie głową, całkiem przyjaźnie, odwzajemniłem skiniecie z pewnego rodzaju zrozumieniem, w końcu był piątek. Podałem mu adres, ruszyliśmy i już po chwili mogłem włożyć klucz w zamek drzwi mojego nowego domu. Östra Ågatan 36, umeblowane dwupokojowe mieszkanie w niewielkim bloku przy rzece. Położone mniej więcej w połowie drogi między rynkiem Stora torget – stanowiącym, o ile zrozumiałem, centrum K. – oraz szkołą Bergtuna, moim przyszłym miejscem pracy.

Przez kilka chwil melancholia, która czała się we mnie całe popołudnie, przerodziła się w lekką panikę. Zobaczyłem, że jest za kwadrans szósta, napocząłem butelkę whisky i wyszedłem usiąść na balkonie. Jakiś ptak, chyba kwiczoł, na chwilę przysiadł na poręczy, po czym ruszył dalej, miękko

szybując w stronę rzeki. Zza rogu domu dochodził zapach marynaty na grilla, uznałem więc, że życie w okolicy jednak się toczy.

To Ludmilla Kovacs powiedziała mi o wolnej posadzie. Spotkaliśmy się na przyjęciu po obronie doktorskiej, a nie widzieliśmy się dwadzieścia lat. Gdyby do mnie nie podeszła i się nie przedstawiła, nie poznałbym jej. Nic dziwnego. Kiedy razem studiowaliśmy pedagogikę, była nieokrzesaną lewaczką z trzema kilogramami zmierzwionych włosów na głowie, miała owczarka niemieckiego o imieniu Październik. Zabierała go ze sobą na zajęcia, takie to były czasy.

Zapewne zignorowałbym obronę Sigurda, ale Marta mnie namówiła, by na nią pójść. Marta to jedna z najstarszych przyjaciółek mojej zmarłej żony, a Sigurd pisał tę rozprawę o robakach, odkąd go znaleźliśmy. Po drodze przytrafiła mu się trójka dzieci i kilka zdrad, robaki są jednak cierpliwe i w końcu udało im się ujrzeć światło dzienne. Przez całą wiosnę używałem wypadku jako wymówki, żeby nie musieć spotykać ludzi, Marta jednak nie kupiła tego argumentu. „Helena by się wściekła, gdybyś nie poszedł”, powiedziała, i z pewnością miała rację. Obowiązek to obowiązek, śmierć i zaginięcie nie mają tu żadnego znaczenia.

I tak oto pod koniec maja znalazłem się w pałacyku na wyspie Kungsholmen w Sztokholmie, a kiedy przyjęcie dobiegło północy, podeszła do mnie znajomo wyglądająca kobieta i zapytała, czy ją pamiętam. Kiedy przystałem na to, że jest Ludmillą Kovacs, absolwentką pedagogiki uppsalskiej rocznik 1974, zatańczyliśmy dwa tańce, po czym przysiedliśmy na sofie i zaczęliśmy rozmawiać.

Ludmilla wiedziała o tragedii, Marta jej powiedziała, a ponieważ i jej przyszło pochować chłopaka, który roztrzaskał się o skałę, najpewniej w akcie samobójczym, uznałem, że istnieje między nami nic porozumienia. Rozmawiało się z nią łatwo i miło – rzecz jasna byliśmy nieco wstawieni –

i kiedy Ludmilla zadzwoniła po trzech dniach i oznajmiła, że jej propozycja co do szkoły w K., w której pracowała od Bóg wie ilu lat, była całkiem na poważnie, stwierdziłem, że w mojej sytuacji będzie to właściwe rozwiązanie. Wiedziałem, że na wyspie Lidingö kapitał zaufania, na który pracowałem z trudem, wyczerpał się w semestrze letnim, i to zarówno wśród uczniów, jak i kolegów. Współczucie, jak już wspomniałem, ma swoje granice, a w przypadku nauczyciela gimnazjalnego jest jasne: albo człowiek daje sobie radę, albo nie. Ja nie dawałem.

Poza tym, wbrew zdrowemu rozsądkowi, nie poszedłem na zwolnienie lekarskie od pierwszego tygodnia stycznia. Praca sprzyja zdrowiu i dobremu samopoczuciu. Akurat.

Z początku nie wiedziałem, co stało się z moim poprzednikiem ze szkoły Bergtuna, ani dlaczego zwolnił posadę, a kiedy w czerwcu zaczęły do mnie docierać pierwsze informacje, było już za późno, żeby zmienić zdanie. Spaliłem już za sobą mosty na Lidingö i w Sztokholmie, wynająłem magazyn na graty w Skärholmen i byłem przygotowany na nowy, nieznaną rozdział w moim smutnym życiu. Oboje moi rodzice zmarli tuż po siedemdziesiątce. Może się jednak zdarzyć, że człowiek, zanim skończy czterdzieści pięć lat, ma przed sobą jeszcze połowę swojej ziemskiej wędrówki. Tak sobie myślałem. Życie jest trudne i trwa tyle, ile trwa.

Oczywiście miewałem myśli samobójcze, kto by nie miał, ale nigdy nie zaszły daleko.

Moja terapeutka dopytywała mnie o to podczas każdego spotkania, a ja najczęściej mówiłem jej, że kiedy budzę się spocony o poranku, samobójstwo nie znajduje się na mojej liście rzeczy do zrobienia. Świetnie, odpowiadała, głaszcząc mnie po kolanie. Nie zapraszaj śmierci, ona i tak przyjdzie.

Dziękuję, wiem, brzmiała moja stała odpowiedź.

Jeśli chodzi o miasto K., to – podobnie jak większość ludzi na świecie – nigdy wcześniej w nim nie byłem. Położone w środku Norrlandii, było kiedyś pomniejszym centrum produkcji obuwia, ale począwszy od lat siedemdziesiątych, zdominowały je odnoszące sukcesy małe przedsiębiorstwa. Powstało tu też jedno z najpilniej strzeżonych więzień w kraju, funkcjonowały socjaldemokratyczny samorząd utrzymujący się przy władzy od średniowiecza i drużyna piłki nożnej, która co siedem lat awansuje do drugiej ligi. Następnie wypada z niej po kiepskim sezonie, a wtedy wyrzuca się trenera i podejmuje nowe postanowienia.

Jeziro, tor wyścigów konnych, stok narciarski.

Całe dziewiętnaście tysięcy mieszkańców – według spisu ludności z 1994 roku – oraz dwa gimnazja. Najbliższe liceum, stacja kolejowa oraz szpital w oddalonym o czterdzieści pięć kilometrów mieście Ö. Lotnisko też.

Wyposażony w taką mniej więcej wiedzę siedziałem sobie tego sierpniowego wieczoru na balkonie na drugim piętrze, sącząc whisky i spoglądając na nieco powolną rzekę Storå, która na wschód i zachód od miasta nazywa się Morån, ale w jego murach przyjmuje inną nazwę. Z niejasnych przyczyn, jak wytykają niektórzy. Tak czy inaczej, na wysokości mojego domu brzegi rzeki porastały dorodne brzozy, widziałem więc jedynie przebłycki brunatnej wody, powyżej wieżę kościoła, sporo budynków, pomarańczowy dźwig, a w oddali górską grań oraz kilka stad kawek, które z uporem i bez składnej choreografii kreśliły zawijasy na powoli spowijanym mrokiem letnim niebie.

Co ja tu robię?, zastanowiłem się. Dlaczego siedzę na zapomnianym przez Boga betonowym balkonie w okolicach sześćdziesiątego trzeciego równoleżnika? Powinienem przynajmniej znów zacząć palić.

2

Andrea

Dziś rano znów obudziłam się z tego koszmaru. Cała rodzina płynie tratwą zmierzającą do wodospadu. Mama i tata całkiem beztroscy zajadają krewetki i popijają wino. Swoisty piknik na środku wartkiego strumienia. Aron i August grają w karty, jedynie do mnie dociera, co się zaraz wydarzy, nie mogę jednak uświadomić tego innym. Irytują się tylko na mnie, mówią, że bym nie przeszkadzała. Żebym nie była taka kłótniwa i uciążliwa.

W końcu więc ich ignoruję. Wskakuję do wody i płynę w stronę lądu. Zdążam w ostatniej chwili. Potem siedzę na kamieniu i obserwuję, jak znosi ich do wodospadu i giną.

W każdym razie domyślałam się, że giną, bo to przerażający wodospad, z pieniącą się i ryczącą wodą i ostrymi skałami. Sen kończy się na tym, że tratwa znika na krawędzi. Zawsze urywa się w tym momencie, tego lata śniło mi się to już z sześć, siedem razy.

A budząc się, myślę: ach tak, więc to tak wyglądało.

To właśnie jest straszne. To, że tylko na tyle potrafię się przejąć. Że kiedy otwieram oczy, nie czuję strachu, nie oblewa mnie zimny pot, nie dopada mnie panika. A kiedy człowiek w wieku piętnastu lat traci całą rodzinę, powinien czuć dojmujący smutek.

Tak jednak nie jest. I to nie tylko dlatego, że wiem, że to jedynie sen. Kiedy

leżę w łóżku, rozmyślając nad tym, uświadamiam sobie, że tak samo bym się czuła, gdyby wydarzyło się to naprawdę.

Ach tak, więc tak to wyglądało.

Rzecz jasna wiązałyby się to z wieloma praktycznymi problemami. Bo gdzie bym mieszkała? Kto by się mną opiekował? Nikt by się pewnie nie zgodził, żebym zajmowała się sobą sama. Żebym po prostu nadal mieszkała w naszym domu i sama sobie radziła. Musiałabym na pewno przeprowadzić się do nowej rodziny, z którą tak samo nie czułabym więzi.

Więź. Z kim ja właściwie czuję więź? Gdyby ktoś zapytał mnie o to rok temu, od razu odpowiedziałabym, że z Anną i Malin. I może z Sarą. W końcu trzymałyśmy się ze sobą, od kiedy Sara dołączyła do nas do czwartej klasy, ale przez ostatni rok nasze drogi jakoś się rozeszły. Stopniowo, ale definitywnie. Mówią, że jestem dziwaczką, czy może mówi tak tylko Anna, ale to ona ma decydujący głos. „Ależ z ciebie dziwaczka”, mówiła, śmiejąc się, jakby chciała pokazać, że nie ma nic złego w byciu dziwaczką. Wiem jednak, że kryje się w tym coś poważnego. Ona już mnie nie lubi.

Może chodzi o Ivana. Zaledwie pół dnia po tym, jak pojawił się u nas w klasie, Anna się w nim zakochała. Ivan jednak nie był nią zainteresowany. Nie mówię, że mną był, ale na pewno się ze sobą dogadujemy. Uważają go za oryginał, zwłaszcza nauczyciele. Ma za sobą problemy rodzinne. Może i do niego pasuje słowo „dziwak”, chłopakowi jednak to bardziej uchodzi. Zwłaszcza jeśli jest przystojny, a Ivan jest. I zwłaszcza jeśli jest najlepszym koszykarzem w szkole, a Ivan jest.

Tak więc już się z nimi nie zadaję, ani z Anną, ani z Malin, ani z Sarą. Tego lata w ogóle się nie pokazywały, ale to dlatego, że spędzałyśmy je gdzie indziej. Sara u rodziny w Norwegii, wciąż tam zresztą jest. Z reguły wraca dopiero dwa, trzy dni przed początkiem szkoły. Malin była na Gotlandii, a Anna na zachodnim wybrzeżu, gdzie pomagała w restauracji wujka. Jak

każdego lata. Ja byłam na dwóch obozach: confirmacyjnym i koszykarskim. Ivan też był na tym drugim, ale nie rozmawialiśmy jakoś dużo. Wychowawcy pilnowali, żeby dziewczyny i chłopaki się ze sobą nie zadawali. Bali się groźnych konsekwencji.

A potem spędziłam tydzień z rodziną w Grecji. Nie pojmuję, po co jeździć do Grecji w połowie lipca, my jednak wybieraliśmy się tam w tym czasie trzeci rok z rzędu. Na tę samą wyspę, do tego samego hotelu – Zephyr na przedmieściach Malii na Krecie. Bez przerwy było tam ponad trzydzieści stopni, także w nocy.

Nie chcę narzekać na Kretę, to cudowna wyspa. No i poznałam tam chłopaka, Callego ze Sztokholmu. Ma szesnaście lat, przez dwa ostatnie dni się obściskiwaliśmy. Całował mnie tak, że aż potem bolały mnie usta. Gdybym miała więcej odwagi, może byśmy się ze sobą przespali. No i gdybyśmy mieli trochę więcej czasu. Ostatniej nocy spaliśmy razem na plaży, nigdy nie przeżyłam niczego równie romantycznego, choć wcale nie rozebraliśmy się do naga. Chyba żadne z nas tego nie chciało.

Calle to wrażliwy chłopak, nie tak jak chłopaki z klasy, co zgrywają twardzieli, bo wydaje im się, że muszą. Odkąd się rozstaliśmy z Callem dwa tygodnie temu, dzwoniliśmy do siebie cztery czy pięć razy. Wydaje mi się, że on się trochę na mnie napalił. Bałam się, że przestanie się odzywać, kiedy tylko wyjadę z Krety, ale tak się nie stało. W każdym razie jeszcze nie. Gadaliśmy o tym, żebym przyjechała go odwiedzić w Sztokholmie, może w ferie jesienne, nie chcę jednak robić sobie nadziei. Bądź co bądź grecka wyspa w lipcu to co innego niż Sztokholm w listopadzie. Dzielnica Midsommarkransen, gdziekolwiek to jest. Rodzice, autystyczny młodszy brat i cała reszta.

Przez resztę wakacji włączyłam się po mieście. Czytałam książki nad wodą albo jeździłam na rowerze do domku letniego babci i dziadka. Nie są jeszcze

aż tak starzy. Ciekawe, czy to u nich bym wylądowała, gdyby rodzice zginęli. Nad wodospadem czy gdziekolwiek indziej. Byłoby to praktyczne rozwiązanie, nie jestem tylko pewna, czy dziadkowie by mnie chcieli.

Babcia pewnie tak, ale nie dziadek. Z każdą wizytą wydaje mi się coraz dziwniejszy i to przez niego nie zostaję tam na noc. Nie żeby był obleśny, ani trochę, ale po prostu nie mam ochoty z nim jeść śniadania. Babcia twierdzi, że nie pogodził się z przejściem na emeryturę. Po prostu brak mu zajęcia. Przepracował czterdzieści siedem lat, a teraz trzy razy w tygodniu przycina trawnik wokół domku i pisze do lokalnej gazety o wszystkim, co według niego źle działa w życiu lokalnej społeczności. Zawsze podpisuje się wymyślonym pseudonimem: Ten, co nie narzeka; Rozsądny obywatel; i tym podobne. Pewnie to babcia zabrania mu podpisywać się nazwiskiem, żeby zaoszczędzić sobie wstydu.

Tak czy inaczej, do rozpoczęcia szkoły został raptem tydzień. Wczoraj wpadłam na Charliego. Rozmawialiśmy ze sobą po raz pierwszy od wypadku w maju. Pod koniec semestru nie bywał w szkole, a na zakończenie odczytał tylko ten niezrozumiały wiersz, nie przyszedł jednak do klasy, żeby odebrać oceny i zjeść poczęstunek. Słyszałam od kogoś, że ma zmienić szkołę, teraz powiedział mi jednak, że to bynajmniej nieprawda.

Tak właśnie powiedział, tym swoim językiem kujona.

– To bynajmniej nieprawda. Obawiam się, że dalej będziesz musiała się ze mną męczyć.

Odparłam, że nigdy się z nim nie męczyłam. Widać było, że mi uwierzył, że nie uznał tego za uprzejme kłamstwo. To inni mają problem z Charliem i jego stylem bycia mądrali. Ale kto wie, może po tym, co się stało, inaczej na niego spojrzę. Zanim się rozstaliśmy, powiedział jeszcze coś, czego nie rozumiałam:

– Być może będę musiał przeprowadzić z tobą wywiad. Miałabyś coś

przeciwko temu?

– Co?

– Słyszałaś przecież.

– Wywiad?

– Tak.

– O czym?

– O szczegółach pozwolę sobie opowiedzieć kiedy indziej. To delikatna sprawa.

Gapiłam się na niego przekonana, że jego geniusz przerodził się w szaleństwo, ponoć takie rzeczy się zdarzają. Potem pomyślałam o wydarzeniach sprzed kilku miesięcy.

– Czy to ma coś wspólnego z Kallmanem?

– Wszystko ci wyjaśnię podczas wywiadu. O ile się zgodzisz, rzecz jasna.

– Oczywiście – odparłam nieco zdziwiona. Charlie potrafi zbić człowieka z tropu tymi swoimi dziwacznymi wypowiedziami.

Kiedy już sobie poszedł, zrozumiałam, że zgadłam. Bo o cóż miałoby chodzić, jeśli nie o Kallmanna?

Sporo się nad tym zastanawiałam, jak wszyscy. Nikt nie znał Kallmanna za życia, choć krążyło o nim kilka dziwnych plotek. Nikt wciąż nie rozumie, jak to się mogło stać. Chyba większość ludzi wyobrażała sobie, że chodziło o morderstwo lub przynajmniej nieumyślne spowodowanie śmierci. Wielu było więc nieco zawiedzionych, kiedy policja stwierdziła, że do zgonu doszło z przyczyn naturalnych, i zamknęła śledztwo.

A może tylko udają, że skończyli pracę nad tą sprawą, nie wiem. Tak przynajmniej uważa Ivan, rozmawialiśmy o tym krótko w drodze na obóz koszykarski. Udają, żeby sprawca (czy może sprawcy) sądził (sądzili), że zapanował spokój. Tata Lydii od nas z klasy jest policjantem, ale niestety pracuje w innym wydziale. Zresztą pewnie i tak nie gadałby o tym na lewo

i prawo, bo i po co? Lydia też nie. Jeśli ktoś w klasie zasługuje na miano milczka, to właśnie ona.

Mój tata też jest milczkiem. Królem milczków, mówi nie więcej niż dziesięć, dwanaście słów na dzień. Jednak tego dnia, kiedy o Kallmanie napisano w gazetach po raz pierwszy, a my wyjątkowo zgromadziliśmy się przy wspólnym śniadaniu, tacie wyrwało się, że to wszystko przez ten dom. Jeśli ktoś pałęta się po nocy po takiej nawiedzanej ruderze, jaką jest Niemiecki Dom, to musi się liczyć ze wszystkim.

Kiedy mama zapytała, co ma na myśli, nie udzielił żadnej sensownej odpowiedzi. Wymamrotał tylko coś i wsadził sobie kolejną łyżkę owsianki do ust. A ja się trochę wystraszyłam. Nie tego, co powiedział, tylko tego, że kiedyś będę taka jak on. Zamknę się w sobie ze swoimi głupimi myślami i nie będę miała kontaktu z innymi. Przecież połowę genów odziedziczyłam po nim – o ile dobrze rozumiałam, co Karling mówił na lekcji biologii – a to doprawdy nieprzyjemna wizja. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że w tej kwestii mama dominowała jak w każdej innej. Coś, czego nie potrafię zrozumieć, jeśli chodzi o rodziców, to dlaczego się pobrali. Czy dokładniej mówiąc, dlaczego mama wyszła za tatę. Co najmniej trzy razy prosiłam, by opowiedziała, jak się poznali, ale zawsze zmieniała temat. Może to jakaś wstydliva historia, może przespali się ze sobą po pijaku i tak oto pojawiłam się ja. Może prawie w ogóle się wcześniej nie znali. Jak się nad tym zastanowić, taki scenariusz wydaje się całkiem prawdopodobny.

Całkiem sensowna hipoteza, jak by powiedział Charlie.

Może dlatego rodzice tyle zwlekali, zanim zdecydowali się na Arona i Augusta. Zanim znów się bzyknęli, chcieli się przekonać, czy są w stanie ze sobą wytrzymać.

Jestem wulgarna, ale mam to gdzieś. Tak czy inaczej, moi bracia są ode mnie o pięć i sześć lat młodszy i nigdy nie miałam z nich pożytku czy radości.

Kiedyś mój nauczyciel szwedzkiego, Enoksson, oddając mi wypracowanie o rodzinie, poprosił mnie na indywidualną rozmowę i oznajmił, że to jeden z najlepszych i najzabawniejszych tekstów, jakie czytał. Miał tylko nadzieję, że nie napisałam prawdy. Że po literacku puściłam wodze fantazji.

Oczywiście, odparłam. Potrafię kłamać jak z nut.

Szwedzki to mój ulubiony przedmiot. Szczególnie lubię pisać wypracowania. Szkoda, że Enoksson nie wytrzymał u nas dłużej niż dwa semestry. W ósmej klasie przyszedł Kallmann, a teraz nadeszła pora na równie długie panowanie kolejnego wodza. O ile tylko Enoksson nie sprowadzi się do nas z powrotem z Göteborga, ale czemu niby ktoś miałby wracać do K., jeśli udało mu się stąd wyrwać?

Dobre pytanie. Tyle wątpliwości. Leżę w łóżku i piszę całe popołudnie, a nie znalazłam żadnych rozsądnych odpowiedzi. Ponieważ nikt mi nie zawracał głowy, uznałam, że w domu nikogo nie ma. Mama i tata oczywiście są w pracy, a bracia pewnie poszli na kąpielisko. Sam fakt, że obaj są rudzi, wskazuje na ich pokrewieństwo z ojcem. Ja, jakkolwiek bym się przyglądała, nie mogę znaleźć u siebie ani jednego rudego włosa, czy to na głowie, czy na ciele. Mam więc nadzieję, że cała ta dominacja genetyczna, dominacja i to drugie... redundancja?... jednak działają. Równie dobrze mogę wyrosnąć na kogoś takiego jak mama.

Może bardziej będę się starała dbać o linię, ale to już nie kwestia genów, a charakteru. Chociaż może genów też? Mama w każdym razie nie umie przejść obok ciastka czy kawałka tortu i go nie zjeść. Tak twierdzi.

À propos, robię się głodna. Dochodzi dwunasta, a nie zjadłam śniadania.

O pierwszej miałam się spotkać z Emmą. Wczoraj wróciła od taty i krewnych w Argentynie. Była tam całe lato i miała zimę prawie przez sześć tygodni. Jak zwykle, ale to miał być ostatni raz. Tak się zarzekała, kiedy wczoraj wieczorem rozmawiałyśmy przez telefon. Nie przypominałam jej, że

to samo mówiła w sierpniu zeszłego roku. Zaczęłam sobie nawet wyobrażać, jak by to było, gdyby mój małomówny tata mieszkał daleko w Ameryce Południowej. Może wtedy łatwiej byłoby go polubić. W życiu jednak nie jeździłabym go odwiedzać każdego lata.

Jeśli jest tak, że zaczynając dziewiątą klasę, nadal trzeba mieć najlepszą przyjaciółkę, to po stokroć wybieram Emmę. Potrafi być uparta jak osioł, ale przynajmniej jest samodzielna. Może nawet trochę z niej dziwaczka.

3

Igor

Zatem znów przyszła pora. Przedwczoraj kupiłem trzydziesty pierwszy w moim życiu kalendarz nauczyciela. Tych zużytych trzydzieści zajmuje całą półkę na regale. Stoją w nim w równym zielonym rządku i kiedy pomyślę sobie, że każdy z nich zawiera mniej więcej sto pięćdziesiąt imion i nazwisk, sto pięćdziesięcioro młodych ludzi, piersi rozpira mi duma i poczucie bycia potrzebnym. Poczucie sensu.

Mogłoby się wydawać, że razem jest ich cztery tysiące pięćset, tak jednak nie jest, ponieważ niektóre nazwiska pojawiają się w dwóch lub trzech kalendarzach. Gdybym pokusił się o podsumowanie, oszacowałbym liczbę studentów, którzy przewinęli się przede mną przez ostatnie trzy dziesięciolecia, na blisko dwa tysiące. Mogę się też pochwalić, że pamiętam nazwiska wszystkich. Człowiek natrafia na nich od czasu do czasu – lekko zawstydzeni ludzie wkraczający w wiek średni podchodzą do mnie na rynku czy w sklepie, przedstawiają się i pytają, czy ich pamiętam.

Prawie zawsze pamiętam. Wystarczy dokładniej się im przyjrzeć, spróbować ocenić, w którym roku skończyli dziewiątą klasę, a już po chwili mogę im przypomnieć ich ocenę z matematyki czy fizyki. Jeśli przypadkiem natykam się na mniej zdolnego delikwenta, nie wypominam oczywiście ocen, tylko kieruję rozmowę na inny temat. Wielu ludzi wstydzi się kiepskich

wyników w szkole, nawet jeśli okazują się porządnymi obywatelami i radzą sobie w społeczeństwie na wszelkie sposoby. Szkoła to nie wszystko, jestem pierwszym, żeby to przyznać. Są wartości, których nie oddadzą oceny na świadectwie końcowym. W latach dziewięćdziesiątych zaczęli się u mnie pojawiać uczniowie, których rodziców uczyłem na początku mojej kariery w K., w późnych latach sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych. Dla przykładu, w nadchodzącym roku trafią mi się dwa takie przypadki. Pierwszy to chłopiec, niejaki Kristoffer Blom, zaczynający klasę siódmą. Nie mam względem niego wysokich oczekiwań, jego niezbyt lotnemu ojcu, Gunnarowi, dałem lichą dwójkę z matematyki ogólnej, kiedy to w 1971 roku kończył dziewiątą klasę. Henrik, starszy brat Kristoffera, choć urodzony z innej matki, dwa lata temu opuścił szkołę z podobnym wynikiem. Do tego miał na swoim koncie w opiece społecznej kradzieże samochodów oraz w sklepach. A może w policji, nie jestem pewien, kto prowadzi kartoteki takich nieletnich delikwentów.

Drugi przypadek to Andrea Wester, której wychowawcą jestem od dwóch lat. Jest osobką innego kalibru. Mogłaby mieć piątki od góry do dołu, gdyby tylko się bardziej postarała. Chyba raczej ma smykałkę do nauk humanistycznych niż ścisłych, tak samo było z jej matką, Ulriką. Ona też była wyróżniającą się uczennicą, brakowało jej jedynie pewności siebie. No i siły przebicia; powinna była iść na studia, zaszła jednak w ciążę, z rzeszoną Andream zresztą, no i życie potoczyło się tak, a nie inaczej. Jałowe życie rodzinne i ograniczone perspektywy na przyszłość. Tu na północy często tak się zdarza. Cóż, nie powinienem osądzać tych, którzy przegrali życie, ale napawa mnie smutkiem widok zdolnych ludzi, którzy nie mają szansy, by wykorzystać swój potencjał. Czy też może nie wykorzystują tej szansy. Talent zmarnowany i to najczęściej bez rozsądnego powodu. Ot, po prostu przez lenistwo i rutynę. Rzecz jasna ogromną rolę w tym dramacie odgrywa

środowisko. Jeśli człowiek wraca do tego miasta z solidnym wykształceniem, bynajmniej nie witają go oklaskami. O nie.

Przyjaciół mam niewielu. Po śmierci Kallmanna zaledwie dwoje: Gunillę, moją byłą żonę, oraz Pumpego, z którym dorastaliśmy na przedmieściach Sztokholmu w latach czterdziestych. Ja i Gunilla byliśmy małżeństwem trzy lata, choć właściwie już po trzech tygodniach zrozumieliśmy, że nam się nie uda. Zamiast tego zostaliśmy przyjaciółmi, tak jak na studiach. Ona wkrótce wyszła za niejakiego Lennarta – pasowali do siebie zdecydowanie lepiej – i miała z nim dwójkę dzieci, ale Lennart dość szybko zmarł, zostawiając ją samą. Z reguły jeżdżę do Gunilli do Göteborga na Wielkanoc lub czasem przy okazji ferii, ona zaś od czasu do czasu odwiedza mnie w K. Kiedyś, po dwudziestu trzech latach przerwy, próbowaliśmy uprawiać seks, ale nie najlepiej nam to wyszło. Uśmieliśmy się z tego oboje i teraz stawiamy na kulturę, czerwone wino i rozmowy. To nam wystarcza, a wiem, że Gunilla ceni to sobie nie mniej niż ja.

Od kiedy Pompe też został porzucony (przez pewną specyficzną kobietę o imieniu Kassandra, ale to już inna historia), jeździmy razem co rok na wycieczki. W tym roku wybraliśmy się na Wyspy Owcze i na Islandię. Pompe nie lubi latać, co nieco komplikuje sprawy, a dokładniej rzecz ujmując, wydłuża podróż. Nie mam nic przeciwko temu; przemieszczamy się tak, jak to robiono w przeszłości: łodziami i pociągami. Ewentualnie samochodem, ale żadnemu z nas nie podoba się siedzenie za kółkiem. Jesteśmy też zgodni co do tego, że powolne tempo nie jest nic warte. Ja i Pompe zgadzamy się w większości spraw.

Przepracowałem w jednej szkole dwadzieścia siedem lat, dwadzieścia siedem lepszych bądź gorszych lat. Być może przesadą byłoby powiedzieć, że Bergtuna stała się dla mnie rodziną, ale właśnie tu nawiązałem najważniejsze

w moim życiu relacje. I będę nawiązywać kolejne. Nie mam oczywiście na myśli żadnych związków intymnych, nie jestem osobą zbyt seksualną, a mój skromny popęd umiem zaspokoić na własną rękę. Jeśli już coś uznaję w życiu za ważne, to poukładanie i zdrowe zwyczaje. Z co najmniej trójką kolegów rozmawiamy na poważne tematy, dwoje z nich znam od ponad dwudziestu lat. Czasami chodzimy razem do restauracji – hotelowej bądź włoskiej, która robi się tym lepsza, im bardziej odchodzi od stylu prostej pizzerii. Bywam na niektórych imprezach nauczycielskich, jestem też stałym członkiem szkolnego totalizatora prowadzonego przez kolegę Bergkvista. Może żaden ze mnie lew salonowy, ale też raczej nie uchodzę za dzikusa.

W przeciwieństwie do Kallmanna. Wszyscy wiedzieli, kim jest, ale nikt go nie znał. Przybył do K. i do szkoły Bergtuna jesienią 1979 roku, zastępując niejakiego Poltera, który zmarł na raka, choć skończył ledwie pięćdziesiąt lat. Wybitnie ponury człowiek ten Polter, a teraz i jego następcą nie żyje.

Właściwie nie wiem nic o życiu Kallmanna, nie mam nawet pojęcia, skąd pochodził, choć takie szczegóły można sprawdzić, jeśli się tylko chce. Tego lata dużo myślałem o Kallmannie, jak wszyscy. Prawdziwy oryginał, a mimo tego był świetnym nauczycielem. Może jest tak, że dobry pedagog musi mieć w swoim repertuarze trochę dziwactwa. Przeinaczyłbym jednak rzeczywistość, gdybym powiedział, że nasza relacja była przyjazna. On nie miał przyjaciół, nie potrzebował tego. Nie krytykuję go za to. Niektórzy chronią swoją samotność, tak jak inni swój klub golfowy lub rodzinę, i mają do tego pełne prawo. Kallmann miał swoje zwyczaje, niektórzy traktowali go jak ekscentryka, jednak po jego śmierci wszyscy uznali, że był dobrym, inteligentnym, pewnym swego człowiekiem.

Dużo czasu minęło, zanim się do siebie odrobinę zbliżyliśmy, a powodem, dla którego poznałem Kallmanna lepiej niż inni koledzy, była ta historia z incydem w parku miejskim w 1993 roku. Miało to miejsce dwa lata temu,

a ma się wrażenie, jakby było niedawno. Kiedy człowiek się starzeje, lata mijają mu coraz szybciej, nie ja pierwszy tak mam.

Dlaczego policja pozwoliła, by ci rozwrzeszczani skini zebrali się w letni wieczór w naszym pięknym parku i wymachiwali swastykami i transparentami, na których nie brak było byków ortograficznych, nie mam pojęcia. Nie wiem też, co robił tam Kallmann. W każdym razie został pobity, być może niezbyt poważnie, nie mógł jednak sam się stamtąd zabrać i to ja mu pomogłem.

Było tak: jakąś godzinę po zakończeniu całego tego spektaklu, a zbliżało się wpół do dziewiątej, byłem na wieczornym spacerze z Rufusem – golden retrieverem, którym opiekuję się czasami, kiedy koleżanka Birgitta Lindegren, nauczycielka niemieckiego i angielskiego, potrzebuje pomocy. I tak oto razem z Rufusem natknęliśmy się na Kallmanna leżącego na ziemi pod dorodnym krzewem bzu. Był w pełni świadomy, twierdził, że leży tylko po to, żeby zebrać siły na pójście do domu, i że wieczór jest piękny. Jak jednak nieco później stwierdzono na ostrym dyżurze, Kallmann miał pęknięte dwa żebra, złamane ramię oraz kilka pomniejszych urazów twarzy i tułowia.

Badający go młody lekarz chciał go zatrzymać na noc, ale Kallmann oczywiście się nie zgodził. Obiecałem, że odstawię go do domu, i to zrobiłem. W takich okolicznościach naturalne wydawało się poczęstowanie mnie herbatą. Wydało się to naturalne nawet takiemu człowiekowi jak Eugen Kallmann.

Jestem pewien, że żaden z moich kolegów ze szkoły nie przekroczył progu domu Kallmanna, pewnie zresztą w ogóle mało kto u niego był. Mieszkał w dość ciasnym, trzypokojowym mieszkaniu na Sylvestergatan, które bardziej niż lokal mieszkalny przypominało bibliotekę. Dwa pokoje zastawione były ciągnącymi się od podłogi do sufitu regałami oraz kilkoma wygodnymi, acz zużytymi meblami do siedzenia. W większym pokoju królowało okazałych rozmiarów biurko. Trzeciego pomieszczenia nie dane mi było zobaczyć, ale

doszedłem do wniosku, że musiała to być sypialnia Kallmanna. On zresztą nie zapraszał mnie do swojej biblioteki, tylko zaprowadził mnie do kuchni, gdzie usiedliśmy przy stole, na którym porozkładane były gazety, notatniki, długopisy, pół tuzina afrykańskich figurek z drewna, zapomniana filiżanka po kawie oraz butelka malt whisky, opróżniona w jednej trzeciej.

Zarzuciliśmy więc początkowy pomysł, by napić się herbaty, i zamiast tego sięgnęliśmy po whisky. Potem, cóż, krótko mówiąc, wypiliśmy całą butelkę. Zajęło nam to mniej niż pół godziny i w tym czasie mój gospodarz powiedział, że cały swój wolny czas poświęca na badania, dlatego jego dom tak właśnie wygląda. Może to zabrzmie dziwnie, ale nie rozumiałem, czego dotyczyć miały te badania. Czym właściwie się zajmował. Dopiero później dotarło do mnie, że chodziło o literaturoznawstwo, choć może określenie historia literatury byłoby tu bardziej adekwatne, ponieważ jego celem było przeanalizowanie pewnych kluczowych zdarzeń w życiu dwóch pisarzy. Obu nieznanymi, obu zagranicznymi. W zeszłym tygodniu dowiedziałem się, że Kallmann wydał kilka książek. Pod pseudonimem, o ile dobrze zrozumiałem, nie wiadomo jednak, jakiego gatunku była to literatura. To Augustin Selander, artysta i nauczyciel plastyki, oświecił mnie w tej kwestii, kiedy wpadliśmy na siebie przypadkiem na Bergtuna targ. Spieszył się jednak i nie zdążyliśmy omówić sprawy. Może warto będzie do tego wrócić, kiedy spotkamy się w szkole.

Myślałem też o tej whisky. To chyba trochę dziwne, że ktoś trzyma butelkę na stole kuchennym? W szkole nie brak takich, którzy sądzą, że Kallmann był alkoholikiem, ja jednak nie przypominam sobie, by choć raz zaniedbał swoje obowiązki służbowe z powodu uzależnienia. A przecież tak właśnie robią ci nieszczęśnicy. Nawet jeśli zwykł wypijać kilka kieliszków w samotności, według mnie mało prawdopodobne, że był uzależniony. Nie w taki sposób.

Drugim hobby Kallmanna była kryminologia. Po kilku rozmowach z nim zrozumiałem, że bardzo interesowały go przestępstwa sprzed lat, zwłaszcza te,

których nigdy nie wyjaśniono. Twierdził, że miał krewnego, czy też może dobrego znajomego, który pracował w komendzie głównej do końca lat sześćdziesiątych, kiedy zaginął w nieodgadnionych okolicznościach. Kiedy zapytałem, czy to ta tajemnicza sprawa zaszczerpiła w nim słabość do dawnych zagadek kryminalnych, niepewnie przyznał mi rację. Jednak dopiero rok później, w zasadzie kilka tygodni przed śmiercią Kallmanna, dowiedziałem się, że w tajemnicy zajmował się on wyjaśnianiem przestępstwa popełnionego tutaj, w K. Przestępstwa, o którym nigdy nie dowiedziała się policja. Przyznaję, że zawsze sceptycznie reagowałem na jego insynuacje. A często tylko na nich się kończyło, Kallmann rzadko mówił wprost, zwłaszcza kiedy odnosił się do tego nieodkrytego morderstwa – twierdził bowiem, że właśnie z takim przypadkiem mieliśmy tu do czynienia – łatwo można było uznać, że konfabuluje.

Nigdy jednak nie kwestionowałem jego doniesień otwarcie, nie byliśmy wystarczająco bliskimi znajomymi. Zresztą poza szkołą spotkaliśmy się sam na sam może z sześć razy, wliczając w to ten letni wieczór w parku. Pół tuzina spotkań przez dwa lata to z pewnością za mało, by można było lepiej poznać Eugena Kallmanna.

Zastanawiam się też nad naszą ostatnią rozmową, o której już tyle rozmyślałem, a to nie tylko dlatego, że odbyła się zaledwie kilka dni przed jego śmiercią, ale też z powodu kilku dziwnych wypowiedzi Kallmanna.

Bogiem a prawdą, nie jestem wcale przekonany, czy policja postąpiła słusznie, zamykając śledztwo w sprawie jego śmierci. Nie zdążyłem jeszcze omówić tego z nikim w szkole, ale z pewnością będzie po temu okazja, kiedy zacznie się nowy semestr.

Dość już o Eugenie Kallmannie. Sięgnąłem po listy uczniów, które przesłano mi w zeszłym tygodniu, i zacząłem wpisywać nazwiska do nowego kalendarza. Kiedyś nazywałem go brulionem, ale dziś brzmi to staroświecko.

Zaczynam się starzeć. W listopadzie skończę pięćdziesiąt sześć lat, do emerytury zostanie mi mniej niż dekada. Należę do szóstki najstarszych nauczycieli, choć całe nasze grono jest dość wiekowe. Ostatniej wiosny przed imprezą nauczycielską dla żartu wyliczyłem naszą średnią wieku. Wyszło mi 49,3. Jeśli uwzględnić, że nauczyciele pracują od dwudziestego piątego do sześćdziesiątego piątego roku życia, to medianą powinno być czterdzieści pięć. Maksymalnie, czterdzieści jeden lub dwa wydaje się rozsądniejsze, bo przecież nie wszyscy dają radę pracować do końca. W tym miejscu trzeba jednak podkreślić, że pedagodzy, którzy odpadają przed metą, w pełni zasługują na przebaczenie. Zwłaszcza jeśli pomyśli się, jaką drogę ostatnimi laty obrał system oświaty w Szwecji. Wstyd i hańba.

No ale nie ma co zaczynać nowego roku od narzekania. Ja tam trzymam się metod nauczania, które wypracowałem podczas tych długich i – ośmielę się stwierdzić – całkiem udanych lat spędzonych za katedrą. Do diabła z tymi głupawymi, nowymi wymysłami i pedagogicznymi turboprzodownikami. Nauczyciel to nauczyciel, uczeń to uczeń, a szkoła to szkoła. Tak było, jest i będzie. Po co zmieniać kurs, skoro statek płynie w dobrym kierunku?

4

Ludmilla

Kiedy dziś wróciłam z pracy i zerknęłam w lustro w holu, stwierdziłam, że patrzę zezem. Nie zdziwiło mnie to. Doprawdy trudno o stan większego wyczerpania.

Mam czterdzieści cztery lata i przepracowałam dwa pełne dni. Mogłoby się wydawać, że to wyczyn nieprzekraczający ludzkich możliwości, ale w drodze powrotnej omal nie zjechałam rowerem do rzeki. Jest piątkowy wieczór, wpół do siódmej i gdybym mogła sobie czegoś zażyczyć, to poprosiłabym o pół butelki schłodzonego białego wina i dwanaście godzin snu.

Ewentualnie całą butelkę i piętnaście godzin.

Ja jednak stoję w kuchni i gotuję makaron z sosem. I smażę mortadele, bo na tyle symultaniczności jeszcze mnie stać. Dzieciaki oglądają telewizję, a Klas dzwonił przed chwilą, by powiedzieć, że się spóźni. Cholera jasna, myślę sobie. Jutro urządzamy duże, tradycyjne przyjęcie z okazji rozpoczęcia sezonu na raki i nie mam pojęcia, jak temu podołam. Zapomniałam, że początek pierwszego semestru tak właśnie wygląda. Zapomniałam też, że zawsze o tym zapominam, a potem kończę z tymi przekłętymi czerwonymi skorupiakami w garnku i osiemnaściorgiem gości na karku. W tym roku to samo.

Do tego makaron. Co się stało z moim życiem? Przez chwilę rozważałam,

czy nie zemdleć na podłogę w kuchni, ale nie jestem pewna, czy Måns lub Erik by się tym w ogóle przejęli. Na pewno nie przed końcem bajki, kiedy to zorientowaliby się, że jedzenia jeszcze nie podano.

Jeden ma sześć, drugi osiem lat. Żałuję, że nie mają po dwadzieścia sześć i dwadzieścia osiem i że jeszcze nie wynieśli się z domu. A przynajmniej tego, że nie zdecydowałam się na dzieci wcześniej. Gdybym miała o dziesięć lat mniej, z pewnością byłabym pełna energii, szczęśliwa i seksowna. Ja jednak jestem o trzy lata starsza od Klasa, teraz rozumiem tych zafajdanych reakcjonistów, którzy twierdzą, że kobieta powinna być młodsza. Jeśli Klasa weźmie dziś ochota na bzykanie, powiem, żeby zadzwonił sobie do agencji towarzyskiej.

Dobrze, że nikt nie umie mi czytać w myślach. Szkoda tylko, że ja sama muszę mieć z nimi do czynienia. Do głowy przychodzą mi wszelkiego rodzaju uprzedzenia i prostackie porównania, a niestety nasila się to z wiekiem. W pewnym sensie byłam bardziej ułożona w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy chodziłam na demonstracje, paliłam flagi i rzucałam jajkami. Wtedy przynajmniej stała za tym jakaś myśl przewodnia, jakaś ideologia, choć okazała się mieć więcej słabych stron, niż można było wówczas przypuszczać. Gdzie jednak podziała się cała moja empatia i moje wartości, kiedy myślę: ty przebrzydły tłuściochu, wracaj do domu i weź się do odchudzania!, tylko dlatego, że jakaś kobieta zachodzi mi drogę na chodniku?

Oczywiście nie jest tak, że te myśli zostają mi w głowie. Zbijam je natychmiast stosowniejszymi i po cichu proszę o przebaczenie, jeśli akurat w polu rażenia znalazł się jakiś bliźni. A najczęściej tak właśnie jest. Nie ma sensu denerwować się na zwierzęta lub rzeczy, na człowieka – owszem.

Może ma to związek z moją pracą. Kiedy jesteś pedagogiem szkolnym w gimnazjum, ludzie oczekują od ciebie opanowania i empatii. Liczą, że wykazesz zrozumienie dla najniższych pobudek nastolatków, że nigdy nie

będziesz osądzać, jedynie opatrzysz rany plastrem łagodności i zdrowego rozsądku. Że staniesz się zastępczym rodzicem i dobrym dorosłym. Poradzisz, wysłuchasz, przede wszystkim wysłuchasz, i to nie tylko słów padających z ust młodych ludzi, ale i ich niemego wołania o pomoc. Wyłuskasz je i z największą ostrożnością wydobędziesz na światło dzienne. Bo młodzi zawsze krzyczą lub przynajmniej wołają: Zauważ mnie! Wysłuchaj mnie! Ztroszcz się o mnie! Zrozum mnie! Pomóż mi! Pokochaj mnie!

Lubię ten zawód. I jestem w nim dobra. To dlatego zmieniłam ścieżkę. Kiedy najpierw przez pięć lat pracowałam jako nauczycielka, i tak byłam bardziej duszpasterzem niż pedagogiem. Dostrzegłam to nie tylko ja i moi uczniowie, ale i nasz dyrektor – stary lis Willenius. Wziął mnie na dywanik i oznajmił, że ma zamiar przenieść mnie na etat pedagoga szkolnego, na którym mam zastąpić nienadającego się do niczego Svantessona. Kiedy zauważyłam, że nie mam odpowiedniego wykształcenia, wzruszył tylko ramionami i stwierdził, że z takim szczegółem jakoś sobie poradzi. Taki właśnie był nasz Willenius. I tak oto po pięciu latach, kiedy to brakowało mi kwalifikacji, wystarczyło jakieś sto wieczorów poświęconych na studia zaoczne, bym uzyskała odpowiednie uprawnienia. System edukacji to specyficzny świat, w którym niejedno da się zaciemnić, a w tym Willenius był mistrzem. Kiedy odszedł, okazało się, że szkoła ma konto „na nieprzewidziane wydatki”, a na nim milion koron. Nie wiedział o nim nikt poza Willeniusem.

Jakoś więc dojdę do siebie i w tym semestrze. Kiedy tylko będę miała za sobą to przyjęcie i wreszcie się wyśpię. Na razie lekcje jeszcze się nie zaczęły, uczniowie pojawią się w szkole w poniedziałek, a wtedy wszystko trochę wróci do normy. Początkowi roku szkolnego zawsze towarzyszy aura fałszywego optymizmu. Grono pedagogiczne jest opalone i pełne entuzjazmu, nauczycielki języków mają nowe fryzury i akcesoria, wuefista Hämlin stara się wyglądać niczym olimpijczyk, a Uffe od techniki paraduje w szortach

i klapkach. Zapewne w połowie przyszłego tygodnia wszystko znów będzie jak zwykle.

Mamy cztery nowo zatrudnione osoby. Jedną z nich jest Leon Berger. Ma objąć posadę po Kallmannie, a nie jest to doprawdy łatwe zadanie. Kallmann był czubkiem (no proszę, i znów ot tak sobie rzucam zniewagą!), ale uczniowie byli w niego zapatrzeni. Jego śmierć bynajmniej tego nie zmieniła, tuż przed końcem roku słyszałam, że są plany, by na szkolnym dziedzińcu postawić jego pomnik. Być może teraz, jesienią, uczniowie podejmą tę propozycję. Zdaje się, że stoją za tym Sigge Sundberg i Malin Krotowska oraz ich poplecznicy – to przecież one są naszą awangardą. Zresztą, czemu nie postawić mu pomnika? Kallmann z pewnością doceniłby, gdyby jego podobizna stanęła gdzieś pomiędzy masztem na flagę a budynkiem „B”.

Nie sądziłam, że Leon weźmie moją propozycję pod uwagę. Nie żebym wtedy na przyjęciu nie mówiła poważnie, powiedziałam to jednak pod wpływem chwili i wina. Lubiłam go na studiach i gdyby nie był w tamtym czasie z tą swoją Heleną, która teraz zginęła, to kto wie, może zaczęlibyśmy ze sobą kręcić. W każdym razie może poszlibyśmy do łóżka na próbę, pamiętam, że na jednej czy dwóch imprezach byliśmy tego całkiem blisko.

Minęło jednak trochę czasu i sama nie wiem, co o tym myśleć. Leon nie jest w najlepszym stanie; może i różne głupoty przychodzą mi do głowy, kiedy gotuję rodzinie makaron, ale pewnie postradałabym zmysły, gdyby Klas z dziećmi zaginęli. Poniekąd rozumiem więc Leona. Helenę spotkałam jedynie przelotem, raz czy dwa w Uppsali. Skoro jednak byli ze sobą dwadzieścia lat, to musiało ich łączyć coś poważnego. Ja dla odmiany spotkałam Klasa późno, ale wciąż go mam. Moi znajomi, którzy związali się z kimś w latach siedemdziesiątych, w większości już się rozwiedli. Któraś z nauczycielek, chyba Lisa Fransson, oznajmiła zeszłej wiosny, że sprawdziła,

jak to jest w jej klasach, i okazało się, że nieco ponad trzydzieści procent uczniów mieszka w obojgiem biologicznych rodziców. Ot, obraz życia we dwoje w dzisiejszych czasach.

Wolę nie myśleć, co to oznacza dla przyszłości mojej i Klasa. Jeśli jednak zdradzi mnie z tą dziwką Carolą od siebie z pracy, zabiję.

Trudno zdecydować, które z nich bym zatłukła. Może oboje, jeśli już komuś trafia się okazja, by wydać salomonowy wyrok, to trzeba z niej korzystać.

W czasie tych ostatnich zebrań w szkole nie miałam okazji dłużej pogadać z Leonem. Umówiliśmy się jednak, że w przyszłym tygodniu pójdziemy do restauracji. Skoro już go tutaj ściągnęłam, to nie mogę go tak teraz zostawić. Kiedy o tym myślę, czuję lekkie mrowienie w środku, ale wypieram je tak, jak to robię z moimi niezrównoważonymi, natrętnymi myślami. Tak czy inaczej, takie wyjście oznacza wieczór bez dzieci i obowiązków. Może nie jakieś tam mecycje, ale jednak.

Muszę oczywiście opowiedzieć Leonowi o Kallmannie. Zapewne już ze wszystkich możliwych stron doszły go słuchy o całej historii, ale ważne, żeby jakoś to wyprostować. W końcu odbyłam z Kallmannem dwie prywatne rozmowy – obie w ostatnim semestrze – i wydaje mi się, że wiedziałam o nim nieco więcej niż inni. Jako pedagog zajmuję się naszą młodzieżą i jej problemami – tymi chwilowymi i tymi poważniejszymi – lecz moi koledzy od czasu do czasu też zagląдают do mnie do gabinetu. Zwłaszcza mężczyźni. I ja, i oni zdajemy sobie sprawę, że tego typu wizyty wykraczają poza moje obowiązki, mimo wszystko powierzone mi tajemnice pozostają między nami. Zdarza się, że te rozmowy mają lekki podtekst erotyczny – ci sfrustrowani faceci jakby wypierali chęć przespania się ze mną – nie mogę jednak powiedzieć, żeby mi to przeszkadzało. Ot, umacnia moje poczucie wartości, a przecież do niczego nigdy nie dochodzi.

Kallmann, rzecz jasna, nie przejawiał niczego takiego w zachowaniu. Kiedy

teraz myślę, o czym wtedy rozmawialiśmy, aż jestem zaskoczona, że w zasadzie tak mało sobie powiedzieliśmy. I tak trudno jest oddać treść tych rozmów w rozsądny sposób. Otaczała go w końcu aura tajemniczości, był swego rodzaju zagadką, zwłaszcza poza ścianami mojego gabinetu, kiedy wcielał się w swoją codzienną rolę nauczyciela. Potrafił być bardzo zaangażowany, a jednocześnie dziwnie zdystansowany. Miało się wrażenie, że porusza się z nim tylko sprawy istotne, nie cierpiał paplaniny i pustych konwersacji, a mimo to on sam był w tej rozmowie jakby nieobecny. Nie umiem jasno tego nazwać, ale podczas obu naszych spotkań dała się zauważyć pewna jego cecha, na którą wcześniej nie zwróciłam uwagi. On po prostu czuł potrzebę, by ze mną porozmawiać. Coś go do tego pchało, było coś, co obchodziło wkoło, ale zanim miałam okazję się zorientować, do czego zmierzał, zginął. Pluję sobie w brodę, że nie byłam bardziej dociekliwa i nie skłoniłam go do nazwania rzeczy po imieniu, ale teraz i tak już nic nie zmienię. Staralam się po prostu uszanować jego prywatność, jeśli nie chciał o czymś mówić, to nie było po co go do tego zmuszać. Jestem pewna, że każdy ma nieco inne wyobrażenie o Eugenie Kallmannie i jego śmierci. Ja sama nie wiem, co powinnam opowiedzieć Leonowi Bergerowi. Może wystarczy, jeśli sprostuję niektóre z tych najbardziej nieokiełznanych plotek. Zobaczymy.

Tak na marginesie, właśnie się okazało, że Carola nie przyjdzie na nasze przyjęcie sama. Będzie z nią jej nowy chłopak Ulf. Chwilowo nastrój bardzo mi się poprawił.

5

Leon

Najgorsze jest to, że od czasu do czasu ją widzę. Młodą dziewczynę w tłumie albo mijającą mnie na rowerze. Kiedy jeszcze byłem w Sztokholmie, moją uwagę przykuwały też ciemne włosy gdzieś w drugim końcu wagonu lub na schodach ruchomych.

Najczęściej widziane z tyłu, ewentualnie z boku z ledwie uchwytnym profilem. A ja za każdym razem jestem na to nieprzygotowany. Judith! Rozlega się we mnie nieme wołanie, otwieram usta, ale za każdym razem na tym się kończy. Mam wrażenie, jakby zapierało mi wtedy dech w piersiach. Nigdy nie wołam jej imienia, choć pewna część mnie jest przekonana, że to naprawdę ona. Jest to jednak drobna, jakby niezauważalna część mnie, część, która wykazuje się brakiem logiki, atawizmem i szaleństwem opartym na myśleniu magicznym: jeśli zamknę oczy i policzę do dwudziestu ośmiu, a ona nadal tam będzie, to jest to Judith... jeśli wysiądzie na następnej stacji... jeśli za tym rogiem skręci w prawo... jeśli złożę ręce i zdążę powiedzieć całe *Ojcze nasz*, zanim ona się odwróci...

Potem serce potrafi mi walić przez dobrych kilka minut. Tak samo jest, kiedy spotykam ją we śnie. Budzę się zlany zimnym potem, z wysokim tętnem. Nigdy jednak nie śniło mi się, że Helena żyje. To chyba jasny znak?

Z pewnością coś to oznacza, zgodziła się moja terapeutka.

Najprawdopodobniej jednak nie to, co byś chciał. Nie to, że Judith żyje.

Tutaj w K. pierwszy raz zobaczyłem ją kilka dni temu na dziedzińcu szkolnym. Stałem przy oknie w swoim gabinecie na piętrze, a ona wyszła głównymi drzwiami z grupą dziewczyn, pięciu, może sześciu. Tym razem nie tylko ciemne włosy były jej, ale i cienki podkoszulek oraz znoszone dżinsy. Na sekundę pociemniało mi przed oczami, stłumiłem wołanie i wpiłem się palcami we framugę, czekając na Bóg wie co. Na to, że odwróci się do mnie i zawoła? Na to, że zemdleję i ktoś będzie musiał mnie cucić? Na to, że moje życie albo przynajmniej moja świadomość raz na zawsze rozpadnie się, tworząc chmurę wirującego konfetti, które przez resztę czasu, jaki mam spędzić w murach tej szkoły, będę się starał posortować i poukładać?

Rzecz jasna nic takiego się nie stało. Do pokoju wszedł inny nauczyciel, którego imienia jeszcze nie zapamiętałem, i zapytał, czy nie widziałem Hansa-Ivara Möllera. Nie widziałem. Po chwili wszystko wróciło do normy. Usiadłem na swoim stanowisku, które odziedziczyłem po moim poprzedniku Kallmannie, i wróciłem do prób uporządkowania różnych spraw. Z jakiegoś powodu nikt nie zadał sobie trudu, by uprzątnąć należące do Kallmanna biurko, szuflady i regał. Zapytałem siedzącą obok Ellen Moerk, również uczącą szwedzkiego, co się za tym kryło. Jak mi objaśniła, dyrekcja uznała, że wśród książek, teczek i notatek Kallmanna mogą znajdować się materiały, które przydadzą się jego następcy. Chodziło, zdaje się, o kwestie związane z dydaktyką. Może też było tak, że tuż po śmierci Kallmanna policja prosiła, by niczego nie ruszać ze względów technicznych, a potem wszyscy o tym najzwyczajniej w świecie zapomnieli. Nikt się tym nie zajął. Wiem przecież, jak to z reguły wygląda w szkole?

Owszem, wiedziałem. Ellen Moerk wydaje się sympatyczna. Razem jest tu nas – nauczycieli szwedzkiego – czworo i dzielimy jeden gabinet. Wszystko jest w nim poukładane i praktycznie zaaranżowane – mamy tu zgromadzoną

większość literatury, zestawy podręczników oraz wszystkie materiały dydaktyczne. W naszym kwartecie, że się tak wyrażę, panuje przyjazna, zespołowa atmosfera. Oczywiście na razie mogłem zaobserwować jedynie to, co widać na powierzchni. Jest to jednak powierzchnia spokojna, a to oznacza całkiem udany początek. Mamy wspólny ekspres do kawy i na zmianę kupujemy wafelki bądź sucharki dla wszystkich, w ten sposób oszczędzając sobie konieczności zbiegania na przerwach do dużego pokoju nauczycielskiego po przekąski dostarczające energii niezbędnej przed każdą kolejną lekcją. „Kawa, jedyny ratunek dla zmęczonych ludzi” ¹, jak pisał Chandler.

Pozostała dwójka nauczycieli to Kristina Eriksson i Hans-Ivar Möller. Kristinie został tylko rok do emerytury, Hans-Ivar i Ellen są chyba w moim wieku, w każdym razie mają pomiędzy czterdzieści a pięćdziesiąt lat, choć nie pytałem. Gdybym tylko mógł uporać się z moją traumą, na pewno czułbym się dobrze w tym towarzystwie i nowym otoczeniu, w jakim się znalazłem.

Czemu jednak miałbym się z nią uporać? Po co nawet tego chcieć? By być prawdziwym człowiekiem, trzeba umieć przeżyć swoje. Zdaje się, że to Lars Ahlin ² pisał o tym w swojej ostatniej książce. No proszę, w zaledwie minutę na myśl przyszedł mi i Chandler, i Ahlin. Jak to człowiek szuka wsparcia.

Tego samego popołudnia doszedłem do tego, że dziewczyna od tyłu i z profilu przypominająca Judith, ta, którą widziałem przez okno, nazywa się Andrea Wester. Chodzi do dziewiątej klasy, którą też przejąłem po Kallmannie. Muszę naprawdę uważać, by zachować dystans, bo nawet kiedy Andrea siedzi w ławce w głębi sali przy oknie, jej podobieństwo do Judith jest tak uderzające, że przyprawia mnie o szybsze bicie serca.

Któregoś wieczora spotkałem się z Ludmillą Kovacs. Prawie trzy godziny spędziliśmy w La Commedia, włoskiej restauracji przy rynku, która okazała się zaskakująco miłym miejscem. Nie licząc budki z kielbaskami, wieczorem w K otwartych jest najwyżej sześć knajp, z czego dwie to proste pizzerie,

gdzie nikt rozsądny nie usiądzie, żeby zjeść. Każdy odbiera karton ze swoim zamówieniem i zawstydzony czmycha do domu pod osłoną mroku. Ja wypróbowałem obie z tych pizzerii, żadna nie jest gorsza od drugiej.

Poza Commedią jest jeszcze główny hotel, restauracja chińska oraz hotel dla wodniaków nad jeziorem, rzecz jasna czynny tylko w sezonie. Jak dotąd nie odwiedziłem żadnego z tych przybytków, Ludmilla zresztą ostrzegła mnie, że nie warto. Według niej, jeśli miało się ochotę na przyzwoity posiłek i coś do popicia, lepiej było podjechać do Ö. Albo pójść do Commedii. Nie spotkaliśmy się jednak, żeby dyskutować o lokalach gastronomicznych, w których mógłby się stołować pogrążony w żałobie wdowiec. Od początku odniosłem wrażenie, że Ludmillę trochę dręczy sumienie, ponieważ zwabiła mnie do K. i jakoś nie bardzo wiedziała, jak sobie poradzić z tym brzemieniem. Dopiero po trzech kwadransach i butelce montepulciano przestała przeproszać za wszystko, co dzieje się w mieście. Wtedy w końcu rozpoznałem Ludmillę, z którą studiowałem. Jowialną, wściekłą i silną, mówiąc dosadnie. Tak to wygląda, kiedy czerwone wino pomiesza się z czerwoną krwią; nagle poczułem, że chciałbym się upić, upić jak należy, razem z nią. Tak po młodzieńczemu, nieodpowiedzialnie, jak to robiliśmy dawno temu, kiedy życie wciąż miało w sobie ten kuszący bezmiar możliwości, marzeń, nadziei i wszystkiego, co pod wpływem alkoholu przyszło nam do naszych lewackich głów. Od tamtych chwil minęły jednak dwie dekady, był środowy wieczór w miasteczku K., nazajutrz czekał nas dzień pracy, ona była matką dwójki dzieci, ja świeżo upieczonym wdowcem. Dlatego też mój szalony impuls z poczuciem winy sam schował się do uporządkowanej szafy opamiętania.

Ludmilla pracuje jako pedagog szkolny, ponoć mówiła mi o tym, już kiedy się spotkaliśmy w maju w Sztokholmie, choć ja sobie tego nie przypominam. Gdzieś – chyba u Sebalda – czytałem, że smutek zjada pamięć. Trafne

spozrzenie. Zwłaszcza na początku, w styczniu i lutym, zdarzały mi się całe dni, które zapomniałem, nie umiałem sobie przypomnieć, co robiłem, gdzie byłem, z kim rozmawiałem. Dzieje się tak oczywiście dlatego, że nie zapamiętujemy rzeczy bez znaczenia, a wobec tego, co spotkało Helenę i Judith drugiego stycznia u wybrzeży Tanzanii, wszystko, dosłownie wszystko było bez znaczenia.

W każdym razie Ludmilla powiedziała mi teraz, że przez kilka lat świetnie odnajdywała się jako nauczycielka, ale w tej roli czuła się coraz bardziej niespełniona. Problemem był czas, te pojedyncze minuty, wręcz sekundy, które człowiek może poświęcić każdemu uczniowi, kiedy ma ich dwadzieścioro pięcioro, trzydzieścioro na jednej niezbyt długiej lekcji. To jakby aplikować plaster na złamanie kości, stwierdziła, albo leczyć psychozę sprayem do ust. Dobrze, następna osoba, dobrze, następna osoba... Zaśmiałem się, bo brzmiało to aż nadto znajomo, nie mogłem się z nią nie zgodzić. Jako pedagog szkolny Ludmilla miała szansę dotrzeć pod tę lekko wzburzoną powierzchnię, odczytać te ledwo widoczne sygnały SOS, które tak trudno wychwycić i zrozumieć w klasie, właśnie przez brak czasu. Myślę, że ja byłbym kiepskim pedagogiem szkolnym, a w moim obecnym stanie wręcz fatalnym, potrafię jednak doskonale zrozumieć, co kierowało Ludmillą, kiedy zmieniała rolę w tym przedziwnym świecie pedagogiki. Sprawna ekipa dogłądająca dobrego samopoczucia uczniów jest na wagę złota, a Ludmilla i szkolny psycholog Herman Kling stanowili wybitnie efektywny duet.

Rzecz jasna, kiedy tak siedzieliśmy w Commedii, dużo czasu zajęły nam szkolne plotki i tak, krok po kroku, doszliśmy do tego trudnego tematu, którego wszyscy starali się unikać: mojego poprzednika Eugena Kallmanna.

Zginął w maju, a jego śmierć była ponoć osobliwa, ale zdaje się, że i jego życie można określić podobnym epitetem. Przez dwadzieścia lat pracy w gimnazjum naturalnie spotkałem ekscentrycznych kolegów, i to różnego

sortu, płci obojga. Niewiele jest zawodów, których przedstawiciele mogą sobie pozwolić na tyle dziwactw co nauczyciele. Każdy pewnie trafił w swoim życiu na półszalonych pedagogów, których lekcje pamięta się niemal jak pobyt w wojsku, choć po latach myślimy o nich z pewną pobłażliwością, a wręcz uśmiechamy się na ich wspomnienie. Mówi się, że ten gatunek jest już na wymarciu, ale ja nie byłbym tego taki pewien. Chodzi raczej o to, że w dzisiejszych czasach szaleństwo to jest bardziej oszlifowane, subtelniejsze, ma nieco przycięte skrzydła, choć najwidoczniej nie jest tak w przypadku Kallmanna.

To znaczy nie było. Rozmawialiśmy o nim chwilę i Ludmilla uznała, że jeśli ktoś pasował do takiej menażerii szkolnych wyg, to był to właśnie Kallmann.

A jak twierdziła, znała go nieco lepiej niż inni. Podkreśliła jednak, że nie znaczyło to bynajmniej, iż go rozumiała. W tym momencie doszedłem do wniosku, że wiedziała o nim więcej, niż chciała przyznać. Przynajmniej więcej, niż chciała mi zdradzić tego wieczoru. Może i jego objęła swym nadzorem pedagog szkolnej i obowiązywała ją, pisana czy nie, tajemnica zawodowa; a może po prostu szanowała jego prywatność. Ot, zwykła dyskrecja. Nie wiem, ale mówiła o nim z pewnym wahaniem i powściągliwością, odniosłem wręcz wrażenie, że chodzi o jakieś tabu lub sekret, którego nie należy tykać, budzić. Może jednak przesadzam, czerwone wino sprawia, że w tak straumatyzowanym umyśle jak mój myśli tańczą jak szalone.

Uczniowie jednak lubili Kallmanna, jak z naciskiem zaznaczyła Ludmilla. Zapytałem, czy wie, jak Kallmann zachowywał się w klasie, co takiego wyróżniało go jako nauczyciela.

– Pytasz o jego metody nauczania?

– Owszem, możemy tak to nazwać.

Przez chwilę się zastanawiała.

– Nieortodoksyjne – odparła w końcu. – Wszyscy o tym wiedzieli.

O dziwo, kiedy raz zaczęliśmy o nim rozmawiać, Ludmilla jakby nie mogła skończyć, mimo tego wyczuwalnego wahania. Wspomniała, że w ostatnich latach Kallmann uczył tylko szwedzkiego, który to przedmiot najwidoczniej był jego konikiem. Pewnie dlatego, że w dziewiątej klasie materiał obejmował prawie wyłącznie historię literatury.

– O tym też wszyscy wiedzieli – dodała Ludmilla. – Dla niego liczyły się tylko teksty, teksty i jeszcze raz teksty. I to nie były jakieś, te autorstwa wielkich twórców wszystkich stuleci: Homera, Dantego, Cervantesa... oczywiście Szekspira, Balzaka, Dostojewskiego i Kafki. No i szwedzkich pisarzy: Strindberga, Lagerlöf, Söderberga i tak dalej. Ach, i naturalnie Södergran i Boye też.

Uśmiechnąłem się. Nie jest tajemnicą, że kiepski nauczyciel szwedzkiego potrafi pograć nawet najlepsze dzieła. Nagle przypomniał mi się fragment, który czytałem w starym „Magazynie dla Nauczycieli Języka Ojczystego”.

– „Nie da się zliczyć młodych czytelników, którzy na zawsze zniechęcili się do literatury, brnąc przez opisy sianokosów u Strindberga bądź *Wyspy szczęścia* Atterboma”... – zacytowałem z pamięci i Ludmilla się zaśmiała.

– Tak na pewno nie było w przypadku Kallmanna – zapewniła. – W żadnym razie, on potrafił tchnąć życie w stare teksty, sprawić, że stawały się zrozumiałe i interesujące dla piętnasto- i szesnastolatków. Rok po roku, semestr po semestrze.

Ludmilla opowiadała, że czytała pisane na jego zajęciach prace roczne, które zaliczono by nawet na uniwersytecie.

– Miałaś więc w rękach wypracowania jego uczniów?

– Zdarzało się. To jednak nie on mi je dawał, a oni. Czasami jego uczniowie wystawiali sztuki w szkolnej auli – dodała Ludmilla. – Na przykład Albeego lub Becketta, ale to Kallmann nad tym czuwał. Tradycją było też, że

na zakończenie roku recytowali wiersze wielkich skandynawskich poetów. Najchętniej przy akompaniamencie muzyki, czasami sam Kallmann przygrywał im na gitarze klasycznej. Krążyła plotka, że jako nastolatek marzył o karierze profesjonalnego muzyka, ale plany pokrzyżował mu uraz palca. O Kallmannie krążyło zresztą wiele plotek. Na ostatnim zakończeniu szkoły, kiedy Kallmann już nie żył, jeden z uczniów wyrecytował utwór, który zmarły ponoć napisał za młodu. Nikt nie mógł powstrzymać łez.

– Rozumiem więc, że oczekiwania wobec mnie są wysokie? – zapytałem.

Ludmilla się uśmiechnęła.

– W pewnym sensie. Zawsze łatwiej jest być następcą jakiegoś biednego nieudacznika.

– Z pewnością – odparłem. – W każdym razie udało mi się przetrwać trzy dni i nie zaliczyłem żadnej katastrofalnej wpadki. Zresztą po Kallmannie objąłem tylko dwie klasy. W zeszłym semestrze doprowadził do końca dwie dziewiąte, prawda?

– Doprowadziłby, gdyby nie zginął – sprostowała Ludmilla, podnosząc kieliszek z winem. – Wznieśmy za niego toast. Za twój przyjazd tutaj też. Gdyby nie śmierć Kallmanna, tkwiłbyś teraz w tym sztokholmskim bagnie.

– Zgoda. Za pamięć Eugena Kallmanna i moją przyszłość.

Trochę sobie żartowaliśmy, ale mimo to zawisł nad nami cień jakiejś złowróznej powagi.

Wypiliśmy i przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– W tej historii tyle jest dziwnych szczegółów – dodała Ludmilla. – Na przykład jego testament.

– Testament? Nic o tym nie słyszałem.

Mówiąc dokładniej, w ogóle niewiele słyszałem o śmierci mojego poprzednika. Wiem, że spadł z wysokości trzech metrów ze schodów w tak zwanym Niemieckim Domu i złamał kark. Miało to miejsce w środku nocy

z siedemnastego na osiemnastego maja. Nie doszukano się udziału osób trzecich.

– Owszem. Spisał testament – potwierdziła Ludmilla. – Nie miał kto po nim dziedziczyć, Kallmann nie miał dzieci ani żony, więc jeśli osoba wymieniona w testamencie się nie pojawi, wszystko przejdzie na skarb państwa.

– A kto miałby się pojawić?

– Ktoś o nazwisku Boris Yann Keller. To jemu Kallmann zapisał swój majątek. A ten cały Keller ma na zgłoszenie się równo rok, licząc od osiemnastego maja... Problem w tym, że nikt nie wie, kto to jest.

– Boris Yann Keller?

– Tak.

– Nietypowe imię.

– Tak, może zmyślane.

– Dlaczego zmyślane?

– Kallmann taki właśnie był. Lubił granicę między rzeczywistością a fikcją. Może się jednak myłę.

– A szukali tego Kellera?

Ludmilla wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Zapewne, nie jest to jednak niczyja odpowiedzialność. Testament spisano wiele lat temu. To jeden z miejskich adwokatów jest... jak to się nazywa – wykonawcą testamentu?

Przytaknąłem. Przez chwilę się zastanawiałem, po czym zapytałem, czy w testamencie wymienione jest też stojące w szkole biurko Kallmanna.

Ludmilla się zaśmiała.

– Nie sędzę. A dlaczego pytasz?

– Bo nikt nie zadał sobie trudu, żeby je opróżnić. Zarówno biurko, jak i regały wciąż są pełne. I jest w nich sporo rzeczy.

– Ach tak, podejrzewam, że możesz z tym zrobić, co chcesz. Potrzebujesz

pewnie trochę przestrzeni dla siebie, a podejrzewam, że Kallmann nie należał do tych, co sprzątaję po każdym semestrze, czy mam rację?

– Masz – przyznałem. – Znalazłem nawet testy z 1988 roku, których najwidoczniej nie oddał studentom. Tylko trzy, ale leżą na samym wierzchu jednej ze stert. Nie zacząłem jeszcze przeszukiwać szuflad.

– Jeśli będziesz potrzebował worków na śmieci, na pewno możesz je dostać od Nilssona.

– Nilssona?

– To nasz woźny. Nie spotkałeś go jeszcze?

– Nie wiem. Może.

– Nawet jeśli nie, nie ma czego żałować. To kłótniwy drań. Do tego pijaczek, jak sędzę. Kiedyś grał w najlepszej drużynie futbolowej w mieście i o ile wiem, to jego jedyna zasługa w życiu. Kilka lat temu miał sprawę o pobicie.

– Ucznia?

– Nie, nauczycielki. Młodej praktykantki. Powiedziała mu wprost, co o nim myśli, a on jej przyłożył. Zgłosiła to na policję, chociaż później wycofała skargę.

– Dlaczego? Czemu zmieniła zdanie?

Ludmilla chwilę się zastanawiała.

– Nie jestem pewna. Chyba jednak jakoś się dogadali, on musiał ją przeprosić na zakończeniu roku przed wszystkimi nauczycielami i uczniami. To była... cóż, w pewnym sensie jej zemsta na nim. Całkiem trafiona.

– Rozumiem.

Rzeczywiście rozumiałem. Woźny choleryk to swego rodzaju tradycja w każdej szkole. A jeśli nawet trafi się jakiś, który na początku jest spokojny, to z biegiem lat robi się awanturniczy. Bo to na jego głowie prędzej czy później ląduje cały brud, wszystkie bazgroły, zniszczenia, młodzieńcze

frustracje, odstręczające toalety oraz wszelkiego rodzaju akty sabotażu. Przypomniałem sobie, co powiedział jeden z takich raptusów w mojej szkole w Sztokholmie, kiedy wygłaszał zainspirowaną alkoholem mowę dziękczynną (dostał od nas laskę ze srebrnym uchwytem): „Do diabła, sprzątałem po waszych cholernych bojach przez trzydzieści lat. Gdybym jutro, przechodząc obok, zobaczył, że szkoła stoi w płomieniach, to nawet nie zadałbym sobie trudu, by nasikać na ogień. Dzięki”.

Opowiedziałem tę anegdotę Ludmille, która wybuchła śmiechem. Pomyślałem, że to jednak swego rodzaju przyjemność tak siedzieć w restauracji z piękną, radosną kobietą. Swego rodzaju przyjemność, nic więcej.

Z Commedii wyszliśmy o jedenastej. Oboje byliśmy nieco podpici, a przez tych kilka godzin rozmawialiśmy niemal o wszystkim, oczywiście najwięcej o szkole, nie poruszyliśmy tylko jednego tematu: Heleny i Judith. Chociaż kiedy się rozstawaliśmy na jednym z mostów nad rzeką, Ludmilla położyła mi rękę na ramieniu i odezwała się tym spokojnie poważnym tonem, który pojawia się, kiedy rozmowa bądź spotkanie okazują się o wiele bardziej udane, niż się spodziewaliśmy. Ludmilla chyba też odniosła takie wrażenie, choć może tylko to sobie wmawiam. W każdym razie powiedziała:

– Następnym razem porozmawiamy o śmierci i tęsknocie. Dobrze?

Wtedy ją pocałowałem. Zastanawiałem się nad tym tylko przez ułamek sekundy, zapewne powinienem dłużej. Z drugiej jednak strony niewiele by to zmieniło, a poza tym ona wcale mnie nie powstrzymywała.

Wcale a wcale.

Potem patrzyliśmy na siebie przez chwilę, po czym rozeszliśmy się bez słowa. Być może przyjemność, swego rodzaju przyjemność, ma wiele twarzy. Lub masek. Czyżbym balansował na granicy prawdy i fikcji?

6

Andrea

W piątek na geografii zaczęliśmy przygotowywać w grupach duży projekt dotyczący krajów bałtyckich. Będziemy się nim zajmować. Miałam cholerne szczęście, a może po prostu nie doceniałam Birgersson, bo to ona decydowała o składzie grup. Mnie przydzieliła do Emmy, Ivana i Charliego. Przypadła nam w udziale Finlandia. Przez sześć lekcji w tygodniu możemy robić, co chcemy, nie musimy nawet być wtedy w szkole. Wyniki pracy mamy zaprezentować – ustnie i pisemnie – na koniec października. Pojęcia nie mam o Finlandii, wiem tylko, że Finowie to świetni narciarze i że chleją na umór, ale Charlie, który przewodzi naszej grupie, na pewno sobie poradzi. Ma tak rozległą wiedzę, że mógłby już na jutro zrobić czterdziestopięciminutową prezentację o Suomi, gdyby ktoś mu kazał. Lecz nie tylko dlatego cieszę się ze składu mojej grupy. Po prostu to najlepszy kwartet, jaki można sobie wyobrazić w naszej klasie.

Charlie wrócił do tematu wywiadu ze mną, ale powiedział tylko, że potrzebuje jeszcze kilku tygodni. Najpierw musi zgromadzić trochę materiału. Zabrzmiało to tak tajemniczo, że nie chciałam nawet dopytywać, co miał na myśli.

Emnę da się za to zrozumieć bez problemu. Odkąd wróciła z Argentyny, spotykałyśmy się praktycznie codziennie, zarówno w szkole, jak i poza nią. Po

prostu do siebie pasujemy. Nie musimy bez przerwy mówić sobie, jak to świetnie wyglądamy i jakie jesteśmy mądre. Anna, Malin i Sara poświęcają na takie farmazony cały czas. Ja i Emma nie zaprzątamy sobie nawet głowy obgadywaniem ich i całej reszty i całkiem nam z tym dobrze.

Gadamy za to o seksie, bo Emma w Argentynie przespała się z chłopakiem. Niestety ze swoim kuzynem, więc nie było jakoś super ani za pierwszym, ani za drugim razem. Zresztą za drugim razem pękła gumka, ale jakoś im się upiekło. Okres spóźniał się jej przez tydzień, ale w końcu się pojawił, wcześniej jednak Emma zdążyła przyrzec Bogu, że pójdzie do klasztoru, jeśli tylko oszczędzona jej będzie ciąża.

Jest wierząca i to mocno, w dodatku sama z siebie. Jak mówi, wszyscy w jej rodzinie to zatwardziali ateści i właściwie poza mną nikomu nie przyznała się, że jest chrześcijanką. Dla niej liczy się przede wszystkim jej relacja z Bogiem. Nie z mamą, ojczymem, trójką przyrodniego rodzeństwa i resztą ludzkości.

Ja osobiście nie pojmuję kwestii wiary. Jeszcze nie, ale może kiedyś się to zmieni. Rozumiem za to doskonale, że człowiek musi wytyczyć granice w swoich relacjach z rodziną. Opowiedziałam Emmie mój sen o wodospadzie. O tym, że właściwie nie przejęłabym się, gdybym nagle została całkiem sama. Emma świetnie mnie zrozumiała. Czyta dużo poezji i kiedy mówiłam jej o śnie, a akurat siedziałyśmy u niej w pokoju, pokazała mi ustęp z Gunnara Ekelöfa: „Wierzę w człowieka samotnego, który wędruje w pojedynkę, nie biegnąc jak pies za tropem”.

Otóż to, według mnie tak powinno być. Poczucie prawdziwej wspólnoty może się zrodzić tylko między naprawdę samotnymi duszami.

Teraz już nie jestem pewna, czy rzeczywiście tak jest, ale brzmi niezłe. Chyba przytoczę ten cytat w następnym liście do Callego. Tak żeby wiedział, z jakim typem człowieka ma do czynienia.

I chyba właśnie przez potrzebę samotności jestem tak zadowolona ze składu naszej grupy projektowej. Bo jeśli mamy jakiś wspólny mianownik – ja, Emma, Charlie i Ivan – to jest nim indywidualizm i zamiłowanie do izolacji.

Kiedy któregoś dnia rozmawiałam o rodzinie, Emma powiedziała, że jest rozdarta. Tu, w Szwecji, ma mamę i trójkę przyrodniego rodzeństwa, a w Argentynie tatę i też trójkę przyrodniego rodzeństwa. Jej rodzeństwo z Argentyny nigdy nie spotkało rodzeństwa ze Szwecji. Gdyby nie Emma, nie byłoby między nimi żadnego związku.

– Rozumiesz więc, jak istotna jestem dla świata – powiedziała ze śmiechem. – Ode mnie zależy związek między Szwecją i Argentyną.

Odparłam, że ja dla odmiany należę do tej mniejszości, która żyje z obojgiem biologicznych rodziców. W każdym razie w tym kraju wydaje się, że to mniejszość.

– A skąd ta pewność? – zapytała Emma po chwili.

– Co?

– Skąd wiesz, że twój tata to naprawdę twój tata? Wybacz, że to mówię, ale nie jesteście do siebie zbyt podobni. To znaczy...

Zamilkła, chyba pożałowała, że zaczęła ten temat, ale jak już się powie A, trzeba powiedzieć i B.

– Co masz na myśli? – cisnęłam.

– No proszę cię. Twój bracia to kopie twojego ojca. Rudzi i w ogóle. Ty jesteś podobna do mamy, więc ona na pewno jest twoją matką... Dobra, może zmienimy temat.

W milczeniu skinęłam głową. Pomyślałam, że Emma po prostu nazwała to, co mnie od dłuższego czasu siedziało w głowie. Któregoś dnia – może w całkiem nieodległej przyszłości – zapytam mamę. Wtedy właśnie podjęłam takie postanowienie. Są pewne sprawy, których wyjaśnienia nie można odwlekać.

Na tym jednak skończyliśmy z Emmą temat rodziny i zaczęliśmy rozmawiać o Charliem.

Ani ja, ani Emma nie zapytałyśmy go, co się właściwie wydarzyło wtedy w maju. Pewnie z wyjątkiem policji nikt nie zapytał, ale może teraz, skoro będziemy tyle czasu spędzać razem, nadarzy się ku temu jakaś okazja. Nie wiem jednak, czy można tak wchodzić mu w życie z butami. Tylko że wszyscy, dosłownie wszyscy zastanawiają się, jak to się stało, że to właśnie on znalazł Kallmanna w tamtym domu. I to w środku nocy.

– Od samego zastanawiania się nad tym można zwariować – powiedziała Emma. – Dlatego staram się o tym nie myśleć. Dobrze, że nie jesteśmy nadto ciekawskie.

– Cholernie dobrze.

Minionej wiosny wiele osób widywało Charliego z Kallmannem, zwłaszcza w kwietniu i na początku maja. Nie tylko dyskutowali ze sobą na przerwach, ale i pojawiali się razem na mieście. Carina Flink z 9C rozpuściła plotkę, że Kallmann i Charlie są parą i że widziała, jak szli przez park, trzymając się za ręce. Wszyscy jednak wiedzą, że Carina Flink gada, co jej ślina na język przyniesie, byle tylko przykuć uwagę i zdobyć znajomych. Już Alex Ljunggren i Pontus Jonsson z jej klasy są wiarygodniejsi. A oni z kolei twierdzą – lub przynajmniej twierdzili wtedy w maju, kiedy Kallmann zginął, a Charlie przestał chodzić do szkoły – że spotkali tę dwójkę w niedzielne popołudnie w autobusie z Ö. Jeśli rzeczywiście tak było, musiało to mieć miejsce kilka dni przed tym, jak Kallmanna znaleziono martwego w Niemieckim Domu.

A znaleziono go w nocy z siedemnastego na osiemnastego maja. To znaczy Charlie go znalazł.

To dziadek Sary zobaczył, jak Charlie wybiega z Niemieckiego Domu, i powiadomił policję. Jej dziadek był na późnym spacerze z psem, starym

wyżłem niemieckim, który ma problemy z żołądkiem. Wiemy o tym wszystkim od samej Sary. Charlie ani policja nic o tym nie mówili, co tylko sprowokowało masę spekulacji.

Minęły już jednak cztery miesiące, a ja nie chcę wtykać nosa w nie swoje sprawy. Jeśli kiedyś Charlie będzie chciał nam o tym opowiedzieć, to sam opowie. Do tej pory wspominał tylko komuś, że przez ostatni semestr on i pan Kallmann dyskutowali sporo o starych książkach – a może chodziło o jakieś rękopisy – które Charlie znalazł w bibliotece mamy. Charlie nie ma ojca, mieszka tylko ze swoją dziwną matką w drewnianej willi nad jeziorem Morsjön. Ona jest artystką, taką prawdziwą, maluje obrazy, które kosztują tysiące. Kupują je ludzie z całego kraju. Ma wystawy wszędzie, czasami w Sztokholmie, ale też w Kopenhadze, Londynie i Paryżu, jeśli się nie mylę. Jeden z jej obrazów wisi w miejskiej bibliotece w K., ma co najmniej cztery metry kwadratowe i za nic nie umiem zgadnąć, co przedstawia. Ma jednak cudowną kolorystykę, więc bardzo mi się podoba. Innymi słowy Karolina Mattis jest wielką, uznaną artystką, choć wszyscy wiedzą, że jest przy tym całkowicie stuknięta. Czasami trudno z nią wytrzymać, bo miewa depresję. Ludzie mówią, że od czasu do czasu musi spędzić kilka tygodni w szpitalu psychiatrycznym. Nie wiem, kto wtedy zajmuje się Charliem i domem. Może on sam daje sobie radę?

A teraz Charlie chce zrobić ze mną wywiad. Dlaczego? O czym?

Nie mam pojęcia. Kiedy go o to pytałam, kręcił tylko głową i mówił, że zobaczę. Cóż, Charlie jest, jaki jest, i niełatwo go rozgryźć. Kiedyś, w trzeciej klasie, na godzinie wychowawczej wstał i wyrecytował *Ojciec nasz* w sześciu językach. Z pamięci. Niezbyt to było zabawne, ale trzeba przyznać, że był to niezły wyczyn jak na dziesięciolatka.

Cały Charlie Mattis.

Ivan jest zupełnie inny. Myślę jednak, że szanują się nawzajem. Charlie potrafi

czasami być okropnie przemądrzały, nigdy jednak nie odniosłam wrażenia, że stara się usadzić Ivana. Może dlatego, że Ivan się nie wywyższa, więc nie trzeba go usadzać.

Lubię Ivana, jak wspomniałam, nie ja jedna. To typ chłopaka, którym dziewczyny lubią się zajmować – za takie naturalne stadium przejściowe między domowym zwierzakiem a sympatią. Ivan jednak nie dopuszcza do siebie tych nadąsanych sióstr miłosierdzia i to mi się w nim podoba. Sprawia wrażenie, jakby dziewczyny go nie interesowały, może dlatego, że od kilku lat nie dają mu spokoju. Tak mi się przynajmniej wydaje, bo do nas chodzi dopiero rok. Może jest gejem albo nim będzie. Jestem pewna, że nie ma nawet bliskich kolegów czy koleżanek.

Choć bynajmniej nie sprawia wrażenia, jakby przez to cierpiał. Przyjechał do Szwecji sam, bez rodziców, kiedy miał siedem lat, a teraz wychowuje się w rodzinie zastępczej. Ma czworo czy pięcioro przybranego rodzeństwa. Mieszkają razem i to w takim miejscu, że nie dziwię mu się, że marzy mu się spokój. Pytałam go kiedyś o mamę i tatę, i o to, dlaczego wysłano go do Szwecji samego, ale wyraźnie nie chciał o tym rozmawiać. W Södertälje miał jakąś ciotkę, która obiecała się nim zająć, tyle wiem, ale coś nie wyszło i tak oto Ivan wylądował na północy Szwecji. Najpierw w Härnösand, potem w K. Twierdzi, że w zasadzie nie pamięta nic z okresu przed przyjazdem do Szwecji. Tylko tyle, że była wojna, a jego rodzice gdzieś zniknęli. Jego starszy brat też.

– Ty rzeczywiście masz tylko piętnaście lat? – zapytałam go kiedyś.

– Tak sędzę, ale rzecz jasna nie mogę być pewny.

– Wyglądasz na starszego.

– Ludzie z południa tak mają. Dojrzewamy szybciej i wcześniej umieramy.

Ivan, tak jak ja, gra w kosza. Josse Bergman, który trenuje zarówno chłopaków, jak i dziewczyny, mówi, że gdyby Ivan był bardziej ambitny,

mógłby zająć daleko. Ivan jednak nie ma ambicji, a jedynie talent, i to ogromny. Obiema rękami potrafi dryblować równie dobrze i umie ot, tak sobie przejść dziesięć metrów z piłką, nawet jeśli zatrzymuje go dwóch zawodników przeciwnej drużyny. Takie umiejętności są nie do przecenienia u rozgrywającego, więc Ivan gra na tej właśnie pozycji. Ustawianie go gdzie indziej byłoby nie do pomyślenia, jak twierdzi trener. Ivan powinien być przy piłce przez pięćdziesiąt procent czasu, wtedy on i drużyna grają najlepiej.

Jest właśnie niedzielne popołudnie. Dziadkowie byli u nas na lunchu. Teraz leżę u siebie w pokoju i czekam na Emmę.

Dziadkowie odwiedzają nas mniej więcej raz w miesiącu. Zawsze w niedzielę, zawsze w porze lunchowej. Tak jest od stu lat i tak będzie przez kolejne sto. Albo przynajmniej do czasu, aż któreś z nich nie kojfnie, choć oboje wyglądają niesamowicie rześko. Rześko, a przy tym dziwnie.

W zasadzie to tylko dziadek jest dziwny, ale zaraza tym babcię. I tak siedzimy razem przy stole, i żujemy najpierw przekąski, potem danie główne, a na koniec deser. Tylko przy takich okazjach pojawiają się u nas przekąski. Deserów też z reguły nie jadamy. Przez cały obiad nikt nie może odejść od stołu. Gdzieś w połowie dania głównego Aron i August zaczynają się wiercić. Wiją się jak robaki i twierdzą, że już nie mogą zjeść więcej, ale to nie pomaga. Mama mówi im tylko, że posiłek jeszcze się nie skończył, a tata się w nich wpatruje. Babcia się smuci, a dziadek wygląda przez okno. Z reguły podczas tych niedzielnych lunchów niewiele konwersujemy, kilka słów, które mamy do powiedzenia, pada, zanim usiądziemy do stołu. Bo po co mówić o niczym?

Jestem trochę niesprawiedliwa wobec mamy, zdaję sobie z tego sprawę. Mama się stara podtrzymać rozmowę, pyta babcię o jej kręgosłup, a dziadka o domek i kosiarkę. A dziś z jej ust padły słowa, które mnie zastanowiły.

Cała ta gadanina, powiedziała. Na co to, skoro i tak nie dochodzi się do

tego, co ważne.

Ważne? Nie mam pojęcia, co miała na myśli. Zapewne był to komentarz do jakiejś wcześniejszej wypowiedzi, której nie pamiętam. Nikt inny się tym nie zainteresował. Chciałam ją nawet zapytać, ale czułam, że mama nie będzie chciała wyjaśnić. Rzuciła mi to swoje spojrzenie, które znaczy, że rozumiemy się bez słów i że powinnam siedzieć cicho. Mimo wszystko czasami panuje między nami dobre porozumienie, choć nie za często. Jednak jest i można z niego skorzystać, kiedy zachodzi taka potrzeba. Gdybym miała wybrać, kogo z rodziny uratowałabym z tonącej tratwy w moim śnie, byłaby to bez wątpienia mama.

Wciąż mam w głowie jej słowa o tym, co ważne. Postanowiłam, że dopytam ją w bardziej sprzyjających okolicznościach. Bo jeśli doda się do siebie to, co Emma mówiła wczoraj o moich braciach i tacie, to wyjdzie... no właśnie, co? Równanie drugiego stopnia, powiedziałyby zapewne Igor Masslind, nasz matematyk. Równanie z dwiema niewiadomymi.

Tak mi się przynajmniej wydaje, ale z matmy nie jestem dobra. I dlaczego na myśl przychodzi mi ten sztywniak Masslind? Chyba wariuję.

Następca Kallmanna nazywa się Leon Berger. Jego żona i córka zginęły pół roku temu w katastrofie morskiej u wschodnich wybrzeży Afryki. Przeprowadził się tutaj ze Sztokholmu, żeby zacząć życie od nowa. Powiedział nam o tym krótko podczas pierwszych zajęć. Dziwnie było tego słuchać, lecz uważam, że wymagało to od niego odwagi. O niektórych sprawach trzeba mówić otwarcie. Mieliśmy z nim dopiero trzy lekcje szwedzkiego, więc nie wiem jeszcze, co o nim myślę. Zawsze potrzebuję czasu, żeby móc kogoś ocenić. Czasami wydaje mi się, że to moja pozytywna cecha, w końcu ludziom powinno dać się szansę, zanim się ich skreśli lub postawi na piedestale.

Berger na pewno nie przypomina Kallmanna, ale nie można tego od niego wymagać. W każdym razie nie kazał nam napisać strony o sobie samych, jak to

mają w zwyczaju wszyscy nowi nauczyciele. Uważam, że to najnudniejsze zadanie świata. Pewnie robią tak tylko po to, żeby mieć z głowy jedną lekcję. Nigdy nikt nie komentuje tych tekstów, a cztery razy na pięć nie dostaje się ich z powrotem. Berger poprosił nas tylko, żebyśmy – ustnie, nie pisemnie – zgłosili, co chcielibyśmy robić na szwedzkim przez nadchodzący rok. Potem poprowadził całkiem rozsądną dyskusję, którą zakończył konkluzją, że poświęcimy sporo uwagi lekturze tekstów. Na tym mamy się skupić. Na znanych tekstach znanych twórców. Do tego w styczniu dwa tygodnie zajęć z gramatyki i obowiązkowy test próbny.

Mamy też oczywiście pisać. Jedno duże wypracowanie na semestr. I to by było na tyle, jeśli chodzi o mój ulubiony przedmiot. W przyszłym tygodniu ruszamy z Homerem, z *Iliadą* i *Odyseją*. Nie mogę się doczekać.

Bergera otacza aura smutku. Chyba jestem perwersyjna, ale podoba mi się to, bo jeśli już ktoś mnie drażni, to są to ludzie weseli jak ptaszki na wiosnę. A tacy nauczyciele są już zupełnie nie do wytrzymania.

Zaznaczam jednak, że nie jestem ubraną na czarno, bez przerwy się dołującą wariatką. Właściwie to chyba lubię trochę politykować, a w każdym razie wiem, że nienawidzę wszystkich nazistów. To tacy idioci, że muszą iść na kurs, żeby nauczyć się rysować swastykę. Nienawidzę też skrajnych prawicowców z Nowej Demokracji³. Moim zdaniem to prostackie, egoistyczne chamy, a co gorsza podejrzewam, że tata na nich głosował. W zeszłym roku, kiedy z kretesem przegrali w wyborach. W życiu by się do tego nie przyznał. Gdyby w tym wodospadzie z mojego snu miała zginąć jedna osoba, to zdecydowanie wybieram jego.

Dobra, zanim Emma przyjdzie, muszę przeczytać kilka stron *Obcego* Camusa. Nie wszystko rozumiem w tej książce, ale przyznaję, że jest świetna.

7

Igor

12 września, późny wieczór.

Dziś przytrafiło mi się coś naprawdę nieprzyjemnego. Właśnie miałem wyjść ze szkoły, już przymocowywałem teczkę do bagażnika rowerowego, kiedy zawołała mnie Vera Rönne.

Znam się z nią tu najdłużej, pojawiła się u nas zaledwie semestr po mnie. Zawsze bardzo sobie ceniłem naszą współpracę. Jest mała i taktowna, ale uczniowie nigdy nie wchodzi jej na głowę. Zdolna z niej nauczycielka, można wręcz powiedzieć, że to ona i ja utrzymujemy wysoki poziom zajęć z matematyki i nauk przyrodniczych (a w każdym razie fizyki i chemii), z którego od lat znana jest nasza szkoła. Petreskolan, drugie gimnazjum w naszym mieście, jest za nami daleko w tyle. Nie skazujemy naszych uczniów na tradycyjne nudne i dziwne tematy z nauk ścisłych, a dwa razy ja i Vera pomagaliśmy okręgowej komisji w przygotowaniu egzaminu końcowego z matematyki. Może nie ma się czym chwalić, ale coś tam człowiek zrobił w życiu. Wielokrotnie planowaliśmy wziąć urlop, żeby razem opracować porządne materiały dydaktyczne dla gimnazjum, jednak nigdy nic z tego nie wyszło, bo oboje za bardzo lubimy uczyć. A jak człowiek opuści semestr albo i cały rok szkolny, nigdy nie wiadomo, co się w tym czasie wydarzy.

I teraz zawołała mnie, kiedy akurat wyprowadzałem rower z pawilonu

stojącego przy wejściu dla pracowników. Z tonu jej głosu zrozumiałem, że nie chodzi o jakąś zwykłą szkolną sprawę. Vera stała w oknie naszego gabinetu na drugim piętrze, najwidoczniej otworzyła je, gdy mnie zobaczyła. Od zakończenia ostatniej lekcji upłynęło dwadzieścia minut, może pół godziny, i budynek szkoły był już prawie pusty..

– Igor, poczekaj – poprosiła. – Zejdę do ciebie.

Minutę później stała obok mnie. Pokazała mi list, który znalazła w swojej przegródce przed pokojem nauczycielskim. Była to kartka formatu A4 z literami wyciętymi z gazety. Ktoś równiutko ponaklejał je i ułożył z nich groźbę śmierci. Przez tyle lat wspólnej pracy jeszcze nigdy nie widziałem Very tak wstrząśniętej.

*Ty brudna żydowska dziwko. Strzeż się, bo wiemy, gdzie mieszkasz. Spisz lepiej testament, bo niewiele ci zostało czasu. Tacy jak ty są zakałą. Nie będziecie już dłużej brukać naszego kraju.
Patrol Porządkowy*

Całkiem schludnie zrobiony list. Duże litery tam, gdzie trzeba. Żadnych błędów ortograficznych. Ostrożnie objąłem Verę ramieniem, jednocześnie licząc słowa. Trzydzieści. Sam nie wiem, dlaczego to zrobiłem, pewnie po to, by zyskać chwilę do namysłu.

– Czcze gadanie – powiedziałem w końcu. – Nie przejmuj się takimi idiotami.

– Wiem, nie powinnam, ale zszokowało mnie to. Nigdy wcześniej nic takiego się nie zdarzyło.

Vera urodziła się w Oświęcimiu. Nigdy o tym nie opowiada, a to z tego prostego powodu, że nic nie pamięta z tego okresu. Kiedy przyjechała do Szwecji po wojnie, miała zaledwie roczek. Jej matka zmarła, a Verę zajęła się kobieta, która sama straciła dziecko. To ona zastąpiła jej matkę. Niestety zmarła, kiedy Vera miała czternaście lat. Vera dowiedziała się wtedy, że cała

jej biologiczna rodzina zginęła podczas Holokaustu, cała z wyjątkiem wujka i jego żony, którym tuż przed wybuchem wojny udało się przedostać do Niemiec. Osiedli potem w USA, gdzie urodziło im się dwoje dzieci, kuzyni Very. Vera nigdy się z nimi nie spotkała, ale przez tych trzydzieści lat czasem do siebie pisali.

Tylko tyle wiem o trudnej historii jej rodziny, bo chyba tylko tyle wiadomo. Vera dorastała w Ö., studiowała w Lund, ale po studiach i uzyskaniu dyplomu nauczycielskiego wróciła do rodzinnego miasta. Wyszła za pastora, Egona Rönne, który wkrótce zmarł na raka. Nie doczekali się dzieci. Vera, tak jak ja, chyba traktuje szkołę jak swój drugi dom, a kolegów jak rodzinę.

– Patrol Porządkowy – przeczytała na głos. – Przyznaj, że to podłe.

– Podłe jak nie wiem co. Minęło zaledwie pięćdziesiąt lat, a ci dranie znów się rozkręcają. Nie bierz jednak tych pogroźek na poważnie. To tylko czcze gadanie.

Zeżłościłem się trochę sam na siebie, bo powtórzyłem zwrot „czcze gadanie”, ale na szybko nie umiałem wymyślić nic innego. Być może dlatego, że byłem równie poruszony jak Vera, która teraz pokiwała głową i powiedziała:

– Wiem, to czcze gadanie, ale i tak się boję. Zarówno o siebie, jak i o nasze społeczeństwo. Dokąd zmierzamy?

– Mówisz, że list leżał w twojej przegródce?

– Tak, ktoś musiał go tam włożyć po ostatniej przerwie, bo podczas przerwy wyciągałam jeszcze stamtąd jakieś papiery. Na pewno zrobili to na ostatniej lekcji albo po niej... znalazłam list dopiero pięć minut temu.

– Jest u nas paru skinów. Nie będzie trudno znaleźć sprawcę.

Nie wymieniałem imion, bo Vera i tak świetnie wiedziała, o kim mówię. Najgorsi byli dwaj bracia z Lyssne, mieli swoje wierne grono, jakichś sześciu, ośmiu typków. Uczę jednego z braci oraz paru z jego epigonów. Ot, słabe

wyniki w nauce połączone z zamiłowaniem do tytoniu, krótko mówiąc.

– Użyli słów „zakała” i „brukać” – zauważyła Vera. – Dziwne, prawda?

Popatrzyłem na kartkę, którą wciąż trzymałem w dłoni.

– Może się tego nauczyli na jakimś swoim spotkaniu, mają przecież takie.

– Być może. Nigdy nie uważałam się za imigrantkę. Za żydówkę zresztą też nie, ale tacy jak oni potrafią wywęszyć jednostki do wytępienia.

– Dobry Boże, nawet nie powtarzaj tych wyrażen. Tak czy inaczej trzeba to zgłosić na policję. Nie wiesz, czy ktoś z dyrekcji jeszcze jest?

– Torstensson zdaje się siedzi w papierach, ale Fröberg cały dzień był na jakimś spotkaniu w gminie.

– No dobrze. Fröberg lepiej by to załatwił, ale w zasadzie to sprawa dla dyrektora, nie dla wice. Chodź, porozmawiamy z nim.

Tak zrobiliśmy. Dyrektor Torstensson z reguły tchórzył i robił uniki. Wszystko, co może zepsuć opinię szkoły, należy wyciszyć, taką absurdalną filozofię przyjął osiem lat temu, kiedy objął stanowisko. Tym razem jednak dostrzegł powagę sytuacji. Właściwie był zmuszony zrobić to minionej wiosny, kiedy zginął Kallmann. Może wtedy czegoś się nauczył. Zadzwoił na policję, a Vera i ja, wciąż siedząc w jego gabinecie, stwierdziliśmy, że stary Torstensson, kiedy już zabierze się do działania, nie jest tak gamoniowaty jak na co dzień.

List z pogrózkami włożyliśmy do koperty i zapieczętowaliśmy. Następnego ranka miał się po niego stawić inspektor Marklund, który zajmował się również śmiercią Kallmanna. Tym razem zgodziliśmy się jednak, że ta sprawa wymaga większej dyskrecji. Nawet jeśli ktoś nie popiera praktykowanej przez Torstenssona polityki chowania głowy w piasek, mimo wszystko trudno pracuje się w szkole, jeśli co rusz pojawia się w niej policja.

Zapytałem Verę, czy chce pójść na kawę i pogadać, ale odmówiła. Podziękowała mi za to, że pomogłem jej się uspokoić i za zaangażowanie.

Kiedy się rozstawaliśmy, odniosłem wrażenie, że już do siebie doszła.

Poza tym incydentem semestr toczy się świetnie. Nasza kadra nauk ścisłych dostała zastrzyk świeżej krwi. Doszła do nas niejaka Eva Bergelin, która całkiem nieźle radzi sobie z uczniami. Wiksten zaś nie jest bardziej zmęczony niż zwykle, w każdym razie nie poszedł jeszcze na zwolnienie, choć pewnie to tylko kwestia czasu. Przez lata nauczyliśmy się, jak sobie radzić z tym problemem: kiedy Wiksten zniknął, przestaliśmy go zastępować. Nauczyciel, który nie spełnia wymogów, to problem dyrekcji, a nie grona pedagogicznego. Fröberg w końcu to pojął. W zeszłym roku Esko Lipponen, który świetnie sprawdza się na zastępstwach, poprowadził jedną trzecią wszystkich lekcji Wikstena. Wszyscy uznali zresztą, że w tym czasie uczniowie nauczyli się więcej niż przez resztę roku. Miejmy nadzieję, że Lipponen nadal jest w mieście. Na co dzień pracuje jako dziennikarz i ponoć ma ambicje, by przenieść się do stolicy. Ma jednak partnerkę i dwoje dzieci, więc przeprowadzka, liczymy na to, nie jest dla niego realna.

Przez resztę wieczoru nie mogłem przestać myśleć o plugawym liście do Very Rönne. Najwidoczniej brunatne szaleństwo i ksenofobia dobrze się mają w naszym kraju, mimo że tych skrajnie prawicowych pajaców z Nowej Demokracji spacyfikowano w ostatnich wyborach. I mimo że mężczyzna z laserem⁴ wciąż siedzi.

I przecież to nie dalej jak miesiąc temu neonazistowski gang zakatował tego biednego nastolatka, Johna Hrona⁵, nad jeziorem w zachodniej Szwecji. Nie mogę też przestać myśleć o tym, co przytrafiło się Kallmannowi. I nie chodzi mi o jego śmierć, ale o tę historię w parku miejskim zeszłej jesieni. Czy to rzeczywiście była sprawka tej rozwrzeszczanej nazistowskiej dziczy? Czy Kallmann poszedł tam, żeby w jakiś sposób zaprotestować?

No i ostatnie pytanie, którego nie da się nie zadać: jak było naprawdę z jego śmiercią? Czy umarł śmiercią naturalną, jak twierdzi policja?

Czy może policja coś ukrywa?

Jeśli tak, to co?

A teraz te pogroźki wobec Very Rönne. Patrol Porządkowy.

Powiniennem sprawdzić testy próbne klasy siódmej, ale wyjątkowo trudno mi się skupić. Muszą poczekać do jutra, nic na to nie poradzę.

W głowie mam zamęt, a Kallmann jakoś nie daje o sobie zapomnieć. Zwłaszcza to, co powiedział podczas naszej ostatniej rozmowy: „Igor, mam powody przypuszczać, że natrafiłem na niewyjaśnione zabójstwo. Niewyjaśnione i niewykryte”.

Oczywiście wtedy, w maju, wspomniałem o tym inspektorowi Marklundowi, nie jestem jednak pewien, czy policja w ogóle uznała to za ważne. Zwłaszcza Marklund. Sprawy komplikuje fakt, że to ja dwadzieścia lat temu uczyłem go matematyki i fizyki, a nie był on szczególnie bystry. Doprawdy, krępująca była sytuacja, kiedy teraz spotkaliśmy się w zupełnie innych rolach. Zauważyłem, że trudno mu zachować stosowny dystans wobec dawnego nauczyciela, co ewidentnie go zawstydzalo. Jeśli jednak ktoś wraca do swojej rodzinnej miejscowości jako wykwalifikowany śledczy, to chyba powinien się spodziewać takich komplikacji?

Podczas wieczornej toalety postanowiłem, że przypomnę Marklundowi o tej sprawie, jeśli jutro pojawi się w szkole, jak obiecał. Najbardziej jednak doskwiera mi nie wątpliwa sprawność policji, a to, że Kallmann nie chciał wyjaśnić, o co mu wtedy chodziło. Niewyjaśnione i niewykryte przestępstwo. Zapytałem oczywiście, o czym, na Boga, mówił, ale jak zwykle odparł, że za wcześnie, by ujawniać szczegóły.

– Nie możemy zapominać, mój drogi – dodał – że jeśli się bliżej przyjrzeć, to prawie nic na tym świecie nie jest porządnie wyjaśnione.

Nie twierdzę, że uwierzyłem w te opowieści o przestępstwie, Kallmann uwielbiał przecież roztaczać aurę tajemniczości i insynuować, ale tydzień

później już nie żył, a śmierć potrafi rzucić nowe światło na każdą okoliczność.

Wróć. Jestem zbyt zmęczony. Przecież śmierć nie rzuca światła, a raczej cień. Czy może ciemność.

8

Ludmilla

Coś się szykuje.

I to chyba niejedno, sama jednak nie wiem co. Pierwszy miesiąc roku szkolnego był wyjątkowo ciepły. Temperatura sięgała dwudziestu pięciu stopni, i to do końca września. W takich warunkach ludzie są ospali i poirytowani. Świadczy o tym nie tylko frekwencja odwiedzin w moim źle przewietrzonym gabinecie, ale i zachowanie ludzi.

To znaczy uczniów, chociaż nauczycieli też. W ostatnich tygodniach właśnie przedstawiciele tej drugiej grupy do mnie zagłądali: na przykład dwoje nauczycieli nauk społecznych, którzy akurat się rozwodzą (może zresztą stąd ich wizyty). Do tego konflikt pomiędzy nauczycielami muzyki, który rozgorzał na nowo. Oczywiście pedagog szkolny nie powinien tracić energii na rozwiązywanie problemów grona pedagogicznego, zatem jeśli konflikt eskaluje, będę musiała przekazać sprawę Fröbergowi i Torstenssonowi. A w każdym razie wspomnieć im o niej dla zasady, bo wiadomo, że nie mogę wymieniać nazwisk. Dyrekcja powinna być jednak świadoma mojej dodatkowej działalności. Szczególnie Fröberg, on dostrzegłby jej istotę. Mogłabym nawet zasugerować jakąś podwyżkę, w końcu robię więcej, niż wymagają moje obowiązki.

To jednak są kwestie drugorzędne. Najważniejsze, by prawidłowo odczytać

te wszystkie znaki. Te niewidoczne, a jednak odczuwalne kłęby niechęci i niepokoju, które zdają się bez ograniczeń sunąć pod niskimi sufitami szkolnych korytarzy, kierując się ku przyszłości. Takie przynajmniej wizje stają mi przed oczami, kiedy budzę się o świcie, dwie godziny za wcześnie. Ciężkie, gęste, płynące powoli chmury obaw. Nigdy nie miałam problemów z zasypianiem, ale kiedy o czwartej lub wpół do piątej rano otwieram oczy, mam wrażenie, że coś jest nie tak. Z życiem moim lub innych.

A może i moim, i innych. Nie wiem, czy od zawsze byłam takim barometrem nastrojów i wysyłanych przez innych znaków, ale nasiliło się to z wiekiem. Stanę się prawdziwą wyrocznią, kiedy wkroczę w klimakterium, a to rzecz jasna prawdziwa zaleta dla pedagoga szkolnego czy terapeuty mieć nosa i umieć na czas wyczuć, co się wokół święci. Dostrzec motywy postępowania klientów, zanim oni sami je sobie uświadomią. Jednak jeszcze tak nie potrafię, dlatego teraz nie umiem dostrzec, o co chodzi, mam jednak wrażenie, że to jakiś powszechny problem. Wrzesień w szkole można całkiem łatwo przetrwać, człowiek wciąż ma naładowane baterie po lecie, a do tego głowę bardziej rześką od zbawiennie wyostrzonego powietrza jesiennych dni. Ma się wtedy umysł jasny niczym bezchmurne niebo. Chyba to właśnie charakteryzuje wrzesień, czyż nie?

Teraz tę rześkość zastąpił duszny niepokój. Już trzy siódmoklasistki są tak nerwowe i rozbite, że chcą natychmiast rzucić szkołę, a dwoje z moich „stałych klientów”, uczniów dziewiątej klasy, wypaliło tyle trawy przez wakacje, że nie widzą sensu, by dalej siedzieć w szkolnej ławie. A już na pewno nie w tej budzie dla faszystów. Kiedy zapytałam, co mają na myśli, jeden z nich zdecydowanie odpowiedział, że pod naszymi skrzydłami chowa się sporo neonazistów, a takie przekonania z pewnością nie są częścią programu szkolnego.

To Toffe L. serwuje mi takie stwierdzenia. Jest synem dyrektorki szkoły

w Ö. i wysłał tendencję do głoszenia podobnych sloganów z mlekiem matki.

Trzeba jednak przyznać, że tym razem wytknął swoim poźółkłym od skrętów palcem realny problem: naszych młodocianych nazioli. Wydaje się to tym bardziej aktualne w kontekście listów z pogrózkami, które wrzucono do przegródki Vera Rönne. Ponieważ nie udało się zabezpieczyć żadnych odcisków palców, a wszystkich sześciu szkolnych skinheadów, których wzięto na przesłuchanie, stanowczo wyparło się winy, sprawy nie wyjaśniono. Jednak fakt, że listy były napisane tak starannym językiem, każe mi myśleć, że sprawcy należy szukać poza bandą skinheadów. Przez to cała historia robi się jeszcze bardziej nieprzyjemna. Gdzie w takim razie szukać winnych? Kto za tym stoi? I co nim kieruje?

I ta nazwa Patrol Porządkowy. Z jednej strony jest obrzydliwa, z drugiej jakby wyszukana. Na coś takiego nie wpadliby bracia Hansson.

Sama Vera Rönne nie przekroczyła progu mojego gabinetu i zapewne nigdy tego nie zrobi. Wraz z Ullfem od ZPT-ów jest wychowawczynią 8B, a nikt z tej klasy nigdy mnie nie odwiedził. W ich zespole załatwiają wszystkie problemy na własną rękę. Zapewne podczas godziny wychowawczej we wtorek rano. Nie ma co zbyt głęboko grzebać w targanych hormonami duszach nastolatków. Jasne reguły, stanowczość i dobre towarzystwo mogą wiele zdziałać.

Czy w ironii, która właśnie się ze mnie wylewa, jest też kropla podziwu i zazdrości? Poza historią z pogrózkami, nadal ciąży nad nami sprawa Kallmanna. Czuję to. Od jego śmierci do zakończenia roku szkolnego upłynęły tylko trzy tygodnie, a przez ten czas nie wszystkie wątpliwości zostały rozwiane. Oczywiście okres wakacyjny je stłumił, kładąc się na nich jak pokrywa. Ludzie rozjechali się na wczasy na łączce czy gdzie indziej, teraz jednak znów wszystko wypłynęło. Jakby ktoś nagle zdjął tę pokrywę.

Ktoś? Co też mi przyszło do głowy? Do czego zmierzam? Robię te zapiski rano, kiedy nie mogę spać, a po głowie wciąż kołaczą mi się resztki snu. Śniła

mi się jakaś tratwa zmierzająca w stronę wodospadu, ale więcej nie pamiętam. Sam sen jednak zrobił na mnie wrażenie. Do tego wczoraj wieczorem, kiedy dzieci leżały już w łóżkach, obejrzelśmy z Klasem dwa odcinki *Twin Peaks*. Jeśli ktoś chce obudzić w sobie mroczne myśli, trudno doprawdy o lepszy sposób.

A inspektor Marklund stanowi kolejny przyczynek do tej wrześnieowej paranoi. Rozmawiałam z nim krótko, kiedy przyszedł do szkoły w sprawie pierwszego listu z pogrózkami. Poruszyliśmy temat naszych szkolnych brunatnych koszuli ale oczywiście i Kallmanna. Zapytałam, czy śledztwo faktycznie zakończono. Marklund chrząknął, podrapał się w szyję i w końcu wydusił z siebie, że mają jeszcze ze dwa tropy. Brzmiał jak kiepski policjant z kiepskiego serialu, ale może właśnie takie chce robić wrażenie.

– Ma pan na myśli to, że nie można wykluczyć, że Kallmanna zamordowano? – spróbowałam drażnić.

– Tego nie powiedziałem.

– Czego pan nie powiedział?

– Nie mogę przecież zdradzać wszystkiego, co wiemy, byle komu.

– Dziękuję bardzo. Jestem pedagogiem szkolnym w naszym gimnazjum i niemało rozmawiałam z Kallmannem przed jego śmiercią. Czyżby pan zapomniał?

– Pamiętam. Co nie znaczy, że mogę się spoufalać. Zresztą teraz jestem tu w zupełnie innej sprawie.

– Jest pan pewien? Może w gruncie rzeczy to jedna i ta sama sprawa?

Na to mi nie odpowiedział. Swoją drogą, kiedyś był uczniem tej szkoły. Skończył ją kilka lat, zanim zaczęłam tu pracować. Bynajmniej nie był najlepszym uczniem.

Zresztą w sprawie Very Rönne naprawdę nie mam wiele do powiedzenia.

Dziś rano po skołatanej głowie chodzi mi też Leon Berger. Mówiąc szczerze,

nie tylko dziś. Pocałował mnie po naszym wieczorze w Commedii, a ja odwzajemniłam jego czułości. Wcale tego nie planowałam, byłam zupełnie zaskoczona i cały czas nie pojmuję, co ten pocałunek miał oznaczać. Od tamtej pory się unikamy. Kiedy widzimy się w szkole, skręcamy każde w swoją stronę. Robimy to na wpół nieświadomie, jak sądzę, całe to unikanie się jest jednak częścią gry, tyle wiem. Ostatnio w taki sposób całowałam się z Klasem i skończyło się związkiem, a trzymająca go pokrywa bynajmniej nie jest trwalsza niż ta spoczywająca na sprawie Kallmanna, o której wspominałam. Niestety.

Niech to diabli. Co się ze mną dzieje? Co też za myśli cisną mi się do głowy, kiedy leżę o świcie u boku spokojnie pochrapującego męża? Chociaż kto go tam wie, może właśnie ma sen erotyczny o tej Caroli Backmän. W każdym razie wygląda na zadowolonego. Może nawet mu stanął, ale przez kołdrę nic nie widać, a nie mam zamiaru sięgać ręką i sprawdzać. Chociaż kto go tam wie, może w takiej sytuacji śniłoby mu się, że to ręka Caroli. Cholera, muszę pocałować Leona jeszcze raz.

Jest za kwadrans szósta. Wstaję napić się kawy i poczytać gazetę, może to mnie uspokoi. Termometr za kuchennym oknem już pokazuje dwadzieścia stopni.

9

Leon

To miasto.
Ta szkoła.

Jesień w końcu wzięła świat w panowanie – w niedzielę będzie pierwszy października. Dopadło mnie poczucie wyobcowania. Równie dobrze mógłbym się znajdować gdzie indziej, otoczony innymi uczniami, innymi kolegami i okolicznościami. Wszystko wydaje się tak łatwe do wymiany, choć tak naprawdę to mnie dałoby się wymienić. Pozbawiony korzeni, nieprzywiązany do żadnego otoczenia szukam punktu zaczepienia każdego dnia, każdej godziny, każdej minuty. Punktu zaczepienia w teraźniejszości, w tym, co mnie otacza. Mój związek z przeszłością został raz na zawsze zerwany. Dla mnie nie ma żadnego ciągłego wątku w osnowie czasu, żadnego ukojenia w tym, co minęło. Mam czterdzieści pięć lat i narodziłem się na nowo.

Mimo to wszystkie moje sny rozgrywają się w przeszłości. Odwiedzają mnie w nich przeróżni znajomi, ale przede wszystkim Helena i Judith. Tak, teraz pojawia się w nich nawet moja zmarła żona. Czasami mam wrażenie, jakbym patrzył na stare filmy dokumentalne uwieczniające nasze wspólne podróże, ludzi, których spotkaliśmy, miejsca, jakie poznaliśmy, kolacje wigilijne, chwile czułości... czasami jednak, zwłaszcza późną nocą lub nad ranem, zostaję sam na sam z Judith. Wtedy sytuacja wygląda całkiem inaczej.

Znajdujemy się w jakimś nieznanym miejscu, często na dworze, w ciemności, w ponurym, przerażającym otoczeniu. Jesteśmy zdani sami na siebie, zagraża nam niebezpieczeństwo, wieje porywisty wiatr, zacina deszcz, a ja muszę ocalić córkę, ale ciągle mi się nie udaje. Chcę być dla niej opoką, ale nie wytrzymuję. Kruszę się i rozpadam.

Po takich snach budzę się z lękiem, a mam wrażenie, że miewam je coraz częściej, co trzecią lub co czwartą noc, w minionym tygodniu aż trzy razy. Już od stycznia używam łagodnych tabletek na sen, na początku pozwalały mi spać przez siedem, osiem godzin, ostatnio o wiele krócej. Może powinienem zwiększyć dawkę lub znaleźć jakiś mocniejszy środek. Może nawet znaleźć jakiegoś terapeutę. K to małe miasto, ale z pewnością znajdzie się tu jakiś lekarz dusz. Jeśli nie, mogę przecież dojeżdżać autobusem do Ö. Postanowiłem, że zapytam Ludmillę o radę.

Ludmilla. Nie spotkaliśmy się sam na sam od tamtego wieczoru w Commedii, a ja nie wiem, kim ona dla mnie jest. Nie wiem nawet, co mam na myśli, zastanawiając się nad tym. Pocałunek to pocałunek.

Oznacza przecież przyjęcie jakiejś postawy? Deklarację? Obietnicę?

Mój Boże, ależ bredzę. Jest piątkowy wieczór, wypilem samotnie trzy kieliszki wina. Planowałem poprzestać na jednym zaserwowanym do ponurej pasty, skoro jednak napocząłem butelkę, to równie dobrze mogę ją skończyć. Dzięki temu zasnę bez tabletek nasennych. Natomiast książka, którą chciałem przeczytać, *Jeźdźcy* autorstwa jakiegoś Rosjanina, zawsze zapominam jego nazwisko, nie napawa mnie bynajmniej spokojem i radością. Próbowałem nawet pooglądać telewizję, ale piątkowe wieczory przeznaczone są na infantylne quizy i amerykańskie kryminały. To właśnie w jakiś kryminał starałem się wciągnąć, ale żeby móc śledzić intrygę, trzeba sobie wmówić, że jest tego warta.

Mnie nie było na to stać. Może i jestem zrzędlwym belfrem, ale doprawdy

nie byłem w formie.

Wychyliwszy jeszcze ćwierć kieliszka wina, postanowiłem jakoś wziąć się w garść.

Przynajmniej spróbować. Skupić na czymś myśli.

Na czym?

Oczywiście na pracy, bo przecież to w szkole dzieje się wszystko, co ma w moim życiu jakiegokolwiek znaczenie. Minęło sześć tygodni pierwszego semestru, znam już imiona stu trzydziściorga uczniów oraz wszystkich nauczycieli. Już samo to jest godnym podziwu wyczynem. Jak zwykle najwięcej satysfakcji przynoszą zajęcia z dziewięcioklasistami. Mam z nimi szwedzki, cztery godziny w tygodniu, oraz historię – zaledwie dwie.

Jeśli chodzi o szwedzki, ta klasa stanowi specyficzną gromadę. Podejrzewam, że to mój poprzednik, Eugen Kallmann, odcisnął duże piętno na ich rozwoju. Dziwacy i indywidualiści trafiają się rzecz jasna w każdej klasie, w tym jednak przypadku jest ich wielu: Charlie Mattis, Ivan Kardasjan, Claes-Henric Holmberg, Yvonne Johansson, Emma Decantines, Andrea Wester... Do tego oczywiście grupka banalnie atrakcyjnych młodych dam, domyślałam się jednak, że ich wpływ na resztę był mocniejszy w klasie siódmej i ósmej, teraz ich rola dobiegła końca. W klasie jest też oczywiście kilku chłopaków z problemami w nauce, jeden z nich to skinhead. Przypomina osamotnione ciało niebieskie, które wypadło z orbity. Nikt go nie mobbuje, ale zawsze siedzi sam. Ma na imię Axel, ale i tak wszyscy mówią na niego Dupek.

Jednak tylko Andrea Wester przyprawia mnie o szybsze bicie serca. Chwilami, kiedy wykonuje pewne ruchy lub przechyla głowę, wygląda zupełnie jak Judith. Przypomina ją nie tylko z wyglądu, ale i z gestów, sposobu poruszania się, nawet z głosu (pomijając jej delikatny północny dialekt). To swego rodzaju wyższa forma duchowej jedności. Czy można tak to ująć?

Czemu nie? Istnieje przecież od dawna znana koncepcja mówiąca, że liczba

dusz na świecie jest ograniczona, dlatego Bóg musi czasami przydzielić jedną dwóm lub więcej osobom. Niektórzy wierzą też, że dusze zmarłych wstępują w żywych, chociaż taka idea mniej mi odpowiada. Z przyczyn oczywistych, by uniknąć konfliktów, Bóg rozmieszcza te sklonowane dusze jak najdalej od siebie – jedną na Ziemi Ognistej, drugą w Oslo, czasem jednak coś może pójść nie tak. Jedna dziewczyna w Sztokholmie, druga w K. Nikt by się nie zorientował, gdyby nie sztorm u wybrzeży Dar es Salaam i wyszło, jak wyszło. Tak... takim myśлом nie mogę się oprzeć, kiedy Andrea i jej koledzy siedzą zaczytani w jakimś tekście lub piszą wypracowanie. Wtedy jako nauczyciel nie mam nic innego do roboty, jak tylko dopuścić do swojego spragnionego kawy umysłu takie szalone rozważania.

Mimo wszystko czuję, że kiedyś muszę się z nią zapoznać bliżej na poważnie. Nie mogę stracić tej szansy.

Dość tego żalostnego szaleństwa. Wreszcie udało mi się opróżnić biurko. Oczyszcziłem je z pozostałości po Kallmannie, nie skorzystałem jednak z rady Ludmilly i nie wyrzuciłem papierów do worków. Po prostu poutykałem wszystko jak leci do czterech kartonów, które jakoś udało mi się wcisnąć do składziku naprzeciwko gabinetu.

Wszystko?

No nie do końca. W najniższej szufladzie z prawej strony, pod teczką z nieoddanymi egzaminami końcowymi z roku 1991, znalazłem cztery bruliony w formacie A5. Dość grube, w linie, takie, jakie dawniej można było dostać w każdym porządnym papierniku. Czarna okładka, około stu, stu dwudziestu stron. Kiedy otworzyłem jeden z nich, na pierwszej stronie zobaczyłem tytuł:

E.K.

Pamiętnik 1985–88

Poufne

Siedziałem nad brulionem dłuższą chwilę. Lekcje się skończyły, zostałem sam w gabinecie. Byłem zmęczony po zajęciach, zwłaszcza że na końcu miałem podwójną lekcję z jedną z moich klas siódmych, i to tą trudną, w której większość uczniów mieszka poza miastem. Bóg jeden wie, z jakich dziur i wiosek tu dojeżdżają. Postanowiłem jednak, że muszę się uporać z tym biurkiem, i tak minęło już za dużo czasu. Gdybym się do tego nie wziął, moje papiery i książki pomieszałyby się z rzeczami Kallmanna.

Tę najniższą szufladę z prawej opróżniłem jako ostatnią. Oczywiście najprościej byłoby upchnąć bruliony z pozostałymi szpargałami. Do kartonu i do składziku z nimi.

Muszę zaznaczyć, że to rozważałem, w końcu jednak uznałem, że nie naruszę moralnych zasad, jeśli rzucę okiem na ich zawartość. A w każdym razie nie naruszę ich w drastyczny sposób.

Zacząłem więc kartkować jeden z brulionów, ten najstarszy, z lat 1980–1984. Kartki zostały wypełnione tylko na górze, ale ciężko było odczytać tekst, bo był napisany drobnym maczkiem, w dodatku Kallmann używał ołówka. Trudno zresztą powiedzieć, że był to pamiętnik w pełnym tego słowa znaczeniu. Zorientowałem się dość szybko, mimo że każdy nowy rozdział zaczynał się od daty dziennej. Pierwszy wpis pochodził z 3 stycznia 1980 roku, kolejne były ułożone chronologicznie, ale zdarzały się między nimi dniowe, a nawet tygodniowe odstępy. Najczęściej zapiski z danego dnia miały objętość od jednej do trzech stron. Najkrótszy tekst znalazłem w pierwszym brulionie – miał zaledwie trzy wersy i pochodził z 6 czerwca 1981 roku, najdłuższy – z 10 października 1982 roku – ciągnął się na sześć stron.

Zorientowawszy się w zawartości brulionów, przeczytałem dokładnie pierwszy wpis.

3 stycznia 1980

Nowa dekada, kolejne urodziny, czterdzieste dziewiąte. Nikt nie złożył mi życzeń, gdyby ktoś to zrobił, zdziwiłbym się. Minęło zaledwie pół roku od dnia, kiedy wróciłem na miejsce przestępstwa. Może za rok, kiedy stuknie mi równo pięćdziesiątka, daruję sobie obchody, ale może nie. Kto chciałby ze mną świętować? Teraz świętowałem sam: popijałem dobrą, zachowaną od dawna whisky single malt, paląc przy tym stare notatki w piecu kaflowym. Potem zacząłem od nowa moją żalną podróż do kresu nocy. Pisaniem można pozszywać rzeczywistość i przyszyć się do niej, co jednak się stanie, kiedy człowiek odrzuci to, co zszyte? Kiedy zaczniesz pruć? Gdzie pali się książki, dojdzie w końcu do palenia ludzi, twierdził Heine. Może jednak usprawiedliwię swoje postępowanie cytatem ze Strindberga: „Tu burzy się, by wpuścić światło i powietrze”. Nikt nigdy nie będzie czytać moich wypocin, piszę, by zachować zdrowy rozsądek. Z tego samego powodu spaliłem moje zapiski. Po sześciu miesiącach jednak wróciłem. Na tej szerokości geograficznej się urodziłem i tu umrę. Co jednak stanowi dla mnie tę ogromną trudność, moją zgryzotę, która oddziela mnie od sensownego współżycia z bliźnimi? Wyjaśnię to wyimaginowanemu czytelnikowi. Istota sprawy jest doprawdy prosta: potrafię zajrzeć bliźnim w dusze, co jest nie do wytrzymania. Równie nie do wytrzymania teraz, jak i dawniej, kiedy to dopiero uświadamiałem sobie swój talent. Moja matka miała romans z dobrym przyjacielem mojego ojca, a ja ją zabiłem. Kochałem ojca, ale nie wiedziałem, że jej śmierć odbierze sens jego życiu. Nie wierzyłem, że mógł kochać taką kobietę, ale kochał ją. Zamiast niej powinienem był zabić kochankę, ale jemu się upieкло. Mnie też, nikt nie podejrzewa jedenastolatka o zabójstwo, zwłaszcza jeśli śmierć ofiary uznano za naturalną. A tak właśnie było. Chyba wszyscy sądzili, że matka zmarła śmiercią naturalną, jednak ojciec wiedział, jak było naprawdę. Siostra? Nie, nie chcę o niej pisać. Kochałem ojca, był dla mnie ostoją i dlatego to zrobiłem. Właśnie po tym pojawił się mój talent, moja zmora. Ktoś, kto zabił, nie ukryje tego przede mną, jeśli zajrę mu w oczy. Większość osób nie potrafi nawet ukryć kłamstwa, uznają to za piętno kainowe. Nie da się nic z tym zrobić. Od tamtej pory unikam patrzenia ludziom w oczy. To już prawie czterdzieści lat. Wiem, że to wiązało się z niebezpieczeństwem powrotu tutaj, ale nie miałem wyboru. Mój plan jest taki, by wrócić i zająć się sprawami, taką potrzebę czułem przez wszystkie lata spędzone daleko stąd. A przecież moje życie i tak jest już wypaczone. Rola widza mi nie wystarcza, muszę rozpalić własne ogniska. Zamiaty stawiają jednak opór. Czyż nie najpełniejszy skutek mają działania niezamierzone? Czy to nie tu ustawiamy kata w niedogodnym dla niego narożniku? Nic tylko pytam i pytam.

To cały zapis. Z narastającym zdumieniem przeczytałem go jeszcze raz, potem kolejny. Co to na litość boską miało być? Przyznanie się do winy? Próba napisania powieści? Ponoć Kallmann wydał kilka książek pod pseudonimem. Żonglowanie pustymi słowami samotnego, umęczonego człowieka? (Który upił

się w dniu urodzin?) Postanowiłem dalej nie czytać. Zamiast tego lepiej poznać proste fakty dotyczące Kallmanna, dowiedzieć się o jego pochodzeniu, rodzicach, dacie urodzenia... Nie powinno być to trudne. A poza tym dzięki temu zbliżę się trochę do Ludmilly. Będę mieć inny punkt zaczepienia, a nie tylko wspomnienie tego przelotnego – ale notabene odwzajemnionego – pocałunku.

Bruliony znalazłem w środę, ale od tamtej pory nic nie zrobiłem. Ludmilla przez dwa dni była na szkoleniu, oczywiście mógłbym zwrócić się z pytaniami do kogoś innego, ale nie mam ochoty nagabywać innych osób. Czekam do poniedziałku. Bruliony Kallmanna ukryłem w innej szufladzie wśród moich papierzysk. Teraz, po wychyleniu czterech, a raczej pięciu kieliszków wina, z przyjemnością myślę o nich jak o powoli tykającej bombie. Czegóż to jest w stanie chwycić się biedny wdowiec, by nieco urozmaicić sobie nudny żywot?

Mam pytanie, które zadam Ludmille w poniedziałek: „Wiesz może, jak zmarła matka Eugena Kallmanna?”.

10

Andrea

Możemy chwilę porozmawiać, koleżanko?

Charlie Mattis. On naprawdę gada jak sześćdziesięcioletni wujek. Gdyby go trochę ucharakteryzować, mógłby śmiało stanąć na mównicy w Riksdagu i przedstawić budżet na nadchodzące cztery lata. Lub omówić nasze relacje z innymi krajami. Nikt by nie uwierzył, że to piętnastolatek z zapomnianego miasta K. w Norrlandii. Nikt a nikt.

– Yyy... Tak – odparłam. – Oczywiście.

Ponieważ pogoda była ładna, usiedliśmy przy stołach obok sali gimnastycznej i pracowaliśmy nad naszym projektem o Finlandii. Ja i Emma właśnie przepisywałyśmy na czysto naszą prezentację o Mannerheimie i wojnie domowej. Skinęłam w jej stronę, a Emma tylko wzruszyła ramionami. Przeszłam się z Charliem do jednej z ławek ustawionych bliżej rzeki. Usiedliśmy, Charlie odchrząknął, po czym wyciągnął niewielki notes i długopis.

– Zatem... – zaczął i znów odchrząknął. – Zgodziłaś się na krótką rozmowę.

Nagle zorientowałam się, że Charlie był zdenerwowany. Jego stopy w ortopedycznych sandałach poruszały się w tę i z powrotem po żwirowym podłożu. Miał też zmieniony głos. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam. Jeśli jest jakieś określenie, którego nie można przypisać

Charliemu, to właśnie „zdenerwowany”. Jest tak cholernie inteligentny i tak cholernie dziwny, że wręcz trudno sobie wyobrazić, że może się czymś denerwować.

Mogłoby się to zdarzyć, gdyby jakiejś dziewczynie przyszło do głowy wyciągnąć go na parkiet. Malin, a może Biggan (czy też może to była Fanny Fedel, która potem się utopiła?) zrobiły tak kiedyś na dyskotecę w podstawówce. Pamiętam, że Charlie się wtedy zaczerwienił i speszył. Potem odepchnął dziewczynę – którakolwiek by to była – i poszedł do domu.

Teraz jednak nie chodziło o taniec. I Charlie nie czerwienił się dlatego, że siedział sam na sam z dziewczyną na ławce. Bynajmniej, z takimi sytuacjami potrafił sobie radzić. Zatem to temat, na który chciał ze mną porozmawiać, tak go peszył.

– No dobra – powiedziałam, żeby jakoś pomóc mu zacząć. – O czym chciałeś ze mną pogadać?

– Ekhm. – Charlie się wyprostował. – Najpierw chciałbym się upewnić, że oboje zgadzamy się co do tego, że ta rozmowa jest poufna.

– Poufna?

– To znaczy, że nie będziemy omawiać z innymi tego, o czym...

– Wiem, co znaczy poufna – przerwałam mu. – Chcesz mnie zobowiązać do dochowania tajemnicy, tak?

– Nie leży to bynajmniej w mojej gestii. Jest to jedynie propozycja pewnego porozumienia.

Pomyślałam, że to zapewne najdziwniejszy wstęp do rozmowy piętnastolatków, jaki przyszło słyszeć ławce, na której siedzieliśmy. Ręce mi opadły, ale powiedziałam mu, że nie ma sprawy. Obiecałam z nikim o tym nie rozmawiać, ale pod warunkiem że on obieca to samo.

– Dobrze – odparł Charlie. – Obiecuję. Przynajmniej na razie. Zatem...

– Zaczynaj.

Charlie otworzył notes i poprawił okulary.

– Co możesz mi opowiedzieć o swojej rodzinie?

– Co?

– Zapytałem, co wiesz o swojej rodzinie.

– Tak, słyszałam. Dlaczego mam ci opowiadać o rodzinie?

– Możemy ustalić, że to ja zadaję pytania, a ty odpowiadasz? W ten sposób będzie najłatwiej.

Z westchnieniem pokręciłam głową.

– Byłoby mi łatwiej, gdybym wiedziała, dlaczego pytasz – odparłam. – Obiecałam przecież, że nie wygadam.

– Cóż.

Nic więcej nie powiedział. Czekałam, ale nic nie dodał.

– W takim razie musisz sprecyzować pytanie. Czego chcesz się dowiedzieć o mojej rodzinie?

– Wszystkiego. Na przykład jak dobrze znasz ich przeszłość?

– Ich przeszłość? Chodzi ci o wcześniejsze życie mojej mamy i taty?

– Mniej więcej. Opowiadali ci o tym czy przemilczeli?

Gapiłam się na niego.

– O czym mieli mi opowiadać?

– Nie wiem. Dlatego pytam. Oboje pochodzą stąd, z miasta, prawda?

– Hm, tak można powiedzieć.

– Twoja mama chodziła nawet do tej samej szkoły, prawda?

– Tak.

– Czy ktoś z nich siedział w więzieniu?

– Co?

– Coś kiepsko dzisiaj słyszysz. Pytałem, czy ktoś z nich siedział w więzieniu.

– Nie no, kur... – jęknęłam, przypominałam sobie jednak, że w końcu

Charlie to freak, bardzo inteligentny freak. Nie było więc sensu się obruszać. –
Przepraszam. Nie, nikt z nich nie siedział w więzieniu.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście, że jestem pewna. Ani moja mama, ani mój tata nie siedzieli.

– Gdyby jednak było inaczej, myślisz, że dowiedziałabyś się o tym?

– Co masz na myśli?

– Gdyby na przykład postanowili to przemilczeć. To chyba całkiem prawdopodobne, nie sądzisz?

Zastanowiłam się. W każdym razie spróbowałam się zastanowić. W głowie miałam mętlik. Czy to możliwe, że Charlie się ze mną drażni? On taki nie jest, potrafi być ironiczny, czasem trochę złośliwy, ale dalej się nie posuwa. Z reguły nie lubi żartować, jeśli już otwiera usta, to zawsze padają z nich jakieś fakty. Jest tak i tak, tak się sprawy mają i tym podobne.

– Nie wiem – powiedziałam po chwili. – Oczywiście moglibyście chcieć to przede mną ukryć. Nie pojmuję jednak, do czego zmierzasz. Jeśli moja mama lub mój tata siedzieli w więzieniu, to można to chyba sprawdzić inaczej?

– Naturalnie. A reszta twojej rodziny? Czy ktoś z nich siedział?

– Masz na myśli moich młodszych braci?

– Oczywiście, że nie. – Charlie się lekko zirytował. – Pytam o innych krewnych. Poprzednie pokolenie, na przykład. A właśnie, czy twoi dziadkowie jeszcze żyją?

– Ci ze strony mamy żyją, tych ze strony taty nigdy nie spotkałam.

– Ciekawe. – Charlie zapisał to w notatniku.

W tym momencie zaczęłam się zastanawiać, czy sobie nie pójść. Zatrzymała mnie jednak ciekawość. Co on do cholery kombinuje?

– Odpowiedz na pytanie – upomniał mnie.

– Jakie?

– Czy ktoś z twoich krewnych siedział. Twój dziadek lub wujek albo ktoś

inny.

– Nie. Nikt.

– Czy może być tak, że siedzieli, a ty o tym nie wiesz?

Zastanowiłam się.

– Oczywiście – odparłam. – Teoretycznie czy hipotetycznie rzecz ujmując.

Dlaczego jednak mieliby siedzieć w więzieniu?

– Za popełnienie przestępstwa, rzecz jasna. – Charlie przewrócił kartkę w notatniku. – To za to trafia się do więzienia. Odnotowuję jednak, że nie wiadomo ci nic o tym, by ktoś z twojej rodziny popadł w konflikt z prawem. A czy były u was jakieś przypadki nagłej śmierci?

– Co?

– Czy doprawdy muszę powtarzać każde pytanie?

– Owszem – odparłam. – Takich pytań nie słyszy się na co dzień.

– Rozumiem. Zatem czy w twojej rodzinie były przypadki nagłej, być może niewyjaśnionej śmierci?

– Kiedy?

– Kiedykolwiek. Zeszłej wiosny lub dwadzieścia lat temu. Nie ma to większego znaczenia.

– Przypadki niewyjaśnionej śmierci?

– Tak.

Zastanowiłam się. To znaczy siedziałam przez chwilę cicho, udając, że się zastanawiam.

– Nie – odpowiedziałam w końcu. – Nic mi o tym nie wiadomo. Brat taty zginął w wypadku samochodowym dziesięć czy dwanaście lat temu, więc była to dość nagła śmierć. Z drugiej strony, zanim zmarł, leżał w szpitalu przez trzy miesiące. Nigdy go nie poznałam. Mieszkał w Danii, gdzieś przy granicy z Niemcami.

Charlie wyglądał na nieco zawiedzionego, ale coś tam sobie zanotował.

– Nie przypominasz sobie żadnych innych historii?

– Nie – odparłam. Czułam narastającą złość. Chyba nawet na wpół szaleni geniusze nie mają prawa urządzać policyjnych przesłuchań? – Dobra, musisz mi wyjaśnić kilka szczegółów. W przeciwnym razie kończymy tę rozmowę.

– Co mam ci wyjaśnić?

Pomyślałam sobie, że to doprawdy głupio z jego strony, że o to zapytał.

– Czemu nagle tak się zainteresowałaś moją rodziną? I skąd ta gadka o więzieniu i przypadkach śmierci? To wcale nie jest przyjemne, czego taki geniusz jak ty powinien się domyślać.

Charlie najpierw się wzdrygnął, potem zaczął bębnić palcami o kolano. Było widać, że znów się zdenerwował, ja jednak nie odpuszczałam.

– I nie wydaje ci się, że to nienormalne? – ciągnęłam. – Jak ty byś się czuł, gdybym nagle zaczęła wypytywać o twoją mamę?

Charlie poprawił okulary i zamknął notatnik.

– Wydawało mi się, że była między nami umowa – odparł. – Zgodziłaś się przecież, żebym zadał ci trochę pytań.

– Możliwe, ale nie mam już ochoty rozmawiać. Nie, jeśli nie dowiem się, co się za tym kryje.

Charlie przez chwilę siedział cicho. Minęła nas idąca powoli kobieta z wózkiem. Dość tego, pomyślałam. Jeśli Charlie nie wyjaśni mi, dlaczego mnie przesłuchuje, wstanę i wrócę do Emmy i marszałka Mannerheima.

To jednak on wstał pierwszy.

– Muszę to sobie przemyśleć – powiedział. – Teraz mogę ci powiedzieć tylko, że wiąże się to z Kallmannem. Choć tego może już się domyśliłaś?

Nie, nie domyśliłam się. Od razu się zawstydziłam. Jak mogłam być tak tępa? Chociaż kiedy Charlie pierwszy raz prosił mnie o rozmowę, pomyślałam o Kallmannie. Tylko potem o tym zapomniałam. Minęły już cztery miesiące od jego śmierci, ale w jakiś dziwny sposób wydawało się, że wciąż żyje.

– Co się właściwie wydarzyło tamtej nocy? – zapytałam. – Kiedy zginął. Charlie nie odpowiedział, pokręcił tylko głową i ruszył w stronę Emmy.

No tak, niby czemu miałyby o tym rozmawiać akurat ze mną? Skoro jak dotąd nikomu nie pisał o tym ani słowa.

A jeśli już, to tylko policji. Czy to na ich polecenie wypytywał mnie o rodzinę? Niby po co? Policja mogła przecież sama mnie przesłuchać, gdyby tylko chciała. Ruszyłam za Charliem. Kwestia fińskiej wojny domowej wydawała mi się teraz niezmiernie odległa.

Wieczorem opowiedziałam Emmie o rozmowie z Charliem. Leżałyśmy na moim łóżku. W pokoju paliły się dwie świece, a z głośników leciała Lisa Ekdahl. Emma właśnie dzwoniła do mamy, która pozwoliła jej u mnie przenocować. Na zewnątrz zacinał gęsty jesienny deszcz. Miałam wrażenie, że kryjemy się w jakiejś szklanej bańce, która oddziela nas od straszego, niepojętego świata. Podzieliłam się z Emmą moimi myślami, ale ona tylko prychnęła.

– Jeśli zaśniemy, nie gasząc tych świeczek, to znajdziemy się w najniebezpieczniejszym miejscu Europy Północnej – dodała. – Wyjaśnij mi, o co chodzi Geniuszowi Charliemu.

– Nie wiem. A ty jak myślisz?

– Myślę, że jest nieślubnym synem Kallmanna.

– Co? Oszalałaś?

– Żartuję tylko. Przyznasz jednak, że jeśli już ktoś w naszym mieście jest dziwakiem, to właśnie Kallmann i matka Charliego.

– Nawet jeśli, to została już tylko ona – odparłam. – Zapomniałaś, że Kallmann nie żyje?

– Masz rację. – Emma się zaśmiała.

Ma cudny śmiech. Gdyby ktoś go słyszał, nie widząc jej przy tym, mógłby pomyśleć, że to śmiech dorosłego faceta. Jej śmiech jest niski i ciepły, a nie

taki kretyńsko dziewczęcy jak mój. Podjęłam wstępne postanowienie, że przestanę się śmiać. W każdym razie do czasu, aż nauczę się robić to lepiej.

– Mimo wszystko – ciągnęła Emma – musisz się czegoś domyślać. Nie jesteś przecież głupia. Przeczuwałaś chyba, o co chodzi, kiedy siedziałaś tam na ławce z naszym Panem Zagadką?

– Nie, szczerze mówiąc, to nie. Nie wpadłam nawet na to, że wiąże się to z Kallmannem.

– Hm, a co twoja rodzina ma wspólnego z Kallmannem?

– Pojęcia nie mam.

– Czy Kallmann mieszkał tu przez całe życie?

– Wydaje mi się, że nie. Sprowadził się tu przed... nie wiem. Dziesięć, piętnaście lat temu?

– Okej, to się zgadza. Ile miał lat, kiedy zginął?

– Chyba został mu rok w szkole. W sensie do emerytury.

Emma pokiwała głową i zaczęła ssać palec wskazujący. Zawsze tak robi, kiedy rozwiązuje zadania z matematyki albo jakąś trudną zagadkę.

– Przestań ssać palec – powiedziałam. – Czy tam w Argentynie wciąż praktykujecie kanibalizm?

Ona jednak nie zwróciła uwagi na mój komentarz.

– A ile lat ma twój dziadek ze strony taty? – zapytała.

– Kto?

– Twój dziadek ze strony taty. Zasypiasz czy co?

– Nie, nie. Tylko on nie żyje.

– Sorry. A od strony mamy?

– Sześćdziesiąt cztery. Zeszłej zimy przeszedł na emeryturę, a chyba zrobił to rok wcześniej niż normalnie. Dlaczego pytasz?

Przez chwilę Emma myślała.

– I Kallmann też miał sześćdziesiąt cztery?

– Może tak. Co za różnica?

– Może się znali?

– Zapomnij. Kallmann z nikim się nie znał, a mój dziadek to skwaśniały pustelnik.

– Urodził się w mieście?

– Kto?

– Kurde, przestań ciągle pytać kto. Lepiej spróbuj nadążyć za moim inteligentnym tokiem rozumowania.

– Wybacz, Emma. Twój umysł pracuje tak szybko, a ty ciągle dzielisz się ze mną tak wnikliwymi obserwacjami. Zwykły człowiek nie ma szans.

– Ty małpo! – zawołała Emma i cisnęła we mnie poduszką. – Czy twój dziadek urodził się w K.? Obiecuję, że to już ostatnie pytanie na dziś.

– Yyy... nie – odpowiedziałam. – Ale przyjechał tutaj, jak miał siedem lat. Tak mi się wydaje.

– Dobra, to wszystko wyjaśnia.

– Niby co wyjaśnia?

– Musimy sprawdzić, czy Kallmann też mieszkał tu wcześniej – sprecyzowała Emma. – To znaczy zanim się tu sprowadził dziesięć lat temu. Dwóch sześćdziesięcioczworolatków dorastających w K. musi się znać, nie?

– Gadasz, jakbyś była młodszym bratem Charliego, wiesz o tym?

– Bzdura. Musimy też sprawdzić, o co chodziło z tym więzieniem. Może on mówił o Szarej Twierdzy?

Szara Twierdza to zakład karny położony pięć kilometrów za miastem. Charlie jednak nie wspomniał tego akurat miejsca. Pomyślałam, że rozumowanie Emmy kuleje niczym koń na trzech nogach. Byłam jednak zbyt zmęczona, żeby z nią dyskutować.

– Ależ ty jesteś mądra – powiedziałam tylko. – Jak to możliwe?

– To dlatego, że pochodzę z argentyńskiej pampy. Tam wszyscy są mądrzy,

nawet krowy. A kanibalizmu dopuszczamy się tylko, kiedy jesteśmy za granicą. Zgaś świeczki, jutro jeszcze o tym pogadamy.

Zrobiłam, jak kazała. Zanim jednak zasnęłam, w głowie zrodziło mi się jeszcze jedno pytanie.

Ile lat mogła mieć mama Charliego Mattisa, największa artystka w K.? Dzieci można mieć do pięćdziesiątki.

Potem zastanowiło mnie, skąd w ogóle wzięło się to pytanie.

11

Igor

Niniejszym muszę wycofać się ze stwierdzenia, że początek roku był udany.

Owszem, sama dydaktyka idzie, jak powinna, ale wszystko wokół jakby się rozchwiało. Brak nam równowagi. W gronie nauczycieli w mgnieniu oka dochodzi czasem do podziałów, wyolbrzymia się konflikty o nic, obgaduje innych, a ostatnia wywiadówka przebiegła doprawdy nie najlepiej. Ot, kilka przykładów.

Poza tym wszyscy dowiedzieli się o antysemickich listach do Very Rönne, chociaż zgodziliśmy się, że sprawę należy zachować w tajemnicy. Drugi list był podobny do pierwszego, zarówno w formie, jak i w treści, co wskazuje, że mamy do czynienia z tym samym sprawcą. Czy też sprawcami, co wydaje się bardziej prawdopodobne. W zeszły wtorek na porannym spotkaniu klas dziewiątych w auli Torstensson podjął tę kwestię, pokazał krótki dokument o zagłodzonych więźniach obozów koncentracyjnych, po czym wyraził swoje potępienie. Osobiście uważam jednak, że reakcja uczniów była raczej słaba. Inicjatywa wyszła od samego Torstenssona, ale sprawiał on wrażenie niezaangażowanego i mało przejętego. Doprawdy, nie po raz pierwszy wykazał się brakiem pedagogicznej finezji.

Moja rozmowa z inspektorem Marklundem też nie przebiegła najlepiej.

Najwyraźniej nie obchodzi go, że jego dawny nauczyciel matematyki stara się mu pomóc w pracy. Może przypomina mu się, jak próbowałem robić to samo dwadzieścia lat temu (skądinąd z równie zniechęcającym skutkiem).

Jakby nie rozumiał, że tym razem chodzi o śmierć w niejasnych okolicznościach. Z kamienną twarzą wysłuchał mojej opowieści o ostatniej rozmowie między mną i Kallmannem, a potem w ogóle jej nie skomentował. Podziękował mi tylko za informację, zaznaczając przy tym, że to samo mówiłem już wcześniej i że przecież zanotowali to w aktach.

– Nadal pracujecie nad tą sprawą? – zapytałem.

– Nie chcę poruszać tego tematu – odpowiedział, przybierając minę przebiegłego rutyniarza. – Teraz koncentruję się na listach z pogrózkami, które dostała pani Rönne.

Ciekawe, czy myśli o niej „pani” jako o nauczycielce z dawnych lat. Vera pracowała tu przecież, kiedy był uczniem. Zrozumiałem, że na tym nasza rozmowa się skończyła. Myślę sobie jednak, że skoro takich mamy inspektorów kryminalnych, to nic dziwnego, że odsetek wyjaśnionych spraw maleje z roku na rok.

Jak wspominałem, wywiadówka dla rodziców klas dziewiątych, która odbyła się we wtorek, również pozostawiła wiele do życzenia.

Szczególnie pierwsza godzina zebrania w auli. Grupa rodziców uczniów mieszkających na wsi zgadała się ze sobą i zaczęli kwestionować dosłownie wszystko: transport do szkoły, sprawę wycieczek w drugim semestrze, jedzenie w stołówce, korzystanie z używanych materiałów oraz kwestie związane z informowaniem ich o edukacji dzieci. Torstensson od razu dał się zakrzyczyć, ale Fröberg starał się odpierać ataki, jak długo się dało. W końcu postanowiono, że powoła się grupę zadaniową, swego rodzaju organ kontrolny składający się z trojga rodziców (w tym jednego ze związku Szkoła i Dom⁶), dwojga nauczycieli oraz dwojga uczniów (których będzie mógł wybrać

samorząd szkolny) i któregoś z dyrektorów. W ten sposób szkoła miała się raz na zawsze uporać ze wszelkimi problemami.

Ot, kolejna skazana na niepowodzenie grupa, kolejne godziny zmarnowane na pseudodemokratyczną działalność, zmore naszych czasów. Skąd Fröberg wytrzasnie im dwoje nauczycieli? Ciekawe wyzwanie.

Sytuacja nieco się poprawiła, kiedy zebraliśmy się w sali do fizyki z rodzicami uczniów z mojej klasy. Dziewiątą B prowadzę wspólnie z Marianne Eskilsson już od dwóch lat i jak dotąd nikt nie miał zastrzeżeń do naszej pracy. Marianne wprawdzie może się czasami wydawać bezpłciowa, ale to typ pedagoga, który na dłuższą metę okazuje się skuteczny. Pozwoliłem jej zacząć i dopiero po jakimś czasie przejąłem ster. Taka kolejność wydawała się naturalna.

Pewnym zaskoczeniem okazała się obecność Karoliny Mattis, znanej, ale nieśmiałej i tajemniczej matki Charliego. O ile mnie pamięć nie myli, był to pierwszy raz, kiedy przekroczyła progi naszej szkoły, można więc zastanawiać się, co takiego ją do nas ściągnęło. Nie wypowiedziała się w żadnej z kwestii, siedziała tylko w kącie z rękami skrzyżowanymi na piersi i wyglądała na mało zainteresowaną tym, co mówiliśmy. Możliwe nawet, że drzemała skryta za przyciemnionymi okularami i kosmykami czarnych włosów, ale na szczęście nie musiałem jej budzić, kiedy skończyliśmy.

Kolejną małą niespodzianką było pojawienie się Bernta-Olova Westera, ojca Andrei. Od klasy siódmej to jej mama, Ulrika, przychodziła na każdą wywiadówkę. Była równie pilna i uważna jak w czasach, gdy sama była uczennicą. Nie przypominam sobie jednak, żeby pojawił się tu wcześniej pan Wester. Może tylko na początku gimnazjum. Tak czy inaczej, za każdym razem, gdy widzę Ulrikę Wester, uderza mnie, jak bardzo córka ją przypomina. Andrea to jej kopia, podczas gdy Bernt-Olov Wester, zdaje się, poskapił dziecku swoich ciężko zarobionych genów. Na wywiadówce wyglądał na

równie niezainteresowanego co Karolina Mattis. I doprawdy brak mu tego czaru, który emanuje z jego żony i córki. Może kiedy siedział taki nieszczęśliwy w naszej sali do fizyki, w telewizji leciał akurat mecz piłki nożnej, który chciał obejrzeć. Widywałem już twarze o tak katatonicznym wyrazie przy podobnych okazjach. Oł, pozbawiona talentów i mało bystra miernota, mówiąc innymi słowy. Poza tymi dwiema niespodziankami zebranie przebiegało jak zwykle, chociaż teraz uświadomiłem sobie, że atmosfera była trochę ponura. Nie jestem absolutnie zwolennikiem zaangażowanych i aktywnych rodziców. Przeciwnie, od zawsze wyznawałem zasadę, że szkoła ma robić swoje, natomiast rodzice powinni zająć się frontem domowym (oczywiście nie głoszę tej opinii publicznie). Nie znaczy to jednak, że jeśli raz w semestrze przyjdzie się na takie półobowiązkowe zebranie, trzeba krzywić się jak znudzony wierny, który nie może wysiedzieć na mszy. Można przecież robić dobrą minę do złej gry i udawać, że wszystko idzie, jak należy, wykrzesać z siebie trochę optymizmu i wyrazić zaufanie wobec grona pedagogicznego. Takich reakcji ewidentnie nie uświadczylismy tamtego wieczora i kiedy w pół do dziesiątej zegnałem się z Marianne, wiedziałem, że była trochę rozbita.

W samym gronie zresztą też coś jest nie tak. Nie potrafię wskazać co konkretnie, pewnie zresztą chodzi o kilka spraw. Jedna kłótnia prowadzi do drugiej. Na przykład Elvira Kristell od ZPT-ów należy do obraźliwych. Wystarczy, że ktoś w jej obecności nazwie jej przedmiot „robótkami”, a kobieta wychodzi z siebie. Z reguły jej taktyką obronną jest tworzenie obozu z Doris Södergren, która prowadzi zajęcia z szycia, oraz z Ebbą Friman, naszą pedagog wspierającą. Potem przez kilka tygodni trwa swoista wojna pozycyjna, która kończy się, kiedy ktoś wyrazi podziw dla dań przygotowanych przez uczniów lub samą Kristell na zajęciach z rzeczonych robótek. Mogą to być tort, ciastka zaserwowane do popołudniowej kawy lub

cokolwiek innego.

Teraz podobne wojny pozycyjne zdają się trwać na kilku frontach. Kiedy Frantzén od muzyki oznajmił, ile godzin potrzebuje przed przedstawieniem świątecznym na próby z dziewięcioklasistami, połowa z kolegów zareagowała niezadowolaniem i pomrukami. Druga połowa pospieszyła więc bronić Frantzéna. Tego samego dnia do Torstenssona udała się delegacja z protestem. Nazajutrz pojawiła się u niego delegacja przeciwna protestom. Torstensson po swojemu udzielił poparcia obu frakcjom i nikt już nie wie, na czym stoimy. Rämner od niemieckiego powie swoim uczniom zapewne, że ci, którzy poświęcą czas na muzyczne dyrdymały zamiast na naukę gramatyki, będą musieli pogodzić się z konsekwencjami swojej decyzji. Bo w szkole jest jak w życiu.

Istotnie. Kolegialna koegzystencja oparta na liberalnych i wolnościowych zasadach może być zarówno siłą, jak i słabością. Teraz mamy chyba do czynienia z jej destrukcyjnym działaniem. Podsyca niepokoje i zawiść. Oczywiście przy moim trzydziestoletnim doświadczeniu nie robią na mnie wrażenia takie sytuacje konfliktowe, nie jeśli rozgrywają się na niwie pedagogicznej. Nie da się jednak ich nie zauważyć. Co ciekawe, cała ta atmosfera zdaje się wiązać jakoś z Eugenem Kallmannem. Kiedy w tym tygodniu przedstawiciel samorządu uczniowskiego Sigge Sundberg przedstawił propozycję postawienia pomnika upamiętniającego Kallmanna, ciało pedagogiczne jakby rozszczepiło się na dwoje. Simonsson i Lundberg dostrzegli w tym szansę dla siebie i od razu uderzyli we wzniosły ton. Oznajmili, że to karygodne i poniżające (tak, Lundberg użył słowa „poniżające”, choć nie wiadomo wobec kogo), by stawiać figurę z brązu na betonowym cokole (taką dokładnie zaproponowali uczniowie) nauczycielowi, który wprawdzie zginął w tragicznych okolicznościach, ale którego dokonania pedagogiczne można podsumować jako pełną uporządkowaną błazenadę.

Stanowisko Lundberga natychmiast wywołało falę sprzeciwu, szczególnie ze strony nauczycieli języka, i przez chwilę w pokoju nauczycielskim inwektywy latały swobodnie, jak nigdy dotąd. Ellen Moerk wybuchnęła płaczem, a Möller kazał Lundbergowi iść do diabła, bo figura z brązu to właśnie to, czego ta zafajdana szkoła potrzebuje. Może to uświadomi niektórym nauczycielom niedorajdom, o co tak naprawdę chodzi w kształceniu młodzieży. Otto Simonsson, który jest dość roslym mężczyzną, miał chyba ochotę dać Möllerowi w zęby, ale wtedy zadzwonił dzwonek i wszyscy bojownicy zamiast zacząć bójkę, rozeszli się z czerwonymi twarzami do swoich klas. *Saved by the bell*, wymamrotała jeszcze nasza anglofilka, Berit Bom. Wyjątkowo trafny komentarz.

Później dyskusja jeszcze się toczyła. Ma być pomnik czy nie, oto jest pytanie. Nie mogę się jednak oprzeć wrażeniu, że u źródła kontrowersji leży coś zupełnie innego, o wiele poważniejszego i bardziej złożonego. Torstensson i Fröberg postanowili to przeczekać i może ich taktyka jest słuszna. Nie wszystkie konflikty warto rozwiązywać. Jutro, jak co roku w tygodniu poprzedzającym początek sezonu łowczego na łosie, organizujemy bieg na orientację wokół Blåberga. Prognozy mówią, że dzień będzie słoneczny i wietrzny, mam więc nadzieję, że kilka godzin na świeżym powietrzu wybije zepsute myśli z głowy tym walecznym kogutom.

Ale dość już o tym. Jest po jedenastej, a jutro przed wpół do ósmej muszę się stawić w Blåberga, żeby przygotować miejsce startu i rozdać mapy oraz kompasy. Zajmuję się tym od jakichś ośmiu czy dziesięciu lat. Mimo wszystko można więc pomyśleć, że wszystko toczy się jak zawsze. Może w obecnej sytuacji to najlepsze antidotum.

12

Ludmilla

5 października, wpół do szóstej rano.

I znów zaczynam służbę, już pora. Ostatnio w szkole byłam tydzień temu. W czwartek i piątek miałam szkolenie w Ö., a potem przez trzy dni siedziałam w domu z chorymi dziećmi. W poniedziałek chory był tylko Erik, ale we wtorek i środę już obaj. Nic poważnego, rozkłada ich tak raz, dwa razy w roku. Porządne przeziębienie czy może grypa, nie wiem, jak to nazwać. Tydzień w łóżku i znów rozsadza ich energia. Mają tak po ojcu.

Mnie jednak działa na nerwy siedzenie w domu, nie mam pojęcia, jak wytrzymałam te lata, kiedy nie robiłam nic innego, tylko karmiłam, zmieniałam pieluchy, gotowałam i sprzątałam. Trzecie dziecko? W życiu. Po miesiącu wylądowałabym w psychiatriku.

W każdym razie od dziś to Klas się nimi zajmie. Jak można się było spodziewać, poróżniliśmy się o to. Klas bardzo zżymał się w ten niby grzeczny sposób, kiedy oznajmiłam mu, że absolutnie nie mogę opuścić kolejnych dwóch dni w pracy. Czy w naszym związku panuje równouprawnienie, czy nie? W końcu się poddał, a potem przesiedział dwie godziny w swoim gabinecie, jak go nazywa, wykonując z osiemnaście telefonów i załatwiając sprawy.

Tak w każdym razie twierdził, ja tam wiem, że przez większość czasu

rozwiązywał krzyżówki i użalał się nad sobą. W końcu ta jego cholerna firma nie ma aż tyle roboty. A argument, że jego pensja jest dwa razy wyższa, w związku z czym tracimy, kiedy to on zajmuje się chorymi dziećmi, może sobie wsadzić gdzieś. Wprawdzie nigdy go nie użył, nie może jednak zapominać, że jego żona potrafi czytać w myślach.

Blefowałam, mówiąc, że muszę być w szkole. Za półtorej godziny wsiądę do samochodu i pojedę do Blåberga, gdzie przez cały dzień będziemy mieć bieg na orientację, na którym każdy mógłby mnie zastąpić. Na wszelki wypadek zadzwoniłam wczoraj po południu do Hämlina i potwierdziłam, że będę obecna i że z chęcią podejmę się tego zadania, co zawsze. To znaczy będę sobie chodzić po lesie i na ile się da, pomagać zagubionym uczestnikom. Okazało się, że Hämlin na mnie liczył, poza tym do towarzystwa przydzielił mi Leona Bergera. Nie mogłam się nie zgodzić, przez co znów nie mogłam spać. Obudziłam się o trzeciej i potem już nie zmrużyłam oka. Niech to cholera, nie mam wyjścia, muszę chwycić byka za rogi.

Sama nie wiem, co dokładnie miałam na myśli, używając takiego, a nie innego powiedzenia, choć przyszło mi do głowy kilka aż nadto wyraźnych interpretacji. Absurdalnych, a jednocześnie kuszących.

Zanim jednak przejdę do opisu tłumu czterechset uczniów oraz grupy nauczycieli błakających się po lesie w Blåberga, muszę poświęcić kilka linijek wydarzeniom poniedziałkowego wieczoru. Kiedy Klas wrócił do domu i zjedliśmy mało pomysłowy obiad zlepiony z resztek z niedzieli, postanowiłam, że wybiorę się na długi spacer. Przez cały dzień nie wychodziłam, bo chłopaki leżały w łózkach, pociągając nosami. Potrzebowałam więc świeżego powietrza. Nie ma sprawy, zgodził się Klas. Ja pozmywam, ty idź, na ile chcesz.

Poszłam wzdłuż rzeki w stronę jeziora i rezerwatu przyrody, co wydawało

się oczywistym kierunkiem, mieszkamy bowiem w zielonej okolicy. Zaczęło już zmierzchać, ale szłam ścieżką dla biegaczy, którą lokalne towarzystwo sportowe oświetliło na odcinku kilku kilometrów. Nikt nie powiedział, że żeby z niej korzystać, trzeba mieć na sobie strój do joggingu.

Kiedy przeszłam połowę ścieżki, nagle usłyszałam jakieś głosy. Najpierw myślałam, że to para zbliżających się biegaczy, okazało się jednak, że rozmowa dobiega gdzieś z boku. Z dość bliska. Mijając krzew rdestówki rosnącej na sporym głazie, zorientowałam się, że to ktoś, kto w ciemnościach skrył się za kamieniem, jakieś cztery, pięć metrów od ścieżki.

Jeden głos należał do kobiety, drugi do mężczyzny.

A dokładniej rzecz ujmując, do kobiety i chłopaka. Bo jego rozpoznałam. Charlie Mattis.

Jedynie przez pół minuty mogłam wyłapać ich słowa. Słyszałam głównie Charliego. Ma dość specyficzny sposób mówienia, peroruje, jakby stał na ambonie, nawet jeśli chodzi o sprawy codzienne. Trochę jak Carl Bildt. Przez chwilę zastanawiałam się, czy zaznaczyć swoją obecność, uznałam jednak, że to niestosowne. Zapewne było to potajemne spotkanie, inaczej nie staliby chyba za głazem w ciemnym lesie? Ja zaś nie miałam ochoty wtykać nosa w nie swoje sprawy.

Nie wiem, czego dotyczyła ich rozmowa. Wyłapałam tylko dwie kwestie, jedną kobiety, drugą Charliego.

– Nie wiem, od kogo się tego dowiedziałeś. Czy ty w ogóle rozumiesz, co mówisz?

– Oczywiście, że rozumiem, ale niestety nie mogę zdradzić swojego źródła.

Więcej nie słyszałam, jednak przez resztę spaceru to, co powiedzieli, raz po raz rozbrzmiewało mi w głowie, niczym zacięta stara płyta. Czy ty w ogóle rozumiesz, co mówisz? Niestety nie mogę zdradzić mojego źródła.

Co to, do diabła, miało znaczyć? Im dalej szłam, tym dziwniejsze mi się to

wydawało. Co takiego Charlie Mattis opowiedział tej kobiecie, kimkolwiek była, co tak nią wstrząsnęło? W jej głosie dało się bowiem słyszeć poruszenie, nie mam co do tego wątpliwości. Za to Charlie mówił jak zwykle pouczającym tonem, nieco się wywyższając.

Kiedy już obeszłam całą ścieżkę, zastanawiałam się, czy nie ruszyć nią jeszcze raz, choćby do głazu. Chciałam sprawdzić, czy jeszcze tam stoją, wybiłam to sobie jednak z głowy. Było mało prawdopodobne, by jeszcze tam rozmawiali, minęło ponad pół godziny. Zresztą, nawet gdyby byli, okoliczności nie sprzyjały temu, bym mogła się po prostu wtrącić i poprosić, żeby zaprosili mnie do dyskusji. Podśluchiwanie z ukrycia też wydało mi się złym pomysłem. Rzecz jasna ciekawiło mnie, kim była ta kobieta, ale to za mały powód, by tam wracać, zwłaszcza że już bolały mnie nogi. Za mało ćwiczę, co zwykle stwierdzam jakieś pięć razy na dzień.

Poszłam więc do domu. Dzieciaki już spały, Klas też. Wypiłam filiżankę herbaty i robiłam wszystko, by myśleć o czymś innym niż o zasłyszanych w lesie głosach. Jednak próbować zapomnieć o takim czymś, to jak próbować zapomnieć o guzie mózgu, który się ma.

Teraz jednak o innym, nieco większym lesie. Kiedy pakowałam kanapki, zastanawiałam się, czy nie wezwać Charliego Mattisa na rozmowę w przyszłym tygodniu. Nie umiałam jednak wymyślić żadnego rozsądnego powodu. Chłopak jest dość sprytny, by przejrzeć byle jakie kłamstwo. A pytanie o to, co robił w lesie z kobietą w poniedziałkowy wieczór, byłoby chyba nazbyt obcesowe. Naruszenie prywatności, co się zowie.

Może jednak skupiałam się na Charliem, żeby nie myśleć o Leonie. Znów czuję się jak wtedy, kiedy miałam czternaście lat i wybierałam się do kina z Henrikiem Blomem, moją pierwszą prawdziwą miłością. Od tamtej pory minęło trzydzieści lat, ale jak widać, pewne sytuacje i wydarzenia z młodości, czy to traumatyczne czy nie, stają się archetypami i punktem odniesienia,

z którego korzystamy przez resztę życia.

Tak przynajmniej twierdzą niektórzy. Takimi prawdami, na przykład, karmili nas na szkoleniu w zeszłym tygodniu. Okres dzieciństwa sabotuje całe nasze dorosłe życie.

W każdym razie na godzinę przed umówionym spotkaniem w kinie Henrik Blom dostał ataku wyrostka robaczkowego, a kiedy wyszedł ze szpitala, zaczął się prowadzić – jak to się wtedy nazywało – z moją najlepszą przyjaciółką Inger.

Takie jest życie. Archetypiczne do bólu.

13

Leon

Kiedy po kilku dniach wróciłem do pamiętników Eugena Kallmanna (ponownie sięgnąłem do najstarszego z lat 1980–1984), zaobserwowałem, że ich treść jest bardzo zróżnicowana. Niektóre fragmenty okazały się mniej lub bardziej niezrozumiałe, zwłaszcza, że były zupełnie wyrwane z kontekstu. Na przykład 3 marca 1980 roku Kallmann napisał:

I jaki jest niby sens życia człowieka w porównaniu z sensem życia muchy? Co je różni? W czym niby jesteśmy lepsi? Oczywiście człowieka konstytuuje między innymi aspekt czasoprzestrzenny, ja jednak chciałbym się doszukać różnic innych kategorii. Kiedy na pytanie „Kim jesteś?” zmuszony jestem odpowiedzieć „Ja? Jestem człowiekiem, który w tej chwili tu siedzi”, odpowiedź taką uznaję za niewyczerpującą, wręcz odrzucającą. Tak dziwnie sformułowana prowadzi oczywiście do bardziej ogólnej, ponieważ jednak staramy się pokazać nie to, że jesteśmy ludźmi, a to, że jesteśmy jednostkami, zmuszeni jesteśmy szukać unikalnych złożeń, nie zaś takich, które definiują nas jako gatunek.

I tak przez trzy strony. Dopiero 25 kwietnia, w siódmym wpisie tego roku, Kallmann wraca do swojej (fikcyjnej) biografii oraz rzekomego zabójstwa matki:

Niestety ojciec od razu przejrzał okoliczności śmierci matki. Kiedy tylko skończyłem dwanaście lat, wysłał mnie do odległego krewnego do Szwajcarii. Nigdy jednak nie poznał bolesnych szczegółów, biedak. Ponieważ ojciec też zmarł przedwcześnie, nie zdążyliśmy omówić sprawy. To jego ciężka depresja sprawiła, że się poddał. Zrozumiał, że zarówno jego

syn, jak i córka cierpieliby, gdyby musieli dorastać w tej ciemności, która go otaczała. W pewnym stopniu dopadła ona także moją siostrę, przez co stała się potem inną osobą. Rzeczoną krewną był kuzynem mojego ojca (miał też brata bliźniaka) i został moim opiekunem prawnym na osiem lat, czyli do momentu, kiedy wróciłem do Szwecji, by rozpocząć studia w Lund. Nazywał się Ambrose Lutz, był urzędnikiem bankowym w miasteczku Rüligen w kantonie Nidwalden. Ożenił się z małą, nerwową kobietą o imieniu Rachel. Nie mieli dzieci. Szybko pojąłem, że jej nerwowość wiązała się z żydowskim pochodzeniem. Sprowadziłem się do nich latem, wojna szalała wtedy na wszystkich frontach, obozy koncentracyjne zaś przestały być źle skrywaną tajemnicą. Oczywiście Szwajcaria była krajem neutralnym, mimo wszystko, kiedy wreszcie nadszedł pokój, Rachel i jej nerwowość stały się jednym, ja w każdym razie z mojego nastoletniego punktu widzenia nie odnotowałem, by coś się zmieniło w tym względzie po wojnie. Brat bliźniak Ambrose'a nazywał się Efraim. Był kawalerem i mieszkał w sąsiednim miasteczku, Bossingen. Pracował jako szewc i skrzypek. Szewcem był z zawodu, po skrzypce sięgał przy okazji różnych uroczystości, jak śluby, chrzciny i imprezy sylwestrowe. Ani Ambrose, ani Efraim nie brali udziału w wojnie, byli tylko w rezerwie. Czułem, że Efraim kogoś zabił. Myślę, że zorientowałem się jakąs sekundę po tym, jak nasze spojrzenia się spotkały po raz pierwszy pewnego jesienno dnia 1943 roku. Od razu też wiedziałem, że on wie, że ja wiem. Obaj spuściliśmy wzrok, gdyż dzieliliśmy brzemię wstydu. Po kilku latach, zupełnie przypadkowo, dowiedziałem się, że zabił nauczyciela, który był jego zmorą przez wszystkie lata szkolne. Morderstwa, bo to było morderstwo, dopuścił się kilka lat po skończeniu szkoły. Pomógł mu dawny kolega, kolejna ofiara tegoż nauczyciela. To właśnie on, ów współlnik Efraima, powiedział mi o zabójstwie. Spotkałem go niedługo przed wyjazdem do Szwecji na turnieju szachowym w Bazylei. Nie chcę się doprawdy wdawać w szczegóły tego, w jaki sposób przedstawiono mi tę historię czarno na białym. Ważne, że to po pierwszym spotkaniu z Efraimem zrozumiałem, że posiadałem wyjątkowy dar zagłębienia w głąb ludzkich dusz. Zwłaszcza tych zagubionych i zrozpaczonych, uwięzionych w ciałach morderców. Emanuje z nich szczególna rozpacz, sprawia, że tak łatwo je dostrzec. To permanentny stan ducha, tonacja, która nigdy nie przestanie rozbrzmiewać, coś, czego nie da się ukryć, nawet nie wiem, jak bardzo by się próbowało. Widzę w nich lustrzane odbicie siebie.

Przeczytałem ten fragment trzy razy. Z pewnością czuć w nim było literacki nerw i jakość, ale czy miał w sobie coś z prawdy? Czy Kallmann odnosił się do własnej rzeczywistości?

Nie wiem. Fikcyjne autobiografie są w końcu dość popularne i całkiem łatwo coś takiego stworzyć, może więc i ta historia została przerobiona na opowiadanie w pierwszej osobie. Któryś z jego wcześniejszych tekstów

mógłby stanowić dla mnie wskazówkę. Kiedy jednak je wydano? I pod jakim pseudonimem? W jakim wydawnictwie? Słyszałem jedynie plotki o literackiej przeszłości Kallmanna, może w rzeczywistości były wysrane z palca? Może nigdy nic nie napisał?

Faktem było jednak, że spod jego pióra wyszły cztery obszerne bruliony w miękkich okładkach. Każdy z nich rozpoczynał wpis ze stycznia, a kończył wpis z grudnia parę lat później: 1980–84, 1985–88, 1989–91, 1992–94. Ostatni fragment powstał 30 grudnia 1994 roku, zatem dziesięć miesięcy temu i niecałe pół roku przed śmiercią. Przyszło mi oczywiście do głowy, że gdzieś jest jeszcze rozpoczęty kolejny brulion z zapiskami z ostatnich czterech, pięciu miesięcy jego życia. Jeśli tak, to musiał go przechowywać gdzie indziej niż w szkolnym biurku. Narzucała się hipoteza, że miał go w mieszkaniu (gdziekolwiek się ono znajdowało). Być może pisał w domu, a kiedy już zapełnił brulion, przynosił go na przechowanie do szkoły? Ale po co? Dlaczego chował je w szufladzie biurka w pracy? Czyż nie bardziej prawdopodobne wydaje się, że zapiski robił, siedząc po godzinach w szkole co któryś wieczór, i że w związku z tym gdzieś musi być piąty brulion?

Nie mogę zapomnieć o pamiętnikach Kallmanna, ale cieszy mnie to, ponieważ dzięki temu mogę oderwać myśli od Helen i Judith. Przyznaję, że w tych dziwacznych tekstach jest coś, co do mnie przemawia, i jak znam siebie, to prędzej czy później przeczytam wszystkie cztery bruliony. Moja terapeutka w Sztokholmie używała wyrażenia „skoncentrowane rozproszenie”, właśnie o coś takiego jej chodziło.

Nikommu jeszcze nie opowiedziałem o moim znalezisku, po części ze wstydu, że zacząłem czytać pamiętniki. Jednak potrzeba powierzenia komuś tej tajemnicy – tak, by przy tym nie stała się ona znana wszystkim – niewątpliwie zaczyna być paląca. Czytanie i analizowanie po kryjomu zapisków zmarłego kolegi po fachu, którego nawet nie spotkałem, nie wydaje się żadną miarą

dobrym pomysłem.

Jeśli zaś chodzi o to, komu miałbym się zwierzyć... cóż, tu raczej nie mam alternatywy.

Minęło jednak trochę czasu, zanim miałem szansę się do niej zbliżyć. Najpierw przez kilka dni była na kursie, potem, na początku tego tygodnia, siedziała w domu z chorymi dziećmi.

Przedwczoraj w końcu się udało. Mieliśmy czasu pod dostatkiem, bo było to podczas biegu na orientację. Punkt startowy i meta znajdowały się w miejscu o nazwie Blåberga, to swego rodzaju ośrodek sportu i rekreacji. Latem można tam wędrować po szlakach, a zimą jeździć na biegówkach. Jest położony około dziesięciu kilometrów na północny zachód od K. w melancholijnie pięknej okolicy. Przepływa przez nią rzeka, wijąc się między lasami, które z jakiegoś powodu nie poszły pod topór. Kiedy tam jechałem, na myśl przyszły mi mielerze i stare ballady.

Ale do rzeczy: Ludmilla i ja. W końcu razem. Nasze zadanie polegało na krążeniu między punktami kontrolnymi i pomaganiu zagubionym uczestnikom biegu, choć oczywiście nie mogliśmy przy tym łamać reguł gry. Nie wiem, czy to na prośbę Ludmilly właśnie nam powierzono tę wdzięczną funkcję, nie wykluczam jednak, że miała w tym swój udział. Zabrakło mi odwagi, by zapytać.

Kiedy zaopatrzyliśmy się już w kompas i mapy (na których zaznaczono punkty kontrolne dla klas ósmych i dziewiątych, siódme bowiem biegly po wyznaczonej trasie), pożegnaliśmy się z kolegami stojącymi w punkcie startu i ruszyliśmy w głąb pięknego jesiennego lasu. Było tuż po ósmej, mgły powoli opadały. Ludmilla szła przede mną brzegiem nowo zaoranego pola, potem weszliśmy na wąską, porośniętą sosnami drogę, którą z pewnością od lat nie jeździły żadne pojazdy. Jak dotąd w zasadzie nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa, ale kiedy tylko zniknęliśmy innym z oczu, Ludmilla się zatrzymała

i powiedziała:

– No dobra. Bądź tak miły i wyjaśnij mi, dlaczego mnie pocałowałeś.

Od tamtego wieczoru upłynął miesiąc, miałem więc czas, by sobie to przemyśleć. Problem jednak tkwił w tym, że nie istniała żadna „właściwa” odpowiedź, stanąłem więc i wpatrywałem się w Ludmillę bez słowa.

Ona też nic nie mówiła i w jednej chwili sytuacja nabrała tej cudownej ciężkości, której nie da się opisać. A gdyby już porwać się na opis, można by powiedzieć, że teraz, nie chcąc pogodzić się z byciem tylko łatwo zapomnianym mostem łączącym wtedy i potem, przed i po, oderwało się od obu brzegów i odpłynęło wolno.

– Zrozumiałeś pytanie? – Ludmilla odezwała się znów pół minuty później. A może po trzech lub czterech minutach.

– Tak – odparłem. – Ale nie mam na nie dobrej odpowiedzi. Chociaż...

– Chociaż?

– Chociaż nie miałbym nic przeciwko temu, by zrobić to ponownie.

Po kilku sekundach wybuchnęła śmiechem.

– Chyba nie powinniśmy zaczynać dnia w lesie akurat od tego – powiedziała. – Za chwilę za co drugim drzewem będą uczniowie. Chodź, idziemy.

Chwyciła mnie za dłoń i ruszyliśmy w stronę jakiejś starej chaty, która według mapy nazywała się Czerwona Zagroda i która według Ludmilły była idealnym miejscem na posilenie się kawą i kanapką.

To właśnie tam, kiedy przysiedliśmy z kawą i kanapkami pod ścianą opuszczonego domu, zacząłem opowiadać, co znalazłem w dolnej szufladzie biurka odziedziczonego po Eugenie Kallmannie.

– Pamiętniki? – dopytała Ludmilla.

– On sam tak je nazwał. Nie są to jednak pamiętniki w dosłownym tego słowa znaczeniu. Raczej luźne zapiski rozsypane w czasie. A zawartość jest

bardzo różnorodna.

– Różnorodna?

– Mówiąc delikatnie.

– Ile przeczytałeś?

W jej tonie nie dało się słyszeć krytyki, raczej zwykłą ciekawość. Eugen Kallmann po śmierci wzbudzał wszak większe zainteresowanie niż za życia.

– Tylko króciutki fragment. Dziesięć, może piętnaście stron z najstarszego brulionu. Kallmann pisze o bardzo dziwnych rzeczach. Twierdzi, na przykład, że zamordował matkę i że potrafi zaglądać w ludzkie dusze.

– Zamordował matkę?

– Tak, mając zaledwie jedenaście czy dwanaście lat. Miała kochanka i Kallmannowi wydawało się, że w ten sposób wyświadczy ojcu przysługę. Tak w każdym razie napisał. Równie dobrze może to być fikcja, nie potrafię tego ocenić. Ile wiesz o jego przeszłości?

Ludmilla pokręciła głową i przez chwilę się zastanawiała.

– Niezbyt dużo. Coś tam jednak wiem... a o tym, że potrafi zaglądać ludziom w dusze, kiedyś sam mi wspominał. Rozmawialiśmy kilka razy przez te kilka miesięcy poprzedzających jego śmierć. Miałam wrażenie, że on... jakby chciał mi się z czegoś zwierzyć.

– Zwierzyć?

– Tak.

– A z czego?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Nigdy do tego nie doszliśmy. Lubił zbliżać się do sedna sprawy, zataczając kręgi. Rzadko kiedy mówił coś wprost, trzeba było zgadywać, co mu leży na sercu, i wyciągać to z niego. Gdyby nie zginął, na pewno dowiedziałabym się więcej.

– I rzeczywiście było w tym wszystkim jakieś sedno, wokół którego

zataczał kręgi?

Zmarszczyła czoło.

– Chodzi ci o to, czy przypadkiem nie krążył w pustce? Tak, myślę, że do czegoś zmierzał. Może nawet do czegoś naprawdę ważnego. W ostatnich miesiącach zajmował się jakąś specyficzną sprawą, która na swój sposób trochę go przerażała. To dlatego przyszedł do mnie na rozmowę. Mój Boże, z niego to jednak był dziwak. Możliwe, że tak naprawdę niczego nie zrozumiałam z tych naszych rozmów.

– Ludzie mówią, że Kallmann wydał parę książek pod pseudonimem. Wiesz o tym coś więcej?

Ludmilla pokręciła głową.

– Nie, nie jestem nawet pewna, czy to prawda. Może to po prostu plotka?

– A jest ktoś, kogo by można zapytać?

Chwilę się zastanawiała.

– Może Igor... Igor Masslind. Chyba trochę się kolegowali. Nie byli przyjaciółmi, ale jeśli ktoś w szkole coś wie, to właśnie Igor.

– A ty i Kallmann spotkaliście się tylko kilka razy?

– Tak, tylko dwa. I nigdy nie napomknął nic o zabójstwie matki. Gdzie masz teraz te pamiętniki?

– Leżą tam, gdzie je znalazłem. Nie mogłem się zdecydować, czy chcę czytać dalej. Przecież nawet zmarli mają prawo do prywatności.

– Zwłaszcza zmarli. Cóż, być może rzeczywiście lepiej zostawić te pamiętniki w spokoju.

– Masz rację.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, gryząc kanapki.

– Cholera – odezwała się po chwili Ludmilla. – Zabierz te pamiętniki do domu, to przejrzymy je razem. Nie musimy przecież nikomu o tym mówić.

– Spodziewałem się, że to powiesz.

- Nie – odparła. – Chciałeś, żebym to powiedziała. To różnica.
- Nie do końca rozumiem.

Minęło jeszcze pół godziny, zanim pierwsi uczniowie pojawili się na skraju lasu dwadzieścia metrów przed nami. Było to najlepsze trzydzieści minut, jakie przeżyłem przez ostatnie dziewięć miesięcy. Po raz pierwszy od tragedii myśli o Helenie i Judith zniknęły gdzieś z tyłu głowy. Jakby one same ułożyły się tam spokojnie, nie domagając się już, bym raz po raz wyciągał je z morza, żeby uzalać się nad nimi i nad sobą. Były... były martwe, nawet Judith. Jednak ich mąż i ojciec miał jeszcze kilka lat do przeżycia. Tak przedstawiały się sprawy. Po prostu, obiektywnie rzecz ujmując.

Nie chciałem się zastanawiać nad tym, jaką rolę odegrała w tym chwilowym uzdrowieniu Ludmilla. Chodziło w końcu o grę starą jak świat. Grę, w której lekkość pierwszych kroków niesie ze sobą pewien czar. Wydaje się on śmieszny, jeśli tylko spojrzy się na to z perspektywy. Nie miałem pojęcia, jak układa się Ludmille w małżeństwie. Miała dwoje dzieci w wieku siedmiu i ośmiu lat oraz męża o imieniu Klas. Tyle wiedziałem. Nie mogłem jednak nie zauważyć, że siedzenie ze mną obok nagrzanej słońcem drewnianej ściany domu pośród lasów północnej Szwecji sprawiało jej przyjemność. Pochyliliśmy się nieco w swoją stronę, ale nie za bardzo. Nie było takiej potrzeby. Jej lewe ramię opierało się o moje prawe. Ładnie pachniała. Tu i teraz, pomyślałem, zamykając powieki i wystawiając się do słońca.

Nie tam i wtedy. Tu i teraz, tu i teraz.

14

Andrea

Dziś dostałam list od Callego. Treść zmieściłaby się na pocztówce, ale może Calle nie chciał, by przeczytali to moi rodzice, i dlatego przysłał wiadomość w kopercie.

*Hej, Andrea! Na razie w szkole i w Sztokholmie nudy. Tęsknię za tobą. Mogę przyjechać cię odwiedzić w ferie jesienne?
Uściski, Calle*

Nie mam pojęcia, co odpisać. Po przeczytaniu listu przez godzinę chodziłam w kółko, zastanawiając się, o co mu chodzi? Czego chce? I czego właściwie chcę ja? Myśl o tym, że miałabym jeść śniadanie w towarzystwie Callego, moich młodszych braci i rodziców, jest tak groteskowa, że aż przyprawia mnie o mdłości. I gdzie on niby chciał spać? W moim pokoju? Ojca szlag by trafił, mamę pewnie też. A może miał zamiar rozbić namiot w parku? Nocować w hotelu? Po chwili uświadomiłam sobie, że strasznie zirytował mnie tą absurdalną propozycją. Przyjechać cię odwiedzić! Czy jemu się wydaje, że ja mam dwadzieścia dwa lata i własne mieszkanie?

W końcu postanowiłam wstrzymać się kilka dni z odpowiedzią. Może omówię to z Emmą, choć nie jestem pewna. Nie wiem, czy chcę ją w to wtajemniczać. Bo co jeśli powie: „Ale super, że przyjeżdża! Zajebiecie!”. Co

wtedy zrobię?

Nie, nic jej nie powiem. W niedzielę sama napiszę mu odpowiedź na tę idiotyczną wiadomość. Do tego czasu na pewno coś wymyślę. Przecież do ferii jeszcze trzy tygodnie. Chłopaki to ogólnie rzecz ujmując debile. Ja i Emma to jest to!

Można śmiało nazwać nas prywatnymi detektywami. Tak wyszło, bo nie umiemy odpuścić. Emma twierdzi, że to przez moją ciekawość, ja mówię, że przez jej.

Chociaż nie prowadzimy prawdziwych poszukiwań, przez większość czasu po prostu siedzimy i gadamy. U mnie albo u niej. Zamykamy się w pokoju i udajemy, że odrabiamy lekcje, czasami nawet ktoś z własnej woli przyniesie nam herbatę i kanapki. W każdym razie tak jest u Emmy, której mama waży sto kilo i uważa, że jeśli nastolatki nie będą miały nic w ustach dłużej niż godzinę, to ich mózgi uschną, a ciała rozpadną się na kawałki.

Doszliśmy do tego, że w K. są cztery obiekty, o których musimy dowiedzieć się czegoś więcej: Charlie Mattis, Karolina Mattis, moja rodzina i (rzecz jasna) Eugen Kallmann. Ja osobiście uważam, że moja rodzina nie ma z resztą nic wspólnego, ale Emma co rusz przypomina mi o mojej rozmowie z Charliem i wtedy dopadają mnie wątpliwości.

Jedynym w miarę interesującym szczegółem, który udało się nam ustalić, jest to, że dwie osoby z tej właśnie grupy urodziły się w tym samym roku, to znaczy w 1931: mój dziadek i Kallmann. Ale tylko dwie, nie trzy, na co liczyła Emma. Okazało się bowiem, że Karolina Mattis ma dopiero pięćdziesiąt dziewięć lat, choć to swoją drogą całkiem sporo, jeśli wziąć pod uwagę, że jest matką najmłodszego z tego grona Charliego, lat piętnaście.

O mamie Charliego zebrałyśmy najmniej informacji, a właściwie żadnych. Oczywiście wiemy to co wszyscy, ale to i tak mało. Karolina Mattis od zawsze należała do tych sław, które bardzo chronią swoje życie prywatne. Nie

znalazłyśmy na przykład ani jednego wywiadu z nią, a w albumach umieszczane są tylko informacje dotyczące jej sztuki, to, do jakich szkół chodziła, gdzie miała wystawy, i tyle. Mamy jednak plan, żeby trochę podpytać Charliego. W zamian pozwolę mu na dalszą rozmowę o mojej rodzinie, bo mówił, że chciałby jeszcze się ze mną spotkać. Pozostaje zagadką, co on kombinuje, ale jeśli przypatrzymy się (to znaczy ja) pytaniom, jakie będzie mi zadawał, może czegoś się domyślimy. Tak to w każdym razie sobie obmyśliłyśmy (zwłaszcza Emma).

Eugen Kallmann jest najbardziej interesującym z naszych obiektów, a to z racji swojej śmierci. Nie wypracowałyśmy jeszcze żadnej strategii, jak się czegokolwiek o nim dowiedzieć. Jedyne, co nam zostaje, to liczyć na Charliego. Gdyby Charlie nie był taki, jaki jest, mogłybyśmy go śmiało zaprosić do naszej grupy śledczej, nie mamy jednak złudzeń, że dałby się złapać na taką ofertę. Poza tym należy go uznać za osobę zamieszana. Nie wiemy jeszcze, w jaki dokładnie sposób jest zamieszany, ale to przecież on znalazł wtedy Kallmanna martwego w tamtym domu.

W tamtym domu?

Już na samym początku, pierwszego wieczora, gdy siedziałyśmy u Emmy, dodałyśmy ten dom do listy naszych obiektów do sprawdzenia. Dwóch sześćdziesięcioczworoletnich facetów, jeden z nich nieżywy, różni członkowie mojej rodziny (tylko którzy?), pięćdziesięciodziewięcioletnia kobieta i piętnastoletni chłopak, a do tego stara drewniana chałupa... chyba około setki.

– Dobra – powiedziała Emma. – Robimy zakład. Ja obstawiam dziewięćdziesiąt trzy. Ty?

– O co się zakładamy?

– O bilet do kina.

– Zgoda. Ja obstawiam sto pięć lat.

O dziwo, żadna z nas nie wygrała. Kiedy sprawdziliśmy w bibliotece, okazało się, że Niemiecki Dom wzniesiono w 1896 roku, zatem dziewięćdziesiąt dziewięć lat temu, czyli dokładnie tak, jak obie obstawialiśmy. Zbudował go jakiś kupiec z Bremy, stąd nazwa, i mieszkał w nim do momentu, gdy jego żona oraz trzy córki zmarły na hiszpankę w 1919 roku. Miał sklep z ubraniami – Salon Odzieży Męskiej Lübkego na ulicy Norra torggatan – pod tym numerem, pod którym teraz jest monopol. Niemiec się wyprowadził, a willa przez kilka lat stała pusta, aż wykupił ją właściciel fabryki butów o nazwisku Rollby. Rodzina Rollbych mieszkała tam do roku 1958, kiedy dom kupił właściciel innej fabryki butów, Gustaf Gunnarsson. Był kawalerem i mieszkał sam w tych wszystkich pokojach aż do śmierci czternaście lat temu. Wtedy to willę kupił obecny właściciel, niejaki Henry Adamsson-Schmidt. Adamsson-Schmidt był kaznodzieją, przez kilka lat jeździł po całym kraju wraz z Mållem Lindbergiem i ruchem Maranata ⁷, zbawiając ludzi, aż w końcu osiadł w K ze swoim zgromadzeniem. Nazywało się ono Baranki Arona i w zasadzie było sektą, przynajmniej według bibliotekarza Alarika Palmgrena, który pomógł nam w poszukiwaniach. W latach siedemdziesiątych zgromadzenie miało swoje zebrania w Niemieckim Domu, ale nikt nie wie, co się podczas nich działo. To znaczy wiedzą tylko ci, co tam byli, czyli członkowie sekty, ale po tym, jak ich guru zniknął w 1979 roku, postanowili milczeć na ten temat. W przeważającej mierze były to kobiety, tak więc wszyscy w mieście gadali, że Adamsson-Schmidt z większością uprawiał seks. Kilku z nich zrobił ponoć dziecko. Odkąd Adamsson-Schmidt wyjechał z K., ślad po nim zaginął. Jedna z teorii mówi (a Alarik Palmgren zdaje się w nią wierzyć), że to kilku prawdziwych mężczyzn, których oszukał, wzięło sprawy w swoje ręce i zabiło proroka, który posuwał ich żony. Potem zakopali go w lesie albo gdzieś w okolicy.

W każdym razie dom stoi pusty od roku 1979, czyli od szesnastu lat. Nikt się nim nie zajmował, ani budynkiem, ani coraz bardziej zdziczałym ogrodem.

Wiele razy gmina próbowała znaleźć Adamssona-Schmidta, ale bez skutku. Nikt nie wie, gdzie przebywa, czy żyje (czy może leży pochowany na działce, rzucił z przelotnym uśmiechem Alarik Palmgren), na razie jednak nikt nie rusza domu.

Chociaż więc mnie i Emmie nie udało się dotrzeć do informacji na temat obiektów ludzkich, to całkiem sporo dowiedziałyśmy się o Niemieckim Domu. Domu, gdzie w nocy z 17 na 18 maja tego roku młody pan Mattis znalazł martwego Eugena Kallmanna.

Nadal nie potrafimy powiedzieć, co Charlie miał tam do roboty w środku nocy. To wie jedynie on i być może policja. Warto wspomnieć, że czasami na tę willę mówi się też Dom Numerków, to wiedziałyśmy jeszcze przed wizytą w bibliotece. Działka leży w centrum miasta, ale budynek jest tak ukryty, że można w nim robić, co się chce, nie ryzykując, że ktoś coś zobaczy. No chyba że ktoś inny akurat też się tam wybrał w tym samym celu, ale dom ma dwa piętra i mnóstwo pokoi. Śladami proroka, zażartowała Emma, kiedy już pożegnałyśmy się z bibliotekarzem Palmgrenem. I zarechotała po męsku, jak to ona.

Nie bardzo wierzymy, że Kallmann znalazł się tam z takiego właśnie powodu. Żadna z nas nie była nigdy w Niemieckim Domu w środku, nie mogłyśmy jednak zdecydować, czy rzeczywiście musimy tam iść.

Czy się bałyśmy? Skąd, my nie wiemy, co to strach.

Ostatni fragment napisałam w poniedziałek. Wtedy to właśnie tyle udało się osiągnąć agencji detektywistycznej Wester&Decantines. Jednak dziś, podczas zaplanowanej na po lunchu pracy nad projektem, miałam odbyć drugą rozmowę z Charliem.

Padał deszcz, więc tym razem siedzieliśmy w kanciapie redakcji gazetki szkolnej. Charlie ma klucze, ponieważ jest redaktorem naczelnym oraz głównym korektorem. Wiele osób uważa, że to on sam wydaje całą gazetkę,

nawet ci, którzy piszą do niej artykuły.

– Zatem – zaczął Charlie – miejmy nadzieję, że tym razem zajdziemy dalej niż ostatnio.

– Ja również.

Spróbowałam powiedzieć to naturalnym tonem, ale Charlie i tak posłał mi zdziwione spojrzenie. Chyba nawet podejrzliwe. Olać to, pomyślałam. Twoje pytania będą dla mnie odpowiedziami.

Rzecz jasna to Emma wymyśliła tę mądrą formułkę. Jej geny inteligencji z argentyńskich pamp nigdy nie zawodzą.

– Twoja mama urodziła się tutaj, w mieście, prawda?

– Tak, mieszka tu całe życie.

– W którym roku się urodziła?

– W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym.

– Zatem miała zaledwie dwadzieścia dwa lata, kiedy cię urodziła?

– Mniej więcej. A ile miała twoja?

Nie odpowiedział, skorzystałam więc z okazji, żeby pokazać mu, że i ja wiem to i owo.

– Była dobrze po czterdziestce, co? Skoro już rozmawiamy o rodzicach i ich wieku... Chociaż może twój tata był młodszy?

Charlie uniósł brew i posłał mi spojrzenie, jakim zazwyczaj sygnalizuje rozmówcy, że ten nie jest na tym samym poziomie co on. Dostrzegłam jednak, że tym razem w jego wzroku nie było tyle ciętości.

– Przepraszam – powiedziałam. – Może twój tata nie żyje? W takim razie to zrozumiałe, że nie chcesz o nim rozmawiać.

– Mój tata żyje – odparł Charlie. – Mówię ci tylko po to, żebyś nie trwała w fałszywym przekonaniu.

– No dobra, rozumiem. Następne pytanie poproszę.

I tym razem Charlie miał ze sobą notatnik. Jak się zastanović, zawsze ma

go pod ręką. Teraz go otworzył i zapytał:

– Jak nazywa się twój tata?

– Bernt-Olov.

– A jego rodzice?

– Babcia nie żyje. A dziadek... żyje.

– Żyje? Wydawało mi się, że ostatnio mówiłaś, że nie żyje?

– Nie, nic takiego nie powiedziałam. Mówiłam tylko, że nigdy go nie spotkałam. Mieszka w Malmö, chyba... w każdym razie gdzieś w Skåni.

– Jak się nazywa?

– Raymond Wester.

– Raymond?

– Tak.

Charlie zanotował.

– A dziadek od strony mamy?

Zaczęłam się zastanawiać, czy będzie mnie też pytać o rodzeństwo cioteczne i kuzynów.

– Erik Larsson. Erik Valdemar Larsson, mówiąc dokładniej.

– Zawsze lepiej mówić dokładnie.

– Być może.

– I pochodzi stąd? Dziadek Erik?

– Tak. To znaczy urodził się w Sollefteå, ale przyjechał tu jako dziecko.

Chyba w latach trzydziestych.

– I od tamtej pory tu mieszka?

– Chyba tak.

– Chyba?

– On i babcia mieszkali z rok w Ö., to było, zanim urodziła się moja mama.

– Twoja babcia od strony mamy też żyje?

– Tak.

– Czy twój tata ma rodzeństwo?

– Ma siostrę w Umeå i przyrodniego brata, tego, który zginął w wypadku samochodowym. Wspominałam ci o tym ostatnio. A ty masz rodzeństwo?

Charlie pokręcił głową.

– Ma to swoje plusy i minusy – dodałam.

– Tak? Ja nie mam o tym pojęcia.

Pomyślałam sobie, że rzadko się zdarza, by Charlie o czymś nie miał pojęcia. W dodatku sam to przyznał. Wciąż jednak nie pojmowałam, do czego zmierzał. Co takiego interesującego było w mojej rodzinie, o którą przecież za bardzo nie dbałam, a która według mnie zasługiwała na śmierć w falach wodospadu.

– Czy twoja babcia i dziadek mieszkali tu nieprzerwanie, odkąd wrócili z Ö.?

– Tak. Podejrzewam zresztą, że mój dziadek i twoja mama znali się, kiedy byli młodszy. Ale ty może już o tym wiesz?

To był zwykły blef. Ja i Emma (a właściwie to tylko ona) ustaliłyśmy, że mam tak zagrać w odpowiednim momencie. Charlie uniósł brew i znów spróbował popatrzeć na mnie z wyższością, tym razem poszło mu jednak jeszcze gorzej. Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, bo grdyka skakała mu w górę i w dół. Nagle zrobiło mi się go żal. Biedak, zawsze musi być taki mądry, zawsze musi powiedzieć, co trzeba, zawsze musi przybierać tę pozę. Na pewno jest mu z tym cholernie ciężko.

Zanim zdążyłam pomyśleć, wyciągnęłam rękę i położyłam mu na ramieniu.

– W porządku, Charlie – powiedziałam. – Tak naprawdę cała ta trójka się znała. To znaczy mój dziadek, twoja mama i Eugen Kallmann. Prawda? To o tym rozmawiałeś z Kallmannem podczas waszych spotkań? O czymś, co dawno temu wydarzyło się między tą trójką?

Wcale nie miałam zamiaru powiedzieć aż tyle i doprawdy nie wiem, skąd

mi to przyszło do głowy. Charlie gapił się na mnie, jakby uszom nie wierzył. Albo jakby zobaczył ducha.

A potem zaczął się śmiać. W każdym razie założyłam, że to śmiech, bo nigdy wcześniej nie słyszałam u niego takiej reakcji. Jego głos przypominał rżenie starego samochodu, który nie chce zapalić. Śmiech urwał się równie nagle, jak się pojawił.

– Ty naprawdę masz nie po kolei w głowie – stwierdził. – I prawie wszystko rozumiałaś na opak. Mogę ci jednak powiedzieć, że ani twój dziadek ze strony mamy, ani ze strony taty nie siedzieli w więzieniu. Co do tego się nie myliłaś. Obawiam się jednak, że tematy, na które rozmawiałem z panem Kallmannem, przekraczają twoje horyzonty.

– Dzięki.

– Nie ma za co. Mam jeszcze tylko jedno pytanie. Czy Bernt-Olov Wester naprawdę jest twoim ojcem?

Tym razem to mnie zamurowało. Nie miało to jednak większego znaczenia, bo Charlie mógł wyczytać odpowiedź z mojego zdumionego wyrazu twarzy. A więcej pytań faktycznie nie miał.

W ten oto sposób to, co odwlekałam bez końca, nie mogło już dłużej czekać. Tego wieczoru wyciągnęłam mamę na spacer. Powiedziałam, że muszę z nią omówić coś ważnego. Chyba pomyślała, że jestem w ciąży, bo zrobiła tę zatroskaną minę, którą robi tylko, kiedy naprawdę czymś się niepokoi. Ledwo uszłyśmy sto metrów, zatrzymałam się pod jedną z latarni i obróciłam się do mamy.

– Mamo. Już od jakiegoś czasu jedna rzecz nie daje mi spokoju. Kto właściwie jest moim ojcem? Bo przecież chyba nie tata?

Najpierw stała bez ruchu i wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczami. Zwiesiła ręce, przez co wyglądała jak szmaciana lalka. Potem chwyciła moje dłonie i głęboko westchnęła.

– Może podejźmy do parku i usiąźmy na ławce? – powiedziała. –
Potrzebuję chwili, żeby móc ci to porządnie wytłumaczyć.

Przesiedziałyśmy tam półtorej godziny. Mama wszystko opowiedziała.
W połowie zaczęłam płakać.

15

Igor

11 października, środa.

Dziś po południu, po dwugodzinnej lekcji matematyki w 9B Ivan Kardasjan został w sali. Wszyscy już wyszli, a on wciąż siedział w ławce. Najpierw myślałem, że może chce zrobić jakieś zadanie, zanim schowa książki, a ponieważ była to ostatnia lekcja – co za brak pomysłu dawać matematykę na koniec, kiedy nikt już nie myśli (Fröberg jednak nigdy nie chce zabrać się do uporządkowania planu zajęć) – nie wyganiałem go, tylko zacząłem zbierać swoje rzeczy.

Kiedy jednak byłem już spakowany i zerknąłem na Ivana, zrozumiałem, że czegoś ode mnie chciał. Miał ochotę porozmawiać, ale z jakiegoś powodu trudno mu było zacząć. Podeszedłem więc do niego i przysiadłem na ławce obok.

– W porządku, Ivan? – zapytałem. – Coś cię trapi?

Muszę zaznaczyć, że łączy nas dość wyjątkowa relacja. Poza tym, że jestem jego wychowawcą, łączy nas to, że obaj jesteśmy imigrantami. Mamy też bardzo podobne imiona. Wprawdzie nigdy o tym nie rozmawialiśmy, wiem jednak, że Ivan darzy mnie szczególnym zaufaniem właśnie dlatego, że nie mamy szwedzkich korzeni. Ivan ceni sobie prywatność, podejrzewam, że nie ma zbyt wielu przyjaciół, nikt jednak mu nie dokucza. Poza tym jest najlepszym

koszykarzem w szkole, a to z automatu dodaje prestiżu.

– Tak – powiedział Ivan. – Mam jedną sprawę.

– Tak? Jaką?

– Taką – odparł, wyciągając z zeszytu jakąś kartkę.

Podał mi ją, a ja, zanim jeszcze zdążyłem na nią spojrzeć, wiedziałem, o co chodzi. A w każdym razie domyślałem się. Przeczytałem napisaną na kartce wiadomość i poczułem, jak ogarnia mnie wściekłość. Wściekłość na tych bezmózgich drani, tak przepełnionych samozadowoleniem i tak ograniczonych, że aż się człowiekowi słabo robi. Chciałoby się, żeby wszyscy ci naziści i rasiści zamieszkali we własnym gronie w którejś części Szwecji. Można by im stworzyć taki skansen, gdzie będą mogli obchodzić swoje narodowe święta ubrani w ręcznie tkane stroje ludowe, golić głowy, wykrzykiwać swoje głupie slogany i ofiarować zatęchłą krew swoim zatęchłym bogom. Zostawcie nas, rozsądnych, tolerancyjnych ludzi w spokoju. Uwolnijcie nas od swastyk i tych ksenofobicznych banialuk.

Co taki brudny szczur jak ty robi w naszym pięknym kraju? Wracaj do domu sam, zanim będziemy zmuszeni cię tam odesłać.

Patrol Porządkowy

Te same schludnie powycinane litery. Ten sam bezbłędny język. Ten sam Patrol Porządkowy. Zorientowałem się, że zgrzytam zębami, Ivan chyba to zauważył.

– Krew mnie zalała – powiedziałem. – Wybacz.

– To dobrze, że się pan denerwuje – odparł Ivan.

– A ty jak zareagowałeś? Wściekłeś się czy przestraszyłeś?

Przez chwilę się zastanawiał.

– I jedno, i drugie.

– Rozumiem. Ważne jednak, by strach przekuć w gniew. Konstruktywny gniew, który pozwoli ci... to znaczy nam znaleźć tych idiotów, którzy się tego

dopuszczają. Jak myślisz? Domyślasz się, kto może za tym stać?

Ivan pokręcił głową.

– Nie, ale to pewnie ci sami, którzy zostawili list w przegródce pani Rönne.

– Z pewnością. Gdzie znalazłeś ten list?

– W szafce.

– W szafce?

– Tak.

– Ale to chyba oznacza, że ktoś musi mieć do niej klucz?

– Nie – odparł Ivan. – Da się otworzyć zamek za pomocą spinacza.

Właściwie prawie do każdej można się tak dostać.

– Dobry Boże. Tak nie powinno być.

– Nie, ale tak jest.

Znów zacząłem zgrzytać zębami.

– Ivan, czy pozwolisz, że zajmę się tym listem? Obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy, żeby schwytać osobę lub osoby odpowiedzialne za to draństwo.

– Dobrze, dziękuję panu.

– Nie ma za co. To kwestia praw człowieka. Tu chodzi o prawo do nietykalności.

– Wiem.

– Nie wiesz, czy ktoś jeszcze dostał podobne listy? – zapytałem. – Poza tobą i panią Rönne.

Kolejny raz pokręcił głową.

– Nie sędzę. Ja w każdym razie nic o tym nie słyszałem.

– Komu jeszcze mówiłeś o liście?

– Nikomu. Niemilo jest o tym opowiadać.

– Rozumiem. Sugerowałbym, żebyś nadal nikomu o tym nie wspominał. Ja

też tak zrobię.

Może w ten sposób będę mógł cichaczem powęszyc.

– Dobrze. Brzmi rozsądnie.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i rozstaliśmy się. Pomyślałem, że gdybym miał syna, to chciałbym, by był taki jak Ivan.

Nie wiem, co dokładnie miałem na myśli, mówiąc, że ja i Ivan „powęszymy cichaczem”, ale potraktowałem swoje słowa jako swego rodzaju obietnicę. Jakbym się zobowiązał, że dopilnuję, by znaleziono tego gnojka lub gnojków, którzy zostawili list. Oczywiście powinna zająć się tym policja, ale moje zaufanie do inspektora Marklunda i spółki jest tak nikłe, że nawet nie wziąłem tej opcji pod uwagę. Nie poradzili sobie ze sprawą Kallmanna ani Very Rönne. Pytanie, czy w ogóle radzą sobie z czymkolwiek.

Sprawa trafiła więc w moje ręce. Dzisiejszego wieczora wiele o tym myślałem i doprawdy mam mieszane uczucia. Z jednej strony absurdem jest zajmować się takimi brudami na własną rękę – trochę jak ci zwariowani domorośli detektywi, którzy cały swój czas poświęcają na rozwikłanie historii zabójstwa Olofa Palmego albo innej, z którą policji nie poszło – z drugiej jednak wydaje się intrygujące. Być może moja dusza matematyka poczuła wyzwanie, bo przecież mamy rozgryźć specyficzne zadanie. Należy znaleźć jedną lub kilka niewiadomych, równanie bez wątpienia ma jakieś rozwiązanie.

Nie wiem jednak, jak niby miałbym się do tego zabrać. Oczywiście muszę mieć oczy i uszy otwarte, ale to nie wystarczy. Podsumowując dotychczasowy rozwój wydarzeń, a to zdaje się niegłupie na początek, stwierdzam, że miały miejsce trzy incydenty, trzy rasistowskie ataki w postaci trzech listów z pogróżkami. Dwa skierowane przeciwko Verze Rönne, która ma żydowskie korzenie, oraz jeden przeciwko Ivanowi Kardasjanowi, Ormianinowi. Pół-Ormianinowi, mówiąc dokładniej, ponieważ jego ojciec jest Turkiem, tak mi się przynajmniej wydaje. Nic jednak nie wskazuje na to, że osoba (bądź

osoby) stojąca za listami wie o jego pochodzeniu. Jest cudzoziemcem, ot, cała zbrodnia.

O wiadomościach w przegródce Very Rönne słyszała cała szkoła, o tej, która dziś pojawiła się w szafce Ivana, wiemy tylko on i ja (oraz sprawca bądź sprawcy). Nie mam powodów, by wątpić, że Ivan zachował i nadal zachowa milczenie.

Wyciągnąłem zeszyt i siedząc przy kuchennym stole, przez kilka minut notowałem wspomniane dane.

Kto?, napisałem na kolejnej stronie. *Prawdopodobni sprawcy?*

Po części z głowy, po części korzystając z dzienników, zrobiłem listę młodocianych neonazistów w naszej szkole. To zaledwie dziesięciu chłopaków z wygolonymi głowami, a łączą ich dwie rzeczy. Po pierwsze: wszyscy mieszkają poza miastem, na wsi. Nasza szkoła przyjmuje bowiem uczniów nie tylko z północnego K, ale też z tuzina mniejszych miejscowości na północy i zachodzie. Łącznie z tamtych okolic pochodzi około stu trzydziściorga uczniów, niemal jedna trzecia naszej klienteli. Do szkoły dojeżdżają autobusem. Ci, którzy mieszkają najdalej, w Vargbodzie i Lyssne, na dojazdy tracą dwie godziny dziennie. To właśnie w Lyssne mieszkają ciesząc się złą sławą bracia Hansson. Ich matka sama wychowuje pięciu synów (każdy ma innego ojca, choć to może nieistotne). To Ottona Hanssona z 9D należy uznać za przywódcę szkolnych neonazistów, prawdziwa z niego swołocz. Podobnie jak jego naśladowcy ma fatalne wyniki w nauce, i to właśnie jest drugi wspólny mianownik. Można powątpiewać, czy jego iloraz inteligencji jest większy niż rozmiar jego glanów z metalowymi noskami. Nie wiem, dlaczego opisując go, pozwalałam sobie na tak zuchwałe żarty, ale na razie nie mam zamiaru się nad tym zastanawiać.

Czy jednak to faktycznie Hansson i jemu podobni stoją za pogróżkami? Już wcześniej wyraziłem przypuszczenie, że niekoniecznie. Listy były napisane

zbyt schludnie i bezbłędnie, by być dziełem tej grupy. Poza tym wszystkich tych młodziaków przesłuchano i nawet jeśli moje zaufanie do policji jest nadwyrężone, to mało prawdopodobne, by wszystkie te tępe głowy zdołały przejść taką próbę, nie zdradziwszy się. O ile w ogóle cokolwiek wiedzą.

Co zatem pozostaje?

Cała reszta ludzkości?

Miejmy nadzieję, że nie. Jakkolwiek patrzeć na tę sprawę, wydaje się oczywiste, że to osoba (osoby), która dni spędza w szkole.

Co niestety prowadzi mnie do bardzo nieprzyjemnego wniosku: autora bądź autorów tych rasistowskich pogroźek należy szukać w gronie pedagogicznym!

Po zapisaniu tej konkluzji postawiłem wykrzyknik i odłożyłem długopis. Czy naprawdę tak myślę? Czy to możliwe? Czy mamy do czynienia z rasowym neonazistą, który ukrywa się wśród kadry?

Trudno pogodzić się z taką myślą, niesłychanie trudno. Przez chwilę siedziałem przy stole zapatrzony w ciemności za oknem, powtarzając sobie w głowie, że to chyba jednak niemożliwe.

Jak już wspominałem, w naszej szkole, jak w każdej innej, nie brak wariatów i pedagogów wątpliwej jakości. Zawód nauczyciela już dawno stracił na atrakcyjności, urlop wakacyjny jest coraz krótszy, płace nie rosną, wolność pedagogiczna jest już tylko nikłym wspomnieniem, nic więc dziwnego, że obecnie za katedrą stoją osobnicy, którzy nie powinni się tam znaleźć.

Żebyśmy jednak wśród nas mieli rasistowską kanalię takiego kalibru, kogoś, kto nie cofnie się przed anonimowym zastraszaniem kolegów i uczniów? To się doprawdy nie mieści w głowie. W myślach zacząłem przypatrywać się innym nauczycielom, każdemu po kolei. Razem jest nas około czterdzieścioro, ale nikt, ani jedna osoba nie pasuje do tej odrzucającej, ponurej roli. Kiedy poszerzyłem zakres poszukiwań o tych, którzy pracują

w szkole nie jako pedagodzy, też nikogo nie wytypowałem. Owszem, potrafię sobie wyobrazić, że woźny Nillson w dwóch wyborach z rządu głosował na Nową Demokrację, nie oznacza to jednak, że mógłby się posunąć do takich czynów.

Czy może oznacza?

Dochodziła północ. Zrozumiałem, że wiele więcej nie wymyślę. Zamknąłem zeszyt, zrobiłem wieczorną toaletę i poszedłem do łóżka.

Sen, przyjaciel, na którym nie sposób polegać, nie przychodził. Kolejny raz do głowy przyszedł mi Eugen Kallmann i znów nie mogłem przestać o nim myśleć. Może nie ma w tym nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę ten wieczór, kiedy go znalazłem w parku. Ta sprawa łączy się przecież z przejawami rasizmu, które analizowałem przy kuchennym stole. Jednak to nie o tym incydencie myślałem, kiedy zegar na wieży kościoła Sigfrida zaczął ciężko wybijać dwanaście razy, przypominając mi, że powinienem przyłożyć głowę do poduszki i zasnąć (wprawdzie głowę przyłożyłem, zgasilem też lampę, ale spać nie mogę). Nie, w głowie rozbrzmiewały mi fragmenty rozmowy, którą odbyliśmy wiosną. Zdaje się, w połowie kwietnia, na kilka tygodni przed jego śmiercią.

– Właściwie jak trafiłeś do tego miasta? – zapytałem go, bo choć piętnaście lat pracowaliśmy w jednej szkole, tego o nim nie wiedziałem.

Zapewne większość pozostałych nauczycieli też nie. Kallmann przez chwilę siedział cicho, chyba z pół minuty, jakby rozważał, co odpowiedzieć.

– Bo trzeba odpokutować winy – odparł w końcu. – Tak, mój drogi Igorze, właśnie dlatego tu przyjechałem.

– A jakie winy? – zapytałem naturalnie.

– Ucieczkę i okoliczności – tym razem odpowiedział natychmiast. – Właśnie tak, ucieczkę i okoliczności.

Zauważyłem chyba, że tak sformułowana odpowiedź nie czyni mnie wiele

mądrzejszym; pamiętam w każdym razie, że Kallmann się uśmiechnął i poklepał mnie po kolanie, zupełnie jakbym był małym chłopcem, a nie kolegą z pracy, choćby dziesięć lat młodszym.

– Pokuta nie ma nic wspólnego z mądrością – oznajmił. – Jednak z pewnymi zdarzeniami jest tak, mój drogi, że wręcz wołają o wyrównanie krzywd. Bez tego są jakby nieskończone, nie mogą spokojnie spocząć w grobie.

– Mówimy o czynach? – zapytałem, próbując ukryć zdziwienie. – O czymś, co zrobiliśmy, a czego żałujemy?

– O czynach, zdarzeniach, jak kto woli. Których sami się dopuściliśmy i które nam się przytrafiły. One idą za nami, na pewno sam zauważyłeś?

Reszty rozmowy nie pamiętam, może na tym skończyliśmy. Przypominam sobie natomiast, że w jej trakcie Kallmann nie patrzył mi w oczy, i chyba właśnie wtedy się zorientowałem, że nigdy tego nie robi. Nie dało się uchwycić jego spojrzenia, a jeśli już – raz na dwadzieścia jeden – się to udało, Kallmann natychmiast spoglądał w inną stronę.

Dlaczego? Co takiego kryło się w jego oczach?

Doprawdy, cóż za beznadzieja roztrząsać takie kwestie w oczekiwaniu na kolejne uderzenia kościelnego zegara. Od dwudziestu lat nie łykałem tabletek nasennych, gdybym jednak takowe miał w domu, to tej nocy zażyłbym je jak nic.

16

Ludmilla

Czasami nie mogę oprzeć się wrażeniu, że nad nami jest ktoś, kto pociąga za sznurki.

W takich chwilach przypomina mi się wiersz Bo Bergmana *Marionetki*. Miałam nie więcej niż piętnaście lat, gdy przeczytałam go po raz pierwszy, i jeszcze tego samego dnia nauczyłam się go na pamięć. Chyba to jego ponury ton uderzył w moją czułą strunę. Nie wiem, czy jest to struna dobra czy zła, ale w moim wnętrzu kryje się mrok, czy tego chcę czy nie.

*Wielki pan siedzi w sali królestwa
a z jego rąk wiekowych
do każdego ludzkiego jestestwa
biegnie pęk sznurków spleciony.
On pociąga za nie szybko lub powoli,
A my dygamy wedle jego woli
I kręcimy bezmyślne piruety
my biedni ludzie marionety ⁸.*

I tak dalej. Nic dziwnego, że myśl o wierszu i o sznurkach nasza mnie w środowy wieczór, gdyż wtedy Klas oznajmił mi, że w weekend musi wyjechać na konferencję do Sztokholmu. W piątek po pracy wylot z Ö., powrót w niedzielę wieczorem. Wprawdzie początkowo miał jechać kolega

Klasa, niejaki Bosse Ring, ale jego córeczka znów się rozchorowała. Urodziła się niemal trzy miesiące za wcześnie. Teraz ma pół roku, ale przez cały ten czas towarzyszyły jej infekcje, choroby i komplikacje. Nadal nie wiadomo, czy przeżyje, a nawet jeśli przeżyje, to jakie będą konsekwencje obecnych problemów.

Nie było o czym dyskutować, tak więc nawet się nie odezwałam. Nie wytrzymałam jednak dłużej niż pół godziny, po czym zadzwoniłam do Gudrun i zapytałam, czy ewentualnie nie mogłaby w sobotę popilnować dzieci. Powiedziałam, że mam spotkanie z koleżankami, Gudrun takie wyjaśnienie wystarczy. Dodałam jednak, że dobrze, gdyby mogła u nas przenocować, tak na wszelki wypadek.

Gudrun się oczywiście zgodziła. Obiecała, że zjawi się w sobotę po południu i zostanie tak długo, jak trzeba, bo plany miała dopiero na niedzielny wieczór. Kiedy odłożyłam słuchawkę, serce mi waliło.

Zatem wszystko załatwione. Kołatanie serca przerodziło się w ścisk w żołądku. Następnego dnia porozmawiałam z Leonem. Złapałam go na długiej przerwie, wzięłam na stronę i zapytałam, czy możemy się spotkać w sobotę wieczorem.

Żeby przejrzeć pamiętniki. Bo chyba tak się umówiliśmy wtedy w Blåberga. Tak, u niego w domu.

– Masz na myśli najbliższą sobotę? – zapytał.

– Tak, pojutrze.

– Potrafię zrobić nie najgorszą paellę.

Faktycznie potrafił. Wyczarował złocisty posiłek z krewetkami, przegrzebkami, salami i Bóg wie czym. Świetnie doprawiony i smaczny, do tego podał pieczywo czosnkowe i rioję.

Dobrze, że jedzenie było pyszne, bo mieszkanie Leona to całkowita nędza. Położone ładnie, niedaleko rzeki, i było już „umeblowane”, choć chyba po

prostu wstawiono do niego cokolwiek, żeby podwyższyć czynsz. Większość tego niby-umeblowania Leon upchnął w piwnicy, a ponieważ nie chciało mu się kupować nic nowego, w mieszkaniu dominuje wrażenie pustki. W kuchni stoją stół i dwa krzesła, w salonie dwa fotele ustawione obok odwróconej skrzynki po piwie oraz przyzwoitej wielkości łóżko w sypialni. I to by było na tyle. Do tego kilka stert książek i płyt oraz stary radiomagnetofon.

Leon zaznaczył, że łóżko kupił sam, kiedy wprowadził się tu dwa i pół miesiąca temu. Nie chciał spać na materacu przepoconym cudzymi koszmarami, ponieważ swoich miał pod dostatkiem.

To też zaznaczył.

Może ta wzmianka o łóżku była dyskretnym zaproszeniem. A w każdym razie deklaracją jakości towaru, która rozwiałaaby moje ewentualne wątpliwości natury higienicznej. Zorientowałam się w pewnym momencie, że niemal zapomniałam, że Leon niecały rok temu stracił żonę i jedyne dziecko.

I że to dlatego się tu sprowadził. Na moje zaproszenie.

Ścisk w żołądku powrócił, tym razem jednak przeniósł się do serca. Czy można czuć ścisk w sercu?

Kiedy skończyliśmy paellę i wino, zabraliśmy pamiątniki Eugena Kallmanna oraz kolejną butelkę do salonu, rozsiedliśmy się w fotelach i zaczęliśmy czytać. Tak, jak się umówiliśmy.

Cztery czarne, zniszczone bruliony. Wyglądały dokładnie tak, jak opisał je Leon.

Zakazany owoc, przyszło mi do głowy, ale odgoniłam tę myśl. Przecież i tak już tu siedziałam, czy granica nie została przekroczona? Czy może raczej granice?

Leon zaczął czytać od fragmentu pierwszego pamiątnika z lat 1980–84, na którym skończył ostatnio. Ja odwrotnie. Zaczęłam od końca, to znaczy od początku ostatniego brulionu. Tego, w którym zapiski kończyły się na grudniu

1994 roku. Czy w styczniu tego roku Kallmann zaczął kolejny brulion? Uznaliśmy, że pewnie tak. Prawdopodobnie znajdował się gdzieś u niego w domu, bo to tam z reguły pisał swoje teksty. Dlaczego jednak trzymał wypełnione bruliony w szkole, pozostawiało dla nas zagadką, być może jednak trafiły tam przez czysty przypadek. Kallmann przecież nie podejrzewał, że jego działalność pisarska skończy się nagle w nocy 17 maja 1995 roku.

Czy może coś podejrzewał? Zadałam sobie to pytanie, ponieważ kiedy tak przez godzinę czytaliśmy w milczeniu, natknęłam się na następującą notatkę – wiele ominęłam, na niektóre ledwo zerknęłam, bo nie mogłam się doczekać końca – z 17 października 1994 roku. Piątą od końca:

Już na wczesnym etapie życia zacząłem sobie wyobrażać własną śmierć. To, jak pewnego dnia po mnie przychodzi. Ma postać samotnego tułacza, który po dniach, miesiącach i latach wędrówek w promieniach słońca zachodzącego nad pustynią dochodzi do naszego miasta. Rozsiada się w jednym z barów na rynku, zamawia piwo, a potem zadaje pytanie każdemu, kto mija jego stolik. Każdemu to samo pytanie, a jego celem jest znaleźć mnie. Czy wiesz może, gdzie mieszka Eugen Kallmann? Gdzie go znajdę? Bo to po niego tułacz przyszedł z tak daleka. Wiem, że na rynku siedzi obcy, który o mnie rozpytuje, ponieważ jednak nie chcę go spotkać, ukrywam się to tu, to tam, wśród zaułków za kościołem. W końcu tułacza nuży oczekiwanie na mnie, wyrusza więc z powrotem na pustynię. Obiecuje jednak, że pewnego dnia po mnie wróci. Czasami właśnie to mi się śni, dokładnie ta historia. Wiem, że kiedy przyśni mi się po raz dwudziesty czwarty, tułacz mnie znajdzie. Za każdym razem, gdy miałem ten sen, zapisywałem to w pamiętniku. Robiłem to, odkąd wróciłem do kraju, a dziś rano musiałem odnotować to po raz dwudziesty trzeci. Wiem już zatem. W niedalekiej przyszłości przyjdzie pora i na mnie. Gdy następnym razem tułacz zasiądzie w barze na rynku, nie mogę więcej się przed nim ukrywać. Do tego czasu bowiem będzie już znał wszystkie zaułki i wszystkie moje kryjówki, tym razem nie opuści więc miasta beze mnie. W małym mieście nie da się żyć i nie bywać na rynku, czas się poddać. To zresztą zgadza się z pozostałymi znakami. Zaszedłem już tak daleko w moich poszukiwaniach, że muszę wyzwać przeciwnika. Stanąć z nim oko w oko i zażądać prawdy. W końcu mam do czynienia z zabójcą. Zobaczyłem to w jego oczach, kiedy wróciłem, teraz muszę się dowiedzieć, kim jest jego ofiara.

Przeczytałam fragment dwa razy. Potem podałam brulion Leonowi.

– Co o tym myślisz?

Leon przejrzał tekst, marszcząc czoło.

– Niewiarygodne – powiedział, kiedy skończył. – Ni mniej, ni więcej, jak tylko przepowiednia. Twierdzi, że umówił się na spotkanie z zabójcą.

– A w każdym razie, że miał taki plan – odparłam. – Przeciwnik? Czytałeś już coś o jakimś przeciwniku?

Leon pokręcił głową, na jego twarzy dostrzegłam jednak cień wahania.

– Nie wprost – powiedział. – W każdym razie nie użył tego określenia. Doszedłem jednak dopiero do stycznia 1986 roku, więc może ten wątek jeszcze się pojawi.

– ...muszę się dowiedzieć, kim jest jego ofiara. Dziwne, prawda?

– Tak, z reguły jest na odwrót. Najpierw pojawia się ofiara, potem zabójca. Przez chwilę się zastanawiałam.

– To chyba nie są wszystkie jego pamiętniki?

– Nie, w którymś miejscu wspomina, że kilka z nich spalił. Kilka wcześniejszych.

– Dlaczego?

Leon rozłożył ręce.

– Nie mam pojęcia.

– Ktoś mi mówił, że Kallmann interesował się kryminologią – przypomniałam sobie nagle. – Nie pamiętam kto. On sam nigdy o tym nie wspominał podczas naszych rozmów.

– Kryminologią? – Leon zrobił sceptyczną minę.

– Ciekawiły go stare sprawy sądowe i tym podobne. Nie wiem...

– Ciekawe, co też innym siedzi w głowach – ciągnął Leon, któremu chyba nie spodobał się zasugerowany przeze mnie trop. – Człowiek żyje w swojej niezmordowanej świadomości dzień po dniu. Rok po roku, godzina po godzinie. Co też do licha tkwiło w mózgu Eugena Kallmanna? Jakież to bezustannie powracające myśli kryją się za tym, co pisał? Czasami sprawia

wrażenie, jakby postradał zmysły.

– Może właśnie to analizujemy? – zasugerowałam. – Walkę z szaleństwem naszego zmarłego kolegi po fachu.

– Nie wiem, co analizujemy – odparł Leon z westchnieniem. – Dla mnie jednak to świetna sprawa tak na chwilę zajrzeć w cudzy mrok. To taka ucieczka od własnego mroku.

– Aż tak źle z tobą?

Leon się zaśmiał.

– Teraz jest całkiem dobrze. Na zdrowie! Dziękuję, że przyszałaś.

– Na zdrowie – odpowiedziałam. – Poczytamy jeszcze, zanim... Oj, przepraszam. Poczytamy jeszcze, prawda?

– Jasne. Jeszcze po kieliszku?

– Po pół – poprosiłam.

Z uśmiechem wstał i przyniósł kolejną butelkę.

Mimo wszystko nie zgubiliśmy wątku, w każdym razie jeszcze nie. Leon zaczął lekturę od miejsca, w którym skończył, czyli od drugiego brulionu. Ja wzięłam się do końcówki ostatniego. Składały się na nią trzy dość długie i niezrozumiałe zapiski z listopada i grudnia oraz krótka notka podsumowująca z dnia poprzedzającego sylwestra:

Czy pozwolić C. odegrać jego rolę? Jest zbyt młody, ale jednocześnie jest synem K., a to daje specjalną pozycję. Nie potrafię jednak zdecydować, czy chcę go mieć u swego boku, kiedy przyjdzie ten moment. Może tak, może nie? Świadek to jednak świadek, nawet jeśli jest nieletni, a on jest bystrzejszy niemal od wszystkich w tym niemrawym mieście. Gdybym kiedyś miał syna, chciałbym, by był jak C. A może po prostu dostrzegam w nim siebie i dlatego życzę mu zupełnie innego życia i innych warunków. C. i K. są jedynymi osobami, którym spoglądam w oczy. Nie wiem, z czego to wynika. A może wiem, i nie jest to bynajmniej kwestia poczucia wyższości. Kiedy nadejdzie ten dzień, mam jednak zamiar patrzeć w oczy także V. – choć raz nie pozwolę, by niewybaczalne czyny drugiej osoby mnie prześladowały. Bo o to zawsze się rozchodzi. Poczucie winy i wstydu jest zaraźliwe. Przenosi się przez oczy. Powinienem być ślepy.

Zamknęłam brulion i odłożyłam go na podłogę obok skrzynki po piwie. Zaczęłam się zastanawiać, czy rozumiałam cokolwiek z tego, co przeczytałam. Można było się domyślić, że C. to Charlie Mattis, a K. to jego matka, Karolina Mattis. Ale reszta? O czym on pisze? Ma się spotkać z kimś, komu chce spojrzeć w oczy, automatycznie nasuwa się więc wniosek, że chodzi mu o spotkanie w Niemieckim Domu. Czy jednak mógł o nim wiedzieć z pięciomiesięcznym wyprzedzeniem?

Tak czy inaczej, pomyślałam, jeśli zgodzić się z moją ponurą interpretacją ostatniego zapisu, to wiele wskazuje na to, że policja nazbyt się pospieszyła, uznając, że śmierć Eugena Kallmanna nastąpiła z przyczyn naturalnych. Czyż nie?

– Co? – zapytała Leon. Wtedy zorientowałam się, że myślę na głos.

– Słucham?

– Powiedziałaś „czyż nie?” – odparł, zerkając znad swojego brulionu.

– Tak powiedziałam? Chyba właśnie podważałam słuszność czegoś.

– Tak, z reguły to właśnie się robi, kiedy mówi się „czyż nie?” – skwitował Leon. – Co więc podważałaś? Mam zgadnąć?

– Proszę bardzo.

– Podważałaś to, czy śmierć Kallmanna była naturalna.

– Zgadza się – przyznałam. – I jak się tak nad tym zastanowię, to muszę podważyć jeszcze coś.

– Proszę, proszę. – Leon się uśmiechnął. – I cóż to takiego?

– To, że lokalna policja jest kompetentna.

– Masz na myśli tego inspektora Marklunda? On chyba pochodzi stąd, z K.?

– Tu się urodził i wychował. Brak mu kompetencji w każdym calu. Może to dlatego, że swego czasu chodził do naszej szkoły.

– Naprawdę? Tak, to wiele wyjaśnia.

Zaśmiałam się. Napiliśmy się jeszcze wina, po czym Leon wyciągnął do mnie rękę ponad skrzynką po piwie.

– Może zrobimy sobie krótką przerwę w pracy? – zapytał.

– Naprawdę chcesz?

– Tak, naprawdę.

Obudziłam się wpół do szóstej. Popatrzyłam na mężczyznę, który leżał obok, i kolejny raz pomyślałam o granicach. O ich przekraczaniu.

Potem przyszło mi do głowy, że powinnam czuć się winna. Powinny mnie dręczyć wyrzuty sumienia, powinnam mieć kaca po czerwonym winie.

Tak jednak nie było. Przeszukałam zarówno ciało, jak i głowę, ale nie znalazłam ani śladu takich symptomów.

Prawdopodobnie oznacza to, że jestem podwójnie stracona, uznałam, i zasnęłam ponownie.

Kiedy następnym razem otworzyłam oczy, była godzina ósma, a mężczyzna nie leżał już u mojego boku. Sądząc po zapachu i odgłosach, przygotowywał kawę i śniadanie w kuchni. W tej chwili poczułam się nieco nieswojo, szybko jednak zdusiłam to uczucie w zarodku. Dałam znać mojemu kochankowi, że już wstałam, i poszłam wziąć prysznic.

– Jak się czujesz? – zapytał Leon, kiedy wyszłam z łazienki. – Może powinniśmy byli to zrobić już wtedy w Uppsali. Jeśli o mnie chodzi, to nie czułem się lepiej od dziewięciu miesięcy, ale może ty będziesz mieć kłopoty?

Westchnęłam.

– Nie zwracajmy sobie teraz głowy tą dyskusją – odparłam. – Mogę pożyczyć telefon? Muszę zadzwonić do opiekunki do dzieci.

– Jasne.

Połączyłam się z Gudrun i powiedziałam jej, że zdecydowałam się zanocować u koleżanki, ale nie chciałam dzwonić w nocy i jej budzić.

Wspominałam jej przecież wcześniej, że spotykam się ze znajomymi w domku letnim i być może impreza się przeciągnie. Jak zwykle Gudrun o nic nie pytała. Obiecała, że zajmie się wszystkim, bylebym wróciła do domu przed piątą. Powiedziałam, że przyjadę o wiele wcześniej, poprosiłam, żeby uściskała dzieci, i podziękowałam, że jest.

Potem spróbowałam sobie przypomnieć, na którą Klas zapowiadał się z powrotem. Nie pamiętałam. Może nie wspomniał konkretnej godziny, wiedziałam jednak, że samolot ze Sztokholmu ląduje około szóstej wieczorem.

Innymi słowy, nie powinno go być w domu przed siódmą. Jak dotąd wszystko układało się dobrze.

Nie zaprzeczę, że nieco wysiłku wymagało ode mnie jedzenie śniadania w spartańskich warunkach, jakie panowały w kuchni Leona. Rozmowa się nie kleiła, wszystko jakby przeszkadzało, ale jakoś daliśmy sobie z tym radę. Zrozumiałam, że nie mogę tak po prostu sobie wyjść. Jesteśmy w końcu dorosłymi ludźmi, którzy z pełną świadomością zaatakowali siebie nawzajem. Jeśli można tak opisać to, co się stało. Ja sama nie chciałam myśleć o tym, czego akurat pragnę w życiu, wiedziałam jednak, że jeśli chodzi o Leona, to zdecydowanie nie potrzeba mu teraz przygód na jedną noc. Nie minął nawet rok od momentu, kiedy w jego życie strzelił piorun. A przygody na jedną noc to doprawdy marne lekarstwo na uderzenie pioruna.

Skąd wiem? Nie z własnego doświadczenia, za co jestem wdzięczna.

Zostałam więc u niego. Za oknem uparcie padało. Pogoda stanowiła niemrawą ilustrację naszej sytuacji, wciąż jednak nie czułam wyrzutów sumienia. Być może to pan siedzący w sali królestwa jeszcze się nie obudził. Kiedy dopiliśmy ostatnie krople kawy, Leon zaproponował, żebyśmy przez godzinę zajęli się tym, co tak nagle przerwaliśmy poprzedniego wieczoru.

I zupełnie jakbyśmy byli małżeństwem, po prostu ciągnęliśmy prozaiczne

życie, zupełnie jakby seks był niczym innym jak tylko seksem.

Leon zajął się trzecim brulionem, tym z lat 1988–91, podczas gdy ja zaczęłam od początku, czyli od zapisków z lat 1980–84. Przeczytałam te dziwne fragmenty, o których wspominał Leon, w których Kallmann twierdził, że zamordował matkę, że odesłano go przez to z domu, kiedy miał jedenaście czy dwanaście lat, i że posiadał zdolność zagładania w ludzkie dusze. Zwłaszcza dusze zabójców, o ile dobrze zrozumiałam.

Wątpliwości co do tego, czy w tekście kryje się prawda czy też jest to zwykła fikcja, rozkwitły we mnie na dobre. Wymysły czy rzeczywistość?

Nie podjęłam jednak dyskusji z Leonem, tylko czytałam dalej. W końcu to on przerwał naszą lekturę w milczeniu. Po niecałej półgodzinie wydał z siebie okrzyk, po czym poprosił, żebym podeszła i przeczytała razem z nim. Tak zrobiłam.

8 czerwca 1988

Incydent podczas zakończenia roku szkolnego. Wraz z trójką uczniów dziewiątej klasy, z którymi miałem szwedzki, przedstawiliśmy wiersz Thomasa Windercrafta Enigma. Ja akompaniowałem na gitarze, dwie dziewczyny tańczyły, jeden chłopak, niejaki Rasmus Lanner, bardzo uzdolniony, recytował. Rzecz jasna po angielsku. Wiersz opowiada o śmierci, która puka do drzwi, ale i o życiu – buzującym i zanikającym. Przypomina, by korzystać z dnia, nie odpuszczać, nie spędzać wakacji w rozlazły sposób, jak w letargu, ale szukać, szukać, szukać bez wytchnienia, gdyż potem długo, jakże długo będziemy leżeć w ciemnej i zimnej ziemi. Całe przedstawienie trwało osiem minut, ale najwidoczniej kolega Simonsson nie mógł nawet tyle wysiedzieć, bo w połowie wstał z miejsca w jednym z pierwszych rzędów i zaczął się przepychać do wyjścia. Kiedy już wszyscy wyszliśmy z auli, podeszedłem do niego i powiedziałem, że gdybyśmy żyli w mniej cywilizowanym kraju, z pewnością bym go zabił. Za pomocą garoty, choć nie wykluczałbym ugotowania go na wolnym ogniu. Ponieważ jest beznadziejnym nauczycielem, zasugerowałem mu też, żeby wykorzystał wakacje na rozejrzenie się za inną robotą. Na przykład za posadą kuchty w jakimś zakładzie dla psychicznie chorych, gdzie jednocześnie mógłby się podleczyć. Albo skarbnika gangu motocyklowego, bo czemu nie. O ile się orientowałem, to angielskiego wprawdzie nie zna, ale potrafi liczyć do stu. Żyły na skroniach Simonssona zaczęły się poruszać niczym tłuste robaki, gorączkowo kręcił też szczękami, bo w swojej dużej, ale jakże pustej głowie nie mógł znaleźć słów. Staliśmy nieco na uboczu, w dolnym korytarzu, ale nie do końca poza zasięgiem wzroku innych. Chyba

Simonsson, mimo swojej tępoty, zrozumiał, że w tych okolicznościach niestosownie będzie uciekać się do przemocy. Mimo wszystko było to zakończenie roku szkolnego, od wakacji dzieliły nas minuty, ja jednak w głębi ducha liczyłem na to, że Simonsson straci panowanie nad sobą i przekroczy granicę. Bójka między nauczycielami na zakończenie roku, to by było coś! Cóż za wspomnienie dla uczniów. Gorączkowo szukałem jakiegoś sposobu, by go rozdrażnić jeszcze bardziej, ale po jego niemrawym spojrzeniu zorientowałem się, że wzburzenie zaczyna w nim opadać. Przypominał przejeźdzonego byka, który zmęczył się myśleniem i marzy jedynie o tym, by zwalić się w cieniu drzewa i zasnąć, nie śniąc o niczym. Co robić?, pomyślałem. Drania trzeba przecież ukarać. Na szczęście wciąż trzymałem gitarę, która wprawdzie kosztowała mnie parę ładnych tysięcy, kiedy kupowałem ją dziesięć czy dwanaście lat temu, ale ostatnio zaczęła mnie mocno irytować. Coraz trudniej było ją nastroić i miała coraz gorsze brzmienie. Niech się dzieje wola nieba, pomyślałem i gwałtownym ruchem uniosłem gitarę, po czym roztrzaskałem ją na głowie Simonssona. Z całkiem niezłym skutkiem. Dzięki szybkości i sile uderzenia głowa Simonssona przebiła pudło na wylot, tak więc nie miał szans się obronić. Teraz jego oczy i połowa nosa wyglądały sponad płataniny wiórów i strun, podczas gdy ramię gitary sterczało do przodu, nieco przechylone w dół, niczym penis w lekkim wzwodzie. Kwicząc niczym zarzynana świnia i nie próbując nawet oswobodzić się z gitary, Simonsson pobiegł przed siebie, wprost przez tłum uczniów, aż do końca korytarza i zniknął w pokoju nauczycielskim. Kiedy i ja, krocząc godnie z kamienną miną, ruszyłem tą samą drogą, moją Via Appia, wokół rozległ się przyjazny pomruk oraz ciche oklaski. Jestem bardzo zadowolony z tej mojej poetyckiej walki i wiem, że Widercraft z aprobatą kiwał głową, spoglądając na mnie z nieba dla skaldów. Zmarł bowiem równo sto lat temu, i to dlatego zresztą wybrałem ten właśnie wiersz. Teraz jest późny wieczór, siedzę na balkonie i piszę. U progu stoi osiem tygodni wakacji, cieszę się, że wcześniej odpracowałem te dwa dni robocze w przyszłym tygodniu. Teraz czeka mnie niekończący się szereg niezapisanych chwil, a w zapasie mam co najmniej dwanaście butelek single malt. Czuję, że w głowie powoli krystalizuje się plan. I to niemal bez mojej pomocy, czasami można spuścić świadomość z oka, ona i tak działa.

– Co to ma być? – zawołałam, kiedy doczytałam do końca.

– No. – Leon się zaśmiał. – Doprawdy robi wrażenie. Pamiętasz tę historię?

Przez chwilę się zastanawiałam.

– Nie, szczerze mówiąc, nie pamiętam – odparłam.

– Musiałaś przecież być na tym zakończeniu? To było zaledwie... no właśnie, kiedy? Siedem lat temu?

Pokiwałam głową.

– Owszem. Na pewno byłam wtedy w szkole. Nie przypominam sobie jednak takiego... incydentu. A chyba o czymś takim się nie zapomina?

– Z pewnością nie. A co to znaczy?

– Ty to powiedz.

Wielki pan siedzi w sali królestwa, pomyślałam. I tylko on może to wiedzieć.

STYCZEŃ–MARZEC 1980 ULRIKA

Urodziłam się w 1958 roku, tydzień po tym, jak Szwecja wygrała u siebie srebrny medal w Mistrzostwach Świata w Piłce Nożnej. Oba zdarzenia nie mają ze sobą nic wspólnego.

Piszę te wspomnienia w styczniu 1980 roku. Przeżyłam dwadzieścia jeden i pół roku, spodziewam się pierwszego dziecka. O tym chciałabym opowiedzieć.

Jestem zarazem śmiertelnie przerażona i spokojna, dziwi mnie, jakim cudem tak sprzeczne uczucia mieszczą się jednocześnie w moim wnętrzu. Nie kłócą się przy tym, żyją obok siebie, niczym dwoje ludzi, którzy choć są zupełnie różni, szanują się nawzajem.

Jestem przerażona dlatego, że będę rodzic, oraz dlatego, że ojciec dziecka nie odezwał się do mnie od czterech miesięcy. Nie wiem, co to oznacza. Spokojna jestem dlatego, że kobiety rodzą dzieci od zawsze. Cokolwiek powiedzieć, nasze ciała są do tego stworzone. Sama ciąża nie przysparza problemów, wszystko idzie, jak powinno.

Oczywiście na początku trochę mnie mdliło, no i nie mogę pić kawy. Poza tym jednak nie mam na co narzekać.

Nie jeśli chodzi o moje ciało oraz życie, które w nim kiełkuje. Jestem zarówno zadowolona, jak i zdziwiona z powodu tej dobrej fizycznej kondycji. Może to za sprawą jakiegoś hormonu, który organizm wydziela w takich sytuacjach. Bo być płodem tkwiącym w nerwowej matce to chyba nie

najlepszy początek życia?

Nie, mój niepokój i lęk siedzą w głowie. Tylko w niej. Co oznacza zniknięcie ojca dziecka? Milczenie?

Poznałam Flynna osiem miesięcy temu na wrzosowiskach w południowo-zachodniej Anglii. W dużym skrócie: wybrałam się tam na pieszą wyprawę z moją przyjaciółką Lottą. Obie niemal przez rok harowałyśmy w jednym z londyńskich pubów – cały czas w tej samej zadymionej, obskurnej norze. Wpadłyśmy więc na pomysł, by pojechać na łono natury i zobaczyć kawałek Anglii. A nie tylko Wardour Street na Soho, gdzie mieścił się ten przeklęty pub, i nie Camden Town, gdzie mieszkaliśmy wraz z trzema innymi naiwnymi dziewczynami w ciasnym i brudnym trzypokojowym mieszkaniu. Nasze współlokatorki zmieniały się zresztą, czasem było ich mniej, czasem więcej. Tylko ja i Lotta, po tym, jak podpisałyśmy umowę najmu w zapyziałym lokalu fish-and-chips w okolicy, tkwiłyśmy w tym samym mieszkaniu od naszego przyjazdu do Anglii w czerwcu 1978 roku. Trzy dni przed moimi dwudziestymi urodzinami, tak na marginesie.

Londyn nas porządnie zmęczył. Kiepska pensja, wysoki czynsz, dużo pracy, podupadły pub, pijani klienci oraz właściciele, którzy nie umieli trzymać łap przy sobie. Choć, jeśli o to chodzi, Lotta miała zdecydowanie gorzej, bo jest ode mnie ładniejsza i ma większy biust. Przez ten rok miała dwóch chłopaków. Irlandczyka, który był prawdziwym ucieleśnieniem krążących o jego krajanach stereotypów o skłonnościach do alkoholu i narkotyków, oraz nieśmiałego Norwega, który w Londynie studiował ekonomię lub coś podobnego. Tuż przed naszym wyjazdem na wrzosowiska Lotta rzuciła Halvora, bo tak się nazywał. Zareagował w trojaki sposób: najpierw uderzył ją lampą w głowę, potem błagał o przebaczenie, zalewając się łzami, a następnie zagroził, że odbierze sobie życie.

Tak mniej więcej wyglądała nasza sytuacja, kiedy na stacji Paddington

wsiadałyśmy do pociągu jadącego na zachód. Był piękny dzień, połowa maja, a w Anglii to preludium lata. My zaś obiecałyśmy sobie, że pod żadnym pozorem nie zostaniemy w pubie czy w norze na Camden dłużej niż do czerwca. Tęskniłyśmy za domem, czasem aż do bólu. Teraz jednak miałyśmy zamiar przemierzać wrzosowiska, nocować w przytulnych pensjonatach bed and breakfast, oddychać świeżym powietrzem i wyrobić sobie kondycję. Może nawet rzucić palenie.

Pierwszego dnia podróżując pociągiem, autobusem oraz stopem, dotarłyśmy do miejsciny o nazwie Exford, która wyglądała jak angielskie małe miasteczka na starych adaptacjach książek Agathy Christie. Zarezerwowałyśmy nocleg na dwie noce w pokoju nad pubem i jeszcze po przyjeździe zdążyłyśmy pójść na krótki spacer po wrzosowisku. Obu nam się strasznie podobało. Potem zjadłyśmy chleb z serem i piklami, wypiliśmy po dwie szklanki cydru i zasnęłyśmy o dziesiątej niczym dwie szczęśliwe świnki.

Tak to mniej więcej wyglądało. Często oczyma wyobraźni oglądam te sceny z pierwszego dnia w Exford niczym film. Gdybym miała wybrać, które godziny życia mogę przeżyć jeszcze raz, postawiłabym właśnie na ten wieczór. To była chyba kwintesencja szczęścia.

Ja i Lotta chodziłyśmy do jednej klasy przez całe gimnazjum, ale dopiero w ostatnim roku się zaprzyjaźniłyśmy. Tak naprawdę to dopiero w ostatnim semestrze. Nie pamiętam dokładnie, jak do tego doszło, wiem tylko, że jedna dziewczyna, z gatunku tych egoistycznych, nadających ton blondyn, wyniosła się z miasta, co doprowadziło do przesunięć w towarzyskiej hierarchii.

Tak czy inaczej ja i Lotta jakoś się spiknęłyśmy, a ponieważ potem wylądowałyśmy w jednej klasie w liceum, nadal się kumplowałyśmy. Po liceum Lotta przez dwa lata siedziała na kasie w markecie, ja zdążyłam zaliczyć trzy miejsca pracy. Najdłużej, czternaście miesięcy, zabawiłam w fabryce chodaków, gdzie moja mama pracuje od stu lat i gdzie przepracuje

kolejne sto.

Potem pojechaliśmy do Londynu. Lotta z błogosławieństwem rodziców, ja bez. Równie żywo jak tamten wieczór w Exford widzę przed sobą kolor twarzy ojca, kiedy – gdy z Lottą podjęliśmy już decyzję – zrozumiał, że jego jedyna córka ma zamiar mu się sprzeciwić i wyfrunąć z domu. Taki sam kolor ma pewien francuski ser, z tych droższych i lepszych, ale nigdy nie potrafię zapamiętać jego nazwy. Mama płakała.

Mój wylot z bezpiecznego rodzinnego gniazda i rozłąka pewnie zostałyby lepiej przyjęte, gdybym miała rodzeństwo. Ale nie mam.

Miałam. Brata, którego nigdy nie poznałam, ponieważ zjadłam go, kiedy jeszcze byliśmy w brzuchu mamy. Może nie do końca, tak jednak wyobrażałam to sobie, kiedy po raz pierwszy usłyszałam o moim bliźniaku, który miał się nazywać Martin, a który zmarł przed narodzinami.

Miałam wtedy cztery lub pięć lat, a opowiedział mi o nim tata, chyba w ten sposób chciał mnie za coś ukarać. Chyba wspomniał, że to ja zjadłam pokarm mojego braciszka, przez co umarł z niedożywienia. W mojej dziecięcej głowie przeinaczyłam historię, dodając wątki kanibalistyczne.

Tak czy inaczej, byłam winna śmierci Martina, co do tego wszyscy byli zgodni. To oczywiście znaczyło, że coś ze mną było nie tak.

Mama nie mogła mieć już więcej dzieci, co też było moją winą. Dorastając, widziałam czasami w spojrzeniu ojca, że chętnie sprzedałby mnie na targu, gdyby tylko w zamian mógł sobie sprawić syna.

Dziwne więc, że słysząc o moim wyjeździe, zabronił mi podróży. Do tego tupał w kuchenną podłogę, a jego twarz przybrała kolor francuskiego sera. Przecież nigdy mnie nie chciał. Możliwe jednak, że z biegiem lat zmienił zdanie. W końcu nie byłam aż tak nieznośna i nie sprawiałam problemów wychowawczych.

– W przyszłym tygodniu kończę dwadzieścia lat – oznajmiłam. – Już

kupiłyśmy bilety. Pojadę, czy tego chcecie czy nie. Może będę pisać.

Rozmowa miała miejsce ostatniego wieczora przed wyjazdem. Następnego ranka gniew zmalął.

– Czy ty naprawdę myślisz o tym na poważnie? – zapytał ojciec.

– No raczej – odparłam.

– Nie rozumiesz, co jest dla ciebie najlepsze – dodała matka.

– Jesteś naszym jedynym dzieckiem – powiedział ojciec. – Jesteś wszystkim, co mamy. Nie rozumiesz?

Już nie przypominał sera. Głos mu drżał, wyglądał jak zbity pies. Czułam, że sama sprawiam podobne wrażenie. Mama próbowała powstrzymać płacz, smarkając w chusteczkę.

– Obiecuję, że będę na siebie uważać – powiedziałam. – Nie musicie się martwić. Wrócę.

Potem uściskałam ich oboje, zarzuciłam wypchany plecak na plecy i wyszłam.

Przyznaję, że i ja płakałam. Cieszę się, że to widzieli.

Flynna spotkałyśmy trzeciego dnia na wrzosowiskach. Wciąż wydaje mi się to równie dziwne jak wtedy. Opuściłyśmy Exford i na dwie noce zatrzymałyśmy się w wiosce Blagworthy. Gdybyśmy tamtego dnia nie poszły na zachód, w stronę morza, tylko w innym kierunku, czy nawet gdybyśmy wybrały inny szlak z całej tej plątaniny ścieżek na wrzosowisku, teraz nie siedziałabym w domu w K. z dzieckiem w brzuchu.

Tak jednak wygląda życie. Jest nieprzewidywalne, pełne przypadku. Dlatego nie opłaca się na coś liczyć czy planować. Jeśli nauczyłam się czegoś o życiu, to właśnie tego.

18

Porannek był tak piękny, jak tylko może być w maju na angielskim wrzosowisku. Obudziły nas wcześnie odgłosy z kuchni i świergot ptaków – pani Higgins szykowała nam śniadanie. Jajka i bekon, rzecz jasna, do tego herbatę i tosty oraz kanapki na wyprawę. Niebo było jasne, gdzieś tam zasnuwały je obłoczki. Przez okno widziałyśmy stado dzikich koni, które pasły się na wrzosowisku nie dalej jak trzydzieści metrów od nas, po drugiej stronie zarośniętego murku.

– Po cholere jechałyśmy do Londynu? – zapytała Lotta. – Dlaczego nie zamieszkałyśmy od razu tutaj? Możesz mi to wyjaśnić?

– To ty chciałaś tam jechać – odparłam. – Chciałaś stać za barem i każdego wieczoru spotykać przystojnych Anglików. Tajemniczych nieznajomych ze wszystkich zakątków świata, pełnokrwistych Arabów z kasą i...

– Akurat – przerwała mi Lotta. – Panicznie boję się koni, przecież wiesz. Chociaż nie tych potarganych z tamtego stada. Myślisz, że można je nakarmić? Chyba nie umrą od kawałka tosta z marmoladą?

– Najlepiej zapytać panią Higgins. Zejdziemy wciągnąć śniadanie?

– Nie musisz mnie namawiać.

Kiedy godzinę później wyszłyśmy na wrzosowisko, nie nakarmiłyśmy koni, bo już ich tam nie było.

Za to niebo, słońce i ptasie śpiewy nie zniknęły. Wrzosowisko też wciąż było na miejscu, a na nim krzewy kolcolistu i wrzosy oraz szesnaście

gatunków paproci. Pagórki o przyjemnie podłużnych, obłych kształtach ciągnęły się, jak okiem sięgnąć. Przeszliśmy przez mur i chwilę stałyśmy przed starym, zniszczonym znakiem informującym o odległościach do poszczególnych punktów. Mila i jedna trzecia tam, dwie i pół mili tam. Nieznane nazwy nieznanymi miejsc. Sprawdziłyśmy je na mapie, wzruszyłyśmy szczupłymi ramionami, poprawiłyśmy plecaki i zaczęłyśmy iść. Lotcie wydawało się, że ja mam dobry zmysł orientacji, mnie, że ona go ma. Obie wiedziałyśmy jednak, że tylko nam się wydawało. Komu jednak potrzebne są oznakowane szlaki w taki dzień? Nie nam. Ten dzień to było życie, czułyśmy to. No i obie zaopatrzyłyśmy się w plastry na obtarcia.

Jakieś dwie godziny później przysiadłyśmy nad wartkim potokiem. Oparłyśmy się o kamień i wystawiłyśmy twarze do słońca. Popijałyśmy kawę i jadłyśmy kanapki z jajkiem i majonezem. Wysoko nad nami unosił się jakiś drapieżny ptak, rozproszone stadko owiec pasło się po drugiej stronie strumienia, pachniało jakimś ziołem, a może to nagrzana trawa wydzielala taki zapach.

– Cholera – powiedziała Lotta. – Dobrze, że nie jesteśmy poetkami. Oszalałabym chyba, gdybym musiała ubrać to w słowa.

– Myślisz, że łatwiej byłoby być artystą? To znaczy malarzem?

Lotta rozejrzała się wkoło.

– Tak, w zasadzie tak – odparła. – Kiedy malujesz, musisz się skupić tylko na jednym zmyśle. Na tym, co widzą twoje oczy. Jeśli jednak chcesz opisać taki widok słowami, musisz się zająć wszystkim. Zapachami, dźwiękami, tym, co czujesz... Łapiesz?

– Jasne, że łapię – powiedziałam. – Czasami mądrze gadasz.

– Wiem przecież.

To wtedy, właśnie wtedy, w połowie naszej wnikliwej dyskusji o sztuce, usłyszałyśmy gitarę. Z początku nie wiedziałyśmy, co to za dźwięki. W jednej chwili obie przestałyśmy żuć kanapki i zdziwione spojrzaliśmy po sobie.

– A to co? – zapytałam. – Brzmi jak...

– Gitara! – dokończyła Lotta. – Niech mnie. Ktoś dla nas gra. Tego tylko brakowało.

Przez chwilę nasłuchiwałyśmy w milczeniu. Potem zorientowałyśmy się, że dźwięk się zbliża, nagle naszym oczom zza krzewu kolcolistu ukazał się jakiś chłopak. Powoli szedł ścieżką biegnącą wzdłuż strumienia. Przygrywał sobie na przewieszanej przez szyję na pasku gitarze. Był tak skupiony na grze, że zauważył nas dopiero, będąc jakieś pięć metrów obok.

– Ojej!

– Witaj, nieznajomy – powiedziała Lotta.

– Przepraszam bardzo, zatraciłem się w grze – odparł chłopak, odgarniając z twarzy długie włosy.

Okazał się starszy, niż z początku myślałam. Poza długimi włosami miał też brodę zakrywającą większą część twarzy, ale i tak był przystojny. To znaczy mógłby być, gdyby spędził godzinę u fryzjera. Wysoki, szczupły, opalony, w kraciastej koszuli z zakasnymi za łokcie rękawami. Do tego dzinsy i buty trekkingowe. Żaden tam profesjonalny turysta – spotkałyśmy już kilku takich – a jednak miało się wrażenie, że wrzosowisko to jego dom. Miał mały plecak, ale żadnego futerału na gitarę. W każdym razie żadnego sztywnego i nieporęcznego. Możliwe, że miał w bagażu zwinięty jakiś miękki pokrowiec. Lotta zaproponowała, by usiadł z nami i jeszcze trochę pograł, bo odkąd trafiłyśmy na wrzosowiska, nie miałyśmy okazji posłuchać dobrej muzyki.

Chłopak się zaśmiał. Tak przyjaźnie i miękko. Teraz wiem, że już wtedy się w nim zakochałam. Od razu chciałam zrobić wrażenie miłej i uduchowionej, choć z reguły tę rolę oddawałam Lotcie. I tak była ładniejsza i jeśli zdarzało się nam walczyć o tego samego faceta, ona zawsze wygrywała.

Trochę przesadzam, bo przecież nigdy do takiej sytuacji nie doszło, jednak obie byłyśmy świadome, że Lotta ma większe szanse. Kiedy chłopcy z nami

flirtowali, ona była numerem jeden, ja numerem dwa. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, są przecież pewne oczywiste sprawy, których nie trzeba ubierać w słowa.

W każdym razie to dlatego Lotta zorientowała się w sytuacji i nie wkroczyła teraz do gry. Może też potrzebowała chwili na złapanie oddechu po tym Halvorze Halvorsenie, zwłaszcza jeśli on rzeczywiście miałby spełnić groźby i odebrać sobie życie.

Poza tym to ja zaprosiłam Flynna na kawę, kiedy wymieniliśmy uścisk dłoni i przedstawiliśmy się sobie, wyjaśniając, skąd pochodzimy. Lotta i ja – wiadomo – z miasteczka K. w Szwecji, Flynn, jak się okazało, ze zdecydowanie większego Liverpoolu w Anglii.

Flynn przyjął zaproszenie i usiadł na kamieniu obok. Wziął ode mnie kubek i powiedział, że chętnie zagra nam jakiś kawałek, a jeśli będziemy chciały posłuchać więcej, możemy wpaść do tawerny w Simonsbath, bo miał tam tego wieczoru występować.

Mój Boże, powiedziałam (to lub coś w tym stylu), składając ręce w zachwycie (lub wykonując temu podobny gest), oczywiście, że przyjdziemy. Najpierw musimy tylko przejść sześćdziesiąt mil przez paprocie.

Flynn się zaśmiał i dodał, że właśnie w ten sposób przyciąga publiczność. Chodzi po wrzosowisku i kusi ludzi grą. Zupełnie jak ten grecki bóg czy półbóg, którego imienia ani ja ani on nie mogliśmy sobie przypomnieć. Lotta też nie. Po kilku minutach moich i Flynna żartów Lotta wreszcie poprosiła go o piosenkę, żebyśmy wiedziały, ile jest wart. Czy rzeczywiście opłaca nam się iść wieczorem do tej tawerny na końcu świata.

– Co chciałybyście usłyszeć? – zapytał Flynn, zupełnie jakby miał w repertuarze wszystkie piosenki świata.

– *Blowin' in the Wind* – rzuciłam, sama nie wiedząc, skąd mi to przyszło do głowy. Chciałam tylko, żeby Flynn spełnił moje życzenie, a nie Lotty.

Choć, jak już wspomniałam, Lotta sama była tego świadoma, więc nie stanowiła żadnego zagrożenia.

I tak Flynn Branagan zagrał nam *Blowin' in the Wind* Boba Dylana, a my nadal siedziałyśmy oparte o kamienie przy małym strumyku przecinającym rozległe wrzosowiska. Co rusz zamykałyśmy oczy, to znów mrużyłyśmy je w majowym słońcu, zerkając na drapieżnego ptaka, który wciąż szybował po niebie. Myślałam sobie, że to się nie może dziać naprawdę. A jednak się działo. I będę opowiadać moim dzieciom i wnukom o tej chwili, wiedziałam to już wtedy. To jak tatuaż na duszy, a słyszałam, że usunięcie tatuażu to taki ból, że ludzie najczęściej rezygnują z jego usunięcia.

Na naszą prośbę Flynn zagrał jeszcze dwa kawałki. Jeden własnego autorstwa, drugi, jak twierdził, był prastarą irlandzką balladą o nieszczęśliwej miłości. Tak zresztą brzmiała ta melodia. Jak pasmo nieszczęść, ale jednocześnie w jakiś dziwny sposób napawała nadzieją i spokojem. Może to było coś w stylu „jak nie ten, to będą inni”, dla nas jednak tekst był niezrozumiały.

Tyle musiało nam wystarczyć, bo Flynn miał kilka spraw do załatwienia przed wieczorem. Powiedział jednak, że ma nadzieję zobaczyć nas w Simonsbath.

Zapytałyśmy, gdzie to jest i jak się tam dostać.

– A gdzie dokładnie mieszkanie?

– W Blagworthy – odparłam, wskazując ręką w bliżej nieokreślonym kierunku.

Flynn powiedział, że nie ma sprawy. Może nas zgarnąć swoim samochodem o szóstej.

– Sprzed kościoła, pasuje? – zapytał.

– Świetnie – odpowiedziałam.

19

Jest dobrze po trzydziestce – stwierdziła Lotta. – Zdajesz sobie z tego sprawę?

Prychnęłam. Kto jak kto, ale ona z reguły nie zważała na wiek i na to, co wypada. A teraz nagle zaczęła. Może pożałowała, że dała mi pierwszeństwo, bo Flynn Branagan był czarującym facetem.

Bardzo czarującym. Siedziałyśmy w tawernie Exmoor Inn w Simonsbath. Wypiłyśmy już w następującej kolejności: białe wino, piwo i cydr. Flynn zaczął właśnie grać drugą część koncertu na małej scenie w rogu lokalu. Było wpół do dziesiątej, a atmosfera miła. Wszystkim chyba podobały się piosenki Flynna, wiele z nich publiczność śpiewała razem z nim. Lotta i ja żałowałyśmy, że pracowałyśmy w tej bezpłciowej spelunie na Soho, a nie w takim pubie jak ten. Różnica była naprawdę duża.

Choć nie wiem, czy tu dostałybyśmy kiedykolwiek robotę. Ludzie z obsługi w Exmoor Inn pochodzili pewnie z okolicy, znali wszystkich klientów poza nami i pracowali tam, odkąd skończyli szkołę. Flynn nie był jednak ich znajomym. Najwidoczniej grał tam już wcześniej, ale kiedy schodził ze sceny, siedział z nami. Najpewniej ludzie myśleli, że któraś z nas jest jego dziewczyną. Żeby ich w tym przekonaniu utwierdzić, w przerwie koncertu położyłam mu rękę na udzie i przysunęłam się naprawdę blisko. Nie do wiary, ileż odwagi może dodać alkohol.

– Do czego pijesz? – zapytałam Lotte, odnosząc się do jej komentarza

o wieku.

– Do niczego – odparła. – Zastanawiałam się tylko, czy w ogóle o tym pomyślałaś.

Obie dopiero co zostawiłyśmy za sobą okres nastoletni. Jeśli jednak człowiek przeżył cały rok w mieście takim jak Londyn, zdecydowanie można go uznać za dorosłego. Rozmawiałyśmy o tym wcześniej i doszłyśmy do wniosku, że przez ten rok nauczyłyśmy się więcej niż przez rok spędzony w K. Trzeba poznawać świat, w przeciwnym razie człowiek karleje, co do tego się zgodziłyśmy.

Flynn skończył grać około wpół do jedenastej, zgodnie z umową. Ostatnią rundę postawił Frank, właściciel pubu. Usiadł przy naszym stoliku i opowiadał historie z Exmoor. O szalonych turystach i myśliwych, którzy postrzelili się w stopę i tym podobnych. Potem była kolejna ostatnia runda, bo Frank przypomniał sobie jeszcze kilka anegdot, które koniecznie musiał opowiedzieć tak miłemu gronu. Wtedy i ja, i Lotta byłyśmy już mocno pijane. Szczególnie zwodniczy okazał się cydr. Człowiek nie czuje jego mocy, dopóki nie jest za późno. Kiedy skończyliśmy, innych gości nie było już w lokalu. Flynn też nie był zbyt trzeźwy, stwierdził jednak, że na wrzosowiskach nikt się tym nie przejmuje. Jeśli tylko wyjdzie się z pubu o własnych siłach i trafi do swojego samochodu, to znaczy, że można prowadzić.

Lotta zauważyła, że nietrudno było znaleźć właściwe auto, bo na parkingu stało tylko jedno. Z jakiegoś powodu bardzo nas to ubawiło. Przez całą drogę do Blagworthy śmialiśmy się z tego jak szaleni, co wiele mówi o naszym stanie. Ja siedziałam z przodu, obok Flynna, Lotta leżała w łóżku z tyłu przyczepy. Zanim dojechaliśmy, wszyscy troje musieliśmy się wysikać. Rozeszliśmy się każdy na swoją pozycję, ale i to niezmiernie nas ubawiło. Kiedy skończyliśmy, Flynn zapytał, czy to nie pora na wspólne wyjaranie jointa. Lotta i ja trzymałyśmy się z dala od trawy przez cały rok spędzony

w Londynie, jednak tego wieczoru, na wrzosowisku pod rozgwieżdżonym niebem dałyśmy się skusić. Flynn wprawnie skręcił jointa, a my przysiadłyśmy na skraju drogi i paliłyśmy na zmianę, pokładając się przy tym ze śmiechu. Leżałyśmy tak w trawie na poboczu i wpatrywałyśmy się w miriady gwiazd. Gdzieś w oddali słyhać było beczące owce i psa szczekającego w którejś z wsi. Myślałam sobie wtedy, że zrobię wszystko, by móc przeżywać takie wieczory przez resztę życia.

Całą noc i pół przedpołudnia spędziłam z Flynnem w przyczepie. Oczywiście uprawialiśmy seks, choć kiedy obudziłam się rano, prawie niczego nie pamiętałam. W Londynie spałam z dwoma chłopakami, wcześniej w Szwecji też z dwoma, zatem Flynn był moim piątym. Miałam porządnego kaca, ale kiedy wykąпалиśmy się w lodowatym strumieniu, poczułam się lepiej. Wypiliśmy kawę i zjedliśmy słodkie bułki z masłem i marmoladą, które Flynn wyciągnął z miniaturowej lodówki w przyczepie. Potem podrzucił mnie do pensjonatu w Blagworthy. Wsiadając z samochodu, prawie się rozplakałam, ale wtedy on położył mi dłoń na szyi i poprosił, żebyśmy spotkali się jeszcze tego wieczora.

Zapytałam, czy naprawdę tego chce. Odparł, że gdyby ktoś pozwolił mu wypowiedzieć jedno jedyne życzenie, to zażyczyłby sobie właśnie tego.

I tak się to ciągnęło. Za dnia ja i Lotta wędrowałyśmy po wrzosowiskach, czasami przez cztery, pięć godzin, czasami zaledwie przez jedną lub dwie godziny, wieczorami zaś Flynn nas zgarniał i jechaliśmy do pubu, w którym występował. Do Dulverton, Winsford, Withypool. Właściwie tylko do tych trzech miejscin. I właściwie nasze wędrówki trwały tylko trzy dni, ale miało się wrażenie, że o wiele dłużej. Lotta była z nami tylko w Dulverton i Winsford. W niedzielę wszyscy razem pojechaliśmy do Taunton, gdzie wsadziliśmy ją do pociągu do Londynu. Miała przekazać Keithowi z The

Green Anchor, że niestety podczas naszych karkołomnych eskapad po wrzosowiskach skręciłam nogę, ale wrócę do pracy za tydzień.

Kolejne trzy dni spędziłam z moim trubadurem na Exmoor. Tylko on i ja. Żyliśmy chwilą. Dwa razy Flynn miał wieczorne występy. We wspomnianym już Withypool i w Wheddon Cross. Ostatniego wieczoru był wolny. Upiliśmy się cydrem oraz whisky i wypaliliśmy kilka jointów. Kochaliśmy się mnóstwo razy, przeżywałam orgazmy, jakich nigdy nie miałam, a on śpiewał mi piosenki.

Opowiadaliśmy sobie o swoim życiu, ale nie za dużo. Ja nie miałam za bardzo o czym opowiadać.

Jesteś taka młoda, powtarzał. Za młoda.

Ja mówiłam, że mam dość niedojrzałych chłopaków.

Czy zawsze będziesz tak cudownie młoda?, pytał.

Obiecałam, że tak. Moja dusza zawsze będzie tak młoda. Tak młoda i wolna jak jego.

Wymieniliśmy wiele tego typu głupich uwag. I żadne z nas nie uważało, by było w nich coś niemądrego. Człowiekowi trochę odbija, jak się ujara.

Nadszedł dzień rozstania. Flynn musiał wracać do Liverpoolu, jak się okazało, miał też inną pracę. Mówił coś o dużej budowie, ale nie zrozumiałam dokładnie, co tam robi. W każdym razie śpiewanie po pubach było jego dodatkowym zajęciem, któremu oddawał się od czasu do czasu. Śpiewać można tak długo, dopóki to człowieka bawi, powiedział. Czy jest coś gorszego od znudzonego pieśniarza?

Przez całą drogę do Taunton, skąd miałam pociąg do Paddington, tłumiłam płacz. Flynn siedział za kółkiem i podśpiewywał, jakby nic a nic go nie trapiło. Czułam się jak małe dziecko, nie miałam odwagi zapytać, czy jeszcze kiedyś się spotkamy. Może w jego świecie tak to właśnie wygląda? Ludzie się spotykają, są ze sobą przez tydzień, piją, palą i uprawiają seks jak szaleni,

a potem mówią sobie na razie i ruszają ku nowym przygodom? Czy właśnie tak powinno się żyć? Czy nie widzisz, że rozpadam się na kawałki?, myślałam.

Widział. Kiedy zaparkowaliśmy przed stacją w Taunton, jednym z najbrzydszych miejsc, jakie widziałam, wskoczyliśmy do łóżka w przyczepie i zaciągnęliśmy zasłony. Do odjazdu pociągu była godzina, mieliśmy więc czas, żeby jeszcze raz się bzyknąć. Potem powiedział mi, że mnie kocha.

Zalałam się łzami i powiedziałam, że ja jego też.

– Będę w Londynie za tydzień lub dwa – tłumaczył mi. – Zaczekasz na mnie?

Odparłam, że oczywiście będę czekać.

Ostatnie trzy tygodnie w Londynie przemieszkałam w przyczepie. W praktyce wyprowadziłam się z nory na Camden i często olewałam pracę w pubie na Wardour Street. Flynn i ja jeździliśmy i nocowaliśmy w różnych miejscach. Hampstead Heath, Battersea i Greenwich. Najczęściej jednak parkowaliśmy przy Richmond Park. Pogoda była cudowna. Czasami spaliśmy na dworze, jak para prawdziwych hipisów, myślałam sobie. Żyliśmy chwilą, zdawałam sobie jednak sprawę, że nie da się tego ciągnąć w nieskończoność. Na razie pozwalałam sobie na to, wkrótce miałam przecież wrócić do Szwecji. Lotta i ja wykupiłyśmy bilety na trzydziestego czerwca z Heathrow, ten okres wolności przeżywanej z Flynnem Branaganem miał więc dobiec końca. W sposób naturalny i nieunikniony. Oboje o tym wiedzieliśmy i rozumieliśmy się bez słów.

Jednak jednego z tych ostatnich dni zaszłam w ciążę, musieliśmy więc coś z tym zrobić. Choć dowiedziałam się dopiero w domu, w K.

Kiedy siedziałam w samolocie obok Lotty, byłam jak oniemiała. Miałam wrażenie, że ktoś mnie amputował. Lotta próbowała rozmawiać ze mną jak za dawnych czasów. Jakby ktoś zamknął nawias za moim romanssem, a my znów byłybyśmy najlepszymi przyjaciółkami.

Tak jednak nie było. Sama nie wiem dlaczego. To przeze mnie, to ja się dziwnie zachowywałam. A ziarno mojego szaleństwa rozkwitło w pełni i jedyne, co kołatało mi się po głowie, to tytuł jakiegoś starego filmu. Chyba Ingmara Bergmana.

Ona tańczyła jedno lato.

Czy tak będzie i ze mną? Czy moje życie już się skończyło?

20

Styczeń w tym roku jest naprawdę cholernie zimny i teraz ma się rodzić moje dziecko.

Chociaż termin mam wyznaczony na marzec, więc miejmy nadzieję, że do tego czasu trochę się ociepli.

Trudno przewidzieć, co będzie ze mną i moim życiem. Jestem jak kokon, i nie mam wcale na myśli tego, że jestem w coś spowita, tylko to, że sama jestem kokonem otulającym dziecko. Czy wszystkie kobiety tak się czują w ciąży? Czy tak właśnie powinny się czuć? Gdyby moja mama była inna, może porozmawiałabym z nią na ten temat, ale jest, jaka jest, więc nie ma o czym gadać. Zresztą wcale mnie to nie interesuje, bo nawet najlepsze słowa na świecie nie zmienią mojej sytuacji. To tylko niemądre refleksje, które nagle pojawiają się w mojej kokoniastej głowie, po czym znikają.

Jak to jednak będzie, kiedy dziecko – ona lub on – ze mnie wyjdzie? W marcu, jak wspomniałam, około dwudziestego piątego, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem. Nie wiem, ale i to pytanie na razie mnie nie trapi. Choć pewnie zacznę. Czy może raczej pytania, bo naprawdę nie chodzi tylko o jedno. Jak to będzie? Gdzie jest Flynn? Czy rzeczywiście mnie porzucił? Czy ja i dziecko będziemy mieszkać w domu rodziców? Czy tak to ma wyglądać? Pechowa córka, która zaszła w ciążę z obcym facetem. Czy to taka rola mi przypadnie?

Jeśli tak, to na jak długo? Na resztę życia?

Czy Flynn już nigdy nie wróci? Czy już się z tym pogodziłam?

Samotna matka bez pracy i mieszkania. Przynajmniej będę miała pierwszeństwo przy zapisach do przedszkola.

Piszę do niego regularnie. Nadal to robię, choć nie tak często jak we wrześniu i październiku, tuż po jego wyjeździe. Wtedy pisałam niemal codziennie. A odpowiedzi nie dostałam ani jednej. Nic, choćby linijki, choćby słowa.

Mówił, że wróci za miesiąc, kiedy pozałatwia wszystkie sprawy w Anglii, nie wiem jednak dokładnie, o jakie sprawy chodziło. Wysyłałam listy na oba adresy: do domu na Vandyke Street w Liverpoolu oraz na poste restante. Chyba miał sprzedać przyczepę. Wyjaśniłam mu, że klimat w K. jest taki, że raczej nie będziemy mogli zamieszkać w niej we trójkę. Pewnie nawet opieka społeczna by na to nie pozwoliła. W Szwecji nie można mieszkać w przyczepie z nowo narodzonym dzieckiem. Romowie tak robili, ale to było kiedyś, a teraz już nie jest kiedyś, my zaś nie jesteśmy Romami.

Pamiętam, że Flynn się zaśmiał.

– W Anglii też nie można. Nie martw się, jesteśmy na podobnym poziomie rozwoju cywilizacji, jak wy tutaj.

Postanowiliśmy jednak, że zamieszkamy w Szwecji. W każdym razie na początku. Flynn bez problemu mógł tu znaleźć pracę. Może niekoniecznie jako pieśniarz w pubach, ale i w Anglii nie był to jego właściwy zawód. Z wykształcenia był inżynierem budowlanym, tak w każdym razie zrozumiałam. Zajmował się jakimiś konstrukcjami na budowach, a przecież dla wykwalifikowanych budowlańców zawsze znajdzie się praca. W Szwecji, w Anglii czy innych krajach. Flynn sam opowiadał, że pracował zarówno w Belgii, jak i w Szwajcarii oraz Algierii.

Wszystko miało się ułożyć. Może jeszcze się ułoży, wątpię w to jednak. Dziś minęły dokładnie cztery miesiące, odkąd opuścił K. Wyjechał dwudziestego trzeciego września. Pocałował mnie w brzuch i powiedział, że

mnie kocha.

Jestem sama. To mój własny wybór, nie chcę się spotykać z dawnymi znajomymi. Z Lottą też nie. W listopadzie przeprowadziła się do Karlstad, jednak nasza relacja dobiegła końca dużo wcześniej. Być może już kiedy wyjechałyśmy z Anglii. Chyba zrozumiałam to już wtedy, zanim jeszcze wiedziałam o ciąży. Przez rok żyłyśmy jak bliźnięta syjamskie. W jednym ciasnym pokoju, jednym ciasnym pubie, dzień w dzień, noc w noc. Oczywiście rozstając się na lotnisku w Sztokholmie, wyściskałyśmy się ze łzami. Tata Lotty i jego nowa żona odebrali ją stamtąd, ponieważ mieli jechać razem na szkierę, ja wsiadłam w kolejny samolot do Ö. W głębi duszy cieszyłyśmy się jednak, że wreszcie będzie można się rozstać. Wspólny krwiobieg przez trzynaście miesięcy, po prostu miałyśmy dość.

Było to na przełomie czerwca i lipca. Potem, jeszcze latem, kilka razy do siebie dzwoniłyśmy, ale o dziwo miałyśmy sobie bardzo mało do powiedzenia.

Kiedy myślę, jak nagle i z jak błahych powodów kończą się niektóre relacje, zupełnie jakby ucinano się je nożyczkami, napawa mnie to smutkiem i lekkim niepokojem. Czy tak wygląda życie? Czy tak to już będzie?

Czy tak właśnie postąpił Flynn?

Czytanie i spacerowanie to teraz moje główne zajęcia. Na książki rzucam się o każdej porze dnia i nocy, rzadko jednak wychodzę na dwór za widoku. O tej porze roku w K. dzień jest dość krótki, a ja w pewnym sensie się z tego cieszę. Nie chcę się pokazywać. Wiele osób w mieście mnie zna, wiele mówi mi dzień dobry. Najpierw na sekundę wbijają wzrok w mój brzuch, potem podnoszą go do moich oczu i przybierają minę, którą już nauczyłam się rozpoznawać: po części wyraża współczucie, po części tolerancję. Tolerancję, której celem jest skryć to łagodne, ale i pełne zadowolenia obrzydzenie, jakie

nieświadomie odczuwają. To przywilej ludzi, którym się szczęści.

Choć niektórzy robią to całkiem świadomie. Szkoda dziewczyny, myślą, ale sama może się winić. Tak to już zawsze było. Tak to jest, jak się lata za chłopakami.

Dlatego siedzę w domu, dopóki nie zrobi się ciemno. Po zmroku najczęściej chodzę do parku krajobrazowego i nad Morsjön. Jest tam szlak, którego przejście zajmuje z półtorej godziny, a o tej porze roku spotyka się na nim zaledwie garść ludzi. Ponieważ mam na sobie kaptur, nawet oni nie widzą, kim jestem. Może i kiwają mi głową na dzień dobry, ale już bez „szkoda dziewczyny”, a wtedy czuję się jak anonimowa osoba.

Zawszę lubię być anonimowa.

Jestem wdzięczna mamie i tacie, naprawdę. Zanim Flynn zjawił się tu w sierpniu, niewiele im o nim opowiadałam. Tyle tylko, że się kochamy i że to on jest ojcem dziecka, które od dwóch miesięcy rośnie w moim brzuchu. Przed przyjazdem obiecał mi, że przystrzyże włosy i postara się wyglądać schludnie jak do ślubu, ale zapomniał o obietnicy. Kiedy wysiadał przed naszym domem ze swojej umorusanej przyczepy, a mama i tata po raz pierwszy zobaczyli przyszłego zięcia, ich oczom ukazał się hipis. W dodatku nie najmłodszy, bo właśnie skończył trzydzieści cztery lata. Równie dobrze jednak można było mu dać czterdzieści. Włosy i brodę miał dłuższe niż kiedykolwiek, ubrany zaś był w przycięte džinsy i zaplamiony T-shirt z Frankiem Zappą. Do tego od dość dawna się nie mył.

Wprawdzie uśmiechnął się szeroko i przyjaźnie, po czym przeprosił za to, że nie jest najświeższy – w końcu przez ostatnie dwie doby przejechał ponad dwa tysiące kilometrów, *dear me*, ależ ta Szwecja to duży kraj – ale niewiele to pomogło. Przez sekundę popatrzyłam na niego ich oczami i rozumiałam, jak musieli się czuć.

Mimo to trzymali klasę. Może nie przez pierwszych kilka minut, bo wtedy

szczęki im opadły, zwłaszcza mamie. Kiedy kilka godzin później zostałam na osobności z Flynnem, wyjaśniłam mu, że to kwestia języka. Ani mama, ani tata nie byli orłami z angielskiego. Nie chodziło tylko o to, że po raz pierwszy w życiu spotkali wybranka swojej jedynaczki, tłumaczyłam mu, należało też wziąć pod uwagę to, że nie umieli z nim rozmawiać.

– Nic się nie bój – zaśmiał się Flynn. – W rok nauczę się szwedzkiego.

Mimo wszystko rodzice traktowali go z szacunkiem. Mieszkał u nas prawie przez miesiąc. Dostawał śniadanie, lunch, kolację i ani razu nie usłyszał niemiłego słowa. Żadnych kwaśnych min, żadnych pouczeń. Mimo to ze dwa lub trzy razy słyszałam, jak wieczorem mama płakała w sypialni. Za każdym razem tata, bo myślę, że to był on, włączał radio, żeby nie było słychać szlochu. Nasz dom nie jest duży, a ściany są cienkie.

Tak samo było po wyjeździe Flynnna. Żadnych sądów, żadnych „coś ty narobiła” czy „przyniosłaś nam wstyd”.

Tylko jeden jedyny raz, chyba dzień po jego wyjeździe, mama powiedziała: „On nigdy nie wróci, chyba powinnaś się na to przygotować”.

Ja się jednak nie przygotowałam.

Nie wtedy. Z tą myślą zaczęłam się oswajać później, w listopadzie, kiedy zbliżały się święta.

Teraz, kiedy nadszedł ten zimny styczeń, kiedy mimo wszystko wychodzę na spacer i włączę się przez dwie godziny, teraz już się pogodziłam z tym faktem. Czy na pewno?

Pytanie tłucze mi się po głowie mojego niby-kokona. Wyobrażam sobie, że widzę siebie z boku, z góry, kiedy tak idę w ciemnościach z tkwiącą we mnie larwą. Co się z nami stanie?

21

Nadszedł marzec, ale zima nie odpuszcza.

W naszym regionie tak jest. Pamiętam, że Flynn zaprotestował, kiedy wyjaśniałam mu, że K. leży pośrodku Niczego. Nie, zaśmiał się, to są północne obrzeża Niczego.

Coraz mniej o nim myślę. Jest jak książka, którą przeczytało się w zeszłym roku, albo film, który się obejrzało – choć wtedy się podobały, teraz uciekają z pamięci.

Za to regularnie śnię o nim i wrzosowisku. O przyczepie i tygodniach spędzonych w Londynie też. Te sny są zaskakująco miłe. Kiedy się budzę, przez kilka sekund, czasem nawet kilka minut, czuję się szczęśliwa. Spokojna i zadowolona leżę na boku, obejmując rękoma brzuch, i myślę, że wszystko się ułoży. To małe stworzenie, które kręci się i kopie wewnątrz mnie, będzie miało dobre życie, nawet jeśli jego ojciec uznał, że woli stawiać domy w Anglii i uwodzić w pubach młode dziewczyny, zamiast patrzeć, jak jego dziecko dorasta. Na północnych obrzeżach Niczego.

Mniej więcej to napisałam mu w ostatnim liście. Odkąd go wysłałam, minął ponad miesiąc. Więcej nie mam zamiaru pisać. Postanowiłam rodzić sama. Oczywiście mama i tata będą musieli zawieźć mnie do szpitala, nie pozwolę im jednak być przy samym porodzie. Będą mogli pocić się z nerwów i chodzić w tę i z powrotem w poczekalni lub szpitalnej kawiarni, jak to kiedyś robili przyszli tatusiowie. Nie jestem pierwszą kobietą na świecie, która wpakowała

się w taką sytuację, ale uważam, że trzeba być jak najbardziej samodzielną. Wielka szkoda, że nie wyprowadziłam się od rodziców przed wyjazdem do Londynu. Gdybym miała własne mieszkanie, do którego mogłabym wrócić, wszystko wyglądałoby inaczej. Nie mówię, że lepiej, czasami jednak tak mnie irytuje ta podszyta krytyką dobra wola rodziców, że muszę gryźć się w język. Im bliżej terminu, im grubsza i bardziej pokraczna się robię, tym łatwiej popadam w rozdrażnienie. Wystarczy niewinny komentarz albo nawet westchnięcie, a już idę obrażona do swojego pokoju. Najwyraźniej jednak, kiedy kobieta chodzi z dzieckiem w brzuchu, pozwala się jej na wszystkie kaprysy, więc nie muszę się powstrzymywać.

Nie mamy żadnego dokładnego planu. Na początku będę mieszkać u rodziców, może jakieś pół roku, potem znajdę sobie mieszkanie. Pewnie jakieś dwupokojowe tutaj, w K., być może na tym nowym osiedlu w Pampas. Samotne matki mają pierwszeństwo, jeśli chodzi o przydział mieszkaniowy. Cieszę się naprawdę, że nasz kraj jest na tyle rozwinięty. Ma się poparcie władz, a nawet jeśli ludzie chcą cię szkalować i opluwać, muszą to robić za twoimi plecami.

Wczoraj zdarzyło się coś, co mnie zastanowiło. Miałam wizytę w przychodni dla przyszłych mam, a ponieważ teraz trudno jest mi chodzić (z moich długich spacerów musiałam zrezygnować w połowie lutego), tata obiecał, że po mnie przyjedzie. Podwiózł mnie też do przychodni, bo akurat miał wolne popołudnie.

Po wizycie – a jak powiedziała Birgitta, która mnie prowadziła i którą bardzo cenię, wszystko było w porządku i mogłam spokojnie wracać do domu, by przygotować się na wypchnięcie dziecka – wyszłam na ulicę, ale nie widziałam samochodu taty. Zdziwiło mnie to, bo on zawsze jest na miejscu o czasie. *Tu spoczywa człowiek, który wolał przyjść o tydzień za wcześnie niż o minutę za późno*, będzie można napisać na jego grobie. Tak powiedział

jeden jego znajomy, wygłaszając toast z okazji urodzin taty, chyba czterdziestych piątych, a wszyscy przy stole przytaknęli z uśmiechem.

Teraz taty jednak nie było. Pomyślałam, że w takim razie spróbuję wrócić na piechotę, w końcu to nie więcej niż kilometr. Wtedy jednak zobaczyłam, że w samochodzie zaparkowanym po drugiej stronie ulicy otwierają się drzwiczki. Wsiadł z niego jakiś chłopak, który mi pomachał.

– To ty jesteś Ulrika Larsson?

– Tak, to ja.

Przebiegł przez ulicę i wyciągnął do mnie rękę.

– Przepraszam, nazywam się Bernt-Olov. Jestem kolegą z pracy twojego taty. Poprosił, żebym po ciebie przyjechał, bo popsuł mu się samochód.

Wymieniłam z nim uścisk dłoni.

– To miło z twojej strony, ale doprawdy nie trzeba. Może i jestem wielka jak kolubryna, ale mogę iść sama.

Kiedy jednak to powiedziałam, dziecko się poruszyło, chyba zrobiło fikołka lub inną ewolucję, bo miałam wrażenie, że nogi się pode mną uginają. Bernt-Olov chyba się zorientował, co się dzieje, bo chwycił mnie obiema rękami i jakoś utrzymał mnie w pionie. Dłuższą chwilę stałam w jego objęciach, łapiąc oddech, aż w końcu atak, jeśli tak można to nazwać, zelżał, aż w końcu ustąpił.

– Dziękuję – powiedziałam. – I przepraszam. Zaraz będę rodzic, więc może jednak to niegłupi pomysł, żebyś mnie podwiózł.

– Wszystko w porządku?

– Tak, to był tylko... sama nie wiem, co to było, ale już jest okej, serio.

– Może chcesz, żebyśmy tam wrócili?

Ruchem głowy wskazał przychodnię, z której dopiero co wyszłam. Nieśmiało się przy tym uśmiechnął. Zastanowiło mnie, czy go znam. Chyba był w moim wieku, ale nie przypomiinałam go sobie.

– Nie, nie – zapewniłam. – Czuję się dobrze. Dziękuję jednak, że... że mnie tak dobrze utrzymałeś.

Nagle, sama nie wiem czemu, nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Kiedy zaczęłam chichotać, Bernt-Olov się dołączył.

– Chodźmy – powiedział. – Sprawdźmy, czy chociaż damy radę przejść przez ulicę.

Chwytał mnie pod ramię, a kiedy przemierzaliśmy te dwadzieścia kroków dzielące nas od jego samochodu – starego, czerwonego volkswagenika, w którym ledwie się zmieściłam na przednim siedzeniu – pomyślałam sobie, że wszyscy, którzy nas widzą (a wokół przychodni kręciło się trochę ludzi), uznają nas za młodą parę spodziewającą się pierwszego dziecka.

Wtedy mój śmiech przeszedł w płacz. Tak to już jest z ciężarnymi, zwłaszcza jeśli to ich pierwsza ciąża. Ja i Birgitta często o tym rozmawialiśmy. Nastroje zmieniają się w mgnieniu oka.

Co znaczyło, że ten biedak, Bernt-Olov, musiał się też zająć moją zapaścią psychiczną, nie tylko fizyczną. Jakoś go to nie zmartwiło. Siedział spokojnie w swoim malutkim samochodzie i trzymał mnie za rękę, aż w końcu mój szloch ustał.

Potem zawiózł mnie do domu i obiecał, że chętnie pomoże, gdybym czegoś potrzebowała w przyszłości. Podziękowałam mu i zapytałam, skąd pochodzi. Miał tutejszy dialekt, ale nigdy wcześniej go nie widziałam.

– Moja mama pochodzi z K. – odparł. – Ale ja urodziłem się i wychowałem w kilku różnych miejscach.

Pomyślałam sobie, że nie da się urodzić w kilku miejscach, ale nie skomentowałam tego. Byłoby to nieuprzejme, biorąc pod uwagę wszystko, co Bernt-Olov dla mnie zrobił.

– Mieszkam w K. już od roku – dodał. – I naprawdę dobrze się tu czuję.

– Świetnie. Świetnie, że dobrze się tu czujesz.

– No. Czuć się dobrze to najważniejsze.

Potem już nie wiedzieliśmy, co powiedzieć, i rozstaliśmy się. Ja poczłapałam po prowadzącej do domu kamiennej ścieżce, a kiedy byłam przy drzwiach, odwróciłam się i pomachałam mu. Odjechał.

Wtedy w mojej głowie pojawiło się pytanie. *Czy coś się właśnie wydarzyło? Czy coś się zmieniło?*

Od tego spotkania minęła już doba, a pytanie wciąż kołacze mi się po głowie. Kiedy człowiek spodziewa się dziecka, nie tylko jego ciało żyje własnym życiem, ale i myśli.

LISTOPAD–GRUDZIEŃ 1995

22

Leon

Ferie jesienne.

Może powinienem był pojechać do Sztokholmu i przez kilka dni cieszyć się życiem w dużym mieście. Rozwazałem to, ale koniec końców nie mogłem stwierdzić, czy wyjdzie mi to na dobre. Czy przeszłość nie stoczyłaby się na mnie lawiną, kiedy tylko wysiadłbym na dworcu? Czy znów nie wypatrywałbym Judith w metrze? Czy te trzy miesiące spędzone w K., które przyniosły mi nieco ukojenia, nie zniknęłyby niczym zmywane falą ślady stóp na plaży?

Ukojenie. Czy to właściwe słowo w mojej sytuacji? Sam nie wiem. Moje życie wygląda trochę tak: w kuchni coś się gotuje na wolnym ogniu, bulgocąc, a ja sam siedzę w pokoju i próbuję rozwiązać krzyżówkę w niezrozumiałym dla mnie języku.

Zresztą, gdzie miałbym mieszkać w Sztokholmie? Ostatecznie ta praktyczna kwestia przesądziła sprawę. Prośenie o nocleg kogoś znajomego (byłego znajomego) nie wchodziło w rachubę, a zatrzymywanie się w hotelu mogło źle wpłynąć na moje zszargane nerwy. Czyż anonimowy pokój hotelowy nie będzie tylko wzmacniał poczucia osamotnienia i beznadziei? Istniało ryzyko, że chodziłbym po ścianach, nie korzystając ani trochę z teatrów, koncertów i innych rozrywek kulturalnych oferowanych przez stolicę.

Zostałem więc. Ferie jesienne, które z niezrozumiałych przyczyn rozpoczynają się po Dniu Wszystkich Świętych, mają wątpliwy sens. Po co one uczniom? Co niby mieliby robić podczas tych ciemnych, ponurych dni? Tu na północy pojawił się już wprawdzie pierwszy śnieg, ale przez kilka ostatnich dni temperatura była na plusie, do tego wiało i padało. Nikt nie wychodzi z domu, jeśli nie musi. Dobrze by było, gdyby młodzież, siedząc w domu, czytała książki, obawiam się jednak, że literatura przegrywa w tym przypadku z kiepskimi filmami i grami komputerowymi.

Jest środa, więc połowa tygodnia już zleciała. Cały czas odczuwam niepokój, który przybiera na sile pod wieczór, a jego zwieńczeniem są poważne problemy z zaśnięciem. Pomimo łykania pigułek. Wczoraj zapiłem je dwoma kieliszkami czerwonego wina, co przyniosło wątpliwy skutek. Zasnąłem przed jedenastą, ale obudziłem się z niepokojącego snu o trzeciej. Potem nie mogłem spać przez kilka godzin. Podsumowując, mój cykl snu zupełnie się posypał.

A jakżeby inaczej?, myślę sobie. Przecież wszystko, co miało sens, skończyło się niecały rok temu. Czego się spodziewać? Więksi twardziele ode mnie wieszali się z mniej poważnych powodów.

Kiedy tak automatycznie dochodzę do tej konkluzji, odzywa się we mnie głos, który od dawna próbuję uciszyć. Zadaje mi bardzo proste pytanie, a ja nie mam jak bronić się przed odpowiedzią: Jakie to ma teraz znaczenie, przecież one i tak nie żyją?

Pytanie jednak się ciągnie: Jak właściwie układało się waszej trójce? Tobie, Helenie i Judith. Czy to nie czas, byś dopuścił je do głosu, nawet jeśli ich już z tobą nie ma?

Pod tą niewinnie wyglądającą powierzchnią kryją się kolejne pytania. Wmawiasz sobie, że nie musisz ich rozważać, ponieważ wyszło, jak wyszło. Zawiodłeś je. Między tobą a żoną wszystko się sypało, między tobą i córką

też, czyż nie? Powiedz szczerze. Padło już słowo „rozwód”. Wyjazd do Afryki był prezentem dla Judith, ale miał też być okazją do refleksji. Dla ciebie i Heleny, byście przemyśleli sprawę z dala od siebie. Myśleliście, może nawet powiedzieliście to głośno, że decyzję podejmiecie w styczniu. Tak było, zapomniałeś?

Ich śmierć sprawiła, że wymknąłeś się wyjściem awaryjnym. Nie zostałeś pociągnięty do odpowiedzialności. Uratował cię gong. Dobrze więc, próbowałeś sobie wmówić mimo żalu, tak to już jest z życiem i śmiercią. Coś się kończy, coś się zaczyna. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Zdajesz sobie jednak sprawę z tego, że rozumując w ten sposób, naciągając swoje sumienie, człowiek nigdy nie pozna prawdy o sobie samym.

A teraz sam czujesz: podczas ferii jesiennych spędzanych w K., mieście bez iluzji, trudno jest podtrzymać nawet solidnie zbudowane kłamstwa.

Pomyśl, co by było, gdyby Judith żyła. Pomyśl o tej nadziei bez nadziei.

Zamykam jednak oczy na to, co było. Uchylam je nieco i z wysiłkiem spoglądam ku przyszłości. A w każdym razie teraźniejszości. Kieruję się w stronę wątego zapachu potrawy, która bulgoce na kuchni.

Nie widziałem Ludmilly od piątku, ponieważ jest teraz z rodziną w Kopenhadze. I to, mówiąc szczerze, doskwiera mi najbardziej. Gdyby wiedziała, jak bardzo się od niej uzależniłem w ostatnich dniach, wycofałaby się od razu. Kochaliśmy się raz, tamtej nocy trzy tygodnie temu, a dokładniej trzy i pół tygodnia temu, ale wciąż nie ośmieliłem się zapytać, czy dla niej to coś znaczy. Jednak w szkole kilka razy dotknęliśmy się w sposób, który napawa mnie nadzieją. Sam nie wiem na co, ale mam dość rozumu, by wiedzieć, że na wyjaśnienia i motywy trzeba jeszcze poczekać. Co my wyprawiamy? – nie, tego pytania nie należy na razie zadawać i nie należy na nie odpowiadać. Musimy pożyć przez jakiś czas, nie wiadomo jaki, w tym nieokreślonym, na ćwierć (nie pokuszę się o stwierdzenie, że na wpół)

radosnym stanie.

Siedzę więc przy stole kuchennym ogarnięty niemą tęsknotą, która draży mnie niczym podziemna rzeka. O ile jednak zrozumiałem, Ludmilla wraca jutro.

Czym więc zajmowałem się przez te pijane dni? Stertą wypracowań, te zawsze mam w zapasie, ale i Eugen Kallmann przypomniał o sobie. Jego jakby nie da się trzymać z daleka. Po przeczytaniu historii o gitarze i Ottonie Simonsonie zgodziłem się wstępnie z Ludmillą, że pamiętniki można uznać za fikcję. To swoiste intermezzo rozegrane podczas zakończenia roku w 1988 prawdopodobnie istniało jedynie w wyobraźni Eugena Kallmanna. Nie ma więc gwarancji, że inne historie wydarzyły się naprawdę.

Zaznaczam jednak, że to wstępny wniosek, ponieważ oboje zaczęliśmy go potem podważać. Nie wprost, wystarczyło, że ja popatrzyłem na nią, ona na mnie, a po tygodniu, jednego z tych poranków, kiedy się dotknęliśmy, Ludmilla zapytała, czy odłożyłem pamiętniki na półkę.

– Nie – odpowiedziałem. – Skoro pytasz, to muszę się przyznać, że nie dałem sobie z nimi spokoju.

– Dobrze. Ja też nie. Miałybyś coś przeciwko temu, żeby pożyczyć mi wszystkie bruliony? Chciałabym je w spokoju przejrzeć. Może omówimy to, kiedy skończę?

Próbowałem jej napomknąć, że poza paellą mam w repertuarze też inne potrawy, ale mi się nie udało. Być może jej prośba o pożyczenie brulionów była dowodem porozumienia między nami. Czy w każdym razie sugestią takowego. Tak czy inaczej, następnego dnia przekazałem jej zestaw tekstów mojego poprzednika. Kiedy oddawała mi je w ostatni piątek, tuż przed feriami, powtórzyła sformułowaną w ostrożny sposób sugestię.

– Wielu zapisków nie pojmuje ni w ząb, ale jest też dużo takich, które powinniśmy omówić.

– Co masz na myśli?

– To, że ten tekst żadną miarą nie jest czystą fikcją. Mam wrażenie, jakby on... jak by to powiedzieć? Jakby świadomie wplatał w swoje zapiski kłamstwa, żeby ukryć prawdę.

– Powtórz, proszę – powiedziałem.

Próbując inaczej sformułować tę myśl, Ludmilla zaczęła pocierać skronie czubkami palców, wykonując przy tym drobne, lekkie, okrężne ruchy, które nagle przypomniałem sobie z uppsalskich czasów. Znam ją na wylot, pomyślałem. Chcę się o nią starać.

Sam nie wiem, co ta myśl miałyby oznaczać, ale może to i lepiej.

– Jeśli doda się kilka kropli atramentu do szklanki wody – ciągnęła – to ciecz zrobi się dość ciemna. Co jednak nie znaczy, że wcześniej nie była wodą.

– Powinnaś być chemiczką. Rozumiem, co masz na myśli.

– Mój tata był aptekarzem – wyjaśniła. – Nie mówiłam ci?

– Nie wiem nic o twoim życiu – powiedziałem. – Chętnie jednak bym się czegoś dowiedział.

Siedzieliśmy w kuchni przylegającej do pokoju nauczycielskiego. Ludmilla zerknęła ponad moim ramieniem, po czym szybko pogładziła mnie miękką dłonią po policzku i po szyi.

Od tamtej chwili minęło pięć dni, a ja przeczytałem zapiski Kallmanna po raz drugi. Strona po stronie, słowo po słowie.

Rok po roku. Począwszy od 1980 do grudnia 1994. Razem to piętnaście lat, mniej więcej tyle, ile spędził w K. Pracę w naszej szkole zaczął w sierpniu 1979 roku, umarł w maju 1995. Brak jedynie pierwszych i ostatnich pięciu miesięcy.

Czy to coś oznacza?

Nie wiem nawet, dlaczego nasunęło mi się to pytanie. Jeśli już chciałoby

się spojrzeć na tę plątaninę kłamstw, fikcji i prawdy z punktu widzenia zmarłego... cóż, wówczas należałoby odpowiedzieć na wiele ważniejszych pytań. Na przykład skąd pochodził? Czy to prawda, że urodził się w K. i po latach postanowił wrócić w rodzinne strony? Tak twierdzi w pamiętniku, ale czy to prawda?

Wyjaśnienie tych kwestii nie powinno przysporzyć trudności, z pewnością jest kogo pytać, zwłaszcza kolegów z pracy. I przecież są księgi parafialne. Spisy ludności i takie tam. Dziwne tylko, że Ludmilla nie wie czegoś więcej o pochodzeniu Kallmanna, szczególnie że spotkali się kilka razy podczas jego ostatniego semestru w życiu. I to jego dziwaczne twierdzenie, że zabił matkę. To chyba też można sprawdzić? W każdym razie dowiedzieć się, kiedy umarła. Z jego zapisków wynika, że zabił ją, mając jedenaście lat, co znaczy, że stało się to na początku 1940 roku.

Z jednej strony zdaję sobie sprawę, że względnie łatwo będzie wyjaśnić te okoliczności, z drugiej jednak wzdragam się przed podjęciem takich działań. Brzydzi mnie nieco rola detektywa działającego w ukryciu. Jakie ja albo ja i Ludmilla mamy prawo, by grzebać w jego sprawach? Czym my się zajmujemy? Śledztwo umorzono, Eugen Kallmann nie żyje i leży w grobie, należałoby okazać trochę taktu i szacunku i zostawić go w spokoju!

Powtarzam to sobie na okrągło. Odpuść sobie te przekłete pamiętniki, skup się lepiej na przyszłości! Za każdym razem jednak mi się to nie udaje. Co na przykład myśleć o tym wpisie z 20 września 1994 roku? O czym on właściwie mówi?

Co ta zmiana nazwiska ze mnie zrobiła? Dziś minęło dokładnie czterdzieści lat, stąd moja refleksja. Ona się tego domagała, a ja dałem się namówić. Skąd jednak wzięła się jej prośba, przecież już dawno odcięła się od tego, co między nami wspólne, już się rozeszliśmy. Odseparowaliśmy się od siebie jak dwa ciała niebieskie krążące po różnych orbitach. Nie wiem, skąd takie porównanie, samo mi się nasunęło, może jednak te porównania, które same przychodzą, muszą coś znaczyć. To akurat ilustrowało moje poczucie odosobnienia.

Odosobnienia, które stało się moim znakiem rozpoznawczym i moim stygmatem, ale które też jest motywem przewodnim w wartościowej literaturze. Bo o to właśnie chodzi. Pisanie jest jak zwabianie życiowego odosobnienia do pułapek i sieci słów oraz wyrażeń, czytanie zaś polega na tym, że za pomocą tekstu ustanawiamy, identyfikujemy i wcielamy się na nowo, dajemy się ukoić. Pozwalamy się pocałować samotności, a ona rozpoznaje tę porzuconą istotę, jaką jesteśmy w środku. Na przykład ta Andrea, objawiła mi się jako przypomnienie, stanęła na mojej drodze niczym dyskretny, ale rzucający wyzwanie posłaniec. Muszę je podjąć, dla mnie nie ma drogi odwrotu spod drzwi domu.

Ten enigmatyczny wpis ciągnie się przez dwie kolejne strony. Moją uwagę przykuło jednak imię Andrei. Nie wiedzieć czemu, przy poprzedniej lekturze mi umknęło, trudno jest jednak zachować czujność, kiedy człowiek próbuje się przedrzeć przez pogmatwany język i drobny jak mak charakter pisma Kallmanna. Poza tym „Dla mnie nie ma drogi odwrotu spod drzwi domu” to cytat z dziewiętnastowiecznej poezji, chyba z von Heidenstama. Być może to odwróciło moją uwagę, kiedy czytałem ten fragment pierwszy raz.

„Andrea”. Czy chodzi mu o Andreę Wester, czy też wyciągnąłem pochopny wniosek? W tamtym czasie, w pierwszym semestrze była jego uczennicą. Chodziła do niego na szwedzki w ósmej klasie. Tak jak teraz jest moją uczennicą. Ponadto jest alter ego mojej zmarłej (zaginionej?) córki. Tego już za wiele.

O kogokolwiek jednak by chodziło, o Andreę Wester czy o jakąś inną, o czym przypominała Kallmannowi?

„Posłaniec”. Od kogo? Przynoszący jaką wiadomość?

I kim jest „ona”? Ta, która ponoć kazała mu zmienić nazwisko i od której się odłączył? Jakaś miłość z młodych lat, być może żona, bo czy są jeszcze jakieś możliwości?

Uwaga, potraktuj to jako ostrzeżenie, upomniałem sam siebie. Jeśli Kallmann faktycznie postradał zmysły, być może jego szaleństwem można się zarazić przez jego teksty. Przecież pisarz stara się zawsze pojmać duszę

czytelnika.

No proszę, interpretacja literatury jako zarzewia choroby. Tak przecież patrzono w dziewiętnastym wieku na kobiety czytające powieści. Nic nowego pod słońcem.

Z tym że słońca akurat nie było. Wbrew deszczowi i wiatrowi wyszedłem z domu. Późny środowy wieczór w K., człowiek czuje wyraźnie, że nie znajduje się w centrum świata. Poszedłem wzdłuż rzeki, a przy kościele odbiłem w stronę centrum. Wokół ani żywej duszy, nad rynkiem zaś wiatr zamiatał pustkę, niczym po przegranej wojnie. Nawet w Commedii nie było widać żadnych oznak życia. Chyba miałem nawet ochotę zajść do nich na porcję niewyszukanego makaronu i kieliszek wina, ale dochodziła dziesiąta. Komedianci najwidoczniej już się zmęczyli i poszli do domu. Cała okolica wydawała się opuszczona i ponurą, choć z baru leżącego przy niedziałającej zimną fontannie sączyło się niechętnie zielonkawe światło. Wszedłem do środka i kupiłem dwie grillowane kiełbaski z bułką, po czym zawróciłem do domu.

Wybrałem nieco dłuższą drogę prowadzącą obok hali sportowej. Skręcając w ulicę Gottfrida Sernera (pojęcia nie mam, kim był ów Gottfrid Serner, nie palę się jednak do sprawdzenia tego), na słabo oświetlonej fasadzie budynku Towarzystwa Pentekostalnego dostrzegłem nowy element: chwiejną swastykę opatrzoną napisem „śmierć jebanym imigrantom”. Zarówno wzór, jak i hasło były czarne i lekko pochylone w prawo. Jakby ktoś malował je w pośpiechu.

Może dopiero co powstały. Idealny wieczór dla kogoś, kto bez przeszkód chce szerzyć polityczne komunikaty.

Włożyłem ręce do kieszeni i poszedłem w stronę rzeki. Że też takie poglądy znów są w obiegu, pomyślałem. W pewnym sensie to pokłosie działań Nowej Demokracji. Jakbyśmy niczego się nie nauczyli. Zdaje się, że mężczyzna z laserem oraz zabójcy Johna Hrona wszędzie mają swoich epigonów

i naśladowców. Tej jesieni szkoła już kilkakrotnie borykała się zarówno z tradycyjnymi nazistowskimi napisami, jak i z atakami personalnymi. Ktoś zostawił kilka bardzo nieprzyjemnych listów w przegródce naszej koleżanki Very Rönne. Vera jest żydówką i mocno przeżyła tę sprawę. Do tego historia z kurdyjskim chłopcem, którego lekko poturbowało dwóch nieznanymi sprawców. Większość osób twierdzi, że za pobiciem stoją bracia Hansson, jednak młody Yilmaz nie mógł nawet nakreślić portretu pamięciowego, bo napastnicy zawiązali mu oczy, zanim zaczęli go okładać.

Do pobicia doszło w taki ciemny, ponury wieczór jak ten. Nietrudno sobie to wyobrazić. Chłopak wracał do domu z treningu piłki nożnej. Napastnicy nie omieszkali wysyczyć mu do ucha, że jest obrzydliwym szczurem i powinien się stąd wynosić.

Zmienili jednak głosy, więc ze słuchu też ich nie rozpoznał. A może po prostu boi się kogoś wskazać. Gdyby tak było, to niestety zrozumiałbym go. Szkoła jest do niczego, jeśli chodzi o chronienie osób narażonych. Rzadko kiedy potrafi przejść od słów daleko do czynów, co dla słabych i prześladowanych jest kolejnym gorzkim doświadczeniem.

Wróciłem do domu mokry i przewiany. Usadoviłem się przy kuchennym stole z herbatą i piętnastoma wypracowaniami. Właśnie minęło wpół do dwunastej, kiedy w jednym z nich natknąłem się na następujące zdanie:

Był sobie młody mężczyzna, który nazywał się Boris Yann Keller.

23

Andrea

Pewnie nigdy już nie spotkam Callego.

Z jednej strony się cieszę, z drugiej mi szkoda. Stałam na rozstaju, jak to mówią. Musiałam wybrać jedną lub drugą drogę, a ten wybór miał zadecydować o tym, że moje życie będzie wyglądać tak, a nie inaczej. I nie chodzi mi o to, że gdyby Calle przyjechał do mnie na ferie, to potem byśmy się pobrali i mieli dzieci. Jego wizyta mogła jednak mieć ciąg dalszy. Być może zrobilibyśmy następny krok, może byśmy się ze sobą przespali, a ja pojechałabym na ferie zimowe do Sztokholmu i poznałabym jego rodziców. I tak dalej.

Nie wybrałam tej drogi. Zatrzymałam go w ostatniej chwili, już prawie wsiadał do pociągu. Zrobiłam to tak późno, ponieważ długo wydawało mi się, że on sam zrozumiał, jak niestosowna byłaby taka wizyta. Myślałam, że nie muszę mu tego mówić brutalnie wprost. Wydawało mi się, że udało mi się mu to wyjaśnić – bez ranienia go – w liście oraz podczas naszych długich rozmów telefonicznych w zeszłym tygodniu. Myliłam się. Najwidoczniej nie byłam dość jednoznaczna i konkretna. Ale ja sama też nie wiedziałam do końca, czego chcę. Gdyby znów były wakacje, a my znaleźlibyśmy się na greckiej wyspie, chętnie bym się z nim spotkała, ale nie da się ukryć, że Kreta latem to nie to samo co K. w listopadzie. A anonimowy hotel na plaży to nie to samo co

nasza ciasna willa na Skomakargatan.

Wyszło jak wyszło. Zadzwoiłam do niego rano tego dnia, kiedy miał wyjechać (jak się okazało, bo ja wcale do końca o tym nie wiedziałam, tak beżładna była komunikacja między nami). Wyjaśniłam mu, że to się nie uda. Sorry, sorry. Nie wiem, jakiej reakcji się spodziewałam, ale przez pół poprzedniej nocy nie spałam, tylko przeżywałam. Tymczasem w odpowiedzi w słuchawce po prostu zapadła cisza. Słyszałam, jak oddycha, i tak przez pół minuty siedzieliśmy, wsłuchując się w swoje oddechy. Była to dziwna, tragicznie uroczysta chwila. Potem Calle powiedział tylko: „Okej, rozumiem”, po czym się rozłączył. Ja wczółgałam się z powrotem do łóżka i ryczałam, aż w końcu usnęłam. Było to dokładnie tydzień temu, od tamtej pory Calle nie dał znaku życia.

Mimo wszystko opowiedziałam o wszystkim mamie. O tym, że Calle, którego spotkaliśmy na wakacjach na Krecie, może przyjedzie na ferie. Pokiwała tylko głową i powiedziała, że nie ma sprawy, ale nie rozmawiałyśmy o szczegółach. Czy byliśmy parą? Gdzie miałyby spać? Czy Bernt-Olov zgodziłby się, żeby w moim pokoju spał chłopak? Żebyśmy uprawiali seks?

Relacja między mną i mamą wygląda teraz zupełnie inaczej. Po tym, jak opowiedziała mi o moim prawdziwym tacie, stała się jakby moją starszą siostrą. Ten sen o tratwie i wodospadzie jest już nieaktualny. Teraz mogłoby co najwyżej chodzić o dwie tratwy: na jednej mama i ja, nam udaje się przeżyć, ponieważ mamy dość rozumu, by dopłynąć do brzegu. Na drugiej, która spada – tata, Aron i August. Nie śniło mi się to wprawdzie, ale bez problemu potrafię sobie wyobrazić, jak siedzimy na brzegu na kamieniach, ja i moja nowa starsza siostra, i patrzymy, jak oni odpływają, po czym znikają za wodospadem.

Pomyśleć jednak, że rzeczywiście mam innego tatę. Że moje przeczucia okazały się prawdziwe. Że też mama musiała przez coś takiego przejść. To tak

smutne, że chce mi się płakać, kiedy tylko o tym pomyślę. A odkąd mi o tym opowiedziała, nie robię nic innego. Cały czas siedzi mi to w głowie. Kiedy budzę się rano, przez kilka sekund mam jakby zaćmienie i nie kojarzę do końca, jaka to radykalna zmiana zaszła w moim życiu. Potem sobie przypominam. Mama. Londyn. Wrzosowiska. Pieśniarz. Puby. Przyczepa. Hasz. Miłość. Seks. Zawód. Ona tańczyła jedno lato. Że też życie może tak wyglądać. Zrobiono mnie w przyczepie w Londynie. Nigdy nie jechałam przyczepą, ale przed śmiercią będę musiała tego spróbować.

Może to przez opowieść mamy odmówiłam Callemu. Na pewno jedno łączy się z drugim, co do tego nie mam wątpliwości.

– Ale co wy sobie myśleliście? – zapytałam mamę.

– Musisz wiedzieć – odparła z westchnieniem – że myśleliśmy o tym, żeby ci powiedzieć, kiedy skończysz osiemnaście lat.

– Myśleliście?

– Tak jakby. Nie rozmawialiśmy o tym zbyt dużo, ale wiesz, jaki jest tata.

– Masz na myśli Bernta-Olova?

Mama się smuci, kiedy nazywam go Berntem-Olovem, ale nie mogę się powstrzymać. Rozumiem, że przez to czuje się winna i zawstydzona, nawet kiedy ją obejmuję. Nie wiem za bardzo, przeciwko komu miałabym wnieść oskarżenie ani dlaczego w ogóle miałabym to robić.

Chyba dlatego, że trzymali mnie w niewiedzy. Choć kiedy mama pyta mnie, w jakim wieku należy powiedzieć dziecku, że jego ojciec nie jest jego ojcem, nie mam dobrej odpowiedzi. Oczywiście, że nie, bo taka nie istnieje.

Zresztą nie chodzi tylko o oskarżenia. Niedługo miną trzy tygodnie, odkąd poznałam prawdę, i uświadamiam sobie, że coraz bardziej frapuje mnie kwestia Flynna. Mojego biologicznego ojca. Wprawdzie zostawiając mamę, okazał się gnojkiem, ale chyba nadal żyje? Może nadal jeździ po Anglii i śpiewa w pubach? Musi mieć teraz z pięćdziesiąt lat, ale dla grania

w knajpach nie ma chyba ograniczeń wiekowych.

Czy chcę go odszukać? W końcu to po nim odziedziczyłam połowę osobowości. Sama nie wiem. Pewnie tak, ale mama mi to odradza. W każdym razie uważa, że powinnam poczekać kilka lat, i może ma rację.

W minioną środę postanowiłam opowiedzieć o tym Emmie. Spałam akurat u niej. Gadałyśmy potem do piątej rano. Nie wspomniałam jej, że dowiedziałam się już jakiś czas temu. Może jestem przewrażliwiona, ale bałam się, że nie powiedziałam jej od razu. To w końcu ona naprowadziła mnie na ten trop, a odkąd zaczęłyśmy się przyjaźnić, mówimy sobie o wszystkim. Przynajmniej mam wrażenie, że Emma tak robi, bo ja zataiłam przed nią także całą historię z planowaną wizytą Callego, czuję się więc trochę winna. Swoją drogą, ciekawe, jak by to było, gdybym go nie powstrzymała przed przyjazdem. Co bym jej wtedy powiedziała? Przyjaźń polega przecież na tym, że mówi się prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, na pewno gdzieś coś takiego wyczytałam. Życie jest jednak bardziej skomplikowane. W rzeczy samej. A ja jestem córką mojej mamy.

Z początku Emma trochę triumfowała.

– A nie mówiłam? – wybuchnęła. – Gratuluję!

– Co masz na myśli? – Nie zrozumiałam.

– Ktokolwiek by był twoim tatą, na pewno ma przewagę nad Berntem-Olovem. Wybacz, że to mówię.

– Bernt-Olov w zasadzie nie zrobił nic złego – zauważyłam. – Zaofiarował pomoc i zajął się nie swoim dzieckiem. Chyba nie może poradzić nic na to, że jest trochę nudny.

– Przepraszam, to było nieuprzejme z mojej strony. Ale co ty o tym sądzisz? Nie jesteś zadowolona, że sprawa tak wygląda?

– Nie wiem – odparłam. – Nie zdążyłam tego przemyśleć.

– Czy on o tym wie? Powiedziałyście Berntowi-Olovowi, że wiesz o tym,

że nie jest twoim tatą?

– Nie, postanowiliśmy z tym trochę poczekać.

– Dlaczego?

– Bo nie wiem, co miałabym mu powiedzieć. Nie umiałabym udawać, że jestem smutna z tego powodu, a jeśli powiem, że cieszę się, że nie jestem z nim naprawdę spokrewniona... To nie byłoby za miłe, co?

Emma się zgodziła. Potem poświęciliśmy z godzinę na szczegółowe obgadanie naszych rodziców, naszych genów oraz naszych widoków na świetlaną przyszłość. Czy rzeczywiście jest tak, że człowiek, czy tego chce czy nie, jest jak jego rodzice? Że predyspozycje i uwarunkowania biologiczne determinują jego los w większym stopniu, niż chciałby przyznać? Czy tak jest? Oczywiście, każdy chce być wolny, chce kierować swoim życiem na własną rękę, unikając wpływu genów i środowiska, w jakim przyszło mu żyć, choć nikt go o to nie pytał. Czy tak się jednak da? Czy jesteśmy na tyle wolni, jakbyśmy tego chcieli? Tata Emmy jest Argentyńczykiem, a mama Szwedką. Okazuje się, że i ja mam szwedzko-angielskie pochodzenie. Musi to chyba oznaczać, że mamy ciekawsze chromosomy niż przeciętniaki z K. i okolic?

Do takiego dumnego wniosku doszliśmy w każdym razie, kiedy tak sobie filozofowałyśmy, leżąc w jej szerokim łóżku.

Nasze dywagacje nie dotyczyły jednak tylko nas i naszych rodzin, rozmawiałyśmy też sporo o szkole. Zarówno Emma, jak i ja uważamy, że coś wisi w powietrzu. Nie umiemy tego sprecyzować, ale mamy przeczucie. Po części wiąże się to ze szkolnymi naziolami. Nieszczęsny Yilmaz z 9A dostał bęcki i nikt nie ma wątpliwości, że stoją za tym skini. Pobicie zgłoszono policji, ale oczywiście nie udało się znaleźć sprawców. Można by zapytać, czy policja zajmuje się czymkolwiek poza łapaniem ludzi za przekroczenie prędkości i parkowanie w niedozwolonym miejscu. Tymczasem Otto Hansson i jego paczka chodzą sobie zadowoleni po korytarzach. To tu, to tam nabazgrzą

swastykę i czują się ważni, widać to po nich jak nic. Nilsson, nasz woźny, przyłapał jednego z nich tuż przed feriami. To chyba był młodszy brat Ottona. Mówią, że Nilsson po prostu mu przyłożył, tak że Hansson padł na ziemię. Żaden z nich jednak nigdzie tego nie zgłosił. Nilsson też ma nie po kolei w głowie, dla niego akurat nie ma znaczenia, czy ktoś maluje swastykę czy różę. Mazanie po ścianach to mazanie po ścianach i kropka.

Nie chodzi jednak tylko o skinów. Może to wciąż duch Kallmanna nas nawiedza. Szybko znudziłyśmy się naszym prywatnym śledztwem, pewnie dlatego, że do niczego nie doszłyśmy. Emma uważa, że to ja zablokowałam nasze postępy, bo nie chciałam porozmawiać z dziadkiem. Zależało jej, żebym przewierciła dziadka wzrokiem i zapytała, jak to było z nim i Eugenem Kallmannem. To był jednak tak głupi pomysł, że odmówiłam. Po tym, jak na geografii przedstawiliśmy nasz projekt grupowy dotyczący naszych wschodnich sąsiadów (wyjątkowo dobry, jak uznała Stina Birgersson, choć jak zwykle nie zgodziła się podać oceny; jest w ogóle przeciwna stopniom, ale i tak musi je stawiać), żadna z nas nie miała kontaktu z Charliem Matissem. A on, że tak powiem, był pająkiem w naszej detektywistycznej pajęczynie. Chyba nikt inny w klasie z nim nie rozmawia i nie utrzymuje kontaktu. Charlie z każdym dniem robi się jakby coraz większym dziwakiem i samotnikiem. Kilka razy widziałam jednak, jak z długopisem i notatnikiem w dłoni rozmawiał z uczniami z naszej szkoły. Zawsze w pojedynkę, nie był to też nikt z naszej klasy. Wygląda na to, że przesłuchuje ich tak jak mnie. Co on u licha kombinuje? Wciąż bada sprawę śmierci Kallmanna? Na własną rękę? Wprawdzie my chwilowo zamknęłyśmy nasze biuro detektywistyczne Wester&Decantines, ale to doprawdy frapujące. Kto na przykład jest jego ojcem? Emma zasugerowała, że musi nim być jakiś siedzący w zamknięciu geniusz. Musiałam jej wtedy opowiedzieć o wujku Karstenie.

Karsten Fröjd nie jest moim wujkiem, tylko wujkiem mamy. To znaczy bratem

babci. Spotkałam go tylko dwa razy w życiu, przy okazji jego sześćdziesiątych piątych i siedemdziesiątych urodzin. Nie było mowy o jakimś przyjęciu, ponieważ wujek mieszka w domu dla osób zbyt wrażliwych, by poradzić sobie z życiem w prawdziwym świecie.

Tak wyraziła się mama, kiedy jechałyśmy tam po raz pierwszy. „Wrażliwi”. Miałam wtedy jedenaście lat i uznałam, że to piękna sprawa, że człowiek może znaleźć takie chronione miejsce, jeśli ma taką potrzebę. Dom, w którym mieszkał wujek, też był piękny: duży biały budynek z drewna położony na wzgórzu, z widokiem na jezioro. Nie mogłam tylko pojąć, dlaczego wszyscy jego mieszkańcy są ponurzy i powolni. Poruszali się, w zasadzie nie podnosząc stóp, mówili wolno lub milczeli, a wujek Karsten był jak cała reszta. Siedzieliśmy z nim w osobnym pokoju, piliśmy kawę (ja dostałam wodę z syropem) i jedliśmy tort. Po chwili wszyscy, to znaczy mama, tata, dziadek i babcia byli równie apatyczni jak wujek, który siedział pochylony w fotelu i żuł tort, jakby to był sztywny jak podeszwa kawałek mięsa. W końcu nawet mama przestała się odzywać, gapiliśmy się więc przed siebie i wtedy pomyślałam, że może na tym polega bycie wrażliwym. Może człowiek nie toleruje już nawet słów. Jedyne, co pamiętam z tej ospałej rozmowy, to to, że babcia powiedziała do brata:

– Dobrze ci tu, Karsten. Cieszę się, że tak tu o ciebie dbają.

Po chwili wujek odparł:

– Chciałbym móc zbliżyć się do kobiety.

Nie zrozumiałam, co miały znaczyć te słowa, inni najwidoczniej też nie. W każdym razie, kiedy dopytywałam ich o to w drodze powrotnej, nikt nie umiał mi wyjaśnić jego słów.

Z jego sześćdziesiątych piątych urodzin nie mam żadnych wspomnień, przypominam sobie tylko budynek i okolicę. Miałam wtedy zaledwie sześć lat. Być może przez większość wizyty spacerowałyśmy z mamą po parku. Wydaje

mi się, że była wtedy w ciąży. Doskonale rozumiem, dlaczego Arona i Augusta nie zabierano na siedemdziesiąte urodziny wujka.

– Po co mi to opowiadasz? – zapytała Emma.

– Dlatego, że wujka w młodości uznawano za geniusza. Jako pierwszy w rodzinie poszedł na uniwersytet. To wtedy zwariował, próbował się utopić w Uppsali.

– Takie buty – odparła Emma. – Cóż, nie jest łatwo być zbyt mądrym.

– Rzeka miała metr głębokości, więc przeżył.

– Miał szczęście.

– Może, ale od tamtej pory mieszka w tym domu.

– Dla wrażliwych?

– Tak.

– To już długo, co?

– Chyba ponad pięćdziesiąt lat.

Emma przez chwilę siedziała cicho, potem powiedziała:

– A pijesz teraz do ewentualnego taty Charliego czy do samego Charliego?

Po krótkim zastanowieniu odparłam, że do obu.

Niektórzy nauczyciele też się dziwnie zachowują. Czy może raczej dziwniej. W tygodniu przed świętami Brudny Rondel (tak naprawdę nazywa się Birgit Rindell, ale ponieważ uczy gospodarstwa domowego, to wiadomo) przeżyła załamanie nerwowe. Zmywaliśmy właśnie po przygotowaniu i zjedzeniu francuskiej zupy cebulowej z grzankami, a Jimmiemu Halldénowi i Dannemu Gustafsonowi wylały się na podłogę ze trzy litry brudnej wody. Chyba nie zrobili tego celowo, ale Rondel zupełnie odbiło. Najpierw się wydarła, a potem zaczęła ganiać Jimmiego z łyżką wazową, aż w końcu usiadła przy biurku i załapała się łzami. Mnie, Emmie i Katarinie Klasson udało się wyprowadzić ją na zaplecze sali do gospodarstwa domowego, ale Rondel przestała szlochać dopiero, kiedy Ludmilla Kovacs przyszła i objęła ją

ramieniem.

Ta Kovacs jest na swój sposób wyjątkowa. Ja tam nie jestem z tych, co z powodu byle doła biegną do pedagog szkolnej, wiem jednak, że gdybym kiedyś popadła w tarapaty, to mam się do kogo zwrócić. Może i fajnie byłoby ją odwiedzić nie w sytuacji kryzysowej, a tak po prostu. Na razie miałam z nią okazję rozmawiać tylko dziesięć minut, było to w pierwszym semestrze siódmej klasy, kiedy spotykała się ze wszystkimi nowymi uczniami gimnazjum. Być może mogłaby zgłębić nieco mój sen o tacie i wodospadzie?

Trzeba jednak zauważyć, że to dziwne zachowanie nauczycieli wynika ze zmęczenia, zwykłego jesiennego zmęczenia, które teraz, kiedy mrok zajmuje coraz większą część dnia, dopada każdego. Zastanawia mnie też Leon Berger, nasz nowy nauczyciel od szwedzkiego, ten, który zajął miejsce Kallmanna. Nie można nic zarzucić jego metodom uczenia i temu, że tak skupia się na znanych książkach oraz pisarzach – jest to bardzo ciekawe i kształcące – ale mam wrażenie, że on czasami dziwnie się na mnie patrzy. Może to sobie ubzdurałam, jeszcze z nikim o tym nie rozmawiałam. Zdaje mi się jednak, że coś jest na rzeczy... coś podejrzanego. Z nim coś jest nie tak. Kiedy czytamy na lekcji, a ja nagle podniosę wzrok, widzę, że on szybko odwraca głowę i ucieka spojrzeniem. Zaczyna się wpatrywać w okno albo w swoje notatki. Zupełnie jakby gapił się na mnie, nieudolnie się z tym kryjąc. Zauważyłam to dopiero w połowie października, a taka sytuacja miała miejsce może dwa, trzy razy, nie mogę jednak o tym zapomnieć. Mam zamiar sprawdzić, czy rzeczywiście tak jest, w tygodniu mamy cztery lekcje szwedzkiego i... cóż, być może jednak będę miała o czym porozmawiać z Ludmillą Kovacs.

Ostatnia sprawa. Moje nazwisko. Z jakiej niby racji mam się nazywać Wester? Bernt-Olov Wester nie jest moim prawdziwym ojcem. Niestety mama z domu nazywa się Larsson, a więc doprawdy nieciekawie. Jest jednak jeszcze jedna opcja.

Branagan.

Andrea Branagan.

Zapytam Emmę, co o tym myśli.

8 listopada.

Środa wieczór, minął już trzeci dzień zajęć po przerwie jesiennej. Wróciłem do K. w niedzielę po tygodniu spędzonym u Gunilli w Göteborgu. Cudownie jest móc gdzieś wyskoczyć w trakcie semestru. Zdążyliśmy pójść do teatru, spędziliśmy też kilka wieczorów w dobrych restauracjach. Czasami myślę sobie, że tak właśnie powinny wyglądać związki damsko-męskie. Można odbyć kilka miłych spotkań w roku, jednak codzienność lepiej ożenić z samotnością. W każdym razie takie rozwiązanie lepiej pasuje ludziom takim jak ja, w skrytości serca mam więc nadzieję, że Gunilla nigdy nie znajdzie sobie nikogo nowego. To z pewnością położyłoby kres tym naszym wspólnie spędzanym chwilom, być może i ona zdaje sobie z tego sprawę. Podejrzewam, że dla Gunilli, tak jak i dla mnie, życie seksualne to zamknięty rozdział. Nigdy o tym nie rozmawiamy, a to przecież chyba o czymś świadczy?

Z K. trzeba raz na jakiś czas wyjechać, choćby po to, by przypomnieć sobie, jak duży jest świat. Kiedy wraca się do miasteczka, kiedy jedzie się z lotniska w Ö poprzez krajobraz coraz szczelniej spowijany lasami, można poczuć, jak życie się kurczy, w jak ciasną i ponurą krainę się wkracza. Takie refleksje towarzyszą mi od lat, wiem jednak, że tego typu lekko depresyjne myśli szybko znikają. Czasami już w momencie, kiedy człowiek zapala światło

w swoim mieszkaniu, rozsiada się ze szklanką whisky lub kieliszkiem czerwonego wina przed telewizorem i ogląda wiadomości (w których rzeczywiste rozmiary świata znów dają o sobie znać). A jeśli nie wtedy, to o świcie następnego dnia. Myślę sobie czasami po przebudzeniu, to tu spocznię po śmierci.

Naprawdę. Już przed laty wykupiłem miejsce na miejscowym cmentarzu. Wiedzą o tym Gunilla i Vera Rönne, na wypadek gdybym miał zejść z tego świata nagle.

Jak Kallmann, myśl o nim jak zwykle ciśnie mi się do głowy, czy tego chcę czy nie. Jego historia nie daje mi spokoju. Rozmyślam o niej już całą jesień. Być może jest to spowodowane popularnymi wyobrażeniami o zabłąkanych duchach, które nie zaznały spoczynku. Swoją drogą, sztuka, na której byłem z Gunillą w Göteborgu, była współczesną wersją *Hamleta*, tak więc skojarzenie jest całkiem naturalne.

Jak wspomniałem, minęły już trzy dni zajęć i niestety atmosfera w szkole się utrzymuje. Odnoszę wrażenie, że sam budynek został skażony, że wrogość i złowieszczość tkwią w murach, wystarczy przekroczyć próg, by to poczuć. Doprawdy, rzadko kiedy oddaję się takim rozmyślaniom, nie mogę jednak się nimi nie podzielić. Tę wrogość odczuwam szczególnie, kiedy krocę korytarzami, ale również gdy wchodzę do pokoju nauczycielskiego. Dopada mnie tam przytłaczające poczucie dyskomfortu, a czegoś takiego nie doświadczyłem przez wszystkie lata pracy.

Ściany są rzecz jasna jedynie nośnikami tego, co dzieje się wewnątrz budynku. Niemymi świadkami relacji panujących między ludźmi. Zarówno nastolatkami, jak i dorosłymi, uczniami i nauczycielami, którzy przebywają w tych murach od rana do późnego popołudnia. Napięte stosunki, nienazwane, nierozwiązane konflikty, niepokój i namacalny strach. Wszyscy jakby czekali, aż coś się wydarzy. Takie właśnie odnosi się wrażenie, a kiedy wśród

zapadających ciemności ludzie rozchodzą się do domów, te niespokojne myśli zostają wśród murów szkoły. Śpią tam i następnego ranka znów na nas czekają. Nigdy wcześniej nie prowadziłem tego typu rozważań, zastanawiam się więc, czy to przypadkiem nie kwestia wieku. Pamiętam słowa Andersa Hellgrena, kolegi, który kilka lat temu odszedł na emeryturę, a którego bardzo sobie ceniłem. Sprzątaliśmy razem biurka na koniec drugiego, w jego przypadku ostatniego, semestru i wtedy Anders w zaufaniu powiedział mi:

– Ostatnie dziesięć lat pracy to męczarnia. Gdybyś miał okazję się od tego wymigać, nawet się nad tym nie zastanawiaj.

Wtedy machnąłem na to ręką, być może zbyt lekkomyślnie.

Może to rasiści stanowią źródło problemu. Nie udało się ustalić, kto stoi za działalnością Patrolu Porządkowego. W tej kwestii spoczywa na mnie szczególnie duża odpowiedzialność, a to ze względu na Verę Rönne oraz Ivana Kardasjana. Obiecałem Ivanowi, że znajdę sprawców. Poza mną i nim nikt nie wie o wiadomości, którą ktoś podrzucił mu do szafki ponad miesiąc temu. Do tej pory jednak nie udało mi się nic ustalić. Nie mam pojęcia, czy dopuścili się tego uczniowie skinheadzi, czy też – jak podejrzewałem od początku – sprawców należy szukać wśród starszych bywalców szkoły, co jest doprawdy niemiłą myślą. Wszyscy zgadzają się co do tego, że to paczka Ottona Hanssona pobiła biednego Yilmaza Budaka z 9A, niczego jednak nie dało się udowodnić. Moje zaufanie do policji nigdy nie było tak znikome jak tej jesieni. Bądź co bądź, nie brak u nas potencjalnych ofiar. W szkole jest ponad pięćdziesięcioro uczniów z rodzin imigranckich, więc ryzyko kolejnych napaści jest duże. Może właśnie tego wszyscy wyczekują, może właśnie ten strach tkwi w ścianach.

Wczoraj, podczas porannego zebrania w auli, zdarzyło się coś dziwnego. Przedstawiciele samorządu uczniowskiego poprosili o dziesięć minut

wystąpienia, nie zapowiadając, o czym chcą mówić. Kiedy Fröberg oddał głos Siggemu Sundbergowi, Malin Krotowskiej oraz niewyrośniętemu siódmoklasiście, którego nazwiska nie kojarzę, okazało się, że na tapecie znów jest Eugen Kallmann. Uczniowie wyciągnęli na scenę jakiegoś nieznanego brodacza, który do tej pory przysypiał w głębi sali. Sigge Sundberg wyjaśnił, że to Orvar Fredén, z zawodu malarz, któremu samorząd zlecił wykonanie podobizny Eugena Kallmanna w brązie. Wszystko zostało już dogadane i przygotowane, brakowało jedynie kolegalnej decyzji o przeznaczeniu na ten cel niezbędnej kwoty. Chodziło mianowicie o czterdzieści tysięcy koron.

Orvar Fredén wszedł na scenę i się uklonił. Podziękował krótko za powierzenie mu tego zadania i zapowiedział, że według jego szacunków granitowy cokół z popiersiem mógłby stanąć na szkolnym dziedzińcu mniej więcej na Wielkanoc. Rozmiar: cokół – metr dwadzieścia, popiersie – sześćdziesiąt dwa centymetry, wysokość całkowita – sto osiemdziesiąt centymetrów, co miało odpowiadać wzrostowi Eugena Kallmanna (potwierdzonemu przez pewne źródło).

Po tych słowach artysta rzeźbiarz uściskał troje przedstawicieli samorządu i opuścił aulę.

Po jego wyjściu zapadła dziwna cisza. Trwała chyba pięć sekund, a przerwał ją bynajmniej nie okrzyk skądinąd uzasadnionego protestu, a wybuch śmiechu. Tak zareagował Hans-Ivar Möller, nauczyciel szwedzkiego i angielskiego. Sytuacja była kuriozalna, bo nikt się do niego nie przyłączył, jego rechot niósł się więc echem po sali przez dłuższą chwilę, aż w końcu umilkł. Wtedy Fröberg oznajmił, że dyrekcja przedyskutuje z samorządem kwestię postawienia popiersia. Na tym zebranie się skończyło.

Wracałem dziś ze szkoły z Leonem Bergerem, następcą Kallmanna, który uczy szwedzkiego moją klasę. W tym semestrze niewiele ze sobą rozmawialiśmy,

ale od początku uważałem go za człowieka zdolnego i rozważnego. Nie chcę absolutnie podważać tej opinii, jednak rozmowa, jaką odbyliśmy podczas dzisiejszego spaceru (okazało się bowiem, że mieszkamy na tej samej ulicy, nie dalej jak dwieście metrów od siebie), nie miała nic wspólnego ze szkołą i nauczaniem. Swoją drogą, szliśmy razem dlatego, że zostawiłem rower w serwisie Ronniego, gdyż miał już kilka usterek. Berger ma w zwyczaju chodzić do szkoły na piechotę, jednak poleciłem mu zakłać Ronniego, na wypadek gdyby kiedyś zaczął jeździć do pracy na rowerze.

Ale do rzeczy. Nasza rozmowa szybko zesłała na temat Kallmanna. Zaczęło się od tego, że Berger zapytał mnie wprost:

– O ile zrozumiąłem, kolegowaleś się trochę z moim poprzednikiem?

A może było to bardziej stwierdzenie niż pytanie. Odpowiedziałem mu wymijająco, że Eugena Kallmanna nikt nie znał dobrze, po czym zapytałem kontrolnie, skąd mu o tym wiadomo.

Berger przez chwilę się wahał, a potem powiedział, że obilo mu się to o uszy.

– A gdzie? – drążyłem. – Gdzie o tym słyszałeś?

Berger wzruszył ramionami.

– Pewnie w szkole. Nie pamiętam dokładnie.

Zauważyłem, że tak naprawdę ciekawi go o wiele więcej. Przez chwilę szliśmy w milczeniu, a on najwidoczniej zastanawiał się, jak dalej poprowadzić rozmowę. W końcu oznajmił:

– W zasadzie to o tym przeczytałem.

Uznałem, że to dziwne, zapytałem więc, gdzie było napisane, że znałem Kallmanna.

– Po prostu trafiłem na jakieś notatki – odparł Berger.

Zakłopotał się przy tym, zupełnie jakby pożałował, że o tym mówi. Zaintrygowało mnie to, nie mogłem więc nie dopytywać.

– Chyba nie do końca rozumiem – powiedziałem. – Jakie niby notatki?

– Kallmanna – odpowiedział Berger. – Leżały w jego biurku w szkole. Musiałem je opróżnić, żeby zmieścić się z własnymi papierami i teczkami.

– A to ciekawe – starałem się nieco złagodzić ton krytyki w głosie. – I cóż takiego znalazło się w tych notatkach?

– Tylko tyle, że się spotykaliście i rozmawialiście. Nie czytałem dokładnie. Nie miałem zamiaru wściubiać nosa w nie swoje sprawy. Jednak ten Kallmann to była dopiero osobowość... uczniowie go podziwiali, o ile wiem. Kwestia tego popiersia z brązu mówi sama za siebie. Po prostu zaintrygowała mnie... jak by to powiedzieć... ta postać owiana tajemnicą. Mam nadzieję, że cię nie uraziłem pytaniem?

Doceniłem jego ciekawość. W końcu Berger przejął stanowisko Kallmanna, byłoby dziwne, gdyby nie zainteresowała go osoba poprzednika. Zwłaszcza że wciąż ciekawi ona nas wszystkich, tych, którzy poznaliśmy go za życia i przez lata z nim pracowaliśmy.

– To prawda, że trochę się spotykaliśmy – powiedziałem. – Ale bardzo rzadko. Kallmann był samotnikiem, absolutnie nie mogę powiedzieć, że byłem jego przyjacielem.

– Czy on w ogóle miał przyjaciół?

Pokręciłem głową.

– Nie sędzę. Mnie o nich w każdym razie nie wiadomo. A co takiego pisał?

Uznałem, że mam prawo zapytać, skoro Berger sam poruszył temat.

– Niedużo – odparł. – Wspominał, że byłeś u niego w domu, piliście whisky i rozmawialiście... i że robiliście to już kilka razy wcześniej, o ile dobrze zrozumiałem. Przyznaję jednak, że trochę wstyd mi za to, że przeczytałem jego zapiski. Nie przemyślałem tego. Nie wolno przecież grzebać w cudzych...

Nie dokończył. Domyśliłem się, że pożałował, iż w ogóle zaczął mówić

o Kallmannie. Ja jednak nie miałem nic przeciwko dyskusjom o nim, zwłaszcza z Bergerem, który jako nowy w szkole powinien mieć świeże spojrzenie na sprawy. Przyznaję też, że poza tym miałem ochotę podzielić się z kimś własnymi przemyśleniami na temat naszego zmarłego kolegi. Podejrzewam, że podobną potrzebę żywiła większość przedstawicieli grona pedagogicznego naszej szkoły. Być może uczniowie też, wspomniane już popiersie musiało być przecież wyrazem podobnych dążeń.

– Nie musisz przeproszać – powiedziałem. – Eugen Kallmann frapował wielu.

– Zauważyłem. Wydaje mi się też, że o nim się raczej nie mówi. Może się mylę, ale okoliczności jego śmierci nie były do końca jasne? Policja przeprowadziła śledztwo, które potem umorzono. A ten chłopiec Charlie Mattis był na miejscu... Domyślam się, że z matematyki jest równie zdolny jak ze szwedzkiego?

– Zapewne – odparłem. – Jeśli chodzi o zdolności, Charlie należy do szkolnej czołówki. Również z fizyki. Sam jednak wiesz, jak wygląda jego życie towarzyskie. W zasadzie nie istnieje.

Berger przytaknął.

– Typ osamotnionego geniusza. Trochę jak Kallmann, czyż nie?

Potwierdziłem, że to całkiem słuszna obserwacja, opowiedziałem też o tym, jak Charlie Mattis wyrecytował wiersz na zakończenie roku. Wiersz napisany przez nieżyjącego wówczas od trzech tygodni Kallmanna. Być może Berger już o tym słyszał, bo w ogóle tego nie skomentował. Zaciekawilo go natomiast, czy Charlie i Kallmann spotykali się poza szkołą. Tylko we dwóch, bo taką właśnie plotkę Berger słyszał w szkole.

– Owszem, tak było – odparłem po chwili namysłu. – W każdym razie zeszłej wiosny, czyli podczas ostatniego semestru Kallmanna. Nie mam pojęcia, co robili i o czym rozmawiali. Jeśli jednak słyszałeś o czymś... jak

by to powiedzieć... nieprzyzwoitym... śmiało możesz to zlekceważyć. Kallmann trochę pił, ale nie ciągnęło go do młodych chłopców.

– Podobno pisał? Wydał nawet kilka powieści pod pseudonimem, prawda?

Uświadomiłem sobie, że Berger wiedział więcej, niż przypuszczałem. Nasza rozmowa nie była jednak dla mnie niewygodna. Przeciwnie, jak już wspomniałem, ta pogawędka była pożywką dla moich rozmyślań na temat Kallmanna oraz wątpliwości, które po jego śmierci wzbudziły we mnie działania policji. Przez chwilę zastanawiałem się nawet, czy nie zaprosić Bergera na kawę, tak byśmy mogli kontynuować dyskusję. Doszliśmy już do jego domu. Jego mieszkanie mieściło się w trzypiętrowym budynku stojącym naprzeciwko Våghusspången. Berger wskazał ręką na jeden z obudowanych balkonów i wyjaśnił, że to tam mieszka. Porzuciłem myśl o zaproszeniu go do siebie, gdyż uznałem, że zawsze będzie można do tego wrócić. Na pożegnanie odpowiedziałem na jego ostatnie pytanie.

– Owszem, zgadza się. Kallmann wydał kilka książek. Nikt jednak nie zna tytułów ani jego pseudonimu. Jeśli ktoś może cokolwiek o tym wiedzieć, to Hans-Ivar Möller lub Ellen Moerk, w końcu przez ponad dziesięć lat dzielili pokój w pracy.

– Rozumiem. Może to któreś z nich mi o tym wspominało. Dzięki za pogawędkę. Zastanowię się, czy nie jeździć do pracy rowerem, jak sugerowałeś.

– Oszczędza się dziesięć minut w jedną stronę – dodałem. – A serwis Ronniego jest tu za rogiem, zdecydowanie powinieneś wybrać jego. Obsługa dopasowana do potrzeb klienta. Można na nim polegać, działa w mieście, odkąd wynaleziono rower.

Berger podziękował za rekomendację. Widziałem, że wciąż trapi go kilka spraw, tak więc zagadnąłem go jeszcze, dorzucając kilka uwag o uroku naszej rzeki i o tym, że na pewno ma piękny widok z balkonu.

– Tak, widok jest doprawdy wspaniały – przyznał. – A tak na marginesie, nie wiesz, czy Kallmann interesował się kryminologią? Dawnymi niewyjaśnionymi zbrodniami?

Coś we mnie kliknęło, nie umiem tego inaczej opisać. Być może to moje serce na chwilę się zatrzymało, a potem znów ruszyło. Przypomniałem sobie, co Kallmann powiedział podczas naszej ostatniej rozmowy. Niemal słyszałem jego głos: „Igor, mam powody przypuszczać, że natrafiłem na niewyjaśnione zabójstwo. Niewyjaśnione i niewykryte”.

– To prawda – odpowiedziałem, starając się zachować neutralny ton. – O ile wiem, było to jedno z jego prawdziwych zainteresowań. Przynajmniej w ostatnich latach.

Berger się zadumał.

– Czy to możliwe, że to jedna konkretna zbrodnia tak go interesowała?

– Owszem. Tak właśnie mogło być. Wiesz co, a może kiedyś się spotkamy i dokończymy tę dyskusję? O ile byłbyś zainteresowany, rzecz jasna. Bo przecież są i inne tematy. Obaj jesteśmy singlami, o ile rozumiem?

Berger nagle się rozpromienił.

– Oczywiście – odparł. – Chętnie się spotkam i pogadam jeszcze o Kallmannie. Może w Commedii?

– Świetna propozycja. Widzę, że zdążyłeś już oddzielić restauracyjne ziarna od plew.

Postanowiliśmy, że każdy z nas sprawdzi swój kalendarz, a potem wrócimy do tematu spotkania. Tak czy inaczej, zobaczymy się któregoś wieczoru w przyszłym tygodniu.

25

Ludmilla

Jest wpół do piątej. Sobota rano, połowa listopada. Na dworze tak ciemno, że bardziej już być nie może. Obudziłam się już o czwartej, siedzę teraz w kuchni przy stole, piję kawę i myślę. Niewiele spałam, mam jednak wrażenie, że wystarczająco długo.

Chociaż z uwagi na miniony tydzień powinnam być zmęczona i sterana. Po wszystkich tych rozmowach, które odbyłam, powinnam pogrążyć się w mentalnym letargu. Można by pomyśleć, że jesienne ciemności wciskają się ludziom pod skórę, zarówno nastolatkom, jak i dorosłym. Może wszystkie te opowieści o troskach i niedolach życia osobistego stanowią dla mnie pewien perwersyjny bodziec.

A może stymuluje mnie sama myśl, że mogę ludziom trochę pomóc. Tak przynajmniej chcę myśleć. Człowiek staje się przecież o wiele czystszy, zbliża się do swej prawdziwej natury, kiedy się poddaje, kiedy nagle opuszcza gardę i nie musi już dłużej odnosić samych sukcesów. Tak jest, czyż nie? Właśnie ta poza poddania się – poddania się, które w gruncie rzeczy nie jest takie groźne – nadaje sens mojej działalności. A także to, co obnażone i szczere. Zwłaszcza że żyjemy w świecie, w którym coraz bardziej szerzy się to, co pozorne, szczęśliwe i głośnie. To oraz sukcesy. Coraz trudniej jest mi tolerować ludzi odnoszących sukcesy.

Do takiej właśnie konkluzji dochodzę, siedząc nad wypucowanym stołem kuchennym, podczas gdy za oknem świat wciąż śpi spowity mrokiem.

Dlaczego jestem taka wypoczęta i rześka? Tego nie muszę chyba wyjaśniać. W głowie tkwią mi inne myśli, do których powinnam się wziąć, na pewno jednak nie zaprzęta mnie teraz mój związek. Odsuwam to na potem, Klas jakoś będzie musiał się z tym pogodzić. Może i on rozumuje podobnie? Coś się między nami psuje, a nie ma sensu brać się do naprawy, dopóki nie dojdzie do całkowitej awarii.

Wczoraj przed południem odwiedziła mnie Andrea Wester z 9B. Bez wątpienia to przede wszystkim myśl o niej tkwi niczym drzazga w mojej świadomości. Ostatnio rozmawiałam z nią w siódmej klasie dosłownie przez kilka minut, kiedy jak zwykle spotykałam się z nowymi uczniami, czasami dwoma lub trzema naraz, i opowiadałam o sobie i mojej roli w szkole.

Andrea spotkała mnie na korytarzu w poniedziałek i zapytała, czy mam wolną chwilę. Umówiłyśmy się na piątek. Mogłam ją wcisnąć już na środę, gdyby sprawa była pilna, jednak Andrea stwierdziła, że jej się nie spieszy.

Powiedziała to z pewnym dystansem do siebie. Z nutką autoironii. Bo kimże ona jest, by zajmować mój cenny czas? Chociaż nie znam jej dobrze, uważam ją za ogarniętą dziewczynę. Ma w sobie dojrzałość, którą cenią dorośli. Choć między Bogiem a prawdą akurat tę cechę łatwo przecenić. Bo w sumie wcale nietrudno jest grać rolę zaradnej młodej kobiety, w dużej mierze rozchodzi się o milczenie.

Kiedy przyszła, poczęstowałam ją herbatą rooibos, po czym usiadłyśmy przy moim niewielkim stoliku i zapytałam ją, dlaczego chciała ze mną porozmawiać.

– A, tak ogólnie – odparła. – Przede wszystkim dlatego, że uważam, że jest pani dobra w tym, co robi.

Całkiem niespodziewane wprowadzenie. Rzecz jasna, zrobiło mi się miło,

pochwała dodaje mi skrzydeł jak każdemu. Podziękowałam więc za komplement i zapytałam, w jaki sposób mogę spełnić pokładane we mnie nadzieje.

– Może po prostu muszę sobie ot tak porozmawiać z kimś dorosłym – odparła Andrea. – Sama nie wiem.

– No dobrze, to od czego zaczniemy?

– Wie pani, co trzeba zrobić, by zmienić nazwisko? – zapytała.

– Słucham?

– Nazwisko – powtórzyła. – Jak można je zmienić?

Przyznałam się, że nie mam pojęcia, ale obiecałam, że pomogę jej to sprawdzić.

– Chcesz zmienić nazwisko? – zapytałam.

– Tak.

– Wybacz, że pytam, ale dlaczego?

– Bo to nazwisko mojego taty, ale on nie jest moim tatą.

– Wester?

– Tak.

Nie po raz pierwszy przyszło mi się zmierzyć z tego typu problemem. Choć z reguły nie chodzi o kwestię nazwiska. Pamiętam dziewczynę, która nie dalej jak ostatniej wiosny zalewała się łzami w moim gabinecie, ponieważ dowiedziała się, że jest adoptowana. Jednak Andrea Wester nie płakała, wręcz przeciwnie, wydawała się w pełni opanowana. Poprosiłam, by nieco dokładniej opisała mi swoją sytuację.

– Jeśli to delikatna sprawa, to musisz wiedzieć, że obowiązuje mnie tajemnica zawodowa – dodałam. – Wszystko, co tu powiemy, zostanie między nami.

Andrea posłała mi przelotny uśmiech. Przez głowę przemknęła mi myśl, że powinnam mieć choć jedną córkę, a nie dwóch synów.

– Tak, wiem – powiedziała. – Chodzi o to, że parę tygodni temu dowiedziałam się, jak to było ze mną naprawdę... że mam innego tatę. Mama opowiedziała mi o tym, bo... bo sama ją zapytałam.

– Zatem coś podejrzewałaś?

– Tak, człowiek, który uchodził za mojego tatę, jest rudy i obaj moi bracia są rudzi. A ja nie jestem...

– ...ani trochę ruda – dokończyłam za nią. Andrea jakby na potwierdzenie pokazała kosmyk włosów. – To znaczy, o ile nie masz farbowanych włosów.

– Nie – zapewniła. – Jestem naturalną brunetką. Tak jak mama i jak mój prawdziwy tata.

– A więc wiesz, kim on jest? – zapytałam. – Mama ci powiedziała?

Andrea pokiwała głową.

– Tak. Choć nigdy go nie spotkałam. Zostawił mamę, zanim się urodziłam. Ona też go od tamtej pory nie widziała. On mieszka w Anglii... prawdopodobnie.

„Bydlak”, cisnęło mi się na usta, ale oczywiście nie powiedziałam tego na głos.

– Takie rzeczy się zdarzają – stwierdziłam. – Niestety.

Andrea przygryzła wargę i chwilę się wahała. Czekałam.

– W sumie to nie szkodzi, że Bernt-Olov nie jest moim tatą – dodała. – Nigdy go za bardzo nie lubiłam. Szkoda jednak, że człowiek, który powinien był się mną zająć, zachował się w taki sposób.

– Chciałabyś go spotkać?

– Może, ale nie teraz. Kiedy będę trochę starsza, skontaktuję się z nim. Każdy byłby ciekawy.

– Wygląda na to, że naprawdę dobrze to zniosłaś. Takie rzeczy się zdarzają, a czasami naprawdę trudno jest się z tym pogodzić.

– Tak, tak, rozumiem. – Andrea przez chwilę się zastanawiała. – Ja jednak,

mimo że nie myślałam o tym wprost, coś przeczuwałam. Podświadomie. Nie mogę zresztą udawać, że jestem zrozpaczona i zszokowana, skoro nie jestem. Tak się po prostu nie da.

– A co na to... jak on się nazywa?... Bernt-Olov?

– Nic. On jeszcze nie wie.

– Nie wie, że nie jest twoim ojcem?

W tym momencie Andrea wybuchnęła śmiechem, a ja nie mogłam nie zrobić tego samego. Miałam wręcz wrażenie, że jesteśmy zaprzyjaźnionymi rówieśnikami, które wyśmiewają się z biednego faceta.

– To wie. Mama była w siódmym czy ósmym miesiącu ciąży, kiedy się poznali, a on nie jest aż tak głupi.

– Ale nie wie, że ty wiesz?

– Nie.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami, jakby lekko zirytowana.

– Dlatego, że niezręcznie się o tym rozmawia. No i nie umiałabym przed nim udawać.

– Udawać czego?

– Że jest mi przykro. Rozumie pani?

Po chwili namysłu powiedziałam, że rozumiem. Jeśli ktoś przyjmuje rolę ojca wraz z wiążącą się z nią odpowiedzialnością, a po piętnastu latach okazuje się, że dziecko bynajmniej nie jest za to wdzięczne, to doprawdy robi się niemiło. Nie mogłam się nie uśmiechnąć w głębi ducha – co mną kierowało? Zrozumiałam też, że darzę tę młodą damę coraz większą sympatią.

– A co chcesz zrobić z nazwiskiem? – przypomniałam sobie.

Andrea westchnęła.

– Mama przed ślubem nazywała się Larsson.

– I? – zapytałam łagodnie.

– Nie ma nic złego w tym nazwisku, ale o wiele bardziej wolałabym się nazywać Branagan.

– Branagan? To nazwisko twojego biologicznego ojca?

– Tak. To pomoże mi pani sprawdzić, jak się to załatwia?

Uśmiechnęłam się po raz kolejny, tym razem nie tylko w głębi ducha, ale naprawdę.

– Obiecuję, że spróbuję. Jeśli jednak ci się to uda, to chyba Bernt-Olov zorientuje się w sytuacji?

– Jakoś przyjmę ten cios – odparła Andrea i znów obie zanosiliśmy się śmiechem. Właśnie takie chwile sprawiają, że kocham swoją pracę.

Jednak kwestia nazwiska nie była jedynym zmartwieniem panny Wester/Branagan. Być może stanowiła jedynie wdzięczny wstęp do tego, o czym naprawdę chciała rozmawiać. Jednak to tylko moje przypuszczenie, może dla niej obie sprawy były równie ważne. Tak czy inaczej, po tym, jak dogadałyśmy się w sprawie nazwiska (obiecałam, że sprawdzę to i dam jej znać za tydzień), przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu. Piłyśmy herbatę, a Andrea oglądała wiszące na ścianach czarno-białe zdjęcia ze wszystkich zakątków świata (nie we wszystkich byłam osobiście, ale od tego są fotografowie). Z podziwem pokiwała głową.

– Fajnie. Ładne zdjęcia.

– Dziękuję.

– Fajnie byłoby być fotografem.

– Chciałabyś mieć taki zawód?

– Nie wiem. Jeszcze nie zdecydowałam, kim chciałabym być.

– I słusznie. Nie jesteś jeszcze taka stara.

– No nie.

Znów zapadła cisza. Widziałam jednak, że Andreę coś jeszcze męczy. Dałam jej kilka sekund, po czym sama ostrożnie zapytałam:

– Jest jeszcze coś, o czym chciałabyś porozmawiać, prawda?

Złożyła dłonie na kolanach, potem znów je rozplotła. Przygryzła wargę. Jakby grała w kalambury i chciała przedstawić hasło „wątpliwości”.

– Owszem – powiedziała. – Chociaż to nie ma ze mną nic wspólnego. Albo może i coś tam ma.

– Tak? Pamiętaj, że wszystko, co powiesz, zostanie między nami. O ile w ogóle chcesz mówić.

– Okej. Zna pani Charliego...

– Charliego Mattisa?

– Tak.

– Chodzicie do jednej klasy, prawda?

– Tak. Niezły z niego dziwak, to pani z pewnością wie?

– Spotkałam go kilka razy. Nie mogę jednak rozmawiać z tobą o innych uczniach, mam nadzieję, że rozumiesz.

Pokiwała głową.

– Jasne. Jeśli jednak pani coś o nim opowiem, wysłucha mnie pani? Bo nie chodzi o niego... sama nie wiem, o co lub o kogo chodzi.

– Powiedz i zobaczymy.

Andrea westchnęła i zrobiła przeproszającą minę.

– No dobra, Charlie jest, jaki jest. Chodzimy do jednej klasy od lat, więc jestem do niego przyzwyczajona. I naprawdę go lubię. Jest dziwny, ale jest sobą... a do tego bardzo bystry. Nie ma tematu, na którym by się nie znał.

Uśmiechnęłam się.

– Mam o nim całkiem podobne zdanie.

– W tym semestrze jednak Charlie zachowuje się wyjątkowo dziwnie, nie wiem, czy pani zauważyła?

Nie zauważyłam, ruchem głowy dałam jej więc znać, by mówiła dalej.

– Myślę, że to się łączy ze sprawą pana Kallmanna.

Wiadomo było, że to Charlie Mattis znalazł ciało Eugena Kallmanna w Niemieckim Domu, mimo wszystko zaskoczyła mnie.

– Ze sprawą pana Kallmanna? – zapytałam. – W jaki sposób?

Andrea zaczęła się wiercić.

– On mnie przepytował.

– Co?

– Charlie. Zapytał, czy może mnie przepytać. Potem rozmawialiśmy kilka razy, choć bardziej przypominało to przesłuchanie.

– Przesłuchanie?

– Tak. Zadał mi masę dziwnych pytań, mniej więcej jak policjanci na filmach, kiedy chcą kogoś wsadzić. W ogóle nie załapałam, o co chodzi, i gdyby to był ktoś inny, nie Charlie, od razu bym odmówiła. On jednak jest, jaki jest, a ja, jak wspomniałam, go lubię. Choć czasami jest naprawdę zwariowany.

– O co takiego cię wypytywał?

Andrea rozłożyła ręce.

– O wszystko. Między innymi o moją rodzinę. Czy ktoś z moich krewnych siedział w więzieniu. I czy w rodzinie były przypadki nagłej śmierci.

– Co? A niby dlaczego go to interesowało?

– Nie wiem. Zapytałam go oczywiście, ale odparł tylko, że prościej będzie, jeśli to on będzie zadawać pytania, a ja odpowiadać.

– A ty się zgodziłaś?

– Z początku tak. Potem się wściekłam i przerwałam rozmowę.

– Spotykaliście się często na te „przesłuchania”?

– Dwa razy – odparła Andrea. – Charlie zapisywał moje odpowiedzi, a kiedy po drugim wywiadzie się wściekłam, oznajmił, że i tak jest zadowolony i że to wszystko dotyczy pana Kallmanna. I że pewnie się tego domyśliłam.

– Ale czy... on cię pytał też o pana Kallmanna?

– Nie.

– A ty domyśliłaś się albo chociaż przeczuwałaś, że chodzi o pana Kallmanna?

Andrea pokręciła głową.

– Nie... Chociaż nie wiem... Przede wszystkim uznałam, że to bardzo dziwne.

Ja pomyślałam dokładnie to samo. Przez co najmniej pięć sekund wpatrywałyśmy się w siebie w milczeniu. Podejrzewam, że Andrea dostrzegła na mojej twarzy podobny znak zapytania jak ja na jej.

– Kiedy odbyłaś te rozmowy z Charliem? – zapytałam w końcu.

– Mniej więcej miesiąc temu... Może trochę wcześniej. Między jedną a drugą minął jakiś tydzień.

– A co ty o tym sądzisz? Do czego Charlie starał się dojść?

– Nie mam pojęcia. Zastanawiałam się nad tym oczywiście. Poza tym...

– Tak?

– Poza tym widziałam, że w ten sam sposób rozmawiał też z innymi.

– Z innymi uczniami w szkole?

– Tak.

– Czekaj. Mówisz, że Charlie wypytywał o twoją rodzinę. Czy coś was łączyło z panem Kallmannem?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– A czy innym uczniom zadawał takie same pytania?

– Nie wiem. Widziałam go tylko z dwoma osobami, a ich akurat nie znam.

Zorientowałam się, że jestem trochę zbyt dociekliwa. Oczywiście na myśl cisnęło mi się mnóstwo pytań, nie mogłam jednak narażać Andrei na kolejne przesłuchanie. Wystarczyło już to jedno, które przeprowadził Charlie Mattis. Wzięłam kilka głębokich wdechów i spróbowałam wrócić do mojej roli

pedagog szkolnej.

– Przepraszam cię – powiedziałam. – Nie bardzo to rozumiem. Czy z kimś jeszcze o tym rozmawiałaś?

– Tylko z Emmą. Emmą Decantines. To moja najlepsza przyjaciółka, mówimy sobie prawie o wszystkim. Ona jednak też nic z tego nie pojmuje. Tak naprawdę próbowałyśmy zbadać sprawę na własną rękę, ale umorzyliśmy śledztwo.

– Zbadać sprawę? Jak to?

– No nie tak na serio... Tak tylko sprawdziłyśmy jakieś szczegóły związane z Niemieckim Domem i tym podobne. Do niczego jednak nie doszłyśmy, więc skończyłyśmy z tym. Pomyślałam jednak, że dobrze byłoby opowiedzieć o tym jeszcze komuś, komuś dorosłemu. Bo to, co spotkało pana Kallmanna, było dość zagadkowe, prawda? Na przykład to, że Charlie znalazł się w tym domu tej samej nocy co...

– Owszem – powiedziałam. – Jednak policja przeprowadziła śledztwo i...

– Nie ufam policji – przerwała mi Andrea. – A pani ufa?

Nagle w jej głosie dała się słyszeć pewność. Zastanowiło mnie, z czego to wynikało. Chwilę pomyślałam, po czym powiedziałam, że policja z reguły dobrze pracuje, ale w przypadku śmierci Kallmanna można było w to zwątpić. Potem, korzystając z okazji, zapytałam Andreę, czy wiele się na ten temat mówi pośród uczniów.

– Całkiem sporo – odparła Andrea. – Choć głównie mówiło się o tym w maju tuż po śmierci pana Kallmanna. W tej szkole większość ludzi ma chyba krótką pamięć.

Kiedy to powiedziała, rozległ się dzwonek. Uświadomiłam sobie, że przegadałyśmy niemal czterdzieści pięć minut.

– Co powiesz na to, żebyśmy się jeszcze raz spotkały i omówiły te sprawy porządnie? – zaproponowałam. – Jeśli umówimy się na przyszły tydzień, to do

tego czasu zdążę sprawdzić, jak wygląda procedura zmiany nazwiska.

– Chętnie się spotkam – powiedziała Andrea. – Jest jeszcze jeden drobiazg, ale może o tym porozmawiamy następnym razem.

– Nie chcesz powiedzieć już teraz?

Zawahała się.

– No dobrze, to chyba nic poważnego. Chodzi o pana Bergera. Naszego pana od szweda. Chyba go pani zna?

Pokiwałam głową. Miałam nadzieję, że nie oblałam się rumieńcem.

– Co z nim?

Andrea przygryzła wargę i kolejny raz splotła dłonie.

– Nie jestem pewna, ale on się chyba na mnie gapi w taki dziwny sposób.

O tym, co powiedziała na koniec, nie mogę zapomnieć.

To znaczy nie mogę się z tym uporać.

To znaczy pojąć.

Dziś po południu jednak Klas zabiera dzieciaki do Ö. na mecz hokejowy, tak więc ja i Leon umówiliśmy się na kawę. Bez żadnych niestosowności. Ot, jak dwoje znajomych z pracy, którzy wpadają na siebie w mieście w wolną sobotę. Coś takiego uchodzi nawet w K. Chyba.

Ciekawie będzie usłyszeć, co on ma do powiedzenia na ten temat.

26

Leon

Zacznijmy od początku. Obudziłem się wczoraj rano (była sobota) i szybko wstałem. Trudno mi było coś przełknąć i czułem się, jakbym całą noc przeleżał na dworze w śniegu. Zmierzyłem temperaturę (bo przeprowadzając się, zabrałem ze sobą termometr). Wyszło trzydzieści osiem i osiem. Spróbowałem napić się wody, udało mi się wmusić w siebie kilka łyków oraz dwa paracetamole. Zasnąłem ponownie. Obudziłem się po trzech godzinach w takiej samej formie.

Potem też nic się nie zmieniło. Leżę. Za oknem już od dwóch dni pada śnieg z deszczem, o świetle dziennym nie ma co marzyć. Umówiłem się z Ludmillą na kawę na popołudnie. Czekałem na to spotkanie przez cały tydzień, jednak godzinę przed nim zadzwoniłem i powiedziałem, jak wygląda sytuacja. Bo jeśli człowiek ledwo jest w stanie przejść z łóżka do łazienki, nie powinien raczej przesiadywać w Café Pies, gdzie mógłby zarazić wszystkich wokół. Nie mam pojęcia, czemu ta kafejka tak się nazywa, ale istnieje już od ponad pięćdziesięciu lat, a czworonogi nadal nie są w niej mile widziane.

Ludmilla zapytała oczywiście, czy nie potrzebuję pomocy, na przykład z zakupami. Powiedziałem jej, że mam wszystko, czego mi trzeba, ale że może do mnie zadzwonić w niedzielę wieczorem, żeby sprawdzić, czy żyję. Jeśli okaże się, że przetrwałem, ale nie jestem zdolny do pracy, ma mi wytłumaczyć,

jak załatwia się zwolnienie lekarskie w szkole.

To niedorzeczne chorować w weekend, powiedziała Ludmilla. Od tego są przecież dni powszednie.

Zgodziłem się z nią, potem się rozłączyliśmy. Miałem wrażenie, że rozmawiała ze mną z pewną rezerwą, ponieważ jednak czułem się tak źle, nie miałem siły w to wnikać. Wróciłem do łóżka, łyknąłem kolejny paracetamol i zasnąłem.

Śniła mi się kłótnia z Heleną. Dokładniej rzecz ujmując, nie była to wcale kłótnia i nie był to sen. Po prostu odtworzenie jednej z naszych rozmów. Z początku, bo potem terażniejszość zaczęła się wciskać niczym szpikulec w mięso.

Ta rozmowa miała miejsce mniej więcej rok temu, mniej więcej miesiąc przed ich wyjazdem w ich ostatnią podróż. Czas: sobota rano. Miejsce: kuchnia w naszym mieszkaniu na Starym Mieście w Sztokholmie.

Helena: Co sądzisz o wypracowaniu Judith?

Ja: Nie zdążyłem go jeszcze przeczytać.

Helena: Miałeś na to cztery dni. To nie zajmuje więcej niż dwadzieścia minut.

Ja: Wiem, po prostu nie miałem czasu.

Helena: Rozumiem.

Ja: Co rozumiesz?

Helena: Że nie masz ochoty.

Ja: Powiedziałem, że nie mam czasu. Nie widzisz różnicy między czasem a ochotą?

Helena odkłada gazetę i patrzy na mnie z powagą: A co to niby ma znaczyć?

Ja: Co ma co znaczyć?

Helena: A może na rozmowy ze mną też już nie masz czasu? Czy może to kwestia braku ochoty?

Ja też odkładam moją część gazety, trochę wbrew woli, ale nie ostentacyjnie, otwieram usta, ale Helena mnie ubiega.

Helena: I po co to robisz tak ostentacyjnie?

Ja: Niby co?

Helena: Odkładasz gazetę. W ogóle nie chce ci się ze mną rozmawiać.

Ja: Wybacz. Nie wiem zupełnie, o co ci chodzi. O czym to rozmawialiśmy?

Helena: O czasie i ochocie.

Ja: Naprawdę?

Helena: I o wypracowaniu Judith.

Ja: A właśnie. No więc nie miałem czasu go przeczytać. Było dobre?

Helena: Wspaniale. Czekala cztery dni, żebyś je przeczytał.

Ja: Czytam trzydzieści wypracowań w tygodniu.

Helena: No właśnie. Czytasz wypracowania każdego wieczoru, ale swoją córkę lekceważysz.

Ja: Co u licha? Co ty wygadujesz? A mamy taki miły sobotni poranek. Naprawdę miły.

Helena: Nie musisz się martwić, damy ci spokój. Ja i Judith za godzinę wychodzimy na konie. Nie będzie nas cały dzień.

Ja: Ale myślałem...

Helena: Tak będzie lepiej. W końcu podobno brak ci czasu... czy może to o ochotę ci chodziło?

W rzeczywistości w tym momencie do kuchni weszła Judith, pochmurna jak co rano. W milczeniu kontynuujemy śniadanie. Ja jednak, jednocześnie próbując się zorientować, o czym w ogóle czytam w gazecie, cały czas myślę o tym, że tak właśnie wygląda nasze życie. Skończyło się na tym, że jedynym momentem, kiedy nie toczymy ze sobą sporów, otwartych lub utajonych, jest czas, gdy śpimy.

We śnie, którego absurdalny charakter pogłębia gorączka, rozlega się pukanie do drzwi. Judith idzie otworzyć, po czym wchodzi do kuchni w towarzystwie jakiegoś jegomościa ubranego w długi płaszcz i szalik. Facet trochę się chwieje, chyba jest pijany. Sięga po krzesło, rozsiada się na nim, zupełnie jakby należał do rodziny, i oznajmia, że nazywa się Eugen Kallmann. Prosi o kawę. Helena nalewa mu filiżankę, a on nas pyta, dlaczego zajmujemy się taką głupią rozmową, skoro wkrótce i tak umrzemy.

– My? – pytam, nie wiedzieć po co, bo i tak wiem, co odpowie.

– Te dwie – mówi Kallmann, wskazując na Helenę i Judith. – Zejdą z tego padołu, jak to się mówi. Ale ty, kretynie, to do ciebie mówię. Dlaczego nie zajmiesz się tym, co ważne, tylko pozwalasz, by życie przeciekało ci między

palcami?

Żona i córka patrzą na mnie z poważnymi minami oraz, jak mi się zdaje, z niewysłowionym smutkiem w oczach, a potem dołączają do Eugena Kallmanna i wychodzą, zostawiając mnie samego przy kuchennym stole, na którym leżą porzucane szpalty gazety, rażąc moje oczy błahymi tytułami.

Może przyśniło mi się to dopiero dziś, czyli w niedzielę. Nie ma to jednak większego znaczenia. W ten weekend nie odróżniam dni od nocy i sam nie wiem, czy lepiej czuję się we śnie czy na jawie. Na dworze śnieg z deszczem, ciemności. Jak to znieść?

Rzecz jasna, rozmyślam o swoim życiu. O tym, jak jestem samotny. Gdybym zniknął z powierzchni ziemi, nic by to nie zmieniło. Nie mam już żadnych krewnych, jedynie siostrę w Szwajcarii. W sierpniu napisałem do niej krótki list, w którym wspomniałem, że wyprowadzam się ze Sztokholmu. Po tygodniu dostałem równie krótką odpowiedź. Życzyła mi powodzenia. Pisała, że zimą wraz ze swoim bogatym mężem Hugonem (który nigdy mnie nie tolerował i nie rozumiał, spotkaliśmy się raptem cztery razy, czyli o cztery za dużo) mają zamiar spędzić kilka miesięcy w Kapsztadzie. Jedna z jego firm, jak się okazało, ma tam filię.

Staram się zająć czymś innym, nie myśleć o mojej sytuacji. Umysł kieruje się w stronę Ludmilly Kovacs, ponieważ jednak sam nie wiem, jak to między nami jest, myśli same z siebie biegną dalej i zatrzymują się na Eugenie Kallmannie. A potem na Igorze Masslindzie, wychowawcy klasy 9B. To dlatego, że pewnego popołudnia wracaliśmy razem ze szkoły i rozmowa zesłała na temat Kallmanna. Igor trochę go znał, ponieważ spotkali się kilkakrotnie, mógł więc potwierdzić zamiłowanie Kallmanna do spraw kryminalnych. Nie wspomniałem mu nic o dziennikach, co najwyżej zrobiłem do nich jakąś aluzję, ale Igor i ja mamy się jeszcze umówić w tygodniu, może wtedy mu o nich opowiem. Czy może nie powinienem? Nie potrafię zdecydować,

zwłaszcza w obecnym stanie.

Nie ja jeden jestem chory. Ten nieszczęsny uczeń, który w wypracowaniu użył nazwiska Boris Yann Keller, też był nieobecny przez cały tydzień, nie mogłem go więc zapytać, skąd ten pomysł. Chłopak nazywa się Mats Winger i chodzi do 8D, ale w siódmej klasie miał szwedzki z Kallmannem, więc może w tym tkwi wyjaśnienie. Samo wypracowanie jest przyzwoicie napisane, ale żadne z niego arcydzieło. Do cholery, chyba niemożliwe, żeby ktoś w wieku lat czternastu ot tak wymyślił sobie takie nazwisko? – myślę. Nazwisko osoby, która w testamencie Kallmanna wymieniona jest jako spadkobierca. Tak przynajmniej twierdzi Ludmilla, a mogę przecież się założyć, że się nie myli. Skąd Mats Winger ma tę informację?

Mimo że miotam się jak wrak między snem a jawą, zdaję sobie sprawę, jak nieprawdopodobnie to wszystko brzmi. Że niby Kallmann opowiedział swoim uczniom o tym Borisie Yannie Kellerze? Śmieszne wydaje się przede wszystkim imię, ale to może ja jestem śmieszny? Może tak właśnie człowiek się czuje, kiedy znajdzie się u kresu świadomości i na dobre przestaje kontrolować rzeczywistość. W głowie przelatują mu tylko znaki zapytania.

W końcu nadszedł niedzielny wieczór. Po wpół do dziesiątej udało mi się wziąć się w garść i wykapać. Potem zadzwoniła Ludmilla.

W końcu, można by pomyśleć. Jednak w przypadku mnie i Ludmilly lepiej było nie myśleć.

- Słyszałeś, co się stało? – zapytała.
- Nie – odparłem – leżałem w malignie przez dwa dni.
- Moammar... znasz go?
- Moammar?
- Moammar Kavali z 8D.
- Ach ten. Co z nim?

– Znaleźli go w toalecie przy sali gimnastycznej.

– Jak to?

– Od piątku siedział na toalecie, związany i zakneblowany.

– Co u licha?

– W toalecie w przebieralniach przy sali gimnastycznej. Nikogo tam nie było od piątku, ale dziś ktoś poszedł grać w badminton. Znaleźli go.

– Ale czy on...?

– Żyje, dojdzie do siebie. Nie czuje się jednak dobrze. I nie chce z nikim rozmawiać.

– Skąd wiesz?

– Spotkałam się z nim. Bądź co bądź jestem pedagogiem szkolnym... – Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że w jej głosie słychać wyczerpanie.

– Przepraszam – powiedziałem. – Dziękuję, że zadzwoniłaś i mi o tym opowiedziałaś. Kto to zrobił?

– Jak wspomniałam, chłopak nie chce powiedzieć. Boi się. Moammara jednak trudno określić mianem blond wikinga, tak więc chyba nietrudno się domyślić, jaki był motyw.

– Cholera.

– No.

– Będziesz jutro w szkole?

Godzinę temu odpowiedziałbym, że to wykluczone, ale teraz stwierdziłem, że spróbuję.

– Okej – odparła. – W porządku.

Potem się rozłączyliśmy. Okropny weekend właśnie dobiegł końca.

Andrea

Powinno się ich wydalić ze szkoły – powiedziałam. – Jak chcą, niech sobie siedzą w lesie i tam bawią się w nazistów. Nie rozumiem jednak, dlaczego my musimy się z nimi użerać w mieście. I w szkole.

Nie była to zbyt przemyślana wypowiedź, tak więc Emma posłała mi sceptyczne spojrzenie.

– I myślisz, że to załatwi problem? Wygnanie wszystkich nazistów do lasu? – zapytała.

– Może nie – odparłam. – Tak tylko się wściekam.

– A myślisz, że ja nie? Przecież mogę być kolejną ofiarą. Pomyślałaś o tym?

– Daj spokój, przecież urodziłaś się w Szwecji – palnęłam, zanim uświadomiłam sobie, jakie głupoty wygaduję. Gniew doprawdy nie sprzyja myśleniu.

– Myślisz, że mężczyzna z laserem zapytałby mnie, zanim by strzelił? – zapytała Emma.

– Mój tata też jest cudzoziemcem – zauważyłam bez sensu.

– Anglików akurat tolerują.

Potem przez chwilę siedziałyśmy cicho, żeby już ze złości nie rzucać głupawymi banałami. Jest wtorek po południu, puścili nas dwie godziny

wcześniej, bo Birgersson jest na zwolnieniu. O tej porze chyba co druga osoba jest przeziębiona, ale ja i Emma jakoś się trzymamy. Usiadłyśmy sobie w Café Pies, często tu bywamy.

Rozmawiamy o Moammarze Kavalim. To wokół niego wszystko się kręciło przez ostatnie dwa dni w szkole. W niedzielę znaleźli go związanego w toalecie obok sali gimnastycznej. Siedział tam od piątku. Oczywiście stoją za tym naziolę. Moammar urodził się w innym kraju, a to jak widać jest zabronione. Należy się za to kara. Taki jest tok rozumowania tych łysych pał. O ile w ogóle w ich przypadku można mówić o rozumowaniu.

Moammar jakoś przeżył. W każdym razie fizycznie, bo chyba nietrudno się domyślić, jak się czuje po dwóch dobach spędzonych na kiblu. Trzech uczniów, Ottona Hanssona oraz dwóch innych, zatrzymano na przesłuchania zarówno w poniedziałek, jak i we wtorek. Ktoś mówił, że jutro wychodzą. Nie wiadomo, czy się przyznali, ich mniej odważni naśladowcy, zwłaszcza ci z 9D i 8E, schodzą teraz innym z oczu. Kilku zostało w domach, ale paru ośmieliło się pójść do szkoły. Na przykład Axel Rodefjell z naszej klasy pojawił się na lekcjach. Axel alias Dupek, jak go nazywamy. Kilku bardziej rzutkich chłopaków o imigranckim pochodzeniu z 9A i C miało zamiar spuścić mu bęcki dziś na przerwie lunchowej, ale nauczycielom udało się ich powstrzymać. W szkole wrze. Dzisiejsze zebranie w auli zamiast godzinę trwało dwie, nie sądzę jednak, by takie spotkania miały pomóc. Zwłaszcza jeśli Otto Hansson i spółka wrócą do nas jutro, a policji nie uda się nakłonić ich do przyznania się do winy.

Po raz kolejny.

Cholera. Nic dziwnego, że człowieka rozsadza złość.

– Pogadajmy o czymś innym – zaproponowała Emma. – Nie mam już siły myśleć o tej strasznej historii.

Opowiedziałam jej więc o mojej wizycie u Ludmilly Kovacs. Emma i ja nie

widziałyśmy się przecież przez weekend, bo byłam na turnieju koszykarskim w Gävle. Graliśmy pięć meczy przeciwko pięciu innym szkołom. Wygraliśmy jeden, przegraliśmy cztery, ja zdobyłam siedem punktów. Można więc powiedzieć, że ani ja, ani cała szkoła się nie popisaliśmy. Do tego dwie noce spędzone w śpiworze rozłożonym w klasie. Nie będę tęsknić za Gävle.

To akurat Emma wie. Jej nie bawi koszykówka ani żaden inny sport. Za to zaciekało ją moje spotkanie z pedagog szkolną.

– Właściwie nigdy z nią nie gadałam – przyznała. – Czy jest tak dobra, na jaką wygląda?

– Tak sędzę. W piątek spotkam się z nią jeszcze raz.

– Dlaczego?

– Ma mi pomóc ze zmianą nazwiska. I może pogadamy jeszcze o Charliem.

– Mówiłaś jej o tych jego szalonych przesłuchaniach?

– Tak. – Zrelacjonowałam jej moją rozmowę z Ludmillą Kovacs na tyle dokładnie, na ile mogłam. Emma cały czas przytakiwała. Wyglądała, jakby żałowała, że nie było jej tam z nami. Zarówno ze mną i Ludmillą Kovacs, jak i ze mną i Charliem. Jednak to ja jestem główną bohaterką tej historii, choć sama nie bardzo pojmuję, co to za historia. Nie wiem więc, czy to tak dobrze być główną bohaterką, skoro nie ma się pojęcia, w czym się bierze udział. Ale główna bohaterka to główna bohaterka.

– I co ona na to? – zapytała Emma. – Co miała do powiedzenia na temat Charliego?

– Nic specjalnego. Nie może rozmawiać ze mną o innych uczniach.

– No jasne. – Emma westchnęła. – Ale odniosłaś wrażenie, że wie dużo o tym... o czym my nie wiemy?

– O Charliem?

– Na przykład. I o Kallmannie.

Przez chwilę się zastanawiałam.

– Może tak, może nie – odparłam w końcu. – Myślisz, że agencja detektywistyczna Wester&Decantines powinna wznowić działalność czy co?

– A czy nowa nazwa to nie Branagan&Decantines? – Emma wyszczerzyła zęby.

– No tak. Zapomniałam.

– Uważam, że trzeba porozmawiać z Charliem – stwierdziła Emma, po czym obie zamilkłyśmy. Na amen, bo w tym momencie w drzwiach kawiarni stanął nikt inny jak sam Charlie Mattis.

Wtedy też Emma zalała pół stołu herbatą.

– Cholera – jęknęła.

Chwyciliśmy pęk serwetek i zaczęliśmy wycierać blat.

Nie pogadałyśmy z Charliem, nie tym razem. Kiedy wszedł do Café Pies, rozejrzał się po długiej sali, jakby kogoś szukał, a ponieważ nie znalazł, usiadł przy wolnym stoliku w głębi, ale niczego nie zamówił. Mijając nas, ledwo skinął nam na powitanie, jakbyśmy były niemile widzianymi ciotkami ze wsi. Po chwili pojawił się jakiś chłopak około dwudziestki i dołączył do Charliego. Kupili kawę i cynamonowe bułeczki, po czym zaczęli o czymś żywo dyskutować, porównując swoje notatniki i kartkując książki, które Charlie wyciągnął z teczki.

– Sprzedałabym któregoś z moich braci, żeby móc usłyszeć, o czym ci dwaj gadają – wyszeptała Emma. – Czy to znaczy, że jestem ciekawska?

– Daj spokój. I tak byś nic nie zrozumiała. Na pewno rozmawiają o cząstkach elementarnych albo polityce agrarnej dziewiętnastowiecznej Jugosławii.

– W dziewiętnastym wieku nie było jeszcze Jugosławii – zauważyła Emma.
– Teraz zresztą też jej nie ma.

– No dobra, mądrało. O czym to rozmawiałyśmy, zanim zjawiło się tu tych dwóch noblistów?

Emma westchnęła.

– Znów o Kallmannie. Po raz siedemdziesiąty piąty w tym semestrze. A tylko po to, żeby nie myśleć o Moammarze... Ja nie mogę, jak wygląda nasze życie? Dlaczego po prostu się stąd nie wyniesiemy?

– Może fakt, że jesteśmy nieletnie, ma tu jakieś znaczenie? Jedynym sposobem na pozbycie się Kallmanna jest rozwiązanie problemu. Oczywiście cały szkopuł tkwi w tym, że jeszcze nie sformułowaliśmy tego problemu, jak mawia Igor.

– Poczekaj chwilę – wtrąciła Emma. – Zajmę się tym.

Przyłożyła palce do skroni i przez dziesięć sekund myślała, aż para szła jej z uszu. Ja przewracałam oczami.

– Związek – oznajmiła w końcu.

– Brawo, Sherlocku. Jaki związek?

– Między Kallmannem a twoją rodziną, oczywiście. Pamiętam, że próbowaliśmy zgłębić tę kwestię ponad miesiąc temu, ale nie doszliśmy do niczego tylko dlatego, że ty stchórzyłaś.

– Nadal nie mam ochoty się tego podjąć.

– Ale teraz sytuacja wygląda inaczej – zauważyła Emma.

– Co masz na myśli?

Emma zaczęła bębnić palcami o kant stolika. Zawsze tak robi, kiedy jest zaaferowana.

– Posłuchaj. Przyszło mi do głowy, że teraz, kiedy mama powiedziała ci o biologicznym tacie, ty i ona jesteście jak siostry. Sama tak mówiłaś.

– Tak, i co z tego?

– To właśnie sprawia, że sytuacja wygląda inaczej. Myślę, że po prostu powinnaś porozmawiać z nią o Kallmannie. Chyba nie będzie w tym nic dziwnego? Ona zresztą też chodziła do naszej szkoły.

– Zanim pojawił się tu Kallmann – zauważyłam. – Ale okej, rozumiem, o co

ci chodzi.

– I?

Zapatrzyłam się na spodek przykryty mokrymi serwetkami i przez dłuższą chwilę myślałam.

– Ależ z ciebie zrzęda – powiedziałam w końcu. – To pewnie dlatego, że jesteś cudzoziemką. No dobrze, porozmawiam z mamą.

– Ha, ha, świetnie. A Branagan&Decantines brzmi całkiem nieźle, tak na marginesie. Gdybym sama znalazła się w tarapatach, bez wahania skorzystałabym z usług agencji o takiej nazwie.

– Masz nie po kolei w głowie – powiedziałam. – Ale i ze mną coś musi być nie tak, skoro się z tobą przyjaźnię.

– Bardzo nie tak – sprostowała Emma. – Cieszę się, że sama o tym wspomniałaś, bo nie miałam śmiałości, by ci powiedzieć, że brak ci piątej klepki.

Sposobna okazja nadarzyła się tego samego dnia wieczorem. Bernt-Olov i moi przyrodni bracia (teraz, kiedy wiem, że nie są moimi braćmi tak do końca, o wiele łatwiej mi ich znieść) siedzieli przyklejeni do telewizora i oglądali mecz piłki nożnej. My dwie wycofałyśmy się więc do kuchni, gdzie mama wpadła na pomysł, że wyprodukuje zapas pieczywa na najbliższy miesiąc. Czasami ma takie napady, ale przyznaję, że nie ma nic przyjemniejszego niż siedzieć wśród zapachu drożdży oraz pieczonych bochenków i bułek. Zwłaszcza o tej porze roku, kiedy nie chce się wytykać nosa na dwór.

Zaczęłam prosto z mostu.

– Mamo, zastanawia mnie jedna sprawa. Czy znałaś może Eugena Kallmanna?

– Co? Oczywiście, że nie. Dlaczego, na Boga, mnie o to pytasz?

– Gadałam o tym z Emmą. I z Charliem...

– Charliem Mattisem?

– Tak.

– Hm. Rozumiem.

Nie wiem, czy naprawdę rozumiała, czy może po prostu tak powiedziała, zajęta wyrabianiem ciasta.

– Pewnie to zabrzmiało absurdalnie – ciągnęłam – ale może wiesz, czy ktoś w naszej rodzinie siedział w więzieniu?

Mama przestała wyrabiać ciasto i spojrzała na mnie z uniesionymi ze zdumienia brwiami.

– W więzieniu? Skąd ci to przyszło do głowy? Charlie tak twierdzi?

– Nie, nie... Tak tylko się zastanawiałam.

– Dość dziwne rzeczy ci chodzą po głowie. Choć jeśli pomyśleć o rodzinie ze strony taty... to znaczy ze strony jednego z twoich ojców...

Zachichotała. Nieco zawstydzona, z przeproszającym wyrazem twarzy. Uśmiechnęłam się, żeby pokazać jej, że ten temat nie stanowi już dla nas problemu.

– Chodzi mi o to, że nie znam zbyt dobrze jego krewnych. O ojcu Bernta-Olova jedynie słyszałam, a jak wiesz, tata nie należy do wygadanych typów.

– Zauważyłam – odparłam. – Ale jeśli chodzi o rodzinę z twojej strony, to chyba nie było w niej żadnego prawdziwego przestępcy, prawda?

Mówiąc to, zaśmiałam się, żeby zaznaczyć, że i ja uważam taką myśl za absurdalną. Mama wzruszyła ramionami i też się uśmiechnęła.

– Nie, skarbie. Większość moich krewnych żyła w zgodzie z prawem. Nie rozumiem jednak, dlaczego w ogóle o tym rozmawiamy.

– No dobra – już miałam skłamać, że potrzebuję tych informacji do projektu, który przygotowujemy do szkoły, ale się powstrzymałam. To brzmiałoby zbyt dziwnie nawet jak na naszą budę. – Ale wracając do Eugena Kallmanna, nie wiesz, czy on pochodzi z K.?

– Nie mam pojęcia – odparła mama. – Dlaczego miałby być stąd?

Większość ludzi na świecie pochodzi z innych miejsc.

– No ale większość z tych, którzy mieszkają w K., urodziła się właśnie tu – odparowałam.

– Masz rację – powiedziała mama, przykrywając formę do pieczenia ściereczką. – Ci, którzy się tu sprowadzają, sami nie wiedzą, co robią. Nie jesteś taka głupia, na jaką wyglądasz.

– A Charlie Mattis? – ciągnęłam, sama nie wiedząc, o co właściwie chcę zapytać. – Jego mama pochodzi przecież z K.?

– Tak sędzę – powiedziała mama. – To nasza wielka artystka. Tak, jestem pewna, że ona jest stąd.

– A wiesz, kto jest tatą Charliego?

Mama się zaśmiała.

– Tego akurat nie wie nikt. Podejrzewam jednak, że jego tata nie był takim typem jak twój. Oj, co też ja wygaduję? Mój Boże, Andrea, doprawdy nie wiem, czy to dobry pomysł, żebyś próbowała go odnaleźć. Bernt-Olov nawet nie zna jego nazwiska. No i jeszcze mu nie powiedziałam, że ty już wiesz, może lepiej byłoby, gdybyś...

– Wcale mi się z tym nie śpieszy – przerwałam jej. – Przecież nie miałam zamiaru jechać do Anglii na najbliższe Boże Narodzenie. No ale powiedz, babcia i dziadek byli przecież rówieśnikami Eugena Kallmanna, prawda?

– Co? A co babcia i dziadek mają wspólnego z Kallmannem?

– Z tego, co wiem, to nic. Pytam tylko, czy byli rówieśnikami.

Mama pokręciła głową.

– Bo gdyby byli, to pewnie wiedzieliby, czy Kallmann był stąd – wyjaśniłam. – Chyba można ich o to zapytać.

– To śmiało – odparła mama. Zrozumiałam, że chce już skończyć tę rozmowę. – Zapytaj babcie, jeśli naprawdę nie masz nic lepszego do roboty.

Na tym rzeczywiście poprzestałyśmy, bo właśnie zaczęła się przerwa

w meczu. Aron i August wpadli do kuchni po świeży chleb. Ja też chwyciłam ciepłą bułkę i ruszyłam do swojego pokoju. Zanim wyszłam, zauważyłam jednak, że mama wygląda na poważnie zmartwioną. Jakby coś, co od dawna przeczuwała, wreszcie okazało się prawdą. Co? Otóż to, że jej córka na serio ma nie po kolei w głowie.

Przeklęta Emma, pomyślałam. Od teraz sama możesz prowadzić tę agencję detektywistyczną. Nie wiem, co ja sobie myślałam.

Igor

17 listopada. Piątek, późny wieczór.

Właśnie wróciłem z Commedii, jedynej znośnej knajpy w K., gdzie zjadłem smaczną kolację oraz odbyłem ciekawą rozmowę z Leonem Bergerem. Zjedliśmy, napiliśmy się i przegadaliśmy ponad trzy godziny. W głowie kłębi mi się tyle nowych informacji i wątpliwości, że pewnie długo nie będę mógł zasnąć.

Dlatego zaparzyłem sobie mocną kawę, sięgnąłem po porządny koniak i zasiadłem w fotelu numer jeden (numer dwa, nieco gorszy, przeznaczony jest dla gości, których i tak nigdy nie mam), żeby dokonać analizy i podsumowania.

– Nie wiedziałem nic o moim poprzedniku, kiedy zgodziłem się przyjąć tę posadę w szkole – powiedział Berger, kiedy już mieliśmy za sobą przystawki (wspaniałe) oraz temat pogody (dalekiej od ideału) i rasistowskiej zarazy w szkole (okropnej). – Muszę jednak przyznać, że tej jesieni często o nim myślałem.

– Dlaczego w ogóle tutaj przyjechałeś? – zapytałem.

Wiedziałem, że za jego pojawieniem się u nas kryje się smutna historia, nie znałem jednak szczegółów. Berger opowiedział mi pokrótce, jak stracił żonę i córkę w katastrofie morskiej u wybrzeży Zanzibaru, oraz o tym, że naszą szkołę poleciła mu Ludmilla Kovacs, nasza pedagog szkolna, którą zna jeszcze

z czasów studenckich w Uppsali. Oczywiście złożyłem mu wyrazy współczucia i powiedziałem, że życie zachowuje się czasami niczym okrutna wiedźma.

– Daje i odbiera – odparł Berger lakonicznie. – W każdym razie przywiodła mnie tu chęć zostawienia przeszłości za sobą i rozpoczęcia wszystkiego od nowa. W pewnym sensie.

Przy okazji i ja opowiedziałem mu tak zwaną wersję skróconą mojego życia. O tym, że urodziłem się i wychowałem na imigranckich przedmieściach Sztokholmu. Że były to biedne i trudne lata. Że wyjechałem z miasta, żeby nie skończyć w kryminale. Że to paru moich dobrych nauczycieli sprawiło, że wybrałem ten zawód, czego nigdy nie pożałowałem. Że po paru debiutanckich semestrach spędzonych w Dalarnie i Värmlandzie, w K. przepracowałem już ponad dwadzieścia pięć lat. Koniec wersji skróconej.

– Nie ty jeden myślisz o Kallmannie – dodałem, żeby wrócić do tematu wieczoru. Bo właśnie z tego powodu spotkaliśmy się w restauracji: żeby porozmawiać o naszym zmarłym koledze. – Cokolwiek by o nim mówić, był postacią nietuzinkową.

– Wiem – odparł Berger. – A jeśli chodzi o to, o czym wspomniałem ostatnio, że Kallmann napisał kilka książek i że interesował się zbrodniami. Masz może jakieś dowody, że to prawda?

– Na potwierdzenie mam tylko jego słowa – przyznałem. – A po namyśle doszedłem do wniosku, że to nie najlepszy dowód. Mimo wszystko.

– Co masz na myśli?

Wyjaśniłem mu, że wobec Kallmanna żywiłem dość mieszane uczucia. Z jednej strony szanowałem go jako pedagoga i człowieka. Był bardzo niezależny, a przy tym charakteryzowało go swoiste poczucie humanistycznej sprawiedliwości. Z drugiej jednak strony miał w sobie pewną dozę mitomanii. A w każdym razie lubił wszystko zaciemniać. Przez to często było trudno

stwierdzić, czy brać go na poważnie czy nie.

Zauważyłem, że Berger uniósł brew, jakby powątpiewając. Miał do tego zresztą pełne prawo. Zdradziłem mu więc jak to się stało, że ja i Kallmann zaczęliśmy się spotykać. Opowiedziałem o historii w parku, o rasistowskim marszu, podczas którego znalazłem pobitego Kallmanna. Analogia między tamtym incydem a tym, co teraz działo się w szkole, była oczywista, przez co wymieniliśmy kilka komentarzy na ten temat.

– Czy Kallmann w jakikolwiek sposób angażował się w politykę? – zapytał Berger.

– Nie sędzę – odparłem. – Był zanadto indywidualistą, by dołączać do partii bądź ugrupowań. Choć na pewno na swój sposób był zaangażowany.

– Mówisz więc, że kilka razy spotkałeś się z nim na gruncie prywatnym?

– Tak. Zaczęło się od tego, że zająłem się nim po incydencie w parku, a potem on zaprosił mnie do siebie kilka razy. Razem cztery, jak podliczyłem. Myślę, że jestem jedyną osobą z naszego grona pedagogicznego, która przekroczyła próg jego domu.

– A mieszkał tu piętnaście lat?

– Mniej więcej. Pamiętam, że zaczął u nas pracę jesienią tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku.

– Skąd pochodził?

– Nie wiem.

Zorientowałem się, że moja odpowiedź brzmi dziwnie, była jednak prawdziwa. Nie miałem pojęcia, skąd pochodził Eugen Kallmann. Nie wiedziałem nic o tym, jak spędził pierwszych piętnaście lat życia. Pamiętam, że w maju, po jego śmierci, rozmawiałem kiedyś o tym z Verą Rönne oraz kilkorgiem innych kolegów, ale i oni nie mieli pojęcia. Nikt nie wiedział nic o wcześniejszym etapie życia Kallmanna. Kiedy zrelacjonowałem to Bergerowi, ten chyba mi nie dowierzał, co wcale mnie nie zdziwiło.

– A kto go zatrudnił? – zapytał.

Wzruszyłem ramionami.

– Najpewniej ktoś z dyrekcji. Ówczesny dyrektor... Willenius.

Berger pokiwał głową i czekał na ciąg dalszy.

– No tak, on musiał coś wiedzieć – dodałem. – Willenius to też nietuzinkowa postać, słowo daję.

Na myśl o Willeniusie nie mogłem się nie zaśmiać. Spośród wszystkich dyrektorów, jakich spotkałem w mojej karierze (choć w istocie było ich nie więcej niż sześciu), bez wątpienia to jemu należy się miejsce numer jeden. I to zarówno jeśli chodzi o zalety, jak i wady. Stary Wille, jak go nazywaliśmy za plecami, miał zadatki na starego typu kierownika – lub wręcz efektywnego i dynamicznego potentata medialnego – ale tak się złożyło, że skończył jako dyrektor szkoły podstawowej. Co zresztą nie stanowiło dla niego większego problemu. Szkoła Bergtuna była jego szkołą, koniec i kropka. Zarządzał nią według własnego uznania, co do tego nikt nie miał wątpliwości. Opisałem Willeniusa Bergerowi tak trafnie, jak umiałem, i choć jest on ode mnie o dziesięć lat młodszy, stwierdził, że zna ten typ. Skórzane meble i drogie dywany w gabinecie. Regały na książki, prawdziwe dzieła sztuki i barek. Willenius miał szczęście, że zdążył wycofać się z działalności zawodowej w połowie lat osiemdziesiątych, zanim wszelkie odmiany reprezentacji praw pracowniczych oraz inne nowomodne wymysły zdołały zakorzenić się na dobre. Nie można jednak było powiedzieć, że szkoła źle się miała pod jego rządami. Gdyby chodziło nie o szkołę, a o kraj, na miejscu byłoby niewątpliwie określenie „ojciec ojczyzny”.

– On sam zresztą tak właśnie się postrzegał – próbowałem podsumować. – Dobry ojciec, surowy, ale sprawiedliwy.

– A żyje jeszcze? – zapytał Berger.

– Tak, jak najbardziej. W doskonałym zdrowiu, tylko pozazdrościć.

Czasami można go spotkać na mieście. Na pewno kiedyś już go widziałeś, ale nie wiedziałeś, że to on. Teraz jest dobrze po siedemdziesiątce. Ale wciąż ma krzepę. Choć mogę się mylić, bo w sumie już od jakiegoś czasu go nie widziałem.

– Gdyby więc ktoś chciał się dowiedzieć czegoś o przeszłości Kallmanna, należałoby się zwrócić do starego Willego, tak? Tak na początek.

Zgodziłem się, choć mniej więcej w tym momencie naszej rozmowy – a skończyliśmy właśnie danie główne (obaj wybraliśmy smakowite *saltimbocca alla romana*) oraz pierwszą butelkę wina (równie smakowitego *valpolicella*) – zacząłem się zastanawiać, skąd u Bergmana taka fascynacja Kallmannem. Mogłem wprawdzie zrozumieć, że musiał się czymś zająć po tej bolesnej stracie, jaka dotknęła go niecały rok temu, no i jego poprzednik był bardzo tajemniczą postacią, jednak ciekawość Bergera zdawała się przekraczać pewne rozsądne granice.

– Muszę cię o coś zapytać – powiedziałem. – Dlaczego tak bardzo interesujesz się Kallmannem? Odnoszę wrażenie, że wiesz więcej, niż mi wcześniej powiedziałeś. Co się za tym kryje?

Leon Berger wahał się przez dwie sekundy. Potem schylił się i otworzył teczkę, którą przyniósł do restauracji, ściskając pod ramieniem (ponoć rączka urwała się kilka dni temu), i która teraz stała oparta o jego krzesło.

– To – powiedział, kładąc na stole kilka starych brulionów.

– Skądżeś je wytrzasnął, do jasnej cholery?

Rzadko przeklinam, ale tym razem nie mogłem się powstrzymać. Przez minutę, może dwie, szybko kartkowałem bruliony i zrozumiałem, że mam przed sobą swego rodzaju pamiętniki. Były to cztery identyczne bruliony rozmiaru A5 w czarnych okładkach. Wszystkie prawie całe zapisane, ołówkiem, bez odstępów między liniami i tylko na prawych stronach. Drobnym, trudnym do odczytania charakter pisma. Gdzieniegdzie pojawiały się daty.

– Przepraszam, że nie wspomniałem o tym od razu – ciągnął Berger po krótkiej przerwie. – Szczerze mówiąc, było mi wstyd. Nie powinno się przecież czytać cudzych pamiętników.

– Ale je przeczytałeś?

– Tak.

Przynajmniej nie próbował się tłumaczyć, co doceniłem. Stwierdziłem, że sam nie wiem, jakbym się zachował, dokonawszy takiego odkrycia. Przez chwilę siedzieliśmy, unikając spoglądania sobie w oczy. Wtedy zrozumiałem, że nadszedł moment decyzji. Że oto muszę wytyczyć pewną moralną granicę i zaakceptować lub potępić zachowanie mojego kolegi, a tym samym... jak by to powiedzieć? Odciąć tę sprawę grubą kreską czy otworzyć te drzwi? Stać się współwinnym?

Wprawdzie wtedy nie zdążyłem ubrać tego w słowa, ale z pewnością takie właśnie myśli kłębiły mi się w głowie podczas tej chwili pauzy, momentu przełomowego naszej rozmowy. Co ciekawe, mało brakowało, a o wszystkim zadecydowałaby kelnerka, która właśnie wtedy podeszła do naszego stolika i zapytała, czy chcemy zobaczyć kartę deserów.

– Proponuję, byśmy wypili jeszcze butelkę na spółkę i wzięli do tego deskę serów.

Powiedziałem to ja, nie Berger. On przytaknął, a ja uświadomiłem sobie, że w ten sposób bynajmniej nie odciąłem tej historii grubą kreską.

– Mogę pożyczyć je do domu? – zapytałem.

– Miałem nadzieję, że o to poprosisz – odparł.

Innymi słowy, kontynuowaliśmy naszą rozmowę, grając już w nieco bardziej otwarte karty. Muszę też przyznać, że ta ciekawość, za którą w myślach skrytykowałem Bergera, teraz dopadła i mnie. Z każdą chwilą przybierała na sile.

– Te pamiętniki są z okresu od stycznia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego

do grudnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku – powiedział Berger. – To mniej więcej te same lata, które Kallmann przepracował w szkole Bergtuna. Sam zobaczysz, że te zapiski są dość dziwne. Możliwe, że wszystko to fikcja. Ja nie umiem tego stwierdzić.

– Tak samo było z nim samym – zauważyłem po chwili namysłu. – Czasami miało się wrażenie, że on nie istnieje naprawdę.

– Może to swego rodzaju mieszanka – dodał Berger. – Mam na myśli te teksty. Niektóre szczegóły są prawdziwe, a niektóre wymyślone. Sam się przekonasz. Chociaż...

Zawiesił głos, nie przerywałem mu więc.

– ...właściwie to wszystko wydaje się ciekawe, jeśli pomyśleć o jego śmierci. Nie sądzisz? Bo przecież nie brak w tej sprawie wątpliwości?

Wypiłem łyk wina i przyznałem, że mam w tej kwestii takie samo zdanie. Następnie przedstawiłem mu pokrótce moją opinię na temat policyjnego śledztwa oraz inspektora Marklunda. Wspomniałem, że był on przed laty moim uczniem, bynajmniej nie wybitnym. Berger kiwał tylko głową, odniosłem wrażenie, że słyszał już skądinąd o marnie przeprowadzonym dochodzeniu. Pewnie mówili mu o tym inni nauczyciele.

– Jeśli chodzi o zainteresowanie Kallmanna kryminologią i dawnymi zbrodniami – zapytałem – czy znajduje ono swoje potwierdzenie w pamiętnikach? Pamiętam, że kiedy spotkałem go po raz ostatni, twierdził, że jest zajęty... jak on to określił?... Niewyjaśnionym i niewykrytym zabójstwem? Chyba tak właśnie powiedział. Czy pisał coś o tym?

Berger myślał przez dłuższą chwilę.

– W pewnym sensie – odparł w końcu. – Na pewno sugeruje, że w K. żyje osoba, która według niego jest zabójcą. Ten wątek jest jednak bardzo dziwny i tajemniczy. Kiedy rozmawialiście po raz ostatni?

– W maju. Zaledwie tydzień przed jego śmiercią.

– Ostatnie zapiski są z grudnia zeszłego roku.

– Nie pisał nic przez całą wiosnę?

– Nie wiem – odpowiedział Berger. – Możliwe, że tak, ale tam, gdzie znalazłem bruliony, nie było już nic więcej.

Postukał knykciami w leżące pośrodku stołu bruliony.

– Czy myślisz, że zaczął zapisywać kolejny zeszyt w styczniu? – zapytałem.

– I że... przechowywał go gdzie indziej?

Berger pokiwał głową.

– Tak, tak właśnie sędzę. W ogóle nie rozumiem, dlaczego te bruliony trzymał w szkole. O wiele naturalniej byłoby mieć coś takiego w domu. Jeśli więc prowadził jakieś zapiski wiosną, to pewnie znajdują się w jego mieszkaniu, prawda?

– Zapewne – zgodziłem się. – Może zrobmy tak, że najpierw przejrzę te zeszyty i zobaczę, czy coś mi przyjdzie do głowy. Nie masz nic przeciwko? Będę potrzebował mniej więcej tygodnia.

– Nie ma sprawy – zgodził się Berger. – Fakt, że to ja znalazłem bruliony, nie czyni mnie ich właścicielem. Powinieneś jednak wiedzieć o jeszcze jednym. Nie tylko ja je czytałem. Udostępniłem je też Ludmille Kovacs. Znamy się od lat, a ja musiałem o tym z kimś porozmawiać.

Zapewniłem go, że mam jak najlepsze zdanie o naszej pedagog szkolnej, poza tym co trzy głowy to nie dwie, dodałem.

Teraz więc siedzę nad pamiętnikami Eugena Kallmanna z drugą filiżanką kawy i drugim kieliszkiem koniaku. Jest już po północy. Zważywszy na to, że jestem trochę pijany, powinienem chyba poczekać z lekturą do jutra, ale rzecz jasna taki argument brzmi zbyt nudno i sztywno, by mnie powstrzymać.

Miałem zamiar pójść pobiegać jutro wcześniej rano. Z całą pewnością jednak zaniecham tego planu.

Ludmilla

Kolejna myśl, którą wyciągnęłam z literatury, jest taka, że różne zdarzenia łączy magnetyzm.

Oczywiście refleksja ta dotyczy znanych każdemu długich okresów w życiu, kiedy to nie dzieje się nic, co mogłoby jakoś zmienić szarą codzienność. To znaczy człowiekowi wydaje się, że nic takiego się nie dzieje. I wtedy przytrafia się jedna rzecz, zaraz potem kolejna, trzecia i nagle człowiek znajduje się w ciągu zdarzeń.

Myślałam o tym, jeszcze zanim natknęłam się na to stwierdzenie w jakiejś książce. Obiema rękami mogę się podpisać pod tą hipotezę. Wystarczy, że cofnę się pamięcią o kilka miesięcy do początku jesieni, a już będę mogła stwierdzić, że to prawda. A może do początku maja, kiedy to Kallmann zmarł, a ja spotkałam Leona na przyjęciu. W pewnym sensie to tam wszystko się zaczęło. Nie twierdzę, że ostatnie lata upłynęły mi w totalnym bezruchu, ale wszystko kręciło się wokół... cóż, wspomnianej już szarej codzienności. Ten okres był niczym odcinek trasy. Ja, Klas i dzieci. Praca. Wyjazdy na urlop. Od czasu do czasu weekendowe spotkanie ze znajomymi. Kiedy patrzę w przeszłość, mam wrażenie, że ostatnie trzy, cztery lata zlewają się w zmontowany z rapsodycznych fragmentów film przypominający ruchomą, niezbyt ciekawą widokówkę. Można by go odtworzyć w krócej niż pół minuty.

I oto do K. sprowadza się Leon, a ja już po dwóch tygodniach zaczynam z nim romans. Mimo że do tej pory przespaliśmy się ze sobą tylko raz, wiem, że to poważna sprawa. Poza tym zaczęliśmy się interesować sprawą Eugena Kallmanna, kiedy Leon znalazł te przeklęte pamiętniki. Do mojego gabinetu zawitała Andrea Wester, której słowa tylko dolały oliwy do ognia. Co kombinuje Charlie Mattis? Na dodatek samorząd uczniowski chce postawić na dziedzińcu popiersie Kallmanna! Równocześnie w szkole doszło do kilku nieprzyjemnych zdarzeń o podłożu rasistowskim lub nazistowskim. Ma się wrażenie, że wszystko eskaluje, zmierzając w jedną stronę. A może w kilka różnych stron, trudno się w tym jednak połapać.

Ciężko mi oddzielić życie prywatne od tego, co dzieje się wokół. Bo nawet jeśli trzeba wytyczyć taką granicę, to w tak małym mieście jak K. jest ona cieńsza i łatwiejsza do przekroczenia. Człowiek jest częścią całości w inny sposób niż w dużym mieście. W takiej małej dziurze nie da się być równie samym jak, dajmy na to, w Berlinie.

Tak jest, choć na przykład taki Kallmann stanowił wyjątek od tej reguły.

W każdym razie Klas oznajmił mi, że dziś wieczorem musimy porozmawiać.

Okazuje się, że ma romans z inną. Już od pół roku. Zapytałam, czy z tą zdzirą Carolą, ale okazało się, że nie z nią. To jakaś młoda, w której Klas ponoć jest zakochany. Nazywa się Sara i jest dziesięć lat młodsza od niego (trzyście ode mnie), jednak w obliczu prawdziwej miłości wiek nie gra roli. Sara pracuje w siłowni, do której Klas chodzi dwa lub trzy razy w tygodniu. Jak się zastanowić, to zdarzało się, że bywał tam i po cztery, pięć razy.

Przyjęłam to zupełnie na chłodno. Nie powiedziałam nic o Leonie, zapytałam tylko, czy chciałby się rozwieść.

Tak, chciałby.

Dobrze, powiedziałam. Ale to on będzie musiał się wyprowadzić. Opieką

nad dziećmi się podzielimy, tydzień on, tydzień ja.

Klasa nagle oblał zimny pot. Siedzieliśmy przy kuchennym stole, gapiąc się na siebie w milczeniu. Po chwili zapytałam, jak według niego powinniśmy o tym powiedzieć Månsowi i Erikowi. Klas zasugerował, że może najpierw sami powinniśmy jeszcze o tym porozmawiać. Odparłam, że według mnie nie ma już za bardzo o czym dyskutować. Kocha inną, zdradził mnie i chce się rozwieść. Świetnie, jeśli chce coś jeszcze dodać, to proszę bardzo.

Klas poszedł na noc do pokoju gościnnego, ja zajęłam swoje pełnoprawne miejsce w sypialni.

A dziś rano Erika w drodze do szkoły, na przejściu dla pieszych, potrącił samochód.

Jestem w szpitalu już od czterech godzin. Klas też, choć usiedliśmy osobno. Erik przeszedł operację. Miał złamaną rękę i nogę, na szczęście niezbyt groźnie. Wkrótce ma się obudzić z narkozy, a wtedy jego rodzice, którzy właśnie postanowili się rozwieść, usiądą przy nim, każde na osobnym brzegu łóżka.

Mały ma sporo pomniejszych obrażeń, ale wyliże się. Ma zaledwie osiem lat i wszystko goi się na nim jak na psie. Klas wszedł właśnie do poczekalni, w której siedzę na zielonym plastikowym krześle i przeglądam jakiś magazyn z lata. Widzę, że płakał.

Ja też płakałam. Przez pół nocy, ale od rana jestem w szoku.

– Mówią, że możemy do niego wejść – powiedział Klas.

Nie wiem dlaczego, ale po tym, jak wróciliśmy do K. i zjedliśmy obiad – pizzę na wynos dla trojga – zadzwoniłam do Leona i oznajmiłam, że muszę się z nim spotkać. Tylko tyle. Klasowi powiedziałam, że wezmę samochód i pojedę z powrotem do szpitala. Zgodzili się, by jedno z nas nocowało z Erikiem, a my ustaliliśmy, że ja będę mieć dyżur pierwszej nocy. Erik

zostanie tam przecież kilka dni.

Zaznaczyłam jednak Klasowi, że będę wdzięczna, jeśli nie skorzysta z okazji, by zaprosić do domu tę młodą pańnię z siłowni, jak jej tam było?

Popatrzył na mnie tak, że nie wiem, czy znów miał ochotę się rozplakać, czy raczej przeklinał mnie w myślach. Może i jedno, i drugie, ale zagryzł jedynie wargi i nic nie powiedział.

Ja sama rozryczałam się, kiedy tylko Leon otworzył drzwi. Miałam wrażenie, że wszystko we mnie puściło, nagle wróciło wspomnienie z dzieciństwa: kiedy miałam jedenaście lat, zginął mój pies Rufus. Jego też przejechał samochód.

W ramionach Leona czułam się naprawdę jak zrozpaczona dziewczynka. Obejmował mnie mocno, żebym nie runęła na podłogę. Nie wiem, czy on też czuł tę rozciągającą się pode mną przepaść. Nie miałam jednak zamiaru przekonywać go do tej myśli. Nie dałabym rady, po prostu stałam tam i płakałam – to znaczy wisiałam na nim i beczałam – i dopiero kiedy wydmuchałam nos i przemyłam twarz w łazience, a potem usiadłam otulona kocem na fotelu Leona, opowiedziałam, co się stało.

Zaczęłam od wczorajszego wieczoru.

– Ludmilla, chyba jesteś w szoku – powiedział Leon, kiedy już skończyłam, a on zrozumiał sytuację.

– Tak sędzę – przytaknęłam. – Cholera.

– Po kolei.

– Dobrze.

Wypiłam łyk wina, które przede mną postawił, ale potem odstawiłam kieliszek. W końcu zaraz miałam jechać do szpitala. Było wpół do siódmej, wyjaśniłam więc Leonowi, że za kwadrans muszę wyjść.

– Chcesz, żebym cię zawiózł?

Oczywiście, właśnie tego chciałam. Jak jednak miałby wrócić do K., jeśli

pojedziemy moim samochodem? Bądź co bądź jutro jest dzień pracy. Dla Leona, bo ja zadzwoniłam do szkoły i opowiedziałam Fröbergowi o wszystkim.

To znaczy o Eriku, nie o moim związku. Mam jutro wolne, wrócę dopiero w czwartek, wtedy Erikiem zajmie się Klas.

– Nie możesz jechać – powiedziałam do Leona. – Przecież musisz być tu jutro. Ja przenocuję w szpitalu i zostanę tam do popołudnia.

– A dziś wieczorem nie będzie już autobusu? – zapytał Leon.

– No przecież nie będziesz jeździł autobusem. Zapomnij.

Jednak Leon się nie poddał. Sprawdził i okazało się, że w dni powszednie ostatni autobus z Ö. do K. odjeżdża o dwudziestej drugiej.

– Chodź, jedziemy – powiedział. – Pogadamy w samochodzie.

Nie miałam siły protestować.

Zanim wyjechaliśmy z miasta, zdążyłam go przeprosić.

– Nie ma za co przepraszać.

– Owszem – odparłam. – Jestem teraz cholernie skupiona na sobie.

– Od czasu do czasu można sobie na to pozwolić – stwierdził Leon. – Całymi dniami zajmujesz się innymi. Teraz ty potrzebujesz opieki.

– Jest, jak jest. Mój związek legł w gruzach, a mój syn miał wypadek. Jednak moje małżeństwo i tak było spisane na straty, a Erik z tego wyjdzie. Sytuacja nie jest więc taka straszna. To, co spotkało ciebie, było o wiele gorsze.

– Zapewne – odparł Leon, kładąc rękę na moim kolanie. – Po co jednak to porównywać?

– Wiem. – Nagle poczułam się całkiem bezpieczna. Jestem jak chorągiewka na wietrze, ale doprawdy ulgą było dla mnie siedzieć w samochodzie obok Leona Bergera i przez pół godziny jechać z nim przez listopadowe ciemności do szpitala, w którym leżał mój syn, będąc przy tym wyjętą z czasoprzestrzeni.

Ni z tego, ni z owego przyszło mi do głowy, że chciałabym wyruszyć w jakąś podróż z Leonem.

Daleką. Nie tylko te cztery mile do Ö.

– Jest jedna rzecz, o którą chciałam zapytać – powiedziałam.

– Tak?

– Z zupełnie innej beczki.

– Rozumiem.

Odchrząknęłam i odsunęłam jego rękę od swojej.

– Andrea Wester.

– Co Andrea Wester?

– W zeszłym tygodniu spędziła u mnie godzinę.

– Tak?

– Chodzi do ciebie na szwedzki. Bystra z niej dziewczyna, co?

– Zgadza się. Ach, rozumiem... Chciała ci coś powiedzieć o Kallmannie?

– Owszem. Ale nie to mnie zajmuje. W zasadzie chodzi o ciebie.

– O mnie?

– Tak. Andrea twierdzi, że gapisz się na nią podczas lekcji.

Nie mogę powiedzieć, że omal się nie rozbiliśmy (to tak à propos magnetyzmu wydarzeń), ale solidnie nami rzuciło, a Leon wydał z siebie dźwięk, jakby... cóż, niemal jakby ktoś go postrzelił. Nie umiem znaleźć lepszego porównania.

– Co, do cholery? – stęknął, kiedy już udało mu się odzyskać kontrolę nad wozem. – Twierdzi, że się na nią gapię?

– Tak. Ona sama użyła tego słowa, niestety.

Leon zacisnął ręce na kierownicy i przez kilka sekund milczał. Pomyślałam, że teraz ważą się losy naszej relacji. Za chwilę z oczu spadnie mi zasłona. Resztę życia spędzę samotnie.

– To niedorzeczne – odparł w końcu. – Możliwe jednak, że ma rację.

Teraz to ja zaczęłam się gapić na Leona.

– Czyli gapiłeś się na nią? Przyznajesz się? Muszę naprawdę...

Przerwał mi, unosząc dłoń.

– Poczekaj! Stój! Nie wiem, co sobie myślisz. Ludmilla, na litość boską, chyba nie sądzisz, że...?

– Nie sądzę, że co?

Leon nieco się przygarbił za kierownicą i zaśmiał się beznamiętnie. Ponuro jak wisielec.

– To Judith – powiedział.

– Judith?

– Tak. Andrea tak bardzo przypomina moją zmarłą córkę, że to przechodzi ludzkie pojęcie.

Dobry Boże, pomyślałam sobie, ale się nie odezwałam.

– Czy to dlatego? – zapytał Leon, gwałtownie odwracając głowę w moją stronę. – Czy to dlatego mnie unikałaś? Do licha, Ludmilla, jeśli choć przez chwilę wyobrażałaś sobie, że...

– Wybacz – powiedziałam. – Skąd jednak miałam wiedzieć? Mogłeś...

– Tak? Mogłem co?

– Mogłeś powiedzieć.

Przed nami pojawił się przydrożny parking. Leon na niego zjechał.

– Pięć minut – powiedział. – Myślę, że wystarczy nam pięć minut. Pokażę ci też zdjęcie Judith.

Okazało się, że potrzebowaliśmy nieco więcej czasu. Nie miałam jednak nic przeciwko temu. Kiedy wyruszyliśmy w dalszą drogę do szpitala w Ö., odniosłam wrażenie, że coś między nami puściło. Leon delikatnie zapytał, czy ja i Klas omówiliśmy już jakieś praktyczne możliwości rozwiązania naszej sytuacji. Powiedziałam więc, zgodnie z prawdą, że mój mąż ma się wyprowadzić, kiedy będzie mógł. Im szybciej, tym lepiej. Jednak ze względu na okoliczności nie mówiliśmy jeszcze o tym dzieciom.

– Jak się z tym czujesz? – zapytał Leon. – Pomijając to, co spotkało Erika... O ile w ogóle da się to pominąć.

– Owszem. Da się. Mówiłam ci, Erik z tego wyjdzie. A ja czuję, że rozstanie będzie całkiem rozsądnym krokiem. Kocham dzieci, ale od dawna już nie kocham męża. Teraz zrozumiałam, że można się było spodziewać takiego finału, zresztą między mną i tobą nie byłoby tak, jak jest, gdybym nie miała ku temu powodów... pewnie sam rozumiesz.

– Tak, rozumiem. Nie będę zresztą udawał, że mnie to nie cieszy... na swój sposób. Ale Klas nie wie, że ty i ja...?

– Nie – odparłam. – Nie dam mu tej satysfakcji.

– I dobrze – odpowiedział Leon. – Nieźle pomyślane.

Przez kilka następnych kilometrów siedzieliśmy w ciszy. W końcu Leon się odezwał.

– A tak z innej beczki, dowiedziałem się sporo o Eugenie Kallmannie, ale może zaczekamy z tym kilka dni.

– Może chociaż coś napomkniesz? – zapytałam.

Przez chwilę Leon się wahał, ale potem skinął głową.

– No dobrze, otóż rozmawiałem z Igorem Masslindem. Znał Kallmanna trochę lepiej. Opowiem ci, jeśli ty powiesz, co mówiła Andrea.

– Umowa stoi – odparłam. – Podejrzewam, że będę teraz miała trochę wolnych wieczorów.

Dojechaliśmy do szpitala rejonowego w Ö. Zauważyłam, że lekko się uśmiecham, i to mimo wszystkich tych przeklętych problemów.

30

Leon

Zapada zmrok, a potem nieco się rozjaśnia.

Teraz, pod koniec listopada, słońca prawie w ogóle nie ma. Kilka dni temu pojawiły się pierwsze porządne opady śniegu. Padało ponad dobę... Uzbierało się pół metra puchu, ludzie twierdzą, że gruba warstwa śniegu powinna się utrzymać przez co najmniej cztery miesiące, w przeciwnym razie nie można mówić o prawdziwej zimie.

Nie zdążyłem zajrzeć do Ronniego, by kupić rower, do czego namawiał mnie Igor. Teraz muszę poczekać do wiosny. Nadal chodzę do szkoły na piechotę, w jedną stronę zajmuje mi to dwadzieścia minut. Przy zimowych warunkach na drodze – dwadzieścia pięć. W zasadzie to jedyna aktywność fizyczna, jaką uprawiam. Może powinienem kupić sobie biegówki. Ludmilla twierdzi, że którejś niedzieli moglibyśmy wybrać się do Blåbergi i przejechać ze dwadzieścia, trzydzieści kilometrów. To właśnie tam dawno, dawno temu mieliśmy bieg na orientację.

Ludmilla naprawdę się rozwiedzie. Klamka zapadła, choć przez kilka dni po tym, jak mi o wszystkim powiedziała, niepokoiłem się, że może się rozmyślić. Ale w jej rodzinie widać nie ma miejsca na niezdecydowanie, w jednej sekundzie podejmują decyzję, w drugiej wcielają ją w życie. Jej syn, Erik, jest już w domu, a Klas, o ile zrozumiałem, ma się wyprowadzić przed

Bożym Narodzeniem. Przenosi się do mieszkania, w którym rezyduje jego kochanka oraz trenerka w jednej osobie. Boże, pobłogosław im, myślę sobie, i to całkiem szczerze.

Wiem, że nieco upraszczam sprawę, ale nie ma co komplikować, każdy dzień i tak przynosi dość zmartwień.

O ile śnieg oraz Ludmilla uosabiają dla mnie światło, o tyle szkoła ciemność. Złowieszczy nastrój oraz niepokój, które panowały przez całą jesień, nasiliły się wraz z upływem semestru. Nikt nie czuje się tam dobrze, ani uczniowie, ani nauczyciele. Winą za to można obarczyć przede wszystkim skinów oraz Patrol Porządkowy, o ile faktycznie chodzi tu o dwie osobne, choć wywodzące się z tej samej dziwacznej ideologii grupy. Może współpracują ze sobą, kto wie? Igor w zaufaniu opowiedział mi o pełnym jadu liście w szafce Ivana Kardasjana, zatem łącznie z wiadomościami do Very Rönne Patrol ma na swoim sumieniu cztery sprawy. Przynajmniej, bo rzecz jasna może być ich więcej. Może niektórzy wolą udawać, że nic się nie stało, niż przyznać się, że padli ofiarą. Zwłaszcza teraz, kiedy nie można znaleźć winnego. Nikt nie jest bezpieczny.

W sprawie Yilmaza Budaka i Moammara Kavaliego też nie zidentyfikowano sprawców, co jest doprawdy godne pożałowania. Większość osób sądzi, że Moammar doskonale widział, kto go związał w toalecie przy sali gimnastycznej, i to mimo że napastnicy mieli kominiarki, a cała akcja została przeprowadzona w milczeniu. On jednak woli trzymać to w tajemnicy. Któregoś dnia odbyłem na ten temat poważną rozmowę z Hansem-Ivarem Möllerem. Uważa, że istnieje ogromne ryzyko, iż nasi uczniowie o imigranckim pochodzeniu wezmą sprawy w swoje ręce. Że wybiorą sobie jednego ze skinów i spuszczą mu takie bęcki, że popamięta na zawsze.

– I kto by ich winił? – zapytał retorycznie Hans-Ivar Möller. – Takie zamieszki na tle rasowym w naszej szkole, to byłoby jednak straszne. W jakich

czasach przyszło nam żyć?

Oczywiście się z nim zgodziłem. Siedzieliśmy akurat w naszym gabinecie, bo obaj mieliśmy okienko. A kiedy tak rozprawialiśmy zmęczeni o niemiłej atmosferze w szkole oraz wszystkich wrogich postawach, przydarzyło się coś dziwnego. Otóż mój kolega zaczął segregować długopisy (na działające oraz wypisane), które trzyma w niewielkiej glinianej doniczce na biurku. To chyba wyrób jakiegoś ucznia, a może ulepiło ją któreś z jego dzieci. Kiedy odwrócił doniczkę do góry nogami, na blat biurka wypadł z niej klucz.

– Niech mnie – powiedział. – Na śmierć o nim zapomniałem.

Zapytałem oczywiście, co to za klucz, a Hans-Ivar wyjaśnił, że to Eugena Kallmanna.

– Dał mi go wiele lat temu. Stwierdził, że dobrze mieć gdzieś zapasowy. Naturalnie mógł go trzymać w swoim biurku, ale jak wiesz, był z niego dziwak.

– Czyli to klucz do jego domu?

– Zakładam, że tak. Bo do czego innego? Powinienem oczywiście komuś go oddać, ale zupełnie wypadło mi to z głowy. Komu zresztą miałbym go przekazać?

Powiedziałem, że nie mam pojęcia, a Hans-Ivar wzruszył tylko ramionami, po czym wrzucił klucz wraz z działającymi długopisami z powrotem do doniczki. Więcej o tym nie rozmawialiśmy.

W mojej głowie jednak zakiełkowało ziarno (choć trudno się do tego przyznać).

Ludmilla i ja postanowiliśmy przez jakiś czas nie ujawniać się z naszą relacją i nie spotykać się w miejscach publicznych, dopóki sytuacja po jej rozwodzie z Klasem nieco się nie uspokoi. Uznaliśmy, że tak będzie lepiej choćby ze względu na jej synów. Wprawdzie w dzisiejszych czasach wiele dzieci ma rozwiedzionych rodziców, zwłaszcza w krajach zachodnich, ale mimo

wszystko to trauma. Mimowolnie zastanawiam się, jak by było ze mną, Heleną i Judith, gdyby nie stało się to, co się stało. Prywatna historia alternatywna. Czy w tamtych okolicznościach nadal bylibyśmy rodziną? Czy też ja musiałbym opuścić nasze mieszkanie i teraz wynajmowałbym dwa pokoje na Starym Mieście? Lub może na Lidingö ze względu na miejsce pracy?

Te myśli jednak za bardzo mnie nie zaprzatają, bo nawet jeśli moje życie tutaj w K. w dużym stopniu przypomina dmuchaną bańkę czy też ośrodek rekonwalescencji lub zakład pracy chronionej, to właśnie tu wylądowałem i tyle. Moje znikome poczucie przynależności niezaprzeczalnie wiąże się całkowicie z Ludmillą. I co z tego? – myślę. Czy i z tego powodu powinienem czuć się winny?

Dlatego, że w ogóle żyję? Cholera wie.

Przed południem odbyłem rozmowę z Andreą Wester. Wygląda na to, że odgrywa ona jakąś rolę w sprawie Kallmanna – z jednej strony wskazują na to dziwne rozmowy Charliego Mattisa, z drugiej zaś fakt, że jej nazwisko jest wymienione w dziennikach. Trudno mi uwierzyć, że Kallmannowi mogło chodzić o kogoś innego, kiedy pisał, że stanęła na jego drodze niczym „przypomnienie, stanęła na mojej drodze niczym dyskretny, ale rzucający wyzwanie posłaniec”. Co miały znaczyć te słowa, to już osobna sprawa.

Nie rozmawiałem z nią jednak o Kallmannie. Andrea zgodziła się, by Ludmilla powiedziała mi o tym, że się „gapię”, i w ten sposób mogliśmy jakoś rozwiązać tę sprawę. Spotkaliśmy się na chwilę w gabinecie Ludmilly, tylko we dwoje, a ja wyjaśniłem Andrei, o co chodzi, i prosiłem ją o wybaczenie. Pokazałem jej zdjęcie Judith. Widziałem, że była mocno zaskoczona.

– O kurde! To przecież ja... to znaczy...

Pokiwałem głową.

– Ale ona nie...

– Nie żyje. Jej ciała nie odnaleziono, ale nie ma już żadnej nadziei. Miała

piętnaście lat, tyle co ty teraz. To znaczy, była o rok starsza, bo utonęła zeszłej zimy.

– Przykro mi.

– Nie musi ci być przykro. Powinienem był ci opowiedzieć o waszym podobieństwie wcześniej.

Przez chwilę Andrea siedziała cicho, mrugając, bo z oczu pociekło jej kilka łez.

– To musi być... strasznie trudne. Zarówno pana żona, jak i córka. Opowiadał pan nam o tym na pierwszej lekcji, ale... och, nie wiem, co powiedzieć. Głosu w każdym razie nie mam takiego samego jak ona, prawda?

– Nie, ale bardzo podobny.

– Dziękuję – powiedziała. – Dobrze, że pan ze mną o tym porozmawiał. Cieszę się, że pani Ludmilla poruszyła z panem tę kwestię.

– Obiecuję, że już nie będę się na ciebie gapić.

– Jeśli trochę będzie pan na mnie patrzeć, nic nie szkodzi. – Zaśmiała się. – Jak się nazywała ta sztuka Szekspira, o której pan opowiadał? *Wiele hałasu o nic?*

– Właśnie tak – potwierdziłem. – Wstawię ci za to plusa.

– Dziękuję, jest pan bardzo miły.

Powiedziawszy to, wstała, uściskała mnie i pobiegła na lekcję matematyki. Przez chwilę uwierzyłem, że wszystko naprawdę idzie ku dobremu.

Nie umiem jednak rozgryźć Matsa Wingera z 8D, który w swoim wypracowaniu użył nazwiska Boris Yann. Kiedy wziąłem go na stronę i zapytałem, skąd wziął ten pomysł, najpierw nie chciał odpowiedzieć, zupełnie jakbym oskarżył go o coś haniebnego. Powiedziałem, że to nic ważnego, że po prostu mnie to zaciekało, na co Mats odparł, że zwyczajnie uznał, że to nazwisko brzmi super. Może gdzieś je przeczytał i dlatego je wykorzystał, ale to przecież nie jest zabronione?

Absolutnie nie, odparłem. Przyznałem, że i według mnie to rzeczywiście wyjątkowe nazwisko. Zapytałem, czy naprawdę nie pamięta, gdzie się na nie natknął.

W tym momencie zauważyłem, że się zawahał. Tak mi się przynajmniej zdaje. Przez ułamek sekundy, potem znów pokręcił głową i oznajmił, że nie wie. Chyba wyglądał na nieco wystraszonego, ale oczywiście nie mogłem go dalej naciskać. Dorzuciłem tylko żartobliwym tonem, że może śmiało dać mi znać, jeśli sobie przypomni. Potem odprawiłem go, przyjaźnie klepiąc w ramię.

Wtedy też zacząłem się zastanawiać, skąd Ludmilla знаła to nazwisko oraz w ogóle treść testamentu Kallmanna. Mało prawdopodobne, żeby podano ją do wiadomości publicznej. Zapytałem ją o to tego samego popołudnia, którego rozmawiałem z Matsem Wingerem. Wyjaśniła mi, że K. to dziura, w której wszyscy się znają. O ile jeszcze sam tego nie zauważyłem. W przypadku testamentu Kallmanna było akurat tak, że jej mąż (były) był dobrym przyjacielem prawnika, który zajmował się dokumentem. Chodzili do jednej klasy w liceum, przez kilka lat grali razem w nogę, a Ludmilla siedziała obok niego na jakiejś imprezie na początku lata, miesiąc po śmierci Kallmanna.

– A tajemnica zawodowa? – zdziwiłem się.

Ludmilla się zaśmiała.

– Tajemnica tajemnicą, ale on chyba wlał w siebie wtedy ze trzy litry wina.

Odparłem, że w takim razie wszystko już rozumiem i że sam miałbym ochotę się z nią napić.

– Po trzech litrach wina marny będzie z ciebie kochanek – stwierdziła, po czym rozejrzała się po pomieszczeniu xero, w którym akurat staliśmy, i szybko pocałowała mnie w usta.

– Możemy chyba rozpić tę ilość po połowie? – zaproponowałem.

Zanim jednak będziemy mogli sobie na tyle pozwolić, musimy jeszcze przez

jakiś czas się kryć. Nie mam nic przeciwko temu, nic a nic. Jeden z moich ulubionych autorów, Werner Klimke młodszy, pisał, że ten, kto żyje, wyczekując, znajduje się w najszcześniejszym ze stanów. Nie trzeba być nastolatkiem, by zrozumieć, o co mu chodzi. Wyglądanie czegoś, choćby czegoś niesprecyzowanego i nieuchwytnego, jest w istocie zaprzeczeniem, antytezą żalu. I nie musi wcale chodzić o zakochanie. Choć im bardziej pozwalam sobie na luz i dystans, tym bardziej widzę, że trudno o inne określenie mojej obecnej kondycji. Zakochanie. Człowiek tęskni za kobietą, po prostu, a w chwilach optymizmu wydaje mu (mnie) się, że i kobieta tęskni za nim.

Cóż jednak z tego, skoro w szkole nadszedł dzień zebrania rodzicielskiego, sztuki, która niewiele ma wspólnego ze stanem zakochania. Godzinę temu zadzwonił jednak Igor i zapytał, czy po wywiadówkach nie moglibyśmy się na krótko spotkać we trójkę z Ludmillą i przedyskutować kilka spraw. Powiedział, że przestudiował dzienniki Kallmanna, wszystkie cztery, od deski do deski. Zajął mu to kilka ładnych wieczorów i, jak stwierdził, była to najdziwniejsza lektura, jaką kiedykolwiek miał w rękach. Niedorzeczne byłoby więc nie połączyć się i nie zastanowić się nad tym razem.

Nie miałem, rzecz jasna, nic przeciwko. Ludmilla również nie, jak oznajmił Igor, który zdążył już ją wtajemniczyć w swój plan.

– Dobrze więc – powiedziałem.

– Świetnie. Usiądziemy sobie gdzieś po tym nieszczęsnym zebraniu. Wezmę butelkę porto.

Wybrać światło czy ciemności, oto jest pytanie.

Andrea

Dziś 2 grudnia. Wieczorem wywiadówka, a jutro można spać do południa, bo w szkole naprawiają system ogrzewania i jest jakaś inspekcja BHP. Było o tym wiadomo już od dawna, dlatego też koncert lokalnych zespołów ma się odbyć w Mymlan. Mimo że to tylko powszedni niemiły wieczór na początku długiej zimy.

Mymlan to świetlica przy głównym rynku naszej dzielnicy. Przestała działać już dawno temu, ale lokal wciąż stoi niewynajęty, więc od czasu do czasu coś się w niej odbywa. Jak na przykład dziś wieczorem. Zagra pięć zespołów, zacznie się o szóstej, skończy o jedenastej. Ja i Emma postanowiłyśmy pójść i zobaczyć, co się tam będzie działo. Bynajmniej nie dlatego, że sądzimy, że muzyka przypadnie nam do gustu, po prostu w K. nie jest łatwo o jakiegokolwiek wydarzenia organizowane z myślą o młodych. Poza wydarzeniami sportowymi. Jeśli ktoś nie przepada za sportem, a dorasta w naszym mieście, to równie dobrze może zapomnieć o okresie nastoletnim albo pójść do klasztoru, tak to w każdym razie widzi Emma. A ona wie, co mówi, bo nie potrafi utrzymać równowagi na nartach nawet na płaskim jak stół terenie, a kiedy rzuci się jej piłkę, to przyjmuje ją na twarz.

Muzykę dolatującą z Mymlan słyszałyśmy już, kiedy o wpół do siódmej przecinałyśmy rynek. Brzmiała, jakby ktoś próbował dostać się do sejfu za

pomocą piły mechanicznej. Domyśliłyśmy się, że to Dead Rabbits Don't Talk zaczęli grać – czteroosobowa kapela z 9A. Grają ze sobą od siódmej klasy i stawiają jedynie na decybele, bo jakimś cudem nie pojęli jeszcze, jak mogą brzmieć dwie gitary i perkusja. Wokalista nazywa się Nicke Öhman, głosu nie ma, za to potrafi kwiczeć głośniejsze niż osioł. Jest zresztą starszym przyrodnim bratem Axela Dupka z naszej klasy. Chyba nie zdał raz lub dwa w podstawówce, to dlatego jeszcze nie skończył gimnazjum.

Kiedy weszłyśmy do lokalu, muzyka stała się jeszcze bardziej nieznośna. Zobaczyłyśmy, że wszyscy przybyli, jakieś pięćdziesiąt osób, wolą stać nie na sali, a w bufecie, oszczędzając w ten sposób bębni w uszach. Choć i tu nie słysząc, co kto mówi. Emma i ja westchnęłyśmy tylko, po czym usiadłyśmy przy stoliku zajętym już przez Ivana Kardasjana, Cattis i Wilmę z naszej klasy. Dziwnie tak siedzieć i się na siebie gapić, ale na szczęście po kilku minutach martwe króliki skończyły grać, więc przynajmniej mogliśmy powiedzieć sobie „cześć” i „jak leci” oraz „ci idioci powinni grać w leśnej głuszy, nie tu”. Potem zauważyłam, że Wilma trzyma Ivana za rękę i od razu popsuł mi się humor. Dlaczego? – można by się zastanowić. Czy chciałabym być z Ivanem? Jeśli tak, to czemu nic z tym nie zrobiłam? Tak czy inaczej, nie podoba mi się, że ta stuknięta Wilma może z nim być. Ivan zasługuje na więcej, nie ma co do tego wątpliwości. W pewnym momencie zorientowałam się, że się na nich bezpardonowo gapię, na mnie zaś w taki sam sposób gapiła się Emma. Jak zwykle zorientowała się od razu, co jest grane, i bez pytania ściągnęła mnie z krzesła. Pół minuty później stałyśmy na zewnątrz, na rynku.

– Więc to tak? – powiedziała Emma.

– O czym ty mówisz?

– O Ivanie. I Wilmie.

– Tak?

– Wkurza cię to.

– Wilma to głupia gęś.

– Ale ładniutka. A chłopaki przepadają za ładnymi gąskami. Nie miałam pojęcia, że ty...

– Ej no, halo – przerwałam jej. – Nic mnie to nie obchodzi.

– Widzę przecież, że obchodzi.

– Daj spokój. Bredzisz.

– Nie jestem przecież ślepa.

Właśnie w tym momencie naszej błyskotliwej wymiany zdań dostrzegłyśmy Charliego Mattisa. Szedł przez rynek i najwidoczniej kierował swoje kroki do wejścia świetlicy Mymłan.

– To dopiero – powiedziałam ja.

– Niech mnie kule biją – dodała Emma.

Emma lubi powiedzonka, które wychodzą lub już wyszły z mody. „Umarł w butach”, potrafi czasami rzucić. Albo „na amen kwaterka”. Nie mam pojęcia, skąd je bierze, ale na pewno nie z Argentyny.

W każdym razie wizyta Charliego w Mymłan to prawdziwa sensacja. I to na koncercie rockowym. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło. Młody pan geniusz ma inne rozrywki niż jego rówieśnicy. Zamiast chodzić do klubów i do kina, rozwiązuje problemy szachowe i uczy się reguł francuskiej wymowy. Ja i Emma szybko zapomnieliśmy o naszej sprzeczce o Ivana i Wilnę i pospieszyliśmy za Charliem. Wygląda na to, że agencja detektywistyczna Branagan&Decantines niespodziewanie wznowiła działalność.

Jak opisać to, co stało się później? Mimo że ja i Emma widziałyśmy to na własne oczy, a wraz z nami wiele innych osób, i tak zastanawiam się, czy to naprawdę potoczyło się w taki sposób. Wszystko działo się wręcz błyskawicznie, a szybkość nie jest bynajmniej cechą, którą ktoś przypisałby Charliemu Mattisowi. Mam tu oczywiście na myśli szybkość ruchów, bo jeśli chodzi o myślenie, to Charlie jest żwawszy i zwinniejszy niż łasica.

Po kolei. Charlie wpadł do Mymlan, a ja z Emmą kroczyliśmy tuż za nim. Przy wejściu do bufetu zatrzymał się na chwilę, rozejrzał, po czym ruszył dalej do stolika, przy którym siedziała grupa chłopaków z Lekåsen i Vargbody. To znaczy wydaje mi się, że są właśnie stamtąd, jednak nie kojarzę wszystkich uczniów mieszkających w okolicznych wsiach. Przyszło mi tylko do głowy, że ich obecność w mieście wieczorem w środku tygodnia jest dość dziwna. Choć oczywiście i oni zaczynali jutro zajęcia później.

Szybkim, zdecydowanym krokiem Charlie podszedł do ich grupy. Stał na szeroko rozstawionych stopach jakiś metr przed nimi i powiedział donośnym głosem:

– Który z was to Mats Winger?

Jego słowa dało się słyszeć w całym bufecie, na scenie nadal nie było kolejnego zespołu, a wszyscy zdążyli przerwać rozmowy na widok Charliego. Odniosłam wrażenie, że to scena jak z westernu. Nieznajomy zjawia się w saloonie, żeby wyrównać porachunki. Przyznaję jednak, że to porównanie przyszło mi do głowy dopiero później.

Jeden z nich, dość niski chłopak w czapeczce baseballowej założonej tyłem do przodu, uniósł się nieznacznie. Z lekkim wahaniem stał pochylony do przodu, jakby żałował, że rozstał się z krzesłem. Wyglądał na zaniepokojonego, wręcz wystraszonego, słyhać to było także w jego głosie.

– To ja.

– Tak? – Charlie zrobił krok w jego stronę. – W takim razie bądź uprzejmy wyjść ze mną.

Chłopak, który najwidoczniej nazywał się Mats Winger, popatrzył zdezorientowany na swoich towarzyszy. Może liczył na to, że ktoś stanie w jego obronie. Nikt się jednak nie odezwał. Jego kompani gapili się tylko, zostawiając go na pastwę losu. Kiedy więc Mats Winger zorientował się, że może liczyć tylko na siebie, ruszył z kopyta. Kopnął krzesło i zerwał się

w stronę drzwi. Zdążył jednak ubiec ledwo dwa metry, kiedy Charlie bezbłędnie podstawił mu nogę. Chłopak runął na brzuch jak długi, a wtedy Charlie przycisnął mu plecy stopą i wysyczał (tak, wysyczał):

– Nie dotrzymałeś umowy, imbecyłu. Nie będę tego tolerował.

Następnie Charlie chwycił go za kołnierz koszuli, postawił na nogi i wyciągnął z lokalu. Charlie jest naprawdę rostry, jak się okazało, był ze dwadzieścia centymetrów wyższy i dwadzieścia kilo cięższy od przeciwnika.

Nikt nie zdążył zareagować. Wszyscy tylko gapili się w stronę wyjścia. „Czy to rzeczywiście był Charlie Mattis?” – każdy miał wypisane to pytanie na twarzy. „Co tu właśnie zaszło?”.

Nikt też nie ruszył za nimi. W kafeterii na kilka sekund po ich zniknięciu zapanowała martwa cisza. Jako pierwsza odezwała się Emma.

– Co, do jasnej cholery? – prychnęła. – Chodźże, ty detektywie powolniaku.

To do mnie skierowała tę komendę. Tak oto po kilku sekundach znalazłyśmy się znowu na rynku.

Po Charliem Mattisie i Matsie Wingerze nie było jednak śladu. Okolice wydawała się bezludna i pogrążona w grudniowych ciemnościach. Światło na wystawie marketu ICA najwidoczniej się zepsuło, bo migotało, zapalając się i gasnąc. Nic więcej na rynku się nie działo. Emma pokręciła głową i popatrzyła na mnie.

– To najdziwniejsza rzecz, jaką widziałam od dawna. Co też ten biedak zrobił?

– No właśnie, to dopiero ciekawe – odparłam. – I co wstąpiło w Charliego? Myślisz, że już zupełnie mu odbiło?

– Musimy to razem wyjaśnić – stwierdziła Emma. – Chodź, olewamy tę kocią muzykę. Idziemy do mnie na herbatę.

Tak zrobiłyśmy. Przez trzy godziny siedziałyśmy w pokoju Emmy przy herbacie i kanapkach, snując rozważania. Zaczęłyśmy od wyszukania tego chłopaka

w zeszłorocznym albumie szkolnym. Mats Winger. Ani ja, ani Emma nie miałyśmy pojęcia, co to za jeden i gdzie mieszka. Na pewno jednak był z jakiegoś wygnajewa, co do tego byłyśmy zgodne, bo przecież w Mymlan siedział w tej właśnie grupie, a poza tym w zeszłym roku chodził do 7D. W szkole jest jedna lub dwie mieszane klasy, ale to zależy od liczby uczniów. Z reguły jednak ci, którzy do szkoły dostają się autobusami, lądują w jednej klasie, a my, dzieciaki z miasta, w innych. Domyślam się, że to ze względu na dojazdy. Czasami zimą wioski zasypuje po czubek drzew, a wtedy lepiej, jeśli nie ma całej klasy, niż gdyby miało brakować połowy lub jednej trzeciej. Choć może powinni nas mieszać, może wtedy młodzi z miasta i ze wsi poznaliby się trochę – teraz każda grupa spotyka się tylko we własnym gronie. Jesteśmy niczym grające przeciwko sobie drużyny.

W zasadzie, jeśli do tego doliczyć uczniów o imigranckim pochodzeniu, można by uznać, że są trzy takie drużyny. Gadałyśmy trochę o tym z Emmą, popijając herbatę, i w ten sposób zmierzając do dyskusji na temat Charliego Mattisa. Skoro ludzie nie potrafią się nawzajem tolerować w tak małej dziurze jak K., to co dopiero mówić o całym kraju? I świecie?

– My i oni – powiedziała Emma. – Kurde, niczego nie mam tak dość, jak takiego kretyńskiego sposobu myślenia. Choć i my nie jesteśmy lepsze. Ilu masz znajomych spoza miasta?

– Ja w ogóle nie mam znajomych – odparłam. – Nie, przepraszam, mam jedną przyjaciółkę. Pochodzi z Argentyny.

– To masz szczęście. Ja jestem twoim... jak to się mówi?... alibi. Skoro masz kumpelę, w której żyłach płynie argentyńska krew, to znaczy, że nie jesteś rasistką. I neonazistką.

– Dzięki, że jesteś – powiedziałam. – Czy jednak nie powinnyśmy się zająć Charliem Mattisem?

– Łatwo mówić. Co takiego ma na sumieniu ten cały Mats Winger? Co

Charlie mu powiedział, zanim go wywłókł z sali? „Nie będę tolerował tego, że...”.

– Nie, najpierw powiedział, że Mats nie dotrzymał umowy. „Nie dotrzymałeś umowy, imbecyłu. Nie będę tego tolerował”. Dokładnie tak.

– Co to za umowa? – zastanowiła się Emma. – I co, swoją drogą, znaczy imbecyl?

– Dobre pytania, ja jednak pasuję, nie umiem odpowiedzieć na żadne. Ale słuchaj, Charlie nie wiedział, który z nich to Mats Winger. Najpierw przecież zapytał. To dziwne, nie?

– Bardzo dziwne – zgodziła się Emma. – Innymi słowy, zawarł umowę z kimś, kogo nie znał. Podejrzana historia.

– W każdym razie koleś Matsa chyba nie wiedzieli, o co chodzi – dodałam po namyśle. – No i nie można powiedzieć, żeby okazali mu jakieś wsparcie. Kiedy ich kumpla zaatakowano, siedzieli sobie dalej i odwrócili wzrok.

– Hm, ale on sam, to znaczy Mats, chyba zrozumiał, o co chodzi?

– Na pewno – odparłam bez zastanowienia. – Wiedział, że jest spalony, kiedy tylko Charlie pojawił się w bufecie.

– A co to oznacza?

– A to oznacza, że rzeczywiście była jakaś umowa – stwierdziłam. – A ten Mats w jakiś sposób ją naruszył. Dokładnie tak... tak jak wytknął mu Charlie.

Emma westchnęła.

– No to tyle wiemy. Masz takie samo przeczucie jak ja?

– Będę mogła odpowiedzieć, jeśli mi je opiszesz.

– No czuję, że chodzi o Kallmanna, rzecz jasna.

– Wiadomo, że tak – odparłam. – Jeśli chodzi o Charliego, to zawsze chodzi o Kallmanna.

– Na to wygląda. Musimy zmusić naszego geniusza do gadania, innego

sposobu nie ma.

– I jak ty to sobie niby wyobrażasz?

Emma przez chwilę milczała.

– Może on potrzebuje kogoś, komu mógłby się zwierzyć – zaproponowała po chwili. Zauważyłam, że jeden kącik ust drga jej w charakterystyczny sposób. – Może gdyby trochę się w tobie zabujał, to uchyliłby rąbka tajemnicy.

Już dawno Emma nie palnęła nic równie głupiego, nie omieszkałam jej zresztą tego powiedzieć.

– Zapomniałaś już, jak się wygłupiłam, kiedy mnie przepytował? – dodałam. – On mną gardzi. Myślę jednak, że ty jesteś w jego typie. Ciemna piękność o oliwkowej cerze.

Wybuchnęliśmy śmiechem. Po chwili Emma oznajmiła jednak:

– Myślę, że możesz mieć rację.

Zaniepokoiło mnie, że zabrzmiało to zupełnie tak, jakby mówiła poważnie.

Dopiero w drodze powrotnej od Emmy, około godziny jedenastej, przypomniałam sobie o Ivaniu i Wilmie, co by znaczyło, że mam inne, ważniejsze sprawy na głowie. W końcu trzymanie się za ręce to nie jakieś nie wiadomo co.

A może? Z jakiegoś powodu przypomniał mi się biedny wujek Karsten i nagle posmutniałam. „Chciałbym móc zbliżyć się do kobiety”, powiedział wtedy. Pomyślałam, że ręka, której nikt nigdy nie trzyma, musi czuć się bardzo samotna.

I że jest bardzo wiele rąk, które są w takiej właśnie sytuacji. Ot, choćby na przykład ja i moje ręce. Andrea Wester-Branagan krocząca w okrutnym wietrze przez grudniowy wieczór w K. Piętnaście lat na karku. I może nie było tak, że nie miałam za sobą pierwszego pocałunku, ale tego, który mnie pocałował, spławiłam, a inni raczej nie stali do mnie w kolejce.

Ivan i Wilma. No proszę.

I pomyśleć, że może Emma skończy z Charliem.
Ma szansę jak jeden do miliona, ale a nuż?

Igor

W głębi duszy wiem, dlaczego skończyłem, ucząc właśnie matematyki i fizyki.

Otóż nie lubię znaków zapytania. Jeśli jest jakiś problem, musi być też rozwiązanie. Dobrze rozpisane równanie zawsze daje odpowiedź, wystarczy po prostu znaleźć równanie. Przez pewien okres życia pasjami rozwiązywałem krzyżówki, przestałem, bo zacząłem tracić przez to głowę. Dwie puste kratki w górnym rogu i brak hasła w dolnym potrafiły mnie przyprawić o bezsenność. Wcześniej, jeszcze za czasów studenckich w Uppsali, dużo grałem w brydża i szachy. Kiedy teraz o tym myślę, to już wtedy zachowywałem się tak samo. Bez końca analizowałem i roztrząsałem partię, która mi nie poszła, w której popełniłem małe, ale fatalne w skutkach błędy. Przede wszystkim jednak zajmowały mnie zeszyty z szaradami (można je było kupić w księgarni), z których każda miała jedno, powtarzam: jedno, rozwiązanie. Potrafiłem godzinami siedzieć nad rozgrywką, jaka miała się skończyć sześć bez atutu. Jeśli wiedziałem, że było jedno rozwiązanie, to musiałem je znaleźć. Albo łamigłówki szachowe: mat w czterech ruchach, pół nocy z głowy. Zdarzało się, że zasypiałem na wykłady, bo dopiero o czwartej nad ranem wpadałem na odpowiednią sekwencję. Wielkie twierdzenie Fermata? Aż boję się myśleć, ile czasu zmarnowałem na ten beznadziejnie trudny problem.

Refleksja nad tą właśnie cechą mojego charakteru nasza mnie oczywiście ze względu na ostatni rozwój wypadków w sprawie niewiadomej Kallmanna.

Bez wahania używam określenia „niewiadoma Kallmanna”. Kallmann, przebywając gdzieś tam w niebie, zapewne uśmiechnąłby się kwaśno, gdyby wiedział, że porównuję go do równania. Ponieważ jednak był humanistą, nie specjalistą od nauk ścisłych, będzie musiał zadowolić się skrótem: niewiadoma k.

Ostatni rozwój wypadków nie oznacza bynajmniej, że wiele się wydarzyło, po prostu to ja dowiedziałem się o różnych sprawach. Najpierw podczas rozmowy z Leonem Bergerem, następnie – wczoraj wieczorem – podczas naszej długiej dyskusji, którą odbyliśmy w szkole z Ludmillą Kovacs. Siedzieliśmy do wpół do pierwszej, ale to dlatego, że wiedzieliśmy, iż jak wszyscy inni będziemy mieć dzisiejsze, to jest piątkowe przedpołudnie. Przyniesione przeze mnie porto oraz włoskie *cantuccini* wchłonęliśmy do ostatniej kropli i ostatniego okruszka.

– Wiemy chyba, dlaczego się tu spotkaliśmy? – zacząłem. – Witajcie w samym jądrze szkoły, swoją drogą.

– Chyba jądrze ciemności? – zauważył Leon, rozglądając się. – Nieprawdaż?

Miał rację. Rozsiadliśmy się bowiem przy dużym stole w laboratorium mieszczącym się między dwoma salami do fizyki. Swego czasu, kiedy jeszcze mieliśmy uczniów, którzy w ramach zajęć dodatkowych zajmowali się fotografią, pomieszczenie służyło też jako ciemnia. Od tamtej pory zachowały się grube zasłony, jest to więc jedyne pomieszczenie w szkole, gdzie można zapalić lampę tak, by nikt z zewnątrz tego nie zobaczył. To ważne, bo po drugiej stronie Hagendalsgatan, oplatającej dzielnicę od północy, ciągną się domy. Gdyby ktoś zauważył, że w szkole o północy pali się światło (a co więcej, w budynku są ludzie), najpewniej skończyłoby się telefonem na

policję.

Jeśli chodzi o alarm, to obiecałem Nilssonowi, że włączę go później, ponieważ jeszcze muszę chwilę posiedzieć i popracować. Takie sytuacje zdarzały się już wcześniej.

– Mimo wszystko to dziwne, że siedzimy tu w środku nocy – zauważyła Ludmilla. – Czuję się jak w powieści o Kitty, tej nastolatce-detektyw ⁹, choć rozumiem, że wy niekoniecznie macie podobne skojarzenia.

– Istotnie, nigdy nie interesowałem się serią o Kitty – przyznałem. – Jednak bardzo interesuję się wszelkimi niejasnościami związanymi ze śmiercią Kallmanna. Chcę przynajmniej spróbować wyjaśnić kilka znaków zapytania. Jestem ci wdzięczny, Leon, że mnie w to zaangażowałeś. Po prostu nie lubię nierozwiązanych zagadek i spraw zamiecionych pod dywan.

– W porządku – odparł Leon. – Matematyk zawsze się przyda.

– Myślisz, że ktoś tak zrobił? – zapytała Ludmilla. – Że ktoś zamiótł coś pod dywan?

Wzruszyłem ramionami.

– Trudno powiedzieć. Może to po prostu wynik braku kompetencji. Rozlazłe śledztwo prowadzone przez rozlazłego inspektora. To najbardziej prawdopodobny scenariusz.

– Możliwe – zgodził się Leon. – Jeśli jednak mamy zamiar nieco to uporządkować, powinniśmy chyba zanotować kilka szczegółów. To znaczy, jeśli chcemy się do tego wziąć na poważnie. Bo chyba mamy zamiar... cóż, postąpić odpowiedzialnie i do czegoś dojść?

– Absolutnie – przytaknąłem i sięgnąłem po mój kołonoatnik. – Nie siedzę tu dla przyjemności i domyślam się, że wy też nie. Mogę sporządzić protokół, chyba że któreś z was ma na to ochotę?

– Protokół? – Ludmilla zachichotała. – No ale dobrze. Bądźmy tak skrupulatni, jak się da.

– Może notatki to lepsze słowo – poprawiłem się. – Myślę, że powinniśmy przynajmniej spisać listę pytań, niejasności oraz dziwnych spraw, na które natknęliśmy się w takim czy innym kontekście, a które mają związek z Kallmannem... zwłaszcza z jego śmiercią.

– Świetnie – zgodził się Leon. – Znaki zapytania, które trzeba wyjaśnić. Od czego zaczynamy?

– Od dzienników – powiedziała po krótkiej pauzie Ludmilla. – Na ile możemy wierzyć w to, co pisał? Wiemy już, że nie wszystko jest prawdą, czy jednak można uznać, że wszystko, każde słowo to fikcja? Na przykład ten fragment na początku, ten o zabójstwie matki i wyprowadzce za granicę... daje do myślenia, czyż nie?

Zanotowałem. Pozwoliłem sobie napisać jedynie: *Pamiętniki – prawda czy fałsz?*

– Może najpierw wymieńmy pytania, a potem będziemy dyskutować, jak znaleźć na nie odpowiedzi – zaproponowałem. Ani Ludmilla, ani Leon nie mieli nic przeciwko.

– Charlie Mattis – dodała Ludmilla. – Przy nim można postawić duży znak zapytania.

Zanotowałem.

– Andrea Wester – dorzucił Leon. – Oczywiście jej postać łączy się z Charliem Mattisem, ale i jej nazwisko pada w dziennikach. Możemy chyba założyć, że to ją Kallmann miał na myśli?

– Na pewno ją – potwierdziła Ludmilla.

Zanotowałem.

– Testament – ciągnął Leon. – I ten przeklęty Boris Yann Keller. A skoro już o tym mowa...

– Chwilę – przerwałem. – Nie wszystko naraz, proszę.

– ...skoro o tym mowa, to i chłopak o nazwisku Mats Winger – dokończył

Leon po krótkiej pauzie, o którą prosiłem. – Chyba jeszcze wam nie wspominałem o tym dziwnym zbiegu okoliczności?

– Mats Winger? – powtórzyłem, zapisując nazwisko. – Znam go, ale co on ma z tym wszystkim wspólnego?

Ludmilla ze zdziwioną miną pokręciła głową.

– To uczeń od nas, tak?

– Z 8D – wyjaśnił Leon. – Chodzi do mnie na szwedzki. Użył nazwiska Boris Yann Keller w wypracowaniu.

– Co? – zapytała Ludmilla. – Dlaczego? To znaczy... to dziwne.

– Doprawdy osobliwe – zgodziłem się. – Co to było za wypracowanie? O Kallmannie też wspominał?

– Nie, to zwyczajne wypracowanie, ale opowiada o jakimś Borisie Yannie Kellerze. Wziąłem chłopaka na spytki, ale twierdził, że przeczytał gdzieś to nazwisko i mu się spodobało.

– Można mu wierzyć? – zapytałem.

Leon przez chwilę się wahał.

– Możliwe, że kłamie. Właściwie to moje pytanie chyba go wystraszyło. Nie jestem jednak pewien, to ten typ, który zawsze wygląda trochę niespokojnie. Niska samoocena, może z jakiegoś powodu ma coś na sumieniu. Ja jednak znam go tylko powierzchownie, nie wiem jak wy?

Powiedziałem, że ja mam podobne wrażenie. Klasę 8D uczę fizyki, choć nie miałem z nimi zajęć w zeszłym roku. Ludmilla zaznaczyła natomiast, że Mats Winger nigdy nie był u niej z wizytą, pomijając krótką rozmowę na początku siódmej klasy.

– Dobrze – podsumowałem. – Jeszcze do niego wrócimy. Co dalej?

– Zastanawiałem się nad przeszłością Kallmanna – dodał Leon. – Niewiele wiadomo o jego życiu sprzed przyjazdu do K. Powiedziałbym wręcz, że te wcześniejsze lata to prawdziwa tajemnica. Czy może się myłę?

Ludmilla i ja zastanawialiśmy się przez chwilę. Potem zanotowałem:
Wcześniejsze życie Kallmanna?

– Masz rację – powiedziała Ludmilla. – Rozmawialiśmy o tym, wygląda na to, że nikt nie wie, co Kallmann robił, zanim przyjechał tutaj. A przecież, do cholery, miał pięćdziesiątkę, kiedy pojawił się w K., tak więc jest to dość dziwne.

– Bardzo – przytaknąłem. – Pamiętam, że raz czy dwa go o to zapytałem, ale nie otrzymałem odpowiedzi. A w najlepszym razie wymijającą. Dobrze, zanotowałem. Co jeszcze mamy?

– Niemiecki Dom – zaproponowała Ludmilla. – Co on tam robił?

Kolejna notatka.

– I jego kryminalistyczne hobby – dorzuciłem. – Jego zainteresowanie tą zbrodnią sprzed lat. Czy to istotne?

– Dopiszmy i to – stwierdził Leon. – Co na razie mamy?

Popatrzyłem na listę i odczytałem ją na głos punkt po punkcie.

Pamiętniki – prawda czy fałsz?

Charlie Mattis?

Andrea Wester?

Testament?

Boris Yann Keller?

Mats Winger?

Przeszłość Kallmanna?

Niemiecki Dom?

Zbrodnia sprzed lat?

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. W końcu Leon powiedział:

– Może powinniśmy podjąć też i najważniejszą kwestię...

– Naturalnie – powiedziałem i dodałem dziesiąty punkt:

Śmierć Eugena Kallmanna? Policyjne śledztwo?

Doszedłszy do tego etapu spotkania, zrobiliśmy sobie dłuższą przerwę na wino i ciasteczka. Każde z nas próbowało ocenić sytuację. To znaczy nie wiem jak inni, ale ja oddawałem się rozważaniom, przyglądając się liście pytań. Żadne z nas nie miało już więcej punktów do dodania, a w każdym razie nie w chwili obecnej. Według mnie całe to zestawienie było dość osobliwe, na swój sposób wręcz paradoksalne. Z jednej strony byłem bliski uwierzenia, że kryje się w nim jakaś regularność, z drugiej – matematycznej, że tak powiem – strony, mieliśmy do czynienia z równaniem z mniej więcej dziesięcioma niewiadomymi. Oczywiście były one ze sobą mocno powiązane, co powinno znaczyć, że jeśli uda się odgadnąć jedną lub kilka z nich, odszyfrujemy przy tym inne.

Mimo wszystko jednak znaków zapytania i wątpliwości było wiele, takie przynajmniej było moje wrażenie. Gdybyśmy chcieli zabrać się do tego na poważnie (a co do tego się zgodziliśmy), należało opracować jakiś plan działania.

Najwyraźniej, ku mojej radości, moi koledzy przyjęli mniej więcej podobny tok myślenia, ponieważ kiedy dolewałem wina, Ludmilla powiedziała:

– I co zrobimy dalej z całym tym bigosem? Może podzielimy się zadaniami? Ja wiem, od czego sama mogę zacząć rozgryzanie tej zagadki.

– Świetnie – odparłem. – A mogę zapytać od czego?

– Od przeszłości Kallmanna – oznajmiła. – To cholernie dziwne, że nikt nie ma pojęcia o jego życiu. W końcu ja i ty, Igor, pracowaliśmy z nim przez piętnaście lat.

– Zgadza się – przyznałem. – A jak zamierzasz się do tego zabrać?

– Pogadam ze starym Willem – odparła natychmiast. – To w końcu on zatrudnił Kallmanna, musiał przynajmniej wiedzieć, skąd Kallmann pochodził.

Może i Willenius nie przejmował się kwalifikacjami i zasadami, ale nie wyobrażam sobie, żeby przyjął kogoś, kto wziął się znikąd.

Było to całkiem słuszne rozumowanie. Kiedy dziesięć lat temu dyrektor Willenius odchodził na emeryturę, wielu uznało, że zrobił to w samą porę. Prowadził szkołę według własnego uznania, nie przejmując się za bardzo wytycznymi kuratorium i związków zawodowych, a ponieważ jego polityka wychodziła na dobre studentom, mógł sobie na to pozwolić. W każdym razie do połowy lat osiemdziesiątych; stary Wille przydzielał środki, jak mu się podobało. Nie lubił na przykład geografii i religii, tak więc prowadzący te przedmioty mieli zawsze do dyspozycji mniej niż pozostali. Niektórzy nauczyciele dostawali etaty, mimo że w gruncie rzeczy brakowało im kwalifikacji, inni tracili zatrudnienie, bo według dyrektora nie pracowali dość dobrze. Oczywiście za jego rządów (a wydaje mi się, że był na tym stanowisku przez dwadzieścia cztery lata, czyli odkąd wybudowano szkołę na początku lat sześćdziesiątych) dochodziło do różnego rodzaju niesnasek. Nie można mu jednak odmówić, że zawsze chciał jak najlepiej dla uczniów i starał się optymalnie zorganizować działalność dydaktyczną.

– Ten Willenius to była kontrowersyjna postać, prawda? – zapytał Leon.

– Bardzo – odparła Ludmilla. – Gdyby nie był tak dobry w tym, co robił, pewnie by go wywalili, zanim doczekałby emerytury. To, że ja się przekwalifikowałam i zostałam pedagożką szkolną, jest też w pełni jego zasługą.

– Ludzie go szanowali – dodałam. – Dziś jednak nie ma miejsca dla tego rodzaju dyrektorów, co ma swoje plusy, ale i minusy. Tak czy inaczej uważam, że to dobry pomysł, żebyś do niego poszła i spróbowała dowiedzieć się czegoś o Kallmannie. A czym zajmiemy się my, panowie? Skoro bierzemy się do tej sprawy krok po kroku?

Leon przez chwilę przyglądał się liście z niepewnym wyrazem twarzy.

– Wszystko zaczęło się od pamiętników – powiedział. – Od tego, że je przypadkowo znalazłem. Pewnie dobrze byłoby się dowiedzieć, czy Kallmann pisał coś później?

– Później? – nie zrozumiałem.

– Rozmawialiśmy o tym z Ludmillą – wyjaśnił Leon. – Czwarty pamiętnik kończy się na grudniu zeszłego roku. Dlaczego nie miałyby zacząć nowego w styczniu?

– W którym zapisywałyby wydarzenia z ostatnich czterech, pięciu miesięcy życia – dorzuciła Ludmilla. – Ciekawie byłoby móc do niego zajrzeć.

– Zapewne – przyznałem. – Jeśli jednak istnieje rozpoczęty, piąty tom pamiętnika, jak niby mielibyśmy... jak, u licha, mielibyśmy go zdobyć?

– Powinniśmy poszukać we właściwym miejscu – zaproponował Leon.

– Niegłupi pomysł – stwierdziłem. – Jednak pamiętnik nie leżał w jego biurku jak cztery pozostałe?

– Niestety nie – powiedział Leon. – Przejrzałem wszystko, co Kallmann tam po sobie zostawił, i pamiętnika nie znalazłem.

– Ergo? – kontynuowała Ludmilla.

– Musi być w jego mieszkaniu – podsumowałem. – Czy po jego śmierci ono stoi nietknięte?

– Możemy założyć, że tak – uznała Ludmilla. – Tak się składa, że poniekąd znam prawnika, który jest wykonawcą testamentu. O ile dobrze go rozumiałam, niczego nie wolno ruszać przez równo dwanaście miesięcy od dnia śmierci Kallmanna. Taki zapis znalazł się w dokumencie. Ten Boris Yann Keller ma rok na pojawienie się, a przez ten czas mieszkanie Kallmanna oraz wszystkie jego ruchomości mają czekać nietknięte.

Uświadomiłem sobie, że byłem jedyną osobą z naszej trójki, która była w tym mieszkaniu. Pamiętam jak dziś: trzy pokoje z kuchnią na czwartym piętrze przy Sylvestergatan 11 z całkiem ładnym widokiem na dwie strony.

– Ostatnim razem byłem tam nieco ponad rok temu – skonstatowałem. – To wtedy opowiadał o tej zbrodni sprzed lat, na której tropie ponoć był. Całkiem prawdopodobne, że w jego mieszkaniu jest ten piąty pamiętnik... o ile w ogóle istnieje.

– Myślę, że istnieje. – Ludmilla westchnęła. – Wiecie co? Szkoda, że jesteście tylko trojgiem amatorów, a nie prawdziwymi śledczymi... Wtedy moglibyśmy bez problemu dostać się do tego mieszkania. Bo teraz nie mam pojęcia, jak moglibyśmy to zrobić.

Właśnie w tym momencie naszej dyskusji Leon Berger wyciągnął prawdziwego asa z rękawa, myślę, że śmiało można tak to nazwać.

Najpierw zaśmiał się trochę nerwowo i wychylił porto do dna.

– Przepraszam, o jednym wam nie powiedziałem... Mamy jeszcze trochę wina?

Mieliśmy. Dolałem wszystkim.

– Zatem – zaczął Leon – zupełnie przypadkowo jestem w stanie zaoferować rozwiązanie tego problemu.

– Co masz na myśli? – Ludmilla z irytacją przeszła go wzrokiem. – Wykładaj kawę na ławę, chłopie.

– Oczywiście – Leon ciągnął nieco zawstydzony. – Otóż tak się składa, że akurat wiem, gdzie jest klucz... mam na myśli klucz do mieszkania Kallmanna. To znaczy, wydaje mi się, że to ten klucz. Ekhm.

Ludmilla spojrzała na niego sceptycznie. Leon wzruszył ramionami. Przez moment wydawało mi się, że ta dwójka zna się lepiej, niż sądziłem, nie zaprzętałem sobie tym jednak głowy, bo bardziej ciekawiło mnie co innego.

– O czym ty mówisz? Masz klucz do mieszkania Kallmanna? Skąd, na litość boską, go wytrzasnąłeś?

Leon pokręcił głową.

– Nie, nie, nie mam klucza, ale chyba wiem, gdzie jest.

– No? – ponagliła go Ludmilla.

– U Hansa-Ivara Möllera – powiedział Leon.

– U Hansa-Ivara Möllera? – powtórzyłem.

– Tak. Jego biurko sąsiaduje z moim w naszym gabinecie na piętrze. – Leon ruchem głowy wskazał wyższą kondygnację szkoły. – Wygląda na to, że wiele lat temu Kallmann dał mu zapasowy klucz. Hans-Ivar pokazał mi go kilka dni temu, kiedy przypadkiem na niego trafił, bo wcześniej zupełnie o nim zapomniał. Jeśli nie przeniósł go w inne miejsce, klucz powinien leżeć w doniczce na jego biurku. Nie wiem jak wy, ale jeśli o mnie chodzi, to jestem gotów...

Nie dokończył zdania. Nie musiał. Popatrzyłem na Ludmillę, ona na mnie. Potem oboje spojrzeliśmy na Leona i pokiwaliśmy głowami.

– No to czemu tu jeszcze siedzisz? – zapytała Ludmilla. – Idź po ten klucz. Teraz.

Tak też zrobił. Kiedy dziesięć minut później rozstawaliśmy się przed wyjściem ze szkoły, Leon Berger miał klucz w kieszeni. Do tego miał też, podobnie jak ja i Ludmilla, jasno określone zadanie.

Wspomniałem już, na czym polegała misja Ludmilly – miała przepytac starego Willego. Do mojego zadania jeszcze wróć. Zegar na wieży kościelnej właśnie wybił drugą, tak więc najwyższy czas postawić na razie kropkę.

Ludmilla

Lecimy z tym koksem.

Stojąc przed zbudowaną w funkcjonalnym stylu willą Willeniusa położoną na płaskim wzgórzu nad jeziorem Morsjön, czułam się jak zdenerwowana uczennica, którą dyrektor wezwał na dywanik.

Tak wprawdzie nie było, nie do końca. W przypadku tego spotkania to ja wyszłam z inicjatywą. Chciałam zaprosić Willeniusa na lunch, ale on od razu stwierdził, że nie ma ochoty jeść jakiegoś wątpliwej jakości posiłku w jakimś wątpliwej jakości lokalu w naszej zapadłej dziurze. A już na pewno nie w tak miłym towarzystwie. Obiecał, że jeśli przyjdę do niego, zaprosi mnie na pstrąga z ziemniaczkami oraz kieliszek Montrachet (o ile będę miała dość rozumu, by załatwić sobie wolne popołudnie).

Miałam dość rozumu, choć przyznaję, że obecnej dyrekcji powiedziałam, że muszę wyjść wcześniej z powodu wizyty u dentysty. Willeniusowi zdradziłam, że chcę zapytać go o kilka szczegółów dotyczących Kallmanna, ale nie mam zamiaru mówić więcej, dopóki nie spotkamy się w cztery oczy.

– Jeśli chcesz gadać o polityce edukacyjnej, radzę zwrócić się do kogoś innego – odparł Willenius. – O wszystkim innym jestem gotów porozmawiać.

Nie wiem więc, dlaczego tak się stresowałam.

Kiedy tylko otworzył mi drzwi, zrozumiałam, że jest chory. Ta zgarbiona

postać, która stała przede mną na drżących nogach, jedną ręką opierając się o klamkę, w niczym nie przypominała rosnącego mężczyzny, którego pamiętałam. Nie pasowała również do głosu, który słyszałam w telefonie podczas naszej krótkiej rozmowy. *Jedną nogą w grobie*, przyszło mi do głowy, choć starałam się odegnąć tę myśl.

Willenius wiedział, że zrozumiałam.

– Zgadza się – powiedział. – Niewiele czasu mi zostało. Ale wchodź, wchodź.

Podaliśmy mu pięć złotych róż. Przyjął je z niepewnym uśmiechem i ruszył w górę schodów, podpierając się laską. Poszłam za nim, sama nie wiedząc, co myśleć o tej wizycie. Przyznaję jednak, że niemałe wrażenie zrobiło na mnie wewnątrz domu. Z panoramicznego okna na piętrze rozciągał się widok na jezioro, a właśnie w tym miejscu rozstawiony był stół. Zmieściłoby się przy nim dziesięcioro gości, ale teraz nakryty był dla dwóch osób. Biały obrus, poskładane serwetki, proste dekoracje z kwiatów i wysokie świeczniki. Klasa, pomyślałam mimowolnie. Klasa wyższa, dodałam w przypisie. Na spotkanie wyszła nam szczupła kobieta około sześćdziesiątki, którą skądś kojarzyłam, a która zapewne była pomocą domową. Zajęła się różami ode mnie i powiedziała, że obiad będzie gotowy za pięć minut. Czy życzymy sobie może po kieliszku orzeźwiającego wina na początek?

Tak właśnie się wyraziła, „orzeźwiające wino”. Willenius odparł, że tak, życzymy sobie, po czym usiedliśmy naprzeciwko siebie przy stole.

– To pani Blomgren – wyjaśnił, kiedy kobieta wyszła. – Jedyna osoba, jaka mi została. Moja żona zmarła rok temu, może słyszałaś?

Szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia, ale powiedziałam, że słyszałam.

– Nowotwór. Jak u mnie, choć inna odmiana. Tak to jest.

– Współczuję.

– Do licha ze współczuciem. Teraz sobie pojesz, nacieszysz się widokiem

i napijesz wina. Ja nie mam apetytu, ale tym się nie przejmuj. I porozmawiamy sobie, może ciało mam do niczego, ale nadal mam swój rozum.

Starał się mówić z werwą, jak kiedyś, dało się jednak słyszeć, że przepełnia go gorzka rezygnacja.

– To chyba lepiej niż na odwrót? – zauważyłam.

– Zapewne – odparł, próbując się uśmiechnąć. – Ale co począć z rozumem w dzisiejszych czasach?

Zaczęłam żałować, że tu przyszłam. Czy nie lepiej byłoby wyciągnąć od niego odpowiedzi przez telefon? Może, ale nawet nie brałam tego na poważnie pod uwagę, a to dlatego, że pamiętałam, co kiedyś powiedział mi Willenius: „Duperele można załatwić, dzwoniąc lub pisząc list, ale do ważnych spraw trzeba się brać tylko, jeśli można uściskać sobie graby!”.

Czy przedstawiciele klasy wyższej ściskają sobie graby? Może tak, nie powinno się myśleć stereotypowo. Pani Blomgren wróciła z dwoma kieliszkami musującego napitku na srebrnej tacy. Wydawało mi się, że dygnęła, stawiając je przed nami, ale może mi się przywidziało. Wznieśliśmy toast i wtedy uświadomiłam sobie, że to prawdziwy szampan, aromatyczny i drogi. Zanotowałam w pamięci, by przed następnym spotkaniem z Leonem kupić butelkę czegoś w tym stylu.

– Dobry, nieprawdaż? – zapytał Willenius. – Teraz to w zasadzie jedyny alkohol, jaki toleruję. Na szczęście stać mnie. A na cóż wydawać ciężko zarobione pieniądze, jeśli nie na szampana?

Nieznacznie skinęłam głową. Pomyślałam, że jak najszybciej muszę przejść do rzeczy. Ta rozmowa w niczym nie przypominała tych, jakie prowadzę w swoim gabinecie w szkole. Wprawdzie wspominałam, że chodzi o Kallmanna, ale nie byłam pewna, czy mój gospodarz jeszcze o tym pamięta.

– Eugen Kallmann – powiedziałałam więc. – To o nim chciałam porozmawiać. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko?

– Oczywiście, że nie. – Willenius westchnął głęboko. – Choć może niekoniecznie opowiem o wszystkim. Swoją drogą dziwię się, że nikt nie zgłosił się do mnie wcześniej.

No proszę. Ciekawe, co ma na myśli, mówiąc „niekoniecznie o wszystkim”? I „wcześniej”?

– On był takim rozbitkiem. Myślę, że wracając do K., miał zamiar wyrównać jakieś stare rachunki, ale nic z tego nie wyszło.

Na stole pojawiła się zupa z homarów. Szampana zastąpiła wspomniana już butelka Montrachet. Za oknem pokrytą śniegiem tafłę jeziora niespodziewanie rozświetliło popołudniowe słońce, ale po chwili szare jak ołów chmury zauważyły swoje przeoczenie i natychmiast zwały szeregi. Słowo „rozbitek” utkwiło mi w głowie. Co Willenius miał na myśli? Czy takiego epitetu zwykł używać wobec Kallmanna, czy też przyszedł mu do głowy teraz?

– Ach tak? – powiedziałam neutralnym głosem. – Nie wiedziałam nawet, że był w K. kiedykolwiek wcześniej.

– Nie ty jedna. – Willenius zamieszał wino w kieliszku. – Naprawdę nie ty jedna, ale o to właśnie chodziło. Po to swego czasu opuścił miasto.

– Urodził się tutaj?

– Oczywiście.

– Ale się stąd wyniósł?

– Tak – potwierdził Willenius, odwracając wzrok w stronę jeziora. – Choć wtedy nazywał się inaczej i nie miał wyjścia, był zmuszony wyjechać.

– Jak to?

Czekałam, aż mój były dyrektor rozwinie ten wątek, ale on tylko wpatrywał się w widok za oknem, zaciskając przy tym usta w cienką kreskę. Uderzyło mnie, że może wbrew temu, co mówi, wcale nie ma tak sprawnego umysłu. Po chwili jednak zrozumiałam, że nie w tym tkwił problem.

– Mieliśmy umowę.

– Ty i Kallmann?

– No tak, przecież chyba to o nim mówimy?

– Nie bardzo rozumiem – przyznałam. – Jaką umowę?

– Pewnych spraw mieliśmy nie ujawniać.

Znów się zastanowiłam. „Niekoniecznie opowiem o wszystkim. Nie ujawniać pewnych spraw”.

– Mówisz więc, że on się kiedyś nazywał inaczej? Że Eugen Kallmann to nie jego prawdziwe nazwisko?

– Zgadza się. Nie chciał tu wracać jako człowiek, którym był kiedyś.

Robi się coraz ciekawiej, pomyślałam, powiedziałam to nawet na głos. Zapytałam mojego gospodarza, czy coś powstrzymuje go przed tym, by opowiedzieć mi prawdę.

– Prawdę? – zakrzyknął i zaśmiał się skrzekliwie. – Zawsze uważałem, że prawda to przeceniany wymysł. Zdecydowanie przeceniany, im człowiek starszy, tym lepiej to rozumie. Przyznaję jednak, że nie mogę z tobą rozmawiać zupełnie otwarcie o Kallmannie. Jak już powiedziałem, nie mogę opowiadać o wszystkim. Tego właśnie dotyczyła nasza umowa. Zgadzasz się na takie warunki?

– Nie wiem – odparłam. – A o czym możesz mi powiedzieć?

Willenius przeszył mnie wzrokiem, ale nie odpowiedział.

– Jesteś pewien, że warunki umowy wciąż obowiązują? – zapytałam. – Przecież Kallmann nie żyje.

Willenius pokiwał głową i znów zagryzł wargi. Wyglądało na to, że stara się ocenić sytuację, nie przeszkadzałam mu więc. Wzięłam do ust kęs pstrąga i popiłam łykiem wyśmienitego wina. Jeśli bowiem czegoś nauczyłam się przez te wszystkie lata w zawodzie, to czekania. I tego, by nie bać się ciszy. Tym razem problem tkwił w tym, że Willenius też się jej nie bał.

– A dlaczego właściwie tu przyszłaś i zadajesz mi te pytania? –

wymamrotał w końcu po dłuższej chwili. – Chyba wypadałoby wyjaśnić, czemu interesujesz się tym biedakiem Kallmannem?

Postanowiłam być z nim szczerą.

– Chodzi o jego śmierć. Coś w tym wszystkim nie gra – powiedziałam. – Nie tylko mnie to zastanawia. Przepracował w naszej szkole piętnaście lat, a wygląda na to, że nikt, dosłownie nikt, nic o nim nie wie. Może poza tobą. Ten człowiek był chodzącą tajemnicą. A ty myślisz, że on zginął śmiercią naturalną?

Willenius się wzdrygnął. Być może był to tylko nagły napad bólu, może nowotwór uderzył gdzieś od środka, jednak równie dobrze mogła to być reakcja na moje bezceremonialne pytanie. Willenius nieporadnie chwycił za kieliszek, podniósł go do ust, ale znów go odstawił, nie wypijając ani łyka. Pochylił się nad blatem, zupełnie jakby chciał mi się przyjrzeć z bliska. Jakby brał mnie pod lupę. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie przy dłuższych bokach stołu. Jeden z krótszych boków skierowany był w stronę jeziora, drugi w stronę niewielkiego kącika do czytania zakończonego podestem schodów. Znów postanowiłam przeczekać. Słusznie.

– No dobrze, ślicznotko, może i coś jest na rzeczy. Kallmann nie miał w sobie nic naturalnego, dlaczego więc jego śmierć miałaby być naturalna?

– Możesz mówić jaśniej?

– Nie, tu nie ma co wyjaśniać.

– Masz na myśli to, że ktoś zepchnął go z tych schodów?

Willenius zirytowany pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. On jednak rzucił komuś wyzwanie i skończyło się, jak się skończyło.

– Wyzwanie?

– Słyszałaś przecież, co powiedziałem.

– Nie bardzo rozumiem. Twierdzisz, że rzucił komuś wyzwanie, ale nie

wiesz komu? Przecież to się kupy nie trzyma.

– Owszem, trzyma się jak cholera. Mówił mi o wyzwaniu, ale nie o przeciwniku.

– Sam ci o tym opowiedział?

– Tak.

– Ale nie powiedział, o kogo chodzi?

– Teraz papłasz bez sensu.

– Przepraszam. Więc spotykaliście się ze sobą? Myślałam...

Sama nie wiedziałam, co myślałam, więc zamilkłam. Willenius przyglądał mi się uważnie. W tym momencie w jego spojrzeniu dostrzegłam przebłysk błyskotliwego humoru naszego starego dyrektora. Jakby... jakby wreszcie udało mu się wpuścić mnie w maliny, co niewątpliwie sprawiło mu radość. Pamiętam, że była to jego ulubiona taktyka podczas rozmów w cztery oczy. Każdy robił, co mógł, by odwzajemnić się ostrzałem.

– A może po prostu opowiedziałbyś mi wszystko, jak było? – zaproponowałam. – Zamiast ciągnąć te mistyfikacje. Przecież przyszłam tu w dobrej wierze. Jeśli ktoś przyczynił się do śmierci Kallmanna, to według mnie powinien być pociągnięty do odpowiedzialności. Daj mi przynajmniej szansę, bym mogła dalej badać tę sprawę, czy to zły pomysł?

Willenius wybuchnął śmiechem.

– Niech cię diabli, nic się nie zmieniłaś, panno Kovacs... au, do cholery! – Skrzywił się i złapał za brzuch. – W moim stanie lepiej powstrzymać się od śmiechu... co zresztą z reguły wcale nie jest trudne.

– Przykro mi, że...

– Do licha ze współczuciem, mówiłem przecież. Oczywiście mogę ci powiedzieć całkiem sporo o Kallmannie. Choć nie sądzę, by to pomogło znaleźć jego zabójcę... jeśli na to liczysz. I nie, ja i Kallmann wcale się nie spotykaliśmy. Nie umawialiśmy się, odkąd się tu sprowadził i dostał pracę

w naszej szkole, nigdy wcześniej zresztą też nie.

– Ale znaliście się już wcześniej?

– Na swój sposób.

– Na swój sposób? Co to znaczy?

Willenius westchnął.

– Wiedziałem, kim był. Gdybym jednak nie wiedział przy tym, że był z niego cholernie dobry nauczyciel, nie wyciągnąłbym do niego ręki. Nigdy w życiu, na coś takiego nie można sobie pozwolić, jeśli jest się dyrektorem szkoły. W każdym razie poznaliśmy się w latach pięćdziesiątych w Skånii. Czy też raczej spotkaliśmy się przelotnie. Eugen Kallman już wtedy był człowiekiem, którego nikt nie zna.

„Nie wyciągnąłbym do niego ręki”. To Willeniusowi Kallmann zawdzięczał posadę w szkole. Choć tyle wiedziałam już wcześniej. Zadałam więc kolejne pytanie.

– Spotkaliście się przelotnie? Co to dokładnie znaczy?

– Wiele różnych rzeczy. W naszym przypadku znaczyło to tyle, że leżeliśmy razem w szpitalu. Trudno nie nawiązać z kimś kontaktu, jeśli przez miesiąc dzieli się z nim pokój. Dzień i noc, posiłek po posiłku, oddech za oddechem... pewne granice trzeba wtedy przekroczyć. Chyba nie muszę wdawać się w szczegóły?

– Nie, rozumiem – zapewniłam. – Gdzie i kiedy się spotkaliście?

– W Lundzie jesienią tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku. Ja miałem trzydzieści dwa lata, Kallmann był mniej więcej dziesięć lat młodszy. Jeszcze studiował. I, jak wspominałem, inaczej się wtedy nazywał.

– Jak?

– Tego nie mogę ci powiedzieć.

– Z powodu tej umowy?

– Tak. Dodam też, że nie dotyczy to tylko mnie i jego, jeśli to pozwoli ci

lepiej zrozumieć. Tak czy inaczej, przez ten miesiąc w szpitalu sporo się dowiedziałem. Człowiek tyle leży, że zaczyna rozmawiać, czy tego chce czy nie. Ja trafiłem do szpitala, bo potracił mnie jakiś pijak w mercedesie. Dokładniej rzecz ujmując, jakiś niemiecki biznesmen podróżujący w interesach. Kallmann spadł na tory.

– Spadł?

– Tak, z mostu. Tak w każdym razie sądzili lekarze oraz pielęgniarki. W rzeczywistości próbował popełnić samobójstwo. Takich rzeczy można się dowiedzieć, kiedy człowiek leży cały w gipsie i gapi się w sufit.

Willenius zamilkł. Obrócił głowę, oparł brodę na pięściach, po czym znów popatrzył na jezioro. Twarz mu się rozjaśniła, domyśliłam się, że to ten widok chciałby mieć przed oczami, odchodząc z tego świata. W domu było jeszcze jedno piętro, zapewne więc w jego sypialni łóżko też było zwrócone w stronę tej pięknej ciszy. Nie wiem, dlaczego akurat w tym momencie sobie o tym pomyślałam, może wątek samobójczej próby Kallmanna sprzed czterdziestu lat tak mnie nastroił. Kiedyś przecież wszyscy spotkamy śmierć. Wypiłam kolejny łyk Montrachet, próbując wrócić do chwili obecnej. A w każdym razie do naszego dziesięciolecia.

– Twierdzisz, że Kallmann rzucił komuś wyzwanie – powiedziałam. – O tym też ci mówił?

– Mniej więcej – odparł Willenius, nie spuszczać jeziora z oczu i nie podnosząc głowy. – Wiesz jednak, jak to z nim było. Uwielbiał niejasne aluzje. Wpadłem na niego w mieście kilka tygodni przed jego śmiercią i poszliśmy na spacer. Wtedy powiedział mi, że stoi przed wyzwaniem... czy też jak on się wyraził? Tak, postanowił podjąć wyzwanie, chyba tak to ujął. Kiedy jednak zapytałem, co ma na myśli, zaczął mówić o czymś innym. I tyle.

– A kilka tygodni później już nie żył. To chyba dało ci do myślenia?

– W tamtym czasie mój nowotwór przystąpił do ataku, miałem więc co

innego na głowie. Wybacz. Choć wiadomo, że mnie to zastanowiło. Myślałem, że odezwie się do mnie policja, ale nie kontaktowali się ze mną. W końcu mieli swoje podejrzenia, tak przynajmniej mówili ludzie. Czy się mylę?

– Nie wiem, jak było dokładnie – odparłam. – Jednak wygląda na to, że policja nie zainteresowała się przeszłością Kallmanna. Gdyby to zrobili, chyba by się do ciebie odezwali?

– Też tak myślę. Czekałem na to, ale te bałwany się nie pokazały.

Uśmiechnęłam się w duchu, słysząc ten komentarz. Utwierdziłam się w przekonaniu, że słusznie postąpiłam, nie zostając policjantką. Takie przesłuchania, na przykład, to zupełnie nie dla mnie.

– Ty i Kallmann leżeliście razem w szpitalu w roku pięćdziesiątym drugim, a zatrudniłeś go w siedemdziesiątym dziewiątym. To musi znaczyć, że...

– Tak, mieliśmy ze sobą kontakt – przerwał mi Willenius, odrywając wzrok od zimowego krajobrazu i prostując plecy. – Oczywiście, że mieliśmy. Miałem na niego oko, że tak powiem. Pod koniec lat sześćdziesiątych pracował przez pewien czas w szkole w południowej Szwecji. Dość dobrze znałem tamtejszego dyrektora, kiedy więc pojawiły się sprzyjające okoliczności... wtedy zgodziliśmy się na takie porozumienie. Jako nauczyciel i pedagog był naprawdę wyjątkowy, chyba się ze mną zgodzisz?

– Absolutnie. Kallmann był gwiazdą. A tak à propos, miał odpowiednie kwalifikacje?

– Naturalnie. – Willenius wzruszył ramionami. – Aż za dobre. Choć nie rozumiem, co to ma wspólnego z tą sprawą. Skończyłaś już jeść rybę? Jestem pewien, że pani Blomgren ma w zanadrzu także deser.

Wiele więcej się nie dowiedziałam. Siedzieliśmy jeszcze pół godziny, pijąc kawę i jedząc szarlotkę z sosem waniliowym. To znaczy, ja jadłam i piłam, podczas gdy mój gospodarz musiał zadowolić się gmeraniem łyżeczką w zawartości talerzyka oraz przytykaniem ust do kawy z niezadowoloną miną.

Zrozumiałam, że opadł już z sił. Na dworze zmierzch kładł się nad jeziorem i miało się wrażenie, że jedno łączy się z drugim. Jakby ciemności z zewnątrz wdzierały się do środka. Próbowałam jeszcze wrócić do tematu, ale wycisnęłam z Willeniusa jedynie tyle, że Eugen Kallmann, czy jak tam się wówczas nazywał, opuścił K. w bardzo młodym wieku. To by się zgadzało z pierwszym zapisem w pamiętniku, w którym wspominał zabójstwo matki.

– Wiesz coś o jego rodzinie? – zapytałam. – Na przykład o jego rodzicach?

– Nie chciał o tym mówić – usłyszałam w odpowiedzi.

– Mówiąc o nim „rozbitek”, miałeś na myśli, że był po przejściach?

– Tak sądzę.

– I nie możesz mi nic więcej powiedzieć? Nie mógłbyś, nawet gdybym była nie pedagożką, a policjantką?

– Marna byłaby z ciebie policjantka. – Willenius westchnął ciężko. – Nie mam nic do dodania.

Kiedy już wyszłam z willi, uderzyło mnie, że w gruncie rzeczy Eugen Kallmann i Gustaf Willenius mieli podobne charaktery. Ta sama nieprzystępność, to samo zamiłowanie do wymijających odpowiedzi i wprowadzania aury tajemniczości. Byli niczym starzy pokerzyści, którzy uważają, by nie ujawnić, co mają w ręku. Zdążyłam ujść zaledwie dwieście metrów, kiedy do głowy przysła mi kolejna myśl: czy to możliwe, że byli spokrewnieni? Czy... czy Willenius nie mógł po prostu być starszym bratem Kallmanna? Czy właśnie to ich łączyło, czy dlatego Willenius „wyciągnął pomocną dłoń”? Może szpital w Lund był tylko wymówką? Kolejną fikcją? Kolejnym cholernym wymysłem?

Bo jak właściwie wyglądała przeszłość Willeniusa? Jaki był jego życiowy bagaż?

Hola, hola, Kovacs, detektywie o chorej wyobraźni! – musiałam przywołać się do porządku. Nie ma nic złego w fantazjowaniu, ale chyba teraz szukasz

prawdy? Lepiej wracaj do domu i zajmij się swoim życiem i rozwodem.

Zastosowałam się do tego polecenia, nie mogę jednak powiedzieć, że zupełnie wybiłam sobie z głowy moje podejrzenia.

Niestety, podczas lunchu z byłym dyrektorem nie udało mi się rozwiązać zbyt wielu wątpliwości.

Leon

Niemiecki Dom? – zapytał Hans-Ivar Möller. – Tak, to miejsce ma okropną historię.

Siedzieliśmy przy biurkach w naszym gabinecie. Za oknem padał gęsty śnieg, do końca przerwy lunchowej mieliśmy dwadzieścia minut. Zapytałem go o to, bo właśnie przeczytałem w lokalnej gazecie list od czytelnika (podpisanego jako *Zdrowy Rozsądek*), który twierdził, że ten dom jest plamą na honorze gminy i powinien zostać zburzony.

– Tak? – zdziwiłem się. – Rozumiesz, jestem nietutejszy. Tak więc ta willa dość długo stała pusta?

– Tak, odkąd zniknął ten Jezus z Säffle. Będzie już jakieś piętnaście lat.

– Jezus z Säffle?

Hans-Ivar uśmiechnął się szeroko i włożył pod wargę prymkę.

– Tak jak mówiłem, ten dom ma burzliwą historię. Jego właścicielami było kilku baronów przemysłu obuwniczego i wiele się tam wydarzyło. Jednak pastor pobił wszystkich i wszystko. Ludzie różnie na niego mówili: Wacek-Schmidt, Pastor Cap, Święty Henry, ale najpopularniejszym określeniem był Jezus z Säffle. Stamtąd właśnie pochodził Henry Adamsson-Schmidt. Naprawdę nigdy o nim nie słyszałeś?

Pokręciłem głową. Hans-Ivar wyglądał na zdziwionego.

– Nie? Myślałem, że był znany w całym kraju jak ten drugi... jak mu tam było?... Scheike czy jakoś tak. Może się jednak myliłem. W każdym razie Jezus z Säffle był naśladowcą Mållego Lindberga, wiesz, tego od Maranata. Przyjechał tu i założył zgromadzenie. Baranki Aarona.

– Baranki?

– Tak, Baranki Aarona. Mieli siedzibę w Niemieckim Domu, on tam nawet mieszkał. Zgromadził wokół siebie sporą grupę, prawie same kobiety. Drań miał charyzmę, tacy jak on chyba muszą mieć. Naprawdę przypominał Jezusa z Nazaretu... chudy, z brodą, długimi włosami... Miejscowi kupili jego gadkę jak Indianie wodę ognistą. Zaliczył dziesiątki młodych kobiet z miasta... zresztą nie tylko młodych.

– W latach siedemdziesiątych?

– Tak, w dekadzie wolności. Potem nagle zniknął, tak z dnia na dzień. Spekulacji nie brakowało, w końcu wielu facetów życzyło mu śmierci. A może on sam zrozumiał, że zrobiło się niebezpiecznie i wyjechał jak najdalej od K. Tak czy inaczej, pozostawił po sobie trwałe ślad.

– Masz na myśli...?

– Otóż to. Nie przesadzę, jeśli powiem, że pół tuzina potomków. Choć tylko dwoje dowiedziało się, kim był ich tata. Jeden z nich chodzi do nas do szkoły. Nie masz 9C, prawda?

– Nie.

– Cóż, trafia się nawet w najlepszych rodzinach, nawet na naszej szerokości geograficznej. A ten chłopak, Bergman, bo tak się nazywa, jest całkiem w porządku. Jego mama znalazła sobie mądrzejszego faceta, więc jakoś się to wszystko poukładało. Jednak lokalni historycy amatorzy niechętnie piszą o Barankach Aarona, to pewne. To taka plama na honorze.

– Jak długo tu działał?

Hans-Ivar przez chwilę myślał.

– Nie wiem dokładnie, ale na pewno kilka lat. Cała wspólnota posypała się jak domek z kart, kiedy prorok przepadł. Nadal jest formalnym właścicielem domu, a najwidoczniej nieruchomość nie jest obciążona długami, Baranki już się o to zatroszczyły. Czy też raczej ich małżonkowie. Niech to.

– Ale chyba nie było ich zbyt wiele, tych Baranków?

– Nie więcej, niż był w stanie pomieścić Niemiecki Dom. Czterdzieścioro, pięćdziesięścioro czy jakoś tak. Ten czytelnik ma jednak rację. Gmina nie może beczynnie patrzeć, jak dom się wali. Czekają na powrót Jezusa z Säffle czy co? Ostatnimi laty zrobiło się z tego lokum dosłownie dla wszystkich.

– Na przykład?

– Nastolatki chodzą tam pić i uprawiać seks, tak słyszałem. To taka alternatywa dla świetlicy, że tak powiem. Osobiście nigdy tam nie byłem, więc na mnie nie ma się co powoływać. Co Kallmann miał tam do roboty? Cholernie dobre pytanie.

– A ty jak myślisz?

Hans-Ivar wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Dziwak był z tego Kallmanna, a z biegiem lat jeszcze mu się to nasiliło.

Kiedy kilka godzin później wracałem do domu, brodząc w świeżym śniegu, pomyślałem sobie, że i Hansa-Ivara można zaliczyć do kategorii „dziwak”. Rzecz jasna różnił się od Kallmanna, ale był specyficzny i na swój sposób nieprzejednany. „Przezimowany hipis”, mówi o nim Ellen Moerk i chyba ma rację. Nad jego biurkiem wiszą trzy zdjęcia jego idoli: Che Guevary, Franka Zappy i Bertolda Brechta. Hans-Ivar bynajmniej nie kryje się ze swoimi politycznymi poglądami, nie wśród grona pedagogicznego, a i pewnie w klasie też nie. Ten kraj się stacza, a największą winę za to ponoszą socjaldemokraci! Zdradzili swoje ideały do tego stopnia, że niczym nie różnią się od całej tej bandy liberałów. Kraj i kapitał siedzą w jednej łódce, tak to właśnie wygląda.

„Od lat osiemdziesiątych nie wymyślił nic nowego”, dodaje jeszcze Ellen Moerk. „Niech to jednak zostanie między nami”.

Nie przejmuję się za bardzo poglądami Hansa-Ivara, teraz ważne jest dla mnie tylko to, by nie przypominał sobie znowu o tym kluczu. Minęły trzy dni, odkąd go przechwyciłem, i jak dotąd z niego nie skorzystaliśmy. Ja i Ludmilla uznaliśmy, że najbezpieczniej będzie działać za dnia, a to znaczy, że musimy poczekać do środy, kiedy to mam wolne popołudnie. Dziś jest poniedziałek. Oczywiście mógłbym do tego czasu znów schować klucz w doniczce mojego kolegi rewolucjonisty, ale to chyba niepotrzebne ryzyko. Gdyby Hans-Ivar znów się na niego natknął, mógłby postanowić, że trzeba się go pozbyć, i cały plan spaliłby na panewce. Lepiej już udawać zdziwionego, jeśli zauważy jego brak, a potem odłożyć go po kilku dniach. Na przykład do którejś z szuflad Hansa-Ivara. Zamiłowaniem do porządku mój kolega bowiem nie grzeszy.

To jednak nie o kluczu rozmyślałem, powoli sunąc do domu przez wciąż gęsto padający śnieg, a o tej willi i o zaginionym przywódcy sekty. O Jezusie z Säffle w Niemieckim Domu. Osobliwa historia. Ludmilla wprawdzie wspominała mi o tym miejscu, ale nie przypominałem sobie, bym kiedykolwiek słyszał o proroku, który zniknął.

Gdyby nie śnieg, poszedłbym pewnie naokoło i rzucił okiem na ten dom. Mijałem go czasem. Leży w północnej części miasta, na wzgórzu za kościołem, w starej dzielnicy willowej, która z jakiegoś powodu nazywa się Teneriffa i uznawana jest za snobistyczną. Łatwo się więc domyślić, że niezamieszкана ruina jest solą w oku dla tego czy innego porządnego obywatela.

Jeśli wierzyć Hansowi-Ivarowi, to przywódca sekty zaginął jesienią 1979 roku. Wtedy też Eugen Kallmann został zatrudniony w naszej szkole. Przypadek czy też te dwa wydarzenia jakoś się ze sobą łączyły? Skąd... skąd w ogóle przyszło mi do głowy to pytanie?

Może dlatego, że przed godziną rozmawiałem z Ludmillą przez telefon. Streściła mi swoją wizytę u starego dyrektora Willeniusa. I ona, i ja musieliśmy przyznać, że jego informacje nie rzuciły nowego światła na sprawę. O tym, że Kallmann nazywał się inaczej przed przyjazdem do K., czytaliśmy już w pamiętniku (choć nie było wiadomo, na ile można w to wierzyć). Domyślaliśmy się też, że ci dwaj znali się już wcześniej. Dowiedzieliśmy się tylko, że w maju, tuż przed swoją śmiercią, Kallmann był na tropie. Ktoś go „wyzwał”, jakiś „przeciwnik” czy jak go nazwać. Choć równie dobrze mogła to być ona, nic przecież nie wskazywało na to, że był to mężczyzna.

Kto to? – to oczywiście pytanie numer jeden. Choć można było zastanowić się też nad tym, dlaczego po prostu nie udaliśmy się z naszymi rozważaniami na policję. Może oni zadali sobie te same pytania już w maju, po czym uznali, że nie ma po co drążyć tematu? Że w gruncie rzeczy bezpodstawne były podejrzenia co do tego, że Kallmanna pozbawiono życia, w związku z czym należało zakończyć śledztwo?

Bez dwóch zdań ciekawie byłoby móc skorzystać z ich odkryć, pomyślałem, kiedy już dotarłem do domu i otrzepywałem się ze śniegu na klatce schodowej. Tylko jak niby miałyby się to odbyć? Nie miałem pojęcia. Nie wiedziałem, czy raporty z policyjnego śledztwa uznaje się za dokumenty publiczne. Może nasz systematyczny Igor będzie się orientował.

Kiedy już w kuchni rzuciłem okiem na kalendarz ścienny, dotarło do mnie, że dziś mijają dokładnie cztery miesiące od mojego przyjazdu do K. A miałem wrażenie, że więcej, znacznie więcej. Z przerażeniem uświadomiłem sobie też, że przez cały dzień ani razu nie pomyślałem o Helenie i Judith. Czy tak właśnie ginie pamięć o zmarłych? O tych, którzy kiedyś byli wśród żywych?

I co się stało z moją beznadziejną nadzieją w sprawie Judith? Jeszcze niedawno wciąż uznawałem ją za zaginioną. Dopadło mnie wszechogarniające

poczucie straty i siedząc przy kuchennym stole, wybuchnąłem gwałtownym płaczem.

Telefon zadzwonił dwie po dziewiątej wieczorem. Jestem pewien godziny, ponieważ podnosząc słuchawkę, zerknąłem na radio z cyfrowym zegarkiem. Pozbierałem się już i wziąłem się do sprawdzania wypracowań, przez chwilę nawet myślałem, czy nie zignorować dzwonka, ponieważ jednak dwa połączenia na trzy pochodzą od Ludmilly, odebrałem.

– Słyszałeś? – zapytała.

– Nie. Co się stało?

Ludmilla wzięła głęboki wdech, jakby sama chciała przygotować się na to, co powie.

– Obok szkoły znaleźli martwego chłopca.

– Martwego?

– Tak.

Przełknąłem ślinę.

– To ktoś z naszych uczniów?

– Najwyraźniej. Wisiał na drzewie.

Dobry Boże, co też ona mówi?

– Kto to? Popełnił samobójstwo?

– Mówią... – Tu zrobiła pauzę. Znów ciężko westchnęła, jakby nie mogła złapać powietrza. – Mówią, że mógł to zrobić ktoś inny.

– Ktoś inny? Masz na myśli to, że...

– ...ktoś mógł go zamordować, owszem.

– Ludmilla, co ty mówisz? Czy to znowu ci naziści?

– Nie sądzę. W każdym razie nie, jeśli to, co mówią jest prawdą.

A mianowicie, że to Otto Hansson tam wisiał.

– Otto Hansson? To przecież ich lider. W takim razie może chodzić...

– ...o tych z drugiej strony barykady, właśnie – dokończyła za mnie

Ludmilla. – Ofiary, które się mszczą. Nie wiem jednak, czy naprawdę chodzi o Ottona. Usłyszałam o tym zaledwie pięć minut temu. To jeszcze niepotwierdzone.

– Skąd się o tym dowiedziałaś?

– Zadzwoił do mnie Fröberg. Musimy jak najszybciej zwołać grupę kryzysową. Jadę teraz do szkoły, pomyślałam jednak, że najpierw zadzwonię do ciebie. Niestety to inni uczniowie go znaleźli. Jeden z nich to Reidar Knutsson, a jego tata jest redaktorem naczelnym lokalnej gazety, tak więc wiadomość poszła w świat.

– Cholera, co tu się dzieje?

– Dobre pytanie.

– Czy ktoś go zamordował, a potem powiesił na drzewie? To brzmi jak... jakiś kiepski film.

– Wiem. Przykro mi, że ściągnęłam cię do tego inferna. W Sztokholmie z pewnością jest spokojniej. Muszę lecieć.

Rozłączyliśmy się. Przez kilka minut siedziałem przy stole kuchennym, wpatrując się w lodówkę. Potem odsunąłem na bok stertę wypracowań i nalałem sobie ćwierć szklanki whisky. Miałem solidne podstawy, by sądzić, że jutrzejsze zajęcia zostaną odwołane.

Andrea

Gorzej być nie może.

Jest przedpołudnie, dzień powszedni, ale nie mam lekcji.

Szkołę zamknięto. Wczoraj wieczorem znaleźli ciało Ottona Hanssona. Wisiał na drzewie w alei prowadzącej od szkoły do sali gimnastycznej. Wciąż nie wiem, czy zrobił to sam, czy winien jest ktoś inny.

Ktoś, kto go zamordował. Bo przecież tak to wygląda. Robi mi się wręcz niedobrze, kiedy o tym pomyślę. Kiedy godzinę temu próbowałam wcisnąć w siebie śniadanie, omal nie zwymiotowałam.

W świetlicy działa grupa kryzysowa, jeśli ktoś czuje, że musi z kimś porozmawiać, może się do nich zwrócić. Może ja i Emma zrobimy to po południu. Emma niedługo tu przyjdzie, rozmawiałyśmy przez telefon o tym, co się stało. Zarówno wczoraj wieczorem, jak i chwilę dziś rano.

Trudno nam było znaleźć słowa, łatwo dało się to zauważyć. Może dlatego, że na to nie ma dobrych słów, te zwykłe wydają się jakby blade i ubogie. Emma mówi, że nigdy w życiu nie doświadczyła czegoś takiego, ale czuje się rozbita.

Chodzi o to, że Otto Hansson był obrzydliwą świnią, ale to niczego nie usprawiedliwia. Nie daje to nikomu prawa, by go zabić.

O ile faktycznie coś takiego miało miejsce. Emma też oczywiście nie wie.

Nikt nie wie, ale mówią, że na dziś po południu policja zapowiedziała konferencję prasową. Ludzie muszą się przecież dowiedzieć, jak wygląda sytuacja.

Przyznaję, że i ja mam mieszane uczucia. Jeszcze kilka dni temu chciałam, by wszyscy skinheadzi i naziści zostali odcięci od świata gdzieś w leśnej głuszy i żeby nie pojawiali się w mieście i nie wszczynali kłótni. Nie znaczy to jednak, że należy ich mordować. Oczywiście, że nie.

Ale... czy na pewno? Czy gdzieś w głębi duszy nie uważam, że to dobrze, że Otto Hansson nie żyje? Czy to w każdym razie nie jest sensacyjne wydarzenie? Może jestem obrzydliwą hipokrytką, ukrywając moje prawdziwe uczucia?

Jezu, to wszystko nie jest łatwe.

Mam jednak nadzieję, że to on sam odebrał sobie życie. Im dłużej się zastanawiam, tym pewniejsza jestem. Bo w przeciwnym razie... jak teraz będziemy chodzić do szkoły? Przecież właśnie tam kryje się morderca. Lub mordercy. Tak musi teraz myśleć policja. Nietrudno zgadnąć, co sobie pomyślą i wśród których uczniów będą szukać.

Wśród tych, którzy mieli wyjątkowy powód, by nie lubić Ottona Hanssona i jego naśladowców. Wśród tych, którzy mieszkają w naszym mieście, ale pochodzą z innych krajów. Tych, którzy przybyli tu w poszukiwaniu lepszego życia, ale których przywitały chłodne spojrzenia i zamknięte serca. Łyse głowy i swastyki.

Minuta ciszy w auli ku czci Ottona Hanssona? Pewnie na tym się skończy. Bez względu na to, jak zginął. Cieszę się, że to nie ja będę musiała wygłosić mowę sytuacyjną. Może to dobra okazja, żeby zwać ze szkoły, przecież nikt nie będzie sprawdzać listy.

Nie podobają mi się moje własne myśli. Zupełnie jakby należały do kogoś innego.

– I czemu to niby ma służyć?

Emma zdenerwowała się już pięć minut po wejściu do świetlicy Mymlan. Wyglądało na to, że zjawilo się tam pół szkoły. A do tego jakieś dziesięć, dwanaście osób z grona, kilka kobiet z opieki społecznej, animatorzy, pastor, dziennikarz i fotograf. Kolejka chętnych na rozmowę z Ludmillą Kovacs lub innym dorosłym była długa. Gruba Greta oraz Słodka Göta, dwie panie z naszej stołówki, rozdają darmowe herbatę, sok lub kawę i bułeczki cynamonowe.

– Można by pomyśleć, że to wojna – stwierdziła Emma. – Cholerna obłuda. Otto Hansson dla nikogo tu nic nie znaczył. Popatrz tylko na te głupie gęsi, które ryczą.

Wskazała na grupę dziewczyn z siódmej klasy, które łkały przy jednym ze stołów. Svante, jeden z wuefistów, próbował je uspokoić.

– To przez śmierć – wyjaśniłam Emmie. – Nie chodzi tu o tę łąsą pałę, Ottona, ale o samą śmierć, nie rozumiesz?

– Dobra, skoro tak mówisz. Bierz herbatę i bułkę, potem stąd spadamy. Ja przynajmniej mam taki plan.

Kiedy wyszliśmy, znów zaczął padać śnieg, zrobiło się prawie ciemno, choć była dopiero druga po południu. Stwierdziłyśmy, że zajdziemy do szkoły, żeby sprawdzić sytuację. Emma nie łapie, dlaczego zwolniono nas dziś z zajęć, więc i to musiałam jej wytłumaczyć.

– Czy ty nic dzisiaj nie kumasz? Przecież szkoła może być miejscem zbrodni. Jeśli to ktoś inny powiesił Ottona na drzewie, policja musi zabezpieczyć ślady. Jak mieliby to robić, gdyby pięćset osób je zdeptało?

– Otto był mendą – odparła Emma. – Stukniętą mendą.

Nie ma to wiele wspólnego z tym, co mówiłam, zrozumiałam więc, że Emma trafnie opisała mi swój stan przez telefon. Faktycznie jest „rozbita”, mimo że jest pół-Argentyńką, pół-Szwedką, nie potrafi sobie radzić

z emocjami. Słysząc, że jest bardziej wkurzona niż zazwyczaj. Mam wrażenie, jakby złość pomagała jej powstrzymać łzy.

Objęłam ją. Z reguły tak nie robię, ale wydawało mi się, że teraz powinnam. Że to ważne. Nie wiem dlaczego, ale nie wszystko, co się robi, trzeba sobie racjonalnie tłumaczyć. Emma posłała mi przelotne spojrzenie, widziałam, że jest mi wdzięczna.

Doszliśmy do ogrodzenia szkoły. Wciąż obejmowałam Emmę. Teren był oddzielony biało-czerwonymi taśmami, a zmarznięci policjanci stali, przytupując w śniegu. Naliczyłam ich co najmniej pięciu, podeszliśmy do jednego.

– I jak idzie? – zapytałam głupio.

– Za kilka godzin zdejmemy taśmy – odparł. – Na razie jednak nie możecie przejść.

Pokiwałam głową. Emma też.

– Zimno, co?

– Ano.

– Jak długo pan tu stoi?

– Trochę. No, zmykajcie już.

Posłuchałyśmy. Powoli ruszyliśmy w stronę rzeki. Zorientowałam się, że nie jesteśmy same. Sporo innych osób też kręci się wokół taśm. Zarówno dorosłych, jak i nastolatków. Chyba chcą zapamiętać sobie tę scenę. Ten mroczny zimowy dzień, kiedy znaleziono chłopaka wiszącego na drzewie przed szkołą Bergtuna. Czegoś takiego nie chce się zapomnieć, każdy chciałby opowiedzieć o tym ludziom, którzy nie byli na miejscu. Dzieciom, wnukom i krewnym z południa. Bądź co bądź, w naszym mieście rzadko dzieje się coś dramatycznego.

Te myśli znów przyprawiły mnie o mdłości.

– A ty co, zmieniasz się w lesbijkę? Co ci odbiło? – zapytała Emma.

Zorientowałam się, że wciąż ją obejmuję, nie puściłam jej jednak od razu.

– Jestem równie aseksualna jak zawsze – odparłam. – A ty?

Wreszcie Emma zarechotała. Nie tak zażywnie jak zwykle, ale trwało to chwilę.

– Przepraszam – powiedziała. – Ale to takie dziwne, ta historia Ottona nazisty. Nie dalej jak wczoraj jeszcze dyndał na tym drzewie. Idziemy do ciebie czy do mnie?

Wylądowałyśmy u niej. Wyjątkowo cicho przesiedziałyśmy godzinę w jej pokoju, aż przyszła pora na lokalne wiadomości radiowe. Ponad połowę programu poświęcono policyjnej konferencji prasowej zwołanej po wydarzeniach w naszej szkole. Obie z Emmą siedziałyśmy pochylone do przodu z wyciągniętymi szyjami. Niemal wstrzymałyśmy oddech, by nie uronić ani słowa. Przypomniały mi się sceny ze starych filmów, na których rodziny gromadzą się wokół radioodbiorników, by wysłuchać doniesień wojennych.

„Policja podejrzewa, że śmierć nastolatka, którego wczoraj późnym wieczorem znaleziono martwego w pobliżu szkoły Bergtuna, odbyła się przy udziale osób trzecich”, oznajmił na samym początku poważny głos spikera. To chyba niejaki Göran Petrén, tata dziewczyny z równoległej klasy (tej, która za kilka dni będzie Łucją w pochodzie). „Dziś szkoła była zamknięta – ciągnął spiker – jednak od jutra będzie działać normalnie. Powołano centrum kryzysowe...”.

I tak dalej. Do tego urywek nagrania z konferencji prasowej, na której były tłumy. Wywiad z policjantem, który potwierdza, że podejrzewają zabójstwo, jednak dla dobra śledztwa nie może powiedzieć nic więcej. Wywiad z dyrektorem Torstenssonem, który jest wstrząśnięty, jednak za wcześnie jeszcze, by sprecyzować, jakie kroki podejmie szkoła. Wywiad z dwojgiem uczniów, Anną-Karin Severin z 8A i Klasem Malmgrenem z 9E. Żadne z nich nie ma nic rozsądnego do powiedzenia poza tym, że są zszokowani

i zasmuceni.

Ani słowa o ewentualnych motywach. Ani o tym, że zabity uczeń był znanym skinheadem i sympatykiem ruchu nazistowskiego. Ani o incydentach na tle rasistowskim, które miały miejsce jesienią.

Na razie nie ma podejrzanych. Świadców też nie. Apeluje się jednak do mieszkańców miasta o zgłaszanie obserwacji. Wszyscy, którzy znajdowali się w pobliżu szkoły wczoraj wieczorem, powinni skontaktować się z policją.

Numer telefonu. Powtórzony.

Potem nadano prognozę pogody. Więcej śniegu. Emma wyłączyła radio.

– No – podsumowała. – To już wiemy. Po okolicy grasuje morderca.

– Myślisz, że jutrzejszy test z matmy odbędzie się zgodnie z planem?

Emma pokręciła głową.

– Nie ma mowy. Całe przedpołudnie zejdzie na zebraniu w auli i spotkaniach grup kryzysowych. Odwołają wszystkie testy.

– Dobrze – stwierdziłam. – Jak to się mówi? Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło?

– W Argentynie mówi się na odwrót. W każdym razie moi krewni tak mówią. Każda ładna dziewczyna chowa w torbie czarownicę... czy jakoś tak.

– Brzmi jak komentarz obleśnego dziada – stwierdziłam.

– W Argentynie nie brak obleśnych dziadów.

Potem nie wiedziałyśmy, co mówić i robić. Pomyślałam, że ja i Emma jesteśmy trochę zbyt młode, by znaleźć słowa, które mogłyby nazwać nasze uczucia. Potrafimy tylko klepać zgrabne banały, a one nie pasują do obecnej sytuacji.

– Chyba pójdę do domu – powiedziałam. – Nie mogę jakoś dojść do siebie po tym wszystkim.

– Ja też nie. Kurde. Zdzwonimy się wieczorem albo spotkamy jutro rano.

– Dobra.

W domu okazało się, że powstała jeszcze jedna grupa kryzysowa. Mama i Bernt-Olov siedzą przy stole z zawziętym wyrazem twarzy. Nie wiem, gdzie podzieli się bracia, może są już w łózkach, mam nadzieję. Nagle nasza mnie ochota, by oznajmić Berntowi-Olovowi, że przecież nie jest moim prawdziwym tatą i nie ma nic wspólnego ze mną i moimi planami. Powstrzymałam się jednak. Zresztą, niby z jakimi planami, skoro żadnych nie mam?

– Co się dzieje? – odezwała się mama. – Usiądź, porozmawiamy.

– O czym? – zapytałam.

Bernt-Olov milczał. Założył ręce na piersi i wpatrywał się w doniczkę, która zawsze stoi na stole na biało-czerwonym obrusie, zrobionym przeze mnie w trzeciej klasie podstawówki.

– O tym, co się dzieje w szkole, oczywiście – powiedziała mama. – Słuchaliśmy wiadomości. Przecież tego chłopaka zamordowano.

– Tak – potwierdziłam. – Na to wygląda. Ale nie ja to zrobiłam.

– Co też ty...? – wtrącił Bernt-Olov.

– Ona żartuje – wyjaśniła mu mama.

Sięgnęłam po krzesło i usiadłam.

– Straszna historia – westchnęła mama. – Wiesz coś więcej niż to, co mówili w radiu?

Pokręciłam głową.

– Nie, niby skąd?

– Chyba ze sobą rozmawiacie? – zdziwiła się mama. – Ty i twoi znajomi.

– Jestem pewna, że nikt z moich znajomych nie był w to zamieszany – odparłam.

– Mam nadzieję, że masz rację. Ale kim właściwie był ten chłopak, który zginął?

– Co masz na myśli? – Nie zrozumiałam.

Mama wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem... znałaś go na przykład?

– Prawie nie.

– Jak on się nazywa? To znaczy nazywał?

– Otto Hansson. Był nazistowską świnia z Lyssne.

– Na litość boską! – wtrącił się znów Bernt-Olov. – Przecież tak nie można mówić!

– A jak mam mówić? Był jednym z tych skinheadów, co to wszędzie bazgrołą swastyki i uważają Hitlera za geniusza, którego świat nie zrozumiał.

– Ale on był tylko dzieckiem – zawahała się mama. – No i nazywać go świnia teraz, kiedy...

– Każdy nazista to świnia – odparłam. – Choć nie każda świnia to nazista.

– Mądre słowa – skonstatował ku mojemu zaskoczeniu Bernt-Olov. – Kto jednak go zabił? Masz na myśli, że...?

– Gdyby nie był nazistą, to by się nie stało – wyjaśniłam.

– Hm – odparł Bernt-Olov.

– Byli więc ludzie, którzy aż tak go nienawidzili, że... że byli gotowi posunąć się tak daleko? – zapytała mama.

– Najwidoczniej.

Mama chwyciła mnie za rękę.

– A jak ty się czujesz? Rozumiesz chyba, że się niepokoiimy o ciebie. Nigdy wcześniej nic podobnego nie miało miejsca... w każdym razie nie w K. Jak to teraz będzie w szkole? Jutro macie zajęcia jak zwykle?

Widziałam, że mama naprawdę była wstrząśnięta. Odruchowo miałam ochotę ją uściskać. Jednak powstrzymałam się ze względu na obecność Bernta-Olova. Powiedziałam tylko, że nie musi się o mnie martwić i że nie mam pojęcia, kto zabił Ottona Hanssona. Ani dlaczego ktoś to zrobił. Ale tak, jutro mamy lekcje.

Potem popatrzyłam na zegar.

– Muszę zadzwonić do Jossego Bergmana i zapytać, czy mamy trening.

Trening koszykówki nie był odwołany. Policjanci tak jak obiecali, zdjęli taśmy. Punktualnie o wpół do siódmej czekałam na sali, przebrana i gotowa. We wtorki mamy trening łączony dla chłopaków i dziewczyn. Dziś jednak nikogo nie interesują ćwiczenia. Dzielimy się na drużyny i gramy, ot tak. Choć najpierw Josse zebrał nas na środku boiska. Powiedział kilka poważnych słów o tym, co się wydarzyło, i zapytał, czy dobrym pomysłem będzie minuta ciszy.

Po krótkim wahaniu uznaliśmy, że niekoniecznie. Z pewnością jutro w szkole takich minut będzie sporo.

Josse zapisał w kalendarzu listę obecności. Potem zapytał, czy ktoś wie, dlaczego Ivan Kardasjan nie przyszedł. Nikt nie wiedział. Zastanowiłam się i doszłam do wniosku, że Ivan jeszcze nigdy nie opuścił treningu.

Poczułam gulę w żołądku.

36

Igor

Nie ulegam silnym emocjom, taką już mam naturę. Zapewne świetnie sprawdziłbym się podczas różnego rodzaju katastrof oraz sytuacji kryzysowych, choć przez pięćdziesiąt sześć lat życia los raczej mi takich oszczędzał. Gdybym nie wybrał kariery nauczyciela, byłbym dobrym strażakiem. Mówiąc prościej, kiedy innych dopada panika, ja zachowuję spokój.

Wspominam o tej okoliczności, tej cesze charakteru w związku z zabójstwem Ottona Hanssona. Minęła doba, odkąd znaleziono go wiszącego na drzewie przed szkołą, natomiast kilka godzin temu podano do wiadomości, że rzeczywiście chodzi o morderstwo z premedytacją.

Lub przynajmniej zabójstwo. Przed chwilą słyszałem w radiu komunikat policyjny i nie mogę powiedzieć, żeby to było zaskoczenie. Jeśli tylko ktoś potrafi dodać dwa do dwóch, łatwo się zorientuje, że Otto Hansson nie był typem, który mógłby się powiesić. To prawda, że ludzie – nawet młodzi – odbierają sobie życie z różnych powodów, jednak kiedy tylko usłyszałem, co się stało, pomyślałem sobie: to nie samobójstwo, a czyn zupełnie innego sortu. Zupełnie innego rodzaju.

Oczywiście był to szok, nawet dla mnie. Nie mogłem tego w żaden sposób przewidzieć, mimo że starałem się jakoś rozpracować wszystkie zdarzenia

o podłożu rasistowskim, na które byliśmy narażeni jesienią. Teraz tym bardziej nie mogę powiedzieć, że cokolwiek udało mi się w tym względzie osiągnąć, absolutnie nie. Nadal, podobnie jak inni, nie mam pojęcia, kto kryje się za pseudonimem Patrol Porządkowy, nie wiem też, kto jest winien napaści na Yilmaza Budaka oraz Moammara Kavaliego.

Być może Otto Hansson był w te sprawy zamieszany. Trudno sobie wyobrazić, by to on pisał czy nawet był inicjatorem schludnie napisanych listów, które dostała Vera Rönne i Ivan Kardasjan. Dwa pozostałe incydenty mogły jednak być sprawką młodego nazisty – jednego lub kilku.

Prawda? – pytam sam siebie. Odpowiedź jest twierdząca, natychmiast pojawia się więc kolejne pytanie: kto zabił Ottona Hanssona? W jakim kręgu należy szukać sprawcy?

Niestety odpowiedź jest tak oczywista, że nawet ślepiec by zauważył. Problem w tym, że zauważą to wszyscy: sprawcę (bądź sprawców) znaleźć można wśród uczniów z tak zwanym pochodzeniem imigranckim. Piszę „tak zwanym”, ponieważ nie lubię tego określenia. Według tej samej nomenklatury mnie można zaliczyć do „migracji drugiego pokolenia”, a moje dzieci, gdybym takowe miał, byłyby „trzecim pokoleniem”. I tak dalej. Chciałbym kiedyś znaleźć się w miejscu, gdzie ludzi będzie się oceniać ze względu na ich charakter oraz faktyczne wady i zalety, a nie pochodzenie. W społeczeństwie, które nie będzie naznaczone ksenofobią i podziałem my – oni.

Dream on baby, pomyślałem poirytowany, a moja irytacja wzrosła, kiedy uświadomiłem sobie, że tak głupkowate wyrażenie przyszło mi do głowy. No ale człowiek zmienia się pod wpływem towarzystwa, a ja przebywam przede wszystkim wśród nastolatków, i to tych młodszych, którzy mają od trzynatu do szesnastu lat.

A teraz jeden z tych nastolatków został zabity przez innego (innych?). Tak wygląda równanie.

Niewiadoma kryje się w zbiorze... ilu... trzydzieścioro, czterdzieścioro uczniów? Mimowolnie zacząłem w myślach przeglądać tę listę potencjalnych zabójców. Uczniów o pochodzeniu imigranckim, którzy dla skinheadów byli celem ataków oraz zagorzałymi wrogami. Kto z nich? Hassan z 9A? Kamir z tej samej klasy? Mehmet Reza z 8D? Reza z 8E? Może kilkoro razem?

Może to ktoś starszy? Zarówno Yilmaz Budak, jak i Moammad Kavali mieli starszych braci, którzy byli naszymi uczniami kilka lat temu. Jeśli uznać zabójstwo Ottona za dobrze zaplanowany akt zemsty, rozsądne wydaje się, że stoi za nim kilka osób, wśród nich starsze. Uświadomiłem sobie, że niewiele wiem o tym, jak młodzież łączy się w grupy, co nieco mnie zawstydziło. Czy ja, który kiedyś byłem w podobnej sytuacji, nie powinienem znać ich lepiej? Wcześniej wspominałem o więzi łączącej mnie z Ivanem Kardasjanem, co jednak zrobiłem, by spełnić oczekiwania, które we mnie pokładał?

Niewiele, naprawdę niewiele.

Dziś kilka godzin spędziłem w Mymlan, niedziałającej już świetlicy dla młodzieży, która od pięciu lat stoi pusta. Ponieważ szkoła jest zamknięta, uczniowie mogli przyjść do zorganizowanego tam centrum kryzysowego, które jest jednym z tych niewyraźnych kroków, jakie społeczeństwo próbuje podjąć, kiedy nie uda mu się poradzić sobie z prawdziwymi problemami. Kiedy przetoczy się przez nie fala szoku, wstrząsając podstawami jego struktur.

Kiedy ludzie zdają się bać. Kiedy zdarzy się coś niesłychanego. Kiedy na przykład ktoś zamorduje młodego człowieka, a nikt nie potrafi tego pojąć. Bo jak to się mogło stać? W naszym spokojnym mieście? Dlaczego? W czym zawiniliśmy?

Siedząc w Mymlan, zaobserwowałem, że nie pojawił się tam prawie żaden uczeń o pochodzeniu imigranckim. To znaczy, kiedy przybyłem na miejsce około dziesiątej rano, z budynku wychodziła mała grupka, dwie dziewczyny i trzech chłopaków. Nie mogę oczywiście wiedzieć na pewno, ale wyglądali,

jakby ktoś ich spławił. Jakby ktoś powiedział im, że nie są tam mile widziani.

Czy to możliwe? Wiem, że mogłem wyciągnąć pochopne wnioski. Ta piątka, którą widziałem, nie należy do tych, co to zadzierają nosa. Dwoje lub troje z nich pochodzi z jednej kurdyjskiej rodziny, która mieszka w mieście od piętnastu lat. „Przyjęli się” tu. Czy też „zasymilowali”, jeśli chciałoby się użyć kolejnego z tych modnych słówek, których tak nienawidzę.

Tak czy inaczej, nietrudno wyobrazić sobie niezbyt przyjemny (ale całkiem prawdopodobny) scenariusz na przyszłość: zacięty konflikt między skinami i imigrantami. Między svenssonami a ciapatymi, jeśli użyć wyrażeń popularnych wśród nastolatków.

Ryzyko jest, delikatnie mówiąc, niemałe. Bo nawet jeśli rozumowanie i wyciąganie wniosków nie jest najmocniejszą stroną łysych pał, to na pewno będą próbowali znaleźć zabójcę Ottona Hanssona. A szukać będą w tym samym miejscu co policja.

To najbardziej prawdopodobny rozwój wypadków, czyż nie?

Pytanie retoryczne. Miejmy nadzieję, że policja pierwsza trafi na sprawcę.

Bo jeśli nie?

Czy Otto Hansson zostanie symbolem męczeństwa? Współczesnym Horstem Wesselem? Mimo że – jak wspomniałem – niełatwo popadam w panikę, to na myśl o tym przebiegają mnie ciarki.

I bynajmniej nie cieszy mnie wizja jutrzejszego zebrania w auli. Ani kolejnego spotkania z inspektorem Marklundem. Ogólnie rzecz ujmując, wizja najbliższych przedświątecznych dni nie była za wesoła. Szkoła musi jednak zacząć działać. Trzeba wystawić stopnie. Zorganizować dzień świętej Łucji. Ciekawe, czy przedstawienie bożonarodzeniowe zostanie odwołane?

No ale to nie leży w mojej gestii. Ode mnie zależy to, by dalej pracować według planu i dawać innym przykład, co jak zawsze starałem się robić. Robię, co mogę, ale narastające zmęczenie, które dokuczało mi przez całą

jesień, teraz tym mocniej daje się we znaki. Miałem nadzieję poświęcić siły na wyjaśnienie wątpliwości związanych ze śmiercią Kallmanna, co jest o wiele bardziej stymulującym zadaniem, wygląda jednak na to, że ta sprawa musi poczekać.

Chociaż kto wie. Mimo że sytuacja jest krytyczna, mogę się pochwalić, że w sprawie Kallmanna osiągnąłem wynik, który da się zakwalifikować jako mały sukces. Zobaczymy, co powiedzą pozostali, kiedy spotkamy się w piątek.

Moim zadaniem było bowiem zbadanie wątku Matsa Wingera. Co drugi tydzień mam z jego klasą podwójną lekcję fizyki (taki zwariowany plan wyznaczył nam Fröberg), a przypadała akurat wczoraj. Po lunchu, w nieparzysty tydzień, jak zwykle. Były to nasze ostatnie zajęcia przed świętami, planowałem więc z każdym osobno omówić sytuację na koniec semestru, chciałem też oddać testy z mechaniki. Usiadłem w laboratorium przy klasie, bo tam chciałem przeprowadzać rozmowy indywidualne, ale zostawiłem drzwi uchylone, żeby kontrolować, czy wszyscy siedzą na swoich miejscach i oglądają film o układzie słonecznym, który im puściłem. Porządek musi być.

Ten cały Winger jest przedostatni na liście, za nim jest tylko Ellinor Österberg. Tym razem jednak nie wywoływałem ich alfabetycznie, bo bałem się, że na Wingera zostanie mi za mało czasu. Po kwadransie odesłałem Fridę Lindström, żeby wróciła oglądać film, i poprosiłem, by zawołała Matsa Wingera.

Przyznaję, że serce zaczęło mi bić szybciej, kiedy chłopak usiadł na krześle naprzeciwko mnie i posłał mi to swoje nadąsane, nieco niepewne spojrzenie. Na co dzień nie oddaję się takiej wywiadowczej działalności, na szczęście przygotowałem sobie plan. Zawsze dobrze mieć plan, w szkole improwizacja najczęściej nie wypala, nauczyły mnie tego lata pracy.

– Zanim zajmiemy się twoimi osiągnięciami z fizyki – zacząłem – chciałem

cię zapytać o coś innego.

– Tak?

Młody Winger miał w sobie pewną płochliwość, trochę przypominał szczura. Jakby bez przerwy spodziewał się lania albo przynajmniej nagany. Może i nie jest niezdolny, ale chorobliwie skryty. Zdecydowanie zbyt skryty.

– Jak może wiesz, mój brat jest komisarzem policji...

– Serio?

– Nie u nas w mieście, choć to nie ma znaczenia. Zajmuje się poważnymi przestępstwami, a w związku z jedną ze spraw natrafił na pewne nazwisko. Opowiedział mi o tym, ponieważ ma to związek z K. Rozumiesz?

Mats Winger ostrożnie poruszył głową, ni to nią kręcąc, ni kiwając. Było jasne, że nie miał pojęcia, o co chodzi, jednocześnie jednak był zdenerwowany.

Przygryzł dolną wargę i wbił wzrok w buty.

– Nie ma to nic wspólnego z tobą. W najmniejszym stopniu. Wiem jednak, że przypadkiem znasz to nazwisko.

Zrobiłem pauzę. Mats Winger ani drgnął.

– Opowiedziałem o tym bratu i teraz on chce wezwać cię na przesłuchanie. Zgodzisz się?

Przełknął ślinę. Jakoś mi szło, ale powoli.

– Nie wiem, czy wiesz, jak przebiega przesłuchanie policyjne. Nie jest to jednak nic miłego. Złożyłem więc mojemu bratu propozycję.

– Tak?

Rzucił mi szybkie spojrzenie, potem znów zapatrzył się na buty.

– Powiedziałem, że równy i miły z ciebie chłopak i że na pewno powiesz mi wszystko, jeśli cię o to poproszę. W ten sposób nie będziesz musiał jechać na posterunek.

Zaczęła mu się trząść jedna noga, położył więc na niej rękę, żeby zatrzymać

drgania.

– Jeszcze jedno.

– Tak...?

– To, co powiesz, zostanie między nami, więc nie musisz się niepokoić.

Nikt się o tym nie dowie. Masz na to moje słowo, rozumiesz?

– Sam nie wiem...

– Możesz oczywiście zrobić, jak chcesz. Akurat teraz mój brat jest w Ö., jest więc gotowy cię wezwać. Choćby zaraz.

Sam byłem zdziwiony tym, z jaką łatwością i zręcznością skleciłem te kłamstwa. Z reguły jestem człowiekiem, który trzyma się prawdy. W szkole, jak w życiu, jeśli się zełga, to i tak wyjdzie na jaw, prędzej czy później.

Mats Winger posłał mi pełne przestrochu spojrzenie.

– Ale... ale o co właściwie chodzi?

– Czego nie zrozumiałeś?

– O jakim nazwisku pan profesor mówi?

Proszę, czy on zawsze zwraca się do mnie per pan profesor? Rzadko kto tak mówi, choć niektórzy wolą używać tej grzecznej formy. Możliwe jednak, że Mats Winger nigdy wcześniej się do mnie nie odzywał.

– Boris Yann Keller.

– Boris...?

– ...Yann Keller, tak. Co ty na to?

Niespokojnie bębnił palcami w udo i przesuwiał stopy po podłodze, to do przodu, to do tyłu. Czekałem. Przyznaję, że wstrzymałem oddech. Minęło kilka długich sekund. Potem Mats wziął głęboki wdech i popatrzył przez okno.

– To Pocke...

– Pocke?

– Pocke Andersson. On zakosił portfel panu Kallmannowi.

– Poczekaj. Kto to jest Pocke Andersson?

- Skończył dziewiątą klasę w zeszłym roku. Jest moim sąsiadem.
 - Rozumiem. Ukradł więc portfel pana Kallmanna. Jak?
 - Chyba z marynarki... Mieli lekcję, a ona wisiała na krześle. Tak mi w każdym razie powiedział.
 - Mów dalej.
- Mats Winger nieco się wyprostował.
- Potem, wieczorem, kiedy byliśmy w domu, pokazał go nam...
 - Tak?
 - Nie było tam zbyt dużo pieniędzy. Jedna setka i parę dwudziestek. Nie omieszkalem nadmienić, że kradzież to poważne przestępstwo.
 - Wiem – przytaknął Mats. – To było głupie... Ale mnie przy tym nie było... byłem tylko przy tym, jak o tym gadał.
 - Uznałeś, że źle postąpił?
 - Tak.
 - A skąd wziął się Boris Yann Keller?
 - Była tam też fotka...
 - Zdjęcie?
 - Tak. W portfelu było sporo innych rzeczy poza pieniędzmi. Karty bankowe i takie tam. No i ta fotka.
 - Co to było za zdjęcie?
 - Był na nim mężczyzna. A na odwrocie było napisane Boris Yann Keller.
 - Rozumiem. Mów dalej.
 - I ja... ja się nim zająłem, że tak powiem.
 - Zająłeś się zdjęciem Borisa Yanna Kellera. Dlaczego?
 - Nie wiem. Wszyscy inni mieli je gdzieś i ten...
 - Nadal je masz?
 - Nie, już nie.
 - Dlaczego? Co się z nim stało?

– Nie wiem, ktoś musiał je zabrać.

Co takiego podpowiedziało mi, że Mats wciska mi kłamstwo? Zapewne coś w jego głosie, sposób, w jaki to powiedział... Jakby chciał dać do zrozumienia, że się tym nie przejmuje. Robiłem szybką analizę i uznałem, że mimo wszystko do tego momentu naszej rozmowy Mats mówił prawdę. Kiedy jednak zapytałem, gdzie jest zdjęcie, nie chciał mi powiedzieć. Dlaczego?

Nie miałem pojęcia. Nie miałem też wiele czasu do namysłu, intuicja podpowiadała mi jednak, że nie ma co go dalej cisnąć.

– No dobrze – powiedziałem. – Postąpiłeś rozsądnie, opowiadając mi o tym. Przekażę to mojemu bratu i nie będziemy cię już w to mieszać. Możesz być spokojny.

Uświadomiłem sobie, że chyba zbyt się pospieszyłem z tą obietnicą, postanowiłem jednak odsunąć skrupuły na bok.

– Jeszcze tylko kilka szczegółów – ciągnąłem. – Jak wyglądał ten Boris Yann Keller ze zdjęcia?

Mats wzruszył ramionami.

– Nijak. Zwyczajnie. To było dość stare zdjęcie.

– Zrobiono je dawno temu?

– Tak myślę. Było dość pogniecione.

– Kolorowe?

– Nie, czarno-białe.

– A ile lat miał ten mężczyzna?

– Nie wiem. Trzydzieści, może czterdzieści.

– Jakieś cechy szczególne? Broda, okulary lub coś takiego?

– Nie. Dość krótko przycięty.

– I nie poznałeś go?

– Nie. Nie mam pojęcia, kto to.

– A ten Pocke... Pocke Andersson, to twój kolega?

– Średnio. Bardziej zadaję się z innymi, ale to mój sąsiad.

– A co on teraz robi? Chodzi do liceum?

– Tak, chodzi do Heli w mieście.

– Masz na myśli Liceum Hellnerska w Ö.?

– No tak, tak się nazywa.

– Pamiętasz, kiedy doszło do tej kradzieży? To było ostatniej wiosny?

Mats przygryzł wargę i chwilę myślał.

– Tak mi się wydaje. Tak, na pewno w drugim semestrze, ale nie pamiętam dokładnie.

W tej sytuacji pozałowałem, że jednak nie mam brata, który jest komisarzem policji. I który w tym miejscu mógłby wkroczyć do akcji. Prawdopodobnie temu chłopakowi należało zadać wiele ważnych pytań, nie naciskając go przy tym, ale ja nie miałem już pomysłu, jak mógłbym ciągnąć tę rozmowę.

Mimo wszystko i tak jak dotąd poszło mi nadspodziewanie dobrze. Być może byliśmy bliżsi rozwiązania tajemnicy Borisa Yanna Kellera? I może przy innej okazji uda się wrócić do tej rozmowy. Oczywiście zirytowało mnie, że nie udało mi się zdobyć samego zdjęcia, ale wiedziałem, że dalej już nie zajdę.

Poza tym musiałem też omówić stopnie Wingera z fizyki.

– Dziękuję ci bardzo – powoli chciałem zakończyć policyjną część naszego spotkania. – Dobrze, że o tym opowiedziałeś. Przekażę to bratu i jeśli co do czegoś będzie mieć wątpliwości, może załatwimy to w ten sam sposób? Między nami? Nie będziesz musiał jechać na policję.

– Tak... nie. Nie chcę na policję.

– Dobrze, umowa stoi. A co sądzisz o swoich postępach z fizyki w tym semestrze?

W mniej niż minutę zgodziliśmy się co do tego, że mimo wszystko Mats

załapuje się na ocenę dostateczną, a jeśli tylko trochę przysiądzie do nauki, to w następnym semestrze może uda się dostać wyższy stopień. Myślę, że obaj – każdy na swój sposób i na podstawie własnych przesłanek – wiedzieliśmy, że mówiąc to, poruszaliśmy się w jakże często eksploatowanej szarej strefie między prawdą a kłamstwem.

Mimo to czułem się całkiem usatysfakcjonowany, kiedy Mats Winger wrócił oglądać film o układzie słonecznym i zawołał kolejnego ucznia.

Boris Yann Keller. Czarno-białe zdjęcie mężczyzny około trzydziestki, czterdziestki, które Kallmann przechowywał w portfelu. Mężczyzny, który był jedynym spadkobiercą wymienionym w testamencie. Dość stare zdjęcie, jak powiedział Mats.

Kim jest?

Bardzo dobre pytanie. A teraz zdjęcie gdzieś przepadło, szlag by trafił.

Znów przeklinam. Ale jak tu nie kłąć? Nie przypominam sobie, bym w całej mojej trzydziestoletniej karierze nauczycielskiej miał trudniejszy semestr niż ten.

A jutro dyrektor Torstensson będzie wygłaszał mowę poświęconą nieżyjącemu skinowi. Truchleję na samą myśl.

Ludmilla

Wreszcie piątek.

Dzień obchodów świętej Łucji (choć samo święto przypada w niedzielę). Obudziłam się o wpół do piątej w naszym niegdyś wspólnym małżeńskim łóżu i przez chwilę miałam wrażenie, że umarłam. Świetnie, pomyślałam. Nie będę musiała iść do szkoły.

Żyję jednak. Po prostu jestem bardzo zmęczona. Choć gęste ciemności zalegające w sypialni naprawdę wzmagają wrażenie, że leży się w grobie. Niespełna dwa metry pod ziemią, czy to nie standardowa głębokość? Nie wiem sama, dlaczego budzę się tak wcześnie, i to dzień w dzień. Śpię najwyżej połowę tego, co powinnam, wiem jednak, że nie ma sensu próbować zasnąć na nowo. Jeśli już się obudziłam, to przepadło.

Wstałam i po omacku poszłam do łazienki. Nie zapalałam światła, bo i tak się tu odnajdę. Nie chciałam patrzeć na swoje odbicie w lustrze, wiem, jak zazwyczaj wyglądam o tej porze. Siedząc na sedesie, pomyślałam, że nawet to podwójne łóżko bardzo przypomina grób. Wcale się nie skurczyło, ale teraz leży w nim tylko jedna osoba. A to dlatego, że pogrzebano w nim małżeństwo. Wspaniały mebel, który młoda para nabyła o poranku swoich nadziei za drogie pieniądze w sklepie w Ö. Ten pieprzony mebel też należałoby posłać do kremacji. Zużyty i pechowy.

Klas nie wrócił do domu na noc. Leżał teraz w innym łóżku ze swoją sztosiaarską lalą z siłowni. Dlaczego nazywam ją „sztosiaarską lalą”? Przecież nie mam sześćdziesięciu lat. Dziś moja kolej. Różnica jest taka, że Klas nie wie za bardzo, gdzie zatrzymałam się na noc. Powiedziałam, że u koleżanki, a on nie dopytywał. Może uwierzył, może nie. Nie obchodzi mnie to, jego pewnie też nie. Nie musimy już przejmować się sobą nawzajem. Święta i Nowy Rok będziemy obchodzić jak kiedyś, ale w styczniu wykładamy kawę na ławę.

O ile moje zmęczenie mnie do tego czasu nie wykończy. Stałam pod prysznicem, dalej rozmyślając o życiu. Czego chcę? Czego?

Cóż, akurat teraz tym, o czym naprawdę marzę, jest inna praca.

Na przykład w biurze, gdzie mogłabym siedzieć za biurkiem i całymi dniami grzebać w papierach. Całymi tygodniami. Sama jedna. Z własnym jedzeniem. Jogurtem, bananem i kanapką na lunch. Bez telefonów, bez innych ludzi, bez obowiązków. Z własnym ekspresem do kawy.

A może pójść do szpitala na kilka dni? Na rehabilitację. Do pojedynczego pokoju, ma się rozumieć. Zabrać ze sobą stertę książek i magazynów. Zakaz wizyt, bo wciąż zarażam. Jednak prognozy są optymistyczne, jeśli tylko będę spokojnie leżeć w tym przyjaznym dla zdrowia otoczeniu przez dziesięć, dwanaście dni, to znów stanę na nogi. Po Bożym Narodzeniu i całej świątecznej gorączce.

Umyłam się z uśmiechem. To znaczy, że wciąż potrafię się śmiać, co nieco mnie zaskakuje. Zatem jest dla mnie nadzieja.

No i chyba uda się przeżyć kolejny piątek. Od poniedziałku minęło już jakieś trzydzieści lat, odbyłam uspokajające rozmowy z trzydziestoma tysiącami uczniów, wzięłam udział w trzydziestu różnych grupach kryzysowych i przepracowałam trzydzieści nadgodzin.

Dziś czekają nas trzy pochody świętej Łucji. To znaczy pochód będzie

jeden i ten sam – pójdzie w nim ta sama Łucja i ci sami uczestnicy. Mam tylko nadzieję, że nie zawalili całej nocy i że będą trzeźwi. I że w auli nie będzie pożaru.

Ponieważ dziś piątek, jutro musi być sobota. Takie oto bystre wnioski nachodzą mnie tego ciemnego ranka pod prysznicem. Jestem przenikliwa niczym noblista. Swoją drogą, wczoraj w radiu słyszałam jednego: był to jakiś amerykański profesor, który opowiadał o hadronach. Nie wiem za bardzo, czym jest hadron, bo niezbyt uważnie słuchałam. Może jednak można się narodzić pod taką właśnie postacią w następnym życiu?

Wróćmy do soboty, bo to w tym miejscu moje myśli pobiegły bocznym torem. Jakich to wydarzeń możemy się spodziewać jutro? Ach tak, parada skinheadów! W związku z zabójstwem wybitnego nastoletniego nazisty Ottona Hanssona z Ö. ma przyjechać dodatkowo większa grupa. Spotkają się na rynku. Z jakiegoś im tylko znanego powodu dostali pozwolenie policji. No ale wiadomo – wolność zgromadzeń to świętość. Organizatorzy nazwali się Przyszłość Szwecji, ale zapowiedziano też kontrdemonstrację. Ponieważ sporo uczniów szkoły Bergtuna będzie na miejscu – po obu stronach – poproszono grono pedagogiczne, by się pojawiło. Dorośli na miasto! I to w przedświąteczną sobotę handlową. Ku pamięci Ottona Hanssona, młodego bojownika o wolność i męczennika! Dobry Boże, jeśli kiedyś miałabym dostać ataku wyrostka, to niech się to stanie teraz!

Chociaż nie, przepraszam! Najpierw chciałabym spędzić noc z panem Bergerem. Może spotkamy się jutro przed południem?

Zakręciłam wodę i wyszłam spod prysznica. Po co przejmować się sobotą? Dziś jest dopiero piątek, a każdy dzień niesie ze sobą własne nieszczęścia. Za godzinę trzeba obudzić chłopców. Erikowi w poniedziałek ściągną gips, na nich wszystko goi się jak na psie, tylko pozazdrościć.

Dwanaście godzin później wciąż żyję. Odkąd Ottona Hanssona znaleziono na

drzewie w alei prowadzącej do sali gimnastycznej, minęły cztery doby, cztery trudne doby dla szkoły. Chyba najtrudniejsze w mojej karierze. We wtorek całą szkołę zamknięto, bo policja przeczesywała teren, szukając śladów. Cały czas zresztą na miejscu kręci się ktoś od nich. Tak było w środę, w czwartek i dziś. Dzięki Bogu nie widziałam inspektora Marklunda. Być może któryś ze zwierzchników w Ö. zrozumiał, że inspektor jakoś nie święcił sukcesów w swojej dawnej szkole. Ani w sprawie Kallmanna, ani w sprawie incydentów rasistowskich, do których doszło tej koszmarnej jesieni. Teraz mamy do czynienia z czymś, co można zakwalifikować jako zabójstwo, a w takim przypadku policja musi pokazać, że coś potrafi.

Rezyduje u nas czterech śledczych ubranych po cywilnemu i uprzejmych. Dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Nie wiem, czy ten podział wiąże się z tym, że proporcja płci w szkole wynosi mniej więcej fifty-fifty, niewykluczone. Może kobietom łatwiej jest rozmawiać z dziewczynami, a facetom z chłopakami. A może jest na odwrót? Nie mam pojęcia, to w końcu rozmowy innego typu niż te, które prowadzę jako pedagożka. W każdym razie policja zajęła na swoją kwaterę główną jedną z sal językowych na piętrze. Wzywają tam uczniów, jednego po drugim, a ponieważ przesłuchali już co najmniej sto osób, nikt nie czuje się jak podejrzany, kiedy musi wyjść z lekcji, bo w drzwiach klasy staje wzywający go policjant. W cywilu i uprzejmy, jak wspomniałam. Zupełnie jakby chodziło o zwykłe szczepienia.

Chodzi jednak o zabójstwo, a podejznanego brak. Nikogo nie zatrzymano, nie aresztowano. Dziś przed południem rozmawiałam z dwojgiem policjantów: komisarz Evą Lundblad oraz inspektorem Andersem Larssonem. Oboje byli zmęczeni i poważni. Siedzieliśmy w moim gabinecie, jedząc prostą pizzę z Ristorante Papageno, a Eva Lundblad zapytała mnie wprost, co ja o tym wszystkim sądzę. Zadałam jej pytanie, co ma na myśli.

– Z racji swojej funkcji widzi pani chyba rzeczy, których nie dostrzegają

inni – odparła. – Osobie z zewnątrz trudno jest ocenić prawdomówność tylu różnych ludzi. W dodatku młodych i zakompleksionych. Kto kłamie, kto coś skrywa... Nagrywamy każdą rozmowę, żeby móc się jej jeszcze potem przyjrzeć, ale mimo wszystko... rozumie pani?

– Skupiacie się na uczniach o pochodzeniu imigranckim?

– Nieoficjalnie, co podkreślam, ale oczywiście bardzo nas interesuje właśnie ta grupa... Wszyscy wiemy, jakie Otto Hansson miał poglądy.

– Nikogo jednak nie podejrzewacie?

– Nie.

– To się trzyma kupy – wtrącił Anders Larsson. – Może być tak, że wielu uczniów mogłoby wskazać sprawcę... lub sprawców. Zwłaszcza jeśli założyć, że chodziło o zaplanowaną zemstę. W końcu Hansson był podejrzany o kilka poważnych napaści, choć udało mu się z tego wywinąć.

– Nietrudno sobie wyobrazić, co będzie dalej. – Eva Lundblad westchnęła z irytacją. – Niestety. Obrazi się pani, jeśli wyrzucę resztę pizzy do pani kosza?

– Śmiało – odparłam. – Obawiam się jednak, że nie bardzo mogę pomóc. Macie już nazwiska co bardziej awanturnicznych chłopaków z grupy imigranckiej i, jak rozumiem, z nimi porozmawialiście szczególnie dokładnie?

– Owszem. Pod koniec tygodnia spotkamy się raz jeszcze z dziesięcioma uczniami. Już zostali o tym poinformowani, staramy się załatwić to tak dyskretnie, jak tylko się da. Źle by się stało, gdyby pojawiły się plotki... My w każdym razie nie chcemy się do tego przyczynić.

– Takie przesłuchania mogą łatwo wzbudzić domysły – dodał inspektor Larsson.

– Jutro demonstracja – zauważyłam. – Przyszłość Szwecji zbierze się na rynku.

– Jesteśmy przygotowani – odparł Larsson. – Z tego, co ostatnio słyszałem,

przyślą tu trzydzieścioro policjantów i cztery autobusy, którymi będzie można odstawić tych bardziej awanturujących się do Ö.

– W porządku. Nie można powiedzieć, żeby panował tu świąteczny spokój – zauważyłam.

– No nie – zgodziła się Eva Lundblad. – Czy możemy przynajmniej umówić się na spotkanie w poniedziałek? Ja i pani? Do tego czasu zdążymy zorientować się w tym, co zebraliśmy do tej pory.

– Naturalnie. Jeśli tylko mogę jakoś pomóc, zrobię to.

– Może pani dzielić się z nami przypuszczeniami – dodała Eva Lundblad. – Nie musi pani nikogo wskazywać palcem, ale domyślam się, że jeśli jako pedagożka przygotowuje pani listę ośmiu, dziesięciu nazwisk, to z dużym prawdopodobieństwem znajdziemy wśród nich tego, kogo szukamy.

– Rozumiem – powiedziałam. – Proszę pozwolić mi to przemyśleć przez weekend i porozmawiamy w poniedziałek.

– O to mi właśnie chodziło. – Komisarz Lund wstała. – Miłego weekendu w takim razie.

Życzyłam im tego samego i wypuściłam ich na korytarz.

Przyznaję, że Eva Lundblad wzbudziła moje zaufanie. Może nawet duże. Jej kolega był w tym samym wieku co ona, około pięćdziesiątki, ale to ona, nie Anders Larsson, trzymała tu stery.

Dobrze. Nawet świetnie. W poniedziałek zapytam ją, czy nie chciałaby się przekwalifikować i zostać dyrektorką szkoły. Torstensson odchodzi, zdaje się, za rok.

Po spotkaniu z Lundblad i Larssonem miałam jeszcze jedną wizytę: Very-Lynn Hansson, mamy Ottona. Fröberg uznał, że dobrze byłoby, gdyby mogła porozmawiać z pedagożką szkolną, zanim wróci do Lyssne, by oddać się żałobie oraz opiece nad czterema synami, którzy pozostali przy życiu. Jednym starszym, trzema młodszymi od Ottona. Ostatnimi dniami Vera-Lynn Hansson

spędziła dużo czasu w szkole, już w środę przed południem odbyłam z nią krótką rozmowę. Była jeszcze bardziej nerwowa i głośna niż zazwyczaj. Było od niej trochę czuć wódkę, a na pewno tytoniem. Dziś przynajmniej woń alkoholu zniknęła.

Vera-Lynn wini szkołę za śmierć syna, mieliśmy o tym szansę przeczytać w lokalnej gazecie. Ona sama zaś powtarza tę teorię każdemu, kto ma siłę jej słuchać. Ottona mobbowali nauczyciele, dyrekcja oraz pozostali uczniowie. To był łagodny chłopak, interesował się motorami i historią Szwecji. Vera-Lynn wie, co to za typy go zabiły; wie też, że szkoła i policja robią wszystko, by zataić prawdę. Ona jednak nie ma zamiaru kryć się ze swoimi podejrzeniami, o nie. Szkoła przyjęła taktykę, by w miarę możliwości trzymać ją z dala od uczniów. Udało się całkiem nieźle, przez większość czasu matka Ottona siedziała w gabinecie Torstenssona lub Fröberga albo z kimś z policji. Oczywiście nie wypadało jej spławić. Jej trzeci w kolejności syn, Jimmy, chodzi do siódmej klasy, a Vera-Lynn jest zdecydowana trwać na posterunku, by go chronić. Dopilnować, by i jego nie spotkało coś podobnego. Bo na żadnego ojca nie można liczyć. Faceci to świnię.

Pięć świń?, pomyślałam sobie. Możliwe. Zaprosiłam Verę-Lynn do siebie na kawę, usiadłam z nią i słuchałam. Sama w zasadzie się nie odzywałam, nie było po co. Szczerze mówiąc, uważam, że to straszna baba, ale mimo wszystko żal mi jej. Bo ona przysięga na wszystko, na własne życie, że nie bierze za siebie odpowiedzialności, bo wszyscy inni są gównem warci, ale niech no ona tylko dorwie w swoje ręce tych ciapatych, co to zaciukali jej syna, to powycina im jaja. Zardzewiałym nożem kuchennym.

Chyba jesteśmy rówieśniczkami, ona i ja. Zapytałam ją, czy Otto był ostatnio skonfliktowany z kolegami, ale nie wiedziała, o czym mówię. Przecież Otto nigdy się z nikim nie konfliktował. Był miły, ogólnie lubiany. Tego można być pewnym, jeśli porządnie wychowało się dzieci.

Po ostatnim dzwonku ktoś ostrożnie zapukał do drzwi. To trzynastoletni Jimmy przyszedł po mamę. Vera-Lynn wybuchnęła płaczem i czule go uściskała. Chłopak próbował się jej wyrwać, mówiąc „mamo, daj spokój” i „weź się w garść”. W końcu wyszli ode mnie i wsiedli do samochodu, żeby wrócić do Lyssne. „Niech to wszystko chuj strzeli”, to były jej ostatnie słowa, jakie usłyszałam.

W końcu mogłam zostawić za sobą trudy tego tygodnia. Tak jak się umówiliśmy, Leon odprowadził mnie po szkole. Czuję się, jakbym przechodziła z jednego świata do drugiego. Z mroku do jasności. Jestem ciekawa, jaka będzie nasza druga wspólna noc. Pierwszy rozdział zawsze jest prosty, drugi już nie. Tak to już jest, ale i ja, i Leon mamy tego świadomość. Bądź co bądź nie jesteśmy już młodziakami. Staram się też nie zapominać, że poznaliśmy się ponad dwadzieścia lat temu. Na długo przed tym, jak spotkałam Klasa.

Gra wstępna będzie w każdym razie nieco nietypowa, bez dwóch zdań. Spotykamy się bowiem w domu Igora Masslinda. Zjemy obiad i napijemy się wina, ale w planie nie mamy rozmów ani o moich i Leona upojnych nocach, ani o Ottonie Hanssonie.

Mowa będzie za to o Eugenie Kallmannie. Tak postanowiliśmy już w zeszłym tygodniu i chociaż przez ostatnie dni sytuacja zmieniała się jak w kalejdoskopie, uznaliśmy, że będziemy trzymać się planu. Bo czemu nie? Możemy przynajmniej się spotkać i zobaczyć, do czego dojdziemy. Zdamy sobie relację z realizacji wyznaczonych zadań. Igor uważa, że takiego słowa powinniśmy używać: „zadanie”. Niestety Leonowi nie udało się jeszcze wejść do mieszkania Kallmanna; w środę po południu próbował, miałam mu towarzyszyć, tak jak postanowiliśmy, ale sytuacja w szkole wymagała mojej obecności. Okazało się jednak, że na klatce schodowej przy Sylvestergatan 11 kręcili się robotnicy, którzy coś tam naprawiali, Leon zawrócił więc

w wejściu. Pójdziemy tam jutro przed południem, bo jak świat światem, w sobotę robotnicy nie pracują.

Tymczasem szliśmy wzdłuż zamrożonej rzeki, a Leon objął mnie ramieniem. Był kwadrans po czwartej, czarno jak w nocy, kilka stopni na minusie. Leon miał na głowie czapkę, ja też, nikt nie mógł nas rozpoznać. Całodzienne zmęczenie dawało mi się we znaki, najchętniej zaszyłabym się z Leonem w łóżku i przespała do końca stycznia.

Tak się jednak nie stało. Rozstaliśmy się przy Eddaspången, bo oczywiście nie mogliśmy wejść do domu naszego drogiego kolegi razem. Zwłaszcza że mamy zamiar razem z niego wyjść (i to niezbyt późno).

Pomyślałam sobie, że dotychczasowe cumy w moim życiu zostały zerwane. Wszystkie, teraz dryfuję ku otwartemu morzu, i to bez kompasu, który został w szopie na przystani. Nie martwi mnie to jednak, nic a nic, najważniejsze, że dziś piątek.

Leon

Pichcenie nigdy nie było moją mocną stroną, ale proszę. Może mimo wszystko moje danie okaże się zjadliwe.

Igor Masslind to poczciwy człowiek. Domyślałam się, że jego życiowe motto to „wszystko zgodnie z regułami i pod kontrolą”. Kiedy tylko pojawi się problem, duży bądź mały, trzeba go sformułować i znaleźć rozwiązanie. O ile rozumiem, Igor jest sam, odkąd przeniósł się do K. dwadzieścia pięć lat temu. Może jego sposób bycia, ta uporządkowana egzystencja, to najlepsza strategia na to, by jakoś tu przeżyć. Jaki jeden dzień, takie całe życie. Trudno o coś bardziej odległego od tego, jak układa się mnie, myślę sobie nie bez absurdalnego ukłucia zazdrości.

Choć może nie. Wcale mu nie zazdrozczę, jesteśmy zupełnie różni. Zresztą dzisiejszego wieczoru egzystencja Igora jakby się zachwiała. Ręce nieco mu się trzęsły, kiedy nalewał nam wina, poparzył się też, kiedy wyciągał z piekarnika wołowinę duszoną z ziemniakami i cebulą. Nie rozmawialiśmy o tym, ale być może Igor wyjątkowo mocno przeżył te rasistowskie napaści w szkole. Ma serbsko-węgierskie pochodzenie. Jego dziwne nazwisko jest efektem nieudanego zeszwedczenia, na które jego rodzina zdecydowała się na początku lat sześćdziesiątych, kiedy już zasymilowani imigranci starali się jakoś odciąć od nowo przybyłych. Igor wspominał o tym, kiedy spotkaliśmy

się w Commedii. O ile dobrze zrozumiałem, jego rodzice przyjechali do Szwecji już na początku wojny, w 1939 roku. Rzecz jasna uciekali, nigdy jednak nie poznałem dokładnych okoliczności ich przyjazdu. Może Igor też nie.

Podczas posiłku rozmawialiśmy o Ottonie Hanssonie i eskalacji ksenofobicznych nastrojów. O mentalności „my kontra oni”. O Patrolu Porządkowym. Ataku na Yilmaza Budaka i Moammara Kavaliego. O motywie zemsty. Byliśmy zgodni co do tego, że to dziesięciolecie raczej nie przejdzie do historii jako okres bratania się. A to być może dopiero początek. Skoro takie tendencje nękają małą szkołę w mieście na szwedzkiej prowincji, to jak dzieje się w Europie? Dziś? Za dziesięć lat? Wygląda na to, że ciemności zaczynają coraz ciaśniej otaczać naszą zielono-niebieską planetę.

Wołowina, jak się okazało, smakowała lepiej, niż zapowiadał gospodarz. Wina też ubywało. Siedząc przy stole, poświęciliśmy też chwilę na spekulacje dotyczące osób odpowiedzialnych za zabójstwo Ottona Hanssona. Igor i Ludmilla wiedzą oczywiście lepiej niż ja, co w trawie piszczy – zarówno na mieście, jak i w szkole – jest tu ponoć kilku młodych ludzi, którymi już interesowała się opieka społeczna i policja. Na przykład niejaki Marco, który ma na sumieniu dwa pobicia, mimo że nie skończył jeszcze osiemnastu lat. Niejaki Hamir oraz Georgi. No i nie można zapominać o kilku naszych obecnych uczniach. Cóż, nazwisk nie brakuje.

Na deser Igor zaserwował lody waniliowe z ciepłym dżemem z maliny moroszki. Potem przenieśliśmy się na miękkie siedzenia. Igor nie ma wprawdzie sofy, ale ma dwa wygodne fotele. Odstąpił je mnie i Ludmille, a sobie przyniósł krzesło od biurka. Pojawiły się też kawa i koniak.

Oraz Eugen Kallmann. Igor wyciągnął notatnik.

– Zatem konkluzja jest taka, że Kallmann ukrywał swoją przeszłość? Że kiedyś nawet nazywał się inaczej?

– Owszem. Możemy uznać to za pewne – przytaknęła Ludmilla. – No i on

sam pisze o tym w pamiętniku. Sugeruje to w każdym razie.

Zdążyła już zdać nam relację ze swojej wizyty u starego Willeniusa. Igor ją podsumował i zadał kilka pytań. Robił też notatki. Ja siedziałem cicho, bo słyszałem już to od Ludmilly wcześniej.

– Czyli pochodził z K.?

– Najwidoczniej tak.

– Choć wtedy nazywał się inaczej?

Ludmilla wzruszyła ramionami.

– Nie widzę powodu, dla którego Willenius miałby kłamać w tej kwestii. Pytanie jednak, co do cholery oznaczała ta ich umowa. Jej celem było najwidoczniej to, że miała w jakiś sposób chronić Kallmanna. Chciał tu wrócić i zacząć wszystko od nowa, a dzięki Willeniusowi udało mu się to... jesienią tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku. Co o tym myślicie?

– Pogrzeb? – zaproponował Igor. – Ludzie mówili, że wedle życzenia ceremonia jego pochówku miała być prywatna, bez udziału gości. Nieprawdaż? Czyje to jednak było życzenie?

– Domyślam się, że jego – odparła Ludmilla. – Zawarte w testamencie. Mnie w każdym razie tam nie było. Zakładam, że ciebie też nie?

Igor pokręcił głową ze sceptyczną miną.

– Nie, taką przecież dostaliśmy informację. Nikt nie był na pogrzebie. Jednak jego grób znajduje się na nowym cmentarzu, a na nagrobku jest napis „Eugen Kallmann”. Byłem tam.

– Ja też – przyznała Ludmilla.

Igor podrapał się długopisem w skroń.

– Czy jednak można zostać pogrzebanym pod przybranym nazwiskiem? W dzisiejszych czasach?

– Zmienił je na Kallmann dawno temu – zauważyłem. – Na długo przed

swoim powrotem, tak przynajmniej pisał. Może nawet je zarejestrował. To nie jest niezgodne z prawem, ludzie zmieniają nazwiska z różnych powodów.

– Zgadza się oczywiście – przyznał Igor. – Ja sam kiedyś zmieniłem.

– Jak się kiedyś nazywałeś? – zainteresowała się Ludmilla.

– To było długie i skomplikowane nazwisko, którego nie umiałabyś wymówić – odparł Igor, śmiejąc się przy tym krótko.

– I nie chcesz go mieć na swoim nagrobku?

– Nie zmieściłoby się. Zresztą, urodziłem się w Szwecji, w Tullinge. No ale na zdrowie. Na szczęście istnieje koniak.

Zaśmialiśmy się uprzejmie i wypiliśmy po łyku. Dyskretnie zerknąłem na zegarek. Za piętnaście jedenasta. Posiedzimy jeszcze pół godziny, nie dłużej. Sam już nie pojmuję, czym my się zajmujemy. Zamiast tego wolałbym już pójść do łóżka. Z Ludmillą.

– Wiecie, co jest najgorsze? – zapytała. – Że to my siedzimy tu i próbujemy wyjaśnić tę sprawę. Gdyby zamiast nas robiło to troje normalnie utalentowanych śledczych, znaleźliby odpowiedzi na te pytania w try miga. Poprawcie mnie, jeśli się mylę.

– Nie mylisz się – westchnął Igor. – Problem w tym, że policja w ogóle się nie sprawiła po śmierci Kallmanna. Ten cepowaty Marklund, ciekawe, czy on w ogóle jest w stanie rozwiązać jakąkolwiek sprawę, która ląduje na jego biurku. Trója na szynach z matematyki, trója na szynach z fizyki. Jeśli nie możesz zostać nikim innym, to zawsze zostaje policja.

– Ale to nie on zajmuje się zabójstwem Ottona Hanssona – zauważyła Ludmilla. – Można więc mieć nadzieję. Dziś spotkałam się z dwojgiem policjantów prowadzących śledztwo i muszę powiedzieć, że poczułam do nich zaufanie. Przynajmniej do niej.

– Sugerujesz, że powinniśmy się do nich zwrócić? – zapytał Igor.

– Do niej – poprawiła go Ludmilla. Zawahała się i zerknęła na mnie. – Ale

uważam, że powinniśmy jeszcze trochę z tym poczekać. Ciekawie byłoby sprawdzić na przykład, czy znajdziemy kolejny pamiętnik. Proponuję więc, żebyśmy najpierw zobaczyli, czy nam się to uda.

– Równie dobrze możemy się nad tym zastanowić po świętach – zaproponowałem. – Chyba nigdzie nam się nie spieszy?

Igor pokiwał głową, kartkując swój notatnik.

– Racja. Kallmann i tak leży w grobie. Jednak moja rozmowa z tym młodym Wingerem była sukcesem, nie sądzicie?

Opowiedział nam już wcześniej, jak udało mu się zmusić Matsa Wingera do mówienia i skąd chłopak znał nazwisko Boris Yann Keller. Znalazł je na odwrocie zdjęcia z portfela Kallmanna. Portfela, który jego kompan ukradł Kallmannowi z marynarki podczas lekcji w zeszłym semestrze. Winger przejął zdjęcie, bo jego kumple mieli je gdzieś. Igor uważa, że interesowały ich pieniądze i że nie bardzo troszczyli się o pozostałą zawartość portfela.

Potem Mats Winger stracił zdjęcie, tak w każdym razie twierdzi. Igor uznał jednak, że w tej kwestii chłopak skłamał. Dlaczego? – można by zapytać.

– Fotografia mężczyzny – wrócił do tematu. – Według Wingera około trzydziestki, czterdziestki. Trzeba jednak pamiętać, że młodzi nie są dobrzy w szacowaniu wieku. Stara fotografia. Czarno-biała. Kallmann trzymał ją w portfelu. Dlaczego? Kim, do cholery, jest Boris Yann Keller? Przepraszam za słownictwo, z reguły nie przeklinam... ale dziś piątek.

– Wybaczamy – odparła Ludmilla. – Ten Mats Winger mieszka w Lyssne, o ile się nie mylę?

– W Vargbodzie – sprostował Igor. – Ale to zaledwie dwa kilometry lasem od Lyssne.

– Hm.

– A ten chłopak, który zwędził portfel, też mieszka w tej wsi? – zapytałem.

– W sąsiedniej zagrodzie, tak mówił Mats. Co miało znaczyć to „hm”,

proszę pani?

– Nic – odparła Ludmilla po krótkiej pauzie. – Przypomniało mi się po prostu, że Otto Hansson też jest z tamtych okolic... to znaczy był. Choć to oczywiście nie ma nic wspólnego z Kallmannem.

Przez jakieś pięć minut siedzieliśmy w ciszy. Popatrzyłem na Igora, popatrzyłem na Ludmillę. Zrozumiałem, że myśleli o tym samym co ja. Związek. Czy między Eugenem Kallmannem i Ottonem Hanssonem jest jakiś związek? Między śmiercią jednego i drugiego?

– Nie – powiedział w końcu Igor. – To się ze sobą nie łączy. Człowiek chciałby, żeby takie związki między różnymi rzeczami istniały, ale w rzeczywistości rzadko się to zdarza.

Pomyślałem, że to bardzo trafna obserwacja. Świat sam w sobie jest chaotyczny, a żeby zaprowadzić w nim porządek, tworzymy wzory. Doszukujemy się struktury i wzajemnych powiązań. To jednak my sami je wymyślamy, istnieją one tylko w głowach tych, którzy patrzą. Bo co u licha Eugen Kallmann miałby mieć wspólnego z Ottonem Hanssonem?

– Jak się nazywa ten chłopak, który ukradł portfel? – zapytała Ludmilla.

– Pocke Andersson – odparł Igor. – Nigdy nie uczyłem jego klasy. Skończył szkołę zeszłej wiosny. Szczerze mówiąc, nie przypominam go sobie.

– Ja go kojarzę – powiedziała Ludmilla. – Per-Olov Andersson. Tak, to taki typ, co może ukraść portfel, jeśli tylko nadarzy się ku temu okazja.

– Czy Kallmann wspominał komuś z was, że stracił portfel? – zapytałem. – Wtedy wiosną.

– Nie, nie przypominam sobie – odparł Igor.

– Nie – dodała Ludmilla.

Przez chwilę znów nie rozmawialiśmy, podczas gdy Igor kartkował swój notes.

– Są dwie osoby, które mogą sporo wiedzieć – zauważył. – A przynajmniej

jedna. Charlie Mattis.

– A kim miałyby być ta druga? – zapytała Ludmilla. – Masz może na myśli Andreę Wester?

– Tak – potwierdził Igor. – Przede wszystkim jednak Charlie. Jak myślicie, czy dałoby radę nakłonić go do mówienia?

Ludmilla pokręciła głową. Ja również. Wprawdzie znam Charliego zaledwie od kilku miesięcy, ale i tak uważam, że wykluczone jest to, by był do naszej dyspozycji. O ile zrozumiałem, wtedy w maju policja przesłuchiwała go przez wiele dni, musieli więc wyciągnąć od niego wszystko, co mógł wiedzieć o Kallmannie.

Z drugiej jednak strony, co miały znaczyć te przesłuchania, które Charlie organizował Andrei Wester? Andrei, która jest tak podobna do mojej zmarłej (zaginionej?) córki, że wciąż nie mogę tego pojąć. Czy nie jest tak, że Charlie działa tu na własną rękę? Czy też może w pewien sposób także na rękę Kallmanna? Czego nigdy nie odkryła policja?

Nie mam jednak zamiaru poddawać tych pytań pod dyskusję; jest zbyt późno, jestem zbyt zmęczony, trąci to zmyśloną zagadką kryminalną, a ja mam we krwi zbyt wiele promili.

– Charlie Mattis to chodząca tajemnica – powiedziałem tylko.

– A przy tym geniusz – dodał Igor. – Może zajść naprawdę daleko, ale równie dobrze może zejść na psy.

– Dobrze, że ja nie jestem tak inteligentna – skwitowała Ludmilla. – Jeśli kiedyś skończę w psychiatryku, to na pewno nie dlatego, że próbowałam się mierzyć z Einsteinem.

– Szczerze mówiąc, akurat Einsteina nieco się przecenia – zauważył Igor.

Do tego stwierdzenia ani ja, ani Ludmilla nie mogliśmy się odnieść. Rzuciłem jej spojrzenie. Ludmilla zerknęła w stronę drzwi, ja porozumiewawczo przytaknąłem. Czas podziękować za gościnę i zostawić

Igora w spokoju z jego notatkami i teoriami. Chrząknąłem i popatrzyłem na zegarek.

Kwadrans później byliśmy już na mroźnym dworze. Moje mieszkanie jest jednak zaledwie kawałek od domu Igora, nie zdążyliśmy więc zmarznąć.

– Rozmawiając o Kallmannie, jednej rzeczy w zasadzie nie poruszyliśmy – zauważyła Ludmilla, kiedy weszliśmy do domu. – Jego oczu. Naprawdę było tak, że nigdy na ciebie nie patrzył, kiedy z nim rozmawiałeś... Sam o tym pisał. O tym, że potrafił zajrzeć ludziom w duszę, jednak tego unikał... dobrze pamiętam?

– Dlaczego przypomniałaś sobie o tym akurat teraz? – zaciekało mnie.

– Nie mam pojęcia. Tak mi przyszło do głowy. Nie wspomnieliśmy o tym u Igora. O tym, że Kallmann był na tropie zabójcy, też nie. A to dlatego znalazł się tamtego wieczoru w Niemieckim Domu. Cholera, to nie do pojęcia, że policja mogła to przegapić.

– Zapominasz o jednym – wtrąciłem.

– O czym?

– Policja nie czytała jego pamiętników. Tylko my je znamy.

– No tak. À propos, mam propozycję.

– Tak?

– Zaczekajmy z włamaniem do niedzieli. W ten sposób cały jutrzejszy dzień możemy spędzić w łóżku.

Objęła mnie i mocno się przytuliła. Niemal zakręciło mi się w głowie.

– Nie musisz jutro wracać do domu?

Ludmilla odsunęła się, ale nie dalej niż na wyciągnięcie ręki i zaśmiała się.

– Nie. Aż do niedzieli wieczorem jestem u przyjaciółki w Ö. Nieźle, co?

– Fantastycznie. Jak ma na imię?

– Niestety zapomniałam. Teraz jednak jestem padnięta. Możemy od razu się położyć?

– Po kieliszku do łóżka?

Zawahała się.

– Nie, dziękuję, mój ty kochanku. Chyba nie mam już na to siły.

– Świetnie, bo ja też nie.

– A jeśli już koniecznie chcesz się kochać, to jutro rano na pewno dostaniesz więcej. Tak tylko ci mówię.

– Dzięki za radę – odparłem.

Po dziesięciu minutach zgasiliśmy lampę w sypialni. Spanie na łyżeczkę to wspaniały wynalazek.

Obudziłem się o czwartej. Zdziwiłem się, że u mojego boku leży kobieta, ale potem ucieszyło mnie, że to właśnie ona. Przypomniałem sobie, co powiedziała, kiedy się kładliśmy, ale nie można było powiedzieć, że już jest rano. Na pewno nie o tej porze roku, w tej części kraju. Spróbowałem zasnąć, ale nie mogłem. Wstałem więc do toalety, a kiedy wracając, przechodziłem obok regału, mój wzrok padł na pamiętniki Kallmanna. Leżały sobie na schludnym stosiku tuż obok *Czarodziejskiej góry* Tomasza Manna.

Sięgnąłem po ten z wierzchu i usiadłem przy kuchennym stole, sam nie wiem dlaczego. Zupełnie jakby to była Biblia, a ja jako zagubiony wędrowiec szukający wskazówek w ciemno otworzyłem brulion. Zacząłem czytać.

1 marca 1986

I jakż to chorobę starają się wyleczyć ci wszyscy pisarze? Cóż mogą zdziałać ich plastry ze słów, jak mogą ukoić nasze krwawiące dusze? Czym są moje myśli, z czego się składają, z jakiej niesamowitej przędzy są tkane przed tym, jak okrywam je pożyczonymi skądinąd szatami, które nigdy nie pasują? Są za duże, za małe, za krótkie, za długie, zbyt zniszczone, zbyt zdobne. Jednak tego zimnego jak cholera ranka to nie nasze anemiczne dusze wołają o pomoc, nie, dziś to całe ciało społeczeństwa krwawi, bo oto na ulicy zastrzelono naszego premiera. Siedzę sam nad herbatą suto zaprawioną whisky i staram się – z wyżej wymienionego powodu – powstrzymać przed zrobieniem tego wpisu w pamiętniku. Boję się, że moja myśl, sposób rozumowania, prawda znikną w momencie, gdy wyjdą z mojej głowy

i zostaną przelane na papier. Jednocześnie te opowieści o wszystkim i niczym, te słowa i teksty są moim ratunkiem. Co jednak dzieje się z tym, co prawdziwe, piękne, zasadnie tajemnicze i genialne, kiedy to odtwarzamy, powtarzamy, przekazujemy, wtłaczamy w ciasne drogi słuchowe, na krótkowzroczne siatkówki i cienkie powłoki zrozumienia szarych zjadaczy chleba, ich babć i wnuków na całej ziemi, dzień w dzień, raz po raz, w każdej nieszczęsnej sekundzie, praktycznie rzecz ujmując? Ja sam odszedłem od zmysłów dziś przed południem, kiedy usłyszałem w radiu o zabójstwie. Wydawało mi się, że to ja jestem zabójcą, że to ja zastrzeliłem premiera, a policja jest już na moim tropie. Zobaczyłem swoją winę odbitą w lustrze w łazience, a jedyne, co mogłem zrobić, to zacząć powtarzać ten numer telefonu, którego nigdy nie zapomniałem i nie zapomnę. 511 672. Pięć jeden jeden sześć siedem dwa. I tak w kółko, głośno, aż wreszcie demony wycofały się znudzone.

Zabójstwo Palmego, pomyślałem. Herbata zaprawiona whisky. Nihilizm językowy. Napad lęku i numer telefonu. Przypominam sobie, że kiedy pierwszy raz czytałem ten fragment, uznałem, że jest bardzo pogmatwany. Co powiedziałyby policja, gdybyśmy przedstawili im taki materiał? Nietrudno sobie wyobrazić. Chyba dobrą decyzją było trzymanie ich z dala od naszej nieporadnej działalności detektywistycznej jeszcze przez jakiś czas. Zamknąłem pamiętnik, odłożyłem z powrotem obok *Czarodziejskiej góry* i wróciłem do sypialni. Wsunąłem się za plecy Ludmilly i zasnąłem. Niczym schowany w kokonie.

Andrea

Sobota, 12 grudnia. Tydzień do końca semestru. Dwanaście dni do świąt. Obudziłam się z bólem gardła, który wcale nie zelżał do południa. Uznałam, że w taki dzień jak dziś równie dobrze mogę zostać w łóżku i chorować. Umówiłyśmy się z Emmą w Psie, potem miałyśmy się zorientować, co dzieje się na mieście: przecież to dziś o pierwszej Przyszłość Szwecji spotyka się na rynku. Ma być też kontrdemonstracja. Może nawet będą się rzucać kamieniami i przepychać z policją. W każdym razie wiele osób właśnie na to czeka. Może nawet sobie tego życzy, bo – według większości – to niedorzeczne, że ci ultraprawicowi idioci wszelkiej maści dostają pozwolenie, by na ulicach i rynkach wykrzykiwać swoje poronione hasła. A policja ma za zadanie ich chronić.

Ja i Emma też sądzimy, że to niedorzeczne, choć nie jest to dla nas wystarczający powód, by rzucać kamieniami, koktajlami Mołotowa czy czymkolwiek innym. Oczywiście to oznaka tchórzostwa tak stać w bezpiecznej odległości i tylko obserwować, ale wśród kontrdemonstrantów też jest wielu dupków i nie mamy ochoty, by nas z nimi łączono.

Niełatwy wybór. Może więc dobrym wyjściem będzie zostanie w łóżku z powodu choroby? Leżałam do za piętnaście jedenasta. Miałam cały dom dla siebie, ponieważ mama, Bernt-Olov i moi bracia przyrodni pojechali do Ö.

kupić prezenty. W tym roku nawet mi nie zaproponowali, żebym wybrała się z nimi. Najwidoczniej zrozumieli wreszcie, że szczerze nienawidzę rodzinnego ganiań po sklepach za prezentami. Zawsze coś.

W końcu jednak zwlokłam się z łóżka. Zadzwoiłam do Emmy i dałam jej znać, jak się sprawy mają. Powiedziała, żebym przestała się ze sobą pieścić. Że mam wziąć prysznic i za godzinę spotykamy się w Café Pies, tak jak się umawialiśmy. Ona wpadła bowiem na rozwiązanie naszego moralnego dylematu. Właśnie malowała plakat, z którym miałyśmy usiąść w kawiarni, by w ten sposób pokazać naszą pogardę oraz odcięcie się od ich haseł bez uciekania się do przemocy.

– Co jest na plakacie? – zapytałam.

– Zobaczysz na miejscu – odparła Emma trochę kwaśno. – Czy też może mam tam siedzieć sama, okazując swoje zaangażowanie?

Poddałam się. Rozłączyłyśmy się i poszłam wziąć prysznic.

Na plakacie Emmy widniał napis NIE CHCEMY WASZEJ CHOREJ PRZYSZŁOŚCI! Podpis: 99% POPULACJI SZWECJI. Emma znalazła stolik przy oknie wychodzącym na rynek i umieściła karton tak, żeby można go było przeczytać z zewnątrz. Całkiem sprytnie, muszę przyznać. Powiedziałam jej to.

– Maxowi i Monie też się spodobał ten pomysł. – Emma wyszczerzyła zęby. – Powiedzieli, że absolutnie mogę wystawić plakat w oknie, a jeśli naziści zbiją szybę, to sami będą musieli ponieść koszty naprawy. Oni albo ich ubezpieczyciel.

Max i Mona to właściciele Café Pies. To para około czterdziestki. Zawsze kiedy przychodzę do kawiarni, któreś z nich jest na miejscu, a mają otwarte od siódmej rano do dziewiątej wieczorem. Gdyby ktoś zapytał mnie, co jest najlepsze w K., wybrałabym właśnie Café Pies.

– Myślisz, że to zrobią? – zapytałam, rozsiadając się z herbatą i kanapką z serem. – Że nas zaatakują?

– Nie sądzę. Z reguły to ci z kontrdemonstracji rzucają kamieniami, nie naziści.

– A ty skąd wiesz? – zdziwiłam się, bo nie przypominam sobie, byśmy kiedykolwiek mieli w K. podobną sytuację.

– Śledzę wydarzenia – odparła Emma. – A naziści nie muszą niczym rzucać, przecież ochrania ich policja. Do dupy, co?

Wyjrzałyśmy na rynek. Na razie nie kręciło się po nim zbyt wiele osób, może dwadzieścia, w tym tylko dwoje policjantów. Rozmawiali z jakąś starszą panią stojącą pod choinką, nie był to więc groźny widok. No ale do spotkania Przyszłości Szwecji została jeszcze godzina. Zaczęłam się zastanawiać, czy takie zgromadzenia wyglądały podobnie na rynkach w niemieckich miasteczkach przed sześćdziesięciu pięciu, siedemdziesięciu laty. Kiedy nikt jeszcze nie wiedział, co z tego wyniknie. Uczyliśmy się o tym na historii. Ot, garstka rozwrzeszczanych maniaków w brunatnych koszulach, którymi nie trzeba się przejmować. Może inni siedzieli w kawiarniach i patrzyli na ich wygłupy, myśląc, że to minie.

A kilka lat później ci maniacy przejęli władzę w całym kraju. Adolf i jego brunatni naśladowcy.

Zapytałam Emmę, co sądzi o tym porównaniu. Pokiwała głową z poważną miną.

– Tak mogło być. Kto wie, jak to będzie wyglądać u nas za dziesięć lat? Lepiej przygotować się na najgorsze.

– My w każdym razie mamy twój plakat. Tak więc nie jesteśmy takimi zupełnie biernymi obserwatorkami.

– Taki właśnie był mój zamysł. Ale, ale, patrz, kto idzie.

Do kawiarni weszli Charlie Mattis oraz Pentti Hirvonen. Pentti pracuje w szkole jako spec od komputerów. Ma nie więcej niż dwadzieścia lat, a zajmuje się salą komputerową, w której praktycznie ciągle coś się psuje.

Idea jest taka, że uczniowie mogą tam chodzić, kiedy chcą. Podczas zajęć lub na okienkach, żeby odrobić lekcje. Przepisać coś na komputerze, na przykład. Komputerów jest razem dwadzieścia cztery, z czego dziesięć z reguły nie działa. Niektórzy mówią, że to Pentti je psuje, żeby zachować posadę. Tak naprawdę jest zatrudniony tylko na pół etatu, ale zawsze jest na miejscu. Ja się jednak nie wypowiadam, bo nie wiem nic o komputerach.

Za to Charlie Mattis wie o nich wszystko. Może dlatego przyszli razem z Penttim do kawiarni? Żeby posiedzieć tu i porozwijać problemy związane z dyskiem twardym, oprogramowaniem lub dwójkowym systemem liczbowym. Ale co ja tam wiem. Ja i Emma przywitałyśmy się z uśmiechem. Dziś Charlie był na tyle uprzejmy, że odpowiedział. Pentti też, zatrzymali się nawet na chwilę przy naszym stoliku i zapytali, czy czekamy na nazistów. Najwyraźniej zobaczyli nasz plakat. Charlie nawet wskazał go palcem i z uznaniem pokiwał głową.

Tak mi się przynajmniej wydawało, że z uznaniem, bo z Charliem nigdy nie wiadomo. Kiedy chłopaki poszli do swojego stolika, Emma zapytała, czy uważam, że Pentti jest gejem. Nie uważałam tak, ale też nie rozumiem, czemu ją to zastanawia. Czyżby chodziło jej o to, że w takim układzie i Charlie jest gejem? Czy to dlatego zaczęła ten temat? Przez chwilę gadałyśmy o tym szeptem, aż w końcu Emma powiedziała, że kto jak kto, ale Kallmann na pewno był gejem.

Trochę się wkurzyłam. Według mnie to naprawdę nie ma żadnego znaczenia. Jeśli o mnie chodzi, ludzie mogą mieć jakiegokolwiek skłonności (pomijając pedofilię i tym podobne, oczywiście). Głupio jest więc spekulować na ten temat i robić z tego sprawę. Zwłaszcza w przypadku kogoś, kto nie żyje. Powiedziałam to Emmie, najwidoczniej trafiło to do niej. Przeprosiła i powiedziała, że nie to miała na myśli.

– A co? – zapytałam.

– Tylko tyle, że coś łączyło Kallmanna i Charliego. Spotykali się przecież poza szkołą, a być może było to coś więcej niż spotkania młodego i starszego geniusza?

– A co to ma wspólnego ze śmiercią tego starego geniusza?

– Pojęcia kurde nie mam. Po prostu pozwalam myślom płynąć swobodnie.

Zacząłam się zastanawiać, czy coś może być na rzeczy. Nie sądzę, żeby tak było, ale chyba przede wszystkim dlatego, że nie chcę tak sądzić. Szanuję Charliego i szanowałam Eugena Kallmanna. A byłoby w tym coś oburzającego. Nie kwestia homoseksualizmu, a różnicy wieku. Mniej więcej pięćdziesiąt lat. Nie, nie wierzę w to, nie ma mowy. No i kiedy zerknęłam w stronę Charliego i Pentiego, uznałam, że wcale nie wyglądają jak na sobotniej randce.

– Mylisz się – powiedziałam do Emmy. – Zmieńmy temat.

– No dobra, dobra.

Na rynku zaczęli się gromadzić ludzie. Niemal wszyscy mijający okno kawiarni zatrzymywali się i czytali nasz plakat. Niektórzy patrzyli na nas i pokazywali uniesiony kciuk, inni w milczeniu szli dalej. Na rynku byli też niektórzy z nauczycieli, na przykład Hans-Ivar Möller z żoną i psem. Pokazał nam znaczek wiktorii. Poza tym zrobił gest, jakby bił nam brawo. Ma lewackie poglądy, więc nie było to zaskoczenie. Augustin Selander oraz Brudny Rondel przyczaili się po obu stronach fontanny, nie widzieli ani nas, ani plakatu. Wyglądało na to, że mają zamiar zostać na rynku i zobaczyć, co się będzie działo. Jednak każde ze swojej pozycji. Podejrzewam, że nie mają ze sobą nic wspólnego poza tym, że pracują w jednej szkole.

Przyszło też wielu nastolatków, kojarzyłyśmy połowę z nich. Pod hotelem zebrała się grupa, która najprawdopodobniej miała stanowić kontrdemonstrację. Było tam nie więcej niż dziesięć, piętnaście osób. W większości imigranci, sądząc po wyglądzie. Może jednak jeszcze ktoś miał

dojść. Wciąż został jeszcze kwadrans do rozpoczęcia. Liczba policjantów wzrosła do ośmiorga, tylu przynajmniej widzieliśmy z naszego miejsca. Mimowolnie zaczęłam czuć podniecenie.

W kawiarni też zrobiło się ciasno, choć akurat o tej porze w soboty zawsze tak tu jest. Emma powiedziała coś o ciszy przed burzą, nie słyszałam jednak dokładnie, bo oto mój wzrok padł na Igora Masslinda, naszego wychowawcę, który pojawił się na rynku. Szedł z jakąś starszą babką, którą skądś kojarzyłam, ale nie wiem dokładnie skąd. Przystanęli jakieś dziesięć metrów od nas, ale byli odwrócenii plecami, więc nie zobaczyli naszego plakatu. Mimo że widziałam go tylko z tyłu, zauważyłam, że Igor wyglądał na zmęczonego. Schował ręce w kieszeniach i jakby trochę się skurczył. Lubię go w zasadzie, jest sprawiedliwy i w porządku, tylko nie da się z nim za bardzo nawiązać kontaktu. Niechętnie mówi o sobie, można by wręcz pomyśleć, że znika po ostatnim dzwonku. Niedługo na jego grobie będzie można napisać „Był dobrym nauczycielem”, i tyle.

Teraz zobaczyłam, że i on jest zwykłym, trochę zmęczonym człowiekiem. Nie wiem dlaczego, ale nagle zrobiło mi się go żal. Stojąca u jego boku kobieta była starsza, mogłaby wręcz być jego matką. Wydaje mi się jednak, że Igor opowiadał, że oboje jego rodzice nie żyją.

Kiedy tak gapiłam się na Igora i jego towarzyszkę, pod biblioteką zaczęło się coś dziać. Pojawiła się grupa ubranych na czarno osób, mniej więcej dwadzieścia pięć, trzydzieści. Nie zdążyłam zobaczyć, skąd przyszli. Niektórzy mieli w rękach transparenty, a prawie wszyscy kominiarki, nie dało się ich więc rozpoznać. Szli w dwóch szpalerach w stronę fontanny na środku rynku. Uświadomiłam sobie nagle, że to oni. Neonaziści nazywający się Przyszłością Szwecji.

– Niech mnie – zawołała Emma. – Idą te szuje!

Rzeczywiście szli. Doszli do fontanny i ustawili się w nieco bardziej zbitą

grupę. Teraz zobaczyłam, że na jednym z transparentów przyczepili zdjęcie Ottona Hanssona. Wyglądali trochę jak rodzice i krewni, którzy czekają przed szkołą, aż świeżo upieczeni absolwenci liceum wybiegną z budynku po raz ostatni [10](#). Choć w takim układzie powinno teraz być wczesne lato i wszyscy być ubrani na jasno, tymczasem na rynku panował zimowy półmrok, a zebrani mieli na sobie czarne kominiarki. Obok stało tuzin policjantów, tworząc jakby żywoplot po bokach grupy nazistów. Pozostali obecni na rynku usunęli się na boki. Między grupą stojącą pod fontanną, to jest dwudziestoma pięcioma nazistami w kominiarkach, a dwanaściorciem policjantów bez kominiarek zrobiła się duża luka. Dziwny widok, doprawdy. Nic się nie działo. Co najmniej sto osób stało, trzymając bezpieczny dystans i obserwując tę grupę, jakby chodziło o jakąś sensację, której nikt nie potrafił pojąć. Jakby to był statek kosmiczny z innej planety lub zbiorowisko dziwnych zwierząt, których nikt nigdy nie widział.

Lub nietypowa trupa cyrkowa, która zjechała do miasta. Ja i Emma w milczeniu gapiłyśmy się przez okno. Chyba wyobrażałam sobie, że ta nazistowska hołota coś zrobi, skoro już dostała pozwolenie, by spotkać się na rynku. Że będzie wygłaszać przemowy, wykrzykiwać hasła, nic takiego się jednak nie stało. Stali tam tylko niczym stado zagubionych krów, trzymając swoje transparenty. Ponieważ siedziałyśmy tak daleko, nie dało się odczytać, co na nich jest. Pomyślałam sobie, że jeśli istotnie tak ma wyglądać przyszłość Szwecji, to równie dobrze można od razu iść do domu się pakować.

Do akcji wkroczyli kontrademonstranci, którzy do tej pory stali spokojnie pod sklepem monopolowym. Było ich jakieś dwa razy więcej niż nazistów, może około pięćdziesięciorga. Nagle dostali przyspieszenia. Ruszyli w stronę grupy pod fontanną, jakby chodziło nie o garstkę młodych ludzi na rynku w K., a o stado zwierząt na sawannie. Rozpoznałam Siggego Sundberga, przewodniczącego samorządu szkolnego, i kilka innych osób ze szkoły. W tym

chyba Marca Barocco i Malin Krotowską, ale może byli tam też inni znajomi. Nie wiem, bo wszystko działo się tak szybko, a chociaż uczestnicy kontrdemonstracji nie włożyli kominiarek, to mieli na sobie czapki i szaliki zawinięte pod sam nos. Naziści i policjanci zwarli szeregi, a kiedy ci drudzy znaleźli się na ich wysokości, zaczął się atak – poleciały jajka!

Fantastycznie. Dopiero po chwili załapałam, co się właściwie dzieje, ale kiedy już zrozumiałam, wybuchłam śmiechem, zresztą jak wszyscy inni w kawiarni. Ludzie się cieszyli i bili brawo, rozległ się huk niemal jak na meczu po decydującym gołu w ostatniej minucie. Chyba podobnie było na zewnątrz. Policja i Przyszłość Szwecji wciąż stali pod fontanną, próbując uwolnić się od lepkiej mazi, wokół nich walały się puste kartony po jajkach, po napastnikach zaś, całej kontrdemonstracji, nie było już śladu.

– Niech mnie kule biją! – krzyknęła Emma. – W życiu czegoś tak świetnego nie widziałam! Ale sprytne!

– Nie da się przeprowadzić rewolucji, nie rozbijając przy tym jajek – odezwał się ktoś przy stoliku obok.

– Każdy z nich miał sporo kartonów! – zawołał ktoś inny.

– Jeszcze raz – wrzasnął jeszcze inny.

– Ojojjoj – jęknęła Emma i uściskała mnie mocno ponad blatem stołu. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Zorientowałam się jednak, że stoję z otwartą buzią, czym prędzej więc ją zamknęłam.

Na zewnątrz naziści zaczęli się wycofywać. Widzowie również. Hans-Ivar Möller przeszedł obok naszego okna i pomachał nam zadowolony. Igor Masslind i starsza pani też; teraz Igor nas zauważył i wyciągnął rękę w niepewnym geście powitania. Wyglądał jednak na zadowolonego. Na rynek zajechały dwie policyjne suki. Policjanci najpierw wytarli się papierowymi ręcznikami, po czym wsiedli i odjechali do komendy w Ö., czy skąd tam byli.

Demonstracja Przyszłości Szwecji dobiegła końca.

Atak jajkami, pierwszy w wieloletniej historii K. – również. Wieloletniej, bo przecież ludzie mieszkali tu już w średniowieczu, tak mówi Birgersson.

Jeszcze przez chwilę stałyśmy przy naszym stoliku, przyglądając się ponuremu krajobrazowi po bitwie. Potem Emma zapytała, czy już będziemy się zbierać. Ponieważ siedziałyśmy tam już od dwóch godzin, powiedziałam, że tak.

Plakat zostawiłyśmy w oknie na pamiątkę. Na rynku zostało kilka transparentów nazistów, porozrzucanych, trochę połamanych. Też na pamiątkę.

Tak się złożyło, że Charlie Mattis i Pentti Hirvonen wyszli z kawiarni tuż za nami. Przystanąłyśmy więc, a Emma zapytała, czy podobało im się przedstawienie.

– Nie było to zbyt poprawne zachowanie – powiedział Charlie.

– Co za obyczaje – dodał Pentti.

Ani ja, ani Emma nie wiedziałyśmy, co odpowiedzieć, więc się pożegnałyśmy. Charlie i Pentti ruszyli przez rynek, teraz opustoszały jak zwykle, my poszłyśmy w stronę rzeki, lekko oszołomione.

Wiedziałam, że godzinami będziemy dyskutować o tym wszystkim, ale czułam też, że wraca ból gardła. Może nawet miałam gorączkę. Postanowiłyśmy, że pójdziemy do domu, każda do swojego, i dzwoniemy się wieczorem, żeby sprawdzić co i jak.

40

Igor

Sobota wieczorem. Zmęczenie.

Wczoraj, kiedy byli u mnie Leon Berger i Ludmilla Kovacs, trochę za dużo wypilem. Nie wiem dlaczego, ale po ich wyjściu jeszcze przez godzinę siedziałem i sączyłem koniak. W samotności, było tego pewnie jakieś sto mililitrów albo i więcej. Sam siebie nie poznaję, zupełnie, ale też ta miniona jesień i cały semestr były ciężkie, nadzwyczaj ciężkie. Nie wiem właściwie, po co szukam wymówek – kolejna przywara, która nie jest dla mnie typowa. Może to zły znak.

Nie wiem też, czy dojdziemy do czegokolwiek w naszym śledztwie w sprawie Kallmanna, nie wiem, czy ciągnięcie tego ma sens. Dlaczego trójka detektywów amatorów w średnim wieku miałaby coś odkryć, skoro policji się to nie udało? Może nawet nie ma tu nic do wytropienia, bo czego my właściwie po omacku szukamy? Czy, mówiąc szczerze, nie jesteśmy trochę żałośni?

Do tego cała ta reszta. Śmierć Ottona Hanssona. Napaści na Yilmaza Budaka i Moammara Kavaliego. Patrol Porządkowy. Pełno policji w szkole. W zeszły czwartek Allan Wiksten – który w tym semestrze brał wyjątkowo mało zwolnień jak na siebie – zaproponował, że równie dobrze możemy zamknąć interes tydzień wcześniej. Od razu zacząć ferie świąteczne i wrócić

do szkoły z nowymi siłami w styczniu. Zaprotestowałem (słabo), ale może to w rzeczy samej był dobry pomysł. Nikt nie potrafi przewidzieć, co się może wydarzyć przez te pięć najbliższych dni. Kiedy człowiek tak kroczy po korytarzach, czuje się, jakby szedł po polu minowym, a przecież tak chyba nie powinno być w gimnazjum? Jak wspomniałem, daleki jestem od popadania w panikę, myślę jednak, że dotarliśmy do punktu, w którym nasza szkoła po prostu nie zniesie więcej niedoli.

Niedoli? Doprawdy, delikatnie powiedziane. Przecież jeden z uczniów został zamordowany, a śmiało można założyć, że stoi za tym inny uczeń albo nawet kilkoro z nich.

A profesor Masslind siedzi sobie w sobotni wieczór w domu z resztkami starego koniaku w organizmie i pustą głową. Mroczne czasy, doprawdy.

Sam nie wiem, co myśleć o popołudniowych wydarzeniach na rynku. Stara pani Lundholm, która mieszka obok, zadzwoniła do mnie już o dziewiątej rano i poprosiła, żebym towarzyszył jej w oglądaniu tego spektaklu. Nie mogłem oczywiście odmówić, jesteśmy sąsiadami od niemal dziesięciu lat, jeśli trzeba, podlewamy sobie kwiaty, a pani Lundholm ma ewidentnie smykałkę do polityki. Przez całe życie działała w związkach, a jej mąż przez dwie dekady był w zarządzie gminy z ramienia socjaldemokratów. Anna-Greta przeprowadziła się tu po jego śmierci w 1986 roku. Kiedy się z nią rozmawia, już po minucie zaczyna rozprawiać o niesprawiedliwościach i filistrach. Może i jest już po osiemdziesiątce, ale musi iść na rynek i przypatrzeć się tej neonazistowskiej hołocie.

– Gdyby nie ten przeklęty reumatyzm, zabrałabym w torebce kawałek bruku, możesz być pewien, Igorzku. Niestety nie ma się już tej pary w rękach.

Zupełnie jakby straciła siły, przez te wszystkie lata rzucając kamieniami na politycznym polu walki.

Wyruszyliśmy z domu około wpół do pierwszej, z odpowiednim zapasem

czasu. Pewnie i tak bym poszedł, bo im więcej rozsądnych dorosłych na miejscu, tym lepiej, uznałem. Nawet dyrekcja zachęcała nas, byśmy około pierwszej w sobotę byli na rynku głównym lub w pobliżu. Zupełnie jakby w K. było więcej rynków, a przecież są co najwyżej mniejsze place: ten na Bergtuna i plac Augusta Petresa we wschodniej części miasta. August Petres był pionierem przemysłu obuwniczego w tym rejonie. Jest zresztą patronem drugiego gimnazjum, z którym rywalizujemy w zawodach sportowych co roku pod koniec maja. Biegi terenowe, kilka dyscyplin lekkoatletyki, piłka nożna i palant. Nadmienię tylko, że nasza szkoła odnosiła zwycięstwo przez ostatnie sześć lat.

Ale zbaczam z tematu. Z całym szacunkiem dla historii miasta i szkoły, to demonstracji neonazistów chciałem poświęcić kilka słów. Poszedłem więc na rynek w towarzystwie pani Lundholm. Ku naszej radości okazało się, że zebrało się tam sporo ludzi, a bynajmniej nie byli to sympatycy Przyszłości Szwecji, bo tak nazywa się ta grupa. Kiedy wreszcie pojawili się neonaziści, to nieszczęsne echo jeszcze gorszych czasów, okazało się, że było ich niewielu i nie wyglądali zbyt groźnie. Jakieś dwadzieścia osób w kominiarkach z pokracznymi transparentami. Po co te kominiarki? – zapytałem siebie oraz moją towarzyszkę. Obojgu nam wydawało się, że dzisiejsi naziści mają w zwyczaju pokazywać się bez masek, świecąc przy tym łysymi głowami, zagryzając zęby i z pewnością siebie spoglądając niebieskimi oczami na każdego, kto chciałby ich zidentyfikować. Jednak nie przedstawiciele Przyszłości Szwecji. Oni woleli działać incognito, może ze strachu, może ta ich pewność siebie była w gruncie rzeczy marniutka.

Tak czy inaczej, ta niezbyt liczna hałastrą przez dłuższą chwilę tylko stała pod fontanną, poza tym nie działo się nic, mnie tymczasem zaczęła się porządnie dawać we znaki wczorajsza konsumpcja koniaku. Wdowa Lundholm stała obok, pomrukując i zgrzytając zębami, a ja przypomniałem sobie, co

naturalne, jak niemal dwa lata temu w podobnych okolicznościach znalazłem w parku pobitego Eugena Kallmanna. I mimo że wówczas byłem na miejscu po demonstracji, nie dało się nie zauważyć, że od tamtej pory brunatna gwardia nie bardzo urosła w siłę. Teraz wprawdzie kilka transparentów zdobiła podobizna Ottona Hanssona, wydawało mi się jednak, że jego śmierć zagrzeje jego naśladowców do zwołania grupy większej niż ta mizerna gromadka.

Co, rzecz jasna, było pewnym ukojeniem. Ich grupie nie udało się nawet wysunąć na przód jakiegoś mówcy, stali tylko żałośnie, kiedy zaś kontrademonstranci przypuścili atak, ani Przyszłość Szwecji, ani przydzielona im policja nie wiedzieli, jak się bronić.

Była to zresztą przykładna i ekspresowa ofensywa, a broń można by zakwalifikować jako dość pokojową. Wszystko rozegrało się w krócej niż pół minuty. Kontrademonstranci zniknęli, ja zaś – jako matematyk – wyliczyłem szybko, że liczbę zużytej amunicji można oszacować na od dwustu do dwustu pięćdziesięciu pocisków.

Mam na myśli jajka. Każdy z kontrademonstrantów miał opakowanie po sześć sztuk, a było ich około czterdzieścioro. Sam nie wiem, co o tym myśleć. Kiedy się to działo, opanowała mnie autentyczna radość... czy też może *schadenfreude*, jednak już po wszystkim mój osąd nieco się zmienił.

Jajka doprawdy trudno nazwać demokratycznym narzędziem walki. Młody frontman (to może niezbyt adekwatne słowo, ale niech będzie) nazistów został zamordowany, a potem jeszcze upokorzono ich na oczach całego miasta. Przecież to musi się skończyć zemstą. Na reakcję nie trzeba będzie czekać dłużej niż tydzień. Na odpowiedź na jajka, że tak powiem.

Tymczasem naturalnym miejscem akcji jest nasza szkoła.

Co na to policja? Bynajmniej to nie neonaziści obrzucili ich jajkami. To ta druga strona. Dlaczego nie mogli się zadowolić obrzuceniem swoich prawdziwych wrogów? Dlaczego, wyrażając swój sprzeciw, nie mogli

okazać trochę klasy? Cholera jasna, myślę sobie, siedząc samotnie w fotelu numer jeden przed ekranem telewizora, na którym migają wiadomości wieczorne. Wiksten znalazł chyba najlepszą receptę. Zamknijmy szkołę i ogłośmy ferie świąteczne!

A Ivan Kardasjan? Przyszło mi nagle do głowy, nie wiem czemu. Nie widziałem go od poniedziałku, kiedy znaleziono martwego Ottona Hanssona na drzewie.

Nie wyciągam żadnych wniosków. Nie dopuszczam nawet tej myśli. W zimowych ciemnościach każdy przecież może po prostu zachorować.

Nieco później wieczorem przypomniałem sobie jedno zdarzenie związane z Eugenem Kallmannem. Nie żebym uważał, że mogłoby to mieć jakieś znaczenie dla naszej trójki na tropie, ale kiedy myślę o tym teraz, pół roku po jego śmierci, muszę przyznać, że incydent ten wygląda zupełnie inaczej w tym świetle. Nabrał znaczenia, którego nie dało się dostrzec w momencie, kiedy miał miejsce. Tak mi się przynajmniej wydaje, ale może to kac wciąż kołaczę się po mojej świadomości jak duch.

Było to jakieś pięć, sześć lat temu. Podczas lekcji matematyki jedna uczennica, niejaka Frida Hallmén dostała ataku nerwowego. Skuliła się w kącie sali i przytknęła ostrze starodawnego cyrkla do krtani. Krzyczała, że dłużej już nie wytrzyma i że odbierze sobie życie. Jeśli ktoś spróbuje ją tknąć (krzyczała dalej), albo choćby się zbliży, ona od razu wbije igłę w szyję. A jeśli ktoś wyjdzie z sali, żeby wezwać pomoc, zrobi to samo.

Była to lekcja Elisabeth Linde, której praktyki nadzorowałem semestr wcześniej, a która właśnie dostała swoją pierwszą posadę w naszej szkole. Nie miała więc pedagogicznego doświadczenia, a już na pewno nigdy wcześniej nie miała do czynienia z uczniami, którzy chcą popełnić samobójstwo podczas lekcji. Nie umiała też ocenić, czy faktycznie można się zabić cyrklem w taki sposób, w jaki chciała to zrobić Frida Hallmén. Mogło to

zadziałać lub nie, ale przede wszystkim należało zrobić wszystko, by dziewczyna nawet nie próbowała. Nakłonić ją, by się uspokoiła, pomyślała na spokojnie i odłożyła cyrkiel.

Pozostali uczniowie natychmiast doznali grupowego szoku. Nikt się nie odzywał, nikt nic nie zaproponował, wszyscy tylko siedzieli w ławkach niczym sparaliżowani i gapili się na koleżankę, która skuliła się w kącie z obłędem w oczach. Kiedy Elisabeth Linde ostrożnie próbowała się zbliżyć do Fridy, dziewczyna wysyczała, że jeszcze krok, a wbije sobie cyrkiel w gardło. Młoda nauczycielka chwyciła jedno z krzeseł i usiadła na nim w bezpiecznej odległości – może dwóch metrów – od ogarniętej psychozą (bo tak to wyglądało) uczennicy. Nie miała pojęcia, jak się zachować. Czy rozmawiać z dziewczyną, a jeśli tak, to co powiedzieć? Czy też siedzieć w milczeniu i czekać? Potem długo rozmawiałem o tym z moją dawną praktykantką. Opowiadała, że sama była bliska paniki i czuła się zupełnie bezradnie, w głowie miała pustkę. Niczym przed zbliżającą się katastrofą – użyła takiego wyrażenia.

Mimo wszystko jakoś udało się jej nawiązać rozmowę z dziewczyną. Zaproponowała, że ktoś z uczniów może pójść sprowadzić pomoc, w odpowiedzi usłyszała jednak, że jeśli ktoś opuści salę, cyrkiel pójdzie w użycie. Elisabeth zadawała więc dalej proste pytania, uznała bowiem, że to najlepszy sposób. Bo wszystko jest lepsze niż zupełna cisza.

Co się takiego stało?

Dlaczego to robisz, Frida?

Czy mogę ci jakoś pomóc?

Czy nie możemy przejść razem do pokoju rozmów, tylko ty i ja?

Na część z pytań nie dostała odpowiedzi, w reakcji na inne Frida gwałtownie syczała „nie”. Gwałtownie syczała. Sposób, w jaki mówiła dziewczyna, naprawdę wskazywał, że straciła ona kontakt z rzeczywistością,

brzmiała niemal jak zwierzę.

Jeśli tylko oddasz mi cyrkiel, obiecuję, że ci pomogę, bez względu na to, o co chodzi.

Żadnej odpowiedzi.

Możesz mi powiedzieć, co się takiego stało?

Żadnej odpowiedzi.

Gorączkowo zastanawiając się nad wyjściem z tej sytuacji, Elisabeth Linde pomyślała, że może to dziwne zachowanie ma coś wspólnego z matematyką. Frida zawsze była bardzo zdolną uczennicą, w zeszłym semestrze i jeszcze poprzednim miała piątki z matematyki, może jednak teraz, w dziewiątej klasie, zaczęła się opuszczać (był koniec listopada, kwestia ocen była więc jak najbardziej na czasie). Nauczycielka wiedziała też, że dziewczyna ma bardzo wymagających rodziców, może to ekstremalny stres ocenowy był punktem zapalnym? Zapytała więc, czy Frida czuje, że zbyt wiele się od niej wymaga? W odpowiedzi dziewczyna znów syknęła i zirytowana pokręciła głową.

Po kilku minutach prób podjęcia rozmowy Elisabeth Linde uznała, że już nie ma siły. Zamilkła i zapatrzyła się na skuloną na ziemi dziewczynę tak jak jej dwadzieścioro troje kolegów w ławkach. Nic się nie wydarzyło. Frida dalej trzymała cyrkiel przy krtani. Dość mocno, bo było już widać kroplę krwi, być może ucisk przybierał na sile z każdą sekundą. Elisabeth odruchowo miała ochotę po prostu wrzasnąć i wybiec z klasy. Opowiadała mi o tym po wszystkim, podkreślając, że była tego naprawdę bliska.

Wtedy jednak dziewczyna coś wysyczała. Elisabeth nie od razu usłyszała, poprosiła więc o powtórzenie.

– Ofelia!

Elisabeth nie zrozumiała, zauważyła jednak poruszenie w klasie. Ofelia? Ktoś powiedział coś szeptem do kogoś innego. Rozległy się pomruki, zauważyła to także Frida, wysyczała – czy też wrzasnęła – więc:

– Cisza!

Wszyscy natychmiast posłuchali. Jednak po pięciu czy dziesięciu sekundach podniosła się jedna z uczennic – niejaka Clara, która wiodła prym wśród innych, a przynajmniej wśród dziewczyn. Podeszła do nauczycielki i nawiązała kontakt wzrokowy ze swoją skuloną w kącie koleżanką.

– Już dobrze, Frida – powiedziała. – Pójdę po pana Kallmanna.

I tak zrobiła. Wyszła z klasy, a po paru minutach wróciła, ciągnąc za sobą nauczyciela szwedzkiego, Eugena Kallmanna. W międzyczasie nic się nie zmieniło. Frida Hallmén nadal trzymała igłę na szyi, choć nie naciskała mocniej. Kiedy jednak Kallmann zaczął się do niej zbliżać, opuściła rękę i wypuściła cyrkiel. Kallmann spokojnie do niej podszedł i go podniósł. Razem z Elisabeth Lind chwycili dziewczynę pod pachy i odprowadzili ją do pokoju rozmów. Niebezpieczeństwo minęło. Wezwano pedagożkę szkolną, a pozostałych uczniów puszczono wolno, mimo że do dzwonka zostało jeszcze dziesięć minut.

Sam byłem świadkiem tego, co nastąpiło później, ponieważ miałem lekcje w sali sąsiadującej z pokojem rozmów. Kiedy tam wszedłem, oni nadal siedzieli i rozmawiali: Elisabeth Linde, Ludmilla Kovacs, Eugen Kallmann i nieszczęsna Frida Hallmén. Nie twierdzę, że od razu zrozumiałem, co tak naprawdę zaszło, jednak w kolejnych dniach usłyszałem na ten temat wiele, zwłaszcza od mojej byłej praktykantki, którą znałem najlepiej z osób zaangażowanych w ten dramat. W tamtym czasie jeszcze nie kolegowałem się z Kallmannem, Frida Hallmén zaś była tylko anonimową uczennicą z klasy, z którą nie miałem zajęć.

Tym, co wywołało tę nieprzyjemną sytuację na lekcji matematyki – a co uczniowie zrozumieli, kiedy tylko Frida wysyczała (czy też zawołała) „Ofelia!” – było przedstawienie *Hamleta*, nad którym klasa pracowała przez ostatnie tygodnie, a które miała zaprezentować pozostałym klasom dziewiątym

za kilka dni. Rzecz jasna chodziło o wersję skróconą, aktorzy mieli odegrać tylko niektóre sceny, natomiast łączącą je fabułę mieli opowiedzieć narratorzy (w tej roli Kallmann oraz dwóch uczniów), a wszystko miało się zmieścić na jednej lekcji, zajmując około trzydziestu pięciu minut.

Frida Hallmén grała Ofelię. Hamleta – jej chłopak Rasmus Karlsson. Byli ze sobą od ponad półtora roku. Jak na tę grupę wiekową to naprawdę długo, niemal wieczność. Dwa dni przed incydem w klasie Rasmus zerwał z Fridą.

Czy muszę dodawać coś jeszcze? Może tylko tyle, że Kallmann miał pewną teorię dotyczącą teatru. Nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem jej założenia, ale – jak relacjonowała Elisabeth Linde – aktor musi się nauczyć wchodzić w swoją rolę i wychodzić z niej.

W rolę i z roli. Co to oznacza? Otóż oznacza to (tłumaczyła mi moja była praktykantka tak pedagogicznie, jak tylko umiała), że stojąc na scenie, człowiek jest postacią, którą gra. Nie przedstawia jej, a nią jest.

A opuszczając scenę, opuszcza także rolę. Całkowicie.

Co nie do końca się udało w przypadku Fridy Hallmén.

Co z kolei oznaczało, że tegoroczne, wyczekiwane przedstawienie Szekspira musiało zostać odwołane.

Kallmann próbował znaleźć zastępczynię do roli Ofelii, ale żadna z dziewczyn z klasy nie podjęła się zadania. I może właśnie to sprawiło, że po tylu latach przywołałem to wydarzenie w mojej dziurawej pamięci.

Dlaczego? Dlaczego próbował zapełnić lukę po potencjalnej samobójczyni? Czy może najpierw po prostu starał się przekonać Fridę Hallmén? By mimo wszystko weszła w rolę? Mimo tego nieprzyjemnego incydentu na lekcji matematyki.

Nie wiem. Nigdy nie zapytałem, a teraz już za późno. O ile jednak pamiętam, od tamtej pory nie otwieraliśmy już szuflady z cyrkłami na lekcjach

matematyki.

Jeszcze później wieczorem zadzwonił Pompe, żeby zapytać o święta i Nowy Rok. Odpowiedziałem, że jak zawsze narodziny Chrystusa będę świętować w towarzystwie Very Rönne (mimo iż jest żydówką), jej szwagrem oraz szwagierką (która jest siostrą zmarłego męża Very). To już tradycja, miło byłoby jednak, gdyby Pompe chciał zająrzeć w Nowy Rok. (Liczyłem, że może Gunilla będzie chciała do mnie przyjechać z wizytą; kiedy jednak kilka dni temu rozmawialiśmy przez telefon, oznajmiła mi, że przyjaciółka zaprosiła ją na Nowy Rok do Lysekil. Doprawdy mam nadzieję, że chodzi tylko o przyjaciółkę, nic więcej).

Pompe rzecz jasna zgodził się na moją propozycję i wstępnie ustaliliśmy, że tak właśnie zrobimy. Wpadnie na pięć, sześć dni – z reguły tyle było w sam raz. Jeśli pogoda pozwoli, trochę pojeździmy na nartach w Blåberga, pojemy sobie smacznie i pogadamy, już wielokrotnie tak robiliśmy. Po pięciu minutach rozłączyliśmy się więc, życząc sobie miłej niedzieli.

Dobrze, że mam Pompego, pomyślałem. Samotność to nic przyjemnego, doprawdy. Zastanowiłem się nawet, czy nie dałoby rady namówić Very lub kogoś z kolegów na wyprawę na narty już nazajutrz.

Zdecydowałem się zaczekać z tym dwanaście godzin. Po śniadaniu zadzwonię do nich spontanicznie, a jeśli nikt się nie będzie pisać, pojedę sam. Na ścieżce dla narciarzy na pewno sam nie będę.

Ludmilla

Był zimny ranek, kiedy wraz z Leonem szliśmy na Sylvestergatan do mieszkania Eugena Kallmanna. Oboje mieliśmy niezbyt czyste sumienie – z jednej strony byliśmy parą ukrywających się kochanków, z drugiej zaś właśnie zamierzaliśmy dopuścić się włamania. Czy może nazywa się to inaczej, jeśli ktoś ma klucz? Wtargnięcie karalne? Tak czy inaczej, na pewno nie jest to zgodne z prawem, nie mamy co do tego złudzeń.

Po drodze nie spotkaliśmy żywej duszy. W K. o dziewiątej rano w niedzielę nikt nie wychodzi. Nie o tej porze roku, o innych zresztą też nie.

– A jeśli klucz nie będzie pasować? – zapytałam.

– To wrócimy do domu, nie załatwiwszy sprawy – odparł Leon. – Wiem jednak, że na pewno pasuje ten do drzwi na klatkę.

– Sprawdziłeś ostatnio?

– Tak.

Przed wejściem domu z numerem jedenaście siedział tylko samotny pies. Czarny, nieco kudłaty, nie umiałam określić, co to za rasa. Wyglądał przyjaźnie, ale był trochę zmarznięty. Nic dziwnego przy temperaturze minus dziesięć. Rozejrzeliśmy się wokół, szukając właściciela, ale nikogo nie dostrzegliśmy. Leon otworzył drzwi, pies wszedł za nami na klatkę. Kilka razy zamerdał ogonem, po czym umościł się pod kaloryferem. Leżała tam złożona

na dwoje kołdra, która wyglądała na jego stałe miejsce.

– Był tu ostatnio? – zapytałam.

Leon pokręciło głową.

– Nie, ale ma obrożę, więc na pewno do kogoś należy.

– Dziwne, że właściciele pozwalają mu spać na klatce.

– Owszem – odparł Leon. – Może jest u nich z wizytą ciotka, która ma uczulenie.

– Być może – zgodziłam się, ale wciąż uważałam, że to podejrzane. Zupełnie, jakby to był jakiś omen, nad którym powinniśmy się zatrzymać i zastanowić, zanim wejdziemy do mieszkania Kallmanna.

Jednak nie powiedziałam tego na głos. Weszliśmy na trzecie, ostatnie piętro. Ściany były świeżo pomalowane, brakowało tylko wykończenia. Na każdym piętrze były po dwa mieszkania. Na drzwiach sąsiadujących z mieszkaniem Kallmanna wisiała odręcznie napisana karteczka „Tillgren i Sarkowski”. Leon włożył klucz do zamka i przekręcił. Pasował. Otworzył drzwi i wślizgnęliśmy się do środka.

Pachniało stęchlizną. Na wycieracze, pod wlotem na listy, leżała wysoka sterta ulotek reklamowych. Najwidoczniej nikogo nie było tu od dłuższego czasu, może nawet od maja, od śmierci właściciela. Poza tym w mieszkaniu panowała dość nieprzyjemna atmosfera. Zrobiło się lepiej, kiedy odsłoniliśmy ciężkie zasłony zakrywające dwa okna. Mimo wszystko wciąż było zbyt ciemno, by można tam było czegokolwiek szukać. Mieliśmy wprawdzie zamiar nie zapalać lamp, jednak wyglądało na to, że na więcej dziennego światła w ten brudnoszary grudniowy poranek nie ma co liczyć. Po drugiej stronie ulicy stała podobna kamienica, w niej paliło się mniej więcej w co drugim oknie. Pytanie, czy ktoś z tamtejszych lokatorów zaobserwował, że akurat te dwa prostokąty szyb od ponad pół roku są ciemne, ponieważ tego, który tu mieszkał, nie ma już wśród żywych.

– Jak myślisz? – zapytał Leon.

– Nie wiem. A ty?

Staliśmy tam jak dwa niezdecydowane osły, aż w końcu Leon przyłożył palec do kontaktu i zapalił lampę.

– Stało się. Myślę, że i tak policja nie ruszy do akcji z takiego powodu. Możemy szukać w spokoju.

Pokiwałam głową.

– Dobra, od czego zaczynamy?

Obeszliśmy mieszkanie, robiąc mały rekonesans. Było dość małe i zagracone. Trzy pokoje z kuchnią, ale nie miało więcej niż sześćdziesiąt pięć, siedemdziesiąt metrów kwadratowych. Za dużo mebli, zupełnie jakby Kallmann przeprowadził się tu z pięciopokojowego apartamentu lub z willi. Od góry do dołu książki – poukładane w regałach i w stosach na podłodze, ale tego akurat można się było spodziewać. Skoro już i tak zrobiliśmy jeden krok, to zrobiliśmy i drugi – zapaliliśmy lampę także w kuchni i drugim pokoju, który nie był sypialnią (w nim też było mnóstwo książek, a do tego kilka wolno stojących szaf, trzy dziwne krzesła i zniszczona sofa). Szczerze mówiąc, zatechły zapach był bardzo drażniący, zwłaszcza w kuchni i w łazience, ale do tej ostatniej tylko zajrzeliśmy, po czym zamknęliśmy drzwi z powrotem. Mało prawdopodobne wydało się nam, żeby Kallmann przechowywał swoje zapiski właśnie tu.

Ale jeśli nie tam, to gdzie? O ile w ogóle piąty pamiętnik istniał. W tamtej chwili zadanie, którego się podjęliśmy, wydawało się zupełnie bezsensowne. Widziałam po Leonie, że nasza go podobna myśl co mnie. Żadne z nas nie było jednak gotowe, by przyznać się do zwątpienia, więc mimo wszystko zabraliśmy się do szukania. Zaczęliśmy od salonu, w którym – poza masą książek – znajdował się niski, okrągły stolik, trzy wysiedziane fotele, każdy inny, duże biurko, dwie lampy podłogowe i stare pianino. Ten ostatni mebel

był wyjątkowo mały i miał chyba ze sto lat.

– Niech każde zacznie od swojego regału – zaproponował Leon. – Potem razem możemy zająć się biurkiem.

Miałam zaproponować odwrotną kolejność, ale zgodziłam się skinieniem głowy i zabraliśmy się do pracy. Założyliśmy oczywiście, że ten ewentualnie istniejący piąty tom wygląda jak pozostałe, że to brulion formatu A5 w woskowanych czarnych okładkach. Gdyby w mieszkaniu znajdował się inaczej wyglądający pamiętnik, z pewnością byśmy go przegapili. Nam nie chodziło jednak o przeszukanie miejsca zbrodni, nie mieliśmy też czasu pod dostatkiem. Bóg jeden wie, na co polowaliśmy, z drugiej jednak strony, skoro już zasłiśmy tak daleko, to musieliśmy się trochę wysilić.

Szukaliśmy więc. Przeglądaliśmy regały półka po półce. Była tam naprawdę fura książek. Starych i nowych, albumów o sztuce (w większości dziewiętnastowiecznej, Renoir, Friedrich, Charcout), wydania kieszonkowe i w twardych oprawach, literatura piękna i fachowa. Większość książek stała, ale gdzieś tam leżały stosy. Były tam też czasopisma, zeszyty nut, podręczniki, antologie szkolne, a nawet zeszyty uczniów. Pomyślałam sobie, że Kallmann był może geniuszem pod wieloma względami, ale doprawdy żaden był z niego bibliotekarz.

Dwadzieścia minut zajęło nam przedarcie się przez zawartość wszystkich regałów w pokoju, stosów na podłodze oraz dojście do tego, że w całej tej masie nie ma piątego tomu pamiętnika. Mieliśmy właśnie zabrać się do przeszukiwania biurka, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi.

Popatrzyłam na Leona. Leon popatrzył na mnie. Staliśmy jak sparaliżowani. Wstrzymaliśmy oddech i czekaliśmy.

Kolejny dzwonek.

– Zamknąć drzwi? – wyszeptałam spanikowana.

Leon delikatnie skinął głową, wykonując przy tym gest, którego nie

zrozumiałam. Może chodziło mu o to, że nie pamięta.

Oboje zaczęliśmy się rozglądać za kryjówką. Znów spojrzeliśmy na siebie i nic nie mówiąc, zgodziliśmy się, że nie ma sensu się chować. Upłynęło dziesięć, piętnaście sekund. Nadstawiliśmy uszu. Być może ten ktoś też stał za drzwiami i nasłuchiwał. Nie ruszaliśmy się. Nie wydawaliśmy z siebie najmniejszego dźwięku.

Trzeci dzwonek. Nieco dłuższy od dwóch poprzednich.

Potem ktoś nacisnął kławkę. Kilka razy. Drzwi się nie otworzyły, na szczęście Leon pamiętał, by je zamknąć. Czułam, że zaraz zemdleję, zapewne dlatego, że od paru minut niemal nie oddychałam. Leon przysunął się i wyszeptał mi do ucha:

– Idź nasłuchiwać do przedpokoju. Ja wyjrzę przez okno.

Tak zrobiliśmy. Na palcach podeszłam do drzwi i ustawiłam się przy sterce ulotek na wycieracze. Specjalnie stałam w tym miejscu, by ten ktoś nie zobaczył mnie, gdyby przyszło mu do głowy zajrzeć przez wlot na listy. Z klatki schodowej nie dobiegały żadne dźwięki, mimo to czułam, że on wciąż tam jest. Może ona, ale z jakiegoś powodu byłam pewna, że to mężczyzna. Skąd ta pewność? Dobrze pytanie. Znów wstrzymałam oddech. Minęło pół minuty, gdy nagle usłyszałam odgłos oddalających się kroków. Ktoś schodził po schodach. Szybko przeszłam do Leona, który stał przyklejony do ściany przy jednym z okien ze wzrokiem wbitym w ulicę. Skinął do mnie, ustawiłam się więc w identycznej pozycji przy drugim oknie.

– Bądź gotowa się schować, jeśli popatrzy w górę – powiedział Leon.

Przytaknęłam. Każde z nas chowało się za swoją zasłoną. Marna kryjówka.

Jednak osoba, która wyszła z budynku, nie spojrzała na nas. Był to chyba starszy mężczyzna, choć trudno dokładnie stwierdzić. Miał na sobie ciemną, pospolitą kurtkę i robioną na drutach czapkę. Ręce trzymał w kieszeniach. Przeciął ulicę i zniknął w drzwiach domu po drugiej stronie – ponurej

trzy piętrowej kamienicy zbudowanej w podobnym stylu lat sześćdziesiątych jak ta, w której się znajdowaliśmy.

– Niech to, tego już za wiele – powiedziałam, kiedy dotarło do mnie, że już nie musimy szeptać. – Chyba ciągle mam puls sto pięćdziesiąt.

– Ja też – odparł Leon. – Chryste Panie. To już wiemy, że po drugiej stronie ulicy siedział jakiś śledczy.

– No właśnie. To co robimy?

– Ty mi powiedz.

– Myślisz, że też nas zobaczył? Pewnie zwrócił uwagę na zapalone światło, ale czy widział, że ktoś tu jest?

Leon przysiadł na kancie biurka i zaczął się zastanawiać.

– A czy widzi nas teraz? Podejź tu i usiądź.

Usiadłam obok niego. Oboje wyjrzelśmy przez okno. Stwierdziliśmy, że z tej pozycji nie widać domu po drugiej stronie ulicy. Wróciliśmy na nasze miejsca przy regałach. Stąd też nie.

– I co? – zapytałam.

Leon wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może to nic groźnego. Najwidoczniej ten facet zobaczył, że ktoś tu jest, ale nie mógł nas dostrzec dokładnie. Myślisz, że co teraz zrobi?

– Co masz na myśli?

– Może nie wystarczy mu to, że przyszedł tu i zadzwonił do drzwi. Może podejrzewa włamanie albo co...?

Szybko przemyślałam sprawę i uznałam, że Leon może mieć rację. W mieszkaniu po drugiej stronie Sylvestergatan nasz praworządny obywatel mógł właśnie rozmawiać z policją. Kto wie. Mógł opowiadać im, że zauważył, że ktoś wszedł do mieszkania, które od pół roku stało puste, bo jego właściciel zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach...

– Niech to cholera – powiedziałam w końcu. Tak może być. Musimy się

stąd zmywać.

– Poczekaj chwilę – odparł Leon. – W mieście nie ma posterunku policji, prawda?

– Nie, zlikwidowali go podczas reformy kilka lat temu.

– A gdzie znajduje się najbliższy?

– W Ö., oczywiście.

– Co oznacza – ciągnął Leon – że trochę potrwa, zanim przyślą patrol. Co najmniej pół godziny.

Powiedziałam mu, że nie jest normalny, ale że zapewne ma rację. Chyba że w K. z racji wczorajszych wydarzeń są akurat jacyś policjanci. Nigdy nie wiadomo.

– Dobra – podsumowałam. – Szukamy jeszcze przez dwadzieścia minut. Ani sekundy dłużej. I musimy mieć oko na ulicę... na wypadek gdyby pojawił się jakiś radiowóz.

– W porządku – odparł Leon. – Ja zajmę się biurkiem, ty sypialnią... co jakiś czas będę wyglądał przez okno.

Zapaliłam światło w sypialni. Uznałam, że teraz nie ma to już większego znaczenia. Poza tym okno i tak nie wychodziło na Sylvestergatan. Pokój był dość ciasny, nie mieściło się w nim nic poza łóżkiem, dwoma stolikami nocnymi i małą komódką. W kącie stał podniszczony futerał na gitarę. Nie otwierałam go. Czuć było stęchlizną, brudnymi ubraniami i facetem. Nie przypominałam sobie, by Kallmann kiedykolwiek roztaczał wokół siebie nieprzyjemny zapach. Może codziennie rano przed pójściem do szkoły brał prysznic? Albo skrapiał się perfumami dla mężczyzn Aqua Ver, na przykład?

Zaczęłam od stolików nocnych. Nie było to trudne. Każę z nich miało wysuwaną szufladę, ale w żadnej nie było pamiętnika, tylko jakieś papiery i opakowania po lekach. Na wszelki wypadek przyklękłam i zajrzałam pod łóżko. Zobaczyłam tylko koty kurzu i jakiś kłębek, najprawdopodobniej

skarpetę.

Popatrzyłam na zegarek. Minęły cztery minuty. Zostało szesnaście. Ruszyłam do komódki.

Były w niej trzy szuflady. W najwyższej leżała bielizna. W środkowej więcej bielizny, ale przede wszystkim zapas whisky. Nie było w tym może nic zaskakującego, bo w salonie nie znaleźliśmy ani jednej butelki. Tu naliczyłam ich sześć, wszystkie nietknięte. Poza tym same single malt. Nie jestem specjalistką w tej dziedzinie, ale oszacowałam, że to naprawdę dobre marki.

Najniższej szuflady nie zdążyłam otworzyć.

– Mam!

Zwycięstwo! Tak mniej więcej zabrzmiał dobiegający z salonu okrzyk Leona. Po chwili do sypialni wbiegł on sam, kurczowo ściskając pamiętnik. Pomyślałam, że wygląda jak zawodnik piłki nożnej, który właśnie strzelił decydującego gola w ostatniej minucie. Rzucił się na mnie i razem runęliśmy na podwójne łóżko świętej pamięci Eugena Kallmanna, nauczyciela języka szwedzkiego. Nie było wygodne.

– Auć – jęknęłam. – Zwariowałaś?

– To on – oznajmił Leon. – Patrz! Był w jednej z szuflad. Tam powinniśmy byli zacząć.

I tak byśmy zrobili, pomyślałam, gdyby Leon nie zaproponował przeszukania regałów. Po co niby ktoś miałby wstawiać niezapisany pamiętnik do regału? Przysiedliśmy na skraju łóżka, a Leon otworzył zeszyt na pierwszej stronie.

E.K.

Pamiętnik 1995

Poufne

– W istocie – przytaknęłam. – A niech mnie. Ale teraz musimy stąd zniknąć.

– Też już mam dość tej dziury – zgodził się Leon. – Wygląda na to, że zapisał dwadzieścia stron.

Pogasiliśmy lampy, zanim jednak otworzyliśmy drzwi i wyszliśmy, dopadło mnie przecucie. Oto dwóch roślących policjantów będzie na nas czekać na klatce schodowej, wpadniemy prosto w ich ręce. Chwyciłam Leona za ramię i poprosiłam, żeby zaczekał.

– O co chodzi? – zapytał.

– Po prostu wydaje mi się, że...

– Wiem, też o tym pomyślałem. Miejmy tylko nadzieję, że nie zaczną od razu strzelać ostrą amunicją.

Na klatce nie było jednak policji. Nikogo innego zresztą też nie, tylko ten kudłaty pies zwinięty na kołdrze pod kaloryferem przy drzwiach. Widząc nas, uniósł łeb i machnął ogonem. Tylko tyle. Pomyślałam, że wygląda, jakby nas błogosławił.

Ulrika

Zaledwie dwa dni do końca starego roku.

Wydaje mi się, że już od świąt mam dziwne przeczucie. Sama nie wiem, o co chodzi, ale mam wrażenie, jakbym słyszała jakiś wewnętrzny głos, który szeptem przekazuje mi wiadomość. *Zastanów się – mówi. – Zrozum!*

Co też miałabym zrozumieć, nie mam bladego pojęcia. To znaczy, owszem, blade to mam, bladziutkie niczym księżycowa poświata, jak to się mówi. Choć może wcale się tak nie mówi? Może tylko gdzieś to wyczytałam. Nie ma to jednak znaczenia, ważne jest to, że to blade przeczucie mnie nie opuszcza.

Zastanów się. Zrozum.

Myślę sobie, że w tym roku, który wkrótce dobiegnie końca, wszystko stało na głowie. To, co wydarzyło się w szkole Bergtuna, jest oczywiście okropne. Te rasistowskie napaści i powieszony chłopak i w ogóle, nie to jednak mam na myśli. W każdym razie nie teraz. Teraz myślę o sytuacji w rodzinie. Mojej rodzinie. Naszej. Nie jestem pewna, czy umiem to precyzyjnie nazwać, ale coś się zmieniło, kiedy Andrea postawiła mnie pod ścianą, tak że musiałam jej powiedzieć prawdę o jej ojcu. Od tej pory nasza relacja wygląda inaczej niż kiedyś. Czasami mam wrażenie, że ona jest dla mnie bardziej jak siostra niż jak córka. Dziwne, ale to wcale nie nieprzyjemne uczucie. Teraz żywię do niej większy szacunek i mam wrażenie, że wzajemnie.

Patrzemy na siebie jak dwie kobiety, najczęściej (choć nie zawsze) rozmawiamy ze sobą w taki właśnie sposób: bardziej dojrzały, życiowo mądrzejszy. Śmiem twierdzić, że i ona to dostrzega i docenia.

To jednak wpływa na relacje z resztą rodziny, a nie wiem, czy to dobrze czy źle. Oczywiście prędzej czy później Bernt-Olov, ale i moi rodzice muszą się dowiedzieć, że Andrea zna prawdę. Dziwne, że przez lata tylko nasza czwórka strzegła tej tajemnicy. Choć w niektórych dokumentach widnieje zapis, że ojciec jest nieznany. Wprawdzie na początku – zanim mnie porzucił – zarejestrowano, że nazywa się Flynn Branagan, ale z jakiegoś powodu potem usunięto tę informację. Próbowałam to wytłumaczyć Andrei. Według niej to nienormalne, że tak to może wyglądać, a ja właściwie nie miałam żadnego rozsądnego wyjaśnienia. Zrzuciłam winę na fakt, że byłam bardzo młoda i miałam trudną sytuację.

Nigdzie natomiast nie jest napisane, że Bernt-Olov jest jej biologicznym ojcem. Adoptował ją jednak zaraz po jej narodzinach, i chwalał mu za to. Jednak od samego początku Andrea zachowywała wobec niego dystans, zupełnie jakby wiedziała... nie mogła jednak wiedzieć. Może to kwestia rezerwy w zachowaniu Bernta-Olova. Jego ogólnej oschłości i prawdziwego braku kompetencji społecznych. Dlaczego za niego wyszłam? Odpowiedź jest prosta: bo byłam w takiej, a nie innej sytuacji.

Nie umiem natomiast równie prosto odpowiedzieć na kolejne pytanie: dlaczego urodziłam mu dwójkę dzieci? Właściwie w ogóle nie umiem tego wyjaśnić. Nie kocham go, nigdy nie kochałam. Wytrzymuję z nim jednak tak, jak wytrzymuje się z przyjaznym zwierzęciem domowym lub meblem, do którego człowiek się przyzwyczył.

Brzmi to strasznie, ale mówię tu o myślach, których nigdy wcześniej nie ubierałam w słowa. Odpędzałam je od siebie przez lata, a właściwie od momentu, kiedy postanowiliśmy wziąć ślub. Czułam się winna wobec mamy

i taty, więc skoro już napytałam takiej biedy, to mogłam przynajmniej z wdzięcznością przyjąć rozwiązanie, jakie sprezentował mi los.

Powiedziałam „tak”, wzięliśmy ślub i zamieszkaliśmy razem.

Od czasu do czasu pytam Andreę, czy nie czas przyznać się, że wie, ale ona nie chce. Tłumaczy to tym, że nie umie udawać. Udawać, że jest jej przykro. Według niej fakt, że nie jest spokrewniona z Berntem-Olovem, to jak wygrana na loterii. Co oczywiście by go zraniło, jako że podjął się zadania i wziął na siebie tę odpowiedzialność i tak dalej, i tak dalej... Nie wiem, czy wierzę w jej argumenty, na pewno nie do końca, mam wręcz wrażenie, że Andrea stara się mnie ukarać. Ponieważ jednak ukrywałam przed nią prawdę przez tyle lat, teraz muszę pozwolić jej postępować według własnego uznania. Milczymy więc.

Nigdy nie przepadałam za Bożym Narodzeniem, a w tym roku świętowanie było bardziej wymuszone niż kiedykolwiek. W wigilię jak zwykle byli u nas rodzice oraz troje krewnych Bernta-Olova: ciotka z demencją, nieszczęśliwa siostra oraz chory siostrzeniec. Ciotka ma osiemdziesiąt trzy lata i z nią akurat mam najmniejszy problem. Wystarczy posadzić ją w fotelu, a będzie tam sobie tkwiła cicho jak trusia. Na zmianę staramy się z nią rozmawiać, zwłaszcza mama, ale z marnym skutkiem. Sylvi, starsza siostra Bernta-Olova urodziła syna, Urbana, nieco po czterdziestce. Teraz ma pięćdziesiąt lat, a Urban jest rówieśnikiem Arona. Ojciec chłopca istnieje, ale na skutek wypadku w miejscu pracy postradał zmysły, kiedy dziecko dopiero co przyszło na świat. Spadł z dźwigu podczas remontu hali hokejowej w Umeå, gdzie mieszkają. Rozwiedli się, bo nie da się być w związku małżeńskim z warzywem. Smutna historia, a Sylvi opowiada ją, kiedy wypije sobie kieliszek lub dwa wina. W każde święta. Nieco ją tylko aktualizuje, opisując stan Eskila (bo tak ma na imię ojciec Urbana), który tkwi w swoim świecie w jakimś domu opieki.

Choroba Urbana natomiast wygląda na autyzm. Ponieważ jednak spotykamy

się tylko raz do roku, nigdy nie było okazji, by o tym porozmawiać. Bernt-Olov najchętniej w ogóle nie widywałby się z siostrą. Kiedyś, kiedy się upił, co zdarza się bardzo często, opowiadał, że Sylvi traktowała go bardzo źle, kiedy byli dziećmi. Jednak Boże Narodzenie to takie radosne, rodzinne święto, a czego się nie robi dla rodziny?

No właśnie, czego?

Na pewno nie załatwia się spraw wprost. Absolutnie nie. Stare krzywdy zostawia się pod warstwą kurzu i robi się dobrą minę do złej gry. To coroczne przedstawienie trwa w końcu tylko kilka godzin. Moi rodzice oraz ta nieszczęśliwa reprezentacja z Umeå zjeżdżają do nas około drugiej. Przez godzinę przed Kaczorem Donaldem¹¹ siedzimy przy stole kuchennym, jemy pierniczki i popijamy grzane wino, wymieniając przy tym informacje bez znaczenia. Potem oglądamy kreskówki. Następnie dajemy sobie prezenty, siadamy do stołu, pijemy kawę i nalewki i jemy faworki roboty Sylvi (zawsze kruszą się w podróży). Mama i tata idą do domu około północy, parę minut później ciocia Stina, Sylvi oraz Urban zbierają się do domku dla gości. W pierwszy dzień świąt, po śniadaniu, jadą do domu, najwcześniej, jak się da, ponieważ droga jest daleka, a Sylvi chce ujechać jak najwięcej, kiedy jest w miarę jasno. Co roku ta sama procedura.

W tym roku jednak było na swój sposób inaczej. Przyszło mi to do głowy, już kiedy kwadrans przed Kaczorem Donaldem popijaliśmy wino, przypadkowo rozsądzeni wokół stołu. Dziesięć osób, rodzina, która zgromadziła się, by świętować narodziny Zbawcy, czy ktoś w niego wierzy czy nie: sześcioro dorosłych, czworo dzieci (choć o Andrei wcale nie myślę już jak o dziecku). Gdyby ktoś popatrzył na nas z boku – gdyby na przykład samotny wędrowiec zajrzał przez okno kuchenne – uznałby, że wyglądamy najzwyczajniej w świecie. Wręcz sielankowo, żeby nie powiedzieć: szczęśliwie. Może ten samotny wędrowiec poczułby nawet zazdrość. Może chciałby móc siedzieć

tutaj z nami.

Ja natomiast w tym momencie – kiedy mijał nas ten wymaginywany samotnik – czułam coś wręcz przeciwnego. Pragnęłam uciec! Wydostać się stąd! Właśnie w tamtej chwili to przeczucie pojawiło się po raz pierwszy. Pamiętam, że akurat popatrzyłam w oczy mojej mamie i to tam je dojrzałam. Naprawdę. Trwało zaledwie moment, ale przez tych kilka sekund zdążyłam wyczytać to, czego nie chciałam. Mama siedziała, przyglądając się tacie, mężczyźnie, z którym żyła od niemal czterdziestu lat, a w jej spojrzeniu dało się dostrzec coś bardzo, bardzo mrocznego. Jak to opisać? Zobaczyłam duszę uwięzioną w ziemiance? Konającego węgorza w głębokiej studni, która po wielu latach wyschła? W tej krótkiej chwili takie właśnie skojarzenia przelatywały mi przed oczami. Było to naprawdę dziwne, bo z reguły nie popadam w takie stany. Potem mama zorientowała się, że się na nią gapię i... czym prędzej zasunęła pokrywę.

Kilka sekund, pomyśleć, że tyle mogą zmieścić. Obnażyć czyjeś całe życie.

Co mam na myśli?

Nie wiem. Jeszcze nie.

Potem zaczął się Kaczor Donald.

W pierwszy dzień świąt, kiedy nieszczęśliwi wyruszyli już do domu, my jak zwykle wybraliśmy się do Blåberga. Aron i August chcieli wypróbować nowe sanki i narty, Andrea została w domu. Choć raz nie musiała wymyślać wymówek. Może Bernt-Olov wreszcie zrozumiał, że z piętnastolatką nie da się postępować jak z dzieckiem. Ja i on najpierw upewniliśmy się, że Aron i August mogą przez godzinę zostać sami na wzgórzu przy kawiarni, bo w pobliżu kręcili się nasi znajomi (Malin z Simonem, trójką dzieci i psem), którzy obiecali mieć ich na oku. Potem zrobiliśmy sobie przejażdżkę na nartach, jakieś siedem kilometrów.

Pogoda była przepiękna: kilka stopni na minusie, śnieg połyskiwał

w słońcu. Ponieważ Bernt-Olov lubi „trochę docisnąć”, po chwili zostałam sama. To znaczy wokół nie brakowało innych narciarzy, nikt jednak mnie nie rozpraszał, więc mogłam spokojnie rozmyślać. A trudno o lepsze okoliczności niż pokryty śniegiem las.

Moje myśli wciąż krążyły wokół tej chwili uchwyconej przy świątecznym stole. Nigdy jakoś szczególnie nie zastanawiałam się nad związkami moich rodziców. Oni po prostu byli czymś stałym, kawałkiem skały, który wydawał się tak twardy i pozbawiony wnętrza, że nawet ktoś poszukujący czystych minerałów uznałby rozłupywanie go za bezsensowne.

Czy zawsze tak myślałam? Nie mogli jednak tak wyglądać, kiedy się poznali w połowie lat pięćdziesiątych. Przecież mnie spłodzili. Jak to się stało? Czy też może ich małżeństwo jest po prostu efektem szwedzkiej, czy może raczej północnoszwedzkiej, krzywej Gaussa? Tak to już się toczy. Wszystko wygasa, nie ma co tworzyć iluzji.

Z biegiem lat tata robił się coraz bardziej małomówny. Pamiętam, że kiedy byłam dzieckiem, miał własne zdanie na każdy temat i zwykł je wygłaszać. Już tak nie robi. Wiem, że pisze listy do gazety, zawsze pod pseudonimem. To tam znajduje ujście dla swoich opinii i pomysłów. Jakiegokolwiek by one były.

Trochę niepokojące jest to, że Bernt-Olov tak bardzo go przypomina. Teść i zięć, dwóch cichych facetów, którzy przez dwie godziny mogą rozprawiać o tym, jak zawiesić drzwi garażowe, ale poza tym zdają się z zadowoleniem akceptować, że świat jest, jaki jest. A jeśli nie z zadowoleniem, to w każdym razie bez niezadowolenia. A można przecież odnaleźć się w sytuacji, a przy tym i tak się krzywić.

Jak na przykład ja. Niemal czterdziestoletnia matka trójki dzieci, z pewną posadą w biurze gminy. Cóż to za uparte myśli kołaczą mi się po głowie w tym cichym i napawającym spokojem lesie? O co mi chodzi? Przecież etap buntu zaliczyłam już szesnaście lat temu – trwał on rok, a jego skutkiem jest Andrea.

Wyszło nie najgorzej, pomyślałam. Bo przecież liczy się efekt.

Byle tylko ona nie poszła w moje ślady. I ten jej pomysł, żeby jechać do Anglii szukać śladów Flynna. Nie, kiedy ten dzień nadejdzie, będę musiała zaprotestować.

Tego typu myśli pojawiają się i znikają. Nie opuszcza mnie natomiast to przeczucie. Nie dotyczy ono Flynna czy Andrei, nie daje mi jednak spokoju. Trzymało się mnie wtedy na nartach i przez ostatnie dni.

Zastanów się! Zrozum!

Nad czym mam się zastanowić? Co zrozumieć?

Czy to w ogóle ma coś wspólnego z Andreą? Co takiego powiedziała o Eugenie Kallmannie tego wieczoru, kiedy piekłam bułki w kuchni? O nim i o Charliem. Charliem Mattisie? Jestem na siebie wściekła, że nie słuchałam uważniej, nie jestem jednak zawodowym piekarzem, kiedy więc wyrabiam ciasto, muszę się skoncentrować.

I czy w drugi dzień świąt też nie wydarzyło się coś dziwnego?

Tak, zdecydowanie. Znów sięgnęłam do pamięci.

Jak zwykle poszliśmy do moich rodziców na lunch. Tradycją jest, że zamiast jedzenia świątecznego mama zawsze serwuje rybę. Aron i August nie przepadają za rybą, ale już w zeszłym roku dogadaliśmy się z nimi tak, że jeśli tylko spróbują udawać, że jedzą, a przy tym będą grzeczni, to w drodze powrotnej zatrzymamy się przy barze z grillem, żeby mogli przegryźć coś konkretnego. Właściwie to Bernt-Olov wpadł na ten pomysł, muszę mu to oddać.

– Witajcie – powitał nas tata, kiedy wdreptaliśmy do ciasnego holu. – Dajcie mi swoje kurtki, to wrzucę je do sypialni. Tak będzie najprościej.

– Dobrze. Obiecujemy, że wrócimy do domu, zanim będziecie szli spać – zażartował Bernt-Olov.

– Miejmy nadzieję – odparł tata.

Nie dam sobie ręki uciąć, ale chyba ta sama wymiana zdań odbyła się rok temu.

– A pamiętasz, Andrea, jak nasikałaś do buta dziadka?

Andrea nie ma bynajmniej żadnych problemów z przypomnieniem sobie tego, zwłaszcza że dziadek mówi jej to co roku. W owej słynnej już chwili miała cztery lata, chciała iść do łazienki, ale okazało się, że jest zajęta, załatwiła więc swoją potrzebę nieco ukradkiem w holu.

– Zaprosiliśmy też Valtera.

Powiedziała to moja mama. Wyszła właśnie z kuchni i zdjęła zielono-czerwony fartuch, który dostała na gwiazdkę rok albo dwa lata wcześniej. Valter Åbom jest ich sąsiadem i to podwójnie. Mieszka w klatce obok tutaj, na Sylvestergatan, ma też działkę jakieś sto metrów od działki rodziców w okolicach łąk w Dovre. Valter jest chyba od nich trochę starszy, ale mogę się mylić, może po prostu ma bardziej zniszczoną twarz. Jeśli akurat nie zaprosi go żadne z dzieci – syn z Kalix lub córka z Eslöv – spędza święta sam. Jego żona Gullan, najlepsza, najmądrzejsza i najpiękniejsza kobieta na świecie, zostawiła go dziesięć lat temu. Przez „zostawiła” mam na myśli „zostawiła”, nie „umarła”. Rozumiem ją. Valter nie jest bowiem najlepszym, najmądrzejszym czy najpiękniejszym mężczyzną na świecie. To już trzeci lub czwarty raz spotykamy go na lunchu w drugi dzień świąt.

– Wesołych świąt państwu – powitał nas. – Bo święta się nie kończą.

– Idźcie się porządnie przywitać z wujkiem Valterem – powiedział Bernt-Olov, a Aron i August zrobili, jak kazał. Ścisnęli mu dłoń i ukłonili się. Widziałam po nich, że dla nich to jak udział w przedstawieniu. Bo taki ktoś jak wujek Valter nie może istnieć na serio. Zerknęłam na Andreę i zrozumiałam, co myśli.

To już ostatni raz.

Zauważyła, że zauważyłam. Pokiwałam głową, żeby dać jej do zrozumienia, że takie myśli są dozwolone. Jesteśmy wprawdzie mamą i córką, ale przede wszystkim dwoma kobietami, które się rozumieją.

Ale i ona grzecznie się przywitała.

– Że też nie zburzą tego przekłętą domu – powiedział Valter Åbom. – Stoi tak i pleśnieje od... ile to już będzie?... dwudziestu lat?

– Szesnastu – sprostował tata.

– Może, bez różnicy – ciągnął Valter. – Pozbyć się tej rudery i tyle. Takie jest moje zdanie.

Doszliśmy już do deseru – puddingu ryżowego à la Malta – a rozmowa zeszła na Niemiecki Dom. Nie wiem, skąd pojawił się ten temat, ale dom leży niedaleko stąd, a Valter mija go codziennie podczas wieczornego spaceru.

– W którym to roku on zniknął? – zapytał Bernt-Olov. – Ten dziwny pastor.

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym – odparł tata.

– Bałamutnik to chyba lepsze słowo niż pastor – zauważył Valter. – Kobitom, co to lecają na takich, chyba brakuje piątej klepki.

– Może tak być – zgodził się Bernt-Olov.

Ja też oczywiście pamiętam Jezusa z Säffle. Przyjechał tu i założył swoje dziwne zgromadzenie w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy chodziłam do liceum w Ö. Baranki Arona. Ludzie o nich gadali, krążyły plotki, wielu się ich bało. Mnie to za bardzo nie obchodziło, miałam swoje sprawy, zresztą samo zgromadzenie okazało się dość krótkim spektaklem. Wszystko trwało najwyżej kilka lat. Wydaje mi się, że Jezus z Säffle zaginął, kiedy wróciłam z Anglii, Pamiętam w każdym razie, że mówiło się o tym jesienią 1979 roku.

Nie kojarzę natomiast żadnych szczegółów. W tamtym czasie miałam własne problemy na głowie. Dziecko w brzuchu, na przykład, i pewnego Anglika, który dał nogę.

Valter zrzędził dalej.

– Tę ruinę powinno się było spalić już dawno temu. Tyle bezceństw się tam odbywało, nie pojmuję, dlaczego ktoś po prostu nie podłoży ognia. Weźmy tego nauczyciela, co to tam zginął. Jednak w tym mieście we władzach siedzą sami tchórze i tępe baby, może więc trzeba zrobić to samemu.

W tym momencie popatrzył na mnie. Uświadomiłam sobie, że Valter wie, że pracuję w urzędzie gminy, w związku z czym jestem współwinna tego, że Niemiecki Dom wciąż stoi.

– Ale co się właściwie stało z tym pastorem? – zapytała Andrea. – Jak on się nazywał?

– Henry Adamsson-Schmidt – poinformował ją Valter. – Ale mówili na niego Jezus z Säffle, bo stamtąd pochodził. No tak, ty jesteś przecież za młoda... to było w latach siedemdziesiątych... w każdym razie ten szajbus zginął. Kobiety za nim przepadały, więc może to jakiś chłop go zaciukał.

– Zaciukał?

– No tak. Wielu w to wierzy.

– Czyli to była taka sekta seksualna?

To Andrea zaczęła się dopytywać, ale przerwał jej tata.

– Dobrze, zmieńmy temat. Ten jest już stary i niemodny. Skończyliście jeść? Chyba warto trochę rozprostować kości przed kawą, jak myślicie?

A ponieważ to tata jest gospodarzem i panem domu, zrobiliśmy, jak zaproponował.

Co takiego się tam wydarzyło? Co sprawia, że po trzech dniach wciąż coś związanego z tą rozmową nie daje mi spokoju?

Może to, co wydarzyło się później. Kiedy zachęceni przez tatę wstaliśmy od stołu, mama poszła do kuchni po kawę i siedem rodzajów ciasta. My nieco się rozproszyliśmy, a ponieważ mieszkanie ma trzy pokoje, nie mieliśmy zbyt wielu metrów do dyspozycji. Augustowi i Aronowi pozwoliliśmy rozłożyć się na podłodze w salonie i grać w gry. My zaś zostaliśmy w jadalni

i rozsiedliśmy się na sofach i fotelach. Pamiętam, że Bernt-Olov napomknął coś o nowym stoku narciarskim, o tym, ile kosztował i czy w ogóle jest potrzebny. Ani tata, ani Valter nie sądzili, by był potrzebny. Przeciwnie, twierdzą, że powstał od czapy, pieniądze wyrzucone w błoto. Pomyślałam, że dla Andrei siedzenie tu musi być istną męczarnią. Pewnie zaraz ktoś zacznie mówić o szkole Bergtuna, o tym zabitym chłopaku i całej reszcie. Wstałam i ruszyłam do kuchni pomóc mamie.

Coś się z nią działo. Kiedy weszłam, stała przy blacie obok kuchenki. Nie wiem, czy jeśli ktoś jest zwrócony do nas plecami, jesteśmy w stanie zauważyć, że płacze. Może jednak tak – widać to po tej lekko przygarbionej postawie i opuszczonych ramionach. Kiedy mama zorientowała się, że nie jest sama, szybko wytarła twarz w ręcznik kuchenny i obróciła się do mnie.

– Mamo, co się stało? O co chodzi?

– Nic, nic takiego.

Urwała jeszcze kawałek ręcznika i wydmuchała nos.

– Płakałaś?

Zaśmiała się i próbowała udawać zdziwioną. Zupełnie jakbym zadała jej całkiem niedorzeczne pytanie.

– Płakałam? Drogie dziecko, dlaczego miałabym płakać? To chyba po prostu jakąś reakcja alergiczna. Na pewno przez orzechy włoskie.

Faktycznie siekała orzechy, dopiero teraz zauważyłam. Chciała je rozgrzać na patelni i obsypać nimi cisto, które wciąż jeszcze stało w piekarniku. Znałam zarówno to ciasto, jak i całą procedurę. Nie przypomiinałam sobie jednak, by kiedykolwiek orzechy były dla niej problemem. Na końcu języka miałam kolejne pytania, ale się powstrzymałam.

Daj jej spokój, powiedział mi wewnętrzny głos. Nie pora teraz na dyskusje z mamą. To może poczekać.

No dobrze, pomyślałam. Niech będzie. *Let it be*. Zawsze uwielbiałam ten

kawałek.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Potem zajęliśmy się kawą i ciastkami.

Wciąż nie nadeszła odpowiednia chwila. Nie rozmawiałam z mamą od drugiego dnia świąt, może więc w tym tkwi źródło mojego przecucia. Może tak, może nie. Te ciche wspomnienia nie dają mi w każdym razie spokoju. Brzmiały niemal jak oskarżenie.

Zastanów się! Zrozum!

Obiecałam sama sobie, że spróbuję. Najpierw chciałabym jednak pogrzebać stary rok?

E.K. Pamiętnik 1995 Poufne

1 stycznia

Niczym szarańcza nękająca lud Egiptu – takie właśnie są moje myśli: prostackie, jest ich masa, a na dłuższą metę potrafią wykończyć swoją ofiarę. No proszę, syntetyczne poznanie a priori, szczęśliwego Nowego Roku, stary Kancie! Po śniadaniu pozwoliłem sobie na szklaneczkę whisky. Po lunchu na jeszcze jedną. Wczoraj zasnąłem przed północą, obudziłem się na sofie o wpół do czwartej z Johnem Cowperem Powysem rozłożonym na brzuchu. Nie było to jednak bez znaczenia: oto bowiem przekroczona została kolejna granica, przyrzekam więc sobie, że kończę z chodzeniem naokoło, po omacku, niepewnie. Precz z kalkulowaniem i ambiwalencją, postanowiłem. Jeśli już coś robisz, rób to na całość, a nie na sztuki lub częściowo! Nie znalazłem na półce mojego egzemplarza Branda [12](#), sam więc przełożyłem główne przesłanie z norweskiego na szwedzki, mam nadzieję, że szanowny pan Ibsen mi wybaczy. Dopiero popołudnie, a już jestem podpity.

6 stycznia

Dziś wpadłem na młodego C. Przypadkowo, choć nie niespodziewanie. Przemyślałem wcześniej, gdzie ewentualnie mógłby być, i dlatego skierowałem swoje kroki do biblioteki. Potrzebuję utalentowanego ucznia, a że C. jest akurat tym, kim jest, może być zarówno zaletą, jak i wadą. Nie zna jeszcze mojej prawdziwej tożsamości, ale zbyt wcześnie, by go wtajemniczać. Nie wiem, ile jest w nim poczucia solidarności, muszę się więc do niego zbliżyć bardzo subtelnie i ostrożnie kroczyć w obranym przeze mnie kierunku. Kiedy już spoglądam wstecz na swoje życie, czego ze wszech miar staram się unikać, najczęściej widzę chaos. Nasilającą się entropię, nieszczęście, śmierć ciepłą, jak zwał, tak zwał. Zdarza się jednak, że dostrzegę zarys wzoru, nie, wróc, nie wzoru, raczej wątku, cienkiej niczym pajęczyna, drgającej nitki. Fakt, że zbliżyłem się do C. w taki właśnie sposób, na skutek nieprawdopodobnego rozwoju zdarzeń, stanowi bez dwóch zdań punkt tegoż wątku, nawet ślepy by się zorientował. A może nie tyle punkt, ile supeł? Kiedy wszedłem, C. siedział przy jednym ze stołów, ewidentnie skoncentrowany i zagłębiony w lekturze. Tak zaabsorbowany, jak tylko młodzi ludzie potrafią – czego im zazdroszczę, skąd w pewnym sensie wzięło się moje powołanie – zauważył mnie więc dopiero po pięciu czy dziesięciu minutach. Rozsiadłem się z czasopismami przy stoliku stojącym po przekątnej od jego stołu i udawałem, że wcale nie

widzę, że siedzi dwa metry ode mnie. Kiedy podniósł wzrok znad książki – a na jego stole leżało ich co najmniej sześć – dostrzegł mnie i grzecznie się przywitał. W czytelni powinna panować cisza, ponieważ jednak byliśmy sami na sali, odważyłem się zapytać, co studiuje. Okazało się, że chodziło o Freuda i Junga oraz niezgodę, jaka zapanowała między nimi po wizycie Junga w Nowym Jorku w roku 1912. Chłopak nie skończył jeszcze piętnastu lat, ale kiedy opowiadał mi, że to matka zachęciła go, by zajął się tą kwestią, słysząc było, że i dla niego jest to ciekawy temat. Dla mnie to całkiem zrozumiałe. Mnie też, kiedy byłem w jego wieku, wiele radości sprawiłoby czytanie o tych dwóch badaczach duszy, jednak ciasne życie wśród gór w Rüllingen nie dawało takich możliwości. Zapytałem, którego z tych dwóch filozofów woli osobiście, po zaledwie kilku sekundach namysłu odparł, że był raczej sympatykiem Junga. Nie zdążył jednak jeszcze dostatecznie zagłębić się w problematykę, zatem „bez odpowiedzi” byłoby lepszą odpowiedzią. Tak właśnie się wyraził: „bez odpowiedzi”. Powiedziałem, że jeśli według niego warto to przedyskutować, oferuję siebie jako interlokutora. Jeśli po zagłębieniu się w problematykę wciąż będzie miał jakieś wątpliwości. C. podziękował za propozycję i ośmielił się stwierdzić, że w jego głosie dało się słyszeć nutę entuzjazmu, może nawet odpowiedzi towarzyszył lekki rumieniec na twarzy. Uznałem, że to dobry znak, i wróciłem do lektury czasopism.

28 stycznia

Zimno jak diabli. Przez całe popołudnie powtarzaliśmy z kółkiem teatralnym Obietnicę w auli. Oczywiście nie zdradziłem im, że w gruncie rzeczy sztuka traktuje o tym, jak zamordowałem matkę, i że ja sam ją napisałem. No bo jak by to wyglądało? To jednak niepowtarzalne uczucie, patrzeć, jak grają. W grupie jest osiem osób, trzech chłopaków i pięć dziewczyn, wszyscy z klas dziewiątych. Mają w sobie moralny nerw i inteligencję emocjonalną, które mogłyby zadziwić wielu naiwnych dorosłych. I zadziwią, kiedy za kilka miesięcy zaprezentujemy przedstawienie. Matka (która wie, że zginie, ponieważ postanowiła odejść z kochankiem) jest szczególnie utalentowana. Odgrywająca ją dziewczyna ma bardzo starą duszę, która z pewnością przeszła przez setki różnych kobiet, a w przestrzeni teatru całe to nagromadzone, uśpione doświadczenie daje się odkryć i wraca do życia. Dziewczyna ma na imię Maria i rzecz jasna nie ma pojęcia, jaki proces się w niej rozgrywa, co sobą wywołuje, wystarczy jednak, że jest otwarta, słucha i jest posłuszna, w zasadzie nie potrzebuje reżysera. Syn (czyli postać przedstawiająca mnie) ma w sobie coś niemal równie wzniosłego, kiedy żegna się z ojcem, który wyrusza na wojnę, i kiedy składa obietnicę, a potem w końcu ją spełnia. Tak, czuję prawdziwą radość, widząc, jak ci młodzi ludzie odgrywają te nieubłagane ogólnoludzkie słabości, których sami jeszcze nie są świadomi. Myślę sobie, że tak właśnie wygląda życie: podążamy za niejasnymi wskazówkami, nie wiemy nawet, czym są, ale nic innego nie mamy.

22 lutego

Tydzień ferii. Ja jednak nie oddaję się rekreacji. Oddaję się pracy detektywa. Przypadkowo spotkałem V. w markecie ICA, najbardziej prozaicznym z miejsc. Krążyliśmy po sklepie z naszymi wózkami niczym dwa osobne, nieco wobec siebie wrogie ciała niebieskie. Było wczesne popołudnie, prawie pusto. Zauważyłem, że V. pod rozpiętą kurtką ma flanelową koszulę w kratę oraz krwistoczerwony krawat. Ta kombinacja na swój sposób oddaje jego charakter i los. On wciąż nie wie, kim jestem, ja wiem tylko, co zrobił, ale nie przeciwko komu. Po chwili wahania zdecydowałem się na cichą konfrontację. Zaszedłem go tak, że musieliśmy się minąć w wąskiej alejce – z jednej strony konserwy warzywne, z drugiej konserwy innego rodzaju – tam właśnie podniosłem wzrok i spojrzałem mu prosto w oczy. Wzdrygnął się, jakby poraził go prąd albo jakby właśnie miał lekką apopleksję. Zatrzymał się jak sparaliżowany i wpatrywał się we mnie, próbując zrozumieć, co widzi. Spokojnie przetrzymałem jego spojrzenie i bez słów przekazałem mu to, co chciałem: jesteś zabójcą, wiem to, widzę. Widzę, że widzisz, a ty widzisz, że ja widzę. Wszystko między nami jasne. Kiedy ta niema rozmowa dobiegła końca, precyzyjnie przemieśliśmy się obok siebie niczym dwa wagony widma na rozjeździe kolejowym i dalej robiliśmy zakupy. Myślę, że teraz nie ma już powrotu.

3 marca

Spoglądam wstecz z racji daty. Mój ojciec wyruszył na wojnę 3 marca 1942 roku. Miałem wtedy jedenaście lat, od tego momentu minęły dokładnie pięćdziesiąt trzy lata. Pisząc „wyruszył”, nie mam na myśli tego, że pojechał na któryś odcinek frontu na wschodzie, na zachodzie lub po drugiej stronie morza. Nasz kraj był neutralny i na maszty wciągnął tę haniebną flagę wygodnictwa. Ojciec został wezwany do Boden, gdzie miał nadzorować norweskich uchodźców, na tym polegał jego heroizm. Nasze rozstania były trudne – moje z nim, jego z matką. Złożył na moich wątłych ramionach odpowiedzialność za rodzinę, kiedy więc jej kochanek pojawił się dwanaście dni później, spełniłem swój obowiązek. Może powinienem był raczej zabić kochanka, kiedy jednak nadeszła pora, jego nie było już na miejscu. Niestety, moja siostra była świadkiem mojego czynu, nie było to jednak zamierzone. Planowałem wynieść ciało z domu i pochować je w ogrodzie za altaną, gdzie zawsze przesiadywały króliki i gdzie gleba była luźniejsza. Wszystko jednak okazało się bardziej skomplikowane, niż myślałem. Siostra zupełnie straciła panowanie nad sobą i pobiegła do sąsiada. Mój plan w kilka minut legł w gruzach. Ojca wezwano z wojska, nie zdążył przesłużyć więcej niż trzynaście dni. Mnie umieszczono w domu dla niedorozwiniętej młodzieży płci męskiej, a po kilku miesiącach wywieziono mnie autobusem i pociągiem z kraju, przez ogarniętą wojną Europę do dalekich krewnych w Szwajcarii, o których nigdy wcześniej nie słyszałem. Było lato, teraz, ponad pół wieku później, ze szczegółami pamiętam, jak siedziałem wtedy w podskakującym wagonie z lękiem oraz brzoową, kartonową walizką i torbą czerwonych jabłek, które stanowiły cały mój podróży prowiant, i ze zdziwieniem

przyglądałem się krajobrazowi przesuwającemu się za brudnym oknem oraz rozmiarom świata. Podróżowałem tak godzina po godzinie, dzień po dniu. Skończyły mi się jabłka, kupiłem więc kanapki, orzechy i wodę od jakiejś kobiety w mundurze na nieznaną mi stacji, a kiedy wysiadłem w końcu z zakurzonego autobusu na malutkim rynku w Rülingen, zrozumiałem, że moje dotychczasowe życie nie ma już żadnego znaczenia. Przez rynek szedł mężczyzna w kapeluszu z szerokim rondem, goniąc stado olbrzymich czarnych świń, które trzymał w ryzach za pomocą długiego bata oraz dwóch brunatnych psów. Tak, wszystko w moim życiu naprawdę zmieniło kształt, mimo że nie skończyłem jeszcze dwunastu lat.

10 marca

Wczoraj wieczorem odwiedził mnie kolega Masslind. Nie jestem przyzwyczajony do tego typu spotkań we dwóch, z jednej strony mnie pociągają, z drugiej odpychają. Piliśmy whisky i rozegraliśmy dwie partie szachów, zwyciężyłem w obu około czterdziestoma ruchami. Z Masslinda też żaden lew salonowy, zresztą, zajmuje się przedmiotami ścisłymi, co, jak myślę, upraszcza sprawę. Rozmawialiśmy o kilku starych zbrodniach, obawiam się, że to ja zacząłem ten temat. Trochę o Ollem Möllerze [13](#), trochę o tej dziwnej, na wpół zapomnianej kobiecie, która zyskała dziwny pseudonim Morderczej Modelki z Grums. Ostatnio dogłębnie studiowałem te sprawy, okazało się, że Masslind kojarzył obie. To, że słyszał Möllerze, nie jest zaskakujące, proces i wyrok w sprawie zabójstwa Rut Lind były przecież największym błędem wymiaru sprawiedliwości w naszym kraju w dwudziestym wieku. Jednak to, że Masslind wiedział, kim była modelka Saga Belinder, było dużą niespodzianką. Wyjaśnienie okazało się proste: tuż po studiach pedagogicznych Masslind przez rok pracował w urzędzie gminy Värmland. Obaj zgodziliśmy się co do tego, że Belinder była winna, ale mój kolega twierdził też, że i Möller był podwójnym zabójcą, za którego uznał go sąd, a potem skazał. Ponieważ wypiliśmy już sporo whisky – Masslind przyniósł butelkę świetnej single malt – straciłem trochę kontrolę nad sobą i oznajmiłem, że akurat z całą pewnością wiem, że Möller był niewinny, ponieważ miałem okazję przez kilka dni uczestniczyć w procesie w roku 1959 i widziałem oskarżonego w klatce. – I co, uznałeś tak na zasadzie psychologicznego osądu? – zapytał Masslind. – Nie, widziałem to – odparłem zgodnie z prawdą. – Widziałem to w jego oczach. Masslind chyba nie rozumiał, co miałem na myśli. Prawdopodobnie był raczej skłonny przypisać przytoczony przeze mnie argument stanowi upojenia, jaki obaj na tym etapie osiągnęliśmy. In vino veritas. Ale dość już o tym, to nie Möller i nie modelka z Grums są obiektem mojego dochodzenia tej wiosny, o czym przypominam sobie na każdej lekcji szwedzkiego z klasą 8B. Przecież siedzą tam oni, C. i A., dwoje nieświadomych kluczowych świadków, można by rzec, chociaż nie, to za dużo powiedziane. Świętą powinnością, niczym innym, do cholery, jest aktywowanie ich. Nie widzę innego wyjścia.

22 marca

Obudziłem się o czwartej, zupełnie jak Larkin. Sięgnąłem po jego zbiór, otworzyłem na Albie i zacząłem czytać. Sześćdziesiąt rymowanych wersów, kilku nauczyłem się na pamięć. Zgasilem lampę i powtarzałem je w głowie, dopóki nie zasnąłem.

Żeś tyle sobie życia zmarnował, szmat cały,
Chcąc naprawiać początki, chociaż już ich raczej
Nie naprawisz; lecz pustką totalną, na zawsze,
Nieuchronnym wymarciem – to właśnie do niego
Podróżujemy, żeby zniknąć. Nie być tutaj,
Nie być nigdzie. Posłuchaj:

Nic bardziej straszliwego, bardziej prawdziwego ¹⁴.

Słowa jego i śmierci wciąż pobrzmiwały mi w głowie, kiedy obudziłem się trzy godziny później. Tylko raz próbowałem odebrać sobie życie, było to dawno temu, a ponieważ tak bardzo mi się nie udało, więcej już nie próbowałem. Dziś równonoc wiosenna, ale całą drogę do szkoły pokonałem wśród śnieżnej zamięci. Cóż, niektórych rzeczy nie będzie człowiekowi brakować po nieuniknionym końcu świata.

4 kwietnia

Incydent z dziś: ukradziono mi portfel. Jakaś przebrzydła kanalia skorzystała z okazji i wyciągnęła mi go z marynarki podczas lekcji. Marynarka wisiała na krześle przy katedrze, jak zawsze. Niestety zauważyłem to dopiero, gdy już wypuściłem klasę, nie mogłem więc urządzić im przesłuchania. Mam jednak swoje podejrzenia. Poza tym, jakby zrzędzeniem losu, po lekcjach spotkałem C. Nie było moją intencją wykorzystywać go w poszukiwaniu zwykłego złodzieja portfeli, napomknąłem mu jednak o tym zajściu (oraz o tym, kogo podejrzewałem), na co C. natychmiast zapewnił mnie, że z przyjemnością mi pomoże. Siedzieliśmy przy stole w kafeterii. C. został po zajęciach, żeby pracować nad szkolną gazetką, ja zaś czekałem na wieczorną próbę z moją grupą teatralną. Nie miałem ochoty spacerować do domu i z powrotem w tę okrutną pogodę, która w tym roku nie miała zamiaru odpuścić. Odrzuciłem propozycję C., mówiąc, że doprawdy nie chcę go wciągać w tak nieprzyjemną historię, ponieważ jednak się upierał, zapytałem, jak w takim razie miał zamiar działać. „Niech pan profesor zostawi to mnie – odparł. – Ale podejrzewa pan profesor Pockego?”. „Jego albo kogoś z jego kompanów” – odparłem. „On nie należy do towarzystwa, z którym się zadaję – zauważył C. – Ale zobaczę, co da się zrobić”. Widziałem, że nie przekonam go żadnymi argumentami, skończyłem więc ten temat. Chwilę porozmawialiśmy o innych rzeczach. Udało mi się nakłonić go, by nie mówił do mnie „panie profesorze”. Dopiero później, wieczorem, kiedy wróciłem do domu z próby, dotarło do mnie, że poza trzystoma koronami, dowodem i kartą kredytową straciłem także zdjęcie BYK. Dlaczego, u licha, nosiłem je w portfelu? Doprawdy, w tym momencie sam siebie mogłem uznać za idiotę. Mogłem liczyć tylko na C., cóż innego mi pozostało?

22 kwietnia

Urodziny Lenina i mojej siostry.

23 kwietnia

Dzień śmierci Szekspira i Cervantesa.

28 kwietnia

Premiera Obietnicy. Właśnie wróciłem do domu. Poruszony. Widownia była jeszcze bardziej poruszona. Jakiś nieznany mi rodzic podszedł do mnie po przedstawieniu, płacząc z przejęcia. Może był to tata Marii, nie wiem. Jestem w domu od niecałych trzydziestu minut, pijam whisky i staram się zbić puls. Przed oczami wciąż mam widok twarzy tej dziewczyny/kobiety/niewiernej żony w momencie śmierci, kiedy światło powoli gasło, zmieniając się w czarną jak węgiel ciemność. Tych pięć sekund bezwzględnej ciszy, zanim rozległy się pierwsze nieśmiałe oklaski, wciąż głucho pobrzmiwa mi w uszach, Jakby świat się zatrzymał. Skończył. Może tak było. Może właśnie siedzę w Krainie Cieni i tylko wydaje mi się, że nadal żyję. Takie mam wrażenie. Za oknem jak gdyby nigdy nic pada śnieg. Duże, rzadkie płatki jaśniejają rozświetlone poświatą latarni, potem znikają w nocy. Niczym posłańcy bez nowiny. Przypominam sobie wiersz o płatku śniegu, chyba sonet, nie pamiętam jednak ani tytułu, ani autora. W drodze do domu spotkałem V., staram się o tym nie myśleć. Dobięgała jedenasta, minęliśmy się nad rzeką, każdy poszedł w swoją stronę. Było ciemno, sam byłem ja, sam był i on.

3 maja

Niedziela, późny wieczór. Sztynniejsze spienione niebo w szorstkiej łapie nocy ¹⁵. Próbuję myśleć, ale zamiast myśli do głowy przychodzą mi poetyckie wersy. Jeden za drugim. Domyślałem się, że tak to właśnie jest, kiedy szaleństwo czai się za rogiem, ostrząc noże, uzbrojone lepiej niż kiedykolwiek. To jednak nie na tego przeciwnika/kompana się zasadzam, mimo wszystko tak właśnie może wyglądać ta walka. Zobaczymy. Całe popołudnie i pół wieczoru spędziłem w towarzystwie C., tak się umówiliśmy, tym razem nie mogę zrzucić winy na przypadek. O wpół do pierwszej pojechaliśmy autobusem do Ö., gdzie wybraliśmy się do muzeum. Jego matka wystawia tam teraz dwadzieścia cztery nowe obrazy. Wczoraj był wernisaż, ale ani ja, ani C. nie lubimy takich imprez. Szczerze mówiąc, nie jesteśmy też za bardzo fanami jej sztuki, tego domowej roboty ekspresjonizmu, który nie wiezieć czemu święci takie triumfy i to nie tylko w kraju, ale i na światowych wystawach. Mimo wszystko każdemu dziełu poświęciliśmy należną mu uwagę, pomruczeliśmy, jak trzeba. Młody C. i na tej niwie ma wprawę, przybrał minę kaznodziei ze zgaqą. Pół godziny później uznaliśmy obaj,

że dość się naoglądaliśmy, przeszliśmy więc do kafeterii. Niemal natychmiast odniosłem wrażenie, że sytuacja ta przypomina pewien majowy dzień pod koniec 1945 roku, tuż po zakończeniu wojny, kiedy to pozwolono mi jechać z wujkiem Ambrose'em do Brna. Nie pamiętam dokładnie, jaką miał tam sprawę do załatwienia, może w ogóle mi nie powiedział, ale po południu poszliśmy do kawiarni, wypiliśmy kawę cynamonową i zjedliśmy tort Sachera. Wtedy po raz pierwszy wujek potraktował mnie jak dorosłego. Samodzielną jednostkę, która potrafi myśleć, oceniać i wyciągać wnioski. Słowem, jak człowieka. Jeśli chodzi o mnie i C., to już dawno zaliczyliśmy tę fazę, jednak sama oprawa i sceneria nasuwały na myśl ten przeskok o pół wieku. „Badałem nieco tę sprawę kradzieży portfela – oznajmił na wstępie C. – Tak jak obiecałem panu profesorowi”. Korzystając z okazji, definitywnie zabroniłem mu zwracać się do mnie w oficjalny sposób. Przez całe popołudnie używał przeróżnych, mniej lub bardziej grzecznościowych form, teraz jednak się poddał. „Jak chcesz – odparł. – W każdym razie mogę potwierdzić, że to Per-Olov Andersson jest winny. Obawiam się, że niestety nie da się z tym iść przed sąd, no i sam portfel prawdopodobnie już nie istnieje w świecie materialnym, jak to pa... jak to z reguły określasz”. Istotnie od czasu do czasu używam takiego określenia, szczególnie podczas zajęć, ucieszyło mnie więc, że C. je podchwycił i z niego skorzystał. Umysł chłonny jak gąbka. Mnie jednak nie bolała utrata nieszczęsnego portfela czy gotówki, a zdjęcia BYK. Wahałem się mocno, czy zwierzyć się C. w tej kwestii. I właśnie to niesamowite podobieństwo do mojej wizyty w kawiarni w Brnie w roku 1945, to wspomnienie momentu, kiedy stajesz się człowiekiem, sprawiły, że wyrzuciłem za burtę tę nudną samokontrolę i wtajemniczyłem go. Tak, wtajemniczyłem C. przy tym kawiarnianym stoliku w muzeum sztuki w Ö. i być może posunąłem się o krok za daleko. Czas pokaże, jednak zupełnie nie odniosłem wrażenia, by C. się wzbraniał lub by próbował mnie w jakiś sposób powstrzymać. Przeciwnie, w skupieniu wysłuchał wszystkiego, co miałem do powiedzenia – nawet historii o V., nie całej, ale jej clou – a kiedy się rozstawaliśmy, bo muzeum już zamykano, podziękował mi za zaufanie, jakie mu okazałem, i obiecał, że od tej pory mogę go uznawać za swojego sojusznika. „Tacy jak ja potrzebują zadań i wyzwania – wyjaśnił. – Sam przecież wiem, że nie jestem jak inni”. Słyszac to, nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Niesamowite, jakie to alianse udaje się czasem niespodziewanie zawrzeć, mimo że i w tej kwestii zatwardziały deterministom, którzy najchętniej wlewaliby nasze życie w gotowe koryta, nie brak wody na młyn. Bez wątpienia irytuje mnie nieco taka postawa, ale nie bardziej niż delikatne śwędenie. Jak to ujął Gunnar Ekelöf: Każdy człowiek jest światem, zaludnionym przez ślepe stworzenia w głuchym buncie... ¹⁶ – cóż to za głupią granicę między myślami a poezją chciałem wyznaczać godzinę temu?

8 maja

Wczoraj kolejna wizyta Masslinda. Przynosi mi whisky, zaczynam już sobie wyobrażać, że chce mnie nakłonić do mówienia. Do zdradzenia mu moich tajemnic, jakby chciał rozwiązać

mi język. Może i mu się to udaje, cholera wie. Tak czy inaczej, darzę go szacunkiem, poza tym to ja go zaprosiłem.

11 maja

Czy on zdaje sobie sprawę, że go obserwuję? Tak sądzę. Dziś, kiedy szedłem trzydzieści metrów za nim przez centrum miasta, wielokrotnie odwracał głowę. Do tego kilka razy przystanął bez przyczyny, udawał, że się zastanawia, albo gapił się na głupie wystawy. Tak, ośmielę się stwierdzić, że czuł moją obecność. Atmosfera zaczyna się zagęszczać, czuję narastające napięcie, wcielanie się w prywatnego detektywa ma w sobie specyficzny, choć nie niespodziewany urok. Szpieg. Z takim startem w życiu powinienem zostać szpiegiem. Nic nie jest, czym się wydaje, wszystko, w co wpatrujemy się ze zmarszczonym czołem, to odbicie i poświęta.

13 maja

Czytam właśnie wypracowanie Andrei. Wydaje mi się, że powinno być dla mnie jakimś sygnałem, że kryje się w nim klucz. To złudnie proste opowiadanie o dziewczynie, która znajduje na plaży piękny kamień. Taki właśnie zadałem im temat, Kamień (alternatywą był List i, jak można się było spodziewać, większość wybrała właśnie ją). Tym, co mnie zastanowiło w tekście Andrei, jest jego zakończenie, czy też może brak zakończenia. Rzadko zdarza się, by młodzi, pisząc, pozostawiali pytania bez odpowiedzi, by stawiali na otwarte zakończenia. W tym jednak przypadku właśnie to było pointą całego wypracowania. Opowiada ono o dwóch dniach spędzonych nad morzem. Pierwszego dnia młoda dziewczyna spaceruje samotnie po bezludnej plaży, szukając najpiękniejszego kamyka na świecie. Znajduje wiele kandydatów, trzyma je w dłoni, obraca, gładzi i ocenia. W końcu jednak znajduje ten właściwy. To biały kamień, niesamowicie płaski w kształcie przypominającym serce. Dziewczyna uznaje, że to najpewniej najpiękniejszy kamień na świecie, i wyrusza z powrotem. Po chwili jednak dopadają ją wątpliwości, kiedy bowiem gładzi swoje znalezisko czubkami palców, wyczuwa niewielką bruzdę, a kiedy otwiera dłoń i przygląda mu się, zauważa, że kamień zaczyna tracić połysk. Wyrzuca go więc. W tym samym momencie dostrzega chłopaka, który się jej przygląda. Jest w jej wieku, piękny, ale smutny. Ich spojrzenia się krzyżują, ale nic więcej się nie dzieje. Dziewczyna wraca do domku, który jej rodzina wynajęła na lato. W nocy śni się jej, że wszyscy – matka, ojciec i dwaj bracia, ale nie ona – giną, kiedy ich tratwa dociera do wodospadu. Budzi się rano i uświadamia sobie, że znów musi iść szukać kamienia... i tego smutnego chłopaka. Wypracowanie kończy się na tym, że dziewczyna wyrusza z tym zamiarem. Kiedy jeszcze raz przejrzałem te pięć stron, stwierdziłem, że jak na dzieło czternastolatki jest to doprawdy nietypowy tekst. Poczucie, że zawiera on jakieś specjalne przesłanie dla mnie, nie opuszcza mnie, a wręcz się nasila.

15 maja

Niedziela. W końcu się spotykamy. Nie robię nic, by powstrzymać rozwój wydarzeń. Kiedy po długim popołudniowym spacerze przecinałem plac Świętego Sigfrida, dostrzegłem go. Szedł wzdłuż ulicy Viktoriagatan z niedużą reklamówką w ręku, najwidoczniej wracał z zakupów w markecie ICA. Postanowiłem, że oto nadeszła pora, i zacząłem go śledzić. Szedłem nie dwadzieścia, trzydzieści metrów za nim jak zazwyczaj, a pięć, dziesięć. Mimo to zauważył mnie dopiero po chwili. Doszliśmy już do przychodni na Timmermansgatan, kiedy nagle się odwrócił. „O co chodzi? – zapytał. – Myślisz, że nie widzę, że mnie śledzisz?”. Nic nie odpowiedziałem. Staliśmy na chodniku i mierzyliśmy się wzrokiem. Badaliśmy się. Popatrzyłem mu prosto w oczy i znów wrażenie było jasne. Obaj zrozumieliśmy, o co chodzi. Jego szczęki się napięły i zaczęły poruszać, przez chwilę myślałem, że zaraz zdzieli mnie reklamówką i da nogę. Tak się jednak nie stało. Powiedział tylko: „Wiem, kim jesteś”. Natychmiast odparowałem, że ja wiem, kim on jest. Przez kilka sekund milczeliśmy. „Czy ja cię przypadkiem nie kojarzę sprzed lat?” – zapytał. Nie odpowiedziałem. Zaproponowałem za to spotkanie, bo mieliśmy kilka rzeczy do omówienia. V. udawał, że nie wie, o czym mówię, mimo to zgodził się. „Niemiecki Dom – powiedział. – Spotkajmy się tam w czwartek wieczorem i załatwmy to raz na zawsze”. Przytaknąłem. V. ciągnął: „Podejrzewam, że to jakieś poważne nieporozumienie. Chyba coś opacznie rozumiałeś”. Tęgo nie mogłem skomentować, powiedziałem tylko, że akceptuję propozycję. „O dziewiątej” – dodał. Odparłem, że świetnie, po tym się rozeszliśmy. Niemiecki Dom? – pomyślałem, kiedy V. zniknął za rogiem. Dlaczego, na Boga, chce się spotkać tam? W głowie pojawił się pewien niedookreślony domysł, który nie chciał zniknąć... Rozmazana, nieostra plamka ¹⁷. Postanowiłem, że następnego dnia odwiedzę Alarika Palmgrena w bibliotece. Jeśli on nie wie o pewnym wydarzeniu, do którego doszło w K., znaczy to, że nie jest ono warte uwagi. Chyba nie mam wyboru. Muszę to raz na zawsze zakończyć. Czwartek wieczorem o dziewiątej.

STYCZEŃ–LUTY 1996

43

Leon

Iw tym roku styczeń nie chce się skończyć.

Uświadomiłem sobie, że dobiegł końca mój rok żałoby. Rok żałoby, tak to kiedyś było w Szwecji, a i dziś w niektórych kulturach tak jest. Jednak to, co stało się z Heleną i Judith, wydaje się zdecydowanie bardziej odległe. Zdecydowanie. Tak jest też z całą moją egzystencją; to był inny czas, inne życie. Z kalendarza wynika jednak, że niedługo minie sześć miesięcy, odkąd wylądowałem tutaj, w K., a pomijając kilka wypadów do Ö., nie wyjeżdżałem stąd. Podczas dwutygodniowych ferii świątecznych też nie. Myśl o wyprawie do Sztokholmu czy jakiegokolwiek innego miejsca na ziemi zduszam w zarodku, a powodem jest oczywiście Ludmilla Kovacs. Nie mam pojęcia, jak bym sobie tu bez niej poradził, takie dywagacje nie mają jednak sensu. Razem spędzamy tyle upojnych dni i nocy, na ile pozwala jej rodzina w stanie rozpadu. Nie poznałem jeszcze jej dzieci, to decyzja Ludmilly, nie moja, ale jej były mąż już o mnie wie. Nazywa się Klas, nigdy go nie spotkałem, nie widziałem go nawet na zdjęciach. Nie ma co oglądać, twierdzi jednak Ludmilla, bo to chłystek. Taki tam odnoszący sukcesy czterdziestodwulatek, jakich można spotkać na pęczki. Rozumiesz, co mam na myśli?

 Nie do końca rozumiem, ale mówię, że tak.

Jednak teraz, w te mgliste styczniowe dni to nie moja osoba czy moja pozycja

w tutejszym układzie współrzędnych jest w centrum zainteresowania. Wczoraj po południu spotkaliśmy się z komisarz Evą Lundblad w urzędzie gminy. Ponieważ w K. nie ma już żadnego posterunku, w razie potrzeby policji udostępniany jest pokój w gminie, a potrzeba jest, i to od dość dawna. Dobitnie świadczą o tym meble i wyposażenie, ekspres do kawy, lodówka, biurko, szafka na dokumenty i rozkładana sofa. Przyszło mi nawet na myśl, że w szafie w rogu wisi piżama i szlafrok.

Na rozmowę wezwano mnie, Ludmillę oraz Igora Masslinda. Ludmilla spotkała się z komisarz Lundblad już w grudniu i to zarówno w sprawie śmierci Ottona Hanssona, jak i w sprawie pamiątek Eugena Kallmanna, które jej przekazała. Ludmilla wypowiadała się o niej dobrze. Działania lokalnej policji ostatniego lata i jesieni pozostawiały wiele do życzenia, zwłaszcza jeśli chodzi o beznadziejnego Marklunda, jednak pojawienie się komisarz Lundblad na scenie przyspieszyło tok śledztwa. Pod każdym względem.

Przynajmniej takie nadzieje wyrażała Ludmilla, a kiedy tylko usiedliśmy wokół prowizorycznego stołu konferencyjnego, od razu zrozumiałem, co miała na myśli. Eva Lundblad ma około pięćdziesiątki, jest wysoką, wysportowaną kobietą, z której emanuje budzący respekt spokój, przez co to ona narzuca ton w rozmowie. Pewnie potrafiłaby też narzucić ton w klasie, choć to akurat nieistotne.

– Dziękuję, że przyszli państwo wszyscy troje – zaczęła. – Choć nie jestem zwolenniczką domorosłych detektywów, doceniam pracę i wysiłki, które włożyli państwo w tę sprawę. Nie mam tu oczywiście na myśli zabójstwa Ottona Hanssona... oraz związanych z nim komplikacji o podłożu rasistowskim... a historię Eugena Kallmanna.

– Najwyższa pora, by ktoś dostrzegł powagę tej sprawy – zauważył Igor.

– Zgadza się – dodała Ludmilla.

Komisarz przez chwilę wodziła wzrokiem, przyglądając się każdemu z nas po kolei. Była chyba nieco rozbawiona.

– Przedwczoraj odbyłam dłuższą rozmowę na ten temat z prokuratorem – wyjaśniła. – Na moją prośbę wydała decyzję o wszczęciu nowego dochodzenia wstępnego. Czy może raczej o wznowieniu tego, które nieco pospiesznie umorzono we wrześniu.

Zrobiła pauzę i położyła rękę na znanym nam doskonale zestawie brulionów leżącym na jej stole. Prawą rękę. Miała idealnie zrobione paznokcie oraz dwa pierścionki, bynajmniej nie z taniego złota. Kolejna obserwacja nie na temat, ale myśli same cisnęły mi się do głowy.

– To dość specyficzny zbiór – zauważyła. – Co do tego się zgodzimy. Napisany przez specyficznego człowieka, zakładam, ale oczywiście pewnie państwo, skoro znaliście go za życia, możecie to ocenić lepiej niż ja.

Ludmilla skinęła głową. Igor otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale rozmyślił się i również poprzestał na skinieniu.

– Zapewne autentyczność tego, co pisał, bywała różna, – ciągnęła komisarz – ale z pewnością kryje się tam wiele istotnych informacji, których nie możemy zignorować. Tak przynajmniej ja to oceniam w obecnej sytuacji. Zwłaszcza jeśli połączę treść pamiętników z tym, czego dowiedziałam się od pani, pani Ludmillo, podczas naszej rozmowy w grudniu. Istnieją przesłanki ku temu, by uznać, iż tamtego majowego wieczoru Eugen Kallmann został zamordowany.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu przez trzy sekundy.

– Zamordowany w Niemieckim Domu przez nieznaną osobę określaną jako V. – dodał Igor, prostując się przy tym, zupełnie jakby chciał dodać wagi swoim słowom. – Cieszę się, że policji w końcu spadły klapki z oczu.

Eva Lundblad zdobyła się na dyskretny uśmiech.

– Cóż, chyba powinniśmy pamiętać, że bez tego pamiętnika sprawa

przedstawiała się inaczej. W miesiącu maju nic nie wskazywało na to, że Kallmann zginął przy udziale osób trzecich. Znalaziono go u podnóża stromych schodów ze złamanym karkiem, a we krwi miał ponad półtora promila alkoholu.

Wymieniliśmy spojrzenia z Ludmillą.

– A Charlie Mattis? – zapytałem. – Jak właściwie skończyło się jego przesłuchanie?

Eva Lundblad wyciągnęła jakąś teczkę, a z niej plik papierów.

– Dość dokładnie przeczytałam protokół i choć nie jest to najlepiej przeprowadzone przesłuchanie, z jakim miałam do czynienia, to nie da się z niego wiele wyciągnąć. Ten młody człowiek był dość zamknięty w sobie. Może coś ukrywał, ale może po prostu nic nie wiedział.

– Wiedział jednak, że Kallmann miał tego wieczoru kogoś spotkać?

– Tak, tak zeznał w czasie przesłuchania. Użył jednak słowa „domyślałem się”, nie „wiedziałem”. Nie wiedział też kogo ani dlaczego. Rozmawiałam z Charliem kilka dni temu i spotkam się z nim jeszcze raz w przyszłym tygodniu. Być może poproszę panią, pani Ludmillo, by i pani była obecna, ale jeszcze to przedyskutujemy.

Ludmilla popatrzyła na mnie i na Igora. Przepraszająco, jak mi się zdaje... tak jakby prosiła nas, byśmy nie zapominali, że jest nieco rozdarta. Jakby wraz z wkroczeniem policji na scenę w naszym detektywistycznym trio nastąpił rozłam, jakby zaczęło tracić swą zasadność. Zasadność, której rzecz jasna nigdy nie miało. Uświadomiłem sobie, że tego typu pomysły są na miejscu w świecie dwunastolatków organizujących się w tajne kluby, nie zaś wśród dorosłych. O nas nauczycielach mówi się jednak, że nasze codzienne obcowanie z filozofią młodzieży w okresie dojrzewania z czasem ściągą nas do poziomu dojrzałości naszych podopiecznych. Przechodząc na emeryturę, o ile uda nam się pociągnąć tak długo, jesteśmy jak wypaleni

piętnastolatku.

Być może komisarz Lundblad dostrzegła ten mały dysonans w naszej trójce, ponieważ od razu zwróciła się do Igora:

– Byłabym również wdzięczna, gdyby i pan wkrótce zgodził się ze mną porozmawiać. Chodzi głównie o pana spotkania z Kallmannem, rzecz jasna. Na przykład w poniedziałek po lekcjach, co pan powie na taki termin?

Igor zerknął do kalendarza i oznajmił, że nie ma ku temu żadnych przeszkód.

– Znakomicie – odparła Eva Lundblad. – Spotkajmy się zatem o piątej tutaj. Teraz jednak chciałabym zapytać państwa o opinię w trzech sprawach. Po pierwsze, Boris Yann Keller. Po drugie, Andrea Wester. Po trzecie – i to z pewnością najpilniejsza kwestia – postać pana V. Kto chce zacząć?

Ponad dwie godziny spędziliśmy w pokoju w urzędzie gminy. Rozmawialiśmy o Eugenie Kallmannie, uwzględniając wszystkie możliwe aspekty. Niemiecki Dom, Jezusa z Säffle, Charliego Mattisa i starego dyrektora Willeniusa, jednak komisarz Lundblad co rusz kierowała nas ku swoim trzem głównym znakom zapytania: Kellerowi, Andrei Wester i V. Jeśli chodzi o Borisa Yanna Kellera, żadne z nas nie miało nic użytecznego do dodania. Komisarz potwierdziła, że faktycznie właśnie to nazwisko było wymienione w testamencie Kallmanna, tak jak twierdziła Ludmilla. Dokument nie zawierał jednak żadnych informacji na jego temat. Ani daty urodzenia, ani narodowości, ani powodu, dla którego to on miał wejść w posiadanie schedy po spadkodawcy. Ani w Europie, ani w Ameryce Północnej, Australii i Nowej Zelandii nie znaleziono osoby o tym nazwisku, bo najwidoczniej tam najdalej sięgały kanały policji. Jego zdjęcia, które kiedyś znajdowało się w portfelu Kallmanna, nadal nie znaleziono, może już w ogóle nie istniało. O ile więc pan Keller sam nie pojawi się, by upomnieć się o spadek, żadne z nas, nie wyłączając komisarz Lundblad, nie miało pojęcia, jak trafić na jego trop. Może jednak nie było to konieczne dla śledztwa. Niewykluczone, że był on tylko wytworem wyobraźni Eugena

Kallmanna. Zdjęcie, którego nikt nie widział, mogło przecież przedstawiać kogokolwiek.

Tyle o Borisie Yannie Kellerze. Inaczej miała się sprawa z Andreą Wester. Ona jak najbardziej była osobą z krwi i kości. Jej imię pojawiało się w pamiętnikach, a Charlie ją przesłuchiwał. Komisarz Lundblad jeszcze nie rozmawiała z Charliem o tym szczególe, ponieważ najpierw chciała przedyskutować sprawę z nami, „detektywami amatorami”, jak nas określiła, pobłażliwie się przy tym uśmiechając.

– Jak państwo sądzą? – zapytała. – Co chciał osiągnąć, zadając te pytania swojej koleżance? Jaki miał cel? Oczywiście porozmawiam także z Andreą, ale chciałabym też usłyszeć państwa opinię.

Ludmilla popatrzyła na mnie i na Igora, potem się odezwała.

– Spotkałam Andreę kilka razy w zeszłym semestrze – oznajmiła. – Rozmawialiśmy o różnych sprawach, ale także o tych dziwnych rozmowach, jakie przeprowadził z nią Charlie. Ona sama nie zrozumiała, o co mu chodziło, ale najwidoczniej przyznał, że sprawa dotyczy Kallmanna. Choć oczywiście musi pani zapytać o to samą Andreę...

Ludmilla zrobiła pauzę, ale komisarz Lundblad dała jej znak, by kontynuowała.

– Trudno się domyślić, jaki związek może mieć Andrea z Kallmannem – ciągnęła Ludmilla po chwili namysłu. – O ile jednak sobie przypominam, to Charliego najbardziej interesował ktoś z rodziny Andrei, nie ona osobiście. Wydaje mi się, że Andrea twierdziła, że Charlie prowadził podobne rozmowy także z innymi uczniami... a w każdym razie jednym. Jak jednak wspomniałam, Charlie Mattis był tylko jednym z powodów, dla których Andrea mnie odwiedziła. Najważniejszą dla niej sprawą było coś innego, ale nie muszę chyba zdradzać tajemnicy zawodowej i opowiadać o tym, ponieważ nie ma to nic wspólnego z Kallmannem.

Eva Lundblad pokiwała głową i zapytała, czy ja lub Igor mamy coś do dodania w sprawie Andrei Wester. Zaznaczyłem, że zgadzam się z Kallmannem co do tego, że ma ona talent pisarski – nawiązałem w ten sposób do jego ostatniego zapisu z pamiętnika; nie dodałem jednak, że Andrea jest kopią mojej zmarłej córki. Igor nie miał nic do powiedzenia, przeszliśmy więc do spekulacji, kto też może kryć się pod pseudonimem V.

– A to, że Kallmann potrafił zaglądać ludziom w dusze, co państwo o tym sądzą? Chodzi mi o to, że, jak twierdził, właśnie dzięki tej właściwości wiedział, że V. to morderca.

Igor zadał to pytanie. Dopiero po kilku sekundach postanowiliśmy się do niego odnieść.

– Gdybyśmy obstawali przy tym, że jesteśmy ludźmi racjonalnymi i myślącymi, to najprościej byłoby odrzucić ten wątek – odparła Eva Lundblad ostrożnie. – Jeśli jednak na moment zapomnimy trochę o rozsądku i rozważymy... no tak, do czego wtedy dojdziemy?

– Do trzęsawiska – stwierdził Igor. – Mam nadzieję, że wybaczą państwo umysłowi ścisłemu, ale trudno mi uwierzyć w tę teorię o oczach zabójcy. Dlatego jestem ciekaw, jak państwo na to patrzą. Wiemy przecież, że Kallmann lubił tworzyć aurę tajemniczości, jeśli więc naprawdę jest tak, że postać o inicjale V. istnieje i ma na sumieniu zabójstwo... czy nie mogło być tak, że Kallmann wiedział o tym z innego powodu niż ten, na który się powoływał?

– Ma pan na myśli to, że wiedział więcej, niż się do tego przyznawał? – zapytała komisarz.

– Mniej więcej tak – odparł Igor. – Choć to tylko przypuszczenie.

– Oczy zabójcy – powiedziała Ludmilla. – Kallmann widział po oczach Ollego Möllera, że jest niewinny. Tak twierdził, kiedy spotkałeś go po raz ostatni?

– Owszem – przytaknął Igor. – Wypiliśmy sporo whisky, ale tak było.

Sugerował, że potrafi zaglądać ludziom w dusze i że to dlatego unikał patrzenia im w oczy... I naprawdę tak było. Zawsze spoglądał gdzieś w bok, kiedy się z nim rozmawiało.

– Zgadza się – potwierdziła Ludmilla. – Jednak pomijając kwestię spojrzenia, możemy założyć, że istnieje ktoś, kto odpowiada postaci V. I że to z nim Kallmann był umówiony na spotkanie tego wieczoru, kiedy zginął. Chodzi mi o to, że tego chyba sobie ot tak nie zmyślił?

– Zmyślał sporo – zauważył Igor. – Jednak nie to. Takie jest przynajmniej moje zdanie.

– A zabójstwo matki? – Nie mogłem nie wtrącić. – Przecież ten wątek pojawia się w pamiętnikach kilkakrotnie. Nadal wprawdzie nie wiemy nic o jego przeszłości, ale może...?

Zawiesiłem głos, spoglądając przy tym na Evę Lundblad. Komisarz przez kilka sekund się wahała, znowu po kolei zmierzyła wzrokiem każde z nas, po czym chrząknęła.

– Ekhm, cóż. Oczywiście przyjrzałam się tej kwestii nieco bliżej. Ujmę to dość nietypowo: otóż przeszłość Kallmanna... uległa przedawnieniu, że tak powiem. Mówię teraz o jego prawdziwej tożsamości, o tym, kim był, zanim zmienił nazwisko na Eugen Kallmann. Otrzymałam niezbędne dane, postanowiłam jednak nie dzielić się nimi z innymi. Przynajmniej na razie. Zawarłam pewną umowę z kilkoma osobami, które na swój sposób są w to zamieszane, jeśli jednak umowa ta stanie się przeszkodą dla mojej pracy, oczywiście ją zerwę. Na razie jednak muszą mi państwo wierzyć na słowo. A według mnie przeszłość Kallmanna nie ma nic wspólnego z jego śmiercią.

– No szlag by to... – rzucił Igor. – Proszę wybaczyć, naturalnie akceptuję pani stanowisko. Po prostu trudno mi się pogodzić z niewiadomymi.

– Obiecuję, że zostaną państwo powiadomieni, kiedy tylko je wyjaśnię – uśmiechnęła się komisarz. – Jednak nikt z państwa nie ma żadnych sugestii co

do tego, kto kryje się pod inicjałem V.?

Igor pokręcił głową. Popatrzyłem na Ludmillę. Wydawało mi się, że w jej oczach dostrzegłem odpowiedź „tak”.

– Może to ten, który dzwonił do drzwi – powiedziałem.

– Słucham? – zdziwiła się komisarz. – Teraz nie bardzo rozumiem.

Igor westchnął i zrobił minę, jakby chciał wyjść z pokoju.

– Jest jeden szczegół, o którym nie powiedzieliśmy – wyjaśniłem.

– W takim razie najwyższa pora to zrobić – odparła komisarz.

Ten wieczór Ludmilla miała spędzić w domu z dziećmi, po rozmowie z Evą Lundblad w urzędzie gminy zdążyliśmy jednak wybrać się jeszcze na wspólny spacer. Poszliśmy drogą przy parku rekreacyjnym, a dalej w stronę Teneriffy. Mimo że wcale się na to nie umawialiśmy, po pewnym czasie wylądowaliśmy pod Niemieckim Domem. Zatrzymaliśmy się i zaczęliśmy się mu przyglądać. Budynek górował nad mrocznym i zarośniętym ogrodem, kryjąc w sobie jeszcze mroczniejsze tajemnice. Zauważyłem, że Ludmilla się wzdrygnęła.

– Nie rozumiem, dlaczego on tu wciąż stoi – powiedziała. – Popatrz tylko, wygląda jak z filmu grozy... Jak nazywał się ten stary horror, *Dom zapomniany przez Boga* [18](#)?

– Tu akurat było przeciwnie, przynajmniej w czasie gdy swoje pięć minut miało to słynne zgromadzenie – zauważyłem. – Ludzie garnęli się do Baranków Arona, by odnaleźć drogę do Boga.

– A znaleźli tylko Jezusa z Säffle – odparła Ludmilla. – Mimo to udało mu się zdobyć wiele kobiet.

– Jak myślisz, co się z nim stało?

Ludmilla wzruszyła ramionami.

– Dał nogę, jak sądzę. Ze składkami w walizce, bo przecież ludzie sporo na nich dawali przez tych kilka lat... nie pamiętam, ile dokładnie. A może było tak, jak mówią. Ktoś go zamordował i zakopał. Idziemy dalej czy chcesz

zajrzeć do środka?

Zaproponowałem, że wizytę w domu możemy przełożyć na inną okazję, może na jakiś ciepły wiosenny dzień, kiedy jeszcze będzie jasno. Zawróciliśmy w stronę centrum. Ludmilla chwyciła mnie pod ramię i mocno się przytuliła, a kiedy na rynku głównym spotkaliśmy niewielką grupę uczniów z naszej szkoły, nie próbowaliśmy nawet się od siebie odsunąć. Popatrzyliśmy im w oczy, miło się przywitaliśmy, po czym dalej szliśmy blisko siebie. To chyba był pierwszy raz, kiedy publicznie pokazaliśmy się razem, i – nie zmyślam – za naszymi plecami dały się słyszeć radosne szepty.

– Cudownie – powiedziała Ludmilla. – Teraz to już jesteśmy razem, ty i ja, panie Berger. Dwa tygodnie na zwrot towaru minęły.

– Ale miesiąc miodowy chyba trwa?

– Będzie trwać do końca życia – odparła Ludmilla. – Co najmniej.

Później wieczorem, kiedy już leżałem w łóżku, ale jakoś nie mogłem się skupić na żadnej z na wpół przeczytanych powieści leżących na stoliku nocnym – jednej angielskiej, jednej rumuńskiej i jednej szwedzkiej – próbowałem jakoś podsumować naszą rozmowę z komisarz Lundblad. Jaki przyniosła skutek? Jak się czuliśmy, zrzucając odpowiedzialność na policję?

Bo chyba właśnie to zrobiliśmy? Dopilnowaliśmy, by sprawa Eugena Kallmanna trafiła we właściwe ręce. Nasze pokračujące próby wyjaśnienia tego, jak to się stało, że mój poprzednik ze szkoły Bergtuna zginął tego majowego dnia, dobiegły końca. Wyłożyliśmy wszystkie karty na stół, koniec z kuriozalnymi włamaniami i wątpliwymi moralnie perypetiami, bez których nie może się obyć prywatne śledztwo. Od teraz to do policji należy porządne zbadanie wszystkich wątków i wyciągnięcie spraw na światło dzienne. Eva Lundblad miała oczywiście własne zdanie na temat naszej wizyty w domu Eugena Kallmanna, jednak zważywszy na okoliczności oraz efekty, była gotowa spojrzeć przez palce na ten występki. To znaczy, o ile dobrze

zinterpretowałem jej lekko rozbawiony ton głosu, kiedy komentowała nasz wygłup, ale chyba się nie myliłem.

Jeśli komuś z naszej trójki będzie brakowało wspólnych deliberacji i naszej – w cudzysłowie – działalności detektywistycznej, to Igorowi. Dało się to zauważyć podczas spotkania w urzędzie gminy. Domyślam się, że przede wszystkim niepokoi go, czy policji można tym razem zaufać. Jednak w przyszłym tygodniu ma odbyć rozmowę sam na sam z komisarz Lundblad, można więc mieć nadzieję, że zdoła ona wtedy rozwiać jego wątpliwości. Jeśli nawet nie wyjaśni wszystkich znaków zapytania, to przynajmniej przekona go, że wkrótce to nastąpi. Oby w mniej lub bardziej bliskiej przyszłości.

Naturalnie ja i Ludmilla też na to liczymy, mamy też nadzieję, że zabójcy Ottona Hanssona (z jakiegoś powodu wierzę, że jest ich ni mniej, ni więcej, tylko dwóch) wkrótce zostaną namierzeni i zidentyfikowani. W końcu minął ponad miesiąc, odkąd chłopaka znaleziono na drzewie, a gdzieś czytałem, że jeśli policja nie schwyta sprawcy w okresie od sześciu do ośmiu miesięcy, to już nigdy go nie schwyta.

O dziwo szkoła wcale nie sprawia wrażenia, jakby niecierpliwie czekała na rozwiązanie sprawy. Dwa pierwsze tygodnie nowego semestru, a właściwie w tym momencie to już prawie trzy, minęły nadspodziewanie spokojnie. Nie powtórzyły się żadne burzliwe wydarzenia poprzedniego semestru, ale może nie jest to wcale takie dziwne. Hans-Ivar Möller przedstawił ostatnio teorię, że to skutek traumy wojennej – otóż ani nauczyciele, ani uczniowie nie potrafią na dłuższą metę funkcjonować, gdy sypie się na nich grad dramatycznych zdarzeń, konfliktów i ogólnej niepewności, które w końcu stają się częścią dnia powszedniego. Człowiek po prostu potrzebuje poczucia bezpieczeństwa i spokoju do pracy. Choć zazwyczaj nie podpisuję się pod twierdzeniami Hansa-Ivara, w tym wypadku

jestem gotów to zrobić.

Co oczywiście nie znaczy, że należy pozwolić, by zabójca Ottona Hanssona pozostał na wolności.

Ani żaden inny zabójca. Do takiego właśnie śmiałego wniosku doszedłem na chwilę przed tym, zanim zgasilem lampę.

Andrea

25 stycznia.

Właściwie 26, bo właśnie wybiła północ. Nie mogę spać, taka jestem szczęśliwa. Chociaż „szczęśliwa” to takie strasznie oklepane słowo. Jakbym się zastanowiła, na pewno wpadłabym na jakieś lepsze. Albo i nie.

Niestety myśleć też teraz za bardzo nie mogę. Pół godziny temu rozstaliśmy się z Ivanem przed moim domem. A wcześniej przez dobre dwie godziny robiliśmy kółka po mieście. Tylko ja i on. Podszedł do mnie w Mymlan, gdzie akurat siedziałam przy stoliku z Emmą, Siggem i Malin, było tuż po wpół do dziesiątej – właśnie przestali grać, tym razem była to raczej beznadziejna kapela z Ö., której nazwy już nie pamiętam – i zapytał, czy nie chciałabym z nim na chwilę wyjść. A kiedy znaleźliśmy się na mroźnym dworze, powiedział tylko, że mu się podobam i chce, żebym to wiedziała.

– Dziękuję, Ivan – wydukałam. – Może... może się przejdziemy kawałek?

– Chętnie – odparł i mnie objął. Ostrożnie, jakby nie chciał, żebym to zauważyła, albo jakbym była ze szkła.

Wciąż przechodzą mnie ciarki, sama wiem, że każde słowo, które piszę, trąci głupotą trzpiotki. Wciąż czuję jego usta i język. Przed pójściem do łóżka specjalnie postanowiłam nie myć zębów. I ciepło jego ciała, i jego dłonie, i jego oplatające mnie ramiona. Brzmi, jakbyśmy uprawiali seks, ale

oczywiście tego nie zrobiliśmy. Niby jak? Oboje zamarzlibyśmy na śmierć, na dworze jest minus piętnaście stopni albo i mniej. Zanim się rozstaliśmy, powiedział:

– Andrea, to teraz jesteście razem?

– Tak, Ivan – odparłam. – Teraz jesteście razem.

– Dobrze. Ja już od dawna chciałem... tak żebyś wiedziała.

Zrozumiałam, że i ze mną tak było, choć nie miałam odwagi dopuszczać do siebie tej myśli. Dlatego zdobyłam się na błyskotliwe:

– I ja, Ivan... I ja.

Mimo że tuliliśmy się tak mocno, że byliśmy niemal jednym ciałem, to i tak trzęśliśmy się z zimna. Pewnie dlatego, że staliśmy nieruchomo pod latarnią przy podjeździe do garażu. Kiedy człowiek się rusza, da się jakoś utrzymać ciepło, ale ile by się tulić i pieścić, to przy piętnastu na minusie prędzej czy później się zamarźnie.

Zakończyliśmy więc schadzkę dwuminutowym pocałunkiem i jakoś udało nam się od siebie oderwać. Hu, hu, ha, Ivan nawet ruszył biegiem, kiedy się ze mną rozstał. Pomachał mi i zniknął za rogiem na drodze prowadzącej do Franssonów. Podejrzewam, że może już nigdy w życiu nie będę się czuć tak dobrze jak teraz.

Trzeba więc spijać tę chwilę. Ustami, które bolą, jakby się nimi wyczyściło toster.

Są i inne, już nie całkiem przyjemne sprawy. Łatwiej pisać o tym, co złe, niż o szczęściu, dlatego przejdę do tego. Tak czy inaczej, pod skórą wciąż czuję Ivana. I w głowie, i wszędzie.

Ten dawny sen o tratwie i rodzinie nie męczył mnie już od jakiegoś czasu, od października, o ile dobrze pamiętam. Jestem jednak pewna, że to z moją rodziną, nie ze mną, coś jest nie tak. Wciąż nie powiedziałyśmy Berntowi-Olovowi, że wiem, iż nie jest moim prawdziwym tatą. Niewykluczone jednak,

że mama mu powiedziała, a on udaje, że nie wie. To by oznaczało, że wszyscy troje dochowujemy tej samej tajemnicy, ale i tak rzniemy głupów. Nie sędzę jednak, żeby tak było. Mama by tak nie zrobiła, nie teraz, kiedy jesteśmy dla siebie jak siostry.

Tylko że ona nie czuje się z tym dobrze. Ostatniej niedzieli, kiedy dziadkowie byli u nas na lunchu, atmosfera była jeszcze dziwniejsza niż zwykle. Wszyscy jakby zapomnieli języka w gębie; wprawdzie rzadko kiedy, jedząc mięso i zapiekankę z ziemniaków, mówimy coś do rzeczy, jednak z reguły mama stara się podtrzymać rozmowę. Tym razem zdarzały się natomiast długie chwile zupełnej ciszy, było tak strasznie ponuro, że nawet Bernt-Olov to zauważył. Zaczął coś gadać o jakimś morskim potworze, o którym opowiadał mu kolega z pracy. Kolega ponoć widział go podczas wyprawy na ryby gdzieś w okolicach Lofotów czy gdzieś tam, jednak jedyną osobą, która zechciała to skomentować, był Aron. Oglądał on mianowicie film o jakiejś obrzydliwej kałamarnicy u wybrzeży Kalifornii, która miała dwadzieścia cztery macki, a żywiła się małymi dziećmi. To bynajmniej nie poprawiło nikomu humoru.

Po jedzeniu mama i babcia zniknęły w kuchni. Kiedy tam przypadkiem zajrzałam, zobaczyłam, że siedzą blisko siebie przy stole i coś sobie szepczą. Ich głowy dzieliło zaledwie dziesięć centymetrów, domyśliłam się więc, że chodzi o jakieś sekrety. Już miałam zapytać, cóż to za ciekawe sprawy omawiają, ale wystarczyło, że mama posłała mi spojrzenie. Od razu się wycofałam. To nie był dobry moment, po prostu, nawet głuchoniemy by się zorientował. Zanim się jednak obróciłam, zauważyłam, że babcia przed chwilą płakała. Mimo że ma sześćdziesiąt pięć lat, nadal używa maskary, to znaczy od czasu do czasu i nie za dużo, ale z płaczem i makijażem jest, jak jest.

Zastanawiam się, o co mogło chodzić. Chyba nie o to, że każda z nich wyszła za sztywniaka. Bo przecież to na pewno zdążyły już sobie uświadomić

sto razy, no i na tym etapie życia musiały przywyknąć. Nie, domyślam się, że coś się stało, że pojawił się jakiś grom z jasnego nieba i że wszystko się gruntownie zmieniło. Coś się stało. Ale co?

Dobre pytanie. Naprawdę dobre pytanie, bo kiedy cofam się o miesiąc do Bożego Narodzenia i naszego świątecznego spotkania trzech pokoleń, to uświadamiam sobie, że już wtedy coś było na rzeczy. Czyż nie? Jeśli nie w samą wigilię czy pierwszy dzień świąt, to na pewno w drugi. Wtedy jak zwykle byliśmy u dziadków na lunchu w ich mieszkaniu na Sylvestergatan. Oblesny Valter, ich sąsiad, też tam zresztą był. Jego dzieci są w stanie go ścierpieć tylko co drugie lub co trzecie święta, o ile dobrze zrozumiałam, a kiedy już nie mają do niego siły, wtedy zapraszają go dziadkowie.

Jednak to nie Valter Åbom sprawił, że było jakoś inaczej, a znów mama i babcia. Babcię chyba zasmuciło coś, o czym rozmawialiśmy, choć nie dała nic po sobie poznać, kiedy jedliśmy. To przede wszystkim Valter gadał, jak zawsze zresztą. Czasami, jeśli temat jest dla niego ważny, potrafi mówić na jednym wydechu.

Nie podczas jedzenia, oczywiście, ale po. To wtedy zaczęła się szerzyć ta negatywna energia. Pamiętam, że mama i babcia siedziały w kuchni i rozmawiały w taki sam sposób, jak w tę ostatnią niedzielę. Wtedy wprawdzie ich nie naszłam i nie zauważyłam żadnych zmian w makijażu, ale jak teraz o tym myślę, to jestem pewna, że tak było. Kiedy wreszcie wyszły z kuchni z kawą i ciastem, obie miały takie „nowotworowe” miny. Takie śmiertelnie poważne, jakby przed chwilą rozmawiały nie ze sobą, a z aniołem śmierci.

Nie pytałam mamy, o co chodzi, ale teraz, kiedy tak leżę, wciąż wyczuwając Ivana w krwiobiegu, i nie mogę zasnąć, mimo że już po pierwszej, postanawiam, że muszę to zrobić. „Co wy kombinujecie?” – zapytam. „O czym to tak sobie szepczecie z babcią, myślisz, że nie widzę, że

coś jest nie tak?”.

Oczywiście kolejną rzeczą, o której można rozmyślać w taką bezsenłą noc, jest szkoła. Dwa pierwsze tygodnie semestru były wyjątkowo spokojne, ja jednak z uporem myślę, że to tylko pozory. Podczas zakończenia przed świętami dyrektor Fröberg oznajmił, że ten semestr był najgorszy w historii szkoły. Miał nadzieję, że podczas ferii wszyscy i każde z osobna będą mieć dość czasu na refleksję i uspokojenie się, tak by w styczniu wrócić z nowymi siłami i poczuciem koleżeństwa, wspólnoty i tolerancji.

„Koleżeństwo, wspólnota i tolerancja”. Brzmi dobrze, może nawet jego słowa na swój sposób przyniosły skutek. Może jednak być też tak, że wszyscy czekają. Na co? Przede wszystkim na to, by policja powiedziała, kto zabił Ottona Hanssona. W końcu przez te tygodnie przed świętami policjanci byli w szkole praktycznie codziennie, prowadzili przesłuchania i rozmowy z połową uczniów. W tym roku jednak pojawili się raz lub dwa. Była u nas ta pani komisarz, nie pamiętam nazwiska.

Każdy jest więc ciekawy. Naziści też się teraz nie wychylają, dzięki Bogu. Nawet jeśli planują jakąś zemstę – za Ottona i za ten spektakl z jajkami na rynku – to przynajmniej nie dają nic po sobie poznać. Żadnych plakatów, żadnych graffiti, żadnych nowych swastyk na ścianach. Miejmy nadzieję, że poszli po rozum do głowy i uwierzyli, że policja wyjaśni, kto zabił ich bohatera i powiesił go na drzewie. Najprawdopodobniej tak to właśnie wyglądało, tak przynajmniej głosi plotka: Otto otrzymał silny cios w głowę lub kilka, potem zarzucono mu pętlę na szyję i zawieszono. Gdyby faktycznie tak było, można mówić o jednym sprawcy. Jednej silnej osobie, która wiedziała, co robi.

Nie mam jednak pojęcia, skąd się wzięły te teorie. Zresztą, jak zwykle plotka to jedno, a rzeczywistość to drugie.

Inna, dla odmiany zabawna plotka, w którą akurat wierzę, jest taka, że

Ludmilla Kovacs i Leon Berger są parą. Ja i Emma usłyszałyśmy o tym dziś po południu, na ostatniej przerwie. Malin opowiadała, że ponoć Kristina i Kalle z 9A widzieli, jak kilka dni temu Kovacs i Berger przytulali się gdzieś na mieście. Ktoś niby zapytał któreś z nich wprost (Kovacs lub Bergera, tego nie wiem) i dostał na wpół twierdzącą odpowiedź. Berger jest przecież sam po tej tragedii, w której zginęły jego żona i córka, choć jeśli chodzi o Kovacs, Emma zarzeka się, że ona ma męża i dwójkę dzieci. Dziś wieczorem, zanim podszedł do mnie Ivan, ja i Emma dość długo deliberowałyśmy nad tą kwestią. Uważamy, że Berger i Kovacs pasują do siebie, mamy więc nadzieję, że to prawda i że im się ułoży.

Ale niech to, teraz widzę, że jest już wpół do drugiej. Muszę zgasić lampę i iść spać. Jutro o jedenastej mam trening koszykówki, najpierw gramy my, potem chłopaki, jak zwykle. Na sto procent zostanę na sali, żeby zobaczyć, jak Ivan uwalnia się od obrońców, kończąc akcję rzutem za trzy.

A potem wyjdziemy razem i wszyscy zrozumieją, jak się sprawy mają. Cudowne uczucie tak sobie o tym rozmyślać.

Najpierw jednak będę o nim śnić.

Tylko żeby zamiast Ivana nie przyśniła mi się mama i babcia.

Skąd ta ostatnia myśl? *Shit.*

Igor

Znakomicie, panie Igorze. Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas. Tymi słowami Eva Lundblad powitała mnie w swojej policyjnej kwaterze w urzędzie gminy. W zeszłym tygodniu w tym samym miejscu spotkałem się z nią oraz Ludmillą Kovacs i Leonem Bergerem. Wtedy przez trzy godziny deliberowaliśmy nad sprawą Kallmanna i muszę powiedzieć, że pani komisarz zaimponowała mi swoją inteligencją i refleksem. Osoba zupełnie innego kalibru niż Marklund, myślę, że wszyscy troje wychodziliśmy stąd przepełnieni ostrożnym optymizmem. Nasze prywatne śledztwo należy uznać za zakończone, ale oczywiście komisarz Lundblad nadal musi być z nami w kontakcie. Zawsze znajdą się jakieś szczegóły do zbadania, mniejsze lub większe, mniej lub bardziej znaczące. Właśnie z tego powodu przybyłem tu w ten nieprzyjemnie chłodny styczniowy poniedziałek. Dokładniej mówiąc, było minus dwadzieścia trzy stopnie, wiem, bo na ścianie przed wejściem do urzędu wisi termometr.

Zawiesiłem kurtkę na oparciu krzesła i przyjąłem propozycję kawy. Pani komisarz naląła i zauważyła, że nastąpiła iście sroga zima. Przytaknąłem i pomyślałem sobie, że Eva Lundblad zapewne nie pochodzi z naszych północnych stron. Sądząc po dialekcie, jest raczej ze Smålandii albo Blekinge.

Nie pytałem jej jednak. Przecież nie przyszedłem z nią rozmawiać

o pochodzie czy jej pochodzeniu. Jakiś młody policjant, którego wcześniej nie widziałem – rosły niczym olimpijski zapaśnik i o włosach jasnych niczym łan zboża – także przebywał w pokoju, kiedy przyszedłem. Zanim jednak zaczęliśmy rozmowę, zostawił nas samych. Domyślam się, że takie dostał polecenie, zapewne przede wszystkim pracował przy sprawie śmierci Ottona Hanssona, nie Eugena Kallmanna.

– Jeśli chodzi o pana zmarłego kolegę, wciąż jest tu dużo znaków zapytania – zaczęła pani komisarz. – Jedna kwestia jest jednak najważniejsza.

– V. – wtrąciłem. – Kto kryje się za tym inicjałem?

– Otóż to. Jeśli uda nam się odpowiedzieć na to pytanie, nie będziemy musieli szukać żadnych innych odpowiedzi. Tak samo, jeśli uda nam się również dotrzeć do tego człowieka. Chciałabym więc zapytać, czy ma pan jakieś spontaniczne uwagi w tej kwestii? Może pan śmiało spekulować, o ile człowiek zdaje sobie sprawę, że to tylko domysły, nie ma w tym nic groźnego.

Pokręciłem głową. Cokolwiek by o mnie powiedzieć, to na pewno nie jestem skory do spekulacji. Przeczytałem wszystkie pamiętniki Kallmanna od deski do deski i to dwa razy – również tom piąty – i choć w paru miejscach pojawiała się postać V., nigdzie nie natknąłem się na wskazówkę, kim ten osobnik mógłby być. Ludmilla, Leon i ja, rzecz jasna, wałkowaliśmy tę sprawę w tę i z powrotem, ale i oni nie potrafili zaproponować nic obiecującego.

– To człowiek w wieku Kallmanna – odparłem mimo wszystko na zapytanie pani komisarz. – Mieszka tutaj w K., zapewne mieszkał tu przez całe życie. Gdzieś była wzmianka o tym, że Kallmann pamięta go z dzieciństwa. Więcej nie potrafię powiedzieć.

– Prawda, tyle mniej więcej można wyczytać z pamiętników – odparła pani komisarz. – Kallmann w tym roku skończyłby sześćdziesiąt pięć lat, jeśli więc założymy margines błędu dwa lata w każdą stronę, to zostajemy z czterema lub pięcioma setkami kandydatów. Mężczyznami z K. między sześćdziesiątym

a siedemdziesiątym rokiem życia, mówiąc wprost.

– Ilu zostanie, jeśli weźmiemy pod uwagę, że ten delikwent ma w inicjałach V?

– Tego jeszcze nie wyliczyłam. – Pani komisarz uśmiechnęła się szybko. – Może jednak zlecę to podkomisarzowi Serwinowi... to ten blond dryblas, którego pan spotkał, wchodząc. Mam jednak nadzieję, że są też inne drogi, które mogą nas doprowadzić do celu.

– Na przykład? – zapytałem.

– Rozmowy ze spostrzegawczymi osobami. – Komisarz Lundblad splótła ręce na kolanach i lekko odchyliła się do tyłu z trudnym do zinterpretowania wyrazem w oczach. – Pan jest jedną z nich.

Wypiłem łyk kawy, nie mogłem jednak nijak odnieść się do jej słów. Pomyślałem, że to zapewne nieszczególnie przyjemne uczucie być przesłuchiwanym przez komisarz Lundblad. Mam tu na myśli prawdziwe przesłuchanie, a nie zwykłą rozmowę, liczę bowiem na to, że jest między nimi różnica. Nie mogę jednak zaprzeczyć, że i ja czułem, że ta kobieta potrafi zajrzeć w głąb mnie. Pomyślałem nagle, że o dziwo pod tym względem przypomina Kallmanna. I jego oczy. Różnica była taka, że podczas gdy Kallmann zawsze wolał patrzeć w bok, Eva Lundblad przewiercała człowieka wzrokiem. Robiła to jednak w przyjemny sposób czy, jak by to powiedzieć, podstępnie przyjemny. Podstępny, zwłaszcza jeśli ktoś ma coś na sumieniu. Mimowolnie skinąłem, przytakując własnym myślom, a ona rzecz jasna zapytała mnie, czemu kiwam głową.

– Oczy – przyznałem. – Proszę wybaczyć, ale ma pani takie same oczy jak Eugen Kallmann.

Komisarz Lundblad wybuchnęła śmiechem.

– Zawsze to jakieś spostrzeżenie. Co jednak ma pan na myśli? Musi pan mówić nieco jaśniej, jeśli chce pan, żebym zrozumiała.

Zauważyłem, że się czerwienię, mimo to wdałem się w szczegółowy opis słynnego spojrzenia Kallmanna. Powiedziałem, że nigdy nie miał w zwyczaju patrzeć na osobę, z którą rozmawiał, w ogóle nigdy nie patrzył nikomu w oczy. Jak to sam wyjaśniał w kilku fragmentach swojego pamiętnika, chciał w ten sposób uniknąć zaglądania ludziom w dusze. Zwłaszcza te dusze, które „coś mają za uszami” (sam nie wiem, dlaczego użyłem tego wyrażenia), na przykład takie, które należą do morderców.

– Czy kiedyś pan z nim o tym rozmawiał? – zapytała komisarz Lundblad. – Czytałam jego wyjaśnienia, ale ciekawi mnie, czy kiedyś poruszaliście ten temat?

Zastanowiłem się.

– Wydaje mi się, że nie – odparłem. – A nawet jeśli, to bardzo krótko. I nie podczas naszych spotkań ostatniej wiosny, to wiem na pewno. Nie byłem tego świadom, dopóki nie przeczytałem tego wątku w pamiętnikach. To znaczy skojarzyłem to dopiero po fakcie, że tak powiem.

– Rozumiem. Jednak o V. rozmawialiście? Kallmann wspominał, że jest na tropie sprawcy przestępstwa?

– Oczywiście. Nie ma co do tego wątpliwości. Zwłaszcza podczas naszej ostatniej rozmowy, kiedy wypłynął temat jego zainteresowania dawnymi zbrodniami. Między innymi tą niewykrytą, której wyjaśnienia się podjął. Co dziwne, wyglądało na to, że sam nie wiedział, co tak naprawdę zaszło. Twierdził, że nie ma pojęcia, kto został zamordowany ani kiedy i jak to się odbyło. Twierdził tylko, że ten cały V. był zabójcą, który uniknął kary, a to znaczy, że musiała być jakaś ofiara i niewyjaśniona zbrodnia.

– W zeszłym tygodniu wyraził pan co do tego wątpliwość. Skąd niby Kallmann miał wiedzieć, że doszło do tego zabójstwa? I że sprawca nie został ukarany. Czy wyjaśnił to?

– Nie. Podjąłem tę kwestię, ale nie przypominam sobie, bym uzyskał na

moje pytanie jakąś odpowiedź. Zapewne Kallmann powiedział jedynie, że wiedział i już... domyślałam się, że wyczytał to z oczu sprawcy. Przykro mi, jeśli to brzmi jak jakieś abrakadabra, ale on czasami taki był. Właściwie dosyć często.

– Opowiadał jednak panu, że śledził tego tajemniczego pana V., tak jak to opisuje w ostatnim tomie pamiętnika?

– O ile sobie przypominam, to mówił, że ma go na oku. Nigdy jednak nie wspominał nic o konfrontacji. Podejrzewam, że doszło do niej kilka dni po naszej ostatniej rozmowie.

Komisarz Lundblad pokiwała głową.

– Nie wiedział więc pan, że mieli się spotkać w Niemieckim Domu?

– Nie, gdybym wiedział, to z pewnością starałbym się go powstrzymać. Albo w każdym razie powziąłbym jakieś kroki.

– Jakie kroki?

Chwilę się zastanawiałem, zanim odpowiedziałem.

– Na pewno nie pozwoliłbym mu iść tam samemu. Skoro faktycznie miał spotkać zabójcę, to ryzyko było duże.

– A kiedy dowiedział się pan, że Kallmann rzeczywiście umówił się na spotkanie z V.?

– Kiedy przeczytałem o tym w ostatnim tomie.

– Nie wcześniej?

Dopadły mnie wątpliwości. Zakładaliśmy przecież, że Kallmann znalazł się w Niemieckim Domu z jakiegoś powodu. A jakież inny powód mógł to być, jeśli nie spotkanie z kimś? Próbowałam sobie szybko przypomnieć dywagacje naszego detektywistycznego tria i doszedłem do wniosku, że istotnie domyślałam się już wcześniej. Jednak czarno na białym zobaczyliśmy to dopiero w ostatnim zapisie piątego tomu. Zacząłem to wyjaśniać pani komisarz, kiedy jednak to robiłem, nasunęła mi się bardzo nieprzyjemna myśl.

Czy byłem podejrzany? Czy Komisarz Eva Lundblad sądziła, że to być może ja byłem tym skrytym, nieukaranym zabójcą, którego Kallmann tropił? Nie wiem, dlaczego do głowy przyszło mi takie idiotyczne podejrzenie, kiedy jednak już się tam pojawiło, nie mogłem się go pozbyć. Uznałem, że najlepszą obroną będzie atak.

– Niech mi pani wybaczy, pani komisarz – powiedziałem. – Ale nagle uderzyło mnie, że według pani to ja mogę być V., którego szukamy...

Eva Lundblad przez kilka sekund mierzyła mnie tym swoim nieprzyjemnie przyjemnym spojrzeniem.

– A gdybym przyznała, panie Masslind, że absolutnie nie myli się pan w swoim założeniu, to jak by się pan do tego odniósł?

Zaczęła zwracać się do mnie po nazwisku. Zdążyłem zwrócić na to uwagę i zastanowiłem się, co też może znaczyć taka zmiana. To pytanie nie było jednak moim największym zmartwieniem, rzecz jasna.

– Powiedziałbym, że to zupełnie bezpodstawne podejrzenie – odparłem. – Bezpodstawne i absurdalne, i... sam nie wiem. Obrażliwe?

Pani komisarz rozłożyła ręce i uśmiechnęła się przepaszająco.

– To pan sam zaczął o tym mówić, panie Igorze – stwierdziła. – Nie ja. Nie, ja zakładam, że to nie pan ani nikt z waszej detektywistycznej drużyny kryje się pod inicjałem V. Możemy iść dalej?

Poszliśmy dalej. Przez niemal godzinę omawialiśmy moje spotkania z Eugenem Kallmannem, począwszy od tego pierwszego, w parku, po ostatnie, które odbyły się w kwietniu i maju zeszłego roku. Oczywiście skupialiśmy się na tych późniejszych. Komisarz Lundblad prosiła, bym spróbował sobie przypomnieć nasze rozmowy w najdrobniejszych szczegółach. Przyznała, że gdyby posiadała zdolność wprowadzania w hipnozę, bez wahania by z niej skorzystała, żebym mógł przeżyć te chwile jeszcze raz i przywołać w pamięci wszystkie detale. Oczywiście zrobiłem, co w mojej mocy, mimo że nie

zostałem zahipnotyzowany. Plułem sobie w brodę, że ja i Kallmann mieliśmy w zwyczaju wypijać dość znaczne ilości whisky podczas naszych spotkań, bo to bynajmniej nie sprawiało, że moje wspomnienia były wyraźniejsze. Nic jednak nie mogłem na to poradzić. I z całą pewnością stwierdzam, że wszystkie mniej lub bardziej relewantne informacje dotyczące Eugena Kallmanna, które miałem w głowie, gdy zasiadałem naprzeciwko pani komisarz tego popołudnia, trafiły także do jej głowy oraz na taśmę.

Kiedy skończyliśmy, było po szóstej i myślę, że oboje uznaliśmy, że zaszliśmy tak daleko, jak się dało.

Jednakże bez żadnego „przełomu”, bo chyba tak się to nazywa w policyjnym żargonie? Z jakiegoś powodu podoba mi się to słowo. Mimo że czułem się mentalnie wyczerpany, nie mogłem nie zapytać, jak idzie śledztwo w sprawie Ottona Hanssona. Czy może nastąpił jakiś przełom w tej sprawie, czy utknęli w martwym punkcie?

– Intensywnie nad tym pracujemy – odparła Eva Lundblad. – Niestety nie mamy żadnego gorącego tropu jak na razie. Tyle mogę powiedzieć. Przekażę panu natomiast inną informację.

– Ach tak? Jaką?

– Patrol Porządkowy. Chyba pan o nim nie zapomniał?

– Naturalnie, że nie – zapewniłem. – Chce pani powiedzieć, że...?

– ...że wiemy, kto za tym stał. Nie mogę jeszcze zdradzić nazwiska, wkrótce jednak się pan dowie. Niestety okazało się, że nie pomoże nam to w sprawie Ottona Hanssona. Po prostu nie łączy się to z zabójstwem.

– Nie łączy się? Nie pojmuję, przecież musi istnieć jakiś wspólny mianownik?

Komisarz Lundblad zaczęła zbierać swoje papiery. Pokręciła głową.

– Nie, o ile rozumiem, nie ma żadnego związku. W każdym razie Patrol Porządkowy nie przysporzy już wam zmartwień w szkole, tyle mogę obiecać.

Jeśli znów dojdzie do czegoś podobnego, będzie to co najwyżej jakiś naśladowca, bo temu niestety nie da się zapobiec.

Wstała i popatrzyła na zegarek. Uznałem, że jej dzień pracy dobiegł końca, kiedy jednak wkładałem kurtkę i otwierałem drzwi, żeby wyjść, zrozumiałem, że się myliłem. Na korytarzu czekał bowiem Charlie Mattis.

Dobrze, pomyślałem. Jeśli tylko uda się jej wyciągnąć z tego geniusza wszystko, co wie, to z pewnością wkrótce będzie można mówić o prawdziwym przełomie. Charlie przywitał się ze mną uprzejmie jak zawsze. W odpowiedzi skinąłem głową i życzyłem mu powodzenia.

Na tym jednak nie koniec.

– Dobry wieczór panu! – usłyszałem.

Przystanąłem właśnie przed urzędem gminy, żeby ciasniej zawiązać szalik. Termometr pokazywał minus dwadzieścia sześć. Rozejrzałem się i dostrzegłem Andreę Wester.

– Dobry wieczór, Andrea. Co, na Boga, robisz tutaj w taki ziąb?

Niewyraźnie wskazała ręką rozświetlone okno na trzecim piętrze budynku, więcej nie musiała mówić. No doprawdy.

Boże młyny mielą.

Ludmilla

Dziś jest 1 lutego. Najgorszy miesiąc w roku się skończył. Jeśli go podsumować, mimo wszystko okazuje się, że był lepszy, niż się spodziewałam. Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę to, jak wyglądały listopad i grudzień. Po feriach świątecznych wracałam do pracy z lękiem. Pamiętam, że poprzedniej lub którejś z wcześniejszych nocy śniło mi się, że cała szkoła spłonęła. Staliśmy wszyscy na dziedzińcu i patrzyliśmy na nieszczęsny osmalony i pokrzywiony szkielet budynku, który kiedyś był szkołą Bergtuna, a najgorsze było to, że właściwie nikogo to nie zaskoczyło. To się musiało tak skończyć – uznali wszyscy. To było wiadome.

Tak się jednak nie stało. Odpukać, tfu, tfu, bo niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Jeśli ktoś chciałby podpalić swoją szkołę, to może czeka, aż zrobi się cieplej.

Nadzieję jednak napawa fakt, że pierwsze tygodnie semestru były spokojne. Jakby wszyscy, uczniowie, nauczyciele i pozostali zamieszani w szkolne życie, jakoś się opamiętali. Przemyśleli sobie sprawy i doszli do wniosku, że nie chcemy żyć i pracować w atmosferze konfliktu, konfrontacji i niepokoju. Ja w każdym razie mam nadzieję, że tak właśnie jest. Że dobro ostatecznie zwycięża. Cokolwiek miałyby znaczyć „dobro” i „ostatecznie”. Być może jestem nadto naiwna. Może to błogostan wywołany moim i Leona uczuciem

emanuje na wszystko inne. Kto by się spodziewał, że w takim wieku człowiek odnajdzie szczęście?

Wracając jednak do spraw szkoły i mojego nieśmiałego optymizmu. Patrol Porządkowy został zidentyfikowany i unieszkodliwiony. Wczoraj rano Fröberg oznajmił na konferencji, że Pentti Hirvonen, który przez ostatnie trzy lata zajmował się salą komputerową, nie jest już zatrudniony w szkole. Na początku przyszedł tygodnia pojawi się jego następca.

Fröberg nie wyjaśnił, dlaczego Hirvonen odszedł. Dowiedziałam się tego później, kiedy zajrzałam do jego gabinetu.

– To Hirvonen był Patrolem Porządkowym – oznajmił. – Rzecz jasna, ta informacja tak czy inaczej wycieknie, nie chciałem jednak dyskutować tego z całym gronem.

– Niech to szlag – odparłam, starając się wykrzesać z siebie zdziwienie, którego ku mojemu zaskoczeniu w ogóle nie miałam. – On sam?

– Tak się wydaje – powiedział Fröberg. – Wszystko na to wskazuje. To bydlak. Nigdy nie miałem o nim dobrego zdania.

– Ja też nie – przyznałam. – Jak to się wydało?

– Ktoś doniósł. Poszliśmy tym tropem, a on się przyznał. Nie mogę oczywiście powiedzieć, od kogo pochodziła informacja, sama rozumiesz.

– Absolutnie – zgodziłam się. – Kogo jednak masz na myśli, mówiąc my?

– Komisarz Lundblad oraz moją skromną osobę. – Fröberg uśmiechnął się krzywo.

A on rzadko się uśmiecha. Stwierdziłam, że to bardzo dobry znak.

Spotkałam Evę Lundblad trzy razy po świętach: raz, kiedy byłam z Igorem Masslindem i Leonem, a dwa razy sam na sam. Muszę przyznać, że przypadła mi do gustu. Inteligentna, pewna siebie, ładna, rozważna i skromna. Kiedy podczas naszej drugiej rozmowy zwierzyła mi się, że jest lesbijką, pomyślałam sobie, że może, cholera, ja też?

No dobrze, wcale tak nie pomyślałam. Eva Lundblad powiedziała, że sama odkryła to dość późno – po tym, jak była w dwóch związkach hetero i urodziła trójkę dzieci. Lepiej jednak późno niż wcale. Zapytałam, jak to jest być lesbijką w zawodzie zdominowanym przez facetów i to... dość konserwatywnych. Zaśmiała się i powiedziała, że ma to w sumie swoje plusy. Jej koledzy nie mieli po co jej podrywać, jak to zwykli robić, gdy tylko pojawiała się okazja, no i we wszystkich możliwych sytuacjach jej orientacja stanowiła swego rodzaju zaletę.

Tak przynajmniej twierdziła.

– Widzi pani, wielu facetów w skrytości podziwia lesbijki. Stajemy się dla nich jednocześnie nieciekawe i nieosiągalne. Oczywiście istnieją też uprzedzenia, więc zdarzają się i szykany.

– Ale pani sama nigdy tego nie doświadczyła?

– Może ludzie plotkują za moimi plecami, ale czemu miałabym się tym przejmować?

Choć oczywiście to nie preferencje seksualne komisarz Lundblad stanowiły clou naszych spotkań, a los i przygody Eugena Kallmanna. Ponieważ w zeszłym roku odbyłam dwie prywatne rozmowy z Kallmannem, komisarz Lundblad pytała, czego dotyczyły. O czym rozmawialiśmy, jakie zrobił na mnie wrażenie podczas ostatniego semestru w swoim życiu, o pracy w szkole i tym podobne.

Odpowiadałam, jak najlepiej umiałam. Uświadomiłam sobie przy tym, że miałam równie małe pojęcie o Kallmannie jak wszyscy inni. Natomiast co do najważniejszego pytania – kto może się kryć pod inicjałem V. – nie mogłam dorzucić żadnych sugestii.

Rozmawialiśmy też sporo o Charliem Mattisie i Andrei Wester. Komisarz spotkała się z każdym z nich w styczniu, podkreślała przy tym, że była bardzo ostrożna, ale że ma zamiar nieco dokręcić im śrubę w nadchodzącym tygodniu.

Nadchodzący tydzień oznacza w tym przypadku tydzień obecny. Wczoraj późnym wieczorem komisarz Lundblad zadzwoniła do mnie.

– Przepraszam, że przeszkadzam – zaczęła. – Ma pani może chwilę?

Dzieci już poszły spać – w tym tygodniu moja kolej, by być z nimi w domu, bo tak to sobie zorganizowałam, co drugi tydzień z chłopcami, co drugi z Leonem. Było nie później niż wpół do dziesiątej, odparłam więc, że mam czasu a czasu.

– I może pani bez przeszkód rozmawiać?

– Jasne. O co chodzi?

– O Andreę Wester – wyjaśniła komisarz Lundblad. – Właśnie odbyłam z nią długą rozmowę. Mogę powiedzieć, że wiele wyjaśniłyśmy. Ustaliłyśmy, że jutro rano Andrea przyjdzie do pani w szkole. Sądzę, że może się zwolnić z lekcji na cały dzień, chyba że kategorycznie odmówi. Myśli pani, że możemy tak zrobić?

– Żeby przyszła do mnie jutro rano?

– Tak.

– Oczywiście. Po prostu przełożę kilka spotkań. A co się stało?

– Ona sama opowie.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc milczałam.

– Jest tam pani? – zapytała komisarz Lundblad.

– Tak, tak, jestem. Nie chce pani powiedzieć mi nic więcej?

Komisarz się zaśmiała.

– Jeśli pani wybaczy, teraz pójdę się położyć. To był długi dzień. Zdzwońmy się jednak jutro po pani rozmowie z Andreą. Dobrze?

Cholera, pomyślałam. Mogłam się założyć o tysiąc koron, że czeka mnie bezsenna noc.

– Może pani przynajmniej dać mi jakąś wskazówkę – powiedziałam. – Skoro już pani dzwoni i zakłóca mój wieczorny rytuał.

– Wieczorny rytuał! – zaśmiała się komisarz. – Musi mi pani kiedyś opowiedzieć, na czym on polega. Dobrze jednak, może pani dostać podpowiedź. Wiem, kim jest V.

I co? – pomyślałam. Może nawet powiedziałam, nie dostałam jednak odpowiedzi.

– Na litość boską, pani komisarz – spróbowałam. – Jeśli powiedziało się A, trzeba powiedzieć B.

Komisarz Lundblad jednak tego nie zrobiła.

– Przykro mi – stwierdziła tylko po kilku trudnych sekundach milczenia. – Może się pani za to dowiedzieć, kto był naszym informatorem w kwestii Patrołu Porządkowego. Tak na pociechę. Jeśli pani obieca, że nikomu nie powtórzy.

Obiecałam.

– Charlie Mattis – odparła Eva Lundblad. – To by było na tyle. Proszę się jutro zająć Andreą. Potrzebuje tego i bardzo pani ufa.

– Dziękuję – wydusiłam z siebie. Potem moja ulubiona pani komisarz odłożyła słuchawkę.

Andrea wyglądała, jakby spała równie kiepsko co ja. Zegar wskazywał dziesięć po ósmej, kiedy wpuściłam ją do gabinetu. Szkoła była w zasadzie pusta. Pierwsza lekcja zaczyna się w pół do dziewiątej, a większość osób, zarówno uczniów, jak i nauczycieli woli przychodzić w ostatniej chwili.

Jednak nie Andrea Wester, nie tego ranka. I nie pedagoga szkolna, która nie śpi od czwartej i która wcześniej zostawiła swoich synów pod szkołą. Jeden miał jechać na wycieczkę (przy minus dwudziestu, świetnie pomyślane), drugi codziennie zaczyna lekcje punkt ósma. Przez chwilę się wahałam, potem mocno przytuliłam Andreę. To sprawiło, że rozplakała się na minutę. Kiedy już się uspokoiła, zdjęła czapkę, rękawiczki, szalik oraz kurtkę i rozsiadła się przed swoją filiżanką herbaty niczym bokser, który przeszedł dwanaście rund

i wszystkie przegrał na punkty.

– Możesz zacząć, kiedy będziesz chciała i jak będziesz chciała – powiedziałam. – Mamy całe przedpołudnie dla siebie.

– Muszę wydmuchać nos.

Podaliśmy jej pudełko z chusteczkami. Użyła czterech i wyrzuciła je do kosza.

– Rozmawiała pani z Evą... Evą Lundblad?

– Tak. Zadzwoiła wczoraj wieczorem i uprzedziła mnie, że dziś pewnie będziesz potrzebować wizyty u mnie. Nie wyjaśniła jednak dlaczego. Właściwie nic mi nie powiedziała.

Andrea pokiwała głową i wzięła głęboki, nieco drżący wdech.

– Tak się umówiliśmy. Że to ja wszystko pani opowiem... zanim pani usłyszy o tym od kogoś innego. To znaczy oczywiście nie wszystko. Tylko tyle, ile przypadkowo wiem... w pewnym sensie.

Nie bardzo umiała znaleźć właściwe słowa, zupełnie jak nie ona. Dopóki jednak nie milkła, nie wtrącałam się. I tak się dowiem. Przecież po to przyszła, o ile zrozumiałam, był to jej wybór. To Andrea Wester sama postanowiła, że tego rana chce porozmawiać z pedagogką szkolną. Nie była to inicjatywa moja czy komisarz Lundblad.

– To straszne – ciągnęła po krótkiej pauzie. – Powinam może była się domyślić, że to tak było, ale czegoś takiego człowiek do siebie nie dopuszcza. Dziś w nocy nie zmrużyłam oka.

– Jeśli powiesz, co takiego wydarzyło się podczas twojej wczorajszej rozmowy z komisarz Lundblad, może łatwiej będzie mi nadążać za tym, co mówisz.

– Oczywiście, przepraszam. Otóż tak się składa, że mój dziadek jest zabójcą.

Chciałabym móc powiedzieć, że w tej chwili pomyślałam sobie: Ach tak,

i wszystko stało się jasne. To byłoby jednak daleko posunięte koloryzowanie. Może samo sformułowanie przyszło mi do głowy, ale jeśli już, to w towarzystwie licznych znaków zapytania i zdecydowanie nic nie stało się jasne.

– Co ty mówisz? – wydukałam.

– Tak, to prawda. – Andrea znów załkała. – Miał coś wspólnego ze śmiercią pana Kallmanna i kogoś innego... chyba.

Sięgnęła po kolejną chusteczkę i wydmuchała nos. Kolejny raz pomyślałam, że nie miałabym nic przeciwko temu, by mieć córkę. Gdybym była jej mamą, a nie pedagożką, mogłabym ją teraz otoczyć ramieniem i utulić bez słów, jedynie za pomocą ciepła mojego ciała. Albo jeszcze lepiej – skrzydłem, szerokim i cieplutkim, tak by móc ją po prostu skryć pod pachą.

Nie wiem, co takie myśli mówią o osobie, która je snuje, ale nie obchodzi mnie to. Potrząsnęłam głową i spróbowałam wziąć się w garść.

– Twój dziadek? To brzmi niedorzecznie. Nigdy mi o nim nie mówiłaś.

– Nie – odparła Andrea. – Bo i czemu? W głowie mi się nie mieści, że to prawda.

– Ale jesteś pewna, że faktycznie tak jest? Do czego doszłyście z komisarz Lundblad?

Andrea wypila łyk herbaty i znów wzięła kilka drżących wdechów.

– Rozmawialiśmy o Charliem. I o tej jego rozmowie ze mną jesienią. I o co mu wtedy właściwie chodziło. Komisarz wcześniej przesłuchała też jego i sobie tylko znanym sposobem wyciągnęła z niego całkiem sporo. I wtedy zaczęła się czegoś domyślać... tak to musiało wyglądać. Ta komisarz to cholernie mądra policjantka.

– Z całą pewnością – przyznałam. – Mnie też opowiadałaś o dziwnych pytaniach, jakie zadawał ci Charlie. Pamiętasz? Wspominałaś, że wiele z nich było zupełnie niezrozumiałych, a niektóre zdawały się dotyczyć twojej rodziny.

Czyż nie tak?

– Tak. Tak właśnie było. Nie zrozumiałam, do czego on zmierzał, ale najwidoczniej pan Kallmann wspomniał mi, że kogoś o coś podejrzewa i że ta osoba ma coś wspólnego ze mną. Komisarz Lundblad twierdzi, że Charlie nie wiedział za dużo, ale że uznał, że... że to jego obowiązek wobec pana Kallmanna... wytropić jak najwięcej.

– Rozumiem – odparłam. Jednocześnie uświadomiłam sobie, że Andrea zapewne nie wie o pamiątkach i poszukiwaniach niejakiego V. – Ale skąd w tej historii wziął się twój dziadek? Czemu niby miałby być winien?

Andrea podniosła wzrok i popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Chodzi o tego pastora.

– Pastora?

– Tego z Niemieckiego Domu.

– Masz na myśli... Jezusa z Säffle?

Pokiwała głową, po czym spuściła wzrok. Popatrzyła na swoje dłonie splecione na kolanach.

– Tak na niego mówili. Niewykluczone, że moja babcia... miała z nim romans i...

Wreszcie rozjaśniło się w mojej ciemnej głowie. Nie odezwałam się jednak, czekałam, aż Andrea sama wydusi z siebie te okrutne słowa.

– ...i że dziadek go zamordował.

– Mój Boże – zdołałam tylko powiedzieć i w tej chwili zadzwonił dzwonek. Nadeszła pora pierwszej lekcji.

Jednak nie Andrei Wester z 9B, nie dziś. W milczeniu zaczekałyśmy, aż dźwięk dzwonka ustanie. Zauważyłam, że Andrea zaczyna tracić oddech, pochyliłam się więc i chwyciłam ją za rękę. Po policzkach spływały jej łzy.

– I może...

– Tak?

– Może zabił także pana Kallmanna.

Przez kilka sekund płakała tak, że aż się trzęsła, ale szybko jej przeszło. Kiedy już wyrzuciła z siebie to najgorsze, ogarnął ją swoisty spokój. Puściłam jej dłonie, a ona wykorzystwała kolejne naręczce chusteczek z mojego pudełka, po czym w końcu wzruszyła ramionami w nieco ironicznym geście rezygnacji.

– No, niech to cholera – powiedziała. – A ja na swój sposób o tym wiedziałam i to jest najgorsze.

Chwilę zajęło jej wyjaśnienie tego. Podobno czegoś się domyślała. W ostatnich tygodniach, może miesiącach zauważyła, że coś się wydarzyło między jej mamą i babcią. Kilka razy nakryła je, kiedy szeptały o czymś w tajemnicy, a obie wyglądały na zdruzgotane. Miało to jakiś związek z Niemieckim Domem, Andrea domyśliła się tego podczas rozmowy z komisarz Lundblad. I właśnie wtedy, w połowie spotkania, na prośbę komisarz zadzwoniła do mamy i potwierdziła to.

– Ale co potwierdziłaś? – zapytałam. – Tak dokładnie.

– Że babcia związała się z tym pastorem i że o tym tak szeptały między sobą... no i że to się jakoś łączyło ze sprawą Kallmanna. I z dziadkiem.

– Chwileczkę – przerwałam jej. – Jakim cudem komisarz Lundblad zdołała do tego wszystkiego dojść? To bardzo dziwne.

– To nie ona do tego doszła – wyjaśniła Andrea. – To ja. Co śmieszne, kilka miesięcy temu ja i Emma prawie natrafiłyśmy na ten trop...

– Ty i Emma?

Zaśmiała się, nieco zawstydzona.

– Tak, Emma Decantines. Bo my... jesienią trochę bawiłyśmy się w detektywów. Dziecinada, co? Ale znudziło się nam, bo do niczego nie doszłyśmy.

Bawiły się w detektywów, pomyślałam. Dziecko, gdybyś wiedziała.

– No tak – odparłam. – Może my wszyscy mamy w sobie żyłkę

detektywistyczną. Nikt nie lubi niewyjaśnionych spraw. To jednak ty twierdzisz, że twój dziadek jest zabójcą, a nie komisarz Lundblad?

– Ona się z tym zgadza – stwierdziła Andrea, kręcąc przy tym głową, jakby sama do końca nie mogła uwierzyć w to, co mówi. – A kiedy teraz sobie myślę, jak wyglądał drugi dzień świąt, kiedy byliśmy na lunchu u dziadków, to widzę, że wszystko się zgadza. To, jak babcia i dziadek się zachowywali. Bo z jakiegoś powodu rozmawialiśmy o Niemieckim Domu, no i to wszystko się ze sobą łączy...

Coś mi przyszło do głowy.

– Gdzie mieszkają twoi dziadkowie? – zapytałam. – Czy przypadkiem nie na Sylvestergatan?

– Tak, a skąd pani wie?

No właśnie, skąd? Przełknęłam ślinę i nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Że pewnego dnia w grudniu ja i jej nauczyciel szwedzkiego widzieliśmy z okna plecy jej dziadka? Tego chyba nie powinnam zdradzać. Jak i tego, że jej dziadek akurat przechodził przez ulicę po tym, jak dzwonił do drzwi mieszkania, w którym nikt nie mieszkał, ale w którym z jakiegoś powodu paliło się światło.

Uciekłam się więc do odpowiedzi pytaniem na pytanie.

– Jak nazywa się twój dziadek?

– Erik. Erik Larsson. A co?

Nie odpowiedziałam. Żadnego V, pomyślałam. Czy to faktycznie prawda?

– Wczoraj wieczorem rozmawialiście dość długo, ty i komisarz Lundblad, prawda?

– Tak, trzy godziny. Mama przyjechała po mnie około wpół do dziesiątej.

– Czy pani komisarz rozmawiała też z twoją mamą?

– Umówiły się na dziś.

– A twój dziadek? Czy... przedsięwzięto jakieś kroki?

Pokiwała głową i załkała.

– Myślę, że pojechali po niego i zabrali go na przesłuchanie.

– Przesłuchanie?

– No tak. Na pewno siedzi w areszcie w Ö. albo gdzieś... tak przynajmniej sądzę.

– A ty i mama omówiłyście to wszystko wczoraj po powrocie do domu?

– Tak, siedziałyśmy w kuchni do pierwszej. Zadzwończyłyśmy też do babci, ale nie chciała przyjechać.

Przeszedł ją dreszcz. Znów miałam ochotę ją schować pod skrzydłami, ograniczyłam się jednak do delikatnego pogłaskania jej po ramionach i plecach.

– Andrea, to wszystko brzmi strasznie. Mam jednak nadzieję, że rozumiesz, że to nie jest twój problem? Ty nie musisz brać za to odpowiedzialności.

Była to jedna ze standardowych formułek, ale niektóre z nich naprawdę niosą ze sobą pewien sens. Widziałam, że Andrea przyjęła to do wiadomości i że nawet jeśli sytuacja rzeczywiście była taka, jak opisała, to sobie z tym poradzi. Nagle przypomniałam sobie, choć jak przez mgłę, że podczas którejś z naszych rozmów jesienią Andrea wspomniała o swoim dziadku i że bynajmniej nie miała o nim najlepszego zdania.

Co najwidoczniej było całkiem trafnym osądem, skoro dziadek okazał się podwójnym zabójcą.

– Czy dziś rano rozmawiałaś z babcią? – czułam się zmuszona zapytać. Jeśli historia opowiedziana przez Andreę była prawdą, to właśnie babcia stanowiła źródło wszystkich nieszczęść.

– Nie, ale mama rozmawiała z nią przez telefon, kiedy wychodziłam z domu.

– Okej.

– Babcia nie czuje się najlepiej.

– To rozumiałe. Ale na chwilę zapomnij o wszystkich innych i powiedz, jak czujesz się ty?

Kolejna formułka, rzecz jasna, ale Andrea, mogąc się skupić na czymś innym, od razu zmieniła się na twarzy. Rysy jej się wygładziły, zniknęła zmarszczka między brwiami.

– Dziękuję, lepiej – odparła. – I ma pani rację, to nie o mnie tu chodzi. Ja jestem...

– Tak?

– Ja akurat, przy całym tym zamieszaniu, jestem zakochana.

– Zakochana?

– Tak. – Zachichotała. – Przepraszam, to oczywiście nie jest sprawa dla pani.

– Zależy od ciebie – powiedziałam. – To ktoś, kogo znam?

– Tak sądzę. – Andrea uśmiechnęła się z nieobecnie szczęśliwym wyrazem na twarzy, jak to potrafią jedynie zakochani. – To Ivan z mojej klasy.

– Ivan Kardasjan?

– Tak.

I ja nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

– Dobrze. Nie znam go, ale wygląda na miłego chłopaka. Mam nadzieję, że będzie wam ze sobą dobrze i że wszystko wam się ułoży.

Tej formułki również nie wymyśliłam pod wpływem chwili, ale czasami nie ma co niepotrzebnie kombinować.

– Tak będzie – zapewniła Andrea. – Na sto procent.

Kiedy wyszła, zawiesiłam na drzwiach tabliczkę „Zajęte” i rozłożyłam się na mojej krótkiej sofie. Z głową na jednym oparciu, nogami na drugim. I tak przesunęłam wszystkie spotkania sprzed lunchu, a potrzebowałam chwili do namysłu. Musiałam jakoś przetrwać opowieść Andrei Wester i spróbować zrozumieć, co właściwie oznacza. W mojej głowie myśli od razu zaczęły

obracać się jak w kalejdoskopie.

Jezus z Säffle.

Babcia Andrei. (Zapomniałam zapytać, jak się nazywa).

Erik Larsson. (Zazdrosny mściciel? Pan V?).

Eugen Kallmann.

Powracający jak bumerang Charlie Mattis.

Patrol Porządkowy alias Pentti Hirvonen.

Oczy Eugena Kallmanna.

Niemiecki Dom pewnego wieczoru w maju.

Po pięciu minutach zasnąłam.

Ulrika

Chcę uciec.

Na jakąś wyspę na Morzu Śródziemnym lub gdziekolwiek. Zostać tam, gdzie wyląduję, tak by moja noga już nigdy nie powstała w K. Wymienić całe życie na inne: nowe otoczenie, nowych ludzi, nową pracę. Dziś w nocy śniło mi się, że jestem młoda i podróżuję po całym świecie w kwiecistym wozie kempingowym. Byłam zupełnie sama, szczęśliwa. Nawet Flynn Branagan nie siedział obok mnie, moim jedynym towarzyszem był pies rozłożony na siedzeniu pasażera, duży brązowy kundel, który od czasu do czasu rzucał mi pełne miłości spojrzenie. I tak jechaliśmy sobie przez pagórkowaty, skąpany w słońcu letni krajobraz. Chyba Exmoor, bo w końcu nie widziałam w swoim życiu zbyt wielu innych krajobrazów.

Cudownie. I wtedy się obudziłam. Lutowy poranek w Norrlandii. Ojciec w areszcie, podejrzany o odebranie życia dwóm osobom. Matka na granicy załamania nerwowego, a dzieci popadają w schizofrenię, milkiwość i egzemę. August zsikał się do łóżka drugą noc z rzędu, a nie wiem, co się dzieje z Andrea, moją jedyną nadzieją. Unika mnie i cały czas wolny spędza ze swoim nowym chłopakiem. Ma na imię Ivan i wydaje się całkiem do rzeczy, ale jak dotąd spotkałam go tylko raz i to przelotem. Łatwo zrozumieć, że Andrea nie uważa, by miała się czym chwalić, jeśli chodzi o rodzinę, i że nie

ma zamiaru narażać nowej sympatii na kontakt z nami. Łatwo się z nią zgodzić.

A gdzie w tym wszystkim jest mój mąż? Mężczyzna, który jest ojcem dwójki naszych dzieci i który swego czasu podjął się opieki nad trzecim? Nabrał wody w usta i pogrążył się w stanie, który chyba nazywa się wyparciem. Nie przyjmuje do wiadomości, że rzeczywiście znaleźliśmy się w takiej sytuacji. Niemożliwe przecież, by jego teść, ten pocziwy były kierownik poczty, dopuścił się czynów, o które jest podejrzewany. Z zimną krwią zamordował dwoje ludzi? Pastora i nauczyciela? Nigdy w życiu. Policja zupełnie się skompromitowała, najwyższy czas zacząć się domagać odszkodowania i poruszyć niebo i ziemię.

Swoje stanowisko przedstawił mi jednak tylko jeden jedyny raz. Od tamtej pory milczy jak kamień i chodzi ze skwaśniałą miną. Co najwyżej coś odmruknie. I bynajmniej niczego nie poruszył, nawet palcem nie kiwnął.

Dla Bernta-Olova wodą na młyn jest fakt, że tata robi to samo: zaprzecza wszystkim oskarżeniom. Wypiera się. Po trzech tygodniach w areszcie w Ö. nie ugiął się ani trochę, o ile zrozumiałam. Nie jest winny zabójstwa pastora Adamssona-Schmidta (który jest tylko uznany za zaginionego, bo ciała nie odnaleziono) i nie pozbawił życia nauczyciela Eugena Kallmanna w Niemieckim Domu w maju zeszłego roku.

To mama wszystko mi raportuje. Mimo iż jest bliska załamania, dopytuje się o rozwój sytuacji. Nie poprzez bezpośrednie kontakty z ojcem, najwidoczniej tego mu zabroniono, ale przez jego adwokata, niejakiego Larsa Birgera Fritzego, energicznego faceta w moim wieku, który z powodu jakiejś nadwrażliwości na światło nosi żółtawe okulary. Widziałam go tylko raz, ale mama kilkakrotnie jeździła autobusem do Ö. i rozmawiała z nim pod nadzorem. Najwidoczniej nie może on zdradzić niczego o toczącym się śledztwie. Żadnych informacji, które potem mogłaby przekazać tacie. Jak rozumiem, taki jest ich tok rozumowania? Nie wiem jednak, bo zawsze

trzymałam się na bezpieczną odległość od karzącego ramienia sprawiedliwości.

Mamę przesłuchano dwa razy. Musiała się wypowiadać policji ze swojego romansu przed siedemnastu lat. Ze swoich kontaktów seksualnych z pastorem Henrym Adamssonem-Schmidtem. Tak się wstydzi, że nie chce się ze mną spotykać, w ogóle unika ludzi. Rozmawiamy tylko przez telefon, a mama nie jest zbyt wygadana. Od czasu do czasu nachodzi mnie myśl, że odbierze sobie życie, nie mogę jednak się jej narzucać. Nie zwierza mi się, tylko w kilka minut informuje, co usłyszała na policji, a potem się rozłącza. Nasza relacja, jak zwykle, nie wygląda tak, jak powinna.

A jak wygląda? Czy my w ogóle w tej rodzinie mamy jakieś relacje? Czy się kochamy? W jakikolwiek sposób? Czy kiedykolwiek się kochaliśmy? Przynajmniej niektórzy z nas? Gdybym miała narysować obrazek przedstawiający nas, tłem byłby nieurodzajny krajobraz. Pojedyncze, wysuszone, ledwo utrzymujące się przy życiu krzaki oddalone od siebie o tyle, że niemal nie widzą się nawzajem. Te nieszczęsne krzaki to my. Mama i tata. Andrea i ja. Aron i August. I Bernt-Olov. Jesteśmy tak beznadziejnie samotni jak Valter Åbom, spójrzmy prawdzie w oczy. Sytuacji wcale nie polepsza fakt, że jedno z nas zakatrupiło pastora, który sypiał z jego żoną, a następnie kolejną osobę, która chciała to ujawnić.

Tak to właśnie wygląda. Nie rozumiem, dlaczego tata z takim uporem zaprzecza. O ile dobrze zrozumiałam, przyznaje, że mama przez kilka miesięcy miała kochanka. Po jakimś czasie się zorientował. To musiało nastąpić wtedy, kiedy byłam w Anglii. Adamsson-Schmidt zaginął tego lata, kiedy wróciłam w ciąży. Dlaczego niczego nie zauważyłam? Niczego nawet nie podejrzewałam?

Ano dlatego, że byłam zbyt pochłonięta swoimi problemami. Dzieckiem w brzuchu i Flynnem Branaganem, trubadurem, który był ojcem maleństwa.

W tamtym czasie rodzice byli niewiele starsi niż ja teraz. Może o jakieś dziesięć, dwanaście lat. Musieli przechodzić przez prawdziwy życiowy kryzys, a do tego ich córka wróciła po roku spędzonym na wolności w Anglii. Ich jedyne dziecko. Z brzuchem i podstarzałym hipisem w pomalowanym wozie kempingowym... Jeśli tata faktycznie zabił Jezusa z Säffle, to musiało to być właśnie wtedy. Wydaje mi się, że tego pastora libertyna ostatni raz widziano w sierpniu 1979 roku.

Czy mama skorzystała z okazji tak samo jak ja? Czy tak to właśnie wyglądało? Nie mogę zignorować tej myśli. Kiedy jej jedyna córka zostawiła ją samą z Erikiem Larssonem, jej prawowitym małżonkiem, który miał tyle uroku i atrakcyjności, co stara komoda po dziadkach, mama poczuła taką rozpacz i potrzebę miłości, że rzuciła się w ramiona napalonego, charyzmatycznego pastora?

Nie, nie chcę o tym myśleć. Chcę uciec. „Jak tam twój ojciec?” – zapytał mnie dziś kulawy Holgersson w pracy. „O kim mówisz? – odparłam. – Ja nie mam ojca, chyba mnie z kimś mylisz”.

Mnie także przesłuchano. Jakaś kobieta około pięćdziesiątki, która przedstawiła się jako komisarz Lundblad, zrobiła mi ten zaszczyt i przysłała do mnie pewnego przedpołudnia, kiedy specjalnie w tym celu wzięłam sobie wolne. Skłamałam, że chodzi o wizytę u dentysty, zarówno Holgerssonowi, jak i innym. Skoro już się wypieram ojca, to nie mam zamiaru ponosić konsekwencji za jego czyn.

Usiadłyśmy w kuchni. Dzieci były w szkole, Bernt-Olov w pracy.

Czy zauważyłam coś szczególnego? – zapytała.

– Nie, niczego. Proszę, niech się pani poczęstuje muffinem jagodowym, to jedna z moich specjalności.

Wzięła jednego, zdarła papierek, po czym zadała kolejne pytanie.

Odpowiedziałam wymijająco.

Kolejne.

Odmówiłam odpowiedzi.

– Czy pani się tego wstydzi? – zapytała.

– Tak – odparłam. – Tak właśnie jest. Ze wstydu chciałabym się zapaść pod ziemię.

– Przecież to nie pani popełniła te haniebne czyny. Nie musi pani brać odpowiedzialności za rodziców.

– Czyżby? A kto ją weźmie?

– Na pewno nie pani. Uważa pani, że na przykład pani córkę powinno się winić za pani pomysły?

– Moją córkę? Nie, nie uważam.

Wtedy przypomniałam sobie, co Andrea mówiła o tej komisarz. Wypowiadała się o niej w samych superlatywach.

– Ale ze wstydem tak to właśnie jest – dodałam. – Szerzy się w górę i w dół. Na lewo i na prawo. Czyż nie?

Owszem, komisarz Lundblad mogła się ze mną w tej kwestii zgodzić. Jadła mojego popisowego muffina, spoglądając przez okno. Na zewnątrz świeciło słońce. Bładymi i jakby przybrudzonymi lutowymi promieniami. Daleka od obietnicy sugestia ładnej pogody. Wydaje mi się, że komisarz Lundblad ostatnie dwa tygodnie poświęciła na rozmowy z moim ojcem. Zapewne wiele godzin dziennie. A to wszystko, by przekonać go do przyznania się do zabójstw, o które jest podejrzewany. A on siedział po drugiej stronie stołu, takiego chwiejnego z białym z płyty piłśniowej, jakie gliny zawsze mają na filmach, i wypierał się. Milczał, gapił się na nią, zagryzając szczęki niczym pitbull. To jak próbować przekonać archipelag, żeby się przesunął.

– Często pani rozmawia z mamą? – zapytała jeszcze komisarz.

– Nie. Mamy słaby kontakt.

– A Andrea, jak ona się czuje?

- Dobrze. Ma nowego chłopaka.
- Jak opisałyby pani charakter ojca?
- Wolałabym tego nie robić.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Po prostu nie chcę.
- Myśli pani, że był w stanie zabić człowieka?

Oderwała wzrok od okna i popatrzyła na mnie, wciąż z na wpół zmrużonymi powiekami. Odchyliła się do tyłu. Miała dziwne oczy.

- Tak – odparłam. – Tak sędzę. Skoro pani pyta.

Zaczęły się ferie. Z Berntem-Olovem zabraliśmy chłopców do domku w górach. Właścicielem jest kolega z pracy mojego męża, akurat tej zimy postanowił z niego nie korzystać. Ma odwiedzić syna we Włoszech czy gdzieś tam. Andrea zostaje w K., tak jak w zeszłym roku dostała pracę na stoku narciarskim. Wiem, że będzie pozwalała Ivanowi u nas nocować, ale nie chce mi się jej pouczać. Mam wrażenie, że to już nie ten wiek. Wiele spraw nie jest już tak, jak było. Może jednak idzie nowe. Jeśli nie dla mnie, to przynajmniej dla Andrei. Naturalnie, że tak. Uświadamiam sobie zresztą, że lubię tego jej Ivana, choć prawie w ogóle go nie widziałam.

Dobrze nam zrobił taki tygodniowy wyjazd. Jednego wieczoru, kiedy chłopcy zasnęli po całym dniu na stoku, rozmawiałam z Berntem-Olovem o mamie i tacie. On podtrzymuje swoją opinię: jest przekonany, że tata jest niewinny. Kiedy zapytałam go, skąd ta pewność, odparł, że Erik Larsson nie jest człowiekiem, który skłamałby policji. Nie w takiej kwestii. Skoro twierdzi, że nie zabił Henry’ego Adamssona-Schmidta i Eugena Kallmanna, to znaczy, że tego nie zrobił. Czy naprawdę nie znam swojego ojca na tyle, by to wiedzieć?

- Ale przyznał, że tamtego majowego wieczoru poszedł do Niemieckiego Domu – zauważyłam.

– Najwidoczniej poszedł, co nie znaczy, że zabił Eugena Kallmanna.
Z tym mogę się zgodzić. To logiczne.

Dowiedzieliśmy się już, że faktycznie tak było. Tata poszedł na spotkanie z Kallmannem w tym przeklętym domu tego przekłętego wieczoru. Mama mówiła, że Kallmann i tata się tam umówili. Zdradził jej to adwokat, może zresztą wiedziała o tym wcześniej.

Niewykluczone, że tata powiedział mamie o wszystkim, ale nie wiem. Nigdy o tym nie wspominała, kiedy przechodziła te trudne chwile w grudniu i styczniu. Oszczędzała mi szczegółów, ale gdybym tylko wtedy podczas tych naszych lunchów umiała dodać dwa do dwóch, to zrozumiałabym o wiele więcej. Ta paplanina Valtera Åboma o Niemieckim Domu, płacz mamy nad ciastem i całą resztę. W tej rodzinie nie tylko Bernt-Olov ucieka się do wypierania.

A ja tak do końca nie umiem zaprzeczyć temu, co mój mąż twierdzi. Nie muszę mu jednak o tym mówić. Nie mam siły we wszystko się angażować. Nie chcę. Przeciwnie, trzymać dystans to jedyna recepta. Udawać, że życie toczy się dalej tak, jak powinno, nawet jeśli już nic nie da się określić jako normalne. Choćby po to...

Choćby po to, by chronić Arona i Augusta. Znają prawdę tylko w połowie, a znów mają nawrót egzemy. Jeszcze żaden kolega nie przyszedł do nich i nie zapytał z fałszywym uśmiechem o ich dziadka, ale ten dzień niewątpliwie nadejdzie. Nie wiem, jak się wtedy zachowam, ale przez ten tydzień spędzony w górach zaczęłam się skłaniać ku temu, by przyjąć rozwiązanie zastosowane przez mojego męża. Mogę powiedzieć, że to nieporozumienie. Dziadek na jakiś czas wyjechał, wkrótce wróci i nie, nie zabił żadnego pastora ani nauczyciela, to wymysły, czy ktoś wam tak powiedział? Bzdury, znacie przecież dziadka.

Bo co innego miałabym powiedzieć? Co?

Czy powinnam niepokoić się o mamę? Czy powinnam się postawić w jej sytuacji? Często o niej myślę, cały czas snuję dywagacje na jej temat, ale w zasadzie do niczego nie dochodzę. Dziwne jest to, że te tygodnie świąteczne coś zapowiadały. Czułam to, kiedy mama po tych wszystkich latach wreszcie opowiedziała, że kiedyś kogoś miała. Że zdradziła. Wtedy jeszcze nie wiedziałam z kim, ale – jak już mówiłam – gdybym trochę bardziej się wysiliła, może bym do tego doszła.

Zanim ta sprawa nagle została wywleczona, i to przy udziale Andrei, tego straszego wieczoru trzy tygodnie temu. Dlaczego to właśnie ona musiała wziąć na siebie ten cios? Jak to możliwe, że dotarła do sekretów, do których mnie nie udało się dotrzeć? Wstyd mi za to, chyba najbardziej właśnie za to. Człowiek nie może brać odpowiedzialności za czyny rodziców, ale powinien chronić swoje dzieci.

Taką postawę spróbuję przyjąć. Zostawię mamę i tatę na pastwę ich losu, sami mogą się winić, mam do tego prawo. Jednak Andrea, Aron i August to moja działka. Może Bernt-Olov też. Jeśli do żadnych innych wniosków nie udało mi się dojść podczas tygodnia ferii, to przynajmniej do tego doszłam. Nie będę więcej zadawać się ze snami o ucieczce. Nie wiem, co się stanie z tatą, ale co będzie, to będzie.

Inną postacią, o której od czasu do czasu myślę, jest oczywiście ten dziwny Eugen Kallmann. Jakim on był właściwie człowiekiem? Andrea opowiadała mi o nim tego wieczoru, kiedy tatę zabrała policja. Wcześniej zresztą też często o nim wspominała. Zdaje się, że był takim dobrym, choć cudacznym nauczycielem, którego uczniowie zapamiętują na całe życie i opowiadają o nim anegdoty. Zdziwaczały, zabawny, na wpół wariat. Ten jednak na domiar wszystkiego zginął w niejasnych okolicznościach. Zamordowany przez mojego ojca, jeśli wierzyć w to, co mówią. Ale dlaczego? Skąd Kallmann wiedział o romansie mamy i tego kaznodziei? I o tym, że Jezus z Säffle został zabity,

skąd wziął te informacje? Oczywiście krążyły plotki o tym, że któryś ze zdradzonych mężów sam się go pozbył – jako żywo mama w końcu nie była jego jedyną zdobyczą – ale przecież równie prawdopodobne jest to, że pastor sam zorientował się, że ziemia pali mu się pod nogami. Dał nogę, zostawił swoje zgromadzenie i nasze małe miasto, zanim było za późno. Czyż nie? O ile pamiętam, te dwie teorie zawsze przedstawiano jako równie prawdopodobne.

Nie wiem. Nie chce mi się spekulować, może dowiemy się, jak było, i to bez względu na konsekwencje. Może komisarz Lundblad naprawdę jest tak zdolna, jak mówiła Andrea. Ja sama zresztą też tak sądzę po naszym krótkim spotkaniu.

A może przeciwnie. Może nigdy nie poznamy prawdy. Przypominam sobie, że kilka lat temu widziałam w telewizji jakiegoś brodacza-wyrocznię, który stwierdził, że do grobu zabieramy ze sobą zdecydowanie więcej pytań niż odpowiedzi, choć akurat wtedy liczy się dla nas tylko jedno.

Taką prawdę kupuję bez dwóch zdań.

CZERWIEC–SIERPIEŃ 1996

Igor

O dłożyłem na półkę trzydziesty pierwszy kalendarz nauczycielski w mojej karierze, spoglądając przy tym na rządki zielonych grzbietów.

Patrząc na nie teraz, odniosłem zupełnie inne wrażenie niż wcześniej. Zauważyłem, że chciałem odwrócić wzrok, ale przytrzymałem go w miejscu, żeby zrozumieć, co takiego mnie naszło. Musiałem się naprawdę zmusić. Przez kilka sekund wręcz kręciło mi się w głowie, nie mogłem się skupić na zielonym rzędzie. Mój wzrok był zupełnie jak kamera, która stara się wymierzyć odpowiednią odległość, ale jej się to nie udaje, mimo że to przybliża, to oddala. Dziwne uczucie. Zrobiło mi się trochę niedobrze. Odwróciłem się plecami do regału i poszedłem do kuchni.

Zawsze myślałem, że będzie ich czterdzieści. Kalendarzy. Człowiek zaczyna życie zawodowe w wieku dwudziestu pięciu lat, a kończy w wieku sześćdziesięciu pięciu. To jak taki honorowy drogowskaz, coś, czego można się trzymać wśród mniejszych lub większych życiowych turbulencji. Kiedy jednak siedziałem przy kuchennym stole, popijając wodę, zwątpiłem w to. Czy zdołam uczyć jeszcze przez dziewięć lat? Co takiego się stało, że po raz pierwszy podważam swoją wytrzymałość? Co sprawiło, że ten rok szkolny, który właśnie się zakończył, był o tyle cięższy od wszystkich poprzednich?

Bo chyba był? Nie jest to tylko kwestia chwilowej słabości, gorszego dnia?

Popatrzyłem na słońce świecące za oknem. Dziś naprawdę pierwszy dzień wakacji, przedpołudnie, niebieskie niebo. Wczoraj odbyliśmy trzecią i ostatnią radę. Uczniowie skończyli już w piątek, tak to już jednak teraz jest: my nauczyciele kończymy drugi semestr nieco później, a kolejny zaczynamy nieco wcześniej. Dziesięcioletnie wakacje to już tylko wspomnienie, tego lata będzie tylko osiem tygodni wolnego. Mogło być jeszcze mniej, ale odpracowaliśmy godziny w kilka wieczorów.

Ja jednak nie przyłączam się do chóru głosów narzekających. To nie tu tkwi powód mojego wyczerpania i niepokoju. Może coś mi jest; już od jakiegoś czasu dokucza mi ból brzucha, pojawia się nieregularnie, czasami ćmiący, czasami kłujący i mocny. Nieraz nocami musiałem brać tabletki przeciwbólowe, żeby móc zasnąć. Na początku maja zaś poszedłem (za usilną namową Very Rönne) do przychodni. Zbadał mnie doktor Hemmingsson. Oznajmił, że jeśli w sztuce lekarskiej jest coś, co trudno zdiagnozować, to są to niewyraźne bóle brzucha. Tak oto moja pierwsza od dwudziestu lat wizyta lekarska zakończyła się skierowaniem do szpitala okręgowego w Ö. Dostałem termin na wtorek w trzecim tygodniu czerwca, i jakoś muszę się trzymać do tego czasu. Na szczęście ja i Pompe zaplanowaliśmy naszą wycieczkę w Pireneje na dwa pierwsze tygodnie lipca, tak więc nie koliduje to z badaniami. Powiedziałem Gunilli, że nie mogę spotkać się z nią na wybrzeżu przed sierpniem, a kiedy wyjaśniłem jej powód, poważnie się przejęła. Zapytała nawet, czy chcę, by przyjechała, ale oczywiście odmówiłem.

– Jeśli okaże się, że jesteś poważnie chory, to masz mi powiedzieć, zrozumiano? – zakomenderowała.

Muszę powiedzieć, że schlebiło mi jej przejęcie. Nieraz żartowaliśmy sobie, że choć nasz związek się nie udał, i tak zajmujemy się swoimi pochówkami. Oczywiście to, które odejdzie pierwsze, nie będzie mogło dotrzymać obietnicy, poza tym nasza umowa zakłada, że zajmujemy się tym

w przypadku, gdy w chwili śmierci nie będziemy mieć nowego partnera lub innych bliskich osób. A na razie ani ja, ani Gunilla nie mamy. Niepokoilem się, że w jej życiu może się pojawić inny mężczyzna, ale jak dotąd go nie ma. Bycie singlem nie jest niezbędnym warunkiem, byśmy dalej utrzymywali kontakty, ale niewątpliwie wiele ułatwia. Oboje zdajemy sobie z tego sprawę.

Jednak wracając do tego roku szkolnego. Trzydziestego pierwszego w mojej karierze. Jak podsumować go w pierwsze wakacyjne przedpołudnie?

Chyba powinienem zacząć od Eugena Kallmanna, który przyczynił się do tragicznego finału roku poprzedniego, dla mnie trzydziestego. Wszystko kręciło się wokół niego, zwłaszcza w pierwszym semestrze, kiedy to Leon Berger, Ludmilla Kovacs i ja sam włożyliśmy tyle wysiłku w wyjaśnienie okoliczności jego śmierci. Po Bożym Narodzeniu sprawa wkroczyła w nową, bardziej profesjonalną fazę, jako że policja wznowiła umorzone wcześniej śledztwo. Sądziłem, że wszystkie elementy układanki trafiły na właściwe miejsca, kiedy na początku lutego komisarz Eva Lundblad aresztowała Erika Larssona. Komisarz Lundblad zrobiła dobre wrażenie na wszystkich, którzy ją spotkali, a poszlaki wskazujące na Larssona jako sprawcę – i to nie tylko jednego zabójstwa, ale i dwóch – wydawały się dość mocne. Nie można narzekać na opieszałość policji w tej sprawie. Cały ogród wokół Niemieckiego Domu został przekopany (na metr w głąb, jak zostałem poinformowany), sam dom zaś zburzono do fundamentów zaledwie kilka tygodni temu.

Tymczasem przedwczoraj Erik Larsson wyszedł na wolność. Słuchałem w radiu konferencji prasowej prokuratora Sternera, oznajmił on, że nie ma już podstaw do przetrzymywania podejrzanego w areszcie, w którym przesiedział cztery miesiące. Prokurator wyraźnie podkreślił jednak, że podejrzany nie jest oczyszczony z zarzutów, a śledztwo wkroczyło teraz w kolejną fazę i nadal prowadzone jest na pełnych obrotach.

Nie potrafię ocenić, co miały znaczyć te banały wciskane mediom. Chwilę rozmawiałem z Leonem Bergerem wczoraj podczas lunchu. Naszą pierwszą reakcją była frustracja i poczucie zawodu. Domyślam się, że policja, a zwłaszcza komisarz Lundblad, czują się podobnie. Przecież pani komisarz musiała być przekonana co do tego, że Erik Larsson jest winien co najmniej jednej zbrodni i że będzie można go za to postawić przed sądem i skazać. W przeciwnym razie nie wkładałaby tyle wysiłku i nie angażowałaby tylu ludzi w tę sprawę. Może nadal jest pewna, że to on, ale dowody nie są wystarczające. W takim wypadku jej frustracja jest nieporównanie większa od mojej i Leona Bergera.

O ile wiem, pani komisarz była też zaangażowana w sprawę zabójstwa Ottona Hanssona, mimo że to nie ona dowodziła dochodzeniem. Niestety trzeba uznać, że i w tym wypadku policja poniosła klęskę. Choć przesłuchano połowę mieszkańców K., nie udało się znaleźć tropu, nie było żadnego konkretnego podejrzanego. Śledztwo wkroczyło więc w nową fazę. Ogłoszono to już w połowie kwietnia, nie wiem, co znaczy powtarzane przez nich wyrażenie „nowa faza”. Nie doszły mnie też żadne słuchy o tym, by coś istotnego wydarzyło się w tej kwestii przez ostatnie miesiące.

Pewnej nocy, po tym, jak policja przyznała się do porażki (to oczywiście interpretacja ogółu, nie samej policji) w sprawie Ottona Hanssona, na niemal całej fasadzie szkoły ktoś napisał sprayem mniej lub bardziej rasistowskie hasła. Tydzień zajęło usunięcie tych najgorszych, a końcowa renowacja odbędzie się latem. Z wyjątkiem tego wydarzenia, wszystkie te ksenofobiczne, łajdackie zachowania raczej się uspokoiły tej wiosny. Może zdemaskowanie i wyrzucenie z pracy Pentiego Hirvonena w istocie znaczyło więcej, niż można było przypuszczać. I nawet jeśli nie powinno się myśleć w ten sposób, to być może śmierć Ottona Hanssona dała im do myślenia. W każdym razie nie mogę doszukiwać się przyczyn mojego zmęczenia (wypalenia?) w atmosferze

panującej w szkole. Pierwszy semestr był trudny, jednak po Bożym Narodzeniu zapanowała względna stabilizacja, o czym wspomniał także dyrektor Torstensson w swoim przemówieniu na zakończenie roku.

Popiersia Eugena Kallmanna nie postawiono. Na szczęście nie wypalił też pomysł z organem kontrolnym. Ogólnie mówiąc, w świecie szkoły wiele spraw rozmywa się i rozplywa w powietrzu. Czasem to dobrze, czasem źle, choć osobiście uważam, że najczęściej dobrze.

Nadal siedzę przy stole kuchennym i snuję nieporadne rozważania. Dlaczego sędzę, że to dobrze, kiedy pomysły się rozmywają? Czy właśnie takie wrażenia będą mi towarzyszyć, gdy będę odstawiać na półkę kolejne kalendarze nauczycielskie? Czy właśnie zacząłem ostatnie dziesięć lat pod górkę? Czy to wiek daje o sobie znać?

Niechętnie przyznaję, że do głosu mocno dochodzą tu sprawy mojej psyche. W tym roku nie dałem rady trenować jak zwykle, a kiedy nie jestem w formie fizycznej, cierpi na tym i moja dusza. Przez ostatnie trzy tygodnie w ogóle nie wybrałem się biegać, mimo że pogoda była cudowna, a ja nie miałem żadnego porządnego wytłumaczenia.

Poza zmęczeniem. Plan był taki, żebym jutro wieczorem poszedł do hotelu zjeść wakacyjny obiad z Verą Rönne, Kentem Karlingiem i Ingvarem Wikstenem (to taka nasza mała tradycja), ale wczoraj jednak zmyśliłem wymówkę (przyjazd bliżej nieokreślonego krewnego). Wydaje mi się, że po minie Very było widać, że mi nie uwierzyła. Może nawet chciała mnie o to poważnie zapytać, ale coś nam przeszkodziło i w końcu nic nie powiedziała.

Nie wykluczam też, że tęsknię za klasą. Oczywiście takie rozstanie po trzech latach zawsze jest melancholijne, czuję jednak, że już nigdy nie trafi mi się taka grupa jak 9B. Charlie Mattis. Lydia Burman. Emma Decantines. Sam Lindgren. Andrea Wester i Ivan Kardasjan. Ta ostatnia dwójka mniej więcej od ferii zimowych jest parą i choć bynajmniej nie można nazwać mnie

ekspertem w tych sprawach, nie mogę nie zauważyć, że wyglądają na wyjątkowo dobrany tandem.

Na pożegnanie klasa sprezentowała mi biografię Alana Turinga autorstwa Andrew Hodgesa (musałem wspominać o tej książce na lekcjach) oraz dwie butelki znakomitej single malt. Mam tylko nadzieję, że o mojej słabości do tego trunku słyszeli skądinąd, nie z katedry.

Tak, bez dwóch zdań brakuje mi ich. Klasa, w której mam dostać wychowawstwo, była u nas z półdniową wizytą w maju, jak to zwykle bywa. Przyznam, że wyglądali na przeraźliwie nudnych i niedojrzałych. Jeśli jednak w przyszłym tygodniu w szpitalu wykryją u mnie raka żołądka, to nie będę się musiał tą kwestią martwić. A to już coś, jak zwykł mawiać mój ojciec swoją łamaną szwedczyzną, kiedy trafiał piątkę na loterii.

Dożył zaledwie pięćdziesięciu dziewięciu lat. Moja mama zmarła niewiele później, bo w wieku sześćdziesięciu trzech. Może i mój zegar już tyka? Nieubłaganie.

Uświadomiłem sobie, że przedpołudnie minęło. Zrobiło się wpół do pierwszej, włączyłem więc wiadomości. Słuchając jednym uchem najnowszych doniesień o Czeczenii, Sigvardzie Marjasinie i dalszej obecności żołnierzy NATO w Bośni i Hercegowinie, próbowałem zdecydować, czy wybrać się na krótką przebieżkę, czy też lepiej będzie przysiąść na balkonie z kilkoma kroplami tej znakomitej whisky na spróbowanie.

W końcu wyszedł mi kompromis. Udałem się na spacer na cmentarz, po drodze zajrzałem do kwiaciarni, gdzie kupiłem trzy czerwone róże. Oczywiście nie jest to najlepszy wybór na podarunek od takiej osoby jak ja dla kogoś takiego jak Kallmann, ale jeśli tylko uznać, że faktycznie został zamordowany, to tak czy inaczej nie leży spokojnie w grobie.

49

Ludmilla

A dlaczego? – zapytał Erik. – Dlaczego tata musi się przeprowadzić?
Trudno jest wyjaśniać pewne sprawy siedmiolatkowi.

Zwłaszcza takie, których człowiek sam nie potrafi zrozumieć.

Jak na przykład tej historii z tatą. Tego, że ma się przeprowadzić do miasta, które nazywa się Västerås. Że będzie tam mieszkał z wysportowaną Sarą i że razem otwierają tam siłownię.

Odparłam więc, że ja sama do końca tego nie pojmuję, najlepiej więc będzie zapytać tatę. Niech sam wytłumaczy, jak to możliwe, że zwolnił się z tej swojej świetnie prosperującej firmy, sprzedał udziały i ni z tego, ni z owego przekwalifikowuje się na menedżera filii popularnej sieci siłowni Power Point.

Zostawia żonę, dwójkę dzieci i swój dom w K., by zacząć nowe życie ponad czterysta kilometrów na południe. W mieście, które słynie z hodowli ogórków na konserwy.

– Ogórków? – zapytał Erik, bo to akurat zabrzmiało mu znajomo.

– Tak właśnie – odparłam. – A ty przecież lubisz ogórki.

– To dobrze – odpowiedział Erik i zaczął się zastanawiać nad czymś innym.

– Możesz mieszkać w tym domu – oznajmił Klas. – Przynajmniej przez kilka lat, później zobaczymy. Nie chcę wyrywać stąd dzieci. Mogą mieszkać u nas

w ferie i przez dwa weekendy w miesiącu. Ja tego chcę i Sara też. Lubią ją, wiesz przecież.

– Czyli dom jest już gotowy po renowacji?

– Będzie pierwszego sierpnia – odparł Klas. – O ile robotnicy będą pracować w sezonie urlopowym, jak obiecali. W przeciwnym razie możemy zatrzymać się u rodziców Sary.

– Świetnie.

– Owszem, i tak są na wybrzeżu aż do połowy września. Mam jednak nadzieję, że pozwolisz chłopcom u nas zostać na tydzień przed początkiem roku szkolnego... jak ustalaliśmy?

Nie odpowiedziałam nic. Tych kilka razy, kiedy Erik i Måts spotkali się z Sarą, wszystko przebiegło dobrze. Jak sądzę. Jednak wysłać siedmioletnie i dziewięcioletnie samolotem lub pociągiem, by dwa razy w miesiącu mogli odwiedzić tatę w mieście ogórków położonym tak cholernie daleko? Cóż, z pewnością wrócimy jeszcze do tego pytania.

Zresztą moja opinia w większości spraw brzmi: zobaczymy, jak będzie. W tym przypadku zastanawiam się jednak, skąd ten pośpiech. Decyzja o naszym rozwodzie jeszcze nie weszła w życie. I choć zgadzamy się co do najważniejszych kwestii, doradczyni, którą dwa razy spotkaliśmy kiedyś w Ö., zachęcała nas do rozwagi w działaniu. Jeśli chodzi o chłopców... cóż, w tych czasach w tym kraju rozwody trafiają się częściej niż srebrne gody, co jednak nie znaczy, że dzieci przyjmują je bez zmartwienia. Tak stwierdziła doradczyni, z namysłem kiwając głową. Sama jest po pięćdziesiątce i wygląda na rozwiedzioną.

Okazało się, że Sara jest w ciąży, stąd takie przyspieszenie. Klas powiedział mi to któregoś wieczoru. Po raz pierwszy od czasu, gdy przyznał się do romansu, wydał się zawstydzony.

– A ty masz czterdzieści trzy. Ostatni dzwonek, jeśli chcesz założyć jeszcze

jedną rodzinę. Będiesz po sześćdziesiątce, kiedy twoje najmłodsze dziecko skończy liceum, ale jak człowiek trenuje w siłowni, to jest w formie, rzecz jasna.

Nie chcę wcale być sarkastyczna. Ten etap mamy już za sobą, czasami jednak nie potrafię się powstrzymać. Szczerze mówiąc, Klas i ja zbliżyliśmy się do siebie, odkąd podjęliśmy decyzję o rozwodzie. Wczoraj, kiedy razem z chłopcami poszliśmy na kąpielisko, zapytałam go, czy nie żałuje. Czy się nie boi.

– Owszem – przyznał. – Zdarza się, że sikam ze strachu. Jednak lepiej jest robić rzeczy na całego, a nie ciągle zadowalać się kompromisami. Nigdy nie cierpiałem półśrodków, wiesz przecież.

– Ja też nie – zgodziłam się. – I nie chcę tego wykorzystywać przeciwko tobie, ale boję się, że popełniasz ogromny błąd i że nie będzie powrotu.

– Wiem – przyznał Klas. – Ale między nami przez te ostatnie lata w ogóle się nie układało. Chyba się zgodzisz?

– Absolutnie. A my nic nie zrobiliśmy, żeby jakoś temu zaradzić.

– Może nie mieliśmy ochoty?

– No tak – przytaknęłam. – Bez chęci nic się nie uda.

Zdaję sobie sprawę z tego, że radzimy sobie z rozwodem lepiej niż większość ludzi, dlatego że każde z nas znalazło inne ramiona, w które może się wtulić. Bogiem a prawdą za zaletę uważam to, że Klas nie zostanie w K. Wprawdzie spocznie na mnie większa odpowiedzialność za Månsa i Erika, ale mam poczucie, że nie zostanę z tym sama. Za kilka dni wyjeżdżamy z Leonem na rejs po Grecji. Oboje będziemy nadal pracować w szkole Bergtuna jesienią. Innymi słowy, zapowiada się błogi spokój. Czuję wręcz naiwne poczucie bezpieczeństwa w obliczu przyszłości. Måns i Erik cały lipiec będą żeglować na zachodnim wybrzeżu z Klasem i Sarą. Jej rodzina ma pieniądze i duży dom w pobliżu Lysekil. Na pewno niczego nie będzie im tam

brakowało.

To już jednak mnie nie interesuje.

Nie zainteresowały mnie też szkolne obchody Midsommar. Odbyły się w zeszłym tygodniu, ale nie poszłam. Ja i Leon świętowaliśmy sami na jego balkonie. Było to najlepsze Midsommar, jakie miałam od lat.

Nie mogę się więc nie zgodzić z Klasem. Nie układało nam się.

– W końcu nigdy nie poszliśmy do tego domu – powiedział Leon nad midsommarowym śledziem (kupiliśmy gotowe w markecie).

– Jakiego domu? – Nie zrozumiałam.

– Niemieckiego. Mijałem go wczoraj. Dosłownie zrównali go z ziemią. Ogród też cały wykarczowany.

– Ach, tak, wiem. I to wszystko nadaremnie.

– No właśnie, a na pewno sądzili, że coś tam znajdują.

– Zapewne. Wszyscy mówią, że nasza ulubiona policjantka się wygłupiła.

– Rozmawiałaś z nią przed jej wyjazdem z miasta?

– Tylko przez chwilę. Zadzwoiła do mnie. Poszliśmy na kawę w urzędzie gminy. Policja akurat wynosiła się ze swojej kwatery.

– I jakie sprawiała wrażenie? Była zrezygnowana?

Zastanowiłam się.

– Właściwie to chyba nie, ale może robiła dobrą minę do złej gry. Przecież to oczywista porażka tak kogoś trzymać w areszcie przez tyle czasu, a potem musieć go wypuścić.

– Coś ci wtedy mówiła?

– Że pójdzie na sześciotygodniowy urlop.

– No tak, wyrobiła sporo nadgodzin. A gdzie ona mieszka tak na co dzień?

W Sztokholmie?

– W Uppsali. Odgrażała się jednak, że wróci tu na jesień.

– Po co?

Przegryzłam kęs matiasa i wypiliśmy łyk piwa, zastanawiając się przy tym.

– Nie bardzo wiem. Zakładam jednak, że dochodzenie trwa.

– W sprawie Kallmanna?

– Tak. Erik Larsson nie został oczyszczony z zarzutów, mimo że wypuścili go z aresztu. Tak przynajmniej zrozumiałam, ale może oni zawsze tak mówią, zanim na dobre umorzą śledztwo. Jak myślisz?

Leon wzruszył ramionami.

– Ja i tak uważam, że on jest winny. Jeśli jednak nie mają żadnego dowodu technicznego, sprawca może się wywinąć. Wystarczy mieć dość rozumu, by cały czas milczeć i wszystkiemu zaprzeczać.

Wzięłam kolejny kęs śledzia i rozmyślałam. Jak zwykle szkoda mi się zrobiło ludzi, którzy nie jedzą śledzi.

– No a jeśli on zakatrupił tego pastora – ciągnął Leon – to pewnie gdzieś indziej zakopał zwłoki. Czemu miałyby być tak głupi, by grzebać je na miejscu zbrodni... czyli w Niemieckim Domu, bo przecież to tam się wszystko rozegrało.

– A potem jeszcze umawiać się tam z kolejną ofiarą – dodałam. – Nie, to byłby doprawdy przesadny brak fantazji. Dlaczego jednak uważasz, że on faktycznie jest winny? Możemy wprawdzie założyć, że to on jest tym V. z pamiętników, ale czy to wystarczy?

– Owszem, według mnie tak – odparł Leon. – Wystarczy. Z jakiegoś powodu chcę wierzyć w to, co pisał Kallmann... mimo że nigdy go nie spotkałem.

– Może właśnie – zasugerowałam. – Wierzysz jego słowom, bo nie miałeś z nim do czynienia za jego życia.

Leon się zaśmiał.

– Niewykluczone. W takim razie co ty o tym sądzisz? Borisa Yanna Kellera jak dotąd się nie doczekaliśmy.

– No nie. I może właśnie z tego powodu zaczynam powątpiewać w prawdziwość całej reszty. Nie wiem jednak, jaka jest opinia Ewy Lundblad. Przecież na pewno rozmawiała z Erikiem Larssonem setki razy, kiedy był w areszcie. Jak ktoś ma do tego oko, to chyba potrafi się zorientować, czy naprzeciwko niego siedzi zabójca czy nie. Nawet jeśli delikwent się nie przyznaje. Może faktycznie da się to dostrzec w oczach?

– Na pewno można sobie wmówić, że coś takiego się widzi – stwierdził Leon. – A to pewna różnica. Jednak komisarz Lundblad nie poruszała tego tematu, kiedy się spotkałyście na kawę?

– Owszem, w pewnym sensie.

– W pewnym sensie?

– No nie wprost, innymi słowy. Może odczytałam jej groźbę, że jeszcze tu wróci jako sygnał... że jeszcze nie skończyła z tą sprawą.

– Rozumiem. A co z Ottonem Hanssonem? – zapytał Leon.

– Tym się nie zajmowała od marca – wyjaśniłam. – Tak czy inaczej, zapytałam, co sądzi o tej sprawie. Otóż uważa, że tu wyjaśnienie może się pojawić samo z siebie. Ponoć młodzi sprawcy nie potrafią milczeć na dłuższą metę i w tym tkwi szansa dla policji.

– No dobrze – odparł Leon. – To już wiemy, jak się sprawy mają i co się będzie działo aż do świąt. A teraz na zdrowie! Udanego Midsommar! Dziękuję, że pozwoliłaś mi złożyć życie w twoje ręce.

– To ja dziękuję.

Wznieśliśmy jeszcze kilka toastów na balkonie, a kiedy komary za bardzo zaczęły dokuczać, przenieśliśmy się do mieszkania i zaczęliśmy czytać o wyspach Grecji. Byłam tam tylko jeden raz, na Rodos, i to wieki temu, za to Leon zna greckie archipelagi jak własną kieszeń. Sifnos, Paros, Naxos... potem Samos i może Lesbos... taką trasę zaproponował. Mój Boże, pomyślałam, całe cztery tygodnie. W środku życia. Wciąż nie wierzę, że to się

dzieje naprawdę.

50

Andrea

Cóś mi się zdaje, że mówiłaś, że tego lata olejesz wyprawę na pampasy. Czy może miałaś na myśli zimę?

Właśnie żegnałam się z Emmą na dworcu autobusowym. Był piękny letni dzień. Jak nic ponad dwadzieścia stopni, mimo że dochodziła dopiero dziesiąta.

– Zamknij się – odparła Emma. – Babcia kazała mi przyjechać. Leży na łożu śmierci. Jeśli nie odwiedzę jej po raz ostatni, wydziedziczy mnie.

– A ile milionów wchodzi w grę? – zapytałam.

– Ziemia – wyjaśniła Emma. – Chodzi o arealy, jakich sobie nawet nie wyobrażasz.

– Więc masz zamiar się tam pobudować?

– Nie, ale może kupię tysiąc krów. Jeśli będziesz grzeczna, może pozwolę ci zostać u mnie poganiaczką bydła. Uważam, że powinnaś zmienić profil i pójść do klasy ekologicznej... Jeszcze nie jest za późno.

Zarówno ja, jak i Emma złożyłyśmy papiery na profil z rozszerzoną wiedzą o społeczeństwie. W liceum Lidnerska w Ö. Przyjmą nas na pewno. Pytanie, czy trafimy do jednej klasy, mam jednak nadzieję, że tak.

– Zresztą tym razem to tylko na trzy tygodnie – dodała Emma. – Wracam dwudziestego siódmego lipca, więc jeśli na godzinę lub dwie dasz radę

oderwać się od Ivana, to wtedy będziesz mogła przyjść zobaczyć moje blade oblicze.

– Nie ma sprawy – odpowiedziałam.

Kierowca autobusu dał Emmie znak, że ma wsiadać.

– Nie zrób nic głupiego pod moją nieobecność – rzuciła na koniec. Potem drzwi się zamknęły i autobus ruszył w stronę lotniska w Ö.

Stałam tam jeszcze chwilę i machałam, dopóki nie zniknął za budynkiem straży pożarnej.

Siedzieliśmy właśnie pod parasolem na działce dziadków. Ja, mama, babcia, Aron i August. Bernt-Olov i dziadek poszli na spacer do lasu. Moi bracia przyrodni opili się już, objedli dżemem i drożdżówkami i zaczęli się turlać po trawniku. Tak więc właściwie siedziałam tam tylko z mamą i babcią.

Trochę odebrało nam mowę.

Przynajmniej mnie i mamie. Po tym, co usłyszałyśmy od babci.

„Nie wytrzymam już dłużej. Nie mogę już z nim być”.

Popatrzyłam na mamę. Mama popatrzyła na babcię. Babcia popatrzyła na łąkę, na której pasły się czarno-białe krowy. Należą do Haralda, rolnika, który jest właścicielem dużej zagrody leżącej po sąsiedzku. Pomyślałam, że pewnie krowy na pampasach wyglądają zupełnie inaczej niż te tutaj. Tamte na pewno nie są czarno-białe. Choć i tu, w Norrlandii, ten gatunek nie jest popularny, tak nas uczyli w podstawówce. Mama pochyliła się do przodu i położyła babci rękę na kolanie. Babcia pokręciła głową i zaczęła płakać. Ja westchnęłam, nie mając pojęcia, co ze sobą począć.

To chyba wisiało w powietrzu już od jakiegoś czasu. Odkąd dziadka wypuścili z aresztu, nasze życie rodzinne znów zaczęło szwankować, choć już inaczej. Absolutnie nie było szampana i oklasków z powodu jego uwolnienia. Kiedy zapytałam mamę, czy nie cieszy się, że dziadek już nie jest podejrzany, pokręciła głową i stwierdziła, że on już zawsze będzie podejrzany. Nie do

końca zrozumiałam, o co jej chodziło, ale czuć wyraźnie, że wszyscy nadal się wstydzą. Całe miasto wie o tej sprawie. Erik Valdemar Larsson siedział w areszcie w Ö. przez cztery miesiące, ponieważ policja podejrzewała, że dopuścił się zbrodni. Nie jednej, a dwóch. A teraz nagle puszczają go wolno. Co o tym sądzić? Czy nadal mówić mu „dzień dobry” jak gdyby nigdy nic? Nie, lepiej odwrócić wzrok, udawać, że się go nie zauważyło.

Pewnie podobnie jest z babcią. Może też i z mamą. A nawet jeżeli nie jest tak w rzeczywistości, to łatwo popaść w takie przekonanie.

Jeśli o mnie chodzi, to dość łatwo udało mi się opanować sztukę nieprzejmowania się. Mnie zresztą niewiele osób kojarzy z Erikiem Larssonem, a skoro już ktoś mnie kojarzy, to i tak mnie to nie obchodzi. Wierzę, że Ludmilla Kovacs miała rację, kiedy powiedziała, że człowiek nie odpowiada za czyny rodziców, a tym bardziej za czyny dziadków.

No ale teraz babcia oznajmia nam nagle, że już nie wytrzyma. Że już nie chce być z dziadkiem.

W tym samym czasie krowy nadal żuły trawę, a moi przyrodni bracia robili koziołki na trawie. Pomyślałam sobie, że właściwie to świetnie rozumiem babcię. W zasadzie nie ma większego znaczenia to, że dziadek zabił dwie osoby, tak czy inaczej jest beznadziejny.

Wstałam, podeszłam do niej i objęłam ją.

Trochę niezgrabnie, bo przeszkadzała mi siedząca między nami mama. Babcia rzuciła mi krótkie spojrzenie, a potem pogłaskała mnie delikatnie grzbietem dłoni po policzku. Nie mogłam się powstrzymać i załkałam.

Potem powiedziałam im, że pójdę na krótki spacer. Zorientowałam się przecież, że chcą być same.

Wieczorem przedyskutowałam sytuację z Ivanem. On nie ma prawdziwej rodziny, co czasami zdaje się zaletą. Poszliśmy na pole do minigolfa i rozmawiając, rozegraliśmy rundkę. W tygodniu Ivan pracuje w fabryce

kartonów, więc możemy się spotykać tylko wieczorami i w weekendy. Ja też mam pracę, ale tylko kilka godzin przed południem. Sprzątam w miejskim hotelu, który otwarto na sezon.

– Ale przecież on nie jest winny – powiedział Ivan. – Nikogo nie zabił.

– No nie. Ja też uważam, że jest niewinny, ale to niewiele zmienia.

– Niewiele zmienia? – zdziwił się Ivan. – To chyba musi coś zmienić.

– Lepiej, że nie siedzi w więzieniu, oczywiście – przyznałam. – Ale ja... nie chcę mieć z nim do czynienia. Babcia też nie. Twierdzi, że nie może już z nim być.

– Od jak dawna są małżeństwem?

– Od stu lat.

– No dobra. Ale czy zastanowiłaś się, jak on się teraz czuje? Najpierw oskarżyli go o coś, czego nie zrobił, potem przesiedział kilka miesięcy w areszcie, a kiedy wyszedł na wolność, nikt nie chce go znać. Jak ty byś się odnalazła w takiej sytuacji?

Nie mogę zaprzeczyć, że Ivan miał trochę racji. Może nawet dużo. Jednak niezmiernie trudno jest mi wczuwać się w sytuację dziadka. Nie chcę sobie wyobrazać, jak to jest myśleć i być jak on. Próbowalam wytłumaczyć Ivanowi, jak obcy mogą być dla nas niektórzy ludzie.

– Wiem – odparł. – Ja sam czasami czuję się obco. Bo na przykład co mają w głowie tacy jak Pentti Hirvonen, Otto Hanssen i ci idioci z Lyssne czy Vargbody? Nie pojmuję. Jak oni rozumują? Czy w ogóle myślą? Chyba zadają się tylko z karkami, którzy są przedłużeniem ich ego... ale twój dziadek chyba taki nie jest?

– Nie, nie do końca – odparłam. – Z nim problem jest taki, że nigdy nic nie mówi. Nie wiadomo, co myśli. Mimo to zawsze jest niezadowolony, jakby ktoś źle się wobec niego zachował. A wtedy człowiek czuje się winny, mimo że nic nie zrobił.

– A teraz to on czuje się winny?

– Nie wydaje mi się.

– No tak, czemu miałyby się tak czuć? A tak na marginesie, dostanie jakieś odszkodowanie za to, że tak długo trzymali go w areszcie?

– Tak sędzę, ale nie rozmawialiśmy o tym.

Ivan pokiwał głową i skoncentrował się na trafieniu piłeczką do dołka. Spudłował i zaśmiał się.

– Niech to. Wygrasz tę rundę. Co za obciach.

– To żaden wstyd przegrać ze mną w minigolfa – odparłam, celując w piłeczkę. – To jak, jedziemy w weekend pod namiot, jak planowaliśmy? Jeśli tak, to możemy dojechać rowerami do jeziora Lomsjön. To wprawdzie czterdzieści kilometrów, ale obiecuję, że cię nie wyprzedzę.

Ivan mnie przytulił.

– Wezmę ze sobą wędkę – powiedział. – Jeśli nie złowię co najmniej pięciu okoni, obiecuję, że całą powrotną drogę będę niósł ciebie i twój rower na plecach.

Chyba kocham Ivana. Tak, kocham go jak cholera, tak bardzo, że aż przechodzi ludzkie pojęcie. Jesteśmy ze sobą już od pięciu miesięcy i mam nadzieję, że już zawsze będziemy razem.

I zrobiliśmy to. Kochaliśmy się. Pięć albo sześć razy, straciłam rachubę. Za każdym razem jest lepiej. Ivan nigdy wcześniej nie był z żadną dziewczyną. Jest taki ostrożny, boi się, że robi mi krzywdę, kiedy tak się zatracamy.

Podczas tej rundy minigolfa nie rozmawialiśmy już więcej o moim nieszczęsnym dziadku. Ivan mimo wszystko wygrał, a kiedy się rozstawaliśmy w naszym stałym miejscu przed moim domem, mieliśmy już zaplanowaną naszą wycieczkę kempingową i to w najdrobniejszych szczegółach. Wyjedziemy już w piątek wieczorem, kiedy Ivan wyjdzie z pracy. Pewnie nie dotrzemy do Lomsjön przed nocą, ale u nas o tej porze roku nigdy nie jest zbyt

ciemno, więc co za różnica? Ivan mówi, że około północy ryby nieźle biorą, więc może o wschodzie będziemy siedzieć, zjadając okonie z ogniska.

Tak, oczywiście, że go kocham. Kocham życie.

Bernt-Olov i moi przyrodni bracia leżeli już w łóżkach, kiedy przyszedłam. Mama jeszcze nie spała. Siedziała w kuchni nad filiżanką herbaty, patrząc przed siebie. Usiadłam naprzeciwko niej i zapytałam, co się dzieje.

– Wszystko się wali – powiedziała. – Cały świat się sypie.

– Świat? Chyba trochę przesadzasz.

Westchnęła i popatrzyła na mnie, a na jej twarzy nie malował się żaden wyraz. Jakby wszystkie mięśnie odpowiedzialne za mimikę puściły. Czekałam, co powie dalej. Odezwała się po dziesięciu sekundach.

– Przepraszam, Andrea. Jestem wyczerpana. Sama nie wiem, co mówię. Nie przejmuj się tym.

– Czym mam się nie przejmować?

Zaśmiała się i rozłożyła ręce.

– Całą... całą tą stukniętą rodziną.

Na chwilę stanął mi przed oczami obrazek z mojego snu o tratwie, ale go odpędziłam.

– O czym rozmawialiście z babcią? – zapytałam.

Mama wzięła kilka głębokich wdechów, to unosiła, to znów opuszczała ramiona. Domyśliłam się, że próbuje wziąć się w garść.

– Sama nie wiem, co jest z mamą – powiedziała. – Chyba nie wszystko może mi powiedzieć, tyle się domyślam. Jednak jest w tak złej formie, że boję się, żeby coś się nie stało. Widzisz sama, jak ona wygląda?

– Masz na myśli, że ona może...?

– W najgorszym wypadku, tak.

Przełknęłam ślinę.

– A dziadek?

Mama pokręciła głową. Podniosła filiżankę z herbatą, ale odstawiła ją z powrotem, nie pijąc ani łyka.

– Powiedz, co myślisz – poprosiłam. – Tylko nie zacznij zatajać rzeczy jak wszyscy inni.

– Myślę... – zaczęła mama, ale zrobiła pauzę i zaczęła się zastanawiać. – Tak, sądzę, że może być tak, że dziadek koniec końców jest winny. I że...

– Tak?

– I że mama o tym wie. To dlatego powiedziała, że nie może już z nim być. Ale na litość boską, Andrea, ja naprawdę nie wiem. Trudno wyciągnąć z niej coś rozsądnego.

Wstałam z krzesła i usiadłam blisko mamy. Objęłam ją jedną ręką i w tym momencie do kuchni wszedł Bernt-Olov. Miał na sobie piżamę i szlafrok, wyglądał, jakby już trochę spał.

– Cześć – powiedział. – Cześć Andrea.

Mama urwała kawałek papierowego ręcznika stojącego na stole i wydmuchała nos.

– Andrea, jest coś, o czym chciałbym porozmawiać...

Od razu zrozumiałam, o co chodzi.

– Dziś powiedziałam Berntowi-Olovowi, że o wszystkim wiesz – przyznała mama.

– Aha. I? – odparłam.

Minęło ponad pół roku, odkąd się dowiedziałam, powinnam więc była przygotować sobie jakąś rozsądną odpowiedź, ale bynajmniej tego nie zrobiłam. Bernt-Olov pogłaskał mnie po plecach. Z reguły tak nie robi.

– Zawsze uznawałem cię za moją prawdziwą córkę, chyba wiesz? Kocham cię.

Tego też z reguły nie mówi, może nawet nigdy wcześniej tego od niego nie słyszałam. Wzruszyłam się z radości.

– Powinnyśmy ci były powiedzieć wcześniej – odparłam. – O tym, że wiem.

Wtedy jednak spojrzałam na mamę i zrozumiałam, że trochę podkoloryzowała całą historię. Pewnie powiedziała mu, że dowiedziałam się w zeszłym tygodniu. Typowe, pomyślałam. No ale rozumiem ją, nie ma co potępiać białych kłamstw. Uściskałam Bernta-Olova (to też rzadkość), mamę, życzyłam im dobrej nocy i poszłam do łóżka. Dobrze, że zaniechałam pomysłu ze zmianą nazwiska, pomyślałam. Wester to całkiem przyzwoite nazwisko.

Co nie znaczy, że zaniechałam też tego drugiego pomysłu. Tego, żeby kiedyś pojechać do Anglii i odnaleźć mojego ojca trubadura. Flynna Branagana. Wiem, jak wyglądał siedemnaście lat temu, mama pokazała mi tych kilka zdjęć, które ma. Brodaty facet z długimi włosami i szerokim uśmiechem. Jeśli do tego ładnie śpiewał i grał, to nie dziwię się, że straciła dla niego głowę. Miała zaledwie pięć lat więcej niż ja teraz.

Myślałam o nim chwilę przed zaśnięciem. I o innych osobach, z którymi jestem związana. O mamie i Berncie-Olovie. O przyrodnych braciach. Babci i dziadku. Emmie. Ivanie. Gdybym była kimś zupełnie innym, oni też byłiby innymi ludźmi. To była ostatnia rozsądna myśl, która przyszła mi do głowy, zanim zasnęłam.

W uchylonych drzwiach do świata snu zobaczyłam dziadków przepychających się tam z Ivanem. Miałam nadzieję, że to on wygra.

51

Leon

Widziałaś kiedyś tę sztukę?
– Co? Jaką sztukę?

Uświadomiłem sobie, że drzemała, a ja obudziłem ją moim pytaniem. Od trzech tygodni byliśmy w miasteczku Marathokambo na południu Samos. Za kilka dni wracamy do domu. Odpoczywaliśmy właśnie w cieniu na sfatygowanych leżakach. Zbliżała się pora lunchu. Morze Egejskie leniwie falowało pod naszymi stopami. Byliśmy opaleni, zrelaksowani i wałkoniliśmy się.

- Sztukę Kallmanna. Tę, o której pisał w ostatnim tomie pamiętnika.
- Ach, tę. Dlaczego rozmyślasz teraz o Kallmannie?
- Nie rozmyślam. Tak mi nagle przyszedł do głowy.
- Aha.

Zamilkliśmy. Zastanawiałem się, czy Ludmilla znów zasnęła, ale po chwili obróciła głowę, poprawiła kapelusz z szerokim rondem i popatrzyła na mnie, mrużąc oczy.

- Była całkiem niezła, ale widziałam tylko połowę.
- Dlaczego?
- Nie pamiętam. Miałam jakąś rozmowę. W każdym razie musiałam wyjść w trakcie. Wszyscy jednak mówili, że to dobra sztuka. Najbardziej podobała

się dorosłym, ale uczniom też. Była taka dramatyczna i... poważna.

– I opowiadała o tym, o czym Kallmann pisał? O chłopcu, który zabił matkę na zlecenie? Śmiało jak na przedstawienie w gimnazjum.

– Kallmann potrafił być śmiały. Skąd ci to przyszło do głowy akurat teraz?

– Nie wiem. Nie ma na czym skupić myśli, jak się tak leży i wegetuje. Cokolwiek może się człowiekowi nasunąć. A ty, o czym myślisz?

– O lunchu. I kieliszku retsiny.

– Sybarytka. No ale o tym była ta sztuka czy nie?

Ludmilla przez chwilę się zastanawiała.

– Nie, nie wydaje mi się... była bardziej symboliczna. Chodziło jednak o zlecenie. I kobietę, która zdradziła. Szczerze mówiąc, nikt nie miał pojęcia, o czym to było, ale przedstawili to tak ładnie, no i uczniowie świetnie grali. Muzyka też była dobra, Kallmann miał talent do teatralnych przedsięwzięć. Ale jak mówiłam, nie widziałam zakończenia.

– Rozumiem.

– Dobrze. Zjemy lunch za pół godziny?

– W której tawernie?

Tawerny są dwie. Jeśli wybierasz, to żyjesz, przemknął mi przez głowę Sartre.

– U Alexisa, rzecz jasna.

Ludmilla zsunęła kapelusz na twarz i splotła ręce na brzuchu. Uświadomiłem sobie, że spędziliśmy niemal cztery tygodnie na greckich archipelagach, a ani razu nie rozmawialiśmy o Kallmannie. Dziwne, jak się nad tym zastanowić, ale człowiekowi chyba wszystkiego się odechciało, kiedy na początku czerwca Erika Larssona wypuszczono na wolność. W każdym razie zaskoczyło nas to. Mnie, Ludmillę, prawie wszystkich. Zakładaliśmy przecież, że zostanie postawiony przed sądem i nie umknie sprawiedliwości, zwłaszcza że za sterem stała kompetentna kapitan-komisarz Lundblad.

Tak się jednak nie stało.

To trochę jak z długo wyczekiwany meczem, po którym twoja drużyna wypada z rozgrywek już w fazie grupowej. Wtedy człowieka przestaje to interesować. Chyba taka już jest natura ludzka.

Nigdy nie spotkałem Eugena Kallmanna, ale domyślam się, że pewnie nie ucieszyłby się z porównania do meczu piłki nożnej. Uświadomiłem sobie, że wcale nie chcę kończyć tego wątku tak szybko.

– Myślisz, że on to zrobił? – zapytałem.

– Kto? Erik Larsson? – wymruczała Ludmilla. Słyszałem, że znów zasypia.

– Nie, Kallmann. Czy on naprawdę zabił własną matkę?

Nie dostałem odpowiedzi.

Tydzień później byliśmy już w K. Był trzeci sierpnia. Minął dokładnie rok od mojego przyjazdu tutaj. Aż trudno uwierzyć, że nie więcej. To wręcz nie do pojęcia: w zasadzie nie mam już nic wspólnego z tym, co konstytuowało moje życie do stycznia 1995 roku. Z ludźmi, z miejscami, sytuacjami, zwyczajami. Od czasu do czasu myślę o swoim poprzednim życiu. Śnię o Helenie i Judith, ale ta ich rzeczywistość blaknie niczym zdjęcia w starym albumie. Czasami mnie to przeraża. To, że wszystko można zastąpić, czasami przyprawia mnie o panikę, ale zawsze jakoś się opanowuję. Tak, jakimś cudem udało mi się zamknąć drzwi przed zmarłymi (zaginionymi) i przed pierwszymi czterdziestoma latami mojego życia.

Czy może, doprecyzowując, przed tymi ostatnimi dwudziestoma. Przed czasem spędzonym z Heleną. Mimo wszystko problem nadal istnieje. Rozmawialiśmy o tym z Ludmillą. Mrożenie to cholernie dobra metoda, stwierdziła, niestety nie może trwać wiecznie. Życie też nie, próbowałem się z nią spierać, ale nie zgodziła się ze mną. Jeśli w naszym związku jest coś, co ją niepokoi, to właśnie to.

Poza tym Ludmilla uważa, że to ja powinienem się niepokoić.

– Musisz mi o tym opowiedzieć. Prędzej czy później musisz się przemóc i opowiedzieć.

– Wiem. Prędzej czy później.

Nie spieszy nam się ze wspólnym zamieszkaniem. Kiedy już się na to zdecydujemy, to na dobre. Jej były, Klas (którego spotkałem dwa razy, za każdym razem w niemiłym pośpiechu), już się przeniósł do Västerås. Ludmilla będzie mieszkać w ich starym domu przez co najmniej rok. Głupim pomysłem byłoby wprowadzanie się tam ukradkiem ze szczoteczką do zębów, pięcioma metrami bieżącymi książek i połową szafy w roli udawanego ojca. Måns i Erik (bo tak nazywają się jej synowie, mają dziewięć i siedem lat) chyba zaakceptowali, że jestem bardzo dobrym przyjacielem ich mamy, więc jeśli zdarzy mi się u nich przenocować, nie wzbudza to płaczu i zgrzytania zębów. Przeczekamy tak ten rok. Ja wciąż mam moje spartańskie mieszkanie na Östra Ågatan i płacę za meble przechowywane w magazynie na Skärholmen. Nie ma co przeceniać planowania.

Pierwszym wydarzeniem po naszym powrocie był pogrzeb. Chowali starego dyrektora Willeniusa. Zmarł w środku tygodnia niewieściego ¹⁹ – z jakiegoś powodu o tej okoliczności wspomniano w dwóch z wielu mów, którymi go żegnano. Ceremonia odbyła się w pięknym i wypełnionym po brzegi kościele w K. Ja i Ludmilla siedzieliśmy wciśnięci pomiędzy wieloletnich nauczycieli szkoły Bergtuna: Igora Masslinda, Verę Rönne, Hansa-Ivara Möllera, Ellen Moerk i pół tuzina innych. No i dyrektora Torstenssona oraz wicedyrektora Fröberga. Jeśli nie uświadomiłem sobie tego wcześniej, to w tym momencie z pewnością zrozumiałem, jakim przywódcą był niegdyś Willenius. Takim jakby patriarchą.

Po mszy rozmawiałem przez chwilę z Igorem. Jest cieniem samego siebie. Zmęczony i zdekoncentrowany. Wyjaśnił mi dlaczego. Coś jest nie tak z jego żołądkiem. Latem Igor przeszedł dwa różne badania u dwóch różnych

specjalistów w szpitalu okręgowym w Ö., ale nie udało im się postawić diagnozy. Być może to trudna do wykrycia forma nowotworu. Igor był też zmuszony przerwać pieszą wycieczkę przez Pireneje, na której był ze swoim dobrym przyjacielem. Musieli zadowolić się nieplanowanym i dalekim od wymarzonego tygodniowym pobytem w drogim hotelu w Biarritz.

Oczywiście powiedziałem, że przykro mi z powodu wszystkich tych niedoli, jakie go trapią, i zapytałem, czy wróci na pełen etat, kiedy ruszy nowy semestr, czyli za tydzień.

– Oczywiście – odparł. – Przynajmniej umrę na posterunku, choć tyle przyjemności.

Dość makabrycznie powiedziane, pomyślałem, zważywszy zwłaszcza na okoliczności. Staliśmy właśnie na cmentarzu i patrzyliśmy, jak spuszcza ją do ziemi trumnę z ciałem jego byłego dyrektora. Który swoją drogą miał nowotwór żołądka, o ile dobrze zrozumiałem.

Nie skomentowałem tego jednak. Za to Igor niespodziewanie wrócił do tematu Kallmanna. To znaczy niespodziewanie jak niespodziewanie – w końcu można się doszukać jakiegoś motywu wspólnego: z jednej strony jego choroba (jakakolwiek by była, ale raczej poważna), z drugiej dwóch nieżyjących już kamratów z pracy. Kolega i szef.

– Myślałem o Kallmannie – zaczął Igor. – I o tym przeklętym Eriku Larssonie. Może w pamiętnikach jest coś, co na niego wskazuje. Mimo wszystko.

Nie za bardzo zrozumiałem, co miał na myśli. Powiedziałem mu to.

– Ależ – ciągnął Igor z zapalem, który na chwilę wyrwał go z dołka, w jakim był – pomyślałem sobie, że gdyby przeczytać je na nowo, mając klucz w rękę... tym kluczem jest rzecz jasna Erik Larsson... to może znalazłby się jakiś decydujący dowód?

– Niewykluczone – odparłem. – Ale czy nie tym zajmowała się komisarz

Lundblad przez całą wiosnę?

– Owszem – przyznał Igor. – Może jednak w tym wypadku nam łatwiej byłoby coś dostrzec niż jej... My w końcu byliśmy nieco bardziej w temacie... my, którzy znaleźliśmy go za życia... No cóż, tak tylko przyszło mi do głowy.

Chwilę pomyślałem, a potem powiedziałem mu, że ma trochę racji.

– Gdzie są teraz pamiętniki?

Wzruszył ramionami.

– Ma je policja, jak mniemam. Wiesz co, złożę im dyskretną propozycję. Na pewno nie zaszkodzi.

– Ja nigdy nie spotkałem Kallmanna – zauważyłem. – Ty jednak go znałeś, więc pewnie masz rację. Zawsze możesz do nich zadzwonić i zapytać.

– Dziękuję – odparł Igor, zupełnie jakby czekał na moje błogosławieństwo. I dostał je. Więcej komentarzy w tej sprawie nie wymieniliśmy, ponieważ podeszła do nas jakaś starsza pani, która poinformowała nas, że zaraz rozpocznie się poczęstunek z kawą w domu parafialnym po drugiej stronie ulicy.

– Ja chyba sobie daruję – powiedział Igor. – Kawa mi nie pomaga.

Rozstaliśmy się. Nagle poczułem do niego ogromną sympatię.

Pewnego wieczoru, kilka dni przed rozpoczęciem roku, spędziłem kilka godzin w szkole. Starłem się w ten sposób mentalnie przygotować. Siedziałem sam w gabinecie, przeglądając szuflady biurka i wyrzucając papiery. Rozsądniej jest robić porządki w sierpniu niż w czerwcu, kiedy to człowiek nie myśli trzeźwo, bo jest rozbity po drugim semestrze.

Wtedy doznałem *déjà vu*. To tym się wtedy zajmowałem, pomyślałem. To te ruchy wykonywałem rok temu, sortując dydaktyczne pozostałości po Kallmannie. To tę szufladę wtedy wyciągnąłem i znalazłem w niej jego pamiętniki.

I dalej: na tym krześle siedziałem, zastanawiając się, czy wrzucić je do

reszty gratów w schowku po drugiej stronie korytarza, czy też do nich zajrzeć.

Co sprawiło, że otworzyłem pierwszy z nich? Nie jestem zbyt ciekawski. Może to był tylko przypadek. Miałem wrażenie, że to nic takiego – trochę jakby wybierać, czy włożyć czarne czy szare skarpety – i po prostu zacząłem czytać.

I tak oto śnieżna kula zaczęła się toczyć. Gdybym tylko wtedy wetknął te cztery niepozorne bruliony do pudła, wiele spraw wyglądałoby dziś inaczej. Nie zaczęlibyśmy prywatnego dochodzenia, nie włamałibyśmy się do cudzego mieszkania, nie zaangażowałibyśmy w to komisarz Evy Lundblad, a niejaki Erik Larsson nie spędziłby czterech miesięcy w areszcie.

Przyczyna i skutek. Ruch skrzydeł motyla.

Swoją drogą, widziałem zdjęcie tego Larssona. En face. Igor pokazał mi je w maju. Była to fotografia, którą zrobił podczas wywiadówki klasy, do której chodziła mama Andrei. Ma na imię Ulrika i jest córką Erika Larssona. Zdjęcie przedstawiało całą klasę, a przynajmniej większą jej część, oraz rząd stojących z tyłu rodziców. Na końcu z prawej strony stoi Erik Larsson. Przeciętny facet z zaczesanymi do tyłu ciemnobrązowymi włosami, w jasnej koszuli i ciemnej marynarce. Spogląda prosto w obiektyw, nieco znudzony. Zdjęcie pochodzi z 1973 roku i nic nie da się z niego wyczytać. Nic a nic. Może tylko tyle, że Ulrika Larsson bardzo przypomina swoją córkę Andreę. Igor zresztą kiedyś o tym opowiadał.

Igor nie wie jednak, że Andrea jest niesamowicie podobna do mojej córki Judith. A w każdym razie była.

Zdjęć Eugena Kallmanna widziałem oczywiście sporo. Zwłaszcza w szkolnych albumach. Nie tylko uczniowie, ale i nauczyciele oraz cały personel muszą przecież stanąć przed obiektywem, gdy na początku września lub października zaczyna się fotoprzedsięwzięcie. Któregoś wiosennego wieczoru Ludmilla też wygrzebała kilka prywatnych zdjęć Kallmanna. Część

zrobiono podczas jakiejś nauczycielskiej imprezy, a część na sportowym pikniku szkolnym. Przyjrzelśmy się im dość dokładnie. Zarówno tym z katalogów, jak i prywatnym. To, co uderza, to pociągła, poważna twarz. Siwe, nieco przerzedzone włosy, mocno zarysowany, trochę krzywy nos, lekko skrzywione usta i głęboko osadzone oczy. Gdybym nie wiedział, kim był, uznałbym, że wygląda całkiem przeciętnie. Choć nie do końca. Chyba miał coś w oczach – na większości zdjęć intensywnie wpatrywał się prosto w obiektyw. Rozmawialiśmy o tym z Ludmillą. O tym i o jego zwyczaju, by nie patrzeć ludziom w oczy. Doszliśmy jednak tylko do wniosku, że czym innym jest oko obiektywu, a czym innym człowieka. W aparacie nie kryje się przecież żadna zrujnowana dusza.

Tego wieczoru jeszcze dobrą chwilę siedziałem w gabinecie. Dłużej, niż powinienem, może czekałem, aż to poczucie *déjà vu* mnie opuści. Wszystko już się wydarzyło i dzieje się ponownie. Dla zachowania zdrowia psychicznego lepiej nie myśleć w ten sposób. Stwierdziłem, że wiele bym dał, by móc się spotkać z Kallmanem choćby na dziesięć minut. Wyobrażam sobie, że wówczas pojąłbym lepiej różne sprawy, które teraz hulają gdzieś poza granicami mojego pojmowania.

To jednak tylko złudzenie. Może tak naprawdę tylko bym się denerwował. Najlepszym sposobem, by powstrzymać pytania, jest przestać je zadawać.

KWIECIEŃ–MAJ 2015

Charlie

Pogrzeb przebiegł bez zakłóceń.

Jak zresztą większość pogrzebów, o ile tylko do zakłóceń nie zaliczy się mniej lub bardziej niekontrolowanych wybuchów uczuć. Kościół był pełen. Dobrych trzysta osób według pastora Brahmisa, który odprawiał nabożeństwo. Niemal wszyscy zjechali się z różnych zakątków kraju, niemal wszyscy mi obcy. Siedziałem z przodu, sam w tak zwanej ławce dla rodziny. Może spodziewałem się, że mój ojciec się pojawi, ale nie.

Nie odnotowałem też żadnych wspomnianych wybuchów uczuć. Jej śmierć była spodziewana. Do mnie wiadomość dotarła podczas dziesięciminutowej przerwy w akademii medycznej w Sztokholmie, nie odwołałem jednak drugiej połowy wykładu. Wyzionęła ducha o godzinie 10.22, 9 kwietnia, w czwartek. Zadzwoniła do mnie Eleonora Krafft, jedna z dwóch kobiet, które na zmianę zajmowały się nią przez ostatni rok.

Miejsce: łożo z baldachimem w sypialni, właśnie tak chciała odejść, poinformowała mnie pani Krafft. Bez lęku, spokojnie sobie zasnęła. W zimowo-wiosenne przedpołudnie, gdy świeciło słońce, a śnieg połyskiwał – cytuję.

Spotkałem te dwie opiekunki już wcześniej, każdą raz. Ta druga nazywa się Sylvia Brännström. W kościele siedziały obok siebie, tuż za ławką dla rodziny.

Zrzuciły się na wieniec.

Wiele osób, nie tylko pastor, chciało coś powiedzieć. Ceremonia w kościele zajęła niemal dwie godziny, pogrzeb w deszczu na cmentarzu – kolejne pół.

Ja osobiście nic nie mówiłem, ani w kościele, ani na cmentarzu. Tak na marginesie deszcz padał ze śniegiem, zwłaszcza pod koniec.

Później w domu parafialnym odbył się poczęstunek. Kawa i kanapki. Impreza do momentu wyjścia ostatniego gościa. Kilka krótszych rozmów, także tutaj. Biuro pogrzebowe Apelgrena wszystkim się zajęło. Jego obecny szef, mój rówieśnik, w szkole nazywany Pungis, oznajmił, że firma istniała już od stu lat, a pochowała osiem tysięcy osób. Pungis był przedstawicielem czwartej już generacji i jeśli będzie żyć w zdrowiu, to przed swoim odejściem ma zamiar dojść do dziesięciu tysięcy. Każdy ma swój cel, jeden nie musi wcale być gorszy od drugiego.

To był pierwszy raz, kiedy wróciłem do K. – od jesieni 2013 roku, kiedy to przyjechałem tam po dziesięciu latach. W ogóle nie czuję się tam jak u siebie. Od czasu do czasu matka odwiedzała mnie w Sztokholmie, z reguły w związku z wystawami, jednak odkąd zachorowała jesienią dwa lata temu, przestała podróżować. To jej choroba oraz fakt, że była przykuta do łóżka, były powodem mojej ostatniej wizyty. Zostałem tu wtedy tylko na noc, nie rozmawialiśmy zbyt długo, tylko tyle, by zdążyła mi wyjaśnić, jak sobie życzy to przeżyć.

W samotności. Bez wizyt. Wiedziała, że został jej rok, może kilka lat, i chciała je spędzić tak jak większość życia. W pojedynkę. Czytając, rozmyślając, słuchając muzyki organowej. Malując, jeśli da radę. W razie konieczności mieliśmy się kontaktować mailowo lub telefonicznie.

Jestem pewien, że już nigdy moja noga nie postanie w K. Skoro jednak tu jestem, powinienem załatwić kilka spraw. I nie mam tu na myśli domu, majątku

i obrazów. Tym zajmie się Lindström, który przez ponad czterdzieści lat był jej prawą ręką w kwestiach praktycznych.

Nie, mam na myśli co innego. To, co się wydarzyło, a nigdy nie zostało wyjaśnione. Miałem zaledwie szesnaście lat, kiedy wyprowadziłem się na południe, ale natłok zdarzeń i tajemniczych spraw z tamtego okresu wciąż sprawia, że czasami budzę się w środku nocy i zaczynam się zastanawiać. Nieczęsto, bo zawsze miałem dobry sen, ale jednak.

To, że po tylu latach wpadłem na panią komisarz w szpitalu Karolinska w Sztokholmie, można by uznać za omen, gdybym wierzył w tego typu znaki, ale nie wierzę. Tak czy inaczej, przysiedliśmy w kafeterii i porozmawialiśmy. To ona nalegała. Rozpoznała mnie oczywiście po identyfikatorze. Przyznaję, że była to ciekawa rozmowa. Komisarz jest teraz po siedemdziesiątce, naturalnie skończyła już służbę w policji, nie zapomniała jednak miesięcy spędzonych w K. w połowie lat dziewięćdziesiątych. Naprawdę nie. Informacje i rozważania, jakimi się ze mną podzieliła, sprawiły, że zacząłem dostrzegać wzór, który wcześniej był zbyt nieregularny, by przykuć moją uwagę. Tak mniej więcej można to opisać.

No i w końcu miałem okazję przeczytać te słynne pamiętniki.

Postanowiłem więc dać tej historii prawdziwą szansę. Porozmawiać z ludźmi, którzy w jakiś sposób byli w nią zaangażowani, i rozwiązać niejasności. Na wszelki wypadek skontaktowałem się z nimi jakiś czas przed pogrzebem. zaproponowałem, że moglibyśmy się spotkać i podsumować sprawę, na ile się da. Zarezerwowałem pokój w hotelu w K. na cały tydzień, teraz mają otwarte cały rok, a gdyby było trzeba, zawsze mogę przedłużyć rezerwację. Docent Kruse przejął na ten czas moje obowiązki dydaktyczne w akademii, w laboratorium zostawiłem zaś Sinclaira i Johnssona, którzy dostali ode mnie szczegółowe wytyczne.

Nie zapraszałem mojego trio na pogrzeb, ponieważ jednak było to

wydarzenie otwarte, to dwoje z nich się pojawiło. Dziwnie było witać się z nimi po tak długim czasie. Że też oni wciąż tu mieszkają. Oczywiście na swój sposób się tego spodziewałem, ale to i tak spore zaskoczenie.

No ale żaden ze mnie znawca ludzi. Orientuję się w wielu skomplikowanych sprawach tego świata, ale te wszystkie relacje i psychologia zawsze brzmiały dla mnie obco. Wiem, że pod wieloma względami funkcjonuję inaczej niż większość ludzi, przekonałem się o tym dość wcześnie, ale trzeba przecież jak najlepiej wykorzystać predyspozycje, które daje nam los. Ja tak zrobiłem i nie wykluczam, że w nadchodzących dekadach dorobię się Nobla.

Dość jednak o tym. Przywitałem się z nimi (oraz z całą masą innych ludzi) już w kościele: z moim dawnym nauczycielem szwedzkiego oraz pedagożką szkolną. Zauważyłem, że wyglądali starzej, choć ja zapewne zmieniłem się bardziej niż oni, w każdym razie z wyglądu. Igor Masslind, mój dawny wychowawca, też byłby na miejscu, gdyby żył. Miałby teraz około siedemdziesięciu pięciu lat, jeśli dobrze liczę, a zawsze robię to dobrze. Berger i Kovacs są na granicy wieku emerytalnego. Oboje nadal pracują w szkole i, co więcej, od wielu lat są parą.

Mamy się spotkać jutro, czyli dzień po pogrzebie, przed południem w hotelu. Pastor Brahms zasugerował, że powinno się pójść na mszę po odprawieniu kogoś bliskiego na tamten świat, ja jednak nie mam zamiaru słuchać go w tym względzie. Pozostali też nie mieli nic przeciwko spotkaniu w niedzielę, jak się spodziewałem.

Zjadłem obiad w sali na dole; tej, która wychodzi na jezioro Morsjön. Gdybym dostał inny stolik, pewnie mógłbym zobaczyć z okna dom mojego dzieciństwa znajdujący się po drugiej stronie zatoki. Nie prosiłem jednak o to kelnera. W poniedziałek mam się spotkać na godzinę z Lindströmem, żeby omówić kwestie majątkowe. On myśli zapewne, że okazuję za małe

zainteresowanie sprawą, choć z drugiej strony dobrze mnie zna. Był z nami od zawsze. Pamiętam, że rok w rok na Boże Narodzenie dawał mi kalendarz kieszonkowy. Na okładce złotymi literami był wytłoczony logotyp kancelarii adwokackiej Ljung, Ljung i Lindström. Nigdy ich nie używałem, ponieważ uważałem, że są za małe.

Do stołu przyniosłem moje notatki oraz niebieską teczkę schowaną w plastikowej reklamówce, którą Berger przekazał mi po pogrzebie. Powoli, bardzo powoli, spożywając trzydaniowy obiad, próbowałem jakoś to wszystko ogarnąć. Zapisałem sobie sporo pytań, które uznałem za warte dyskusji podczas jutrzejszego spotkania, przyznając jednak, że w tym momencie dopadły mnie wątpliwości. W tamtym czasie nie pojmowałem Kallmanna, po części ze względu na mój młody wiek, po części dlatego, że byłem, kim byłem, a on był, kim był – i nie mogę z czystym sumieniem powiedzieć, bym przez te minione lata znalazł odpowiedzi na trapiące mnie pytania. Muszę zatem polegać na tym, że inni przyczynią się do znalezienia rozwiązania. Czasami jednak właśnie taką metodologię przyjmuje się w pracy naukowej, tak więc nie jest to dla mnie pierwszorzędne. Podczas zeszłotygodniowej rozmowy telefonicznej z Leonem Bergerem odniosłem wrażenie, że nie mógł się doczekać naszego spotkania. Wspomniał o starych notatkach dotyczących wydarzeń z jesieni i zimy na przełomie roku 1995 i 1996. Właśnie leżały przede mną w niebieskiej teźce. Większość spisał Igor Masslind, który przekazał je Bergerowi tuż przed swoją śmiercią w 2003 roku. Odnoszę wrażenie, że obaj nie potrafili pogodzić się z faktem, że sprawa się rozmyła. Że nie znaleziono i nie skazano zabójcy. Chyba w słowach Bergera wyczuwałem nutę krytyki, która musiała być skierowana w moją stronę. Przecież i teraz, i wtedy było jasne, że wiedziałem o sprawach, o których nie miał pojęcia nikt inny, nawet policja. Gdybym w tamtym czasie zachował się inaczej, niewykluczone, że wszystko wyjaśniłoby się już wtedy. Teraz minęło

już dwadzieścia lat, a z punktu widzenia dochodzenia to oczywiście przepaść.

Mój nauczyciel nie wyraził tej krytyki tak jasno, ale ja sam nadałem jej wyrazistsze kształty podczas naszej rozmowy. Naturalnie miał rację, jedno jest więc pewne: kiedy jutro się spotkamy, wyłożę karty na stół. Właściwie wszystkie. Zobaczymy, czy to nas dokądś zaprowadzi.

Poszedłem do łóżka o jedenastej, jak zawsze. Przypomniałem sobie, że następnego ranka muszę zadzwonić do Sinclaira, by odebrać od niego raport i przekazać mu kolejne instrukcje. Wprawdzie jest niedziela, ale jednokomórkowe organizmy w płynie fizjologicznym pod płytką mikroskopu w laboratorium nie troszczą się o dni tygodnia. To mamy ze sobą wspólnego, one i ja.

Andrea

Kiedy zadzwonił, z początku go nie poznałam. Siedzia łam właśnie w redakcji i pracowałam nad materiałem o wydarzeniach kulturalnych nadchodzącego lata. Czekałam na telefon od Kristiny Gyllander z działu marketingu jedyne go teatru w gminie.

– Przepraszam, nie dosłyszałam nazwiska.

– Mattis, Charlie Mattis. Chodziliśmy do jednej klasy w szkole Bergtuna pod koniec minionego stulecia.

– Charlie?

– Tak. Może dzwonię nie w porę?

– Nie, nie. Po prostu mnie nieco zaskoczyłeś. W końcu minęło tyle lat.

– To prawda. Tak się jednak składa, że cztery dni temu zmarła moja mama, planuję więc przyjechać na kilka dni do K. Na pogrzeb, odczytanie testamentu i takie tam. Chciałbym się z tobą spotkać.

Wiedziałam oczywiście, że Karolina Mattis nie żyje. Nazajutrz po jej śmierci nasza gazeta poświęciła temu wydarzeniu pół strony, a miało być tego więcej. Bądź co bądź była ona największą artystką w naszej gminie. Hugo Randers, nasz ekspert od sztuki i krytyk, przygotowywał większy artykuł do kolejnego numeru.

– Spotkać się ze mną? – zapytałam i od razu przypomniałam sobie te jego

przesłuchania, które przeprowadzał ze mną w tamtym czasie. Teraz był wprawdzie o dwadzieścia lat starszy, wątpiłam jednak, by jego kompetencje społeczne rozwinęły się przez ten czas jak należy.

– Otóż to – odparł. – Możesz?

– Po co? – zapytałam. Uświadomiłam sobie, że nie zabrzmiało to zbyt grzecznie, dodałam więc: – Oczywiście chętnie się z tobą zobaczę, ale zastanawiam się, co knujesz. W końcu nie odzywałeś się do mnie od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku.

– Dziewięćdziesiątego szóstego – poprawił mnie. – To wtedy skończyliśmy dziewiątą klasę. I o ile sobie przypominam, ty też się do mnie nie odzywałaś. Co teraz robisz w życiu?

To przynajmniej była oznaka jakiegoś kulturalnego zainteresowania drugą osobą, więc chętnie odpowiedziałam, że od kilku lat pracuję jako redaktorka działu kulturalnego lokalnej gazety.

– A ty? – odwzajemniłam pytanie, równie kulturalnie.

– Zajmuję się głównie badaniami – odparł Charlie. – Mieszkam w Sztokholmie i jestem związany z akademią medyczną.

– Masz rodzinę?

Nie wiem, czemu przyszło mi do głowy to pytanie. Może dlatego, że przypominałam sobie te zabawy w przesłuchanie, podczas których chodziło o zdobycie przewagi nad rozmówcą. Z Charliem tak to właśnie było, pomyślałam sobie, za czasów gimnazjum rozmawianie z nim było jak rozgrywanie partii szachów, którą się non stop przegrywało.

– Żonę i dwoje dzieci – powiedział. Myślałam, że żartuje. – A ty?

– Ja też... To znaczy mam męża i dwoje dzieci.

– To Ivan Kardasjan?

Tyle więc udało mu się załapać. No brawo, pomyślałam. Potem jednak pomyślałam, że akurat on załapywał prawie wszystko. Zarówno szczegóły, jak

i większe sprawy, zarówno kiedyś, jak i dziś.

– Nie, to nie Ivan Kardasjan. Mój mąż ma na imię David.

– To tak jak mój syn. Po ojcu mojej żony.

W tym momencie strasznie zachciało mi się śmiać, jakoś się jednak opanowałam. Powiedziałam mu, ile lat mają moje dzieci i jak się nazywają, potem znów zapytałam, dlaczego chciał się ze mną spotkać. Nie wyjaśnił mi tego jeszcze, a domyślałam się, że skoro Charlie Mattis chce ze mną porozmawiać, to musi mieć powód. I to dość konkretny.

Okazało się, że miałam rację.

– Chodzi o Kallmanna – powiedział i odchrząknął znacząco. – Chciałbym z tobą wymienić kilka uwag o Eugenie Kallmannie. Mam też zamiar porozmawiać z Leonem Bergerem i Ludmillą Kovacs. Swoją drogą, okazuje się, że nadal są parą. Uważam, że taka rozmowa we czwórkę byłaby bardzo owocna.

Owocna? Gadanina o Eugenie Kallmannie.

Po dwudziestu latach? O co mu, u licha, chodziło?

– Ale jeszcze się z nimi nie skontaktowałem – dodał. – Postanowiłem zacząć od ciebie. Co ty na to?

– Eee... no dobrze – wydukałam. – Okej, Charlie, nie wiem za bardzo, czemu miałyby to służyć, ale jeśli o mnie chodzi, to w porządku. Jeszcze raz, kiedy przyjeżdżasz?

– Pogrzeb jest w przyszłą sobotę – wyjaśnił. – Potem zostaję jeszcze tydzień. Mam sporo spraw do załatwienia. Mogę potwierdzić godzinę później, kiedy już porozmawiam z Bergerem i Kovacs?

– Jasne – odpowiedziałam. – Jasne, Charlie.

– Dziękuję ci, Andrea. – Odłożył słuchawkę.

Tego samego wieczoru omówiłam to z Davidem. Rzecz jasna, już wcześniej opowiadałam mu o wydarzeniach z połowy lat dziewięćdziesiątych. On jednak

nie miał z tym – czy w ogóle z K. – nic wspólnego, nie wdawałam się więc nigdy w szczegóły. David przeprowadził się tutaj, do Ö., dopiero w roku 2005, kiedy okazało się, że jestem w ciąży. Pobraliśmy się. Pochodzi ze Skövde. Poznaliśmy się w szkole wyższej w Sztokholmie, gdzie oboje studiowaliśmy dziennikarstwo i wcześniej, to znaczy zanim sprawy przybrały poważny obrót, cisnęliśmy się w dwóch wynajmowanych mieszkaniach na Södermalmie. Jednym w pobliżu Nytorget, drugim przy Hornstull.

Mówimy więc sobie, że podejmując decyzję, wiedzieliśmy, co robimy.

David pracuje w lokalnej rozgłośni radiowej. I kiedy tak siedzieliśmy z kieliszkami wina po tym, jak dzieci już poszły spać, i kiedy opowiedziałam mu tę historię, David zainteresował się tym jakby zawodowo.

– Niech mnie, Andrea – odparł. – O tym można by było zrobić dokument. Jezus z Säffle, Kallmann i twój dziadek... cokolwiek by mówić, to fantastyczna historia. Mógłbym...

– Stop. Zastanów się – przerwałam mu. – Mówię ci to w największej tajemnicy. Tu chodzi o moją rodzinę, a wydaje mi się, że już dość wycierpieliśmy z tego powodu. Może nie ja sama, ale mama, babcia... nawet dziadek, chociaż...

– Chociaż co?

– Mój Boże – odparłam. – Przecież wciąż wielu go podejrzewa. On ma zresztą osiemdziesiąt pięć lat i taką demencję, że nikogo nie rozpoznaje. Zapomniałeś? Też masz już demencję?

– Uspokój się. Pomyśl, może to mogłoby wyjaśnić jego sytuację... raz na zawsze?

– Szczytny cel. Nie sądzę jednak, żeby taki był właśnie skutek.

– Co masz na myśli?

Sama nie wiedziałam, co mam na myśli, i nie mogłam winić Davida za jego zainteresowanie. Jednocześnie czułam niepokój, który po rozmowie

z Charliem Matissem powoli narastał we mnie przez całe popołudnie i wieczór. Czego on właściwie ode mnie chciał? Co takiego wiedział, czym nagle zechciał się z nami podzielić po dwudziestu latach milczenia? W szkole był człowiekiem-zagadką, a wyglądało na to, że przez ten czas charakter mu się nie zmienił.

A może się mylę? Uświadomiłam sobie, że zaczyna mnie trawić podobny brak pewności i poczucie zagubienia jak wtedy. Nie tylko, jeśli chodzi o Charliego, ale też o wiele innych spraw. O moją rodzinę. O ten sen, jaki wtedy miewałam. O mamę i tę historię z moim prawdziwym ojcem, na którego poszukiwanie – mimo górnolotnych młodzieńczych obietnic – nigdy nie wyruszyłam. O Bernta-Olova, obecnie zadowolonego starszego pana na wcześniejszej emeryturze, a to z powodu bliżej niesprecyzowanego problemu z kręgosłupem, którego nikt nie bierze na poważnie. O moich dziadków, ich nienormalną skrytość...

No i o całą resztę. O to, co David nazywał „historią”, której potencjał dokumentalny sama dostrzegałam. To zgromadzenie wariatów w latach siedemdziesiątych z pastorem, który sypiał z całym zastępem kobiet, w tym moją babcią, a którego nikt nie widział od roku 1979. Mój obecnie całkiem zniedołężniały dziadek, który spędził kilka miesięcy w areszcie podejrzany o podwójne zabójstwo. Wypuszczony z braku dowodów. Tak... kryła się w tym historia.

– Dobrze – ciągnął David. – Zobaczymy, co powiesz po spotkaniu z nim. Z tym synem naszej wielkiej artystki. Myślę sobie, że właściwie mógłbym z tego zrobić całą serię... trzy odcinki po sześćdziesiąt minut. Wywiady ze wszystkimi zaangażowanymi, w tym z tobą. Co sądzisz?

Uśmiechnął się. Zdzieliłam go poduszką i wyjaśniłam, że radio państwowe to medium dla analfabetów i że trzeba się trzymać tematów takich jak lokalne rozgrywki w piłkę nożną, nieprawidłowości w sortowaniu śmieci oraz inne

łatwe do zrelacjonowania wydarzenia.

Potem dopiliśmy wino i poszliśmy spać.

Tak czy inaczej zadzwoniłam do mamy. Z reguły rozmawiamy przez telefon kilka razy w tygodniu. W czterech przypadkach na pięć to ona dzwoni, żeby skomentować coś, co napisałam w gazecie. Z każdym rokiem jest dla mnie coraz bardziej jak siostra niż jak matka. Nie wiem wprawdzie, jak to jest mieć starsze rodzeństwo, ale mimo wszystko takie mam wrażenie. Jak kiedyś zauważył David, nasze relacje nie są „hierarchiczne”. Miał zupełną rację.

Teraz mama nabrała podejrzeń. Od razu się zorientowałam, że według niej złym pomysłem było rozgrzebywanie wydarzeń sprzed lat. Nie powiedziała tego wprost, ale ja akurat całkiem nieźle potrafię interpretować ton głosu i momenty milczenia.

– Chodzi tylko o to, żeby się spotkać i pogadać – wyjaśniłam. – Nie będziemy wywracać świata do góry nogami.

– Rozumiem – powiedziała mama. – Zastanawiam się tylko, jaki jest tego cel.

– Nie wiem – przyznałam. – Charlie zadzwonił i zapytał, czy nie możemy się spotkać i pogadać. I tyle. Pamiętasz chyba, jaki z niego dziwak?

– Owszem. Pamiętam też, że nie był z niego żaden geniusz, jeśli chodzi o relacje z innymi. – Mama zaczęła się wyrażać jaśniej. – Tak w każdym razie go opisywałaś. Mówiłaś na niego cudak. Nie bardzo więc wierzę, że teraz nagle chce sobie z tobą powspominać szkolne czasy...

– Cholera. Myślisz, że powinnam powiedzieć, że nie chcę się z nim spotkać?

– Myślę tylko, że powinnaś być ostrożna. Pamiętasz przecież, ile problemów wywołała ta historia przed laty. Ja w każdym razie nie mam zamiaru mówić mamie, że spotkasz się z Charliem Matissem, żeby rozmawiać o Kallmannie. Wtedy musiałyby na nowo zacząć łykać te swoje tabletki.

Świetnie zrozumiałam, o co jej chodziło. Właściwie to ubrała w słowa moje własne wątpliwości. Bez wątpienia to babcia najwięcej wycierpiała przez tę sprawę sprzed dwudziestu lat. Od tamtej pory brała leki uspokajające. W ogóle nie przejęła się, że dziadek zaczął tracić pamięć. Może tego jej było trzeba. Rozeszli się zaledwie trzy tygodnie po tym, jak wypuszczono go z aresztu. Zamieszkał na działce, a ona została w mieszkaniu na Sylvestergatan, gdzie zresztą nadal mieszka. Demencja dziadka zaczęła się pojawiać mniej więcej w tym samym czasie, ale mieszkał on – w coraz to gorszych warunkach – na działce aż do roku 2003, kiedy to na dobre przeniósł się do domu opieki. Pamiętam, że kiedy po raz pierwszy go tam odwiedziliśmy, myślał, że ja i David to Fred Astaire i Ginger Rogers. Cały czas jęczał, żebyśmy mu zatańczyli, właściwie były to jego jedyne słowa.

Babcia też już nie była sobą po tym wszystkim. Może to, że dała radę przeżyć rozwód, było dowodem jej siły, ale na pewno był to jej ostatni udany sprawdzian. Zarówno ja, jak i mama od dwudziestu lat niepokoiły się o jej zdrowie psychiczne. Właściwie podczas każdej rozmowy pada na ten temat jakieś zdanie na marginesie, a ja, jeśli tylko z jakiegoś powodu jestem w K., zawsze staram się wpaść na kawę na Sylvestergatan.

– Rozumiem, co mówisz – powiedziałam. – Też mam podobne zdanie. Ale czy nie jesteś choć trochę ciekawa?

– Nic a nic – oświadczyła mama. – A nawet gdybym była, to nie przyznałabym ci się.

Zaśmiałam się i obiecałam, że tak czy inaczej powiem jej, czego się dowiedziałam. Potem zaczęłyśmy dyskutować o naszym samorządzie gminnym, w którym rządy sprawuje koalicja socjaldemokratów z zielonymi. O sprawie Kallmanna nie padło już ani słowo więcej.

Kiedy w niedzielny poranek jechałam samochodem do K., tak sobie o tym myślałam. Sprawa Kallmanna. Nasze deliberacje miały oczywiście dotyczyć

wielu innych osób – Jezusa z Säffle, mojego dziadka, komisarz Lundblad i samego Charliego Mattisa – jasne jednak było, że główną rolę będzie odgrywał Kallmann. Przed oczami stanął mi jego widok w klasie. Często stał, wyglądając przez okno, kiwał się na piętach, szukając właściwego słowa albo jakiegoś tytułu książki, który akurat wyleciał mu z głowy. Nagle przypomniałam sobie komentarz, który napisał pod jednym z moich wypracowań.

Napisane tak dobrze i z takim talentem, że muszę Cię na poważnie zachęcić, byś przez całe długie i szczęśliwe życie nie opuszczała areny słowa. E.K.

Wyzwanie, które podjęłam na serio. „Długie i szczęśliwe życie?”. Może Kallmann myślał, że zostanę poetką. Owszem, miałam pewne plany, ale jeśli już kiedyś do tego dojdzie, to będę pisać pod pseudonimem. Redaktorka działu kultury, która próbuje wdrapać się na parnas, może łatwo się poślizgnąć i spaść. Zwłaszcza jeśli tenże parnas wznosi się nad średniej wielkości szwedzkim miastem.

Kiedy parkowałam przed hotelem w K., przypomniało mi się coś zupełnie innego. Przecież w tej pięknej, odmalowanej na biało ruderze zarabiałam swoje pierwsze pieniądze. Najpierw jako sprzątaczką na godziny, później – w liceum, podczas ferii i wakacji – jako tak zwana hostessa śniadaniowa. Musiałam wstawać o wpół do czwartej rano, ale pomijając tę godzinę oraz powroty do domu na rowerze pod wiatr, lubiłam tę pracę. Tak to przynajmniej wspominam.

Wysiadłam z auta i od razu zobaczyłam Leona Bergera i Ludmillę Kovacs, którzy zaparkowali jakieś dziesięć metrów ode mnie. Świetnie, że i oni tu są, pomyślałam, kiedy Ludmilla podeszła i mocno mnie uściskała.

Cieszę się, że i ich wezwał. Jakoś się to wszystko ułoży.

Ludmilla

Dzień dobry pani!

Serce przepęłniła mi radość, kiedy zobaczyłam Andreę Wester. Oczywiście regularnie czytam jej teksty w lokalnej gazecie, ale nie widziałam jej już jakieś trzy, cztery lata. Teraz mieszka w Ö. i chyba niezbyt często odwiedza K. A ja i Leon coraz więcej czasu spędzamy na wsi, a coraz mniej w mieście. To już dziesięć lat, jak kupiliśmy dom przy cyplu Faulkurs, no i obydwójce pracujemy już tylko na pół etatu. Dojeżdżamy do Bergtuna trzy razy w tygodniu, w czwartki wieczorem robimy duże zakupy. Natura odgrywa w naszym życiu coraz większą rolę, cywilizacja zaś staje się coraz bardziej zbędna. Mawiamy, że jest to spowodowane tym, że przez tyle lat w naszym zawodzie spotkaliśmy trochę za dużo ludzi.

Za nieco ponad miesiąc oboje przejdziemy na emeryturę. Dwa dni po zakończeniu roku wybieramy się na Zielony Przylądek. Pod naszą nieobecność w domu zamieszka Erik i jego nowa dziewczyna, zaopiekują się psami. Tak właśnie będzie wyglądać najbliższa przyszłość. Może właśnie myśl o tym, że dla mnie i Leona szkoła Bergtuna niedługo będzie zamkniętym rozdziałem, sprawiła, że tak się ucieszyłam. Andrea Wester, no proszę! I pomyśleć, że minęło dwadzieścia lat, odkąd siedziała w moim gabinecie, pytała, jak zmienić nazwisko, i zwierzała mi się z tego, że jej nauczyciel od szwedzkiego

się na nią gapi. Uściskałam ją długo i mocno.

Wtedy jednak chodziło nie tylko o zmianę nazwiska i gapiącego się nauczyciela. Człowiek, który właśnie pojawił się na ganku hotelu, też odgrywał swoją rolę w tamtej rozmowie, i to bardzo dużą. Ja i Leon spotkaliśmy go wczoraj w kościele, Andrei jednak tam nie było. Widziałam po niej, że dopadły ją wątpliwości. Czy ten ogromny facet z przerzedzonymi włosami, w jasnym, pogniecionym garniturze i okularach w czarnych oprawkach to faktycznie Charlie Mattis? – myślała zapewne. Równie dobrze mógł mieć nie trzydzieści pięć, a czterdzieści pięć lat. Ale to przede wszystkim jego gabaryty rzucały się w oczy.

– To on? – wyszeptwała.

Pokiwałam głową i wypuściłam ją z uścisku. Charlie już w gimnazjum był wyrosnięty, ale teraz miał ponad dwa metry i ważył chyba ze sto kilo. Ruszył do nas przez dziedziniec, a potem z każdym z nas przywitał się uściskiem dłoni.

– Ale urosłeś, Charlie – powiedziała Andrea. – Przez telefon nie było tego słychać.

– Mam rozmiar buta czterdzieści osiem – oznajmił. – Ale już w dziewiątej klasie miałem czterdzieści pięć. Miło cię widzieć, Andrea. Cieszę się, że wszyscy troje mogliście przyjść.

– Kiedy ma się okazję zobaczyć takie szkolne gwiazdy sprzed lat, nie odmawia się – powiedział Leon. W jego głosie wyłapałam nutę sceptycznej ironii.

Weszliśmy do hotelu. W brzuchu nagle poczułam ucisk. Właściwie dlaczego tutaj jesteśmy? Jaki to ma sens?

Usiedliśmy przy stole w osobnym pokoju, który nazywa się Komnatą MacCleana, nie wiem, kto kryje się pod tym nazwiskiem. Zapewne Charlie dopilnował, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Młoda kelnerka, kiedy już podała

nam kawę, herbatę oraz kilka rodzajów ciasta na srebrnej tacy, wycofała się i zamknęła za sobą drzwi. Charlie wyjął plik papierów z teczki, a na efektowne zakończenie ułożył znane nam bruliony w czarnych okładkach na stosie po prawej stronie stołu. Ja i Leon wymieniliśmy spojrzenia, nie odezwaliśmy się jednak. Rzuciłam okiem na Andreę, wyglądała na lekko zaniepokojoną.

– Oto słynne pamiętniki Kallmanna – powiedział Charlie, kładąc swoją ogromną dłoń na stosie. – Andrea nigdy wcześniej ich nie widziała, prawda?

Andrea pokręciła głową.

– Ja też zobaczyłem je po raz pierwszy dwa miesiące temu – ciągnął Charlie. – Wtedy to przypadkowo spotkałem naszą dawną znajomą, komisarz Lundblad, która zajmowała się dochodzeniem w sprawie śmierci Kallmanna. Od dawna jest na emeryturze, ale odbyliśmy bardzo ciekawą rozmowę o tym, co zaszło tutaj dwadzieścia lat temu. Pamiętacie ją zapewne?

– Oczywiście – odparła Andrea. Ja i Leon pokiwaliśmy głowami.

– Ja opuściłem K. po dziewiątej klasie – poinformował nas Charlie, nie wiem po co. – Skończyłem liceum Fjellstedska w Uppsali i wróciłem tu nie więcej niż trzy, cztery razy. Moja mama mieszkała tu cały czas, ale i ja, i ona woleliśmy się spotykać w Sztokholmie... albo w Uppsali. Zapewne zastanawiacie się, czemu ma służyć to podsumowanie?

– Naturalnie, że tak – przyznałam. – Ja zrozumiałam tylko, że chodzi o Kallmanna, nic więcej nie pojmuję.

– Hm – odparł Charlie – przykro mi, że nie mogłem podzielić się z wami informacjami, które miałem. Takie jednak były okoliczności. Poza tym ostatnio dowiedziałem się o rzeczach, o których wtedy nie miałem pojęcia.

Andrea chrząknęła.

– Charlie, przepraszam, że to powiem, ale już kiedy chodziliśmy do szkoły, miałeś tendencję do mówienia w zagadkowy sposób. Wydaje mi się, że ci nie

przeszło.

Być może w odpowiedzi na jej komentarz Charlie zacisnął usta, ale nie jestem pewna. Może nawet na jego twarzy pojawił się lekki rumieniec, ale i to niekoniecznie. Zobaczyłam, że Leon z irytacją uniósł brwi. Miałam nadzieję, że utrzyma język za zębami.

– Wybacz, Andreo, ale zważywszy na sytuację, nie miałem innego wyboru. No i byłem dość młody, mimo że niektórzy mieli mnie za podstarzałego, roztargnionego profesorka.

– Ale teraz rzeczywiście jesteście profesorem? – zapytała Andrea.

– Tak, zgadza się – przytaknął Charlie. – Wracając jednak do tematu, tak się złożyło, że sporo rozmawiałem z Kallmannem przed jego śmiercią. Wszyscy o tym wiedzieli. Można też powiedzieć, że po tym, jak zginął, czułem, że jestem mu coś winien. Niczego konkretnego mi nie zlecił, ja też niczego nie obiecywałem, ale i tak czułem się w obowiązku. Była między nami jakaś więź. Wówczas myślałem, że chodzi o to, co niektórzy określają jako bliźniacze dusze, choć dzieliła nas spora różnica wieku. No ale ja byłem całkiem dojrzały jak na swoje lata.

– Bezspornie – przytaknęła Andrea.

– No i on był moim wujkiem.

Na kilka minut zapanowała cisza. Charlie wypił łyk herbaty i poprawił okulary. Staralam się jakoś przetrwać to, co usłyszałam. Pomyślałam, że to jakiś absurd. Jeśli Eugen Kallmann był wujkiem Charliego, oznacza to, że...

– Czyli twoja mama i Kallmann byli rodzeństwem – stwierdziła Andrea.

– Otóż to.

– Poczekaj chwilę – wtrącił Leon, teraz już wyraźnie poirytowany. – Dlaczego mówisz nam to teraz, po dwudziestu latach? To musi znaczyć, że...

Charlie przerwał mu jednak, zawieszając prawą dłoń w powietrzu. Skojarzył mi się z sędzią piłkarskim, który właśnie chce komuś dać

ostrzeżenie. Żółtą lub czerwoną kartkę.

– Powód jest prosty – oznajmił. – Nie wiedziałem o tym. Mama powiedziała mi o tym kilka miesięcy temu.

– Że była siostrą Kallmanna?

– Tak.

– A dlaczego to była taka tajemnica? – Leon zapatrzył się na swojego dawnego ucznia i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Taką mieli umowę. On mógł tu wrócić i zamieszkać pod warunkiem, że to się nie wyda.

– A dlaczego nie mogło się wydać? – tym razem to Andrea zadała pytanie. Bardziej z ciekawości niż z irytacji.

– Dlatego, że on zabił ich matkę. Moją babcię.

Znów cisza. Przez trzy sekundy. Potem odezwał się Leon.

– Masz na myśli, że to, co on pisał w pamiętniku, jest prawdą?

Charlie splótł swoje niemałe dłonie na stole i zmierzył każde z nas wzrokiem.

– Pozwólcie, że wyjaśnię. Pamiętajcie, że te informacje są dla mnie niemal tak nowe jak dla was. I nie ma powodu, by wyszły poza ten pokój. Od tych wydarzeń minęło już siedemdziesiąt lat, ale nikt nie chciałby, żeby sprawa ujrzała światło dzienne. Choć wszyscy zainteresowani już nie żyją... ośmielę się stwierdzić.

Przez chwilę się zastanawiał, potem ciągnął:

– Eugen Kallmann, czy też Ruben Mattis, bo tak się wtedy nazywał, naprawdę zabił matkę. Nie wiem, jak to się odbyło, ale domyślam się, że inaczej, niż opisał to w pamiętniku. Mógł to być wypadek, wiele wskazuje jednak, że działał z premedytacją. Miał jedenaście lat, a na scenę wkroczył jej kochanek, tyle się zgadza z jego pamiętnikiem. Nie zapominajcie, że opis tych zdarzeń przeczytałem dopiero niedawno... kiedy komisarz Lundblad

udostępniła mi pamiętniki. Tak czy inaczej, moja mama, która wtedy miała sześć lat, wydała go. Niemal natychmiast o wszystkim dowiedział się jego ojciec i się go wyparł. Od razu i bezwzględnie, o ile zrozumiałem. Mimo wszystko sprawę zachowano w tajemnicy, nie wiem dokładnie, jak im się to udało, ale to nieistotne. Według mojej mamy jej ojciec, to znaczy mój dziadek, zaraz po tym znalazł się na granicy załamania nerwowego. Jego syn zabił mu żonę. Nie mógł znieść jego widoku, więc wysłał chłopca do krewnych w Szwajcarii.

– To się zgadza z pamiętnikiem – zauważyłam.

– Tak, w dużym stopniu – przyznał Charlie. – Na swój sposób można powiedzieć, że chłopiec przestał istnieć, a już na pewno jako osoba, którą był wcześniej. To samo tyczyło się jego ojca, mojego dziadka. Po roku zabrano go do szpitala psychiatrycznego, gdzie jakiś czas później odebrał sobie życie. Moja mama została wtedy adoptowana, niestety przez jakąś parę alkoholików z okolicy, którzy źle ją traktowali. Kiedy dorastała, rozwinęła w sobie absurdalną wręcz nienawiść do brata, który w jej oczach był powodem tego, że jej życie potoczyło się właśnie tak. Takie przekonanie towarzyszyło jej do śmierci. To, że powiedziała mi prawdę, nie miało nic wspólnego z wybaczeniem. Jej malarstwo, te wszystkie pełne niepokoju motywy były odbiciem jej dzieciństwa i okresu dorastania. Rodzeństwo nie miało ze sobą kontaktu, moja mama od dawna traktowała brata, jakby nie żył, a w każdym razie nie istniał, ale wtedy on się do niej odezwał... To było chyba na początku lat sześćdziesiątych. On miał nieco ponad trzydzieści lat, ona dwadzieścia pięć. Chciał się spotkać, lecz definitywnie odmówiła. Wymusiła na nim zmianę nazwiska, tak jak to opisał w pamiętniku, jednak jego tęsknota za okolicą, w której dorastał w latach trzydziestych, była tak duża, że się nie poddał. Wbrew jej woli przyjechał tu, dostał pracę w szkole Bergtuna, dotrzymał jednak umowy. Nikt nie mógł się dowiedzieć, kim był. Musimy

sobie uświadomić, że Eugen Kallmann, alias Ruben Mattis, był przede wszystkim nieszczęśliwy. Bardzo nieszczęśliwy.

Charlie zrobił pauzę. Zdjął okulary i zaczął je przecierać ściereczką, którą wyjął z kieszeni marynarki. Ma głęboko osadzone oczy, ale wydawało mi się, że i tak dostrzegłam w nich łzy.

Może jednak się mylę. W pokoju zapanowała aura smutku i beznadziei, nikt z naszej trójki nie czuł się gotowy skomentować opowiadania Charliego. Kiedy skończył czyścić okulary, na chwilę uniósł je pod światło, zlustrował, po czym założył na nos. Zorientowałam się, że wstrzymuję oddech.

– Myślę, że warto poznać tło – powiedział – jeśli mamy zrozumieć tę kolejną historię. To, co wydarzyło się w roku 1995.

Zakręciło mi się w głowie. Popatrzyłam na Leona i Andreę. Zwłaszcza ona wyglądała na przejętą. Przypomniałam sobie, że przecież jest w to zamieszana w zupełnie inny sposób niż ja i Leon. Mimo że jej dziadka nigdy nie skazano za to, o co go podejrzewano, to jej rodzina dużo przeszła. Tamtej wiosny wiele z nią rozmawiałam, ale to nie moje wysiłki, a Ivan Kardasjan pomógł jej stanąć na nogi. Pamiętam, jak byli w sobie zakochani. Nagle nabrałam ochoty, żeby zapytać ją, ile ze sobą byli. Kojarzę, że widziałam ich razem po tym, jak skończyli dziewiątą klasę. Ile jednak związków z okresu nastoletniego się utrzymuje?

Oczywiście sytuacja nie sprzyjała takim pytaniom, nie odezwałam się więc. Charlie wyciągnął coś z kieszeni. Jakiś kawałek plastiku z czymś w środku.

– Może powinniśmy wyjaśnić i to, zanim przejdziemy dalej.

Wyjął zawartość plastikowej koszulki, chwilę trzymał między palcami, aż w końcu położył na stole plecami do góry. Ewidentnie było to jakieś zdjęcie, tyle zdążyłam zobaczyć. Pochyliłam się i przeczytałam napis na odwrocie.

Andrea i Leon też to przeczytali. Potem Andrea odwróciła zdjęcie. Było czarno-białe, nieduże, rozmiaru pudełka zapalek. Przedstawiało mężczyznę około dwudziestu pięciu, trzydziestu lat. Ciemne, zaczesane do tyłu włosy, niewyraźny uśmiech. Całkiem przystojny. Wygląda jak portret zrobiony u profesjonalnego fotografa. Powiedziałabym, że zdjęcie miało jakieś pięćdziesiąt lat.

– Więc to on – powiedział Leon. – Jakim cudem... to znaczy skąd wzięłeś to zdjęcie?

– Natrafiłem na nie – odparł Charlie – Nieważne jak, ale wiem, że wiele osób zastanawiało się, kto to... i gdzie to. O ile zrozumiałem, Kallmann wyznaczył go na swojego spadkobiercę.

– Poczekaj, Charlie – wtrąciła się Andrea, z ręką w górze, jakby znów siedziała w szkole w Bergtuna jak przed dwudziestu laty. – Pamiętam taką scenę z Mymlan... wparowałeś tam z miną niczym chmura gradowa i wyciągnąłeś za kołnierz jakiegoś chłopaka. Jak on się nazywał? Taki mały niedorajda z Lyssne. To chyba miało coś wspólnego z tym zdjęciem?

– Na swój sposób – odparł Charlie. – Nie ma to jednak znaczenia. Chciałem wam tylko podać tożsamość tego całego Kellera. Macie jakieś propozycje?

Nikt nie miał.

– To kochanek – oznajmił w końcu Charlie. – Kochanek mojej babci.

Leon

To kochanek – oznajmił w końcu Charlie. – Kochanek mojej babci.

Co, do jasnej cholery? – pomyślałem. Co on próbuje nam wmówić?

Nie wiem, skąd się wzięła moja awersja do Charliego, ale narastała już od jakiegoś czasu. Chodziło o coś w jego sposobie bycia. Jakby prowadził zajęcia dla małej grupy przygłupich studentów, do czego skądinąd był pewnie przyzwyczajony. Już w szkole był z niego mądrała, łatwiej jest jednak wytrzymać z piętnastoletnim mądrałą niż z trzydziestopięcioletnim. Musiałem się wysilić, żeby nie dać po sobie poznać zbyt dużego sceptycyzmu i wahania.

– Ale niby dlaczego? – zapytałem. – Niby dlaczego Kallmann miałby wyznaczać kochanka swojej matki na spadkobiercę? Przecież to on był przyczyną tych wszystkich nieszczęść.

Charlie poprawił okulary na nosie i popatrzył na mnie, mrużąc oczy.

– Pojednanie – powiedział powoli.

– Naprawdę?

Skinął głową i okulary znów mu się zsunęły.

– Tak właśnie uważam. A dokładniej mówiąc, tak uważała moja mama. Kallmann chciał to w jakiś sposób zaznaczyć. Nie mógł zapisać majątku mnie czy mojej matce, bo to by oznaczało złamanie umowy. Nie miał żadnych innych krewnych, gdyby więc ten Boris Yann Keller nadal żył – bo, zdaje się, był

sporo młodszy od mojej babci – przekazanie mu majątku byłoby prawdziwym gestem. Tak to widział Kallmann. Pamiętajmy, że był człowiekiem, którego duszą targały wewnętrzne demony.

– Wewnętrzne demony? – zdziwiła się Ludmilla.

– Mówiąc obrazowo – odparł Charlie.

– Ale ten Boris Yann Keller nigdy się nie pojawił? – zapytała Andrea. – Nie dostał w końcu spadku po Kallmannie?

– Nie, nie dostał. To jednak nie ma większego znaczenia. Może już nie żył, kiedy Kallmann zginął, a teraz nie żyje na pewno. Musiałby mieć jakieś sto lat. Zresztą nie był to spadek wart zachodu, poza książkami nie było tam prawie nic wartościowego. Wymienienie go w testamencie było raczej czynem symbolicznym.

– Czynem symbolicznym? – zapytała Ludmilla, a w odpowiedzi Charlie rozłożył ręce, jakby chciał pokazać, że to nie on ukuł to brzmiące nienaukowo wyrażenie.

Ja zastanawiałem się, czy wierzę w takie wyjaśnienie, nie znalazłem jednak żadnego rozsądnego powodu, by podważyć jego prawdziwość.

– Kallmann był trochę opętany na punkcie tego Kellera, co? – zapytała jeszcze Ludmilla.

Charlie znów pokiwał głową.

– Tak sędzę. W każdym razie prosił mnie, bym odnalazł to zdjęcie. Było w jego portfelu, kiedy mu go skradziono... o czym zapewne wiecie?

– Owszem, wiemy – odparłem. – Jednak nawet jeśli tak jest, to i tak zostaje nam sporo znaków zapytania, czyż nie? Tych najważniejszych, jeśli się nie mylę. Bo chyba po to nas tu ściągnęłaś?

Niechęć do tego, w jaki sposób potoczyła się nasza rozmowa, dała się chyba słyszeć w moim głosie. Ludmilla posłała mi spojrzenie, postanowiłem więc, że spróbuję jakoś odnaleźć się w tej sytuacji. Zamiast na Charliem

skupiłem się na Andrei. Kiedy tak się jej dyskretnie przyglądałem, uderzyło mnie, że zapewne wygląda tak, jakby wyglądała Judith, gdyby dane było jej żyć. To uderzające podobieństwo z okresu, gdy Andrea była nastolatką, oczywiście minęło, jednak możliwe było przecież, że Andrea Wester była lustrzanym odbiciem (czy może fantomowym, czy sam nie wiem, jak to nazwać) zmarłej Judith Emilii Berger. Ta perspektywa przyprawiła mnie o lekki zawrót głowy, zacząłem się więc przyglądać jeszcze zmarzniętym brzozom za oknem, by jakoś się opanować.

Podczas gdy ja pozwoliłem myślom biec bocznym torem, Charlie oznajmił, że ma nadzieję, iż siedzimy tu z własnej woli. Potwierdziła to jedynie Ludmilla. Andrea wyglądała niepewnie, jakby spodziewała się, że z tego spotkania nie wyniknie nic dobrego. Że najgorsze dopiero przed nami.

– Zgadza się oczywiście, że pozostały nam najważniejsze znaki zapytania – skomentował Charlie moją wcześniejszą refleksję. – I tu niestety nie mogę wam zaoferować żadnych odpowiedzi. Pomyślałem jednak, że w naszym wspólnym interesie jest sprawdzić, jak daleko udałoby się nam zejść razem. Że możemy w każdym razie podjąć ostatnią próbę.

– Cóż, czemu nie – powiedziała Ludmilla trochę bez przekonania. – Zatem masz swoją opinię na temat zabójstwa Kallmanna i... resztę? Musisz zrozumieć, że my nie zajmowaliśmy się tą sprawą od dawna. Wiem, że Igor myślał o niej, kiedy jeszcze żył, ale jeśli chodzi o mnie i Leona, to nie rozmawialiśmy o tym przez wiele lat. Prawda, Leon?

– Wieki całe – przyznałem.

– Ani ja – dorzuciła Andrea, choć niezbyt przekonującym głosem.

– Zapewniam, że i ja nie traktowałem tej sprawy priorytetowo – zauważył Charlie i niespodziewanie uśmiechnął się ironicznie. – Stała się dla mnie aktualna po śmierci matki oraz po moim spotkaniu z komisarz Lundblad... jak już mówiłem.

– Wszystko dobrze – odparłem. – Ale w którą stronę się skłaniasz?

Charlie chwilę się zastanawiał. Albo może tylko symulował, tak mi się wydaje. Zrobił krótką pauzę, jaką doświadczeni wykładowcy robią, kiedy nawet nie są tego świadomi.

– W stronę spekulacji – odparł. – Jako badacz muszę spekulować, bo wszystkich ślepych tropów jest za dużo. Nie wiedziałem tego, kiedy chodziłem do szkoły Bergtuna, ale teraz już to zrozumiałem.

– Aha, a co to dokładnie znaczy? – zapytała Andrea.

Charlie chrząknął.

– Między innymi to, że uważam, że Kallmann miał rację, jeśli chodzi o twojego dziadka. Ja w każdym razie uważam, że to niewykluczone.

Właśnie w tym momencie, zupełnie jakby to było wyreżyserowane, do pokoju wetknęła głowę młoda kelnerka i zapytała, czy czegoś sobie życzymy. Odpowiedzieliśmy jej, że nie, zamknęła więc za sobą drzwi.

– Wybacz, Charlie, ale czy możesz powtórzyć? – poprosiła Ludmilla.

– Wiem, że to może brzmieć dziwnie – zaczął znów Charlie. – Może jednak być tak, że Erik Larsson rzeczywiście był winny.

– Wielu tak sądzi – powiedziałem. – Lub przynajmniej sądziło w tamtym czasie. Gdzie jednak kryje się ta... spekulacja?

– Hm, rozumiem pański punkt widzenia – odpowiedział Charlie. – Możemy jednak założyć, że osoba o inicjale V. to Erik Larsson... twój dziadek, Andrea. Kallmann nigdy mi o tym nie opowiadał, ale w typowy dla siebie sposób zasugerował, że ta osoba miała coś wspólnego z tobą, z twoją rodziną. Pamiętasz zapewne, że wypytywałem cię kilka razy, a przy tym nieco kluczyłem. Chyba wtedy sądziłem, że w tej roli należy widzieć twojego ojca...

– Nie do końca za tobą nadążam – powiedziała Andrea. – Nie zapominaj, że nie czytałam tych legendarnych już zapisków.

Wskazała ręką na stos pamiętników, który nadal leżał na stole obok

Charliego.

– Tak, jestem tego świadom – odparł Charlie. – Ogólnie mówiąc, Kallmann wierzył, że twój dziadek był zabójcą... ponieważ dostrzegł to w jego oczach. Można o tym myśleć, co się chce, łatwo zbić ten argument, założmy jednak, że w pewnym sensie Kallmann wiedział to, co wiedział.

– „W pewnym sensie Kallmann wiedział to, co wiedział” – nie mogłem nie przerwać. – Co to ma znaczyć, na Boga?

Charlie zdjął okulary i popatrzył na mnie z lekką irytacją.

– Mogłoby to na przykład znaczyć, że Erik Larsson... Erik Valdemar Larsson... V jak Valdemar... dopuścił się zbrodni. Tak jak jest to napisane w pamiętniku. Jednak policja pomyliła się co do ofiary. Być może to nie Kallmanna i nie Adamssona-Schmidta zabił Larsson.

– Ale? – wtrąciła Ludmilla po tym, jak przez dłuższą chwilę milczeliśmy. – Kogo w takim razie zabił?

– Nie wiem – powiedział Charlie i rozparł się w krześle, tak że aż zaskrzypiało. – Macie jakieś pomysły?

Kiedy próbuję sobie przypomnieć ciąg dalszy tej rozmowy, trochę się gubię. Pamiętam, że z początku próbowaliśmy wyrażać nasz sceptycyzm, w każdym razie ja i Ludmilla. Jaki sens miała bowiem taka teoria? Skoro Erikowi Larssonowi nie udało się udowodnić żadnej z dwóch zbrodni, za które został aresztowany, po cóż było oskarżać go o trzecią? Czy istniały jakiegokolwiek podstawy, by wysuwać podejrzenie tego typu? Brzmiało to absurdalnie, Charlie chyba sam musiał to przyznać?

I tak dalej. Wydaje mi się, że Charlie odpowiadał dość wymijająco na nasze w pełni uzasadnione pytania. Nie zaprezentował żadnych argumentów na poparcie swojego twierdzenia i nie próbował się bronić. To jednak nie ma znaczenia. Po kilku minutach bowiem wydarzyło się coś innego. Otóż Andrea Wester, która do tej pory niewiele się odzywała, nagle się podniosła. Przez

chwilę stała, chwiejąc się i w dziwnym geście trzymając dłonie po bokach głowy. Ciężko oddychała. Popatrzyła najpierw na Charliego, potem na Ludmillę, potem na mnie.

Następnie wyszeptała coś niezrozumiałego – najprawdopodobniej prosiła o wybaczenie – i potykając się, wyszła z komnaty MacCleansa.

Przez dziesięć minut czekaliśmy, aż wróci, kiedy jednak zrozumieliśmy, że nie ma takiego zamiaru, postanowiliśmy przerwać nasze zebranie. Odniosłem wrażenie, że była to jednogłośnie decyzja.

Po rejteradzie Andrei nikt zresztą nie miał wiele do powiedzenia. Jakbyśmy się zorientowali, że sprawa wymknęła się spod kontroli i nic nie da się z tym zrobić. Mniej więcej.

Ulrika

Kiedy dotarliśmy na miejsce, słońce jeszcze nie zaszło. Zawisło leniwie nad skrajem lasu w dali na zachodzie i oświetlało skupisko chmur. Pomyślałam, że to niemal apokaliptyczny widok. Całkiem adekwatny do sytuacji.

Obejmowałam jedną ręką ją za ramiona, ona mnie w pasie. Całą drogę tutaj tak szliśmy. Tylko ona i ja. Nikt inny.

To sprawa między nami.

Minęło kilka dni. Prawie nie zmrużyłam przez ten czas oka, Andrea też nie. Byliśmy w szoku, to chyba najwłaściwsze określenie stanu, w jakim się znalazłyśmy. To cud, że jakoś udało nam się zachować to między nami. Pomijając mamę, rzecz jasna. Pojechaliśmy do niej jeszcze tego samego dnia. Załamała się i przyznała, że wszystko było tak, jak myślała Andrea.

– Skąd się dowiedziałas? – zapytała, kiedy już się uspokoiła i można było z nią rozmawiać. To znaczy po jakichś trzydziestu minutach. – Jakim cudem do tego doszłaś?

Andrea, tak jak mnie wcześniej, opowiedziała jej w skrócie o spotkaniu w hotelu. A potem o wizycie w Hällersdal, domu opieki, w którym przebywa tata.

To było dwa lata temu. Była tam tylko ona i David. Dzieci nie.

Dobrze się nauczyłeś szwedzkiego, powiedział tata. I obciąłeś włosy.

Powtórzył to kilka razy, jak wszystko zresztą. Zupełnie, jakby jedna myśl musiała obrócić mu się w głowie dwadzieścia pięć razy, żeby zrobić miejsce kolejnej.

„Dobrze się nauczyłeś szwedzkiego. I obciąłeś włosy”.

Potem mocno się zaniepokoił. Nawet więcej niż zaniepokoił. Andrea mówiła, że dostał ataku lęku. Musiał się nim zająć ktoś z obsługi. Ona i David byli zmuszeni przerwać wizytę na samym wstępie.

Domyślała się czegoś, ale odpędziła tę myśl.

Jacy goście odwiedzali tatę w jego świecie wyobraźni?

Jacy?

Tak, wtedy, dwa lata temu, nie dopuściła do siebie tych wątpliwości. Skryła je w jakimś bliżej niesprecyzowanym zakątku świadomości, w którym przeleżały, czekając na właściwą porę.

A pora nadeszła w minioną niedzielę, w hotelu.

Kogo on widział?

Kogo tego dnia miał przed oczami Erik Larsson?

Kto nauczył się dobrze szwedzkiego i obciął włosy?

Andrea zrozumiała.

Od razu. Mówiła, że czuła się, jakby ktoś nagle otworzył przed nią drzwi i wpuścił światło.

Nie, to nie Andrea i David stali tamtego dnia przed tatą. David nigdy nie miał długich włosów i mówił po szwedzku od dziecka.

To mamę i tatę Andrei widział.

Mnie i Flynną. Flynną Branaganą, który przyciął włosy i nauczył się szwedzkiego.

Może i by to zrobił, gdyby dane było mu żyć.

Gdyby tata go nie zabił.

Nie zabił, nie zapakował do jego wozu kempingowego i nie zawiózł nad klif Vätte. To właśnie tu stałyśmy teraz, spoglądając na czarną wodę.

Popchnął samochód, zrzucając go ze skraju. Zaczekał, aż pójdzie na dno, i wrócił do domu.

Ile wiedziałaś, mamó i babciu? Kiedy ci powiedział? Bo chyba nie było tak, że...?

Na to nie odpowiedziała. Ulrika, on to zrobił dla twojego dobra, powiedziała tylko.

I twojego, Andrea. Uważał, że robi to, co słuszne. Był co do tego przekonany. Uważał, że ten Anglik zrujnuje ci życie.

Tak nam to wytłumaczyła.

Nie miała nic więcej do powiedzenia.

A teraz stoimy tu. Matka i córka. Do powierzchni wody jest dziesięć metrów, pod nią kolejnych dwadzieścia lub trzydzieści. Pod klifem Vätte znajduje się najgłębsza część jeziora Morsjön. Wszyscy to wiedzą.

Słońce już zaszło. Obejmujemy się.

– Całe moje życie tu spoczywa – powiedziała Andrea.

– Całe twoje życie i trochę więcej – odparłam.

– Kiedy ja leżałam w twoim brzuchu, on już leżał tutaj.

– Tak, przez większość czasu.

– Te listy, które pisałaś...

– Nie zachował ich. Spalił je.

Tak było. Kierownik poczty bez problemu mógł dopilnować, by nigdy nie zostały wysłane. Mama nigdy ich nie widziała, ani jednego.

– Kiedy się dowiedziała? – zapytała Andrea.

– Nie wiem. Nie chciała powiedzieć.

– Chciałabym, żeby dziadek umarł.

– Praktycznie już nie żyje.

– Jak oni mogli z tym żyć? Nie pojmuję. Że też się nie załamał, kiedy siedział w areszcie. Że babcia nie pękła.

– Ja też tego nie rozumiem.

Przez chwilę milczałyśmy. Nad jeziorem leciał klucz ptaków.

– Myślę, że lubiłabyś swojego tatę – powiedziałam. – Dobra była z niego dusza. Choć ja znałam go tylko przez kilka miesięcy.

– Kochałaś go?

– Tak, kochałam.

Rozpaliliśmy małe ognisko, tak jak to wcześniej zaplanowałyśmy. Usiadłyśmy przy nim przytulone do siebie, a wokół nas gęstniała ciemność. Chłód też, był dopiero początek maja i zimne noce jeszcze się nie skończyły.

– Dobrze robimy? – zapytała Andrea. – Dobrze robimy, nie mówiąc nikomu?

– Tak sędzę. Minęło trzydzieści sześć lat. Zaczekajmy przynajmniej, aż babcia i dziadek odejdą.

– On musiał mieć jakąś rodzinę w Anglii?

– Nie wiem. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

– Jakiego koloru był ten samochód? Myślisz, że jeszcze się zachował?

– Był wielokolorowy. Myślę, że kolory już dawno zniknęły.

Andrea zaczęła płakać. Ja dołączyłam do niej. Siedziałyśmy dopóty, dopóki żar zupełnie się nie wypalił. Potem zapaliłyśmy znicz, zrzuciłyśmy przyniesione róże i ruszyłyśmy z powrotem tą samą drogą, którą przyszłyśmy.

Charlie

Nie wszystkie odpowiedzi można znaleźć.

Podjąłem próbę i nie mam o co się winić. Po ośmiu dniach spędzonych w tych lasach północy miło było wrócić na południe. Moje organizmy jednokomórkowe wprawdzie przeżyły rozłąkę, ale już nigdy nie mam zamiaru zostawiać ich w cudzych rękach. Ich życie bardzo leży mi na sercu. To spokojne, bezsilne pulsowanie, tak dalekie od żalostnej szarpaniny ludzkiej. Jak znam siebie, napiszę biofilozoficzny traktat o tej dychotomii. Jeśli akurat nie będę miał innych obowiązków.

Nie udało nam się tu do niczego dojść. To znaczy do czegoś tam może doszliśmy. Nie umiałem zinterpretować gwałtownej reakcji Andrei podczas naszego spotkania w hotelu. Potem nie miałem już okazji z nią o tym porozmawiać. Przyznaję, że nawet nie próbowałem, miałem na głowie dość spraw związanych z podziałem majątku po matce, tymi wszystkimi obrazami, które miały trafić w odpowiednie ręce, domem wypełnionym zbieranymi przez całe życie zbędnymi przedmiotami. Dzięki Bogu, że jest Lindström i że jeszcze trzyma się na nogach.

Ze sobą zabrałem dwie tajemnice. Nigdy nie miałem zresztą zamiaru ich ujawniać. Przed zdradzeniem jednej powstrzymuje mnie obietnica, w przypadku drugiej – instynkt samozachowawczy.

Po pierwsze: mój ojciec. Nie wiem, kto nim był, ale zapewne dałoby się to sprawdzić. Już wiele lat temu mama przedstawiła mi sytuację, już wtedy złożyłem jej tę obietnicę. Był ministrem spraw zagranicznych. Nie dowiedziałem się, z jakiego kraju. Spotkali się w ambasadzie w Sztokholmie, nie wiem której, i zaliczyli, jak to określiła matka, „romans”. I tak mnie poczęto. Mój ojciec był człowiekiem honorowym i łożył na mnie, kiedy dorastałem, mimo że matka dość szybko dorobiła się na swojej twórczości i nie potrzebowała wsparcia ekonomicznego. Był on żonaty w swoim kraju, ujawnienie romansu zagrażałoby jego karierze, może wręcz miałyby konsekwencje dla stosunków dyplomatycznych, co pozwala mi domyślić się, że nie był Francuzem. Zapewne gdzieś na świecie mam rodzeństwo przyrodnie, fakt ten jednak szczególnie mnie nie porusza. Moi rodzice zaś nie spotkali się już nigdy więcej po zakończeniu „romansu”.

Był zdolny i miał klasę, tak pokrótce określiła go matka. Ponoć odziedziczyłem po nim uszy.

Po drugie: Otto Hansson. Zabiłem go i zawiesiłem na drzewie. Zupełnie tego nie planowałem, więc – gdyby sprawa wyszła na jaw – mógłbym zapewne twierdzić, że to był wypadek. Nie to, że go powiesiłem, ale to, że przypadkowo go zabiłem. Umówiłem się z nim na spotkanie, żeby odkupić zdjęcie Borisa Yanna Kellera, które w niejasnych okolicznościach trafiło w jego ręce. Spotkaliśmy się w pobliżu szkoły, a on po chwili wyciągnął nóż. Nigdy nie zrozumiałem dlaczego. Dał mi zdjęcie, ja dałem mu sto koron. Udało mi się złapać go za ramię i wytrącić nóż z ręki, a ponieważ stawiał opór, mocno uderzyłem jego głową o drzewo. Najwidoczniej za mocno, w tamtym czasie nie byłem jeszcze świadomy swojej siły. Hansson się osunął i ku mojemu ogromnemu zdziwieniu okazało się, że nie żyje. Sam nie wiem, dlaczego zawiesiłem go na drzewie. Tym samym, o które rozbiłem mu głowę, ale ziemia była zmarznięta i niezbyt gościnna, a gdzieś obok akurat leżał sznur.

Zarzuciłem pętlę i wciągnąłem go, było ciężko, ale jakoś dałem radę. Już po wszystkim postanowiłem, że będę milczeć, jeśli tylko nikt inny nie zostanie o to oskarżony. Na niekompetencji policji naprawdę można polegać, zarówno w błahych, jak i poważniejszych sprawach. Od tamtej pory przekonałem się o tym nie raz.

Dopuszczałbym się kłamstwa, gdybym powiedział, że żałuję tego czynu lub że męczyły mnie z jego powodu wyrzuty sumienia. On sięgnął po nóż, ja się broniłem. Jeśli jeden z nas musiał zginąć, to niewątpliwie dobrze, że padło na niego. Myślę, że większość by się ze mną zgodziła.

Nie mam zamiaru więcej wracać do K. Nigdy nie czułem się tam jak w domu. Pod tym względem ja i wujek różniliśmy się radykalnie. Kiedyś powiedział, że zanim wrócił do szkoły Bergtuna, niemal przez czterdzieści lat był uchodźcą. Dziś rozumiem sens tego stwierdzenia. Jeśli więc nawet jego życie było chodzeniem ciemną doliną, to przynajmniej skończyło się we właściwym miejscu.

Jak zmarł?

Jestem skłonny uznać, że spadł z tych schodów bez niczyjej pomocy. Nie był trzeźwy, zdaje się.

Zachowam jego pamiętniki. Postawię je w moim gabinecie w akademii medycznej na tej samej nierzucającej się w oczy półce, na której stoją obie jego powieści kryminalne wydane pod pseudonimem jeszcze w latach siedemdziesiątych: *Głęboka rana* oraz *Chłopiec i prawda*.

Przypisy końcowe

1. Cytat z powieści *Długie pożegnanie* Raymonda Chandlera w tłumaczeniu Krzysztofa Klingera, Wyd. Literackie Muza, 2003 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). [\[wróć\]](#)
2. Lars Ahlin (1915–1997) – szwedzki powieściopisarz związany z tzw. nurtem proletariackim. [\[wróć\]](#)
3. Nowa Demokracja – populistyczna, skrajnie prawicowa partia reprezentowana w Riksdagu w latach 1991–1994. [\[wróć\]](#)
4. *Lasermannen* (szw.) – przydomek nadany szwedzkiemu seryjnemu zabójcy, który pod koniec roku 1991 za pomocą karabinu z laserowym celownikiem atakował przypadkowe osoby, które podejrzewał o bycie imigrantami. [\[wróć\]](#)
5. John Hron – czternastolatek pochodzący z rodziny czeskiej, którego w sierpniu 1995 roku storturowało i zamordowało czterech skinheadów o neonazistowskich poglądach. [\[wróć\]](#)
6. Hem och Skola (szw.) – powołany w roku 1945 ogólnokrajowy związek rodziców oraz opiekunów dzieci w wieku przedszkolnym i szkolnym zajmujący się współpracą między rodzicami a instytucjami edukacyjnymi. [\[wróć\]](#)
7. Maranata – chrześcijański pentekostalistyczny ruch odrodzenia religijnego działający w Szwecji od roku 1960. Jednym z jego przywódców był znany kaznodzieja i pieśniarz Målle Lindberg (ur. 1929). [\[wróć\]](#)
8. Przekład Małgorzaty Kłos. [\[wróć\]](#)
9. Seria tłumaczonych na szwedzki amerykańskich powieści kryminalnych dla młodzieży, których główną bohaterką jest szesnastoletnia Kitty Drew (w oryginale Nancy Drew). [\[wróć\]](#)
10. W Szwecji tradycją jest, że na zakończenie liceum, po rozdaniu świadectw, uczniowie – ubrani cali na białą – wybiegają ze szkoły, gdzie czekają na nich rodziny. [\[wróć\]](#)
11. W Szwecji wigilijną tradycją jest rodzinne oglądanie serii kreskówek o Kaczorze Donaldzie nadawanych o godzinie piętnastej. [\[wróć\]](#)
12. Sztuka autorstwa Henrika Ibsena napisana w 1865 roku, której głównym bohaterem jest nieuznający kompromisów pastor Brand. [\[wróć\]](#)
13. Olle Möller (1906–1983) – szwedzki sportowiec skazany za dwa zabójstwa: 10-letniej Gerd Johansson (w roku 1939) oraz 34-letniej Rut Lind (w roku 1959). Nigdy nie przyznał się do winy. [\[wróć\]](#)
14. Fragment wiersza *Aubade* Philipa Larkina w przekładzie Jacka Dehnela (*Alba w: Zebrane*, Biuro Literackie, Wrocław 2008). [\[wróć\]](#)

15. Cytat z wiersza *Ångest, ångest är min arvedel* (Niepokój, niepokój moją schedą) Pära Lagerkvista z tomu *Ångest* (Niepokój) z roku 1916. Tłumaczenie Małgorzata Kłos. [\[wróć\]](#)
16. Początek wiersza *Każdy człowiek jest światem* szwedzkiego poety Gunnara Ekelöfa (1907–1968) z tomu o tym samym tytule w przekładzie Janusza B. Roszkowskiego (PWN, Wrocław 1984). [\[wróć\]](#)
17. Fragment wiersza *Aubade* Philipa Larkina, op. cit. [\[wróć\]](#)
18. Horror produkcji amerykańskiej (oryginalny tytuł *The Amityville Horror*) z roku 1979 w reżyserii Stuarta Rosenberga. [\[wróć\]](#)
19. W Szwecji oraz Finlandii zwyczajowa nazwa tygodnia między 18 a 24 lipca, kiedy tylko kobiety mają imieniny. [\[wróć\]](#)

CZARNA SERIA

THRILLER



HÅKAN NESSER

OCZY EUGENA KALLMANNA